

WACŁAW RADZIWIŃCZ

PUTIN

CAR ATLANTYDY

DROGA DO WIELKIEJ WOJNY



WACŁAW RADZIWIŃCZ

PUTIN

CAR ATLANTYDY

DROGA DO WIELKIEJ WOJNY

Redakcja: Roman Imielski
Korekta: Teresa Kruszona
Projekt graficzny okładki: Maciej Trzebiecki
Opracowanie graficzne, skład: Elżbieta Wastkowska, ProDesGraf
Zdjęcie na okładce: Jon Berkeley for The Economist
Redaktor prowadząca: Katarzyna Kubicka



ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa

© copyright by Agora, 2023
© copyright by Waław Radziwinowicz, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-268-4324-2



Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



SPIS TREŚCI

PROLOG

1999. SUPERSIŁOWIK

2022. JAK STALIN I HITLER

WSTĘP

Z CZEGO ULEPIONY JEST PUTIN?

CZĘŚĆ 1. POMARAŃCZOWA NAUCZKA

KROK PO KROKU

17.08.1999, wtorek. DUMA PRZEGŁOSOWAŁA NOWEGO
PREMIERA

3.01.2000, poniedziałek. BORYS I, PORADZIECKI

14.01.2000, piątek. PUTIN STARTUJE

16.02.2000, środa. MŁODY, PIĘKNY, NIEBOGATY

24.03.2000, piątek. BEZ KRWI I BEZ ZĘBÓW

27.03.2000, poniedziałek. PREZYDENT PUTIN

29.04.2000, sobota. PUTIN I JEGO DRUŻYNY

8.05.2000, poniedziałek. CAR I PREMIER

10.07.2000, poniedziałek. MANIFEST LIBERAŁA

21.12.2000, czwartek. NOWY-STARY HYMN

27.10.2001, sobota. ZIEMIA NA SPRZEDAŻ

12.01.2002, sobota. SKAZANA TELEWIZJA

15.01.2002, wtorek. DEMOKRATA CZY TYLKO
REFORMATOR?

23.01.2002, środa. HYMN KU CZCI

23.01.2002, środa. JAKIE MEDIA W ROSJI?

6.07.2002, sobota. WŁADZA ODPOWIADA
17.08.2002, sobota. REFORMATORZY SĄ ZNUDZENI
7.10.2002, poniedziałek. ROSJA CZCI PUTINA
28.10.2002, poniedziałek. PO TRUPACH I KŁAMSTWIE
20.12.2002, piątek. PUTIN TV SHOW
3.11.2003, czwartek. UKRAINA JAKO GUBERNIA
22.11.2003, sobota. CHCIELIBY IMPERIUM
13.03.2004, sobota. MAFIA UPAŃSTWOWIONA
1.07.2004, czwartek. WINNY KREML
15.07.2004, czwartek. BEZPIEKA PUTINA
5.08.2004, czwartek. PĘTA ROSJI
6.09.2004, poniedziałek. RECEPTA PUTINA
14.09.2004, wtorek. RECEPTA PREZYDENTA ROSJI NA
TERROR
11.10.2004, poniedziałek. DLACZEGO KANDYDAT NA
PREZYDENTA JEST CHORY?
19.10.2004, wtorek. POKER W KLUBIE ROSYJSKIM
27.10.2004, środa. PUTIN AGITUJE W KIJOWIE
12.11.2004, piątek. PUTIN SIĘ WTRĄCA
19.11.2004, piątek. DONBAS PRZECIW JUSZCZENCE
23.11.2004, wtorek. SZCZENE WMERŁA UKRAINA
4.12.2004, sobota. TO PORAŻKA KREMLA
9.12.2004, czwartek. ZWYCIĘSTWO UKRAINY
27.12.2004, poniedziałek. WIWAT JUSZCZENKO!
26.04.2005, wtorek. KONIEC IDEI „IMPERIUM
LIBERALNEGO”
2.06.2006, piątek. PUTIN CHCE POWIĘKSZYĆ ROSJĘ
31.08.2006, czwartek. KTO PSUJE ARMIEJ ZAWODOWĄ W
ROSJI
7.10.2006, sobota. ZABILI POLITKOWSKĄ

13.10.2006, piątek. KTO NIE Z WŁADZĄ, TEN WRÓG

9.12.2006, sobota. HOŁUBIENI TRUCICIELE

CZĘŚĆ 2. GRUZIŃSKA LEKCJA

Krok po kroku

11.02.2007, niedziela. ZIMNA WOJNA PUTINA

27.04.2007, wtorek. PUTIN BRONI TWIERDZY ROSJA

6.07.2007, piątek. AK-47 STRZELA OD SZEŚCIZIESIĘCIU LAT

19.09.2007, środa. ROSYJSKA FLOTA W UKRAIŃSKIEJ
GRZE

22.11.2007, czwartek. WYBORY W ROSJI JAK
SPECOPERACJA PUTINA

11.12.2007, wtorek. PUTIN WYBRAŁ CAREWICZA

18.12.2007, wtorek. PUTIN ZOSTAJE, BO MUSI

13.02.2008, środa. UKRAINA NA CELOWNIKU

1.03.2008, sobota. PUTIN, SOWIECKI CHŁOPAK

3.03.2008, poniedziałek. NOWY CAR

13.03.2008, czwartek. UKRAINA BĘDZIE ŚWIĘTOWAĆ
ZWYCIĘSTWO NAD ROSJANAMI

7.05.2008, środa. WYKONAĆ „PLAN PUTINA”

9.08.2008, sobota. ŚWIAT MUSI ROZBROIĆ OSETYJSKĄ
MINE

12.08.2008, wtorek. Z WOJNĄ PUTINOWI DO TWARZY

27.08.2008, środa. TO JEST ROZBIÓR GRUZJI

6.09.2008, sobota. HETMAN ZDRADZONY. KSIĘŻNICZKA
WYBIERA MOSKWĘ

7.11.2008, piątek. PUTIN ZNÓW PREZYDENTEM?

22.11.2008, sobota. PUTIN MOŻE WRÓCIĆ NA DWANAŚCIE
LAT

12.08.2009, środa. KREML MROZI UKRAINĘ

4.12.2009, piątek. DOBRY GOSPODARZ PUTIN

8.02.2010, poniedziałek. ROSJA NADAL BOI SIĘ NATO
26.07.2010, poniedziałek. EASY RIDER PUTIN
2.12.2010, czwartek. PUTIN GANI AMERYKĘ
3.12.2010, piątek. MAFIJNA PIRAMIDA ROSJI
21.04.2011, czwartek. PUTIN OBIECUJE WSZYSTKO
WSZYSTKIM
14.06.2011, wtorek. CAŁA ROSJA WE FRONCIE PUTINA
7.07.2011, czwartek. ROSJA SIĘ NIE ZBROI
26.09.2011, poniedziałek. PUTIN POWRÓCI WIOSNĄ
9.12.2011, piątek. ROSJA WSKAZUJE WROGA
12.12.2011, poniedziałek. ROSJA BEZ PUTINA!
16.12.2011, piątek. DOROCZNA TELEAUDIENCJA PREMIERA
PUTINA
16.12.2011, piątek. STRACONA SZANSA PLACU BŁOTNEGO
17.01.2012, wtorek. PUTIN OBIECUJE ROSJANOM
WSPANIAŁĄ PRZYSZŁOŚĆ
31.01.2012, wtorek. PUTIN KRYTYKUJE RZĄDY PUTINA
7.02.2012, wtorek. PUTIN POZUJE NA DEMOKRATĘ
14.02.2012, wtorek. PUTIN OBIECUJE ROSJĘ MIODEM
PŁYNĄCĄ
21.02.2012, wtorek. WYŚCIG ZBROJEŃ PUTINA
24.02.2012, piątek. PUTINA BITWA O ROSJĘ
28.02.2012, wtorek. LĘKI I NADZIEJE
5.03.2012, poniedziałek. CAR PUTIN III
8.05.2012, wtorek. PUTIN ZAPRZYSIĘŻONY NA PUTINA
6.06.2012, środa. STRACH NA KREMLU
29.08.2012, środa. PUTIN TO MA KLAWĘ ŻYCIE
7.11.2012, środa. RATOWNIK MINISTREM OBRONY
15.11.2012, czwartek. MANIA PRZEŚLADOWCZA
13.12.2012, czwartek. TWIERDZA ROSJA

22.12.2012, sobota. PRAWO CARA HERODA
28.03.2013, czwartek. ROSJA TROPI AGENTÓW
19.07.2013, piątek. ŁAGIER DLA NAWALNEGO
29.07.2013, poniedziałek. PUTIN KUSI KIJÓW
16.08.2013, piątek. BAT NA UKRAINĘ
19.08.2013, poniedziałek. FRONT ANTYUKRAIŃSKI
9.09.2013, poniedziałek. PORAŻKA KREMLA

CZEŚĆ 3. UKRAIŃSKI STRACH

Krok po kroku

3.12.2013, wtorek. W KIJOWIE POLSKA BIERZE REWANŻ ZA
POŁTAWĘ
18.12.2013, środa. PUTIN KUPUJE UKRAINĘ
20.12.2013, piątek. PUTIN ŁASKAWY
17.01.2014, piątek. PUTINIZACJA UKRAINY
24.02.2014, poniedziałek. BOHATEROWIE NIE UMIERAJĄ
27.02.2014, czwartek. STARCIE KOZAKÓW Z TATARAMI NA
KRYMIE. ROSJA STRASZY
5.03.2014, środa. PUTIN: MAMY PRAWO WKROCYĆ DO
UKRAINY
6.03.2014, czwartek. DEMASKUJĄ ROSYJSKICH
„PRZEBIERAŃCÓW”
7.03.2014, piątek. PUTIN IDZIE NA CAŁOŚĆ
17.03.2014, poniedziałek. PEŁZAJĄCY ROZBIÓR UKRAINY
19.03.2014, środa. DLA PUTINA KRYM JEST JAK NRD
14.04.2014, poniedziałek. ODCINANIE DONBASU
24.05.2014, sobota. ROSJA OBIECUJE WSPÓŁPRACĘ
26.06.2014, czwartek. PUTIN BEZ LICENCJI NA AGRESJĘ
28.08.2014, czwartek. TAJNA WOJNA PUTINA JUŻ JAWNA
19.09.2014, piątek. PUTIN PRĘŻY MUSKUŁY
27.10.2014, poniedziałek. IMPERIUM DOBRA

5.12.2014, piątek. ROSYJSKI KOŁOS NA GLINIANYCH
NOGACH

29.12.2014, poniedziałek. KREML MA PRAWO

27.01.2015, wtorek. ARMIE NIEGDYŚ BRATNIE

17.02.2015, wtorek. NIE CHCĄ GINAĆ W UKRAINIE

28.02.2015, sobota. NIEMCOW ZASTRZELONY

18.03.2015, środa. WEJŚCIE W STYLU STALINA

19.04.2016, wtorek. PRZED KIM DRŻY WŁADIMIR PUTIN

11.08.2016, czwartek. ROSJA PROWOKUJE I OSKARŻA

20.09.2016, wtorek. PUTIN MA CAŁĄ DUMĘ

24.09.2016, sobota. NOWE KADRY KREMLA

17.11.2016, czwartek. PUTIN NIE CHCE SKOŃCZYĆ JAK
MIŁOSZEVIĆ

27.06.2017, wtorek. STALIN WYGRYWA W ROSJI

27.12.2017, środa. PUTIN POZBYŁ SIĘ KONKURENTA

29.12.2017, piątek. ROSJA MNIEJ ZBROJNA

19.03.2018, poniedziałek. PUTIN WŁADCĄ NA KOLEJNE
SZEŚĆ LAT

17.04.2018, wtorek. ZGINĄŁ, BO DEMASKOWAŁ
KŁAMSTWA PUTINA?

21.05.2018, poniedziałek. ZNÓW OBIETNICE

8.06.2018, piątek. PUTIN ROZMÓWIŁ SIĘ Z NARODEM

27.11.2018, wtorek. PUTIN W TARAPATACH, WIĘC PACHNIE
WOJNĄ

7.01.2019, poniedziałek. POLITYCZNA KATASTROFA
PUTINA

30.03.2019, sobota. MOSKWIE MARZY SIĘ NOWA JAŁTA

29.04.2019, poniedziałek. OBRZYDZANIE UKRAINY

27.01.2020, poniedziałek. PUTIN PISZE ROSJĘ NA NOWO

2.07.2020, czwartek. DZIKIE REFERENDUM

21.08.2020, piątek. NAWALNY WALCZY O ŻYCIE
3.02.2021, środa. NAWALNY SKAZANY ZA TO, ŻE PRZEŻYŁ
6.04.2021, wtorek. DONBAS NA SKRAJU WOJNY
12.04.2021, poniedziałek. MOSKWA ROZPĘDZA MACHINE
WOJENNA
24.04.2021, sobota. PUTIN ODWOŁUJE WOJSKO
15.07.2021, czwartek. OSTATNIE KREMLOWSKIE
OSTRZEŻENIE
21.09.2021, wtorek. PUTIN MA TAKĄ DUMĘ, JAKĄ SOBIE
ZAMÓWIŁ
20.10.2021, środa. MOSKWA ZAMYKA KANAŁ DIALOGU Z
NATO
6.12.2021, poniedziałek. CZERWONE LINIE PUTINA
20.12.2021, poniedziałek. DOKTRYNA PUTINA
24.12.2021, piątek. PUTIN: DAJCIE NAM GWARANCJE
BEZPIECZEŃSTWA. NATYCHMIAST
29.12.2021, środa. PUTIN ZAMYKA MEMORIAŁ
19.01.2022, środa. WZRASTA WOJENNE NAPIĘCIE
3.02.2022, czwartek. MOSKWA BĘDZIE PODGRZEWAĆ
EMOCJE
4.02.2022, piątek. MOSKWA ZBITA Z PANTAŁYKU. ALE TEN
STAN DŁUGO NIE POTRWA
7.02.2022, poniedziałek. MNIEJ WOJNY (NA RAZIE), WIĘCEJ
DYPLOMACJI
9.02.2022, środa. PUTIN WBIJA KLIN W NATO
10.02.2022, czwartek. „WOJNA Z UKRAINĄ TO NIE BĘDZIE
BLITZKRIEG”
14.02.2022, poniedziałek. NAPIĘCIE WOKÓŁ UKRAINY
OSIĄGA APOGEUM
15.02.2022, wtorek. ROSJA NIEGOTOWA DO WOJNY

16.02.2022, środa. ROSJA STAWIA NA DYPLOMACJĘ
17.02.2022, czwartek. ROSJI CIASNO W JEJ GRANICACH
21.02.2022, poniedziałek. KREML PRZEKONUJE, ŻE
UKRAIŃCY DOKONUJĄ „LUDOBÓJSTWA”
22.02.2022, wtorek. ROSJA JEST GOTOWA UZNAĆ
„NIEZALEŻNOŚĆ” SEPARATYSTYCZNYCH „REPUBLIK”

CZĘŚĆ 4. Klęska

KROK PO KROKU

11.04.2022, poniedziałek. NIEUDANY BLITZKRIEG
13.04.2022, środa. NIE TAKI PUTIN STRASZNY, JAK SIĘ
MALOWAŁ
5.05.2022, czwartek. ROSJA WYCHOWUJE DO WOJNY
23.05.2022, poniedziałek. TAM ROSJA, GDZIE JEJ ARMIA
17.06.2022, piątek. UDERZENIE W ROSYJSKIE
„MONOGORODY”
8.07.2022, piątek. TANIE MIĘSO ARMATNIE PUTINA
22.07.2022, piątek. ŁAWROW I NOWA GEOGRAFIA
WOJNY
26.07.2022, wtorek. PO LIPNYM REFERENDUM
PRAWDZIWA ANEKSJA POŁUDNIA UKRAINY
28.07.2022, czwartek. NA OCZACH MILIONÓW ROSJAN KPI
Z ROSYJSKIEJ ARMII
14.09.2022, środa. ROSJA CHCE WIĘCEJ WOJNY: TWARDEJ I
TOTALNEJ
22.09.2022, czwartek. PUTIN GNA ROSJĘ W KAMASZE
19.10.2022, środa. PUTIN TRACI AZJĘ ŚRODKOWĄ
16.11.2022, środa. GWAŁTOWNY WZROST
8.12.2022, czwartek. „JASTRZĘBIE” ŻĄDAJĄ, BY PUTIN SIĘ
UKRAINIE ODWINĄŁ
12.12.2022, poniedziałek. TEJ OPOZYCJI BOI SIĘ PUTIN

28.12.2022, środa. ARMIA PUTINA NA MODŁĘ
RADZIECKĄ

13.01.2023, piątek. NOWY MINISTER WOJNY

18.01.2023, środa. TEORIE SPISKOWE W GŁOWACH NA
KREMLU

24.06.2023, sobota. NIE SZEDŁ PO PUTINA

04.07.2023, wtorek. PO BUNCIE PRIGOŻYNA

EPILOG. SPADEK W CZARNĄ OTCHŁAŃ

OD WYDAWCY

PRZYPISY

PROLOG

1999

SUPERSIŁOWIK

– Zastanawiam się, jak zatytułować informację o nowym kandydacie na premiera – powiedział mi wczoraj Jurij Szczekoczichin^[1], zastępca redaktora „Nowej Gazety”^[2], który przed miesiącem zapowiedział, że czterdziestosiedmioletni Władimir Putin jesienią zastąpi Siergieja Stiepaszyna. – I pewnie napiszę: „To nikt i nawet nazwać go nie można”. Jediną zaletą tej szarej kremlowskiej eminencji jest pełne oddanie prezydentowi. Zawsze krył się w cieniu.

Co o nim wiadomo? Tylko suche fakty oficjalnego życiorysu. W 1975 roku skończył wydział prawny leningradzkiego uniwersytetu. Zaciągnął się do wywiadu. Wiele lat pracował w Niemczech. Do miasta nad Newą wrócił dziewiętnaście lat temu.

Najpierw był doradcą przewodniczącego rady miejskiej do spraw zagranicznych, potem szefem komitetu zagranicznego merostwa. Anatolij Sobczak, demokratyczny mer Sankt Petersburga, uczynił go swym zastępcą. O Putinie mówiło się w Sankt Petersburgu, że odpowiada za szemraną transakcję wymiany rosyjskiego złomu na zagraniczną żywność. Oskarżenia te się nie potwierdziły.

Kiedy trzy lata temu Sobczak przegrał wybory, przestał być merem Petersburga i – podejrzewany o machinacje mieszkaniowe – wyjechał z Rosji do Francji, a Putin przeszedł na Kreml. Tu

zrobił błyskawiczną karierę. Zaczął od stanowiska zastępcy szefa kancelarii, rok później kierował już wydziałem kontroli, awansował na pierwszego zastępcę całej prezydenckiej administracji. Przed rokiem został dyrektorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Od marca sekretarzuje też prezydenckiej Radzie Bezpieczeństwa.

Dlatego też Putina, kontrolującego wszystkie służby i resorty siłowe, nazywają „supersiłowikiem”. Komuniści uważają go za człowieka kremlowskiej „rodziny” i silnymi związkami z córką Jelcyna Tatianą Diaczenko oraz żoną Nainą tłumaczą jego awans. – Kreml wybrał Putina, bo on daje najbliższym prezydenta gwarancje bezpieczeństwa dziś i na długo. On służy im wiernie – zapewniał mnie Stanisław Tierchow z lewicowego Związku Oficerów.

2022

JAK STALIN I HITLER

Prezydent Rosji za powód ataku na Ukrainę uznał konieczność przeciwdziałania mitycznemu „ludobójstwu” w Donbasie. Celem inwazji zaś jest „demilitaryzacja i denazyfikacja Ukrainy”. Podobnie Józef Stalin i jego ludzie 17 września 1939 roku tłumaczyli konieczność przeprowadzenia „wyzwolicielskiej” operacji przeciw Rzeczypospolitej Polskiej.

To, że Władimir Putin idzie śladem Stalina, jest zrozumiałe. Przecież jest jego dziedzicem. Jednak jeszcze lepszym wzorem dla jego postępowania wydaje się Adolf Hitler, który w Rosji jest niby ucieleśnieniem najwyższego zła. Od lat można obserwować, jak Hitler stał się mistrzem dla Putina, który przeprowadził w 2014 roku Anschluss Krymu, próbował narzucić światu nowy traktat monachijski i zmusić Zachód, by pokornie oddał mu to, co kiedyś było radzieckie. Kiedy to się nie udało, za pomocą potężnej prowokacji w Donbasie, z którego ludność spod ostrzału nie Ukraińców, ale prorosyjskich separatystów ucieka do Rosji, dał sobie pretekst do ataku.

Putin szykował wojnę od lat. Gromadził miliardy w tzw. funduszu dobrobytu narodowego. Zazdrośnie strzeże tej skarbonki przed klepiącymi biedę emerytami czy nauczycielami 6,5 tysiąca szkół, których uczniowie chodzą do toalety na podwórku. Całe regiony pod rządami Putina degradują się i wyludniają.

Tymczasem skarbiec państwa jest przepelniony. Po co? Dziś widać, że po to, by Rosja miała za co przetrwać wojnę.

Putin – podobnie jak Hitler – wkładał, co tylko mógł, w zbrojenia. Teraz wierzy, że może, jak to zrobił dziś, warknąć na Zachód, by nie próbował pomagać atakowanej Ukrainie, bo wtedy sam stanie w obliczu „takich konsekwencji, z jakimi w swojej historii nigdy się nie spotkał”.

Przywódca Rosji z jego imperialnym szaleństwem, pogardą dla życia ludzkiego to Hitler naszych czasów.

WSTEP

Z CZEGO ULEPIONY JEST PUTIN?

Dzisiejszego władcę Rosji ukształtowały chuligańskie ulice Leningradu i kluby sportów walki, gdzie razem z nim rośli przyszli żołnierze i ojcowie chrzestni miejskich mafii, a potem służba w organach bezpieczeństwa. W tych niby dalekich od siebie światach panował ten sam kult brutalnej siły i pogarda dla słabych.

Władimirowi Putinowi, co rzuca się w oczy, brakuje empatii. Kiedy musi kogoś przytulić, pocieszyć, zawsze wychodzi mu to sztucznie, niezręcznie. Nawet wiolonczelista Siergiej Rołodugin, przyjaciel prezydenta Rosji, w wywiadach, które publikowano ponad dwadzieścia lat temu (dziś trudno dostępnych, oficjalnie niewspominanych), przyznawał, że Putin „w ogóle nie potrafi okazywać prawdziwych emocji”.

Władimir Władimirowicz rósł na arystokratycznych pokojach czy raczej – w jednym pokoju. Dom przy leningradzkim Baskowym Zaułku 12 był przecież kiedyś rezydencją baronowej Luizy von Taube i do dziś widnieje na nim herb rodu baronów wielce zasłużonego dla budowy rosyjskich kolei żelaznych. Został zresztą odnowiony i słynie jako „dom Putina”.

Tam właśnie, oczywiście nie w paradnej części, od ulicy, ale w oficynie Władimir Spirydonowicz Putin i jego żona Maria, rodzice obecnego władcy Rosji, dostali przydział na dwudziestometrowy pokój na piątym piętrze: bez windy,

cieplej wody, ogrzewany piecem kaflowym. To część dawnego wielkiego mieszkania zmienionego w wielorodzinną „komunałkę”: zatłoczoną, wiecznie wstrząsaną awanturami o wspólną kuchnię, toaletę, nieporządek. Zero przytulności, zero intymności, dużo zaciętych kłótni.

Putinowie jeszcze przed wojną mieli dwóch synów. Pierworodny, Albert, umarł zaraz po urodzeniu. Kolejny syn, Wiktor, był jedną z półtora miliona ofiar głodu i chorób w oblężonym przez hitlerowców Leningradzie. Pochowano go w jednej ze zbiorowych mogił na ogromnym cmentarzu Piskarowskim.

Władimir, już jako prezydent, w wywiadach kilka razy z żalem przypominał, że nawet nie wie, gdzie leży jego brat. Aż do momentu, kiedy wiosną 2012 roku napomknął o tym w czasie uroczystości rocznicowych na Piskarowskim. Administracja cmentarza natychmiast, od ręki, przekazała mu dokument dokładnie wskazujący miejsce, gdzie siedemdziesiąt lat wcześniej został pogrzebany dwuletni Wiktor Władimirowicz Putin.

Rzecz okazała się prosta. Tylko że ani rodzice, którzy dożyli końca lat dziewięćdziesiątych minionego wieku, ani brat, który zdążył już być wicemerem Sankt Petersburga, dygnitarzem kremlowskim, dyrektorem Federalnej Służby Bezpieczeństwa, premierem i prezydentem, nawet nie próbowali znaleźć mogiły Wiktora. I samemu Putinowi, i jego rodzicom było to najwyraźniej obojętne.

Ludmiła, wtedy jeszcze żona Putina, opowiedziała w 2001 roku Olegowi Błockiemu, przyjacielowi domu i biografowi męża, taką historię zamieszczoną w praktycznie zakazanej dziś książce *Władimir Putin: historia życia*: – Wyobraź sobie, jestem

w siódmym miesiącu ciąży. W jednej ręce Masza [starsza córka, wtedy roczna], w drugiej torba z zakupami. I po schodach na piąte piętro [to działo się już w Dreźnie, gdzie Putin służył w delegaturze KGB]. Na klatkę schodową wychodzi sąsiad z żoną. Robi wielkie oczy. Wzdycha: „Luda, jak tak można”. A ja tak codziennie trzy razy po tych schodach z dzieckiem, z torbą. Wiem, że sąsiad próbował rozmawiać z Wołodią, że trzeba pomagać ciężarnej żonie. Ale to groch o ścianę.

Swojej przyjaciółce Irene Pletsch (Niemka przypomniała to w swojej książce *Pikantna przyjaźń*, która dziś w Rosji jest wycofana ze sprzedaży) Ludmiła opisywała czas narzeczeństwa z „Wowoj”, kiedy to kandydat na męża nie tyle się zalecał, ile stale poddawał ją próbom. Zawsze spóźniał się na spotkania nie kwadrans czy dwa, lecz z reguły solidne półtorej godziny. I dopiero wtedy zjawiał się, nie wiadomo skąd. Wcześniej pewnie z ukrycia obserwował swoją dziewczynę, kiedy jak ta głupia sterczała na przykład na peronie metra.

Innym, obok „komunałek”, paskudnym radzieckim wynalazkiem, który kaleczył dzieci, była „piatidniewka”.

Państwo chętnie pomagało wiecznie zapracowanym „budowniczym komunizmu”, przyjmując – za symboliczną opłatę – ich dzieci do przedszkoli na „piat’ dniej” (pięć dni) – od rana w poniedziałek do wieczora w piątek.

Władimir Spirydonowicz Putin do „budowniczych” należał. Zatrudnił się po wojnie jako majster w leningradzkiej fabryce wagonów. Jednak raczej nie po to, by stać przy warsztacie. Ciężko ranny na froncie był przecież inwalidą. W fabryce bardziej czuwał nad prawomyślnością załogi. Dlatego też Putinowie jako jedyni w swoim domu mieli telefon.

Putin senior w dziś obowiązujących oficjalnie biografiach prezydenta jest przedstawiany jako frontowy „żołnierz Robotniczo-Chłopskiej Armii Czerwonej”. Ale sam jego syn w obszernym wywiadzie z 2000 roku *Z pierwszych ust* (rzecz też dziś wycofana z obiegu i zdjęta z internetowej strony Kremla) przyznał, że ojciec służył w formacjach NKWD. A „byłych czekistów”, jak powtarza sam Putin, „nie ma”, bo oni na zawsze pozostają czekistami.

Maria Putinowa też była wciąż zajęta. Pracowała jako sprzątaczką, kucharką, nocna dozorczyńca.

Ich syn, jak bardzo wielu rówieśników, stał się dzieckiem w „pięciodniowej przechowalni”, takim pólsierocińcu. Władimirowi, kiedy poszedł do szkoły, rodzice mogli kupić zegarek (tylko on w całej klasie miał ten luksusowy wtedy przedmiot), ale ciepłem rodzinnych uczuć wysyłanego na „piatidniewki” jedynaka ogrzewali nie bardzo.

W wydanych ponad dwadzieścia lat temu wywiadach, o których dziś w Moskwie wolą zapomnieć, Putin wyznawał, a nawet się chwalił, że jako nastolatka wychowywała go „szpana”, podwórkowa chuliganeria. A to było środowisko jedyne w swoim rodzaju.

Wiosną 1953 roku, zaraz po śmierci Józefa Stalina, pretendujący na jego tron krwawy szef bezpieczeństwa Ławrientij Beria zarządził wielką amnestię. Z łagrów do miast popłynęła rzeka ponad 1,2 miliona więźniów kryminalnych. „Politycznych” – skazanych z 58 artykułu kodeksu karnego (działalność antysowiecka) – wtedy nie wypuszczali.

Masa zdanych na siebie, błakających się po ZSRR łagierników najpierw urządziła krajowi „zimne lato 1953 roku”. Bo to, co się

wtedy działało, wywołuje dreszcze grozy. Przez Związek Radziecki przelała się fala morderstw, gwałtów, rabunków.

Ale to był tylko doraźny i krótkotrwały skutek bezprecedensowej amnestii. Jej wpływ na życie kraju, światopogląd, moralność obywateli okazał się znacznie mocniejszy i długotrwały.

Zaniedbywanych przez rodziców podwórkowych łobuzów życia uczyli przez kolejne lata właśnie bywalcy łagrów. Oni przynosili łagier do życia społecznego. Przekazywali wsłuchującym się w ich opowieści chłopakom swój język, którym do dziś posługuje się i uznaje za swój ogromna część Rosjan. To „błatni” uczyli synów „budowniczych komunizmu” na podwórkach Moskwy, Leningradu i innych miast o „pojęciach” – okrutnych zasadach postępowania, jakie regulowały życie w brutalnym świecie gułagu.

Więzienne normy gloryfikują macho, który „nie wierzy, nie boi się, nie prosi”. Odpowiada za swoje słowa i postępowanie. Nie wybacza krzywd i kiedy tylko ma możliwość, bez wahania wymierza karę temu, kto go obraził, wyrządził mu krzywdę. Za najcięższe przewinienie uważa zdradę, a karą za nią musi być śmierć albo gwałt homoseksualny zrzucający winowajcę na samo dno społecznej hierarchii świata przestępczego.

Prawidłowy „pacan” (chłopak, ziomal) gardzi frajerem, „terpiłą” (od terpit’ – znosić cierpliwie), czyli takim, który daje się obrażać, przemilcza krzywdy. Ze strachu, słabości, może zbyt dobrego wychowania ustępuje przed przemocą.

„Pacan”, jak nauczali na podwórkach Leningradu, dba o wspólne dobro grupy. Z tego, co zwędził i odebrał „terpile”, sumiennie odprowadza dolę, zasilając „obszczak”, czyli wspólną kasę bandy.

Jeszcze w pierwszych latach rządów Putina (wtedy było wolno) publicyści – i to niekoniecznie mu wrody – od razu zauważyli, że porządki, jakie zaprowadzał, można zręcznie przedstawić językiem obowiązujących w świecie kryminalnym „pojęć”.

Tak dało się wytłumaczyć choćby bezsensowne z punktu widzenia interesów Rosji zamordowanie w 2006 roku Aleksandra Litwinienki, zbiegłego z kraju pułkownika Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Operacja agentów specjalnych, wysłanych do Wielkiej Brytanii ze śmiertelnie radioaktywnym polonem, była aktem zemsty, a Rosji nie dawała nic poza niechlubnym zaliczeniem jej do państw terrorystycznych gotowych użyć broni masowego rażenia.

Ale znakomicie tłumaczyło jej sens „błatne” przykazanie nakładające na każdego człowieka bandy obowiązek zemsty na zdrajcy. Nie na darmo na Kremlu powtarzają za swoimi dawnymi podwórkowymi nauczycielami, że „kto nas skrzywdził, trzech dni nie przeżyje”. A im straszniejsza będzie śmierć winowajcy, tym lepszy będzie jej efekt pedagogiczny.

Mechanizm władzy – zaprowadzony przy Putinie sposób ustalania poczynań państwa w nieformalnym, tajemniczym kręgu najbardziej zaufanych kumpli przywódcy z dawnych lat – też wygląda jak „schodka”. Czyli spotkanie szefów bandy układających plany działania, zbierających się w niedziele w rezydencji Nowo-Ogariowo.

A jest też, zwany w Moskwie „basenem”, ogromny, liczony w miliardach dolarów tajny fundusz, do którego wpłacają pieniądze ci, którym władza pozwoliła kraść. Wiemy o tym po ujawnieniu w 2016 roku przez Panama Papers, międzynarodowe śledztwo dziennikarskie opisujące klientów światowych rajów podatkowych.

To jest ten sam bandycki „obszczak”, tylko na skalę państwową. Z niego biorą się krocie na „pałac Putina” w Gelendżyku nad Morzem Czarnym, prywatne konta prezydenta, warte setki milionów dolarów jachty jego kumpli, ale i fundusze na tajne operacje specjalne – militarne czy propagandowe – za granicą, kupowanie stronników na Zachodzie.

Sam Putin trzyma się w prywatnym życiu niektórych zasad przypisanych prawdziwym „pacanom”. Od ćwierć wieku ani razu nie nocował tam, gdzie jest oficjalnie zameldowany, czyli w domu nr 6 przy moskiewskiej ulicy Akademika Zielińskiego. Zachował ten meldunek, choć od końca lat dziewięćdziesiątych mieszka w podmoskiewskim Nowo-Ogariowie albo w kolejnych oddanych mu – mniej lub bardziej zakonspirowanych – państwowych rezydencjach.

Gdy w 2013 roku – po trzydziestu latach małżeństwa – ogłosił, że Ludmiła „kończy wachtę przy mnie”, nie jest z nikim związany oficjalnie. A takiej właśnie formalnej samotności wymaga od przywódców świata przestępczego „błatny” kodeks.

A i w polityce stosuje mądrości zaczerpnięte z podwórka przy Baskowym Zaułku. Na przykład agresywne akcje militarne czy ataki na konkurentów w kraju tłumaczy tym, że jeszcze jako dziecko został nauczony, iż „kiedy bójki uniknąć już się nie da, trzeba uderzyć jako pierwszy”. Zgodnie z tą zasadą uderzał w Czeczenów i Gruzinów, a od 2015 roku włączył się do wojny domowej w Syrii po stronie reżimu Baszara al-Asada, nie cofając się przed zbrodniami wojennymi. Uprzedzającymi atakami likwidował niezależne telewizje, odważnych dziennikarzy, opozycyjnych polityków...

– Nasze miejskie podwórka, gdzie autorytetami byli więźniowie masowo zwolnieni z łagrów na mocy „amnestii

Berii”, miały ogromny wpływ na całe pokolenie, przede wszystkim chłopców urodzonych w latach pięćdziesiątych – oceniał Arsenij Rogiński, szef stowarzyszenia Memoriał. I wyjaśniał: – To bardzo wpłynęło na kulturowe życie kraju, zmieniło wiele nawyków, także modę i język. W łagrach było swoje życie, zwyczaje, kultura, którą amnestionowani ponieśli w masę. A jeśli wziąć pod uwagę to, że ich upór i bezczelna śmiałość często nie miały granic, styl życia zgodny z kryminalnymi „pojęciami” rozpowszechnił się bardzo szeroko.

Echo „zimnego lata 1953” nie zamilkło w Rosji do dziś. Niezmiennie popularny w narodzie jest choćby „szanson”, szlagiery opiewające życie „błatnych”.

Ogromny wpływ na życie szkół, szczególnie na syberyjskiej prowincji, ma zaś „społeczność AUJe” (Wspólny Układ Aresztancki). Oficjalnie mówi się o tym niewiele. Władze rzekomo nie potrafią nawet rozszyfrować tego skrótu-hasła, pod którym nieformalne grupy uczniów, związane z podziemiem kryminalnym, zaprowadzają w szkołach porządku oparte na „pojęciach”.

Dzieci są zmuszane do regularnego wpłacania pieniędzy „na grzanie zony”, czyli wsparcie kryminalistów siedzących w aresztach i łagrach. Kto nie chce wnosić doli do „obszczaka”, jest zgodnie z więziennymi regułami „opuszczany”, czyli przenoszony do najniższej kasty pariasów poniewieranych przez kolegów.

Co zaskakuje, do szkół zapraszani są na „lekcje życia” prawdziwi doświadczeni kryminaliści, którzy tłumaczą chłopcom, że „piderów” (homoseksualistów) trzeba gnać, a tych, co nie godzą się z „pojęciami”, bić.

Ta dziwna działalność pedagogiczna ma w Rosji putinowskiej walor państwowotwórczy. Dzieciak po „lekcjach życia” przeprowadzonych przez „błatnych” łatwiej zachwyci się bohaterstwem stawianych mu za wzór najemników Grupy Wagnera werbowanych w aresztach i łagrach przez miliardera i „ulubionego kucharza Putina” Jewgienija Prigożyna.

Dla polityka rządzącego krajem takim jak dzisiejsza Rosja doświadczenie wyniesione z bandycko-chuligańskiego podwórka stanowi cenny kapitał. Umiejętność nieprzymuszonego wplatania w oficjalne wystąpienia „błatnych” słówek, w czym Putin jest mistrzem, przywołania „zasad”, takich jak „bić pierwszy” czy „kto nas skrzywdził, trzech dni nie przeżyje”, zbliża go nie tylko do rówieśników, ale i młodzieży spod znaku AUJe.

Umiejętność wplatania w drętwą oficjalną mowę-trawę słów i obrazów czerpanych z używanego przez naród na co dzień żargonu unaocznia ludowi, że przywódca jest swój, ulepiony z tej samej sowiecko-kryminalnej gliny.

Kiedy pan Kremla nakłania swych miliarderów oligarchów do lojalności i straszy, że inaczej to „udławicie się, łykając kurz”, rodakom automatycznie staje przed oczami znany z podwórkowych opowiadań obraz superbogaczy, którzy w tumanach kurzu próbują w łagrze uciec przed ścigającym ich i łaknącym zemsty tłumem współwięźniów.

A to, co Putin wyniósł ze szkoły i potem ze służby w KGB, genialnie ujął przywódca demokratycznej partii Jabłoko Grigorij Jawliński. Bo owo wiano składa się na dwie tylko znakomicie opanowane i na przemian stosowane metody postępowania: werbowanie i prowokacja.

I to od udanej politycznej prowokacji zaczęła się największa kariera polityczna w dzisiejszej Rosji.

Prezydent Borys Jelcyn, rozpoczynając u schyłku swego panowania „operację następcę”, czyli instalowanie na tronie korzystnego dla niego samego i kremlowskiej świty człowieka, miał przeciw sobie groźną, i to opartą na mocnej instytucji, opozycję.

Na plany Jelcyna nie zgadzała się większość tworzących Radę Federacji, izbę wyższą parlamentu, a więc chronionych immunitetem gubernatorów. Regionalni baronowie mieli sporo pewności siebie i władzy. Taka była istota ówczesnego federacyjnego ustroju kraju.

Korpus gubernatorski orientował się w tym czasie na mera Moskwy Jurija Łużkowa i wspieranego przez niego niemal „pewnego” kandydata na prezydenta Jewgienija Primakowa, w tym momencie już skonfliktowanego z Kremlem.

Kluczową postacią w obozie antykremlowskim okazał się wtedy prokurator generalny Jurij Skuratow. Będąc pewnym wsparcia gubernatorów, bez których nie można go było zdymisjonować, wszczął śledztwo przeciwko kilku prominentom kancelarii Jelcyna. A byli podejrzewani o przyjmowanie wielomilionowych – w dolarach – łapówek od zagranicznych wykonawców ogromnie kosztownego remontu Kremla.

18 marca 1999 roku w nocnym programie informacyjnym na federalnym kanale RTR (dziś Rossija 1) widzowie obejrzeni nagraną ukrytą kamerą scenę łóżkową, w której brali udział „człowiek podobny do prokuratora generalnego”, a każący mówić do siebie „Jura”, i dwie prostytutki.

Seans, jak wyjaśniono, miał być łapówką seksualną podsuniętą prokuratorowi przez gangsterów za jakieś cenne przysługi. Intryga jednak początkowo chybiła. Pornolik podrzucony przez nie

wiadomo kogo na główny kanał surowej moralnie telewizji kremlowskiej śmierział marną prowokacją.

W obronie złej sprawy musieli stanąć publicznie sami reżyserzy intrygi. W telewizji wystąpili więc dyrektor FSB Władimir Putin (to jego Skuratow uważał za autora prowokacji) i szef MSW Siergiej Stiepaszyn, też wywodzący się ze służb.

Ten drugi nie zdał egzaminu przed kamerami. Widać było, że bardzo nie pasuje mu rola, w której go obsadzono. Bełkotał i wyraźnie było mu wstyd, że bierze udział w tej dintojrze.

Za to Putin, który kierował służbami od zaledwie ośmiu miesięcy, ale wciąż nie był postacią publicznie rozpoznawalną, od razu zabłysnął. Z przekonującym świętym oburzeniem i pewny swych racji przypominał o moralnych obowiązkach człowieka na służbie państwowej i o elementarnej uczciwości.

Sprawdził się. Cyniczna rola, jaką odegrał w rozprawie ze Skuratowem, otworzyła mu drogę na szczyt.

Motyw seksualny używany do kompromitacji przeciwników jest zresztą w epoce Putina stałym, można powiedzieć, elementem prowokacji politycznej.

Kiedy w 2000 roku zdymisjonowany już Skuratow postanowił stanąć przeciw Putinowi do wyborów prezydenckich, „poparcie” okazały mu moskiewskie prostytutki, wychodząc na ulice z transparentami: „Jura, nasz kandydat”. Obrazki z tych manifestacji trafiały oczywiście niezwłocznie na ekrany telewizorów.

Kobiety – jak zwykł je nazywać Putin – „o obniżonej odpowiedzialności społecznej”, ubrane w lateksową odzież, usiłowały też nachodzić biuro opozycjonisty Aleksieja Nawalnego, by i jemu „okazać poparcie”.

A kiedy Michaił Kasjanow stał się ważną figurą w obozie opozycji, federalny kanał telewizyjny NTW „nie wiadomo skąd” wytrzasnął i wyemitował nagranie, na którym „człowiek podobny do” byłego premiera obcuje w łóżku z „kobietą podobną do” jego znanej towarzyszką partyjnej.

Udaną operację przeprowadziła młoda agentka znana pod pseudonimem „Katia Mumu”, która przed ukrytymi kamerami uprawiała seks z kolejnymi znanymi opozycjonistami. Wystąpiła więc w roli, jaką na kursach prowokacji KGB, które ukończył swego czasu dzisiejszy władca Rosji, nazywają „miodową pułapką”.

A Putin swe miejsce na szczycie zawdzięcza temu, że jedyną nadzieją Borysa Jelcyna na bezpieczną starość – swoją i najbliższych – były służby.

„Starszy pan” postawił na nie wcale nie 9 sierpnia 1999 roku, kiedy ogłosił, że jego dziedzicem ma być oficer KGB z Leningradu. On dosyć gorączkowo zaczął szukać „następcy” znacznie wcześniej, kiedy okazało się, że demokraci, którymi się otaczał, są zbyt słabi, zbyt nielubiani przez naród i nie dadzą rady.

Pierwszym „następcą w pagonach” był szef służby pogranicznej generał Andriej Nikołajew, syn dawnego przyjaciela Jelcyna. Potem generał pułkownik Nikołaj Bordiuża, uczyniony szefem Administracji Prezydenta i sekretarzem Rady Bezpieczeństwa (tę funkcję przejął po nim Putin). Następnym okazał się Jewgienij Primakow, nie tylko dyplomata, ale też swego czasu szef wywiadu ZSRR i potem Rosji. Po nim nastąpił Siergiej Stiepaszyn, swego czasu dyrektor FSB.

Za każdym z nich, jak liczył Jelcyn, stanąć powinien klan agentów, jedyna „zdrowa” i zorganizowana siła zdolna nie

pozwolić przepaść jemu i jego szeroko rozumianej kremlowskiej „rodzinie”

Wiktor Czerkiesow, generał służb, przyjaciel Putina, napisał, że Rosja po upadku ZSRR leciała w przepaść, ale się nie roztrzaskała, bo „zawisła nad otchłanią na haku czekistowskim”. Bo tylko szlachetni, patriotyczni „rycerze płaszcza i kindżału” ocalili ją przed katastrofą.

Jelcyn nie od razu znalazł właściwy „hak czekistowski”. Przebierał i odrzucał kandydatów. Postawił na Putina, bo ten okazał się sprawnym wykonawcą i człowiekiem bez własnych poglądów.

Tak się złożyło, że Gleb Pawłowski, długo uważany za szarą eminencję Kremla, ostatni wieczór swej piętnastoletniej kariery na szczytach władzy spędził w moim moskiewskim mieszkaniu, gdzie akurat był Adam Michnik.

Nastrój był jedyny w swoim rodzaju. Śmierć urzędnicza jest w Moskwie brutalna. Równo o północy z drzwi gabinetu na Kremlu znika tabliczka z nazwiskiem, milkną na zawsze wszystkie służbowe telefony. Kierowca czekającego pod domem służbowego lexusa ma obowiązek o zerowej odjechać do rządowego garażu. Jak sobie w środku nocy poradzi „były”, już go nie obchodzi.

Wtedy dużo się mówiło o ideologii Putina, który zaczął się stroić w togę konserwatysty, strażnika „wartości tradycyjnych” już nie tylko w swoim kraju, ale kreował się na globalnego lidera sił antyliberalnych i zachowawczych. Ogromny wpływ na niego miał mieć filozof Aleksandr Dugin i grono prawosławnych stalinowców z Klubu Izborskiego. W swoich wystąpieniach często powoływał się na faszystowskiego filozofa Iwana Iljina czy religijnego myśliciela Nikołaja Bierdiajewa.

– Nie, żadnej ideologii tam nie ma. Putin przyszedł bez niej. I to właśnie dzięki temu był i wolnorynkowym reformatorem, niemal liberałem, i wrogiem liberalnych swobód, widział Rosję częścią zachodniego świata i występował jako wróg Zachodu, oburzały go czasem zbrodnie stalinowskie i zachwycała wielkość imperium stalinowskiego... Tego nie dałoby się pokleić jakimś zwartym, logicznym systemem przekonań, szkołą myślenia – tłumaczył nam człowiek, który przez lata kształtował politykę Kremla.

Aleksiej Czadajew, który pod patronatem właśnie Pawłowskiego napisał książkę *Putin. Jego ideologia*, wskazywał w niej raczej na to, czego przywódca Rosji nie przyjmuje. A, jak udowadniał, Putin odrzuca i uznaje za fałszywe przyjęte przez Zachód zasady demokracji, opowieści o prawach człowieka.

Jeszcze większe prawo wypowiedzania się o tym, czym się kieruje pan Kremla, ma bez wątpienia Władisław Surkow, który przez ćwierć wieku służył w Administracji Prezydenta i rządzie dorobił się rangi rzeczywistego radcy stanu pierwszej klasy (odpowiednik generała armii). A on nie owija w bawełnę.

W programowych tekstach, jakim w Moskwie nadają wysoką rangę „manifestów”, unaoczniał, że odziedziczone przez Putina po Jelcynie demokratyczne dekoracje w rodzaju parlamentu, partii politycznych, systemu sądowego, niezależnych mediów to tylko maskarada dla zmylenia publiczności międzynarodowej. W rzeczywistości państwo putinowskie bezwstydnie wystawia na pokaz i chlubi się tym, co inni starają się ukryć – aparat bezlitosnej przemocy, swą brutalną siłę.

A tuż przed agresją na Ukrainę z 24 lutego 2022 roku ten sam Surkow wprost wyłożył, do czego zmierza państwo Putina. Ono, jak zapewnił, „dusi się” w tych samych granicach, które

wyznaczył mu zdradziecki, „hańbiący” pokój brzeski zawarty przez bolszewików w 1918 roku. Misją Rosji jest teraz odzyskanie siłą wszystkiego tego, co wcześniej do niej należało, a więc nie tylko Ukrainy, bo i Białorusi, krajów bałtyckich, Zakaukazia, kraju nadwiślańskiego...

Prawo do tego daje Moskwie, jak wtóruje Surkowowi Siergiej Karaganow, jeden z najważniejszych politologów rosyjskich, poczucie mocy militarnej, której ona – w przeciwieństwie do „terpił” na Zachodzie – nie waha się używać, co zuchwale pokazała w Czeczenii, Gruzji, Syrii, na Krymie.

„Czekiści” – czy w ogóle klasa „siłowików”, której Jelcyn oddał Rosję – nie okazali się, jak głosi generał armii i sekretarz Rady Bezpieczeństwa Nikołaj Patruszew, „nową szlachtą” czy wiernym surowym normom moralnym zakonem rycerskim stojącym na straży sprawiedliwości, fundamentem państwa.

Oni jeszcze w określanych jako „szalone” latach dziewięćdziesiątych szybko zrosli się ze światem „błatnych”, który wcale nie był dla nich antypodami. Zbliżał ich kult bezkarnej siły, poczucie wyższości nad „terpiłami”, którymi się karmili.

Dla „czekisty” bazą pokarmową był choćby wystraszony inteligent, któremu za posiadanie faksu można było przypisać próbę obalenia ustroju (tego dotyczyło jedno z ostatnich dochodzeń prowadzonych przez generała Czerkiesowa – tego od „haka czekistowskiego”). Z niego dało się wycisnąć awans, podwyżkę, nagrodę.

„Błatny” żywił się wystraszonym sklepikarzem, którego uczył, że „trzeba się dzielić”, i wyciskał z niego rekiet.

Kiedy oba te światy się sklejały, Putin był wicemerem Sankt Petersburga, który wielce sprawiedliwie zasłużył wtedy na miano „kryminalnej stolicy Rosji”. Jego szef Anatolij Sobczak, mer miasta

i gwiazda liberalnego wtedy politycznego firmamentu, znakomity orator, czarował publiczność w kraju i za granicą przemówieniami dającymi nadzieję na świetlaną przyszłość demokracji rosyjskiej. A na gospodarstwie zostawiał przydzielonego mu podpułkownika KGB – nie byłego, bo przecież „byłych” nie ma.

A ten prowadził sprawy z rządzącymi miastem „bratkami”. Z „wysportowanymi” facetami, z którymi trenował w młodości dzudo, sambo i inne sztuki walki, bez trudu odnajdował wspólny język. I interesy prowadził z nimi ciemne.

Do dziś jest wdzięczny i trzyma przy sobie Dmitrija Miedwiediewa, który dzięki niesamowitej biegłości w prawie obronił go przed odpowiedzialnością za aferę „okręty za żywność”. Chodziło o kombinację, w wyniku której w zamian za sprzedane za granicę na złom stare jednostki marynarki wojennej Sankt Petersburg miał otrzymać żywność. Okręty odpłynęły, żywność nie przyплыnęła, a za transakcją stał Putin.

– Rozprzestrzeniona w latach dziewięćdziesiątych kultura przemocy, szkoła życia Władimira Putina i jego najbliższego otoczenia, zaczęła dominować w całej elicie rosyjskiej – twierdzi socjolożka Swietłana Stiwenson. – Alians mafiosów i „siłowików” po tym, jak stali się oni nową elitą, nie tylko hamował, ale po prostu sprzeciwiał się pokojowemu rozwojowi.

Tak ukształtowane elity, kiedy obsadziły pozycje na szczytach władzy, brutalnie rozprawiły się z tymi, którzy mogli stawiać im opór wewnątrz kraju. Ci ludzie uznali, że teraz potulnymi „terpiłami” staną się dla nich sąsiedzi Rosji i wylękniony Zachód.

CZEŚĆ 1. POMARAŃCZOWA NAUCZKA

KROK PO KROKU

- Władimir Putin zostaje premierem w 1999 roku, a 31 grudnia 1999 roku – po dymisji Borysa Jelcyna – zostaje p.o. prezydenta. W 2000 roku wygrywa wybory głowy państwa, a w 2004 roku – reelekcję.
- Jesienią 1999 roku wybucha druga wojna czeczeńska, kładąc kres faktycznej niezależności Czeczenii ustanowionej rozejmem w Chasawjurcie w 1997 roku. Oficjalnym powodem wkroczenia Rosjan do republiki rządzonej przez Asłana Maschadowa jest napad czeczeńskiego komanda pod wodzą Szamila Basajewa na Dagestan oraz zamachy na bloki mieszkalne w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku, w których zginęło ponad 300 osób. Do dziś nie jest jasne, czy za zamachami nie stała Federalna Służba Bezpieczeństwa (FSB), by dać Putinowi pretekst do rozpętania walk i wzmocnienia własnej pozycji.
- W sierpniu 2000 roku podczas ćwiczeń na Morzu Barentsa tonie okręt podwodny „Kursk”, prawdopodobnie po wybuchu własnej torpedy, ze 118 marynarzami na pokładzie. Jak się potem okazało, co najmniej 23 członków załogi przeżyło, ale nie doczekało się pomocy, bo Putin długo zwlekał ze zgodą na wsparcie od Brytyjczyków i Norwegów.
- W październiku 2002 roku czeczeńscy terroryści zajmują teatr na moskiewskiej Dubrowce, biorąc ponad 800 zakładników. Podczas szturmów siły bezpieczeństwa użyły gazu usypiającego,

co spowodowało śmierć ponad 130 osób, którym nie podano odpowiedniego antidotum (zginęli też wszyscy zamachowcy).

- We wrześniu 2004 roku komando terrorystów zajmuje szkołę w Biesłanie obok Władykaukazu, domagając się wycofania rosyjskich wojsk z Czeczenii. Podczas szturmów sił bezpieczeństwa z użyciem czołgów zginęły co najmniej 334 osoby, w tym 186 dzieci, oraz wszyscy, poza jednym, zamachowcy.
- W listopadzie 2004 roku Wiktor Janukowycz, otwarcie wspierany przez Putina, dzięki gigantycznym fałszerstwom wygrywa wybory prezydenckie w Ukrainie. Wybuchają masowe protesty zwolenników proeuropejskiego Wiktora Juszczenki, nazwane pomarańczową rewolucją, doprowadzając do powtórki głosowania i zwycięstwa kandydata opozycji.
- 7 października 2006 roku, w dniu urodzin Putina, zamachowiec zabija w Moskwie znenawidzoną przez Kreml dziennikarkę „Nowej Gazety” Annę Politkowską, która pisała o zbrodniach rosyjskiej armii w Czeczenii.
- W listopadzie 2006 roku rosyjscy agenci trują śmiertelnie polonem w Londynie byłego oficera FSB Aleksandra Litwinienkę. Publicznie twierdził on, że za zamachami na domy mieszkalne w 1999 roku stał Putin i służby specjalne.

17.08.1999, wtorek

DUMA PRZEGŁOSOWAŁA NOWEGO PREMIERA

Władimir Putin został siódmym premierem w historii jelicynowskiej Rosji. Duma już w pierwszym głosowaniu zaakceptowała jego kandydaturę.

Przed tygodniem prezydent Borys Jelcyn wyrzucił ze stanowiska premiera Siergieja Stiepaszyna, zaledwie po 82 dniach urzędowania, i wysunął kandydaturę Putina, szefa Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Ogłosił go jednocześnie swoim następcą, który miałby wygrać przyszłoroczne wybory prezydenckie.

To postawiło rosyjskich komunistów Giennadija Ziuganowa, bez głosów których Duma nie byłaby w stanie przegłosować tej kandydatury, w niezręcznej sytuacji. Z jednej strony, na zaledwie cztery miesiące przed nowymi wyborami parlamentarnymi za nic nie chcą oni prowokować Kremla do rozwiązania izby (stałoby się tak, gdyby deputowani trzykrotnie odrzucili kandydata na szefa rządu), z drugiej – głosując na Putina, popierali człowieka, który ma być w przyszłości kontynuatorem „antynarodowego reżimu Jelcyna”.

Putin pomógł komunistom w decyzji, oświadczając w Dumie, że jeszcze nie zdecydował, czy w przyszłym roku stanie do wyborów głowy państwa. W efekcie część deputowanych

Ziuganowa głosowała na niego. Putin został nowym premierem 233 głosami, a minimalna wymagana większość wynosiła w tym wypadku 226 głosów.

Po głosowaniu Putin wystąpił przed deputowanymi. Obiecał, że będzie kontynuował politykę swych poprzedników i rozpoczęte przez nich reformy. Otrzymał już zgodę prezydenta na to, by w jego gabinecie pozostała większość tych ministrów, którzy zasiadali w rządzie Siergieja Stiepaszyna. Nowy rząd według zapowiedzi Putina spróbuje obniżyć ciężary podatkowe, a do końca roku podnieść emerytury o 31 procent.

Putin przyrzekł też deputowanym, że Rosja zdecydowanie i przy użyciu wszelkich dostępnych środków będzie bronić praw Rosjan mieszkających za granicą. – Wszyscy muszą zrozumieć, że prześladowanie Rosjan nie jest ani mądre, ani nie przynosi korzyści – zapowiedział nowy premier, dodając, że jego rząd nie pozwoli na „ignorowanie interesów Rosji” tak w jej najbliższym sąsiedztwie, jak i w bardziej odległych regionach świata.

– Będziemy bardzo aktywnie uczestniczyć w operacjach pokojowych oraz w działaniach ważnych regionalnych i międzynarodowych organizacji – mówił Putin.

3.01.2000, poniedziałek

BORYS I, PORADZIECKI

31 grudnia 1999 roku w orędziu do narodu Borys Jelcyn oznajmił:
– Podjąłem decyzję. Rozmyślałem długo i z udręką. I dziś, w ostatnim dniu odchodzącego stulecia, podaję się do dymisji.

Jelcyn o pół roku skrócił swoją kadencję i zgodnie z konstytucją przekazał władzę premierowi Władimirowi Putinowi. Putin dostał konstytucję, insygnia władzy prezydenckiej i słynną „walizkę jądrową”. Pełniący obowiązki prezydenta wystąpił w telewizji z orędziem noworocznym, w którym obiecał, że „nie odstąpi ani na krok od konstytucji, a wszystkie wolności i prawa obywatelskie będą w pełni respektowane”. Swoją działalność rozpoczął od wizyty na froncie w Czeczenii, gdzie Rosjanie brutalnie rozprawiają się z walczącymi o niepodległość republiki bojownikami.

Kto jak kto, ale my, Polacy, ustępującego przed czasem Borysa Jelcyna powinniśmy pożegnać z szacunkiem.

To przecież on pierwszy oficjalnie przyznał, że to władze radzieckie są sprawcami zbrodni katyńskiej. To Jelcyn rozmontował Związek Radziecki, uczynił Rosję krajem jak nigdy dotąd bezpiecznym dla świata, bliskim jak nigdy dotąd demokracji. Można i trzeba powiedzieć – za rosyjskimi demokratami – że demokracja rosyjska jest wynaturzona, skorumpowana, ale nikt nie może kwestionować tego,

że pierwszy prezydent Rosji zapewnił swemu państwu dziewięć lat wolności, czyli to, czego kraj ten w historii nie zaznał.

Teraz rodzi się pytanie, na ile tę rosyjską wolność, demokrację można uważać za trwałe? (...) Dlaczego? Nowa Rosja słabła wraz ze swoim prezydentem, dręczącymi go chorobami, skłonnościami do intryg, które jednego po drugim odstręczały od niego zwolenników, pomocników, doradców.

Najsilniejszy był wtedy, gdy dopiero wspiął się na szczyt. Świat pamięta go na czołgu pod „Białym Domem” [wtedy siedziba parlamentu Rosji, dziś siedziba premiera] z uniesioną pięścią, kiedy brawurowo zatrzymał pucz Janajewa i komunistycznej spółki.

Był wtedy tym samym Borysem, o sile którego w rodzinnych stronach na Uralu krążyły legendy – że sam zepchnął z torów przed nadjeżdżającym pociągiem ciężarówkę, że podtrzymał przewracający się dźwig.

Na czołgu pod „Białym Domem” przy Krasnej Presni, dzielnicy sławnej z tradycji rewolucji 1905 roku, był silny poparciem górników, którzy przyjeżdżali do Moskwy z całej Rosji, by stukać kaskami o bruk placu Czerwonego, protestując przeciw prezydentowi ZSRR Michaiłowi Gorbaczowowi i komunistycznemu porządkom.

Ich sympatię zdobywał od czasu, kiedy w połowie lat osiemdziesiątych został sekretarzem moskiewskiego komitetu partii, sekretarzem wielce ekscentrycznym. Jeździł do pracy nie limuzyną, lecz metrem, zachodził do sklepów, domagał się lepszego zaopatrzenia. Był równy, był swój.

Kolegom, sekretarzom Komitetu Centralnego, publicznie wygarniał, że obrośli sadłem, dbają tylko o swoje przywileje.

A oni odstawili go szybko na boczny tor, zsyłając na posadę niedecydującego o niczym wiceministra. I z partyjnej trybuny rzucili mu w twarz słynne: „Borys, ty nie praw” („Borysie, nie masz racji”). A kraj, który to słyszał, był już rozhuśtany falami demokratyzacji, inteligencja krytycznie nastawiona do monopartii uważała, że to właśnie Borys „ma rację”, a jego oponenti nie.

Rosja szła za nim, kiedy w lipcu 1990 roku odszedł z partii. Rok później wybrała go na prezydenta radzieckiej jeszcze republiki [Związek Radziecki oficjalnie został rozwiązany 26 grudnia 1991 roku].

I kto wtedy przypuszczał, że górnicy, którzy wówczas go popierali, po kilku latach wrócą do Moskwy ze swymi kaskami, żeby stukać nimi już nie w bruk placu Czerwonego, popierając Jelcyna, lecz w Garbaty Most przy „Białym Domu” – przeciw niemu. Że usypią mu symboliczną mogiłę, że kukłę prezydenta będą kłaść na tory. Bo przecież on obiecał, że jeśli w nowej Rosji nie będzie się żyło lepiej, sam rzuci się na szyny.

Ale wtedy, w sierpniu 1991 roku, z uniesioną pięścią na czołgu był na szczycie fali popularności. Byli przy nim najlepsi ludzie Rosji. Kiedy po odejściu Gorbaczowa stał się gospodarzem Kremla, pociągnęli tam za nim najwybitniejsi ekonomiści, twórcy, intelektualiści; jak to określił Andriej Czerkieszow, komentator Radia Echo Moskwy, „znakomity rój Jelcyna”.

Żyli i rozkwitali nadzieją, że zmienią swój kraj, zaprowadzą go do Europy. Stanęli, a potem zaczęli kapitulować przed tymi samymi problemami, które zniechęcały i niszczyły ich świetnych przodków w ubiegłym stuleciu. Anachroniczna gospodarka, przerażająca nędza prowincji, beznadziejnie biedna armia i dziki, skorumpowany aparat urzędniczy.

„Rój Jelcyna”, świetni „demokraci pierwszej fali” wkrótce jeden za drugim zaczęli z Kremla odchodzić. Szczególnie szybko, gdy zaczęła się krwawa, fatalnie prowadzona pierwsza wojna czecheńska. Odeszła wtedy na przykład Galina Starowojtowa; została zamordowana w 1998 roku. Zostali ludzie marni.

Kreml tracił poparcie rosyjskiej inteligencji, a „głębinkę”, prowincję rosyjską, zostawił jej losowi. Widać to w Kaliningradzie, Krasnojarsku, Władywostoku. Tam na siedzibach władz zmieniły się tylko szyldy. Z sowietów i komitetów – na dumy i administracje. Ale wewnątrz są ci sami partyjni biurokraci. Moja znajoma, która u schyłku lat osiemdziesiątych stała na czele ruchów demokratycznych w Krasnojarsku, mówi: – Wtedy myśleliśmy, że nie może być nic gorszego od komunizmu. Teraz już wiemy, że jeszcze gorsi są rządzący dziś u nas na prowincji komuniści bez komunizmu. Póki była partia, jeszcze czegoś się bali, kradli „jak należy” – według rangi. Teraz czują się absolutnie bezkarni.

Jelcyn mógł tylko w dalekiej Moskwie z grymasem wściekłego gniewu na twarzy wygrażać pięścią. Ręce – jak mówią Rosjanie – nie dochodziły do lokalnych kacyków, którzy jak udziałni książęta rządzą w swoich regionach i potrafią straszyć, że – jeśli zechcą – wyprowadzą swoje kraje czy republiki z Federacji. „Ręce nie dochodziły”, bo najważniejsza była walka o władzę w Moskwie, a do niej niezbędne okazywało się poparcie lokalnych liderów.

Walka toczyła się nie o to, czy coraz bardziej chory prezydent, popełniający gafę za gafą utrzyma się na swym stanowisku do czerwca 2000 roku, czyli końca kadencji. Podjęta w maju 1999 roku przez Dumę próba postawienia Jelcyna w stan oskarżenia i przedwczesnego zdymisjonowania go skończyła się żalną kompromitacją – ludzie Kremla po prostu Dumę przekupili.

Od bez mała półtora roku, od dymisji młodego premiera Siergieja Kirijenki, walka toczyła się o to, co będzie po Jelcynie, czy kremlowska „familia” – krewni prezydenta i jego współpracownicy – zachowa wpływy, władzę i majątki, które zgromadziła pod jego rządami. Sam Jelcyn coraz częściej mówił o „diedzicu”, czyli swoim faworycie do objęcia schedy.

Kandydatem na „następcę tronu” jest zgodnie z konstytucją premier. Były rezydent wywiadu w NRD, szef Federalnej Służby Bezpieczeństwa Władimir Putin. Do wyborów, które odbędą się pod koniec marca, będzie niby tylko „pełnił obowiązki” głowy państwa. Ale, jak mówi się od dawna w Moskwie, „na prezydenta Rosji może być wybrany tylko ten, kto przed wyborami nim zostanie”.

W piątek 31 grudnia 1999 roku Jelcyn uzasadniał swoją dymisję między innymi tym, że czas odejść, bo przecież pojawił się „silny człowiek, nastawiony na to, by być prezydentem”. I teraz można już tylko żałować, że pierwszy prezydent Rosji zmarnował wielką szansę. Pierwszy raz w historii swego kraju mógł przekazać władzę w sposób demokratyczny. Zamiast tego wskazał narodowi swego dziedzica.

Na coraz wyższe notowania Putina pracują już od dawna podporządkowane Kremlowi media, bezpardonowo atakujące każdego polityka, który ośmiela się wystąpić przeciw premierowi. Na Putina „pracują” generałowie i żołnierze, którzy na Kaukazie prowadzą – jak twierdzą związane z Kremlem media – „bezkrwawą i udaną” wojnę.

Wojna i propaganda windują Putina na szczyty popularności. Niedźwiedź, jego naprędce sklecona we wrześniu przez kremlowskich socjotechników partia, w grudniowych wyborach do Dumy odniósł olśniewający sukces. To był sygnał,

że postawienie na Putina to dziś właściwy wybór, by stary prezydent oszczędził – jak sam powiedział – „nie tylko ze względu na stan zdrowia”.

Teraz, po wyborach parlamentarnych, rosyjskie elity garną się do obozu zwycięzcy, opozycja jest w rozsypce, tylko jakiś straszliwy kataklizm może sprawić, że notowania któregoś z rosyjskich polityków dorównają popularności Putina.

Jeszcze kilka miesięcy temu mówiło się w Rosji, że Jelcynowi wprowadzić nie wyszły reformy, że pod jego rządami gospodarka pogrąża się w permanentnym kryzysie, armia się rozpadła, ale przynajmniej w Rosji panuje wolność prasy, a prezydent konsekwentnie stoi na straży konstytucji.

Dziś nawet i to jest pod znakiem zapytania. Centralne media rosyjskie poddawane są skrupulatnej kontroli konkurujących ze sobą oligarchów, regionalne – gubernatorów. Wybory głowy państwa zostaną zorganizowane „pod delfina”.

Ci, którzy chwalą Jelcyna za jego „historyczną i męzną” decyzję, twierdzą, że zadbał o to, by rosyjskie reformy były kontynuowane, a gospodarkę nadal zmieniano w kierunku wolnego rynku.

Ale takie nadzieje są złudne. Putina prowadzą do władzy związani z Kremllem oligarchowie, bogaci nowi Rosjanie, magnaci finansowi, naftowi i medialni. Prowadzą go tam też przywódcy regionów. A obie te grupy przede wszystkim strzegą swoich wpływów, zgromadzonych przez ostatnie lata fortun i monopoli.

Przecież to przede wszystkim oni, a nie komuniści latem 1998 roku nie pozwolili premierowi Kirijence przeprowadzić niezbędnych reform, bo młody premier próbował odebrać im część przywilejów. Przed grudniowymi wyborami parlamentarnymi Putin poparł Kirijenkę i jego Sojusz Sił

Prawicowych, jednak dopiero czas pokaże, czy nie było to poparcie tylko taktyczne.

Najważniejszym wydarzeniem ostatniego dnia minionego roku w Moskwie jest więc nie przedwczesna dymisja Borysa Jelcyna. Najważniejsze jest to, że Rosja ma nowego władcę – wyznaczonego, a nie wybranego, namaszczonego już nawet przez patriarchę Moskwy i Wszechrusi, polityka stworzonego przez te same elity, które w ostatnich latach „rządziły Jelcynem”, a teraz, instalując na Kremlu dziedzica, zapewniły sobie ciągłość władzy. I dziś w Moskwie niemal nikt nie wątpi, że pod koniec marca ich decyzja zostanie zaakceptowana w powszechnych wyborach.

Ale trzeba pamiętać, że Rosjanie wesprą go nie tylko dlatego, że tak im każą liderzy ich regionów, że to zasugerują im centralne kanały telewizyjne. I nie dlatego, że – jak się dziś powszechnie mówi – ten kraj tęskni za rządami silnej ręki, za „swoim Pinochetem”. Także dlatego, że Rosjanie marzą o stabilizacji, a pamiętają, że w ich kraju zrealizować się mogą scenariusze znacznie czarniejsze niż chroma jelcynowska demokracja.

Cokolwiek by powiedzieć o odchodzącym prezydencie, nie pozwolił on, by Rosja pogrążyła się w zamęcie, nie pozwolił, by w kraju pierwsze skrzypce zaczęli grać ekstremiści.

Czy Putinowi też się to uda? W takim kraju jak Rosja to już bardzo dużo.

14.01.2000, piątek

PUTIN STARTUJE

Władimir Putin oficjalnie ogłosił wczoraj w Sankt Petersburgu, że godzi się kandydować w marcowych wyborach prezydenckich.

Zgodnie z ordynacją wyborczą kandydata na prezydenta zgłosić może co najmniej stu obywateli. Putina do walki o Kreml uroczyście wystawiła obradująca w moskiewskim hotelu Prezydent grupa 197 rosyjskich VIP-ów. Samych tylko gubernatorów było pół setki.

W uroczystości bardzo chcieli wziąć udział członkowie jelicynowskiej „rodziny”, szare eminencje Kremla – Borys Bieriezowski i Roman Abramowicz. Na obrady w hotelu Prezydent obaj oligarchowie nie zostali jednak wpuszczeni. Zaszczytu wspierania nie dostąpił nawet były premier Wiktor Czernomyrdin, choć przed spotkaniem ogłosił połączenie swego ugrupowania Nasz Dom Rosja (czy raczej resztek świetnej niegdyś partii władzy) z proputinowskim Niedźwiedziem.

Do wspierania dopuszczeni zostali natomiast szefowie regionów, którzy jeszcze kilka miesięcy temu z zapałem popierali plany marszu na Kreml bardzo wtedy popularnego Jewgienija Primakowa.

Zaraz po tym, jak Putin ogłosił start w wyborach, ogłoszono też nową rosyjską „Koncepcję bezpieczeństwa narodowego”. Głosi ona, że Rosja może użyć broni atomowej wobec agresora, który

atakuje ją w sposób konwencjonalny, a nawet wobec takiego, który w ogóle nie posiada broni nuklearnej.

W stosunku do poprzedniej doktryny obronnej z 1993 roku (uzupełnionej w 1997 roku) nowy dokument jest bardziej manifestacją polityczną niż doktryną wojskową. – To faktycznie apel do Zachodu, by nie drażnił Rosji – mówi Nikołaj Sokow z Centrum Studiów nad Rozprzestrzenianiem Broni Nuklearnej w Monterey w Kalifornii. – Rosjanie mówią niemal wprost: jesteśmy słabi i niepewni przyszłości, nie ruszajcie nas, bo możemy użyć broni nuklearnej z czystego strachu.

„Koncepcja”, jeden z pierwszych dekretów podpisanych przez Władimira Putina po przejściu obowiązków prezydenta, mówi o „próbach stworzenia struktury stosunków międzynarodowych opartej na dominacji państw Zachodu pod przewodnictwem USA i obliczonej na jednostronne, przede wszystkim wojskowe, rozstrzygnięcie kluczowych problemów polityki światowej wbrew zasadom prawa międzynarodowego”. Prowadzić ma to do „osłabienia pozycji Rosji w sferze ekonomicznej, wojskowej, politycznej i innych”. Jako o jednym z największych zagrożeń mówi się o „rozszerzeniu NATO na Wschód”, co może prowadzić do „pojawienia się wielkich formacji zbrojnych koło granic Rosji”.

Dlatego Rosja będzie wspomagać „ideę świata wielobiegunowego” – Za Jelcyra Rosjanie mówili o potrzebie budowy bloku z Chinami i Indiami. Teraz chcą szerszej koalicji. Będą popierać każdy kraj na świecie, który może współtworzyć przeciwwagę dla USA i NATO – twierdzą eksperci w Waszyngtonie, z którymi rozmawiała „Wyborcza”.

Według strategii odpowiedzią na dominację Zachodu musi być „zwiększanie militarnej potęgi kraju. Rosja powinna posiadać siły jądrowe zdolne zadać państwu agresorowi lub koalicji takich

państw silny cios”. Zapowiada użycie „broni jądrowej, jeśli inne sposoby rozwiązania kryzysu zostaną wyczerpane lub okażą się nieskuteczne”.

Już siedem lat temu doktryna rosyjska mówiła o użyciu broni nuklearnej przeciwko „agresorowi nieposiadającemu broni nuklearnej, który znajduje się w sojuszu z mocarstwem nuklearnym”, co było wymierzone w nieposiadające broni nuklearnej państwa NATO. Doktryna 2000 zawiera według Sokowa dwie ważne zmiany. Rosja dopuszcza użycie broni nuklearnej przeciwko:

- agresorowi stosującemu broń biologiczną lub chemiczną (tak jak doktryna obronna USA);

- agresji ze strony bloku obronnego, który takiej broni nie ma.

Moskwa już pokazała, jak w praktyce ma działać nowa doktryna. Latem i jesienią podczas manewrów „Zachód 99” Rosjanie ćwiczyli obronę obwodu kaliningradzkiego przed atakiem wojsk NATO z Bałtyku i Polski. Zgodnie ze scenariuszem rosyjskiego MON armia odpierała atak tylko przez trzy dni, a potem rosyjskie bombowce strategiczne zbombardowały dwa cele na terytorium NATO przy użyciu broni nuklearnej, a dwa inne bombowce – dwa cele w USA. Zachód – według scenariusza – widząc rosyjską determinację, przerywa inwazję.

Strategia Putina – w przeciwieństwie do poprzedniej – wymienia też wiele wewnętrznych zagrożeń. Najważniejszy jest rozpad struktur państwa spowodowany kryzysem gospodarczym. Zdaniem ekspertów NATO to dowód, że Putin zdaje sobie sprawę ze znaczenia pomocy gospodarczej z Zachodu i że być może nie chce prowadzić zbyt konfrontacyjnej polityki.

Demoralizacja narodu, wzrost przestępczości, „zrastanie się mafii z władzą” powodują „kryzys w sferze socjalnej i duchowej, który

może doprowadzić do utraty zdobyczy demokratycznych”. Kolejny nowy zapis, o zagrożeniu dla bezpieczeństwa narodowego Rosji ze strony terroryzmu, umożliwi Moskwie – twierdzą nasi rozmówcy – tłumienie tendencji niepodległościowych, na przykład na Kaukazie, pod pretekstem walki z terroryzmem.

16.02.2000, środa

MŁODY, PIĘKNY, NIEBOGATY

Władimir Putin jest od wczoraj oficjalnym kandydatem na prezydenta Rosji. Wspierająca go grupa inicjatywna przedstawiła Centralnej Komisji Wyborczej listy z 500 tysiącami podpisów poparcia dla gospodarza Kremla.

Szef komisji Aleksander Wieszniakow wręczył Putinowi legitymację kandydacką. Odbyło się to – jak powtarzają oficjalne media – „w poważnej i uroczystej atmosferze”. Ten ton komentarzy dziwić nie powinien, bo kampanii Putina towarzyszy festiwal lizusostwa. Artyści, hierarchowie prawosławni, przywódcy regionów, szczególnie ci, którzy niedawno flirtowali z antykremlowską Ojczyzną-Całą Rosją mera Moskwy Łużkowa i ekspremiera Primakowa, prześcigają się w okazywaniu poparcia Putinowi.

Według sondaży jest on zdecydowanym faworytem marcowego wyścigu o Kreml – chce na niego głosować 58 procent ankietowanych. Co czwarty badany zapewnia, że według niego Putin jest urodziwy.

Trudno uznać p.o. prezydenta za człowieka bogatego. Z deklaracji majątkowej, którą przedstawił komisji, wynika, że przez ostatnie dwa lata zarobił wszystkiego 265 tysięcy 699 rubli (około 12 tysięcy dolarów), a w bankach zgromadził 387 tysięcy rubli (13,5 tysiąca dolarów). Ma jeszcze dwie działki po 3,5 ara i daczę pod Petersburgiem. Premier, jego żona Ludmiła i córki

Maria oraz Jekatierina zajmują należące do państwa moskiewskie mieszkanie o powierzchni 157 metrów kwadratowych.

24.03.2000, piątek

BEZ KRWI I BEZ ZĘBÓW

Moskwa godzi się, by niedzielne wybory prezydenckie były bezalternatywne. Jednak walka o władzę nad Rosją się toczyła i była poważna. Rzecz w tym, że skończyła się, zanim oficjalnie zaczął się wyścig o Kreml.

Gdyby przeciw Władimirowi Putinowi czy innemu pomazańcowi Borysa Jelcyna stawał Jewgienij Primakow wspierany przez mera Moskwy Jurija Łużkowa, nikt nie nazwałby kończącej się właśnie kampanii wyborczej nudną, a świat dziś wstrzymywałby oddech – tak jak to było przed czterema laty.

A jeszcze trzy miesiące temu wydawało się, że Rosja stanie przed taką właśnie alternatywą. Jeszcze w przededniu grudniowych wyborów do Dumy Primakow uroczyście ogłosił, że będzie walczył o prezydenturę. Do walki stanąć mieli dwaj byli czekiści: doświadczony, ostrożny akademik Primakow i młody, dynamiczny Putin, ze względu na swój NRD-owski staż w KGB zwany czasem „Stasi”. Za oboma – tak jak cztery lata temu za wodzem komunistów Giennadijem Ziuganowem i za Jelcynem – stały silne grupy związane z elitami władzy. Druga tura wyborów w 1996 roku była konfrontacją czerwonych gubernatorów, nomenklaturowych naczelników i dyrektorów z supernowymi-Rosjanami, zwanymi też oligarchami, tzn.

magnatami naftowymi, gazowymi, finansowymi, wspartymi przez nową liberalną nomenklaturę.

Wtedy emocje sięgały szczytu. W dniu wyborów rosyjska telewizja na cztery godziny przed zamknięciem lokali wyborczych przerwała program, pokazała zegar odliczający pozostały czas przy akompaniamencie odgłosu pulsu serca. Eksperci ze sztabu Jelcyna za pomocą takich sztuczek bez trudu wmawiali ludziom, że oto ostatecznie decydują się losy kraju.

Kilka miesięcy temu zanosіło się na podobny bój. Konfrontacja Putina z Primakowem byłaby starciem elit federalnej władzy (urzędniczej i związanych z Kremlem oligarchów) z elitami regionalnymi i przemysłowymi. Jesienią wokół Primakowa i Łużkowa (merowi stolicy wtedy przepowiadano, że zostanie wiceprezydentem) gromadzili się potężni gubernatorzy, wspierał ich chociażby Gazprom, stał za nimi wielki holding medialny Władimira Gusinskiego (telewizja NTW).

Ojczyzna-Cała Rosja, blok uważany za głównego przeciwnika Kremla, miała pieniądze i silne zaplecze propagandowe. Ludzie skupieni wokół Primakowa i Łużkowa nie ukrywali, że chcą doprowadzić do nowego podziału najbardziej dochodowych rosyjskich bogactw, czyli stworzenia nowych naftowych i finansowych potęg na ruinach imperiów dzisiejszych oligarchów.

– Miliarderzy związani z Kremlem, członkowie jelcynowskiej „rodziny”, zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli oddadzą im władzę, znajdą się albo w więzieniu, albo na emigracji – powiedział mi Michaił Dielagin, dyrektor Instytutu Problemów Globalizacji.

Kreml przystąpił więc do walki jeszcze na długo przed wyborami. Kontrolowana przez Borysa Bieriezowskiego telewizja

ORT i państwowe stacje systematycznie niszczyły Łużkowa, oskarżając go o wszelkie możliwe zbrodnie i przestępstwa, z morderstwami i przynależnością do sekt włącznie. Gubernatorom i prezydentom republik popierającym Primakowa też się dostawało. Federalne centrum przestało finansować ich regiony. Jeszcze przed wyborami zaczęli stadnie przechodzić do przeciwnego obozu.

A po przegranych wyborach do Dumy Primakow, uważany w Rosji za człowieka niezwykle mądrego, się poddał. Poparł nawet kandydaturę Putina, który tymczasem stał się już p.o. prezydenta.

Wczoraj Putin wspólnie z Łużkowem otwierał młodzieżowy turniej hokejowy. Klepał mera po ramieniu i mówił dziennikarzom, że jeśli chcą, to on pochwali stołecznego naczelnika, bo uważa go za świetnego gospodarza. Łużkowowi nie zostało nic innego, jak tylko kraśnić z zadowolenia, że oto skończył się dla niego czas niełaski.

Kremlowskich oligarchów, takich jak Bieriezowski, magnat naftowy Roman Abramowicz czy bankier Aleksander Mamut, jakkolwiek brzmiałoby to paradoksalnie, za zwycięzców walki o władzę uznać nie można. Musieli stanąć za Putinem, broniąc się przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. P.o. prezydenta nie ma jednak wobec nich zobowiązań. On najwyraźniej stawia na ludzi, których zna od dawna, jeszcze z Sankt Petersburga.

Kiedy został dyrektorem FSB, ściągał do stolicy kolegów z miasta nad Newą. Szefem swych doradców uczynił Germana Grefa, petersburskiego prawnika. Do stolicy sprowadził nawet szofera, który woził go w Sankt Petersburgu. Kierowca nie znał stolicy i od razu rozbił dwa audi. Ale szef wybaczył swojemu człowiekowi.

Specjaliści obliczają, że w 1996 roku Borys Jelcyn na propagandę, wszelaką kieżbasę wyborczą, wydać musiał 20 miliardów dolarów. Putin opędził się 2 miliardami. Pojeździł po kraju z podarkami dla domów dziecka, szpitali. Uregulował zadłużenie państwa wobec nauczycieli i lekarzy, w niektórych przynajmniej regionach, wszystkim pracownikom budżetówki podniósł pensje o 20 procent.

Z „Listu otwartego do wyborców” Władimira Putina:

„Wiele lat, mówiąc o walce z przestępczością, tylko pomagaliśmy temu złu rozwijać się w Rosji. Bandytyzm krzepł, opanowywał miasta i wioski, wszędzie zapuszczał korzenie. Doszło do tego, że cała republika, region wchodzący w skład Federacji Rosyjskiej – Czeczenia – była okupowana przez świat bandycki i zamieniona w jego twierdzę. Wystarczyło rozpocząć otwartą walkę z bandytami, rozgromić ich – i za nami już realny krok ku dyktaturze prawa równego dla wszystkich. Gdziekolwiek by teraz ukrył się przestępca – w Niżnym Nowogrodzie, Sankt Petersburgu czy Kazaniu, w którymkolwiek z rosyjskich miast – nie może już mieć nadziei na pomoc i azyl w Czeczenii. Bandycki świat poniósł ogromną stratę.

W bezprawnym, a więc słabym państwie człowiek jest bezbronny i ubezwłasnowolniony. Im silniejsze państwo, tym bardziej wolna jednostka.

Jednakowe dla wszystkich reguły są potrzebne i ważne dla wszystkich i wszędzie. I władzy, i przedsiębiorcom, a tym bardziej ludziom słabym i potrzebującym opieki socjalnej. Jak – pytają mnie – w takim wypadku budować stosunki z tak zwanymi oligarchami? – Wedle praw obowiązujących wszystkich. Tak samo jak z właścicielem małej piekarni albo zakładu szewskiego.

Trzeba sobie wreszcie otwarcie powiedzieć – jesteśmy bogatym krajem biednych ludzi. W ogóle jesteśmy krajem paradoksów. I nie tyle politycznych, ile społecznych, ekonomicznych, kulturowych.

Naszym priorytetem jest obrona rynku przed panowaniem się samowoli zarówno urzędników, jak i przestępców. Musimy ochronić właścicieli przed samowolą i bezprawiem. Jeśli tych gwarancji nie da im państwo, tę próżnię natychmiast zapełnią grupy przestępcze. (...)

To, że musimy oszczędzać siły, w żadnym wypadku nie oznacza, że mamy się zamknąć w swoich granicach. My także widzimy dla siebie to, co w innych krajach nazywa się strefą życiowo ważnych interesów”

27.03.2000, poniedziałek

PREZYDENT PUTIN

Premier Władimir Putin zdobył w wyborach prawie 51 procent głosów i już w pierwszej turze wygrał wybory prezydenckie.

Zagadką wyborów było, czy Putin zdobędzie 50 procent głosów i nie będzie potrzebna druga tura. Pierwsze wrywkowe wyniki podano o 20 czasu warszawskiego po podliczeniu 7 procent głosów, głównie z Dalekiego Wschodu. Putin miał ledwie 44 procent poparcia, zaskoczeni byli zarówno dziennikarze, jak i jego sztab.

Później nadchodziły jednak wyniki z regionów położonych w środkowej Rosji. O pierwszej w nocy naszego czasu, po podliczeniu 59 procent głosów, wynik Putina osiągnął prawie 51 procent. Spodziewano się, że po dodaniu głosów z zachodniej Rosji jego notowania jeszcze podskoczą.

Fragmentaryczne prawdziwe wyniki były bardzo podobne do rezultatów ankiet Instytutu Badania Opinii Publicznej, jakie przez cały dzień zbierano przed 347 komisjami w całej Rosji. A ten sondaż pokazał, że Putin zdobył 51,2 procent. Taki sam wynik przyniósł sondaż telewizji RTR.

W Rosji władzę obejmie człowiek, którego jeszcze rok temu nikt nie znał, dziedzic namaszczony przez Borysa Jelcyna, człowiek-zagadka, który popularność zawdzięcza bezkompromisowo prowadzonej wojnie z Czeczenią. Rosja i Zachód szukają odpowiedzi na pytania, jaką politykę będzie

prowadził, jaki w rzeczywistości jest Putin, który do dziś nie ogłosił programu gospodarczego. Tuż po głosowaniu pierwszy prezydent Borys Jelcyn zapewniał, że jego następca nie zejdzie z drogi reform.

Przeciw czterdziestoosmioletniemu Putinowi, uważanemu powszechnie za faworyta walki o Kreml, stanęło dziesięciu konkurentów. Najgroźniejszy z nich – lider komunistów Giennadij Ziuganow – cztery lata temu dopiero w drugiej turze przegrał z Jelcynem. Teraz dostał około 30 procent głosów. Trzeci był demokrat Grigorij Jawliński z 7 procentami [oficjalne wyniki wyborów dały Putinowi 53,44 procent głosów, Ziuganowowi – 29,49 procent, a Jawlińskiemu 5,85 procent].

– Putin nie ma zobowiązań wobec moskiewskich elit, oligarchów. Ma swobodę wyboru drogi, którą poprowadzi kraj. To może być droga reform. A może oprzeć się na dawnych kolegach z KGB i poddać życie Rosji ścisłej kontroli państwa. Co wybierze, dowiemy się po wyborach – mówił nam Michaił Dielagin, szef Instytutu Problemów Globalizacji.

– Wiem, że wszyscy oczekują ode mnie cudu, ale niestety nie mogę go obiecać – powiedział Putin dziennikarzom o godzinie 23 naszego czasu. A już dzień po zwycięstwie zapowiedział: – Przeprowadzimy operację w Czeczenii do samego końca.

Prezydent elekt spotkał się z żołnierzami wojsk rosyjskiego MSW i chwalił ich profesjonalizm w walce z czeczeńskimi rebeliantami. Wcześniej tego samego dnia dostał dziesiątki telegramów gratulacyjnych od przywódców z całego świata, ale w głosach wielu polityków Zachodu przewijała się nadzieja, że Putin zmieni teraz swoją politykę wobec zbuntowanej kaukaskiej prowincji. Cała bowiem jego kampania wyborcza

opierała się właściwie tylko na jednym – „wyplenieniu terroryzmu” z Czeczenii.

Putin, który po niespodziewanej dymisji Borysa Jelcyna ostatniego dnia grudnia 1999 roku pełnił obowiązki prezydenta, zostanie zaprzysiężony jako głowa państwa na początku maja.

Z ogłoszonymi wczoraj wynikami wyborów nie godzi się tylko lider komunistów Giennadij Ziuganow, który zajął drugie miejsce. Twierdzi, że jego partyjni towarzysze na własną rękę podliczali głosy i według nich zdobył on poparcie mniej więcej takie samo jak Putin, powinien więc zmierzyć się z nim w drugiej turze wyborów.

Ziuganow mówi o „kolosalnym fałszowaniu” wyników. Wskazuje na przykłady Baszkirii czy Tatarstanu, gdzie w urnach miały się znaleźć miliony dodatkowych kart do głosowania. Nie przedstawił jednak żadnych dowodów.

Moskiewskie elity powszechnie godzą się jednak z wynikiem niedzielnych wyborów. Sam mer Moskwy Jurij Łużkow powiedział, że wiadomość o zwycięstwie Putina już w pierwszej turze jest dla niego „przyjemna”. – Mam nadzieję na dobrą współpracę z nowym prezydentem – dodał Łużkow, z którym Putin publicznie bratał się w przedwyborczy piątek.

Wyniki pozytywnie ocenił też były przywódca ZSRR Michaił Gorbaczow. – Putinowi się powiodło. Teraz społeczeństwo bardzo liczy na zerwanie z przeszłością. Silne są nadzieje na to, że wstaniemy z kolan, podniesiemy głowy. W Rosji pojawili się nowi ludzie, nowi przedsiębiorcy, którzy chcą brać na siebie odpowiedzialność za sprawy kraju, od której uchylali się oligarchowie. Teraz wiele zależy od tego, jak Putin oceni przeszłość, kogo weźmie do swojej ekipy – uważa Gorbaczow.

Rosja zastanawia się dziś, co przy nowym prezydencie stanie się z oligarchami, czyli miliarderni, którzy w czasach Jelcyna dorobili się nie tylko ogromnych majątków, lecz także wielkiego wpływu na politykę. Borys Niemcow, jeden z liderów Sojuszu Prawych Sił, zapowiedział, że teraz oligarchowie będą walczyć z obozem liberałów o wpływ na Putina. – Wiem, jakie jest stanowisko szefa w tej sprawie. Wszyscy oligarchowie zostaną odsunięci od władzy – mówił, jakby odpowiadając Niemcowowi, Dmitrij Miedwiediew, kierujący sztabem wyborczym Putina.

29.04.2000, sobota

PUTIN I JEGO DRUŻYNY

Za Władimirem Putinem z Sankt Petersburga do Moskwy przysły dwie grupy pretendentów do władzy nad Rosją: koledzy z KGB, którzy chcą kontroli państwa nad rynkiem, i liberałowie marzący o gospodarczej wolności. Co wybierze prezydent?

Putin nie ufa moskiewskim elitom. Próbuje się oprzeć na ludziach, których zna od dawna – tych, którzy razem z nim pracowali w Dużym Domu przy Litejnym Prospekcie 4, czyli siedzibie KGB w Leningradzie. I na tych młodych liberalnych ekonomistach, z którymi był blisko w czasach, kiedy jako zastępca mera Sankt Petersburga Anatolija Sobczaka urzędował w Smolnym, siedzibie władz miejskich.

W Moskwie powtarza się, że petersburscy koledzy Putina, którzy przy nim robią kariery w stołecznych strukturach służb specjalnych, są tacy, jakby wyszli spod jednej sztancy. Wszyscy – tak jak prezydent – przed pięćdziesiątką, szczupli, nieprzeniknieni i, co powtarzają gazety, „o szklanym spojrzeniu”.

Putin, gdy w sierpniu ubiegłego roku został premierem, swoje poprzednie stanowiska zostawił kolegom z dawnych lat. Miejsce sekretarza prezydenckiej Rady Bezpieczeństwa oddał swemu rówieśnikowi Siergiejowi Iwanowowi, z którym kiedyś uczył się w jednej grupie w leningradzkim Instytucie KGB ZSRR.

Na fotelu dyrektora FSB zasiadł czterdziestosześcioletni Nikołaj Patruszew, były oficer leningradzkiego KGB, na moskiewskiej

Łubiance, czyli w głównej kwaterze FSB, otwarcie nazywany „człowiekiem Putina”.

Na Kremlu i w siedzibie rządu przy Krasnej Presni też pojawiło się wielu „peterskich”, przybyszy z Petersburga. Gdy powszechnie oskarżany o udział w aferach korupcyjnych Paweł Borodin odszedł do pracy w Związku Białorusi i Rosji, nowym zarządcą prezydenckiego gospodarstwa złożonego z dziesiątków rezydencji, domów wypoczynkowych, flotyli samolotów stał się czterdziestoczteroletni Władimir Kożyn, który w Sankt Petersburgu kierował regionalnym centrum kontroli walutowo-eksportowej. „Komsomolskaja Prawda” zapewnia, że centrum było pod staranną kontrolą służb specjalnych. Zastępca szefa administracji prezydenta, czterdziestoletni Wiktor Iwanow, też jest z Petersburga, a to – jak z zawiścią powtarzają w Moskwie – „wiele wyjaśnia”. Iwanow kierował Służbą Bezpieczeństwa Ekonomicznego tamtejszej FSB.

Szefem kancelarii rządu został czterdziestojednoletni Dmitrij Kozak, w młodości prokurator w Leningradzie.

Najwięcej sprzeciwów w Moskwie budzi spodziewany tu awans Wiktora Czerkiesowa, pierwszego zastępcy dyrektora FSB, który ponoć ma zająć wysoką pozycję w nowym rządzie Rosji (być może nawet wicepremiera nadzorującego pracę struktur siłowych).

Czterdziestodzieciolatek dziś Czerkiesow zaczynał karierę jako prosty oficer śledczy piątego wydziału do walki z dysydentami leningradzkiego KGB. Spisywał się znakomicie. W ciągu 13 lat udało mu się doprowadzić do skazania 39 osób oskarżonych z paragrafu 70. kodeksu karnego (agitacja i propaganda antyradziecka).

Czerkiesow dalej twierdzi, że w czasach ZSRR „nikt nie był prześladowany za to, że myślał inaczej”. „Zawsze w tych wypadkach mieliśmy do czynienia z łamaniem prawa. To samo mogę też powtórzyć o tych, którzy byli rzekomo posyłani do psychuszek, bo trudno ich było posadzić do więzienia. Nie posyłali tam tych, którzy nie byli chorzy” – upierał się Czerkiesow w wywiadzie dla petersburskiej gazety „Smiena”.

W nowej Rosji Czerkiesow tak olśniewających sukcesów już nie odnosił. W latach 1992-1998 był szefem petersburskiej Federalnej Służby Kontrwywiadu, a potem FSB. W tym czasie miasto nad Newą rzetelnie zapracowało na miano „kryminalnej stolicy Rosji”. Bandyci na ulicach rozstrzeliwali jednego po drugim biznesmenów i polityków. Ludziom Czerkiesowa nie udało się zatrzymać sprawców żadnego z głośnych zabójstw.

Z większym zapałem prowadzili natomiast śledztwo przeciw kapitanowi Aleksandrowi Nikitinowi, którego oskarżyli o szpiegostwo na rzecz norweskiej organizacji ekologicznej Bellona. Ten emerytowany oficer miał jej przekazywać tajne informacje o radioaktywnych wyciekach z rosyjskich atomowych okrętów podwodnych. Sąd pierwszej instancji oczyścił Nikitina z zarzutu szpiegostwa i uniewinnił. FSB złożyła apelację, a proces ma zostać wznowiony przed sądem najwyższym. W Sankt Petersburgu mówi się, że teraz Nikitin ma mniejsze szanse, bo służby specjalne czują się pewniej i mogą więcej [ostatecznie został uniewinniony przez sąd najwyższy].

Ludzie ze służb specjalnych rwą się nie tylko na najwyższe stanowiska w państwie. Wydział Kontrwywiadu Gospodarczego FSB przygotował program uzdrowienia sytuacji w gospodarce rosyjskiej. – Strategia – jak twierdzi Nikołaj Bardul, komentator ekonomiczny tygodnika „Włast” – jest wykuta wedle reguł

szanowanych przez czekistów – państwo powinno odzyskać pełną kontrolę nad gospodarką.

W projekcie najczęściej powtarzają się słowa: „zabronić”, „zaostrzyć”, „zmusić”. Autorzy uważają na przykład, że państwo powinno zmusić eksporterów i wytwórców strategicznych towarów do tego, by wszystkie swoje pieniądze trzymali na kontach wyłącznie w specjalnie wyznaczonych do tego celu bankach.

„Należy nasilić kontrolę nad przepływem kapitałów, na przykład zakazać obywatelom Rosji otwierania kont za granicą, zabronić im przekazywania funduszy do stref wolnołowych” – zalecają w projekcie eksperci FSB.

Według nich państwo powinno też skrupulatnie przyjrzeć się realizowanym w Rosji programom zagranicznej pomocy gospodarczej. Te programy na przykład w rolnictwie nie dały Rosji żadnej korzyści, a wręcz przeciwnie – „przyniosły straty”.

„Realizacja takich programów zazwyczaj prowadzi do dezintegracji gospodarstwa, dzielenia ziemi i sprzętu pomiędzy nowe podmioty prawne, sprawia, że nasilają się kradzieże maszyn, dochodzi do konfliktów w lokalnych społecznościach. Skutkiem przeprowadzonej reorganizacji jest zazwyczaj spadek sprzedaży mięsa i mleka, obniżenie jakości prac polowych. Według rosyjskich specjalistów podział dużych gospodarstw na mniejsze prowadzi do upadku rolnictwa. Poza tym ustalono, że głównym zadaniem Amerykanów [którzy prowadzili programy pomocy dla rosyjskiej wsi] było zbieranie wszelkich informacji o naszym rolnictwie i regionach, które były wykorzystywane do realizacji strategicznych interesów USA, a także do utrzymywania rosyjskiego rolnictwa na poziomie

pozwalającym Stanom Zjednoczonym prowadzić ekspansję na nasz rynek żywnościowy” – zapewniają wywiadowcy z FSB.

Ten dokument, broniący resztek kołchozów i sowchozów, mógł powstać w Dużym Domu przy Litejnym Prospekie. Jego treść znakomicie harmonizuje z atmosferą tego miejsca, w którym oficerowie nie ukrywają tęsknoty za „dobrymi latami siedemdziesiątymi”, a ze ścian gabinetów nie zdjęli portretów Feliksa Dzierżyńskiego i Jurija Andropowa [pierwszy to twórca sowieckich służb specjalnych po rewolucji w 1917 roku, drugi był najpierw wieloletnim szefem KGB, a na początku lat osiemdziesiątych XX wieku przywódcą ZSRR].

Druga drużyna Putina ulokowała się w moskiewskim Alexander House, biurowcu przy Nabiereżnoj Jakimiankie. Budynek, wyposażony w najnowocześniejsze środki łączności i obstawiony kamerami wewnętrznej telewizji, nazwę bierze od Aleksandra Smoleńskiego, szefa grupy finansowej SBS-AGRO. Oligarcha zaprosił do swojego budynku najpierw sztab wyborczy Putina, a potem Centrum Opracowań Strategicznych przygotowujące dla przyszłego prezydenta strategię rozwoju Rosji na najbliższą dekadę.

„Nowaja Gazieta” obliczyła, że Smoleński, szef grupy banków, które po 17 sierpnia 1998 roku upadły, na zawsze grzebiąc pod sobą oszczędności dziesiątków tysięcy ciułaczy, zrobił Putinowi szczodry podarek. Za wynajęcie w centrum Moskwy lokalu takiego jak w Alexander House płaci się więcej niż cała suma na koncie wyborczym dzisiejszego gospodarza Kremla.

W Alexander House rej wodzą też „peterscy”, ale zupełnie inni niż ci z Dużego Domu – młodzi, fanatyczni liberałowie. Szefuje im trzydziestopięcioletni German Gref, z pochodzenia Niemiec (urodził się w Kazachstanie, dokąd jego rodzice zostali zesłani

„za pochodzenie”). Gref, z wykształcenia prawnik, zdążył już być wicegubernatorem Sankt Petersburga. Dziś wróży mu się ministerialną karierę.

Z Grefem blisko współpracuje trzydziestodziewięcioletni Aleksiej Kudrin, wiceminister finansów (uważany za kandydata na wicepremiera od gospodarki). On również pochodzi z Sankt Petersburga, gdzie był jednym z aktywniejszych przedstawicieli klubu Nowi Liberałowie.

W Alexander House pracuje też Andriej Iłłarionow, trzydziestoosmioletni ekonomista, który do Moskwy przeniósł się już sześć lat temu, ale też jest zaliczany do „peterskich”. Iłłarionow, o którym mówią, że „stoi na prawo od Adama Smitha”, choć zdążył już być doradcą ekonomicznym Wiktora Czernomyrdina, nie wpisał się w stołeczne elity. Według niego „młodzi reformatorzy”, czyli Anatolij Czubajs, Siergiej Kirijenko czy Borys Niemcow, uprawiali „lewicową politykę ekonomiczną”. Jesienią 1998 roku Iłłarionow tłumaczył mi, że do kryzysu finansowego w sierpniu tamtego roku doprowadziła „bolszewicka, centralistyczna polityka Kirijenki”.

W połowie kwietnia Putin mianował Iłłarionowa swym doradcą ekonomicznym, co wywołało prawdziwy popłoch w ministerstwie finansów.

Gref do współpracy ze swoim centrum zaprosił 300 ekspertów, których zadaniem jest przygotować strategię rozwoju społecznego i ekonomicznego Rosji na najbliższe dziesięć lat. Twierdzi, że wybrał najlepszych fachowców, kierując się ich profesjonalną przydatnością.

– Nie bardzo wiem, dlaczego akurat mnie tam zaprosili, przecież teraz jestem uważany za dysydenta – mówi etnolog Emil Pain, jeden z najbardziej zdecydowanych przeciwników wojny

w Czeczenii, który dla Grefa przygotował raport o polityce narodowościowej Rosji.

– Dokument, który chcemy przygotować na koniec kwietnia, początek maja, składać się będzie z czterech głównych rozdziałów: nowego kontraktu społecznego, programu reformy władzy, planu zmodernizowania gospodarki i propozycji polityki zagranicznej – zapowiada Gref.

– Być może w jakimś zachodnim kraju strategia rozwoju zmieściłaby się na kilku kartkach. Ale jesteśmy w Rosji, w kraju, w którym ludzie nie szanują prawa, szukają w nim przede wszystkim luk. Tu trzeba wszystko przewidzieć, szczegółowo opisać, co krok po kroku powinniśmy robić w najbliższych latach, skąd i jakie wziąć na to pieniądze, jakie akty prawne wprowadzać – tłumaczy Arkadij Dworkowicz, dwudziestoosmioletni doktorant Duke University, na co dzień kierownik grupy ekspertów ekonomicznych ministerstwa finansów, który w Alexander House pracuje nad programem reformy gospodarczej.

– Gruntowne reformy wprowadza się zazwyczaj w przełomowych dla kraju momentach. W Rosji zmienił się prezydent. Czy to jest historyczny zwrot? – pytam Dworkowicza.

– Tak. I my, i ci eksperci z FSB, których pan uważa za naszych konkurentów, jesteśmy przekonani, że Rosja doszła do punktu krytycznego. Przecież tu nic nie działa. Wszelkie państwowe instytucje są sparaliżowane, nie wypełniają swoich obowiązków. Administracja skorumpowana, sądy zależne od władz lokalnych. Podatków się nie zbiera. I tak dłużej być nie może, ludzie tego dłużej nie zniosą. A nadzieja na pozytywne zmiany jest teraz ogromna. Przecież zmienił się prezydent, powinno się więc zmienić i życie ludzi.

– I wy tutaj jesteście przekonani, że te zmiany, na które czeka kraj, to reformy wolnorynkowe? Rosjanie przecież powszechnie uważają, że to reformy są przyczyną wszelkich bied, które w ostatnich latach na nich spadły.

– Powiedzmy sobie uczciwie. W Rosji mieliśmy szok, najwyższy czas na terapię. My w strategii, którą przygotowujemy, będziemy się domagać wprowadzenia możliwości handlu ziemią, reformy podatkowej, zrównania w prawach inwestorów krajowych i zagranicznych. Ale nie dlatego, by po prostu zbudować wolny rynek dla samego wolnego rynku. Naszych ekspertów łączy przekonanie, że w Rosji musi powstać społeczeństwo obywatelskie. Takie, w którym człowiek ma gwarancje, że może uczciwie prowadzić swój prywatny interes, gwarancje tego, że państwo jutro nie odbierze mu jego pieniędzy, majątku. Że państwo będzie wypełniać wobec niego te zobowiązania, które na siebie wzięło. Nie tak jak teraz, kiedy z góry wiadomo, że w budżecie nie będzie nawet jednej trzeciej pieniędzy niezbędnych do spełnienia tego, co rząd obiecuje społeczeństwu.

– A skąd pewność, że prezydent przyjmie wasze propozycje, a nie to, co podsuwają mu wasi konkurenci, a jego koledzy z FSB?

– To nie są nasi konkurenci, ale sprzymierzeńcy. FSB jako jedna z instytucji państwowych też musi zacząć wypełniać swoje zobowiązania wobec społeczeństwa. A co do Putina, to jesteśmy przekonani, że on rzeczywiście chce reformować Rosję – zapewnia Dworkowicz.

Choć minęło już sto dni od czasu, kiedy Jelcyn abdykował na rzecz Putina, nowy prezydent wciąż jest dla Rosjan zagadką. Nie zmienia składu rządu, nie zdradza się ze swymi poglądami na gospodarkę.

Jego współpracownicy obiecują, że przyłbicę odłoni dopiero po zapowiedzianej na 7 maja oficjalnej inauguracji.

Na razie z upodobaniem oddaje się innym zajęciom. Lata myśliwcem do Czeczenii i w powietrzu przejmuje nawet stery maszyny. Spełnia – jak sam przyznaje – swoje chłopięce marzenie i na pokładzie okrętu podwodnego pogrąża się w głąbiny Morza Barentsa. Tam przechodzi chrzest morski – ze szklanej obudowy lampy pokładowej (pojemność 0,7 litra) pije słoną wodę i całuje kołyszący się razem z okrętem podwieszony pod sufitem młot kowalski. A potem przygląda się startowi rakiety balistycznej.

– Dla niego Rosja to jeden wielki Disneyland. Tylko patrzeć, jak dla zabawy gruchnie gdzieś głowicą jądrową – ironizuje Andriej Czerkiewow, komentator Radia Echo Moskwy.

A demokratyczny deputowany Siergiej Juszenkow proponuje Dumie, by oficjalnie wytknęła prezydentowi, że nie wypada mu popisywać się odwagą na niebezpiecznych zabawkach.

Juszenkow obawia się, że Putin nie chce lub nie jest w stanie spełnić nadziei, które wiąźali z nim zwolennicy reform. I nie jest w tych obawach odosobniony.

Niedawno Borys Fiodorow, były wicepremier i minister finansów, tłumaczył mi, że w Rosji liczą się nie tyle dokumenty, deklaracje ogłaszane przez rząd czy Kreml, ile decyzje kadrowe. – Dla biurokratów wszystkich szczebli, biznesmenów dopiero informacja o tym, kogo zdjęli, kogo postawili, kto poszedł siedzieć, jest jasnym i zrozumiałym sygnałem o tym, jaka teraz obowiązuje polityka, skąd wieje wiatr – tłumaczył Fiodorow.

Jego zdaniem Putin udowodni, że skończyły się „jelcynowskie nieporządki” i teraz czas na zmiany, dopiero gdy przykładnie ukarze jednego z gubernatorów, którzy w regionach rządzą jak

feudalni książęta, i jednego z oligarchów, którzy w ostatnich latach prywatyzowali rosyjskie bogactwa i rządili Kremlen.

Wydawać by się mogło, że idealnym kandydatem na pokazową egzekucję samowolnego regionalnego satrapy będzie Władimir Jakowlew, mer Sankt Petersburga. W mieście nad Newą reją wodzą bandyci, którzy w powszechnej opinii miejscowych są związani z miejscową władzą. Jakowlew do niedawna był jednym z przywódców opozycyjnej wobec Kremla Ojczyzny-Całej Rosji. A do tego Putin ma z nim stare porachunki. Obaj byli kiedyś zastępcami mera Sankt Petersburga Anatolija Sobczaka i w Smolnym darli koty. Potem Jakowlew został merem, wygrywając z Sobczakiem i szefem jego sztabu wyborczego Putinem.

Sobczak po stracie stanowiska został oskarżony o nadużycia, rozchorował się i musiał w końcu uciekać do Francji. Na jego pogrzebie dwa miesiące temu Jakowlewa nie było. Wdowa Ludmiła Narusowa zapowiedziała, że nie życzy sobie, by u trumny pojawiał się człowiek, który „organizował nagonkę” na jej męża.

Putin, który przyleciał do Petersburga na pogrzeb byłego szefa i profesora (Sobczak był jego wykładowcą na wydziale prawa uniwersytetu), publicznie ronił łzy. W wywiadzie dla miejscowego radia zapewniał, że były mer „nie umarł – on zginął w wyniku nagonki”. Nie wskazał wprost na Jakowlewa jako na jej organizatora, ale i tak wszyscy wiedzieli, o kogo chodzi.

A były premier Siergiej Stiepaszyn na pogrzebie Sobczaka przy otwartej trumnie uroczyście zapowiadał, że on, jako były mieszkaniec Sankt Petersburga, jest gotów „spłacić swój dług wobec rodzinnego miasta”. Spłacić dług znaczyło w tym wypadku stanąć przeciw Jakowlewowi do zapowiedzianych na 14 maja

wyborów mera. Popularny w Rosji Stiepaszyn wsparty przez Putina na pewno pokonałby przeciwnika.

Sam Jakowlew nie potrafił zapanować nad sobą. Widać było, że jest przerażony. Ręk jednak nie opuścił. Zmienił front i w czasie wyborów prezydenckich „postarał się” i zapewnił Putinowi poparcie 60 procent mieszkańców miasta. Za Jakowlewem stanął też związany z Kremlem miliarder Borys Bieriezowski, który spodziewa się, że w Sankt Petersburgu, gdzie powstaje nowy port naftowy, będzie można robić dobre interesy.

I prezydent nie wystawił Stiepaszyna przeciw wrogowi swego publicznie opłakiwanego mistrza. W bój posłał natomiast wicepremier Walentynę Matwijenko, która też kiedyś pracowała w leningradzkim komsomole. Oficjalnie jej jednak nie poparł, a w końcu poprosił, by zrezygnowała z kandydowania i wróciła do pracy w rządzie.

Pozbywszy się jedynej groźnej konkurentki, Jakowlew, który rzeczywiście nie panuje nad wyrazem swojej twarzy, ostatnio rozkwita w uśmiechach i opowiada, że 14 maja, w dniu wyborów, wspólnie z Putinem zainauguruje w Sankt Petersburgu hokejowe mistrzostwa świata.

– Kiwają nas – w imieniu nie tylko petersburskich demokratów żalił się na Putina zaskoczony wiadomością o wycofaniu Matwijenko Julij Rybakow, lider partii Demokratyczna Rosja [Jakowlew wybory wygrał, rządził miastem do 2003 roku, potem – do 2007 roku – był ministrem rozwoju regionalnego].

Kiedy „harwardzkie malcziki” – jak w Rosji nazywają liberalnych ekonomistów – szykują wzorem doradcy cara Aleksandra I Michaiła Sperańskiego wielką reformę Rosji, agenci FSB myślą, jak wziąć kraj pod swoją kontrolę, a prezydent lata myśliwcem i pływa okrętem podwodnym, prawdziwi mężczyźni,

czyli ci, którzy przy Jelcynie rządzą Kremlem, robią prawdziwe interesy.

Korzystając z przedwyborczego zamieszania, Bieriezowski i Roman Abramowicz, para kremlowskich oligarchów, przejęli Krasnojarski Kombinat Aluminiowy. Skok planowali już od dawna. Dwa lata temu Bieriezowski pomógł Aleksandrowi Lebiedziowi wygrać wybory na gubernatora Krasnojarska. Generał zaś tak energicznie zabrał się za Anatolija Bykowa, przewodniczącego rady dyrektorów kombinatu, że ten znalazł się w więzieniu. Firma pozbawiona szefa stała się już łatwym łupem.

– W Rosji przejmują się dziś duże i małe przedsiębiorstwa, korzystając z ustawy o bankructwie, która została napisana jakby pod dyktando bandytów – wyjaśnia Michaił Dielagin, dyrektor Instytutu Problemów Globalizacji. – Wystarczy, korzystając z nieuwagi kierownictwa firmy, umieścić na jej kontach jakąś kwotę, a potem dowieść przed sądem, że ona nie została zwrócona na czas. I można wszczynać procedurę bankructwa. A kiedy ona już się zacznie, ci, którzy chcą przejąć firmę, zjednawszy sobie komorników, bez trudu mogą sparaliżować pracę przedsiębiorstwa. Kiedy zabrakło Bykowa, akcjonariusze Krasnojarskiego Kombinatu Aluminiowego zrozumieli, że nie są w stanie przeciwstawić się kremlowskim oligarchom. Przyjęli propozycję, która w tej sytuacji była nie do odrzucenia, i odsprzedali swoje akcje.

Kiedy poszły słuchy, że Bieriezowski i Abramowicz przejęli aluminiowego giganta, w Rosji podniósł się szum. Ale oligarchowie dobrze się zabezpieczyli. Ministerstwo polityki antymonopolowej w pocie czoła badające, kto w rzeczywistości wszedł w posiadanie pakietu kontrolnego akcji krasnojarskiego kombinatu, nie było w stanie rozwiązać skomplikowanej

łamięłówwki złożonej z dziwnych spółek powoływanym przez banki, które już dawno zbankrutowały.

Kremlowscy oligarchowie na tym nie poprzestali. W podobny sposób przejęli kontrolę nad kolejnymi hutami i kopalniami boksytu. Dziś rządzą 80 procentami rosyjskiego przemysłu aluminiowego, którego roczne obroty ocenia się na blisko 5 miliardów dolarów.

Spora część moskiewskich obserwatorów tłumaczy, że wchodzący w skład jalcynowskiej „rodziny” oligarchowie, przeczuwając swój rychły zmierzch, w pośpiechu starają się przejść, co się da, by z tym zejść ze sceny na sute emerytury. – Oni dogadali się z Putinem, że on teraz pozwoli im robić interesy na aluminium za to, że oni zrezygnują z udziału w polityce – przypuszcza Dielagin.

Kto jednak może dać gwarancje, że ci, którzy w czasach Jelcyna rządźili Rosją, już ostatecznie zrezygnowali z ambicji politycznych? Aleksander Wołoszyn, który i przy Putinie zachował fotel szefa administracji prezydenta, i związany z oligarchami wicepremier Michaił Kasjanow ostatnio weszli w skład komisji, która będzie mieć decydujące słowo przy ostatecznym redagowaniu strategii przygotowanej prezydentowi przez Alexander House. Oni i ich mocodawcy będą też mieć sporo do powiedzenia przy formowaniu nowego gabinetu.

Leonid Radzichowski, komentator dziennika „Siewodnia”, podsumowując pierwsze 100 dni Putina, przypomina, że świat obawiał się dzisiejszego prezydenta jako czekisty, podejrzewał, że nie potrafi on „wystarczająco ostrożnie” posługiwać się władzą. – Te obawy nie zniknęły. Lecz jego pasywność, jego niezdecydowanie (choćby w sprawie Sankt Petersburga) sprawiają, że pojawiają się nowe obawy – a może jest

człowiekiem zbyt łagodnym, który w ogóle nie potrafi posługiwać się władzą? – pyta Radzichowski.

8.05.2000, poniedziałek

CAR I PREMIER

– Pierwszy raz w historii naszego państwa najwyższa władza jest przekazywana demokratycznie – mówił wczoraj podczas zaprzysiężenia nowy prezydent Rosji Władimir Putin.

Po złożeniu przysięgi Putin przedstawił swoją wizję rozwoju Rosji: – Zmiana władzy to zawsze próba odporności konstytucyjnego porządku. Przeszliśmy tę próbę. Dowiedliśmy, że Rosja staje się prawdziwie demokratycznym, nowoczesnym państwem. Przekazanie władzy pokojowo, zgodnie z prawem i wolą narodu to sprawa najważniejsza dla politycznej stabilności, o której wszyscy marzyliśmy i o którą walczyliśmy. Mamy obowiązek strzec tego, co zdobyliśmy. Chronić i rozwijać demokrację, czynić tak, by władza wybrana przez naród działała w jego interesie, broniła rosyjskiego obywatela – i u nas, i za granicami kraju.

Przemówił też, przekazując Putinowi insygnia najwyższej władzy, były prezydent Borys Jelcyn, który był w kiepskiej formie, gubił się, czytając tekst: – Musimy budować nową Rosję. Po to nadchodzi nowe, młode pokolenie polityków, mocno przywiązanych do demokratycznych wartości. Im będzie łatwiej. Ich nie krępują jak nas nawyki z przeszłej epoki, oni śmieiej walczą z przestarzałymi dogmatami.

Przed uroczystością w centrum stolicy milicja i służby specjalne zatrzymały ruch kołowy. Kremlowska Nabiereżna, którą orszak

Putina w eskorcie motocyklistów jechał w kierunku Kremla, została oczyszczona nawet z przechodniów.

Nadzwyczajne środki bezpieczeństwa przypominały, że na inaugurację jedzie głowa państwa, które prowadzi wojnę na Kaukazie Północnym.

Przed inauguracją gazety przyznawały, że Rosja „jest bezpośrednim dziedzicem tradycji Bizancjum” i dlatego – jak tłumaczyły – tak wielką wagę przywiązuje się tu do tego, jaki będzie każdy szczegół ceremoniału.

Putin nie zgodził się na to, by inauguracja odbyła się na placu Soborowym między kremlowskimi cerkwiemi i by główną rolę odegrał patriarcha Wszechrusi Aleksij II. Taki charakter prezydenckiej inauguracji za bardzo jednak przypominałby carską koronację.

Inauguracja odbywała się więc w Sali Andriejewskiej Wielkiego Pałacu Kremlowskiego, zwanej też tronową. Z przepychem kapiącej od złota sali (dawną świetność pałacowi przywróciła oskarżana o korumpowanie moskiewskich urzędników szwajcarska firma Mabetex) harmonizowały nibycarskie mundury kremlowskich wartowników.

Nie wszystkim jednak przypadły one do gustu. – Wymyślili jakieś operetkowe kostiumy, w istocie rzeczy mające niewiele wspólnego z historycznymi mundurami. Hollywoodzka imitacja historii nie pasuje do tak poważnej uroczystości – powiedział „Wyborczej” oburzony prof. Michaił Gorbaniewski, potomek znanej arystokratycznej rosyjskiej rodziny.

Aby uniknąć zbyt bliskich skojarzeń, carski tron stojący w Sali Andriejewskiej na czas uroczystości dyskretnie zasłonięto błękitną draperią (cztery lata temu, kiedy Borys Jelcyn na miejsce swej

inauguracji wybrał kremlowski Pałac Zjazdów, draperia zakrywała stojącą tam statwę Lenina).

Dla Aleksija II, który w roku 1996 stał obok składającego prezydencką przysięgę Jelcyna, tym razem nie znalazło się miejsce na podium. Dopiero po inauguracji i defiladzie pułku kremlowskiego nowy prezydent przeszedł do Soboru Błagowieszczeńskiego, gdzie patriarcha odprawił uroczyste nabożeństwo.

Po ceremonii prezydent przejechał z Kremla do siedziby rządu i przyjął jego dymisję. Od razu też wskazał kandydata na nowego premiera. Został nim dotychczasowy wicepremier, czterdziestodwuletni Michaił Kasjanow. Moskiewscy obserwatorzy nie mają wątpliwości, że parlament bez oporu go zatwierdzi.

Wciąż nieznany jest program nowego rządu. – Kasjanow to technokrata, znakomity wykonawca poleceń. Odniósł sukcesy w negocjacjach o restrukturyzacji długów Rosji, ale nie jest postacią wielkiego formatu – mówi „Wyborczej” Konstantin Borowoj, były deputowany demokratyczny. – Całą karierę zawdzięcza Putinowi i tylko od niego jest zależny.

10.07.2000, poniedziałek

MANIFEST LIBERAŁA

– Najważniejszym zadaniem państwa w gospodarce jest obrona wolności ekonomicznej – powiedział Władimir Putin w orędziu o stanie państwa, które uznano za pierwsze wystąpienie programowe nowego prezydenta.

Orędzie o stanie i zadaniach państwa, które prezydent ma obowiązek wygłosić co roku do Zgromadzenia Federalnego – członków obu izb parlamentu, wysokich urzędników centralnych i przywódców społeczności religijnych – nigdy jeszcze nie budziło takiego zainteresowania. Jak napisał „Kommiersant”, deputowani i gubernatorzy w poprzednich latach przychodzili na Kreml nie tyle po to, by słuchać, ile po to, by „się przekonać, czy Jelcyn jeszcze żyje”.

Z Putinem rzecz miała się inaczej. Rosja oczekiwała, że Putin w orędziu wygłosi swój program.

Prezydent w czarnych barwach opisał dzisiejszy stan państwa i społeczeństwa. – Nas, obywateli Rosji, z roku na rok jest coraz mniej. Liczba mieszkańców kraju co roku zmniejsza się o 750 tysięcy osób. Grozi nam, że staniemy się narodem zgrzybiałym – przestrzegają.

Rosja według Putina pozostaje krajem słabym ekonomicznie, wciąż zwiększającym dystans do państw rozwiniętych, spadającym do poziomu Trzeciego Świata. Prezydent ostrzegają, że nikt nie powinien dać się omamić dzisiejszym wzrostem

gospodarczym, bo cyfry wyglądają dobrze tylko na tle bardzo niskich wskaźników ubiegłorocznych. Poprawa sytuacji wynika z koniunktury na rynkach zewnętrznych, a nie jest skutkiem wewnętrznych reform.

Rosji potrzebny jest „zdolny do konkurowania na rynkach międzynarodowych, stabilny system ekonomiczny”. Budując ten system, „musimy wyciągnąć wnioski ze swych doświadczeń i zgodzić się, że najważniejszym zadaniem państwa w gospodarce jest obrona wolności ekonomicznej”.

„Państwo powinno zagwarantować prawa własności”, między innymi własności ziemi. Zadaniem państwa jest też gwarantowanie równych praw. Nie może być tak, że dziś państwo jednemu przedsiębiorstwu daje przywileje – „niższe taryfy na energię, liczne ulgi” – a inne firmy „faktycznie opłacają przywileje, które przysługują tym pierwszym” – zapowiedział prezydent.

Zdaniem Putina rola państwa w gospodarce jest i zbyt duża, i zbyt mała. Państwo zbyt wiele posiada, zbyt wiele konsumuje, próbuje zbierać zbyt wiele podatków. Natomiast „zbyt pasywnie” broni prawa, nie stara się, by Federacja Rosyjska stała się „jednolitą przestrzenią ekonomiczną”.

Zapowiadając, że będzie budować silne – lub „jak kto woli, efektywne” – państwo, bo tylko takie jest w stanie „bronić wolności”, Putin powiedział, że stawia też na rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Prezydent uważa, że czas najwyższy uwolnić Rosjan „od pańszczyźnianej bierności”, która sprawia, iż tak wiele spodziewają się od władzy, a tak mało polegają na sobie. „Trzeba skończyć z państwowym kłamstwem socjalnym” obiecującym bezpłatne szkolnictwo, służbę zdrowia,

niezliczone ulgi. Pomoc socjalna powinna być ograniczona i trafiać wyłącznie do najbardziej potrzebujących.

Prezydent zadeklarował, że „bez wolnych mediów nie będzie rosyjskiej demokracji”. Obiecał stworzenie „warunków do rozwoju cywilizowanego biznesu informacyjnego”, dzięki czemu finansowo samowystarczalne media staną się niezależne nie tylko od państwa, ale także od swych dzisiejszych „sponsorów i gospodarzy”.

– To nie mój program. To program prezydenta – powiedział „Wyborczej” po wystąpieniu prezydenta jego wpływowy doradca Andriej Iłarionow, uważany w Moskwie za fanatycznego liberała.

Wasilij Szandybin, jeden z najbardziej aktywnych komunistów w Dumie, mówił, że podobało mu się to, co prezydent mówi o konieczności umacniania państwa. – Liberalne hasła w jego wystąpieniu? Nie zauważyłem – dodał Szandybin.

– Mądre, ładne słowa. Ale one tylko ukrywają to, co się u nas dzieje. A mamy do czynienia ze zmianą ustroju. Przy Jelcynie mieliśmy system federacyjno-demokratyczny. To, co tworzy Putin, to centralizacja, w istocie reżim autorytarny. W efekcie będzie się też zmieniać na gorsze sytuacja gospodarcza. To oczywiste. Odczujemy to na początku przyszłego roku – usłyszałem od Borysa Bieriezowskiego, w czasach Jelcyna kremlowskiego oligarchy, teraz skupiającego wokół siebie antyputinowską opozycję.

21.12.2000, czwartek

NOWY-STARY HYMN

Rada Federacji opowiedziała się wczoraj za tym, by muzyka Aleksandra Aleksandrowa znów stała się hymnem państwowym, a czerwona flaga – sztandarem sił zbrojnych.

Za melodią Aleksandrowa głosowało 144 senatorów, dwóch się wstrzymało, jeden był przeciw. Zaraz po przyjęciu uchwały w sali obrad zabrzmiała muzyka, która w latach 1943-1991 była hymnem ZSRR, a przedtem – partii bolszewickiej. Prawie wszyscy wstali.

Siedział jedynie Nikołaj Fiodorow, prezydent Republiki Czuwaskiej, dziś najbardziej wśród gospodarzy regionów aktywny przeciwnik Władimira Putina. Jak potem tłumaczył, uczynił to „ze względów zasadniczych”.

Jeszcze większy entuzjazm wzbudziła czerwona flaga. 147 członków Rady Federacji głosowało za tym, by uczynić ją sztandarem sił zbrojnych Rosji. Nikt nie był przeciw, wstrzymał się jeden. Izba wyższa zaakceptowała też biało-niebiesko-czerwoną, pochodzącą z czasów Piotra I, flagę Rosji i carskiego dwugłowego orła jako godło kraju.

Teraz pod przyjętą już przez obie izby parlamentu decyzją o hymnie, fladze i herbie musi się jeszcze podpisać prezydent [Putin zrobił to błyskawicznie]. W Rosji nowy hymn wykonywano oficjalnie po raz pierwszy 1 stycznia. Tym razem też tak będzie i kraj przywita nowy wiek dźwiękami stalinowskiego

hymnu. Być może do tego czasu Putin „tymczasowo” zatwierdzi którąś z propozycji tekstu starego-nowego hymnu.

Z przywrócenia pieśni Aleksandrowa – jak wykazują sondaże – cieszy się ponad 70 procent Rosjan. Nie życzy jej sobie 11 procent. Zdecydowanie odrzuca radziecki hymn 3 procent. Siergiej Kowalow, znany obrońca praw człowieka, zapowiada:

– Nie będę wstawać przy dźwiękach tej melodii. Mnie przy niej sadzali.

Władimir Ustinow, prokurator generalny, próbował niedawno przekonać przeciwników hymnu, że mają prawo wyboru. Wyszło niezbyt zręcznie, bo prokurator powiedział: – Rosja jest krajem demokratycznym. Kto nie wstanie, będzie siedział.

27.10.2001, sobota

ZIEMIA NA SPRZEDAŻ

Po 84 latach od rewolucji bolszewickiej ziemię w Rosji znów będzie można sprzedawać i kupować. Prezydent Putin podpisał w piątek kodeks ziemski.

Nowa ustawa, która wchodzi w życie po opublikowaniu w sobotniej prasie, nie dotyczy ziemi rolnej, lecz jedynie działek budowlanych, przemysłowych i ogródków. Będzie je można kupować, zastawiać, dziedziczyć i sprzedawać – także inwestorom zagranicznym.

Nie nastąpi to jednak od razu. Wkrótce ukaże się dekret prezydenta zawierający listę regionów przygranicznych i „problemowych”, w których obcokrajowcy będą mogli co najwyżej dzierżawić działki, lecz nie staną się ich właścicielami. Na tej liście na pewno znajdzie się Czeczenia, obwody graniczące z Chinami i prawdopodobnie także obwód kaliningradzki.

– Póki nie będzie dekretu prezydenta, nie będziemy sprzedawać ziemi cudzoziemcom – zapowiedziała Jelena Bondarienko, kierownik wydziału reformy ziemskiej w ministerstwie stosunków własnościowych. Jej zdaniem na ten dokument nie trzeba będzie długo czekać.

W grudniu ma być gotowy projekt kodeksu dotyczącego ziem rolnych. Handel tymi gruntami nawet w czasach carskich nigdy nie był w pełni wolny. Teraz ma się to zmienić, tym bardziej

że konstytucja Federacji Rosyjskiej mówi, iż „ziemia w Rosji jest własnością prywatną”

Kodeks ziemski nie jest pierwszą ustawą, która radykalnie zmienia ustrój gospodarczy Rosji. Obowiązuje już najniższy w Europie, trzynastoprocentowy liniowy podatek dochodowy. Duma wiosną 2001 roku obniżyła z 35 do 24 procent podatek od zysku przedsiębiorstw. Trwają prace nad nowym kodeksem pracy. Ma on umożliwić zatrudnianie na czas określony i zwalnianie pracowników bez zgody związku zawodowego (dziś przedsiębiorcy rosyjscy skarżą się, że nie mogą się pozbyć nawet tych, którzy się regularnie upijają i kradną).

Duma przyjęła też pakiet ustaw o emeryturach, dzięki którym wysokość przyszłych emerytur będzie zależała od dzisiejszych zarobków. Na razie, zgodnie z zasadami komunistycznej urawniłowki, zarabiający na przykład 50 tysięcy rubli może liczyć na taką samą emeryturę jak ten, kto zarabia 2 tysiące, choć płaci składki 25 razy wyższe.

Parlament pracuje również nad nowym kodeksem obywatelskim umacniającym prawo własności prywatnej oraz nad liberalizacją przepisów walutowych.

12.01.2002, sobota

SKAZANA TELEWIZJA

Rosjanie tracą ostatni niezależny od władz ogólnokrajowy kanał telewizyjny. Wczorajszy wyrok najwyższego sądu administracyjnego uznający TW-6 za bankruta jest ostateczny.

– To decyzja skrajnie bezprawna i wyłącznie polityczna – powiedział o wyroku demokratyczny deputowany Borys Niemcow.

TW-6 jest likwidowana tymi samymi metodami, których władze Rosji użyły, kiedy wiosną 2001 roku pacyfikowały kontrolowany przez Władimira Gusinskiego kanał NTV. Wtedy konflikt wokół telewizji, która ośmielała się krytykować armię za wyczyny w Czeczenii, oskarżać prokuraturę generalną o korupcję i uparcie pytać, kto wysadził w powietrze domy w Moskwie jesienią 1999 roku, władze – w tym sam prezydent Władimir Putin – nazywały uparcie „sporem dwóch podmiotów gospodarczych”.

Pierwszy z nich – Gazprom (38 procent jego akcji należy do państwa) – zażądał od drugiego – Media Mostu (holding medialny należący do ściganego przez prokuraturę i ukrywającego się na emigracji Gusinskiego) – natychmiastowego zwrotu długów lub przekazania akcji telewizji. Motywował to tym, że zobowiązania Media Mostu wobec wierzycieli są warte więcej niż majątek firmy. Nie chciał słyszeć o tym, że poważni zagraniczni inwestorzy – jak Ted Turner,

założyciel telewizji CNN – są gotowi kupić pakiet kanału i wzmocnić go poważnym zastrzykiem finansowym. Gazprom wręcz się spieszył, by skończyć spór o NTV, zanim do gry wejdzie zagraniczny kontrahent. W kwietniu przedstawiciele spółki gazowej przejęli redakcję.

Trzon zespołu pod wodzą redaktora naczelnego i jednocześnie dyrektora generalnego Jewgienija Kisielowa odszedł. Część ludzi została. NTV wciąż nadaje, czasem nawet krytykuje władze, stała się jednak mdła i traci popularność.

Kisielow ze swoją grupą znalazł schronienie w kontrolowanym przez Borysa Bieriezowskiego (też wtedy ściganego przez prokuraturę i przebywającego na emigracji) TW-6. Miliarder nieco wcześniej został zmuszony przez państwo do pozbycia się swych akcji telewizji ORT i wiosną 2001 roku próbował rozkręcić zaniedbaną TW-6.

Kisielow zaczął prezentować na nowym kanale swoje *Itogi* (cotygodniowy program publicystyczny), Wiktor Szenderowicz – satyryczny program *Kukły*, telewizja pokazała pierwszy w Rosji reality show *Za szybko*, który bił rekordy popularności. Kanał zdobywał nowych widzów (dziś ogląda go 40 procent Rosjan), stale wzrastały wpływy z reklam.

Kij, który władza znalazła na TW-6, to Łukoil (spółka naftowa, w której 64,64 procent udziałów należy do państwa). Firma, właściciel 15 procent akcji kanału, złożyła do sądu wnioski o ogłoszenie stacji bankrutem, a to na tej podstawie, że jej długi są większe niż wartość całego majątku. Takie też było oficjalne uzasadnienie wyroku.

Sąd zapomniał dodać, że pod tym pretekstem można by zamknąć większość firm rosyjskich. Rzecznik stacji Geraldina

Liubarska powiedziała też Radiu Echo Moskwy, że sąd nawet nie zażądał ksiąg rachunkowych.

Kisielow takie postawienie sprawy nazywa „eutanzją rekonwalescenta”. – Znaleźliśmy się w sytuacji jak z makabrycznej anegdoty. Pacjent protestuje, kiedy zabierają go na sekcję zwłok, a sanitariusze tłumaczą: „Jeśli doktor powiedział: do kostnicy, to do kostnicy” – opisywał absurdalność tego, co działo się wokół TW-6.

Departament Stanu USA, były prezydent Borys Jelcyn, organizacje dziennikarskie, demokratyczni politycy występowali w obronie zagrożonego kanału. Najwyższy sąd administracyjny uznał jednak TW-6 za bankruta.

– Tu nie chodzi o spór między podmiotami handlowymi, to czysta polityka. Rząd boi się usłyszeć o swoich zbrodniach – stwierdził Borys Bieriezowski, właściciel 75 procent akcji TW-6. Wyrok sądu jest ostateczny. Dwa dni wcześniej Waszyngton zwrócił się do władz rosyjskich o sprawiedliwy wyrok dla TW-6. Zapowiedziane na poniedziałek zebranie akcjonariuszy kanału zgodnie z werdyktem sądu musi ogłosić rozwiązanie stacji.

– To jak w starej anegdocie. Człowiek włącza pierwszy kanał telewizji, a tam Breżniew. Przełącza na drugi – Breżniew, na trzeci – Breżniew. Przełącza na czwarty, a tam pułkownik KGB grozi mu pięścią i krzyczy: – Ja ci przełączę! – komentuje Aleksiej Simonow, przewodniczący Fundacji Obrony Głosności. – Co tu komentować, stajemy się nieprzyzwoitym krajem, gdzie władza dyszy żądzą zdeptania wrogów, a sądy się jej wysługują. Międzynarodowa opinia publiczna powinna zauważyć, że w Rosji nie ma już nie tylko mediów niezależnych, ale nawet i takich, które ośmielają się mieć niezależny punkt widzenia. Wkrótce na pierwszym,

drugim i trzecim kanale będzie Putin, a on i na czwartym też może wystąpić.

15.01.2002, wtorek

DEMOKRATA CZY TYLKO REFORMATOR?

Kiedy dwa lata temu Borys Jelcyn oddawał mu władzę na Kremlu, świat pytał: „Kim jest Mr. Putin?”. Dziś można już powiedzieć, że reformatorem. To jednak, czy potrafi – jak pisał Mickiewicz o carze Piotrze I – „Rosyją ucywilizować”, pozostaje pytaniem otwartym.

W Moskwie powtarzają, że 2001 rok był „rokiem Putina”, czasem ważnych przemian w Rosji i spektakularnych sukcesów prezydenta na arenie międzynarodowej.

Władimir Putin potrafi wykorzystywać okazje, które daje mu historia. 11 września 2001 roku umiał zareagować błyskawicznie. Krótco po zamachach Al-Kaidy na Nowy Jork jako pierwszy przywódca światowy zadzwonił do prezydenta USA George’a Busha z wyrazami współczucia i deklaracją solidarności.

Chwilę później wystąpił w telewizji z orędziem do narodu nie tyle rosyjskiego, ile amerykańskiego, zapewniając: „Jesteśmy z wami!”. Wkrótce potem powiedział, że Ameryka ma prawo do odwetu, a odpowiadać za jego ewentualne przypadkowe ofiary powinni terroryści, którzy zaatakowali pierwsi.

Tak postąpił ten sam Putin, który rok wcześniej nie przerwał urlopu w Soczi, kiedy załoga atomowego okrętu podwodnego „Kursk” dogorywała na dnie Morza Barentsa, a krajowa

i światowa opinia publiczna oskarżały władze Rosji o zbrodniczą beczynność (prawdopodobnie doszło do wybuchu torpedy, część ze 118 członków załogi przeżyła wybuch, ale zmarła z braku tlenu, nie doczekawszy się pomocy).

Wtedy dopiero – dwa tygodnie po tragedii – Putin pojechał do Widajewa, stanął przed szalejącymi z rozpaczy wdowami po marynarzach i w przyptywie emocji obiecał im, że wrak okrętu i ciała marynarzy zostaną wydobyte na powierzchnię.

Dzięki swej polityce po 11 września Putin osiągnął wiele: większe zaufanie USA i innych państw Zachodu, silniejsze miejsce przy stole NATO, wreszcie – dla niego bardzo ważne – wyraźne zmniejszenie krytyki za brudną wojnę w Czeczenii.

Nawet jego najwięksi do tej pory oponenti, na przykład Grigorij Jawliński, dziś powtarzają, że na arenie międzynarodowej Putin po 11 września „działa bezbłędnie” – Zgadzam się ze wszystkim, co do tej pory zrobił w sprawach międzynarodowych – zapewnia lider demokratycznego Jabłoka, któremu – jak twierdzą powszechnie obserwatorzy moskiewscy – „z reguły nic się nie podoba”

Najtrudniejszy egzamin Putin przeszedł, kiedy już po przyjacielskim spotkaniu prezydentów Rosji i USA na ranczu w Teksasie Waszyngton ogłosił, że wycofuje się z porozumienia o obronie przeciwrakietowej (ABM) zawartego w 1972 roku ze Związkiem Radzieckim. Wcześniej Rosjanie (i sam Putin) twierdzili, że uważają układ za „kamień węgielny międzynarodowego systemu bezpieczeństwa”

Kiedy Biały Dom ogłosił swoją decyzję, Putin zareagował bardzo spokojnie. Poprzestał na stwierdzeniu, że krok Amerykanów „nie zagraża bezpieczeństwu Rosji” – Ta reakcja dowodzi, że nasz sojusz z Zachodem to nie wynik krótkotrwałej

koniunktury. Pokazujemy, że dla Moskwy to rzecz poważna – komentowali publicyści rosyjscy, w tym Stanisław Tarasow, szef działu zagranicznego związanego z Kremlen tygodnika „Wiek” „Moskwa zdała ważny test” – oceniały gazety zachodnie.

I nawet Władimir Żyrinowski oświadczył, że oto nastąpił „ostateczny koniec konfrontacji rosyjsko-amerykańskiej”. A jeszcze trzy lata temu, gdy bombowce NATO ruszyły na Serbię, lider nacjonalistów ogłaszał, że „wybuchła trzecia wojna światowa między Rosją a Stanami Zjednoczonymi”, i wzywał studentów do wstępowania do legionu, który miał walczyć z Amerykanami na Bałkanach.

To, że akurat Żyrinowski radykalnie zmienił poglądy, wcale nie jest dziwne. On zawsze dobrze wie, skąd wieje wiatr. Fenomen polega na tym, że społeczeństwo rosyjskie akceptuje prozachodni kurs prezydenta.

Jeszcze trzy lata temu, kiedy rozpoczęły się bombardowania Jugosławii [przez NATO, chodziło o powstrzymanie czystek etnicznych w Kosowie dokonywanych przez władze Jugosławii pod wodzą Slobodana Miloszevicia], premier Jewgienij Primakow zawrócił nad Atlantykiem swojego Ił-62, którym leciał do USA. Ten piruet powietrzny sprawił, że notowania premiera w oczach społeczeństwa raptownie wzrosły.

Teraz Putin zawraca Rosję w przeciwnym kierunku i nie tylko nie traci na popularności, ale nawet nieco zyskuje (bardzo już zyskać nie może, bo – jak dowodzą sondaże – jego działalność akceptuje ponad 80 procent rodaków).

Dlaczego ci sami Rosjanie, którzy niedawno bili brawo premierowi odwracającemu się ostentacyjnie plecami do Amerykanów i swoich komandosów „zajmujących pod nosem NATO” lotnisko w kosowskiej Prisztinie, teraz aprobują sojusz

z Zachodem i godzą się na obecność sił NATO w byłych republikach radzieckich w Azji Centralnej?

– Gest Primakowa był gestem Rosji obrażonej i poniżonej. Kraju i społeczeństwa, z którym świat się nie liczył. Teraz Rosjanie wierzą, że przy Władimirze Putinie nikt się nie ośmieli poniżyć ich ojczyzny, że świat zrozumiał, iż jesteśmy mu bardzo potrzebni, a Ameryka widzi w nas partnera równoprawnego. To, co się stało po 11 września, pomogło naszemu społeczeństwu przewyciężyć kompleks niższości, który nas mocno dręczył – zauważa socjolog Aleksiej Lewinson.

Na świecie dziwią się, że Rosję ku Zachodowi zwraca były oficer KGB, agent wywiadu sowieckiego, a więc człowiek wychowany i szkolony do walki ze światem kapitalistycznym.

Według Siergieja Karaganowa, jednego z czołowych politologów rosyjskich, nie ma się czemu dziwić: – W czasach radzieckich nasz naród dzielił się na tych, którzy byli oszukiwani, i tych, którzy oszukiwali. Oszukiwali między innymi ludzie ze służb specjalnych. Oni sami doskonale zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje na świecie, jakie mechanizmy nim rządzą. W służbach lepiej niż gdziekolwiek indziej można się było nauczyć pragmatyzmu, nabyć zdolności trzeźwej oceny sytuacji, która charakteryzuje prezydenta.

Polakowi być może trudno to zrozumieć, ale dla przeciętnego Rosjanina, nawet młodego, KGB-owska przeszłość Putina jest zaletą. W tym kraju wciąż silna jest romantyczna legenda radzieckich służb specjalnych. Młodzi ludzie wychowani już w nowej Rosji bez zająknięcia powtarzają formułkę Feliksa Dzierżyńskiego, że „prawdziwy czekista ma gorące serce, chłodny umysł i czyste ręce”. Popularna grupa Lube na koncertach bisuje piosenkę o Glebie Żygłowie i Wołodii Szarapowie, dzielnych

oficerach śledczych z lat czterdziestych. A członkowie bardzo lubianego zespołu Rok Przystępny tak śpiewają o swych zmarnowanych szansach życiowych: „Moglibyśmy służyć w wywiadzie, moglibyśmy występować w filmach...”

Putin w wywiadzie-rzecz *Z pierwszych ust* stwierdził, że poszedł do KGB w porywie romantyzmu wywołanego książkami o czekistach, że jako młody człowiek stykał się tylko z takimi lekturami, a o zbrodniach popełnianych w Gułagu nic nie wiedział.

Andriej Czerkieszow, komentator Radia Echo Moskwy, dwa lata młodszy od prezydenta, uważa jednak, że Putin nie słyszał o zbrodniach NKWD, bo nie chciał: – Jako młody człowiek czytałem *Archipelag Gułag*, inne książki. Kto chciał prawdy, mógł i wtedy do niej dotrzeć.

Ale nawet dziś większość młodych Rosjan rozumie wybór prezydenta. Oni też nie bardzo chcą słuchać o tym, co się działo w łagrach. Pytani o Dzierżyńskiego odpowiadają, że był dobry, bo „przygarnął sieroty, które po rewolucji tułały się po kraju”. O tym, że założyciel Czeka i jego towarzysze najpierw uczynili te dzieci bezdomnymi sierotami, wolą nie myśleć.

Nawet to, że Putin w przeciwieństwie do swego poprzednika dotrzymuje słowa danego rodakom, wielu Rosjan tłumaczy tym, że on przeszedł „dobrą szkołę KGB”.

Rok po obietnicy danej wdowom w Widajewie, że wrak okrętu będzie wyciągnięty, „Kursk” wypłynął. Kosztowało to wprawdzie około 100 milionów dolarów i odebrało armii prawie wszystkie pieniądze na zakup nowego uzbrojenia, a w dodatku na dnie pozostał dziób okrętu kryjący tajemnicę katastrofy, ale prezydent słowa dotrzymał.

Obiecał, że bliscy poległych marynarzy otrzymają mieszkania i sowite rekompensaty. I wszystkie rodziny członków załogi „Kurska”, które znam, rzeczywiście dostały i pieniądze, i mieszkania. W bazach floty wojennej mówi się wręcz, że „tym od »Kurska«” żyje się lepiej niż tym, których bliscy wciąż wychodzą w morze i nieregularnie otrzymują mizerne pensje oficerskie.

W maju ubiegłego roku prezydent przyjechał do zalanego jeszcze powodzią Leńska i obiecał, że odbuduje miasto. Trzeba było wydać kolejne miliony dolarów. Siergiej Szojgu, minister do spraw sytuacji nadzwyczajnych i przyjaciel Putina, przez dwa miesiące osobiście gonił do roboty ludzi zwiezionych z całej Rosji i krajów Wspólnoty Niepodległych Państw na – jak to z ironią określała prasa moskiewska – „kolejną wielką budowę socjalizmu”. Pilnował, żeby nie pili, tropił złodziei materiałów budowlanych. I jesienią, zanim zaczęły się w Jakucji straszne mrozy, mieszkańcy Leńska wprowadzili się do nowych domów.

To kolejny paradoks: nawet tragedie i klęski, które spadają na Rosję, w ostatecznym bilansie sprawiają, że poparcie społeczeństwa dla prezydenta rośnie.

2001 rok, „rok Putina”, przyniósł także ogromne zmiany w rosyjskim ustawodawstwie.

Rosjanie zaczęli płacić najniższy w Europie, trzynastoprocentowy liniowy podatek dochodowy (wcześniej był podatek progresywny o skali od 12 do 35 procent). Parlament uchwalił obniżenie podatku dochodowego od firm, za dwa lata znikną podatki obrotowe. Ministerstwo finansów wylicza, że w ubiegłym roku ciężar podatkowy nałożony na rosyjskie przedsiębiorstwa zmniejszył się o kwotę równą 3 procent PKB. W tym roku zmniejszył się o kolejne 1,5 procent PKB.

Po dziewięciu latach przepychanek i sporów Rosja dostała kodeks ziemski zezwalający na kupno, sprzedaż, zastawianie i dziedziczenie działek budowlanych, przemysłowych i ogrodowych. W tym roku mają wejść z życie przepisy zezwalające na nabywanie na własność także gruntów rolnych.

Powstał nowy kodeks cywilny dający Rosjanom pełne gwarancje własności prywatnej. Trwa reforma systemu sprawiedliwości, w wyniku której zostaną ograniczone prawa prokuratury (dane jej jeszcze za Stalina) do wyłącznego decydowania o przebiegu śledztwa, a w praktyce często także i o wyroku.

Dla Rosjan reformy putinowskie to jednak nie tylko rzeczy przyjemne – takie jak obniżanie podatków czy przekazanie im na własność 60 milionów ogródków działkowych. Wkrótce wejdzie w życie nowa ustawa o gospodarstwie komunalnym i na przykład za gaz będą płacić nie 15 centów miesięcznie jak teraz, ale o wiele więcej.

– Przy Putinie powstały warunki pozwalające dokończyć reformy gospodarcze, które na początku lat dziewięćdziesiątych rozpoczął premier Jegor Gajdar – ocenia Władimir Mau, kierownik rządowego Centrum Reform Gospodarczych, jeden z najwybitniejszych ekonomistów rosyjskich.

– Tak głębokich reform nie było w Rosji od czasów Piotra Wielkiego – zapewniał Putina Klaus Schwab, przewodniczący Światowego Forum Gospodarczego, w czasie sesji Forum w Moskwie.

Szwajcar trafił znakomicie. Putin, kiedy na początku lat dziewięćdziesiątych był zastępcą mera Sankt Petersburga, miał – tak jak dziś na Kremlu – w swoim gabinecie portret Piotra

I. Podwładni prezydenta dziś wieszają u siebie zazwyczaj dwa portrety – cara reformatora i... Putina.

Klaus Schwab komplementuje umiejętnie, ale nieco mijają się z prawdą. Podobnie głębokie reformy przeprowadzał w Rosji dziewięćdziesiąt lat temu premier Piotr Stołypin. Dzięki niemu ziemia w Rosji stała się (na krótko, bo do rewolucji) towarem, uporządkowanie systemu podatkowego doprowadziło do tego, że gospodarka kraju zaczęła się rozwijać szybciej niż amerykańska. Stołypin przegrał jednak jak wszyscy poprzedni reformatorzy rosyjscy. Kiedy zaczął zagrażać interesom ówczesnej elity, zginął w zamachu, którego okoliczności do dziś nie zostały wyjaśnione.

Dziś oczywiście nic nie wskazuje na to, że Putinowi może grozić los Stołypina czy innego reformatora – zesłanego do odległych guberni Michaiła Sperańskiego, doradcy cara Aleksandra I. Ale i on musi sobie radzić z tym samym przeciwnikiem, który złamał poprzedników.

Nowe kodeksy i ustawy niewiele zmieniają, jeśli nie uda się skończyć z panowaniem się feudalnych właściwie elit, które panują nad regionami i monopolizują całe dziedziny gospodarki.

Igor Bunin, szef Centrum Technologii Politycznych, uważa, że główną przeszkodą na drodze reform są w Rosji „majątki rodowe”, czyli poddane wyłącznej władzy gubernatorów regiony i wielkie monopole należące niby do państwa, ale faktycznie sprywatyzowane.

Takim „majątkiem rodowym” była do niedawna Jakucja, gdzie państwowe formalnie kopalnie wydobywają 95 procent rosyjskich diamentów. Dokąd jednak płyną pieniądze ze sprzedaży kamieni (rocznie ponad 1,6 miliarda dolarów), rząd ani Kreml nie bardzo potrafią się dowiedzieć. Tym biznesem rządził niepodzielnie prezydent republiki Michaił Nikołajew,

którego dopiero niedawno Moskwie udało się ogromnym wysiłkiem skłonić do rezygnacji z udziału w kolejnych wyborach.

Takim „majątkiem rodzowym” jest też Gazprom (38 procent akcji należy do państwa), przebogata firma, na której rodziny jej szefów pasożytują tak pazernie, że nie ma pieniędzy na inwestycje i ogranicza wydobycie. Pod koniec listopada Putin w Urengaju na spotkaniu z gazpromowcami odznaczył byłego szefa zarządu spółki Rema Wiachiriewa orderem „Za zasługi dla ojczyzny”. Ale potem, jakby mimochodem, rzucił pytanie, które zmroziło krew w żyłach wszystkich obecnych: – Panowie, a gdzie się podziały pieniądze?

Takim „majątkiem rodzowym” jest też ministerstwo kolei, niby instytucja państwowa, a w rzeczywistości ogromne przedsiębiorstwo władające 150 tysiącami kilometrów torów i kontrolujące 85 procent wszystkich przewozów towarowych w Rosji. Ostatnio stracił posadę szef resortu kolei Nikołaj Aksjonienko, któremu prokuratura zarzuca zmarnotrawienie 2 miliardów rubli. Media orzekły, że to znak, iż Putin rozpoczyna wielką czystkę, pozbywając się ludzi, których odziedziczył po Jelcynie.

Każdy przedsiębiorca rosyjski wie, że państwowa kolej nigdy nie ma wolnych wagonów, a taryfy za przewóz towarów są tam wysokie. Wolnymi wagonami (oczywiście państwowymi) zawsze dysponują takie spółki jak Transrally, kontrolowane przez synów ministra. W dodatku proponują niższe od oficjalnych taryfy.

„Majątkiem rodzowym” jest też Moskwa, która przeznaczająca ogromne pieniądze na inwestycje. W stolicy nie istnieje jednak wolna konkurencja, zamówienia dostają tu wyłącznie „swoje” firmy. Nic dziwnego, że wielu skromnie opłacanych urzędników moskiewskich może sobie kupić mieszkania za 200 tysięcy

dolarów, a potem opłacać czynsz w wysokości kilkuset dolarów miesięcznie (średnia płaca w Rosji to dziś poniżej 100 dolarów).

Igor Bunin (wciąż trzymając się terminologii używanej do opisywania stosunków feudalnych) twierdzi, że Putin próbuje teraz przekształcić „majątki rodowe” w „nadania dla swych wiernych dworzan”, których w razie czego łatwiej się będzie pozbyć niż zasiedziały oligarchów. Zdaniem Bunina to działanie anachroniczne.

Jedną z pierwszych decyzji prezydenta po zaprzysiężeniu było podzielenie państwa na siedem okręgów federalnych. Posłał do nich swych przedstawicieli (poza Siergiejem Kirijenką na Powołże i Leonidem Draczewskim na Syberię – generałów), by zrobili porządek z baronami lokalnymi. Te „porządki” polegają przede wszystkim na utracaniu za pomocą zakulisowych i zupełnie niedemokratycznych metod niewygodnych Kremlowi gubernatorów. Ulubiony i w wielu już regionach wypróbowany sposób to skreślanie pod byle pozorem z listy kandydatów w przededniu ponownych wyborów. Tak właśnie z Kurskiem rozstał się nie lubiany w Moskwie generał Aleksander Ruckoj.

Wielkie państwowe monopole Putin przekazuje swoim „wiernym”. Rekrutuje spośród tych, których zna jeszcze z Sankt Petersburga (...). Moskwa nazywa ich z przekąsem „drużyną peterską”. Po zazdrosnej stolicy krąży mnóstwo anegdot na temat „peterskich”. Jeśli zadzwonisz do znajomych w stolicy i powiesz, że telefonujesz z Sankt Petersburga, zazwyczaj usłyszysz: – Ty mnie nie strasz.

Obserwatorzy zauważyli, że Putin rekrutuje swych „peterskich” z niewielkiej grupy ludzi, którzy dowiedli, że potrafią być absolutnie wierni. Miejsca w „Czerwonej Strzale” (nocny ekspres kursujący między Sankt Petersburgiem a Moskwą) nie znajdzie

sobie dysydem, który na początku lat dziewięćdziesiątych krytykował służby specjalne, ani były oficer KGB, który odciął się od swej instytucji. (...)

Jak zauważa Bunin, w tak wąskiej grupie z natury rzeczy nie znajdzie się wielu wybitnych osobowości pomocnych w walce z przebogatymi oligarchami wspieranymi przez ogromne sztaby podwładnych.

Trzeba jednak przyznać, że z „peterskimi” i tak się Putinowi powiodło. W tej małej grupie znalazło się wyjątkowo dużo ludzi zdolnych, takich jak chociażby German Gref, minister rozwoju gospodarczego i handlu, czy Andriej Iłarionow, doradca ekonomiczny prezydenta. – Nasze miasto zawsze było bardziej otwarte na świat, o wiele bardziej europejskie niż Moskwa – tłumaczy Nella Jampolska, dziennikarka z Sankt Petersburga.

Jakkolwiek europejski byłby Sankt Petersburg, ludzie Putina to wąska grupa osób myślących według tych samych schematów. Na Kremlu chcą znaleźć receptę na tę słabość. I szukają sojusznika w „społeczeństwie obywatelskim”.

– Potrzeba nam realnej siły społecznej. Takiej, która byłaby w stanie kontrolować działania władzy, brać na siebie odpowiedzialność za sprawy kraju. Państwo nigdy nie stanie się nowoczesne, jeśli za wszystko będzie odpowiadać tylko prezydent – deklaruje Gleb Pawłowski, doradca polityczny Putina.

Problem jednak w tym, że Kreml wysyła społeczeństwu Rosji absolutnie sprzeczne sygnały. Raz ośmiela je do samodzielnych działań, raz je zastrasza.

Jesienią z inicjatywy ludzi Putina ponad 5 tysięcy działaczy społecznych z całego kraju zebrało się w kremlowskim Pałacu Zjazdów na Forum Obywatelskim. Przedstawiciele władzy namawiali ich, by „brali swoje sprawy w swoje ręce”, zachęcali,

by wspólnie występować przeciw samowoli biurokratów, nie pozwalali się gnębić feudałom. Sam prezydent z trybuny forum zapewniał ich, że „jeśli społeczeństwo nie będzie wolne, władza przegra”.

Ale ta sama władza podporządkowała sobie niezależną telewizję NTV i cały należący do Władimira Gusinskiego holding Media Most (z wyjątkiem Radia Echo Moskwy).

Anna Politkowska, reporterka „Nowej Gazety”, dosłownie ostatnia dziennikarka rosyjska, która pisze bezkompromisowe reportaże o Czeczenii (za Putina przedstawiciele prasy mogą jeździć tam tylko na organizowane przez władze wycieczki), wyjechała z Rosji wystraszona pogroźkami.

Federalna Służba Łączności i Informacji Rządowej zmusza operatorów internetu do zakładania urzędów kontrolujących strony i pocztę elektroniczną. Władza co najmniej toleruje takie organizacje jak młodzieżowe ugrupowanie Idący Razem, którego jedyną ideologią jest szerzenie kultu prezydenta. Coraz to nowe fabryki wypuszczają popiersia i portrety Putina. Lokalni bonzowie otwierają muzea w miejscach, które odwiedził Putin.

W Rosji zaczynają się kolejne procesy ludzi oskarżanych przez służby specjalne o szpiegostwo i zdradę. – Władzom wyraźnie chodzi o to, by ludzi zastraszyć, sprawić, by bali się kontaktów z cudzoziemcami – uważa Aleksiej Simonow, przewodniczący Fundacji Obrony Głosności.

I kolejny paradoks – oto jeden z najgoręcej oklaskiwanych uczestników niedawnego Forum Obywatelskiego, były dziennikarz wojskowy, były komandor porucznik Grigorij Pasko znalazł się w więzieniu skazany na cztery lata ciężkiego obozu, degradację i konfiskatę mienia, gdyż rzekomo miał zamiar

przekazać dziennikarzom japońskim notatki z tajnej narady w dowództwie floty.

Leonid Radzichowski, zazwyczaj sceptyczny komentator tygodnika „Itogi”, napisał ostatnio, że Putin nie tylko ma szansę zakończyć te reformy, które rozpoczęli Michaił Gorbaczow i Borys Jelcyn. Ma też szansę spełnić marzenia Piotra I o Rosji jako normalnym kraju europejskim.

Można się zgodzić z Radzichowskim, że prezydent rzeczywiście do tego dąży. Ale bez rozwoju norm prawdziwie demokratycznych dokończyć reform się nie uda. A na pytanie, czy rzeczywiście chce demokratyzować kraj, Putin jeszcze nie odpowiedział.

23.01.2002, środa

HYMN KU CZCI

Hałaśliwie reklamowany pierwszy tom książki Olega Błockiego *Władimir Putin – historia życia* w poniedziałek poszedł w świat. Mówi ona, że w życiu prezydenta Rosji wszystko było wspaniałe i cudowne.

Koledzy, nauczyciele, trener, krewni i sam Putin, na opowieściach których autor, dziennikarz „Izwestii”, oparł *Historię życia* (dzieło Błockiego opowiada o dzieciństwie i młodości przyszłego prezydenta przed rozpoczęciem pracy w KGB), godzą się, że już jego przyjściu na świat towarzyszyły niezwykle znaki.

Urodził się w dniu otwarcia obrad XIX Zjazdu KPZR, a takie noworodki nazywano „dziećmi zjazdu” i wrócono im wielką przyszłość. Jego rodzice, oboje po czterdziestce, mieli za sobą rujnąjącą zdrowie wojenną blokadę Leningradu, stracili już nadzieję na potomka i narodziny „przyjęli jak dar za wcześniejsze męki i cierpienia”.

Rodzina Władimira Spirydonowicza Putina, prostego ślusarza z zakładu naprawy wagonów, była uboga. Nie mieli ani kołyski, ani łóżeczka. Dziecko ułożyli więc w koszyku i postawili na podłodze swego pokoju w „komunałce”. W „komunałce”, czyli mieszkaniu, w którym cisnęło się kilka rodzin, Putin przeżył dwadzieścia pięć lat. Ale to zdaniem autora wyszło mu tylko na zdrowie. To, że rodzinie Putinów przyszło dzielić kuchnię

i toaletę z kłótliwymi sąsiadami, „stało się dla przyszłego prezydenta znakomitą szkołą nawyków dyplomatycznych”.

Dawni koledzy Wołodii godzą się, że miał (tak jak inny Wołodia – Lenin) „serce jak dzwon”. Umiał się bić „jak tygrys” albo „jak lampart” i stawał w obronie kolegów. Grigorij Gejlikman opowiada, jak to grał w berka ze starszym i znacznie od siebie silniejszym sąsiadem. Wołodia nadszedł, kiedy duży gonił małego, i pobił chłopaka, którego wziął za napastnika.

– Tak po ludzku rozumiałem, że ten chłopak nie zdradzi, nie oszuka, nie wyda i nie będzie moim kosztem robić kariery społecznej czy komsomolskiej – wspomina Leonid Połochow, który spotkał Putina na egzaminach wstępnych na uniwersytet.

Nikołaj Jegorowicz, oficer leningradzkiego KGB, do którego jesienią 1968 zgłosił się szesnastoletni Putin, starając się o pracę, ciężko przeżywał „kontrrewolucyjny bunt w Czechosłowacji”. Zapał chłopca stał się jednak dla niego pociechą: „Naród radziecki w takich chwilach zwiera szeregi, stara się przeciwstawić kontrrewolucji. A najbardziej świadomi przychodzą do nas, czekistów, żeby bronić sprawy socjalizmu. Tak jak ten młodzieniec z prostej rodziny robotniczej, prawdziwej ostoji partii i państwa”.

Dwa lata temu w Sankt Petersburgu wyszedł podręcznik dla pierwszoklasistów opiewający „małego Wołodię”, który „nauczył się dzudo i postanowił zostać prezydentem”. Fabryki na Uralu odlewają popiersia Putina, księgarnie sprzedają jego portrety.

Żadne z wcześniejszych „dzieł” nie było jednak tak reklamowane jak *Historia życia*, o której stale mówią w telewizji. Nowa książka w dużym stopniu opiera się na opowieściach samego Putina, który musiał się zgodzić z jej przesłaniem. Wydano ją w nakładzie 15 tysięcy egzemplarzy.

23.01.2002, środa

JAKIE MEDIA W ROSJI?

Ministerstwo prasy przerwało emisję TW-6, ostatniej niezależnej od Kremla telewizji. Skończyła się więc epoka telewizji wszechwładnych oligarchów. A co się rozpoczyna? Czas pełnej kontroli państwa nad mediami czy też może czas wolnego rynku prasy?

Właśnie trwał nadawany na żywo program poświęcony piosenkom więziennym (prowadził go Władimir Sołowjow, późniejszy główny propagandzista kremlowski), kiedy ekrany telewizorów nagle na chwilę zgasły, a potem pojawił się na nich obraz kontrolny. Wczoraj rano na szóstym kanale Moskwa mogła oglądać programy sportowe retransmitowane przez NTW Plus, a Sankt Petersburg – *Jezioro łabędzie*.

Tym, którzy pamiętają sierpień 1991 roku, dreszcz przeszedł po plecach. Wtedy w czasie puczu Giennadija Janajewa, kiedy do Moskwy wjechały czołgi, telewizje pokazywały ten sam balet. – To telewizyjny zamach stanu – komentował to, co się stało, Jewgienij Kisielow, dyrektor generalny TW-6, na antenie Radia Echo Moskwy.

Minister prasy Michaił Lesin jeszcze późnym wieczorem w poniedziałek obiecywał, że dopiero we wtorek się zastanowi, w jaki sposób wykonać decyzję komorników najwyższego sądu arbitrażowego domagających się przerwania emisji TW-6. A jednak już przed północą (w nocy z poniedziałku na wtorek)

ministerstwo poleciło kierownictwu Centrum Telewizyjnego „Ostankino”, gdzie znajdują się studia TW-6, wyłączyć urządzenia transmisyjne i telefony.

Od wtorku wszystkie działające w Rosji ogólnokrajowe telewizje są więc kontrolowane przez państwo.

6.07.2002, sobota

WŁADZA ODPOWIADA

Prowincjonalni dziennikarze, którzy zadali prezydentowi trudne pytania o sytuację w ich regionach, wylatują z pracy.

Władimir Putin 24 czerwca przyjął na Kremlu ponad pięciuset dziennikarzy, by jak co roku podsumować kończący się sezon polityczny i pochwalić się osiągnięciami. Goście chcieli jednak także wiedzieć, co prezydent myśli o rzeczach przykrych.

Aleksiej Wasilewski, reporter gazety „Krasnyj Tundrowik”, zapytał, dlaczego gubernator nienieckiego okręgu autonomicznego Władimir Butow nie zjawia się na przesłuchania, a prokuratorzy, którzy go wzywają, są wyrzucani z pracy.

Prokuratorzy od półtora roku próbują porozmawiać z gubernatorem o tym, co się stało z 47 milionami rubli (około 2 milionów dolarów), które położony na północy europejskiej części region Rosji dostał od Moskwy na zakupy paliwa przed zimą. Podejrzewają, że spora część pieniędzy powędrowała na konta firm Butowa.

Gubernator na żadne przesłuchania się nie stawia (zresztą dawno już nie było go w bogatej w ropę guberni). Putin obiecał dziennikarzowi „Krasnego Tundrowika”, że „zbada sprawę”. Trzy dni po konferencji prokuratura rozesłała list gończy za Butowem. W redakcji, której przedstawiciel tak śmiało poczynął sobie na Kremlu, świętowano. Jednak ich radość trwała krótko.

Olga Czeburkina, redaktor naczelna, została dyscyplinarnie zwolniona. Pracę straciło też kilku dziennikarzy, w tym Wasilewski. „Krasnyj Tundrowik”, największa gazeta w regionie, już się nie ukazuje.

Butow miał się w piątek stawić na przesłuchanie w Moskwie. Nie przyjechał. Leży w szpitalu, bo podskoczyło mu ciśnienie. Prokuratura unieważniła list gończy za nim, tłumacząc, że „sprawa jest skomplikowana”.

Problemy ma też inna uczestniczka kremlowskiej konferencji Dina Ojun, dziennikarka internetowej gazety Tuwa online. Pytała prezydenta, dlaczego w Tuwie (republika na południu Syberii Centralnej) wybory odbywają się z licznymi naruszeniami prawa. Putin obiecał, że sprawę zbada.

Ojun już nie pracuje w swojej redakcji. Prokuratura na wniosek komisji wyborczej Republiki Tuwa wszczęła postępowanie przeciw dziennikarce, oskarżając ją o zniesławienie.

17.08.2002, sobota

REFORMATORZY SĄ ZNUDZENI

– Dlaczego reformy w Rosji się dewaluują? Czemu po przyjęciu potrzebnych ustaw gospodarka hamuje, poziom zagranicznych inwestycji spada, rosyjski biznes dalej ukrywa się w szarej strefie? – zastanawia się Grigorij Jawniński, lider demokratycznej partii Jabłoko. – Bo w rzeczywistości nie zmienia się najważniejsze: ustrój kraju.

Efekt putinowskich reform z entuzjazmem przyjętych na świecie jest zaskakujący – gospodarka mimo świetnej koniunktury na ropę hamuje, w życiu politycznym marazm, a komentatorzy coraz częściej używają słowa „zastój”.

Na początku lipca członkowie parlamentu rozjechali się na wakacje. Wrócą na początku jesieni, a wtedy rozpocznie się kampania wyborcza do Dumy, którą w Rosji uważa się za próbę generalną przed walką o Kreml w 2004 roku. Otoczenie Putina chce, by ugrupowania prokremlowskie w tej próbie ostatecznie rozgromiły komunistów.

Walczyć im przyjdzie ciężko. Wiernym Kremlowi socjologom nie udaje się ukryć, że za czerwonym sztandarem do urn gotowy jest iść prawie co trzeci rosyjski wyborca. Moskiewscy wyjadacze powszechnie twierdzą więc, że na czas kampanii wyborczej przyjdzie zapomnieć o reformach, szczególnie tych niepopularnych, takich jak wprowadzenie pełnej odpłatności za mieszkania.

Jednak za Putina reform było przecież i tak bardzo dużo. Władimir Mau, wicedyrektor prowadzonego przez Jegora Gajdara Instytutu Problemów Okresu Przejściowego i jeden z liderów rosyjskich liberałów, jesienią narzekał w rozmowie z „Wyborczą”: – Czasy nastały nudne. Wszystko to, co zamierzaliśmy zrobić, kiedy Borys Jelcyn na początku lat dziewięćdziesiątych postawił Gajdara na czele rządu, zrobione. Reformy, o które walczyliśmy tyle lat, szybko wchodzą w życie. Nasza misja spełniona, czym się teraz będziemy zajmować?

Mau wyznał, że gajdarowscy teoretycy z nudów zaczęli snuć plany kupienia gospodarstwa rolnego, by bogacić się na liberalno-wolnorynkowej kartoszcze.

W rzeczywistości nie przyszedł jednak jeszcze czas, by liberałowie, zrobiwszy swoje, osobiście wzięli się do odradzania zlikwidowanej przez bolszewików klasy kułaków. Z reformami Putina, którym świat przygląda się z entuzjazmem, dzieje się bowiem coś dziwnego.

Na przykład reforma podatkowa miała wyprowadzić biznes z gospodarczego podziemia (eksperci oceniają, że od 40 do 60 procent przedsiębiorstw działa w szarej strefie, czyli – jak się tutaj mówi – „siedzi w cieniu”). Przedsiębiorcy mieli poczuć, że brzemię finansowe się zmniejsza, i z ochotą zacząć płacić podatki. Wprowadzenie samego tylko trzynastoprocentowego liniowego podatku dochodowego w którymś z krajów Europy Zachodniej czy Centralnej na pewno byłoby silnym impulsem do ożywienia gospodarki.

Jednak ekonomia w Rosji na odwrót – hamuje. Dwa lata temu produkt narodowy wzrósł o 9 procent, w ubiegłym roku zaledwie o 5 procent. Rząd przewiduje, że w tym roku będzie to już tylko

3,5 procent. Tygodnik „Żurnal” twierdzi, że jest jeszcze gorzej i w 2002 roku wzrost wyniesie 2,3 procent.

Ambitny Nikita Siergiejewicz Chruszczow swego czasu ogłaszał, że ZSRR lada moment „dogoni i przegoni Stany Zjednoczone”. Putin i jego ambitni ludzie też chcieliby puścić się w pogoń. Jako pragmatycy nie myślą oczywiście o wyścigu z Ameryką. Chcą, by Rosja za trzydzieści lat doścignęła choćby Portugalię, najbiedniejszy dziś kraj Unii Europejskiej. – Przy takim tempie jak dziś Portugalii nie dognamy nigdy – gorzko zauważa Andriej Iłłarionow, superliberalny doradca ekonomiczny prezydenta.

A przecież Moskwa ma właśnie swoje pięć minut. Doskonała koniunktura na światowym rynku ropy i gazu sprawia, że poziom centralnych rezerw kruszcowo-walutowych dzień po dniu bije rekordy. Regularnie co dwa tygodnie zwiększają się one o kolejne pół miliarda dolarów. I w tym roku, podobnie jak w trzech poprzednich latach, Rosja na eksporcie zarobi pewnie o ponad 30 miliardów dolarów więcej, niż sama wyda na zakupy za granicą.

Tak naprawdę trzyipółprocentowy wzrost produktu narodowego znaczy, że w Rosji rozwija się tylko przemysł naftowy i gazowy (spółki naftowe zapowiadają, że w tym roku zwiększą wydobycie o blisko jedną piątą), a pozostałe branże stanęły lub wręcz się cofają.

W zeszłym roku po obniżeniu podatku dochodowego i zniesieniu większości podatków obrotowych władze ogłosiły wielki sukces – do kasy państwowej wpływa więcej niż wcześniej pieniędzy, a to znaczy, że rosyjski biznes zaczął wreszcie „wychodzić z cienia”. Ale i ta tendencja okazała się nietrwała. Dziś wpływy z podatków spadają. W pierwszym półroczu Rosjanie oddali państwu o 17 miliardów rubli (550 milionów dolarów) mniej podatku dochodowego i NDS [rosyjski VAT] niż przed

rokiem. – Nasze reformy prowadzą nas nie w tym kierunku, w którym należy – mówi Michaił Zadornow, ekonomista i były minister finansów.

– W Rosji mamy do czynienia ze zjawiskiem dewaluacji reform. W życie jedna po drugiej wchodzi prawidłowe ustawy, ale ich efekt jest bardzo mizerny – przyznał niedawno Władimir Mau w tekście opublikowanym w dzienniku „Wiedomosti”

– To nie przypadek, że mimo tak wspaniałej koniunktury gospodarka hamuje. To efekt marazmu politycznego, jaki ogarnia Rosję, od kiedy Kreml zaczął budować „demokrację sterowaną” – powiedział „Wyborczej” jeden z doradców ekonomicznych rządu.

Rzeczywiście, od objęcia władzy przez Władimira Putina Kremlowi udało się ogołocić parlament i władze regionów z ludzi, którzy próbowaliby działać samodzielnie.

Prezydent Rosji zgodnie z konstytucją co roku wiosną wygłasza orędzie do zgromadzenia parlamentarnego. Dla dziennikarzy rosyjskich i korespondentów zagranicznych to prawdziwe żniwa. W holu przed kremlowską Salą Marmurową (zbudowaną na początku lat osiemdziesiątych jako miejsce plenarnych posiedzeń KC KPZR) można spotkać wszystkich ważnych ludzi – przede wszystkim tych, którzy na co dzień odgradzają się od intruzów tabunami ochroniarzy, sekretarek i rzeczników prasowych.

Dwa lata temu, kiedy Putin wygłaszał swe pierwsze orędzie, miliarder i wtedy deputowany do Dumy Borys Bieriezowski cierpliwie tłumaczył reporterom, skąd bierze przekonanie, że nowy prezydent zbuduje „straszną dyktaturę”. Prezydent Inguszetii Rusłan Auszew otoczony wianuszkami zapatrzonych w przystojnego kaukaskiego mężczyznę młodych dziennikarek gromił Putina za rozpętanie wojny w Czeczenii.

W tym roku w holu przed Salą Marmurową kłębił się jak zwykle tłum dziennikarzy. Czekaliśmy, aż deputowani do Dumy, członkowie Rady Federacji, szefowie centralnych instytucji po wysłuchaniu prezydenta zaczną do nas schodzić po szerokich schodach. Wreszcie na stopniach pojawił się tłum, na kilkudziesięciu kamerach telewizyjnych zapaliły się reflektory. I raptem zapadła pełna napięcia cisza.

Po schodach szła do nas gromada ludzi kompletnie dla nas, dziennikarzy z długim przecież moskiewskim stażem, anonimowych, wyraźnie speszonych nagromadzeniem kamer, reporterów. My, milcząc, patrzyliśmy na nich. Oni na nas. Któryś z rosyjskich reporterów przerwał ciszę. – Kim są ci ludzie?! – krzyknął.

A to przecież szła władza tego ogromnego kraju, nowi członkowie Rady Federacji – ludzie zapowiadani przez Putina dwa lata temu jako „umocnienie pionu władzy”. Kiedy prezydent zaraz po inauguracji zapowiedział, że „weźmie się za pion władzy”, Rosja zrozumiała, że teraz Kreml ustawi wreszcie na baczność gubernatorów, którzy za Borysa Jelcyna rządili w swoich regionach jak feudalni książęta, łamiąc wszelkie zasady demokracji i kompletnie ignorując Moskwę. Taki Mirtimer Szajmijew wpisał do konstytucji swojego Tatarstanu, że republika jest „suwerennym tworem państwowym”. Jego sąsiad Murtaza Rachimow też ogłosił „suwerenność” Baszkirii.

Putin – jak mówią w Moskwie, przypominając sobie stary bolszewicki leksykon – „zlikwidował gubernatorów jako klasę społeczną”. Przed końcem ubiegłego roku wygnał ich wszystkich z Rady Federacji. Stracili gwarantujący im ochronę przed odpowiedzialnością karną immunitet parlamentarny. Wyższa izba

parlamentu oczyszczona z regionalnych baronów przestała się liczyć jako siła polityczna.

Gubernatorzy na osłodę dostali miejsca w Radzie Państwowej, która co jakiś czas zbiera się na Kremlu i tam przy ogromnym okrągłym stole razem z prezydentem zastanawia się nad tym, jak rozwijać sport albo jak sobie radzić z bezdomnością dzieci. Jaki jest pożytek z tych szeroko opisywanych przez państwowe media, a potem szybko zapominanych debat? Chyba tylko taki, że gubernatorzy czasem mogą pokazać w swoich regionalnych telewizjach, że wciąż – co się bardzo w Rosji ceni – mają prawo wstępu do najważniejszych gabinetów.

Kreml na pewno miał dużo racji, pacyfikując regionalnych satrapów. Razem z feudalną kąpielą Moskwa wylała jednak i demokratyczne niemowlę. Po kastracji Rady Federacji gubernatorzy jako grupa stracili swe polityczne znaczenie, a w Rosji praktycznie skończyły się wybory regionalne.

Źle widziany na Kremlu były wiceprezydent Aleksander Ruckoj nie mógł walczyć o ponowny wybór na gubernatora Kurska, bo w przeddzień głosowania sąd unieważnił jego kandydaturę pod pierwszym lepszym pretekstem. Miał prawo odwołać się od werdyktu, ale dopiero po wyborach, których wyniki Centralna Komisja Wyborcza od razu uznała za ważne i prawomocne.

Zdejmowanie kandydatów na gubernatorów tuż przed wyborami stało się w Rosji częstą praktyką. Dziś dla wszystkich jest jasne, że człowiek, który nie podoba się Kremlowi, choćby nawet był bardzo popularny, gospodarzem regionu nie zostanie.

Auszew, do niedawna jeden z najbardziej szanowanych i liczących się gospodarzy regionu, był w tym roku na Kremlu, kiedy Putin wygłaszał swoje orędzie. Już nie jako prezydent Inguszetii, lecz tylko jako przedstawiciel swej republiki w Radzie

Federacji. Starając się pozostać niezauważonym, przemykał pod ścianami. Pod koniec grudnia ubiegłego roku Kreml, poirytowany jego krytycznym podejściem do wojny w sąsiedniej Czeczenii i tym, że dał schronienie dziesiątkom tysięcy uchodźców czeczeńskich, zmusił go do dymisji i nie pozwolił mu stanąć do ponownych wyborów prezydenckich.

A kilka dni po orędziu Putina Auszew trzasnął drzwiami Rady Federacji. Ogłosił, że „wyższa izba parlamentu rosyjskiego jest absolutnie bezradna”, nie potrafi nic uczynić na rzecz zakończenia wojny na Kaukazie. Protestował także przeciw temu, że sąd najwyższy tuż przed samymi wyborami prezydenckimi w Inguszetii unieważnił kandydaturę wspieranego przez mieszkańców republiki Chamzata Gucerijewa, wspomagając jednocześnie generała Federalnej Służby Bezpieczeństwa Murata Ziazikowa.

Szybko się okazało, że Kreml postawił na właściwego człowieka. Generał energicznie wziął się do roboty, której za nic nie chciał się podjąć Auszew. Obiecał, że do jesieni przeprowadzi uchodźców koczujących w Inguszetii z powrotem do Czeczenii.

Kreml chętnie leczy trudne regiony, aplikując im gubernatorów ze służb specjalnych. W Smoleńsku, przez ostatnie lata wstrząsanym przez krwawe wojny miejscowych gangów, szefem administracji obwodowej też został niedawno generał FSB Wiktor Masłow.

Rada Federacji stała się dziwnym tworem. Jej członkowie nie są wybierani, lecz wyznaczani (połowa przez gubernatorów, połowa przez dumy obwodowe czy parlamenty republikańskie). Praw czy choćby czasu trwania kadencji członków rady nikt nawet nie próbuje określić. Do wyższej izby parlamentu trafiło kilku byłych gubernatorów. Większość rosyjskich senatorów to

dziś jednak drugo- czy trzeciorzędni urzędnicy prowincjonalni. Są oczywiście w radzie i wybitne osobowości, takie jak jej przewodniczący Siergiej Mironow, Giennadij Burbulis (za Jelcyna sekretarz stanu) czy Michaił Margiełow, przewodniczący komisji spraw zagranicznych izby. Ale to są tylko rodziny w szarym cieście emerytów politycznych i prowincjonalnych biurokratów.

Kiedy po orędziu Putina podszedłem do trzech pierwszych z brzegu wychodzących z Sali Marmurowej senatorów i zapytałem ich o wrażenia, oni jak wywołani do tablicy uczniowie pokazali mi zeszyty z notatkami, które robili nie wiadomo po co, skoro tekst orędzia miał być opublikowany. A kiedy zapytałem ich, skąd są, odpowiedzieli jak prowincjusze ze starej moskiewskiej anegdoty: – My nietutejsi.

W Moskwie mówią z przekąsem: „Rada Federacji stała się rosyjską Izbą Lordów. No cóż – jaki kraj, tacy i lordowie”

Sytuacja w Dumie wcale nie jest lepsza. W wyborach parlamentarnych w grudniu 1999 roku starły się ze sobą dwie biurokratyczne elity – kremlowska skupiona wokół mera Moskwy Jurija Łużkowa i gubernatorska prezydenta Tatarstanu Szajmijewa. Jedni i drudzy zbudowali swoje partie specjalnie na wybory. Kreml – Niedźwiedzia (potem nazwanego Jednością), gubernatorzy – Ojczyznę-Całą Rosję. Organizowali je w pośpiechu, werbując, kogo popadło – przede wszystkim nikomu nieznanym, niezajmującym się wcześniej polityką gubernialnych urzędników, szefów i zastępców szefów wydziałów obwodowych administracji.

Efekt był taki, że Jedność, która wprowadziła do Dumy osiemdziesięciu czterech swoich ludzi (drugie miejsce po komunistach), nie miała kim obsadzić stanowisk, które przy

podziale powyborczych łupów przypadły jej w kierownictwie parlamentu.

Frakcja uczyniła swoją wiceprzewodniczącą izby Lubow Śliską, która przedtem była przedstawicielką gubernatora Saratowa Dmitrija Ajackowa w dumie obwodowej. Nowa wiceprzewodnicząca, pytana przez reporterkę „Komsomolskiej Prawdy” o ważne momenty ze swego życia, opowiedziała, jak z mężem jeździła na motocyklu na działkę i jak już po wyborach występowała na choince u gubernatora Ajackowa w ślicznej białej sukieneczce z tiulu jako Śnieżka, przyjaciółka Dziadka Mroza.

Ludzie z klasą i w Rosji, i w samej Dumie zostali zepchnięci na margines przez, jak mówią komuniści, „agresywnie posłuszną większość”. Duma przez ostatnie dwa lata ostatecznie i absolutnie podporządkowała się Putinowi. Konkurujące ze sobą w czasie kampanii wyborczej w 1999 roku Jedność i Ojczyzna-Cała Rosja się połączyły. Doszlusowała do nich złożona z biurokratów regionalnych grupa parlamentarna Deputowany Ludowy i grupa Regiony Rosji. Powstał twór, który rosyjska prasa nazywa „centrum parlamentarnym”, z absolutną większością głosów, a więc zdolny do przepchnięcia przez izbę każdej ustawy.

„Centrum” grzecznie słucha Kremla. Izba nie zechciała na przykład prowadzić swojego śledztwa w sprawie katastrofy atomowego okrętu podwodnego „Kursk”, odrzuciła propozycje powołania komisji parlamentarnej, która spróbowałaby ustalić, kto w rzeczywistości – terroryści czeczeńscy czy moskiewskie służby specjalne – wysadził w powietrze domy w Bujnaksku, Moskwie i Wołgodońsku jesienią 1999 roku.

Natomiast uchwałę zezwalającą na przywożenie do Rosji odpadów atomowych przyjęła z entuzjazmem, nie biorąc pod

uwagę tego, że prawie 100 procent obywateli kraju jest temu przeciwnych. – Najważniejszym organem władzy ustawodawczej jest dziś w Rosji palec Aleksandra Kotienkowa [przedstawiciel prezydenta w Dumie]. Bez niego frakcje prokremlowskie kompletnie nie wiedziałyby, co mają robić – szydzi jeden z deputowanych demokratycznego Jabłoka.

Bierność proputinowskich deputowanych zaniepokoiła i sam Kreml. Władisław Surkow, zastępca szefa administracji prezydenckiej, kilka miesięcy temu urządził im awanturę i zapowiedział, że dla tych, którzy nie złączą się wykazywać inicjatywą, nie będzie miejsca w parlamencie. Surkow pewnie nie zdawał sobie sprawy, jakiego dzina wypuszcza z butelki.

Bo kremlowscy deputowani postanowili się wykazać. Izba urażona niepowodzeniami rosyjskich sportowców próbowała odwołać reprezentację olimpijską z Salt Lake City, co doprowadziłoby do otwartego konfliktu między Moskwą a Waszyngtonem. Oburzona, że Tbilisi zaprosiło do siebie amerykańskich instruktorów wojskowych, przygotowywała się do przyjęcia uchwały o włączeniu do Rosji dwóch regionów gruzińskich – Abchazji i Osetii Południowej, co automatycznie doprowadziłoby do nowej wojny na Kaukazie i poważnej konfrontacji z Ameryką.

Duma rusza też na to, co w Moskwie nazywają „wojną o Kaliningrad”. Wiktor Ałksnis z grupy parlamentarnej Regiony Rosji wymyślił, że parlament rosyjski powinien unieważnić tajne protokoły układu Ribbentrop-Mołotow, na mocy których ZSRR oddał Litwie Wilno. A wtedy – jak sądzi Ałksnis – Polska upomni się o miasto, dojdzie do konfliktu między obydwoma krajami i zrobi się takie zamieszanie, że Litwy nie przyjmą do Unii

Europejskiej. A dzięki temu Wilno nie wprowadzi wiz dla Rosjan jadących do Kaliningradu. (...)

Niezwykłą aktywnością wyróżnia się dziś w Dumie Giennadij Rajkow, lider grupy Deputowany Ludowy, były mer bogatego w ropę syberyjskiego Tiumenia, syn oficera radzieckiego skierowanego do służby w Ludowym Wojsku Polskim (Rajkow jako dziecko mieszkał w radzieckich bazach wojskowych w Polsce). Próbował już namówić kolegów z izby, by odwołał moratorium na karę śmierci (to automatycznie wykluczyłoby Rosję z Rady Europy). Zwoływał demonstracje przeciw „agresji katolickiej”. Przygotował też uchwałę, zgodnie z którą za uprawianie homoseksualizmu groziłaby w Rosji kara do pięciu lat więzienia.

– Niech Rajkow się opamięta i przestanie robić z Dumy pośmiewisko światowej opinii publicznej – próbował protestować Oleg Morozow, lider Regionów Rosji. – Zobaczymy, jak Morozow będzie głosował w sprawie homoseksualistów. I wtedy dowiemy się, kto ma jaką orientację – odpowiedział mu Rajkow.

Lider grupy Deputowany Ludowy może sobie pozwolić na to, by bezceremonialnie ustawiać na baczność kolegów z Dumy. W administracji prezydenckiej bardzo go poważają. Chwali się, że Władimir Putin często zasięga jego rady. Kreml najwyraźniej liczy na to, że Rajkow, populistą o bardzo radzieckich poglądach, w wyborach parlamentarnych może przejąć te głosy, które dzisiejsza władza chciałaby odebrać partii komunistycznej.

Mieszkańcy zniszczonego przez powódź w zeszłym roku Leńska długo nie zabierali się do odbudowy miasta. Sami nie mieli ochoty i nie zachęcały ich do tego lokalne władze. Wszyscy czekali na prezydenta.

Gdy Putin przyleciał, obiecał odbudować miasto. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Do Leńska przyjechał Siergiej Szojgu, minister do spraw sytuacji nadzwyczajnych, przyjaciel prezydenta. Osobiście gonił robotników do roboty, pilnował ich, żeby nie pili, a urzędników, żeby nie kradli (choć ci i tak przywłaszczyli sobie ponad trzysta mieszkań).

Gdy w tym roku powódź dotknęła regiony na południu europejskiej części Rosji, urzędnicy też nie zachęcali ludzi, by zaczęli sprzątać. Wszyscy czekali.

Putin przyleciał do nich prosto z Kanady, gdzie G7 przekształciła się w G8, uroczyście przyjmując Rosję do klubu potęg światowych. Prezydent obiecał, że zniszczone domy, drogi i mosty będą odbudowane. Na miejsce – jak do Leńska – przyjeżdża Szojgu, osobiście goni robotników do roboty, zatrzymuje transporty wódki jadące w rejony zniszczone powodzią i tropi nieuczciwych urzędników.

Państwowe kanały telewizyjne jak przed rokiem opowiadają Rosjanom bajeczki o dobrym carze i złych bojarach. – Widzieliście, jaką ulgę poczuli gubernatorzy południowych regionów, kiedy Putin wreszcie od nich wyjechał? Jaką radością lśniły ich gęby, kiedy samolot prezydenta wreszcie zniknął za chmurami? – pytał telewidzów Michaił Leontiew, komentator programu pierwszego rosyjskiej telewizji.

Na podporządkowanych Kremlowi kanałach telewizyjnych (a dziś są to wszystkie ogólnokrajowe stacje) nikt nie pyta, co jest wart prezydent ze swoim „pionem władzy”, gubernatorami w mundurach generałów FSB, jeśli bez niego nie może się rozpocząć żadna akcja ratownicza, a bez stałej osobistej kontroli jego ministra i przyjaciela nie da się odbudować choćby małego miasteczka.

Gleb Pawłowski, doradca polityczny Putina, uważa, że prezydent nie potrafi uaktywnić podległego mu aparatu biurokratycznego. – On nauczył się zaklinać urzędników. Nie nauczył się nimi kierować – powiedział niedawno w wywiadzie dla tygodnika „Profil”

– Oni zawsze są gotowi stawać na baczność i powtarzać: „Tak jest, Panie Prezydencie!”. Wieszają jego portrety w swoich gabinetach od Kamczatki do Kaliningradu. Ale i tak zawsze będą robić swoje – mówi Michaił Prusak, liberalny gubernator Wielkiego Nowogrodu. – A przecież współczesna Rosja nie jest krajem, którym jedna osoba może osobiście rządzić żywym słowem. Ludzie w każdej strukturze władzy muszą znać swoje obowiązki. Władza jest od tego, by ich rozliczać z tego, jak się z nich wywiązują. Minister nie może osobiście pilnować robotnika, czy dobrze przybijają deski – narzeka Prusak.

Z badań przeprowadzonych przez fundację Indem wynika, że w Rosji na łapówki przeznaczają się dziś 35 miliardów dolarów rocznie (bez tego, co przyjmują na szczeblu ministerialnym i wyżej, a to z pewnością też ogromne sumy). Za Putina, z jego generałami FSB na Kremlu i na stanowiskach gubernatorów, korupcja wcale nie maleje, ale – według ekspertów Indem – wręcz rozkwita.

– Dlaczego reformy się u nas dewaluuują? Czemu po przyjęciu potrzebnych ustaw gospodarka hamuje, poziom zagranicznych inwestycji spada, rosyjski biznes dalej ukrywa się w szarej strefie? – zastanawia się Grigorij Jawliński, lider demokratycznego Jabłoka. – Bo w rzeczywistości nie zmienia się najważniejsze: ustrój kraju. Ten ustrój, który u nas jest, ma zagwarantować 5 procentom ludności bardzo dobre życie, 15 procentom – dobre i jeszcze rozkwitanie jednej, moskiewskiej, aglomeracji. A reszta

się nie liczy. Dobrze ma się dziś przede wszystkim stan urzędniczy. Ci ludzie biją pokłony przed prezydentem, ustawiają jego portrety na biurkach. I dalej grabią swój kraj.

Tatiana B., główna księgowa moskiewskiego przedsiębiorstwa handlującego produktami chemicznymi, zapewnia, że putinowskie reformy na jej pracę i sytuację jej firmy wcale nie wpłynęły. – Dla mnie, dla mojej firmy nie ma absolutnie żadnej różnicy, ile wynosi podatek dochodowy, jaki procent funduszu płac zgodnie z ustawami mamy przeznaczać na ubezpieczenia społeczne. Zawsze prowadziłam potrójną buchalterię – dla państwowych kontrolerów, dla struktury, która chroni nas przed bandytami i urzędnikami, oraz dla szefa. Oficjalnie nie wolno mi wykazać prawdziwych obrotów, dochodów, zysków firmy. Bo jeśli inspektorzy podatkowi, ludzie z sanepidu, straży pożarnej tylko zobaczą, że mamy pieniądze, wszystko z nas wysają. U mnie ludzie zarabiają średnio po 300 dolarów miesięcznie. Oficjalnie wypłacam im jednak tylko 1100 rubli (około 36 dolarów), bo taka jest w Moskwie minimalna zapłata i mniej już nie mogę. I jaka różnica, czy od tych groszy płacę 13 czy 20 procent dochodowego? Dla mnie najważniejsze to ukryć pieniądze. Tak robiłam, robię i będę pewnie robić zawsze. To się nigdy nie zmieni, choćby w telewizji ogłaszali nie wiem jakie reformy – twierdzi Tatiana.

7.10.2002, poniedziałek

ROSJA CZCI PUTINA

„Macho – z nami. Macho – lepszy od nas. Macho – na Kremlu” – napisał o obchodzącym w poniedziałek pięćdziesiąte urodziny Władimirze Putinie dziennik „Izwestia”.

Swoje okrągłe jubileusze świętowali na Kremlu: Władimir Lenin (50.), Józef Stalin (50., 60. oraz bardzo uroczyste – 70.), Nikita Chruszczow (60. i 70.), Leonid Breżniew (60. i 70.), i Michaił Gorbaczow (60.). I zawsze przy tych okazjach cały kraj mówił wiele o zasługach i zaletach jubilatów. Nikomu jednak nie przyszło do głowy nazwać któregoś z nich „seksybolem”, bo przecież w „ZSRR seksu nie było”.

W Rosji jednak seks jest i jak dowodzą ankiety, prezydent stał się „mężczyzną marzeń” zdecydowanej większości kobiet rosyjskich. „Izwestia” porównują go z Jamesem Bondem, który tak samo elegancki, wysportowany, energiczny i czujny zdetronizował męski ideał epoki radzieckiej, czyli „brzuchatego, zapracowanego wujaszka – sekretarza rejonowego obwodu partii”.

Nie tylko kobiety tracą głowę oczarowane wdziękami prezydenta. Zurab Cereteli, rzeźbiarz, który dzięki swej bliskości z merem Moskwy Jurijem Łużkowem i niezwykłej płodności z zadziwiającą szybkością oszpeca stolicę swymi monumentami (np. pomnik Piotra I nad rzeką Moskwą i upamiętniający bohaterów wojny obelisk na Górze Pokłonnej), zapalał chęcią uwiecznienia Putina w brązie czy kamieniu. I to koniecznie

kroczącego. Bo jak twierdzi mistrz, w sposobie poruszania się prezydenta jest coś „niepowtarzalnie pięknego”

Na ten temat z rzeźbiarzem pokłóciłyby się pewnie Ludmiła Putina. Według samego prezydenta pierwsza dama Rosji twierdzi, że „mąż chodzi jak kaczka”

Antropolodzy z Sankt Petersburga przeprowadzili specjalne badania, ustalając, z jakim zwierzęciem Rosjanom kojarzą się ich przywódcy polityczni. A potem z triumfem ogłosili, że Putin części rodaków kojarzy się z orłem, a pozostałym – z lwem. I pomyśleć, że kiedy Władimir Władimirowicz był prostym młodym oficerem, koledzy z KGB dali mu przydomek „Szczurek”

Przed urodzinami rosyjskie stacje radiowe często nadają piosenkę popowego dziewczęcego duetu Śpiewające Razem (od Idący Razem – prezydenckiej organizacji młodzieżowej) pod tytułem *Chcę takiego jak Putin*. Panienki śpiewają o chłopaku, który „pobił się z kimś i nałykał się jakiegoś świństwa”, trzeba go było przegnać. Więc – śpiewają:

Teraz chcę takiego jak Putin.

Takiego jak Putin – pełnego sił.

Takiego jak Putin – żeby nie pił.

Takiego jak Putin – żeby o mnie dbał.

Takiego jak Putin – żeby nie zwiął.

28.10.2002, poniedziałek

PO TRUPACH I KŁAMSTWIE

Cena życia ludzi jest dla władz Rosji żadna – uważa Siergiej Kowalow, znany obrońca praw człowieka.

Wacław Radziwinowicz: Czym kierowały się władze, wydając rozkaz do szturmu na teatr na moskiewskiej Dubrowce, zajęty przez komando terrorystów z Kaukazu?

Siergiej Kowalow: – Na pewno nie troską o życie zakładników. Ono dla dowodzących akcją nie było priorytetem. Niestety, władze Rosji kolejny raz pokazały, że cena życia obywateli naszego kraju jest dla nich żadna. Przecież dowodzący akcją nie ryzykowali życia tylko jakiejś części zakładników – powiedzmy pięciu czy dziesięciu procent, jak zazwyczaj kalkuluje się w takich sytuacjach. Oni zaryzykowali życie wszystkich – około ośmiuset osób uwięzionych w sali teatralnej. Co by było, gdyby choć jedna z terrorystek, poczuwszy, że do wewnątrz przedostaje się gaz, zdetonowała ładunek wybuchowy umieszczony na jej brzuchu? Eksplozja zniszczyłaby budynek. Zazwyczaj po takim wybuchu komuś tam pod ruinami udaje się przeżyć. Jednak ludzie i otruci gazem, i przygniecenii gruzami nie mieliby żadnych szans. Zginęliby wszyscy.

Wojskowi mówią, że nie mieli wyjścia, że decyzję o szturmie podjęli błyskawicznie, bo terroryści zaczęli rozstrzeliwać

zakładników.

– Nic nie potwierdza prawdziwości tych słów. Terrorysty najprawdopodobniej nie użyli broni. Kiedy specnazowcy wdarli się do sali, terroryści spali. Żołnierze podbiegali do nich i rozstrzeliwali śpiących z bardzo bliska. W telewizji pokazali zabitą młodą terrorystkę, która miała na oczach czarną przepaskę. Prawdopodobnie założyła ją na twarz, żeby łatwiej zasnąć. A ludzie, którzy śpią, nikogo przecież nie rozstrzeliwiają.

Dlaczego więc władze zdecydowały się na szturm właśnie w tym momencie?

– Decyzja tak naprawdę zapadła znacznie wcześniej. Dowódcy od razu postawili na rozwiązanie siłowe. Żadnego innego nie brali pod uwagę.

A czy było jakieś inne wyjście? Czy można było zastosować jakąkolwiek inną taktykę?

– Tak. Terrorysty domagali się natychmiastowego przerwania wojny w Czeczenii i wycofania wojsk rosyjskich z republiki. Tego oczywiście prezydent i jego otoczenie dać im nie mogli. Dla naszej władzy byłby to zbyt wielki wstyd, osobista porażka, z którą ludzie dziś rządzący Rosją nigdy się nie pogodzą. Ale można było rozpocząć rozmowy z terrorystami na ten temat. Moskwa mogła udać, że rozpoczyna negocjacje pokojowe. Tylko po to, by oszukać terrorystów i w ten sposób doprowadzić do zwolnienia zakładników. Kłamstwo na wojnie jest absolutnie dopuszczalne. Ale władze na to nie poszły. Od razu planowały, że wyjście będzie tylko jedno – szturm. Jak się okazało, cena tej decyzji była bardzo wysoka – teraz oficjalnie podają, że zginęło około 15 procent zakładników – 118 osób...

118 to jakaś fatalna liczba dla Rosji. Na „Kursku” też zginęło 118 członków załogi...

– Tych analogii z „Kurskiem” jest, niestety, więcej. Kiedy utonął okręt podwodny, też okazało się, że wartość ludzkiego życia jest dla naszej władzy niezwykle niska. I teraz, po szturmie na teatr, łżą bezczelnie w żywe oczy tak samo jak wtedy, kiedy „Kursk” leżał na dnie. Opowiadają o rozstrzeliwaniu zakładników, którego nie było. Długo nie przyznali się do użycia gazu. A lekarze, nie zdając sobie sprawy z tego, że uwolnieni zakładnicy są zatruci, nie wiedzieli, jak im mają pomóc. Ilu ludzi umarło już w szpitalach właśnie dlatego, że lekarze, nie wiedząc, co się stało z pacjentami, byli bezradni! A do tego – o ile wiem – skład chemiczny tego gazu usypiającego, który był użyty w teatrze, wciąż pozostaje tajemnicą także dla lekarzy. Przecież to straszne.

Co według pana sprawiło, że władze z taką determinacją postawiły wyłącznie na rozwiązanie siłowe?

– Dramat w teatrze na Dubrowce przypomniawszy Rosjanom, że nasza armia prowadzi wojnę w Czeczenii. W piątek w Moskwie i w innych miastach odbyły się demonstracje antywojenne. Pierwsze od bardzo długiego czasu. Oczywiście krewni zakładników przyszli na te demonstracje, bo tego domagali się od nich terroryści przetrzymujący ich bliskich. Gdyby jednak dramat w teatrze trwał, fala nastrojów antywojennych podnosiłaby się coraz wyżej. Ja myślę, że Władimir Putin ostatnio nie był tak daleki od myśli o rozpoczęciu negocjacji z Czeczenami. I gdyby opinia publiczna zdecydowanie i głośno zaczęła się wypowiadać przeciw wojnie, prezydent jeszcze bardziej przybliżyłby się do tej myśli. Ale

jastrzębie, które otaczają Putina, za nic nie chcą nawet słyszeć o jakichkolwiek rokowaniach, o jakimkolwiek pokoju.

Dlaczego?

– Powodów mają aż nadto. Chcą się zemścić za porażkę w poprzedniej wojnie. W Czeczenii dostają awanse. Do dziś już chyba wszyscy nasi najwyżsi dowódcy przeszli przez Kaukaz Północny. Generałowie, oficerowie, żołnierze bogacą się na wojnie. Handlują ropą. Za pieniądze wypuszczają zatrzymanych Czeczenów. Sprzedają rodzinom trupy ich bliskich. Na co dzień zajmują się rabunkiem. Nasi żołnierze tu, w Moskwie, żebrzą na ulicach o pieniądze, papierosy, jedzenie. Bo są niesamowicie biedni. A w Czeczenii i płacą im dobrze, i mogą sobie „dorobić”. Wojna karmi naszych generałów, kształtuje ich, pozwala im rosnąć. Jest ich światem i filozofią.

I tacy właśnie ludzie otaczają prezydenta?

– Tak, i jemu bardzo na nich zależy. On przecież opiera się przede wszystkim na armii, służbach specjalnych, milicji. I bardzo chce się im podobać. Dlatego latał myśliwcem, pływał na łodzi podwodnej, strzelał z armaty. Chce, żeby brali go za swojego. I oni chcą widzieć, że on podziela ich filozofię. Że będzie twardym jastrzębiem, zawsze bardziej gotowym do użycia siły niż do rozmów o pokoju. I dlatego wciąż prowadzimy tragiczną wojnę w Czeczenii, i dlatego doszło też do tragedii w teatrze [ostatecznie ofiar szturmu na Dubrowce było 131].

20.12.2002, piątek

PUTIN TV SHOW

Na żywo z prezydentem Rosji chciało wczoraj rozmawiać 1,5 miliona Rosjan. 51 szczęśliwców, którzy w końcu pytania zadali, starannie jednak wybrano.

Chętnych było aż tylu, bo dialog prezydenta z narodem ma wymiar niemal mistyczny. 24 grudnia ubiegłego roku, kiedy Władimir Putin pierwszy raz rozmawiał z rodakami, pytania pocztą, przez internet, przez telefon zadało mu 500 tysięcy osób.

Wśród szczęśliwców, którym udało się wtedy dodzwonić na Kreml, był trzynastoletni Paweł Cwietkow z miasteczka Ust' Kut w obwodzie irkuckim. Poskarżył się, że w jego miejscowości od początku zimy nie działa ogrzewanie, a mrozy dochodzą do 30 stopni. I natychmiast po rozmowie Pawła z prezydentem w Ust' Kucie uruchomiono kotłownię, w domach i szkołach zrobiło się ciepło.

Przed rokiem dodzwoniła się też Tatiana Desiuk z chutoru Kazaczij Malewanyj na Kubaniu, prosząc o doprowadzenie gazu do wioski. I wkrótce miejscowe władze zaczęły budować gazociąg.

Nic dziwnego, że po takich cudach aż tylu rodaków chciało się poskarżyć prezydentowi i prosić go o pomoc. Na przykład cały Ust' Kut prosił Paszę Cwietkova, by ten jeszcze raz dodzwonił się do Putina. Na Syberii znów trzydziestostopniowe mrozy, w miasteczku system grzewczy znowu nie działa, w domach nie

ma prądu, wody. Niedawno w mieszkaniu zmarzył tam osiemdziesięciodwuletni weteran wojen Nikołaj Bobkow.

Sąsiedzi Tatiany Desiuk też chcieli, żeby znów porozmawiała z prezydentem, bo w ich chutorze gazu wciąż nie ma. Prezydent kazał przecież miejscowym władzom doprowadzić gaz, ale nic nie mówił o jego rozprowadzeniu po wsi, więc one tylko podciągnęły gazociąg.

W tym roku spontanicznych pytań było znacznie mniej. Na przykład Pawłowi z Ust' Kutu nie dano się połączyć z prezydentem. O śmierć Bobkova pytał prezydenta prowadzący transmisję dziennikarz. Putin zapowiedział, że winni będą ukarani.

Tym, których wybrano do dialogu z prezydentem, psychologowie zawczasu udzielali rad, jak należy rozmawiać z Putinem. W ten sposób rodacy dali swemu przywódcy możliwość opowiedzenia o najważniejszych problemach kraju. Prezydent raz jeszcze odrzucił możliwość prowadzenia dialogu z bojownikami czeczeńskimi dowodzonymi przez prezydenta Ałana Maschadowa.

Wśród pytań, na które prezydent nie odpowiedział, były przysłane mu przez dziadków jedenastoletniej Nataszki Kunowej, która była wśród zakładników w teatrze na Dubrowce, a w wyniku szturmu straciła tam mamę. Dziadkowie pytali, kto odpowie za śmierć zakładników i jak mają teraz utrzymać wnuczkę za przyznaną jej przez państwo sierocą rentę w wysokości 660 rubli (20 dolarów) miesięcznie.

3.11.2003, czwartek

UKRAINA JAKO GUBERNIA

Rosyjsko-ukraiński konflikt o wysepkę Tuzła przy wejściu do Morza Azowskiego to nie tylko spór terytorialny. To przede wszystkim demonstracja siły, która ma pokazać – jak mówią w Moskwie – „kto jest gospodarzem” na obszarze poradzieckim.

Kiedy Rosjanie w stachanowskim tempie zaczęli sypać groblę, coraz bardziej przybliżając się do Tuzły, Ukraińcy ustawili na południowo-wschodnim brzegu swojej wyspy transparenty z hasłami po rosyjsku. Na jednym z nich napisali: „Obywatele! Przed wami przedstawiciele bratniego narodu słowiańskiego! Nie doprowadzajcie do przelewu krwi i niepotrzebnych ofiar!”

Rosjanie od 30 września przez trzy tygodnie szli w kierunku Tuzły w tempie – jak sami lubią mówić – szturmowym. Jak policzyli pogranicznicy ukraińscy, na groblę co godzina – i w dzień, i w nocy – wjeżdżało około stu kamazów załadowanych piaskiem i kamieniami. Na Półwyspie Tamańskim przez okrągłą dobę musiały więc pracować dziesiątki koparek ładujących ziemię na wywrotki. W sumie przy budowie zatrudnionych było co najmniej tysiąc osób.

Kiedy Kijów pytał Rosjan, dlaczego rozpoczęli budowę w strefie granicznej bez uzgodnienia z sąsiadami i o co im w ogóle chodzi, Moskwa najpierw milczała, a potem tłumaczyła, że nie ma nic wspólnego z groblą, którą na własną rękę buduje społeczność lokalna. Prezydent Leonid Kuczma próbował się

dodzwonić do Władimira Putina, ale na Kremlu odpowiadali mu, że jest w podróży zagranicznej i połączyć z nim nie mogą...

Natomiast władze sąsiadującego z Ukrainą Kraju Krasnodarskiego ogłosiły, że zdecydowały się usypać groblę wyłącznie po to, by osłonić brzeg rosyjski przed falami z Morza Czarnego i ochronić miejsca tarła szlachetnych gatunków ryb.

A jednocześnie gazety krasnodarskie, a za nimi i moskiewskie, pisały, że trzystu Kozaków tamańskich czeka tylko na moment, kiedy grobla dojdzie do Tuzły, żeby przejść na wyspę, ogłosić ją terytorium Rosji i ustawić tam swój posterunek graniczny.

Kozacy to w dzisiejszej Rosji formalnie niepodporządkowana władzom państwowym dosyć operetkowa społeczność. Co drugi jej członek uważa się jeśli nie za „atamana”, to przynajmniej za „esauła”. Na swoich spotkaniach paradują w mundurach, obwieszają się medalami wyciętymi chyba z puszek po konserwach i piją wódkę, rozmawiając o konieczności odbudowania imperium. Ale to towarzystwo jest dosyć awanturnicze i rzeczywiście mogłoby przeprowadzić desant na Tuzłę, tym bardziej że wiadomo było, iż Ukraińcy nie odważą się otworzyć ognia w obronie wyspy.

Kiedy sypana w dzień i w nocy grobla zaczęła się przybliżać do Tuzły, Ukraińcy ustawili na wyspie najpierw posterunek graniczny, a potem strażnicę i przerwali tam oddział wojsk pogranicznych. Na plaży przy brzegu od strony rosyjskiej pogranicznicy wryli okopy. W pobliżu brzegu zakotwiczyła pogłębiarka. – To na wypadek, gdyby budowniczy grobli podeszli już całkiem blisko granicy. Wtedy zaczniemy od naszej strony pogłębiać dno – tłumaczył mi mjr Serhij Poddibnyj z ukraińskiej straży granicznej.

Żołnierze wojsk pogranicznych zakwaterowani na Tuzle w ośrodku wypoczynkowym kierczeńskiego portu wychodzili na brzeg i ćwiczyli „odparcie ataku” tak, by Rosjanie mogli ich widzieć ze swojej grobli.

Ubrani w hełmy i kamizelki kuloodporne tarczami spychali wyimaginowanego przeciwnika do morza. Za ich plecami ustawione na plaży głośniki wykrzykiwały hasło z wbitych w piasek transparentów: „Przed wami przedstawiciele bratniego słowiańskiego narodu, nie doprowadzajcie do przelewu krwi!” Telewizja rosyjska, pokazując te plażowe „tańce z tarczami”, zaopatrywała je pogardliwymi komentarzami, zapewniając, że Ukraińcy nie są w stanie przedsięwziąć wiele więcej.

Wyniki ankiet socjologicznych dowodzą, że zdecydowana większość Ukraińców uważa, iż ich kraj jest bezsilny wobec sąsiada. Sondaż przeprowadzony przez kijowskie Centrum Razumkowa w dniach, kiedy konflikt o wyspę był najbardziej ostry, pokazał, że 75,8 procent mieszkańców kraju jest przekonanych, iż Ukraina nie może użyć siły w obronie swego terytorium. „Czy możecie sobie państwo wyobrazić podobne wyniki takiego sondażu w Polsce?” – zapytała w komentarzu wydrukowanym w prestiżowym tygodniku „Dzerkało Tyżnia” Julia Mostowaja.

– We wrześniu, kiedy o grobli u nas się jeszcze nie mówiło, na wyspę przyjeżdżali jacyś Rosjanie. Mówili, że z telewizji. Ale potem się okazało, że zostawili urządzenie geodezyjne pokazujące budowniczym, jak mają sypać, żeby trafić na Tuzłę. Pytali nas, czy chcielibyśmy przyjąć paszporty rosyjskie – opowiada rybak, który przedstawił się jako Nikołaj. – A mnie, co tam. Byle ryba była. I spokój. Jasne, że Ukraina nie będzie strzelać do Rosjan. Gdyby

Ukraińcy mieli broń atomową, mogliby się postawić twardo. Ale już dawno oddali wszystko...

Po rosyjskiej stronie granicy nastroje były znacznie bardziej zdecydowane. Radio Echo Moskwy zapytało swych słuchaczy, co jest dla Rosji ważniejsze – dobre stosunki z Ukrainą czy przejęcie Tuzły. 82 procent uczestników sondażu odpowiedziało, że wyspa. A przecież słuchacze Echa to przede wszystkim liberalnie nastawiona stołeczna inteligencja.

Przy takich nastrojach w Ukrainie i w Rosji lider nacjonalistów w Dumie Władimir Żyrinowski w wywiadzie dla „Kijowskiego Telegrafu” mógł sobie pozwolić na wypowiedzi w stylu: „Nie rozumiem, do czego Ukrainie potrzebna jest suwerenność? Kto wam to narzucił? O niezależności tego kraju mówią tylko ludzie, którzy niczego nie rozumieją w polityce. Teraz na wszystko będziecie musieli uzyskiwać zgodę Kremla. A jeśli zgody nie dostaniecie, będziecie głodować”.

Aleksander Tkaczow, gubernator Krasnodaru, pierwszy zaczął mówić, że Tuzła to terytorium rosyjskie. Wyspa jeszcze osiemdziesiąt lat temu – przypominał – stanowiła zakończenie mierzei ciągnącej się od rosyjskiego Półwyspu Tamańskiego na północny zachód w kierunku ukraińskiego dziś Kiercza. W roku 1925 potężny sztorm rozmył mierzeję na odcinku 4,5 kilometra, oddzielając Tuzłę od stałego lądu.

Rosyjski MSZ, kiedy budowniczy doszli na pół kilometra do brzegu wyspy, raptem zażądał od Kijowa przedstawienia dokumentów dowodzących, że Ukraina ma jakiegokolwiek prawa do Tuzły.

Ukraińcy odpowiedzieli, że nie będą „udowadniać tego, co jest oczywiste”, i żadnych dokumentów Rosjanom nie prześlą. Argumentowali, że jeszcze dwadzieścia dziewięć lat temu

Moskwa, wytyczając granicę administracyjną między radziecką wtedy Ukrainą a Krajem Krasnodarskim, orzekła, że przebiega ona po morzu, oddzielając ukraińską Tuzłę od krasnodarskiego Półwyspu Tamańskiego.

Moskwa nie przyjmuje tych argumentów. Państwowa telewizja RTR wbija do głowy swoim widzom: „Ani w Kijowie, ani w Symferopolu (stolica Krymu, w którego administracyjnych granicach znajduje się wyspa) nie mają dokumentów potwierdzających prawa Ukrainy do Tuzły, a żadna granica w tym regionie nigdy wytyczana nie była”.

Tego samego zdania jest większość polityków moskiewskich, z premierem Michaiłem Kasjanowem na czele. Rząd Rosji zgodził się na przerwanie budowy grobli, która podeszła do linii uważanej przez Ukraińców za graniczną, pod warunkiem natychmiastowego rozpoczęcia rozmów o wytyczeniu granicy w rejonie wyspy i na całym Morzu Azowskim.

Problem „ekologiczny” zmienił się w spór terytorialny.

Tuzła nie jest pierwszym skrawkiem terytorium „bratniego” sąsiedzkiego państwa, do którego Moskwa zgłasza pretensje. Rok temu Kazachstan po cichu zgodził się oddać Rosji wyspy Ukatnyj i Żostkij w swoim rejonie Morza Kaspijskiego wraz z pobliskimi złożami ropy naftowej.

W sporze Ukrainy z Rosją też chodzi nie tylko o Tuzłę, piaszczysty kawałek lądu o długości około pięciu kilometrów i szerokości niespełna kilometra.

Chodzi o to, kto będzie kontrolował żeglugę w strategicznie ważnej Cieśninie Kerczeńskiej. Cieśnina oddzielająca Krym od Kraju Krasnodarskiego ma dla Rosjan ogromne znaczenie. To jedyne miejsce, gdzie na Morze Czarne mogą się przedostać ich jednostki nie tylko z Morza Azowskiego, ale też z wpadającego

do niego Donu i systemu dróg wodnych Wołga-Don obejmującego wszystkie wielkie rzeki europejskiej części Rosji.

Codziennie przez cieśninę położoną między Tuzłą a Kerczem przepływa około 30 statków. Póki Ukraińcy będą władać i portem, i wyspą, będą mieli pełną kontrolę nad tym, kto wchodzi na Morze Azowskie, i prawo do pobierania opłat za przepuszczanie jednostek przez cieśninę.

Gdyby Rosja opanowała Tuzłę, mogłaby nie przepuszczać na Morze Azowskie statków obcych bander – choćby jednostek wojennych NATO. Awantura o Tuzłę to też element sporu o to, jak ma przebiegać granica na całym Morzu Azowskim. Kijów chce, by akwen podzielić na dwie części. Moskwa żąda, by morze było wspólne. Teraz, kiedy pokazała, że nie cofnie się przed postawieniem przeciwnika pod ścianą, jej pozycja przetargowa może być twardsza.

Takie problemy graniczne rozstrzyga się najlepiej drogą negocjacji. Tym bardziej że Putin poza momentami, kiedy jest w jakiejś podróży zagranicznej i pozostaje „nieuchwytny”, z nikim z polityków zagranicznych nie spotyka się tak często i chętnie jak z Kuczmą. Dlaczego więc Moskwa tym razem zdecydowała się „zagrać groblą”?

– Z naszymi sąsiadami, byłymi republikami radzieckimi, podpisaliśmy dziesiątki różnorodnych umów. O handlu, cłach, podatkach, wspólnych przestrzeniach, integracji. Nawet ja nie jestem w stanie zapamiętać tych wszystkich porozumień. Wiem jednak, że żadne z nich nie jest tak naprawdę realizowane. Okazało się, że są one warte tylko tyle, ile papier, na którym je zapisano – przypomina Wiaczesław Igrunow, wiceprzewodniczący komisji do spraw WNP w Dumie rosyjskiej.

– Kiedy wybuchł skandal z groblą? – przypomina Georgij Kriuczkow, komunistyczny deputowany do ukraińskiej Rady Najwyższej, przewodniczący parlamentarnej komisji bezpieczeństwa narodowego i obrony. – Zaraz po tym, jak we wrześniu w Jałcie prezydenci Rosji, Kazachstanu, Białorusi i Ukrainy podpisali porozumienie o stworzeniu Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej. Kuczma podpisał z zastrzeżeniem, że będzie realizował tylko te punkty układu, które „nie są sprzeczne z konstytucją Ukrainy”. A to daje mu prawo ignorowania całego układu. Wychodzi więc na to, że Kuczma siedział z partnerami rosyjskimi, dogadywał się z nimi, podpisywał – jak to się u nas mówi – „z figą w kieszeni”, czyli ani myśląc wypełniać tego, do czego się zobowiązuje. A Moskwie się nie podoba taka gra. Postanowiła więc pokazać, że trzeba ją traktować poważnie – uważa Kriuczkow.

W sporze o groblę Ukraina poniosła porażkę. Rosji udało się nie tylko przeprowadzić demonstrację siły, ale też pokazać światu bezradność sąsiada, któremu przez trzy tygodnie spokojnie grała na nosie.

Rozmowy o wytyczeniu granicy w Cieśninie Kerczeńskiej i na Morzu Azowskim rozpoczynają się, kiedy Rosjanie wciąż pracują na swojej grobli. Setki ciężarówek stale przywożą tam piasek i kamienie, koparki i spychacze umacniają i poszerzają to, co już powstało. Jeśli budowniczy dostaną polecenie doprowadzenia jej do brzegu Tuzły, zrobią to w dzień, dwa. A tam, gdzie grobla się dziś kończy, stale dyżuruje posterunek Kozaków. Gdyby się przedarli na wyspę, mogliby ją ogłosić „terytorium rosyjskim”. Czy wtedy pogranicznicy ukraińscy, których Kijów mimo zdecydowanych żądań Moskwy nie zabiera z Tuzły, odważą się użyć siły? Bardzo wątpliwe.

Do rozmów o granicy na Morzu Azowskim Ukraińcy siądą więc tym razem raczej nie „z figą w kieszeni”, lecz w pewnym sensie pod lufą pistoletu.

Ale awantura o Tuzłę ma i odwrotną stronę. W Kijowie konflikt wywołał ogromne emocje i w dużym stopniu zjednoczył ukraińską elitę polityczną. Najpierw 250 (większość to 226 głosów) deputowanych do Rady Najwyższej głosowało za apelem do parlamentu rosyjskiego o interwencję w sprawie budowy grobli. Potem 330 było za przyjęciem oświadczenia przestrzegającego Moskwę, że Kijów zwróci się o pomoc do instytucji międzynarodowych. W parlamencie w obronie Rosjan występował jedynie Petro Symonenko, lider komunistów, ale nawet nie wszyscy jego towarzysze partyjni się z nim zgadzali.

– Winę za to, co się stało wokół Tuzły, w dużym stopniu ponosimy my sami – uważa Ołeksandr Zinczenko, wiceprzewodniczący Rady Najwyższej. – Kijów od lat uchyla się od zdecydowanej odpowiedzi na strategiczne pytania. Choćby o to, z kim Ukraina powinna się integrować – ze wschodnim sąsiadem czy Europą – choćby w dziedzinie energetyki. Wciąż szukamy jakichś kompromisów, próbujemy przechytryć, a to Moskwę, a to Zachód. I doszliśmy do punktu, w którym rzecz idzie o całość naszego terytorium. A tam, gdzie gra toczy się choćby o metr kwadratowy obszaru państwa, kompromisów już być nie może – zapewnia Zinczenko.

Rzeczywiście ustępstwo terytorialne dotyczące małej piaszczystej wyspy miałoby dla Ukrainy fatalne następstwa. Przecież w Moskwie od lat podnoszą się głosy, że Rosja ma prawo do całego Krymu i powinna go odzyskać. Tuzła mogłaby być pierwszym krokiem w tym kierunku [w 2005 roku Rosja

uznała, że wyspa to jednak terytorium ukraińskie, ale w 2014 roku zaanektowała ją wraz z Krymem].

22.11.2003, sobota

CHCIELIBY IMPERIUM

Rosja zaczyna się bogacić, władza prezydencka krzepnie. Równocześnie odradza się doktryna imperialna otwarcie nawiązująca do ideologii sowieckiej. Dziś o „rosyjskiej misji” mówią nie tylko nacjonaści. Także demokraci...

Prawie dwa lata temu gościliśmy z Adamem Michnikiem na Kremlu u Władimira Putina. Szef „Wyborczej” zapytał gospodarza, jaka jego zdaniem powinna być dziś narodowa idea Rosji. – Zagospodarowanie tych przestrzeni, które posiadamy – odpowiedział prezydent.

Przyznam, że ta odpowiedź wprawiła mnie w zachwyt. Bo rzeczywiście, zagospodarowanie olbrzymich przestrzeni Rosji (ponad 17 milionów kilometrów kwadratowych) to gigantyczne wyzwanie. Eksperti szacują, że gdyby zsumować ukryte pod ziemią zasoby ropy, gazu i rud metali, wartość lasów i potencjału energetycznego rzek, a następnie podzielić tę astronomiczną kwotę pomiędzy nie tak wielką liczbę mieszkańców Rosji, to okazałoby się, że na statystycznego obywatela przypada majątek nieporównanie większy niż w jakimkolwiek innym kraju.

Tymczasem co trzeci Rosjanin żyje dziś poniżej progu ubóstwa. Pustoszeje bogaty w surowce naturalne Daleki Wschód graniczący z przeludnionymi do granic możliwości, bezdrzewnymi, cierpiącymi na brak wody północnymi Chinami. Wymierają miasta na Dalekiej Północy...

W samym Sankt Petersburgu, rodzinnym mieście Putina, trzeba czym prędzej zbudować groblę chroniącą przed sztormami w Zatoce Fińskiej. Grobla miała powstać w 2003 roku, na jubileusz trzystulecia założenia północnej stolicy Rosji. Ale rocznicowe pieniądze pożarła odbudowa wspaniałych imperialnych pałaców petersburskich. Miastu wciąż grożą fale morskie – każdy silniejszy huragan na Bałtyku może przynieść katastrofalną powódź.

Rosjanie z całą energią wzięli się natomiast do budowy grobli w zupełnie innym miejscu – łączącej Kraj Krasnodarski z należącą do Ukrainy wysepką Tuzła położoną w cieśninie pomiędzy Morzem Czarnym a Azowskim. Ta grobla nie osłania żadnego miasta rosyjskiego przed sztormami. Jej budowa to demonstracja siły, która ma ułatwić Moskwie rokowania z Kijowem w sprawie korekty granic w rejonie Krymu – a więc już poza „przestrzeniami, które posiadamy”.

Także o „idei narodowej” mówi się dziś inaczej. Niedawno Anatolij Czubajs, ongiś znany reformator, obecnie szef spółki Zjednoczony System Energetyczny Rosji, wygłosił wykład dla studentów petersburskiego Uniwersytetu Inżynieryjno-Ekonomicznego. Poświęcił go „misji Rosji w XXI wieku”.

– Ideologią Rosji na całą dającą się przewidzieć przyszłość – przekonywał – winien się stać, w moim najgłębszym przekonaniu, imperializm liberalny. Misją zaś Rosji jest stworzenie liberalnego imperium. Taki wniosek płynie z naszej historii najnowszej. To właśnie jest nasz cel – naturalny, organiczny, właściwy dla Rosji i historycznie, i geopolitycznie, i moralnie. To w końcu jest też zadanie na taką skalę, jaka pomoże naszemu narodowi ostatecznie przezwyciężyć kryzys duchowy, rzeczywiście go zmobilizuje i zjednoczy.

Szczególna pozycja Rosji bierze się z daniem Czubajsa z jej siły ekonomicznej i sukcesów, jakie udało się osiągnąć w ostatnich dwunastu latach. – Przypomnę: w 2002 roku rosyjski produkt narodowy brutto wyniósł 346 miliardów dolarów, podczas gdy produkt narodowy brutto Ukrainy – 41 miliardów, Kazachstanu – 25 miliardów, Białorusi – 14 miliardów, Azerbejdżanu – 6 miliardów. A poziom życia? Pod względem średniej płacy Rosja zajmuje pierwsze miejsce, Kazachstan – drugie, Ukraina – trzecie. I tak jest ze wszystkimi wskaźnikami. Skąd i dokąd migrują ludzie? Czyżby z Rosji do Ukrainy? Do Armenii? Rzecz jasna, jadą w przeciwnym kierunku. W ostatnich dwunastu latach Rosja stała się niekwestionowanym liderem we Wspólnocie Niepodległych Państw pod względem poziomu i jakości życia – podsumował były wicepremier.

Czubajs zapewnił wprawdzie, że „imperium liberalne” nie będzie sięgać po ziemie sąsiadów, jednak obowiązkiem władzy jest „wspomaganie ekspansji ojczystego biznesu w krajach sąsiednich – zarówno w handlu, jak i w nabywaniu i pomnażaniu aktywów”.

W oczach narodu wyrazem najwyższego uznania dla rosyjskiego męża stanu jest tytuł *sobiratiela russkoj ziemi* (jednoczyciela ziemi ruskiej). Dziś pochlebcy nazywają Putina „nowym Iwanem Kalitą”, porównując go do pierwszego *sobiratiela* – księcia włodzimierskiego, który w XIV stuleciu przechytrył panujących na Rusi Tatarów i połączył kilka księstw we wspólny organizm z centrum w Moskwie, kładąc fundament pod przyszłą potęgę imperium.

Kandydatów na *sobiratieli* jest zresztą więcej. Choćby mer Moskwy Jurij Łużkow, który jednemu z modeli samochodów produkowanych w dogorywających zakładach AZŁK-Moskwicz

nadał nazwę Iwan Kalita. Mer funduje też w ukraińskim Sewastopolu domy dla rosyjskich oficerów [Rosja od upadku ZSRR w 1991 roku dzierżawiła tam bazę morską] i ogłasza, że gotów jest wydać miliard dolarów na budowę mostu łączącego Kraj Krasnodarski z ukraińskim Kerczem. Zdaniem Łużkowa bowiem Krym był od wieków ziemią rosyjską, która dziś powinna wrócić do macierzy.

Inny *sobiratel*, nacjonalista Władimir Żyrinowski, zapowiada, że „żołnierz rosyjski obmyje kamasze w wodach Oceanu Indyjskiego”, a polityków ukraińskich straszy, że posadzi ich wszystkich do więzienia, gdy tylko Rosja znów zawładnie Kijowem.

Te i podobne wystąpienia dziesiątków polityków „patriotycznych” na nikim już nie robią wrażenia. To w życiu publicznym Rosji chleb powszedni. Ale Czubajs, prozachodni liberał, w czasach poprzedniego prezydenta zwany „młodym wilkiem Jelcyna”, w roli piewcy imperializmu, choćby i „liberalnego”? Wielu jego zwolenników związanych z obozem demokratycznym wolało nie zauważyć wykładu w Petersburgu. Przeciwnicy nabijali się, że liberał przywdział na chwilę imperialną togę, by przed grudniowymi wyborami do Dumy przypodobać się „zdrowo myślącej części elektoratu”.

Jedynie Maksim Sokołow, publicysta o poglądach wielkoruskich, napisał w „Izwestiach”, że Czubajs może i późno, lecz w końcu zaczął mówić „językiem, którym od dawna mówi cały nasz kraj”.

Jednakże w przeciwieństwie do Żyrinowskiego, który tylko dużo gada, czy Łużkowa, który co najwyżej ogłosi bojkot łotewskich szprotek w moskiewskich sklepach, Czubajs jest *sobiratiem* nie tylko w teorii. Jednoczy wprawdzie nie ziemie,

lecz elektrownie i sieci energetyczne byłego ZSRR, ale czyni to bardzo skutecznie.

W ostatnich miesiącach jego spółka przejęła kontrolę nad 80 procentami systemu energetycznego Armenii, m.in. nad elektrownią atomową i sewiano-razdańską kaskadą hydroelektrowni. Rosjanie przejęli owe zakłady w zamian za 40 milionów dolarów długu Armenii, która nie płaciła na czas za paliwo jądrowe. Cena niezła, zważywszy na to, że wybudowanie siłowni atomowej kosztuje około miliarda dolarów. Rosjanie zdobyli też kontrolę nad systemem energetycznym w rejonie Tbilisi. Dziś chwala się, że „gruziński wyłącznik prądu znajduje się w Moskwie”.

Gazownicy i nafciarze nie są gorsi od energetyków. Też chcieliby być *sobiratielami* rur radzieckich.

Jedną z największych kości niezgody pomiędzy Putinem a Aleksandrem Łukaszenką są przebiegające przez Białoruś rurociągi tłoczące rosyjską ropę i gaz ku Zachodowi.

To przy Borysie Jelcynie białoruski baćka mógł mydlić oczy Moskwie pustymi deklaracjami o konieczności szybkiej integracji jego kraju z Rosją. W zamian dostawał setki milionów dolarów na podtrzymanie swego „zajęczka” (jak powszechnie nazywa się rubla białoruskiego) i gaz za półdarmo.

Nowy prezydent Rosji zapowiedział jednak, że „białoruska mucha nie będzie dłużej żerować na rosyjskim kotlecie”. I dał Łukaszence do wyboru: albo „prawdziwa integracja”, albo żadnej pomocy gospodarczej oraz wysokie, „europejskie” ceny za gaz i ropę.

„Prawdziwa integracja” oznacza zaś pełne podporządkowanie Mińska Kremlowi i przekazanie białoruskich rurociągów pod kontrolę firm rosyjskich. Łukaszenka się wykręca, jak może, ale

może niewiele. Bez pomocy Rosjan nie uratuje swego i tak już niewiele wartego „zajęczka” przed hiperinflacją i nie będzie miał z czego utrzymywać komunistycznego skansenu w swoim kraju.

Firmy rosyjskie nie zapominają także o radzieckich rurach w Ukrainie. W połowie października wicepremier Wiktor Christienko zażądał, by Kijów przekazał swoje gazociągi międzynarodowemu konsorcjum kontrolowanemu przez rosyjski Gazprom i jego udziałowca – niemiecki Ruhrgaz. Dla Ukrainy oznaczałoby to utratę poważnej części z 1,6 miliarda dolarów, które ów kraj zarabia rocznie na tranzycie gazu.

Rurociąg Odessa – Brody powstał nie w czasach ZSRR, ale zbudowała go niepodległa Ukraina. – Zdecydowaliśmy się na tę inwestycję, gdy na początku lat dziewięćdziesiątych Rosjanie zapowiedzieli, że ograniczą przesyłanie ropy przez nasz kraj – mówi Ołeksandr Todijczuk, do niedawna szef spółki Ukrtransnafta zarządzającej ukraińskimi ropociągami. – Wpadliśmy wówczas na pomysł, by ropę przywożoną z Kazachstanu do portu Priwdennyj koło Odessy transportować na północny zachód – do Brodów i dalej do Europy. Miał to być pierwszy „by-pass”, którym ropa z Morza Kaspijskiego płynęłaby do Europy, omijając zatłoczony dziś do niemożliwości Bosfor.

Ale rurociąg Odessa – Brody byłby „by-passem” nie tylko dla Bosforu. Złamałby także rosyjski monopol na transport ropy na północnym brzegu Morza Czarnego. A na to Moskwa zgodzić się nie chce.

– 27 maja wraz z delegacją rządową leciałem do Brukseli, by podpisać wspólną deklarację Polski, Ukrainy i Unii Europejskiej o projekcie budowy eurazjatyckiego korytarza naftowego, dzięki któremu ropa przesyłana z Odessy do Brodów szłaby dalej do Płocka i Gdańska, do Czech i Bawarii,

a w przyszłości do niemieckiego portu Wilhelmshaven – opowiada Todijczuk. – Już w samolocie otwieram gazetę i czytam, że mój zastępca Stanisław Wasylenko podpisał z rosyjską spółką naftową TNK porozumienie, w myśl którego przez najbliższe dwadzieścia jeden lat Rosjanie będą transportować naszym rurociągiem własną ropę z Samary przez Brody do Odessy, a więc w dokładnie przeciwnym kierunku. Otwieram kolejną gazetę, a tam to samo. Na pokładzie dali nam dziesięć gazet. W siedmiu można było przeczytać o kontrakcie z TNK. To był prawdziwy atak medialny przypuszczony perfidnie w krytycznym dla nas momencie.

Ukraińcy mimo wszystko podpisali deklarację z UE i Polską o korytarzu naftowym. Artykuły o przejęciu rurociągu ukraińskiego przez Rosję okazały się kłamstwem. Na razie...

Wkrótce bowiem prozachodni Todijczuk przestał być szefem Ukrtransnafty, a firmą zaczął kierować Wasylenko, zwolennik „rewersu”, czyli przesyłania rosyjskiej ropy z Brodów do Odessy. Następnie powołano komisję, która do 15 stycznia przyszłego roku ma ustalić, jakie wykorzystanie rurociągu bardziej opłaca się Ukrainie – zachodni „awers” czy forsowany przez Rosjan „rewers”.

Stało się jasne, że zapowiadany na 21 października pierwszy kolejowy transport kaspijskiej ropy z Brodów do rafinerii na południu Polski, przy którego odprawieniu miała być obecna Loyola de Palacio, wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej, nie wyruszy.

Rosjanie wspólnie z Ukraińcami od lat konstruują też wojskowy samolot transportowy An-70. Do niedawna obie strony zachwycały się tym cudem techniki, który może wziąć na pokład do 40 ton ładunku. By wznieść się w niebo z 20

tonami, potrzebuje pasa startowego długości zaledwie 600 metrów.

Zachwyty skończyły się jednak, gdy rozpoczęła się interwencja w Afganistanie i na świecie gwałtownie wzrosło zapotrzebowanie na transport wojsk drogą lotniczą. Rosjanie przestali nagle finansować prace nad An-70 i uczestniczyć w testach samolotu. Dziś generał Władimir Michajłow, głównodowodzący rosyjskich sił powietrznych, twierdzi, że nowa maszyna jest do niczego i Rosjanie nie kupią ani jednego egzemplarza.

– Gdyby Moskwa zrezygnowała z udziału w realizacji projektu, poradzilibyśmy sobie bez niej – zapewnia Dmytrij Kywa, generalny konstruktor Naukowo-Technicznego Kompleksu Lotniczego im. Antonowa w Kijowie, który pracuje nad An-70. – Chińczycy lub Hindusi gotowi są nam w tym pomóc. Zainteresowane współpracą przy An-70 są też inne kraje. Rosjanie jednak po prostu starają się zahamować prace, zamrozić projekt.

Dlaczego? Dziś, gdy na przewozach wojsk można dobrze zarobić, Rosjanie nie są zainteresowani tym, żeby nowy wspólny samolot wypierał z rynku ich Ił-76 MF.

Problem w tym, że i ta maszyna montowana jest nie w Rosji, lecz w Uzbekistanie. Moskwa próbuje więc odebrać Taszkentowi dokumentację samolotu.

Liczba mieszkańców Rosji co roku zmniejsza się o blisko 700 tysięcy. Dzieci rodzi się tu niewiele, śmiertelność – zwłaszcza wśród mężczyzn – wciąż jest wysoka. Można by jednak powstrzymać tę niekorzystną tendencję demograficzną, pozwalając rdzennym Rosjanom zamieszkałym w byłych republikach radzieckich na osiedlanie się w ojczyźnie przodków

i „zagospodarowanie przestrzeni”, choćby na pustoszejącym Dalekim Wschodzie.

Jednak w Rosji obowiązują, wprowadzone już pod rządami Putina, surowe przepisy o obywatelstwie. Chcąc zdobyć obywatelstwo, przybysz z zagranicy – nawet czystej krwi Rosjanin pochodzący, powiedzmy, z Kazachstanu – musi najpierw legalnie przenieść się do Rosji jako cudzoziemiec. Dopiero potem może złożyć wniosek o przyznanie obywatelstwa, na które musi czekać jeszcze co najmniej trzy lata.

Dużo szybciej obywatelstwo otrzyma jednak ktoś, kto mieszka nie w Rosji, lecz w punktach zapalnych wzdłuż rosyjskiej granicy, np. w należących do Gruzji zbuntowanych prowincjach Abchazji albo Osetii Południowej.

– W ostatnich latach władze Rosji przeprowadziły masową akcję „paszportyzacji” w Abchazji i Osetii – mówi Michaił Głobaczow, publicysta liberalnego tygodnika „Nowoje Wremia”, ekspert do spraw Kaukazu. – Każdy, kto tylko zechce, dostaje tam wkładkę do starego radzieckiego „paszportu wewnętrznego” [odpowiednik naszego dowodu osobistego] stwierdzającą, że jest „obywatelem Rosji”. Taką wkładkę ma dziś około 200 tysięcy mieszkańców Abchazji. Moskwa zaś obiecuje, że od stycznia wymieni te wkładki na prawdziwe rosyjskie paszporty zagraniczne. Ale i ten dokument nie da jego posiadaczowi żadnych praw. Nie pozwoli mu zameldować się ani podjąć pracy w którymś z miast rosyjskich. Przybysz z Abchazji nadal będzie dla moskiewskiego milicjanta „osobą narodowości kaukaskiej”, „czarnym”, od którego można bezkarnie żądać łapówki za nielegalne przebywanie w stolicy. „Paszportyzacja” ma tylko jeden cel: udowodnienie, że w regionach, w których prorosyjscy separatyści dokonali przewrotu i przejęli władzę, np.

w gruzińskiej Abchazji i Osetii Południowej lub w mołdawskim Naddniestrzu, większość ludności stanowią Rosjanie.

Niedawno, kiedy wstępujące do UE Litwa i Polska ogłosiły, że wprowadzą obowiązek posiadania wiz dla mieszkańców Kaliningradu podróżujących na kontynent rosyjski, admirał Władimir Jegorow, gubernator enklawy nadbałtyckiej, zażądał od Unii 17 milionów dolarów na przygotowanie paszportów zagranicznych dla kaliningradczyków. Stwierdził, że Rosji nie stać na taki wydatek. Dla swoich nie stać. Stać dla tych, którzy mieszkają poza „przestrzeniami, które posiadamy”.

Moskwa w ogóle ignoruje swoją granicę z Gruzją na odcinku abchaskim. Rosjanie uruchomili nawet regularne połączenie kolejowe ze swojego Soczi do abchaskiego Suchumi. Pociąg od ponad roku przekracza granicę rosyjsko-gruzińską, choć nikt nie zapytał Tbilisi o zgodę.

– Czubajs nie wystąpiłby z ideą „imperializmu liberalnego”, gdyby w naszym społeczeństwie nie było tak silnych nastrojów wielkomocarstwowych – mówi Wiaczesław Igrunow, wiceprzewodniczący komisji ds. Wspólnoty Niepodległych Państw w rosyjskiej Dumie (WNP to platforma współpracy większości byłych państw ZSRR). – Jednak w Rosji mamy dziś do czynienia z renesansem sowieckiej doktryny imperialnej. Nasi dyplomaci i ludzie, którzy kiedyś w mundurach służyli ZSRR, a teraz sprawują władzę nad Rosją, głęboko wierzą, że jesteśmy dominującą siłą w tej części świata i dlatego należą się nam specjalne prawa.

– Nie zapominajmy wszelako – dodaje Igrunow – że rosyjski imperializm umacnia się także dlatego, iż taki przykład dają nam Amerykanie. Jeśli Stany Zjednoczone mogą zaprowadzać porządek w Jugosławii albo Afganistanie, to czemu my nie

możemy robić tego w Gruzji? Jeśli koncernowi Chevron wolno sięgać po pola naftowe w Iraku, to dlaczego Zjednoczony System Energetyczny Rosji nie może przejmować elektrowni w Armenii? Przykład USA jest tym bardziej zaraźliwy, że nasza polityka zagraniczna i stosunek do sąsiadów zawsze były imperialne, zawsze opierały się na sile. Dziś siły już nie ma, ale stara szkoła nadal obowiązuje.

– Od dziesięciu lat uczestniczę w negocjacjach z Rosjanami na temat naszych rurociągów – mówi Mychajło Honczar, ukraiński ekspert pracujący w Ukrtransnafcie – i widzę, jak oni się zmieniają, dosłownie z miesiąca na miesiąc. Gdzieś od roku stali się wyjątkowo twardzi i nieustępliwi. Nie tylko dlatego, że taki przykład dają im Amerykanie. To już jest inne państwo. Rosja znowu zaczęła wierzyć w siebie. Jeszcze cztery lata temu jej budżet wynosił 40 miliardów dolarów – mniej niż miasta Nowy Jork. Dziś do Moskwy płynie rzeka petrodolarów, a same rezerwy walutowe przekraczają 63 miliardy. Dla Waszyngtonu Rosja nie jest już krajem prowadzącym brudną wojnę w Czeczenii, lecz ważnym partnerem w koalicji antyterrorystycznej. Na Kremlu dobrze wiedzą, że Zachód nie zamierza się wtrącać do sporów Rosji z dawnymi „braćmi radzieckimi”.

We wrześniu prezydenci Białorusi, Kazachstanu, Rosji i Ukrainy podpisali w Jałcie porozumienie o formowaniu Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej. O najważniejszych kwestiach ekonomicznych na obszarze WPG decydować będzie komisja koordynująca, w której głos każdego z państw będzie miał wagę proporcjonalną do jego potencjału gospodarczego. A przypomnijmy, że zgodnie z wyliczeniami Czubajsa PNB Ukrainy jest osiem razy mniejszy od rosyjskiego, Kazachstanu – 14

razy mniejszy, Białorusi – 22 razy mniejszy. Krótko mówiąc, wchodząc do nowej „przestrzeni”, Mińsk, Astana i Kijów muszą się wyrzec części suwerenności.

Zdecydowana większość polityków ukraińskich na wyścigi krytykowała WPG. Mówiono o „zdradzie interesu narodowego” i „drugiej Jałcie”. Reakcje społeczne były jednak zróżnicowane. Na zlecenie prestiżowego tygodnika „Dzerkało Tyżnia” socjologzy zapytali Ukraińców, czy „chcieliby żyć w imperium liberalnym stworzonym na terytorium poradzieckim, którego pierwszym etapem tworzenia jest powołanie Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej”. Oto, co usłyszeli:

- we Lwowie, centrum zachodniej Ukrainy, gdzie tęsknota za ZSRR jest najsłabsza, 67,2 procent ankietowanych odpowiedziało „zdecydowanie nie” („tak” – 12,6 procent);

- w stołecznym Kijowie przeciw „imperium” było 60,7 procent („zdecydowanie za” – 21,7 procent);

- w Doniecku, we wschodniej Ukrainie, znalazło się tylko 26,4 procent przeciwników „imperium” (zdecydowanych zwolenników było 55,4 procent);

- w Symferopolu, stolicy Krymu, przeciw „imperium” wypowiedziało się zaledwie 7,2 procent respondentów, „zdecydowanie za” – 78,88 procent.

Wyniki te uzyskano w chwili, gdy Rosjanie w błyskawicznym tempie budowali groblę do Tuzły. Julia Mostowaja, publicystka „Dzerkała Tyżnia”, podsumowując wyniki sondażu, napisała, że po dwunastu latach niepodległości Ukraińcy wciąż pozostają „półnarodem”. Jeden z polityków kijowskich powiedział mi, że inny sondaż, którego wyniki nie zostały ujawnione, dowiódł, iż konflikt wokół wyspy przyczynił się do... wzrostu popularności Putina w Ukrainie.

Politycy rosyjscy znakomicie zdają sobie sprawę z nastrojów w Ukrainie. I nierzadko otwarcie szydzą z narodu, który żywi najsilniejsze aspiracje niepodległościowe w całej WNP. Podczas dyskusji w rosyjskiej telewizji NTW Aleksiej Mitrofanow, deputowany do Dumy, jeden z liderów partii Żyrinowskiego, rzucił w twarz swoim ukraińskim partnerom: – Nie poradzicie sobie sami, jeśli nie dostaniecie naszego gazu za półdarmo, i nie pozwolimy dziwkom z Ukrainy pracować w Moskwie. Ukraińców stać było tylko na bladą replikę: – To z kim będziecie spać?

Natomiast wiceminister spraw zagranicznych Eleonora Mitrofanowa (siostra deputowanego) oznajmiła na spotkaniu ze studentami w Moskwie, że władze Rosji „prowadzą aktywne starania”, by rządy krajów sąsiednich nadały językowi rosyjskiemu „status języka państwowego”. Dodała, że ta „aktywność” jest dziś skierowana przede wszystkim w stronę Ukrainy.

– Potrafię zrozumieć nowe podejście Moskwy do sąsiadów – mówi Ołeksandr Zinczenko, wiceprzewodniczący ukraińskiej Rady Najwyższej. – Rosja staje na nogi, dzięki koniunkturze na ropę się bogaci, umacnia władzę centralną. Nic dziwnego, że chce odzyskać dominującą pozycję na obszarze byłego ZSRR. Trudno mieć o to pretensje do Kremla. Ale można mieć pretensje do władz Ukrainy, że wciąż się wahają, jaki kurs wybrać, do kogo się zbliżyć – do UE czy WPG. I można też mieć pretensje do polityków zachodnich. O to, że nie widzą, jak wschodni sąsiad coraz mocniej wciąga nas w orbitę swych wpływów. Zachód czeka na przyszłoroczne wybory prezydenckie, a raczej na nowego prezydenta Ukrainy, którego mógłby zaakceptować. Leonida Kucznię oskarża się bowiem o udział w zabójstwie dziennikarza

Heorhija Gongadze i o sprzedaż broni Bagdadowi. Nawet to, że nasi żołnierze służą dziś w Iraku, niewiele zmieniło w podejściu polityków zachodnich do Kijowa. Oni przyjęli roczny *time out*, a Rosjanie skrupulatnie wykorzystują ten czas...

13.03.2004, sobota

MAFIA UPAŃSTWOWIONA

Dziś w Rosji ściąganiem haraczy od przedsiębiorców trudni się milicja i służby specjalne. Zdaniem mojego rozmówcy, doradcy na Kremlu, taka ucywilizowana korupcja jest dużo lepsza od korupcji dzikiej, żywiołowej. Lepiej, gdy biorą nie bandyci, lecz przedstawiciele władzy.

Krocząc pewnie ku olśniewającemu zwycięstwu w wyborach prezydenckich, Władimir Putin nie prowadzi kampanii wyborczej. Nie zwołuje wieców swych zwolenników, nie dyskutuje z konkurentami przed kamerami telewizji, zrezygnował nawet z bezpłatnego czasu antenowego. Zbyt jest zajęty rozstrzyganiem spraw wagi państwowej.

Jednak programy informacyjne ogólnokrajowych sieci telewizyjnych zmieniły się w codzienny teatr jednego aktora. Podporządkowane kremlowskiemu dworowi media skrupulatnie śledzą każdy krok prezydenta, utwierdzając Rosjan w przekonaniu, że pod jego rządami kraj stał się stabilny, a postępowanie władz „przewidywalne”. Ton relacji jest zawsze triumfalny.

Kilka tygodni temu władze rozesłały wici wśród moskiewskich dziennikarzy, zapowiadając bardzo ważne wydarzenie. Zaintrygowani dziennikarze z trudem pomieścili się w czternastu autobusach. Gdy dotarli na Kreml, z ust prezydenta usłyszeli: –

Nie będę się zajmował pijarem (słowo to zrobiło w Rosji wielką karierę, zastępując dawną „propagandę”).

W ostatnim tygodniu lutego obowiązki głównego gospodarza kraju wezwały Putina na Daleki Wschód, gdzie uroczyście otwierał przejazd drogowy z Chabarowska do Czyty. Jak można się było dowiedzieć z telewizji, chodzi o „ostatni odcinek transkontynentalnej trasy łączącej Paryż z wybrzeżem Oceanu Spokojnego”. Słowem, miał to być sukces na miarę uruchomienia 101 lat temu Kolei Transsyberyjskiej.

Droga z Chabarowska do Czyty liczy 2150 kilometrów. Jej budowa ciągnie się od 1964 roku. Skończy się, jak dobrze pójdzie, w roku 2008. Ale od lat jeżdżą tą trasą śmiałkowicie przerzucający z dalekowschodnich portów do miast syberyjskich używane japońskie samochody. Ilu z nich zgasły silniki przy czterdziestostopniowym mrozie, ilu zamarzło? Ci, którzy stale zajmują się tym procederem, twierdzą, że każdej zimy ginie w ten sposób kilkadziesiąt osób.

Do dziś ukończono zaledwie czwartą część trasy. Reszta to drogi szutrowe lub gruntowe wyjeżdżone w tajdze przez kierowców „japonek”.

Co więc otwierał Putin? Most przez Amur pod Chabarowskiem oddany do użytku... dwa lata temu. W telewizji można było dostrzec, że sam prezydent czuł się nieswojo, stojąc przed biało-niebiesko-czerwoną wstęgą przy wjeździe na most. Nie chciał jej nawet przeciąć – oddał nożyce dwóm stojącym w pobliżu robotnikom.

Potem jednak na most wjechały załadowane ziemią wielkie wywrotki z transparentami: „Nowa droga, nowe życie, nowa Rosja” [droga Chabarowsk – Czyta została oficjalnie otwarta w 2010 roku, ale wiele jej odcinków, szczególnie starszych, już

wtedy nadawało się do generalnego remontu, w niektórych miejscach asfalt praktycznie zniknął].

Tydzień wcześniej prezydent jako głównodowodzący sił zbrojnych demonstrował narodowi, że nowe życie rozpoczęła też armia rosyjska. Na pokładzie atomowego okrętu podwodnego „Archangielsk” wypłynął na manewry Floty Północnej. Manewry zorganizowano na Morzu Barentsa, tym samym, na którym latem 2000 roku, też w czasie ćwiczeń, eksplozja torped rozerwała „Kursk”.

Agencje informacyjne i „Krasnaja Zwiezda” (oficjalny organ armii) od kilku dni zapowiadały, że Putin z mostka „Archangielska” będzie obserwował, jak przepływający w pobliżu atomowy okręt podwodny „Nowomoskiewsk” odpali z głębin morza dwie rakiety balistyczne Siniewa (RSM-54), które trafią w poligon Kura na Kamczatce.

Prezydent niepotrzebnie marzył przez kwadrans na mostku „Archangielska”. Pierwsza rakietą zaklinowała się na wyrzutni, odpalenie drugiej trzeba było odwołać. Nazajutrz w rejon manewrów przyplłynęła „Karelia”, bliźniak „Nowomoskiewska”. Z jej pokładu udało się odpalić siniewę, ale rakietą zaraz po starcie zeszła z kursu i załoga dała jej rozkaz samozniszczenia.

Dowódcy marynarki wojennej od razu przypomnieli sobie, jak udawało im się w żywe oczy kłamać po tragedii „Kurska”. Wtedy opowiadali, że „okręt położył się na dnie, a załodze podajemy powietrze i żywność”.

Teraz najpierw twierdzili, że jakiś „obcy sputnik zablokował” sygnał startu rakiet z „Nowomoskiewska” (w 2000 roku ci sami ludzie mówili o obcym okręcie podwodnym, który staranował „Kursk”). Potem szef marynarki admirał Władimir Kurojedow oświadczył, że obserwatorom coś się pomieszało, bo przecież

w czasie manewrów nikt nie zamierzał odpalać pocisków Siniewa. Rakiety miały startować tylko „umownie”, czyli na niby.

Telewizje państwowe w relacjach z ćwiczeń na Morzu Barentsa nie wspominały o raketowych niewypałach. Przekazały wystąpienie Kurojedowa, który ocenił przebieg manewrów „zadowolająco”, a „w niektórych aspektach – celująco” (dopiero dwa tygodnie później Putin zapowiedział, że manewry trzeba będzie jednak powtórzyć).

Przy okazji Rosjanie dowiedzieli się, że oto ich kraj znów stoi – jak niegdyś ZSRR – „na czele całej planety”, bo posiada nowe rakiety balistyczne, którym nie oprze się żaden istniejący ani żaden obecnie budowany system obrony przeciwraketowej. Jak zapewnił telewizyjny kanał ORT, wojskowi amerykańscy, dowiedziawszy się o tym cudzie techniki, „aż się trzęsą z zazdrości”.

Te „pijarowskie” zabiegi wojskowych i propagandzistów mają długą tradycję. Flota Północna popisywała się swą potęgą na Morzu Barentsa przed 23 lutego, który w ZSRR obchodzono jako Dzień Armii Czerwonej, a po upadku komunizmu nazwano Dniem Obrońcy Ojczyzny (pod rządami Putina stał się on dniem wolnym od pracy).

23 lutego upamiętnia rocznicę klęski bolszewików pod Narwą w 1918 roku, którą historycy radzieccy przez dziesięciolecia przedstawiali jako pierwsze zwycięstwo robotniczo-chłopskich wojsk Rosji Radzieckiej.

Kiedy Putin cztery lata temu zaczynał rządzić Rosją, wydawało się, że kraj wchodzi prosto i pewnie na drogę wiodącą do modernizacji i wolnego rynku.

Nad projektami reform dosłownie dzień i noc pracowali młodzi eksperci z tzw. Centrum Grefa (od nazwiska

trzydziestosześcioletniego wówczas Germana Grefa, ekonomisty z Sankt Petersburga, który w maju 2000 roku został ministrem rozwoju gospodarczego i handlu). Pamiętam, z jakim entuzjazmem dwudziestośmioletni Arkadij Dworkowicz, jeden z najbliższych współpracowników Grefa, opowiadał mi, że wkrótce Rosja będzie mieć kodeks ziemski po raz pierwszy w historii tego kraju zezwalający na swobodny obrót ziemią, a także nowy kodeks cywilny i nowoczesne prawo podatkowe.

Jesienią 2001 roku na wyjazdowej sesji Światowego Forum Ekonomicznego w Moskwie liderzy międzynarodowych koncernów ze szczerym entuzjazmem oklaskiwali Putina opowiadającego o nowych kodeksach i reformach. Kreml zdążył już sobie podporządkować telewizję NTV i kończył rozprawę z jej założycielem, magnatem medialnym Władimirem Gusinskim. Zagraniczni biznesmeni przyznawali więc, że Mr. Putin ma ciężką rękę, ale Rosją trudno rządzić w inny sposób. Najważniejsze, że cywilizuje kraj, wyprowadza go z zacofania i izolacji. Bo przecież nowe kodeksy...

I rzeczywiście, kodeksy zostały uchwalone. Niewiele jednak znaczą.

– Rosja wciąż nie osiągnęła poziomu choćby XIX-wiecznych Prus, gdzie chłop, który wszedł w konflikt z Ottonem Bismarckiem, mógł rzucić w twarz kanclerzowi: „W naszym kraju mamy jeszcze sądy”. Gdyby u nas ktoś dziś ośmielił się powiedzieć coś takiego Putinowi, zapewne usłyszałby, że miejsca w psychuszkach też mamy – mówi znany obrońca praw człowieka Siergiej Kowalow.

W ostatnim tygodniu lutego do Moskwy zjechali przedstawiciele wsi rosyjskiej. W czasie zjazdu skarżyli się m.in. na to, że w wielu regionach byli kołchoźnicy nie mogą

przejmować na własność ziemi należącej do zbankrutowanych kołchozów i sowchozów. Rolnikom nie przyszło jednak do głowy domagać się praw, które gwarantuje kodeks ziemski. Jak za cara zwrócili się do Putina z apelem, by „przywrócić sprawiedliwość”

Kiedy jesienią trafił do aresztu najbogatszy wtedy Rosjanin, szef Jukosu Michaił Chodorkowski (pod zarzutem oszustw podatkowych; faktycznie dlatego, że chciał rzucić wyzwanie Putinowi i nawet wspomniał o starcie w wyborach prezydenckich), jego współpracownicy, rodzina i adwokaci nie powoływali się zbyt głośno na paragrafy kodeksu karnego.

Przede wszystkim apelowali do Putina, by zajął stanowisko. Gdy prezydent oznajmił, że nie jest w stanie wpływać na decyzje niezależnej prokuratury, Rosja zrozumiała, że oligarcha będzie siedzieć, bo do więzienia posłał go Kreml.

– W Rosji nie buduje się żadnej „dyktatury pisanego prawa”, o której tyle trąbi nasza propaganda. Prawem jak w czasach samodzierżawia jest żywe słowo głowy państwa. To ono, a nie paragrafy jakiegoś kodeksu, decyduje, kto będzie siedział, a kto nie, kto będzie się bogacić, a kto straci wszystko – mówił mi kilka tygodni przed śmiercią zastrzelony wiosną zeszłego roku liberalny deputowany do Dumy Siergiej Juszenkow [w 2004 roku sąd skazał za to zabójstwo kilka osób, za głównego zlecniodawcę uznając partyjnego kolegę Juszenkowa, który chciał przejąć stery partii Liberalna Rosja i jej finanse].

Gdy Chodorkowski trafił za kratki, Jegor Gajdar, były szef rządu i ojciec rosyjskich reform, ostrzegał, że wojna władzy z Jukosem prowadzi wprost do katastrofy gospodarczej kraju, bo wywoła panikę wśród średnich i małych biznesmenów.

Drobni i średni przedsiębiorcy, szczególnie ci z prowincji, stanęli jednak murem po stronie Kremla w jego wojnie

z „krupniakiem”, wielkim biznesem tuczącym się na wydobyciu i eksporcie surowców.

Mały biznes nienawidzi oligarchów. Wcale nie dlatego, że tamci zagarnęli warte miliardy dolarów pola naftowe, rafinerie, pokłady rud i huty – dzięki oszustwom, wymuszeniom, łapówkom, uprowadzeniom, zabójstwom i zwykłym kradzieżom.

Na rosyjskiej prowincji oligarchów nienawidzi się za to, że dławią i niszczą średni i drobny biznes, bezwzględnie podporządkowując sobie całe miasta i regiony.

– To było jak grom z jasnego nieba – opowiada były dyrektor i współwłaściciel zakładów mięsnych w jednym z miast środkowej Syberii. – Przyszli do mnie dwaj eleganccy młodzi ludzie. I tak od razu, od progu, poprosili mnie, żebym oddał swoją firmę wielkiej spółce naftowej. Po dobroci. Obiecywali, że zapłacą odstępną. Grozili, że jeśli się nie zgodzę, to mnie posadzą i nie dostanę nic. Wyrzuciłem ich. Parę dni później wrócili z grubą teczką dokumentów i powiedzieli mi, za co można by mnie posadzić. A potem wezwał mnie na rozmowę prokurator z prokuratury obwodowej. I tak „po przyjacielsku” przyznał, że interesują go akurat te same sprawy, o których mówili tamci młodzi ludzie. Zrozumiałem, że nie mam szans. Zgodziłem się na układ. Gdybym tego nie zrobił, trafiłbym do aresztu. Albo na przykład zderzył się z ciężarówką...

Nieźle znam kilka miast syberyjskich, którymi rządzą wielkie spółki naftowe. Lokalne władze i administracja są im bezwzględnie podporządkowane. Prywatny biznes niezależny od gigantów naftowych praktycznie nie ma tu wstępu.

Jednak zamieszanie wokół Chodorkowskiego z czasem okazało się bardzo niebezpieczne także dla prowincjonalnych średniaków.

– Ludzie, którzy rządzą regionami Rosji, są przekonani, że Kreml kazał zamknąć szefa Jukosu, by odebrać mu bogactwa. A odbiera się przecież zawsze po to, by potem komuś oddać – mówi przedsiębiorca z uralskiego Permu. – Szefowie administracji regionalnych, naczelnicy regionalnej milicji i służb specjalnych uznali więc, że dostali z Moskwy komendę: „Bierz!”. Że teraz im wolno przycisnąć „swoich Chodorkowskich” i nieźle się przy tym obłowić.

Nim jednak mój rozmówca wypowiedział te słowa, włączył na cały regulator radio w swoim gabinecie, a potem szeptem zaproponował: – Może byśmy pogadali w pobliskim parku...

W Moskwie to, co zaczęło się dziać na prowincji, nazwano „procesem naśladownictwa” – Przedstawiciele władz regionalnych naśladują to, co robi centrala. Starają się podporządkować sobie jakiś miejscowy biznes. Te praktyki stały się ostatnio powszechne – twierdzi Michaił Dielagin, szef Instytutu Problemów Globalizacji, do niedawna doradca gospodarczy premiera Kasjanowa, a na początku lat dziewięćdziesiątych ekonomiczny ekspert administracji kremlowskiej.

Anton Tołmaczow, biznesmen z Permu, jest przekonany, że padł ofiarą systematycznego polowania ludzi z władz miasta na cudze dobro. Były lekarz pediatra założył firmę Lege Artis zajmującą się reklamą. Chciał wystawić w mieście billboardy. Ale do 1998 roku nikt z władz Permu nie chciał nawet o tym słyszeć. Tłumaczyli, że treść ulicznych reklam musi zatwierdzać jakiś organ władzy państwowej. A skoro nie ma już cenzury, nie wiadomo, kto miałby to robić. Tołmaczow przekonywał, że cała Moskwa obstawiona jest billboardami. Ale Perm, centrum radzieckiej zbrojeniówki, przez dziesięciolecia był miastem zamkniętym. Tu wciąż obowiązywały inne poglądy, panowały inne obyczaje.

Zielone światło Anton dostał dopiero wtedy, gdy premierem został młody liberał Siergiej Kirijenko. W kilka dni załatwił formalności. 14 sierpnia 1998 roku postawił pierwszą tablicę. Trzy dni później był bankrutem. Krach finansowy państwa sprawił, że przepadły wszystkie pieniądze, które trzymał w bankach. Ale, jak mówi, wtedy właśnie przyszły najlepsze czasy dla biznesu. Urzędnicy zadowalali się mniejszymi łapówkami, chętnie szli na rękę tym, którzy byli jeszcze w stanie coś płacić. A i bandyci zbierający rekiet stali się mniej zachłanni. Lege Artis szybko dorobiło się ponad pięćdziesięciu tablic. Każda daje około 3 tysięcy dolarów czystego zysku rocznie.

Firmie i jej właścicielowi wiodło się znakomicie do czasu, kiedy merem Permu został były szef miejscowej milicji, a wraz z nim do władz miasta przyszli koledzy ze służby – niczym byli funkcjonariusze KGB ściągnięci przez Putina na Kreml.

Ci – jak ich nazywa Anton – „żarłoczni oberwańcy” unieważnili stare zezwolenia na billboardy, a nowych nie wydają. – Nie mamy licencji, nasz biznes stał się więc nielegalny. Merostwo wzywa mnie i innych właścicieli tablic, żebyśmy usunęli je z ulic. Oczywiście na własny koszt. A jednocześnie dostaję propozycję, żebym sprzedał tablice po 150 dolarów za sztukę nowej firmie, która należy do krewnych ludzi z władz miasta. Ta firma wcale nie chce się zajmować biznesem. Obiecuje, że za część zysków od razu wydzierżawi mi moje własne billboardy. Będę miał stałe dochody, stabilny, bezpieczny biznes... I nie będę już miał żadnych kłopotów.

„Jesteśmy grupą oficerów Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Pomagamy odzyskiwać długi, gwarantujemy bezpieczeństwo firmom, rozwiązujemy ich problemy prawne oraz problemy z organami władz państwowych” – na to ogłoszenie, które

pojawiło się w TWC (moskiewska telewizja regionalna), zwrócił moją uwagę Konstantin Borowoj, założyciel i lider marginalnej dziś Partii Wolności Gospodarczej.

– To musi być prowokacja, i to szyta grubymi nićmi. Przecież oni proponują normalną krysę – próbowałem zlekceważyć anons. Krysa oznacza dosłownie „dach”. W Rosji słowem tym określa się ochronę firm gwarantowaną przez mafię.

– Wcale nie. To poważna oferta handlowa poważnych facetów. Bandyckie krysy to już przeszłość, można je spotkać jedynie w naszych filmach kryminalnych. Ochroną zajmują się dziś ludzie ze służb specjalnych i milicji. Usługi oficerów FSB są najdroższe, ale i najbardziej cenione – zapewnia Borowoj.

To samo mówi Michaił Dielagin: – Tym biznesem zajmują się teraz, praktycznie rzecz biorąc, tylko milicja i specsłużby. W zasadzie wszystkie, może z wyjątkiem Federalnej Służby Ochrony [odpowiednik naszej Służby Ochrony Państwa].

– To stara tradycja rosyjska. Kiedyś nazywało się to *karmlenijem*. Car wysyłał urzędnika na prowincję, ale mu nie płacił. Przedstawiciel władzy musiał więc „karmić się” sam. Zorganizowana, ucywilizowana korupcja jest dużo lepsza od korupcji dzikiej, żywiołowej. Poza tym lepiej, gdy biorą nie bandyci, lecz *ludi gosudaria* [„ludzie państwowi” czy raczej „ludzie władcy”] – przekonywał mnie jeden z doradców administracji kremlowskiej. Najpierw pozwolił mi nagrać naszą długą rozmowę na dyktafon, a potem poprosił, bym nie podawał jego nazwiska.

– To nonsens – próbowałem oponować. – Kto obroni przedsiębiorcę, jeśli ludzie ze służb odpowiedzialnych za przestrzeganie prawa niemal oficjalnie „karmią się” rekietem i łapówkami?

– Niektórzy nasi eksperci, tacy jak Georgij Satarow, załamują ręce nad tym, że korupcja i usługi „krysz czerwonych”, czyli oferowanych przez funkcjonariuszy państwowych, pochłaniają prawie tyle, ile wynosi budżet państwa. Zapominają jednak, że te pieniądze to smar, dzięki któremu nasza anachroniczna, tandetna machina państwowa jakoś się kręci. Gdyby tego smaru zabrakło, mielibyśmy pełną stagnację. Brzmi to mało demokratycznie i postępowo, ale takie są realia – podsumował mój rozmówca i dodał: – Biznesmeni z reguły są zadowoleni z opieki, jaką gwarantują *ludi gosudaria*. Z nimi prędzej czy później można się dogadać na ludzkich warunkach. A wtedy ma się pewność, że nie będzie kłopotów z bandytami, biurokratami...

– A jeśli nie można się dogadać?

– Nie dogada się tylko ten, kto chce za dużo. Chodorkowski próbował kupować wszystkich dokoła nie po to, by zapewnić stabilność swemu biznesowi, lecz po to, by przejąć władzę w kraju. A na to ludzie, którzy tę władzę sprawują, pozwolić nie mogli – tłumaczy ekspert.

1.07.2004, czwartek

WINNY KREML

Dożywocie – na taką karę sąd w Katarze skazał wczoraj dwóch rosyjskich agentów, którzy w stolicy tego kraju zamordowali byłego prezydenta Czeczenii. To pierwszy taki wyrok od czasu zamordowania lidera ukraińskich nacjonalistów Stepana Bandery przez agenta KGB w Monachium w 1959 roku.

To kierownictwo Rosji wydało rozkaz zabicia Selima Chana Jandarbijewa – oświadczył katarski sędzia Ibrahim al-Nisf, skazując Anatolija Biełaszkowa i Wasilija Bogaczowa. – Plan powstał w moskiewskich centralach służb specjalnych – orzekł katarski sędzia.

Zaraz po ogłoszeniu wyroku w Dausze szef rosyjskiego MSZ Siergiej Ławrow oświadczył, że rosyjscy agenci nie mają nic wspólnego z zamachem.

Agenci – według niektórych źródeł oficerowie GRU, czyli wywiadu wojskowego – zjawili się w Katarze na początku lutego. Od Aleksandra Fetisowa, sekretarza ambasady Rosji, a w rzeczywistości rezydenta rosyjskich służb, otrzymali rozkaz zabicia mieszkającego w Katarze Jandarbijewa, w latach 1996-1997 prezydenta zbuntowanej Czeczenii.

13 lutego podłożyli bombę w toyocie land cruiser Jandarbijewa zaparkowanej przed meczetem, do którego Czeczen przyjechał na piątkową modlitwę. Świadkowie – Daud, syn Jandarbijewa, i oficer policji katarskiej – dokładnie zapamiętali „dwóch

mężczyzn o europejskiej powierzchowności” kręcących się przy samochodzie.

Jeden podszedł do wozu z plastikową torbą, drugi stał obok, udając, że czyta gazetę. Policjant spisał numery ich auta. Wkrótce po tym, jak dżip Jandarbijewa wyleciał w powietrze, sprawcy zostali aresztowani w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. W samej Dausze zatrzymano Fetisowa. W willi, gdzie mieszkali agenci, policja znalazła resztki materiałów użytych do budowy bomby. Przesłuchiwani Rosjanie opowiedzieli, jak przeprowadzili zamach.

Moskwa zareagowała nerwowo. Ówczesny szef MSZ Igor Iwanow zażądał zwolnienia zatrzymanych i – wbrew zasadom stosowanym w takich przypadkach – przyznał, że są oni agentami wysłanymi do Kataru „do wykonania innych zadań związanych z walką z terroryzmem”. Ponoć za te słowa Iwanow stracił stanowisko.

W odwecie Rosjanie aresztowali pod koniec lutego dwóch zapaśników katarskich, którzy znaleźli się w Moskwie. Próbowano ich wymienić na agentów. Pod koniec marca prezydent Putin zadzwonił do emira Kataru. W efekcie zatrzymany sekretarz rosyjskiej ambasady Fetisow mógł wrócić do Rosji, a sportowców uwolniono. Jednak świat uznał, że odwet na katarskich sportowcach to przyznanie się Rosji do zamachu.

– Nie znam szczegółów, ale zakładam, że śledztwo i postępowanie sądowe Katarczycy przeprowadzili profesjonalnie – mówi „Wyborczej” Wiaczesław Igrunow, niezależny polityk i szanowany ekspert od spraw międzynarodowych. – W Rosji za często stosuje się proste rozwiązania siłowe. Likwidacja Jandarbijewa mogła się wydawać prostym sposobem odcięcia bojowników czeczeńskich od źródeł finansowania. Należało

domagać się ekstradycji Jandarbijewa, a nie stosować siłę na terytorium innego państwa.

– Wyrok jeszcze raz jasno dowodzi tego, co my, przedstawiciele czeczeńskich władz powstańczych, powtarzamy od dawna: Rosją rządzi przestępczy reżim, który stosuje państwowy terroryzm – skomentował Usman Ferzauli, wiceminister spraw zagranicznych w powstańczym rządzie czeczeńskim.

15.07.2004, czwartek

BEZPIEKA PUTINA

Prezydent Rosji kończy proces odbudowy „wielkiej Łubianki”, zbierając rozdrobnione dziesięć lat temu przez Jelcyna służby w jedno imperium tajnej policji – wszechpotężne jak w ZSRR.

Władimir Putin podpisał w niedzielę dekret, który do środy Kreml zdołał utrzymać w sekrecie. Zgodnie z nim Rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa, dziedziczka sowieckich odmian bezpieczeństwa – CzK (osławionej Czeki), GPU, NKWD i KGB – będzie superministerstwem. Przez najbliższe trzy miesiące w jej siedzibie na Łubiance będą trwać dalsze zmiany, a w ich wyniku – zapewniają eksperci – FSB stanie się resortem dysponującym potęgą, jaką w czasach radzieckich miała KGB.

Zdaniem dziennika „Gazeta”, który pierwszy napisał w środę o dekreście Putina, oraz wielu ekspertów ten superresort wkrótce wchłonie Federalną Służbę Ochrony i Służbę Wywiadu Zewnętrznego (SWR) – ostatnie instytucje, które pozostają niezależne od Łubianki od początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to Borys Jelcyn rozczłonkował imperium KGB.

– Jelcyn podzielił monstrum budowane przez dziesięciolecia przez Dzierżyńskiego, Jagodę, Jeżowa, Berię i Andropowa. Stanowiło ono państwo w państwie, a on chciał być niezależny od czekistów. Chciał też dostawać informacje od różnych ludzi, a nie tylko od szefa Łubianki. Dzieląc KGB na kilka niezależnych służb, chciał je zmusić do konkurowania i lepszej pracy –

powiedział nam Andriej Sołdatow, szef internetowej agencji Agentura.ru.

– Putin, który sam był w czasach ZSRR pułkownikiem KGB, a za Jelcyna szefem FSB, kieruje się inną logiką. Dąży do odtworzenia tej potęgi Łubianki, którą skończył budować jego idol Jurij Andropow – dodaje Sołdatow. – W ubiegłym roku oddał czekistom odebraną im przez Jelcyna służbę graniczną z jej potężnymi wojskami oraz Federalną Służbę Rządowej Łączności i Informacji. Teraz na pewno przywróci im Służbę Wywiadu Zewnętrznego i pewnie Federalną Służbę Ochrony. Wtedy cała rodzina czekistów znów znajdzie się pod jednym dachem Łubianki.

Zgodnie z dekretem Putina dyrektor FSB otrzymuje rangę federalnego ministra ze wszystkimi należnymi przywilejami: pensją, „opieką socjalno-bytową i obsługą medyczną”. Jego czterej zastępcy cieszyć się będą przywilejami i poborami wiceministrów. Dekret, o którego istnieniu do środy nie wiedzieli nawet członkowie parlamentarnej komisji ds. służb specjalnych, mówi o pozornie mało znaczącej, lecz ważnej zmianie nazw. Departamenty, na które była podzielona FSB, podnosi się do rangi „»służb« Federalnej Służby Bezpieczeństwa”, a służby w Rosji wchodzi w skład ministerstw. (...)

W centralnych organach państwa rosyjskiego pracuje już dzisiaj 105 generałów i pułkowników dawnej KGB.

5.08.2004, czwartek

PĘTA ROSJI

Kijów ugina się pod naporem Moskwy. Wycofa część floty z Sewastopola. Gnębiony wywołanym przez Rosjan kryzysem paliwowym wejdzie też do tworzonej przez Moskwę Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej. Unia Europejska się oddala.

Obserwatorzy znad Dniepru mówią o otwarciu „o pełnej wyprzedaży” Ukrainy. Zdaniem członków organizacji społecznej Ukraiński Sewastopol prezydent Leonid Kuczma na niedawnym spotkaniu w cztery oczy z Władimirem Putinem obiecał prezydentowi Rosji, że wycofa jednostki marynarki swego kraju z największej nad Morzem Czarnym bazy w krymskim Sewastopolu, którą Ukraińcy dzielą z Rosjanami.

Ukraiński Sewastopol podniósł alarm, argumentując, że ten, kto włada Sewastopolem, kontroluje cały basen Morza Czarnego. Wycofanie się z bazy oznaczałoby według nich także oddanie Rosjanom kluczowego dla Krymu miasta.

Ekspertów kijowskich, a nawet członków rządu, wiadomości z Sewastopola bardzo zaskoczyły. – Od 1997 roku, kiedy Ukraina podpisała układ o przyjaźni i współpracy z Rosją, a także porozumienie o wspólnym wykorzystaniu bazy w Sewastopolu, nie było mowy o wycofaniu stamtąd żadnych naszych jednostek. A okrętów nie można tak po prostu zabrać z jednego miejsca i przenieść w drugie. Trzeba przygotować nową bazę, zbudować tam domy dla marynarzy i ich rodzin. Wiem, że nic takiego nie

jest przygotowane – powiedział „Wyborczej” Leonid Poliakov, ekspert z Kijowa.

– Kuczma ostatnio dogaduje się potajemnie z Putinem w cztery oczy. I nawet my potem o ważnych decyzjach dowiadujemy się z mediów. Tak jest i teraz – powiedział „Wyborczej” pracownik jednej z agend rządowych zajmujących się obronnością.

Rewelacje o wycofaniu okrętów z Sewastopola częściowo potwierdził Ihor Kabanienko, szef Głównego Sztabu Sił Morskich Ukrainy. Przyznał, że co najmniej część jednostek będzie przeniesiona do bazy na Donuzławie, jeziorze połączonym z morzem sztucznym kanałem, położonej około 30 kilometrów na północny zachód od Eupatorii. Kiedy to się stanie, ile i jakie jednostki opuszczą Sewastopol, Kabanienko nie wyjaśnił.

W sztabie marynarki odmówili „Wyborczej” informacji na temat tego, czy baza na Donuzławie jest przygotowana na przyjęcie nowych jednostek. – Mam wrażenie, że ta decyzja została podjęta w pośpiechu, bez przygotowania. Dlaczego tak się stało, nie mogę zrozumieć – tłumaczy Poliakov.

Wicepremier Mykoła Azarow zapowiedział, że władze Ukrainy szykują kolejne zasadnicze ustępstwo wobec Rosji. Jego zdaniem jedynym skutecznym sposobem zatrzymania lawinowego wzrostu cen paliwa, który gnębi w ostatnich tygodniach kraj, jest „stworzenie Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej”, do której wejdą Białoruś, Kazachstan, Rosja i Ukraina.

Wicepremier dowodzi, że dzięki WPG ceny paliw będą niższe, bo Ukraińcy nie będą musieli płacić ceł i podatków granicznych za rosyjską ropę. Azarow zapowiedział, że za dwa tygodnie w Mińsku przedstawiciele państw tworzących nową organizację uzgodnią ponad sześćdziesiąt aktów prawnych niezbędnych do powołania do życia WPG.

– 90 procent naszego rynku paliw opanowali Rosjanie. Niedawno oddaliśmy im rurociąg Odessa – Brody, rezygnując z tego, że będzie do nas docierała także ropa kaspijska, a nie tylko rosyjska. Od przyszłego roku gazu turkmeńskiego nie będziemy już kupować od Turkmenów, tylko od pośredników rosyjskich. I skutkiem tego uzależnienia od jednego dostawcy jest to, że w Ukrainie przez ostatnie trzy miesiące ceny paliw podskoczyły tak jak nigdzie indziej na świecie – o ponad 50 procent. Rosjanie robią z nami, co chcą. Wywołali kryzys, przez który zmuszają do ustępstw politycznych – uważa Wołodymyr Saprykin, ekspert Centrum Razumkova.

Kuczma gotowy jest iść na wszelkie ustępstwa, takie jak wstąpienie do kontrolowanej przez Moskwę WPG, choć to na zawsze przekreśli szanse Ukrainy na integrację z Europą. A Putin, zdając sobie z tego sprawę, stara się zdobyć dla Rosji jak najwięcej. Nie jest więc zaskoczeniem, że Rosja i Ukraina wkrótce zawarły w Soczi porozumienie uzależniające Ukraińców od rosyjskiej ropy i gazu.

Porozumienie podpisali premierzy Ukrainy Wiktor Janukowycz i Rosji Michaił Fradkow. Kijów zobowiązał się, że przez piętnaście lat ropę będzie kupować u jednego rosyjskiego państwowego molocha – Transnieftu, a nie – jak do tej pory – u 150 dostawców.

Rosyjski dostawca ma zagwarantować „optymalną pracę naftociągu” Brody – Odessa. Teksty dokumentów nie zostały opublikowane, eksperci uważają jednak, że Kijów zgodził się oddać Rosjanom rurociąg nie na trzy, jak zapowiadano, lecz na piętnaście lat. Ich opinię potwierdzają słowa prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy, że porozumienie „kończy dyskusję o kierunkach przesyłania rosyjskiej ropy naftowej”.

W porozumieniu Rosjanie zobowiązali się, że rocznie będą przesyłać przez Ukrainę 85 milionów ton ropy. Putin osłodził Ukraińcom ich ustępstwo, podpisując rozporządzenie, zgodnie z którym VAT za eksportowane z Rosji ropę i gaz będzie się płacić nie w Rosji, lecz w kraju przeznaczenia. Ukraińcy mają na tym rocznie zarobić około 800 milionów dolarów.

Premierzy obu krajów podpisali też porozumienie o wspólnej budowie trzystukilometrowego gazociągu Bagaradczany – Użhorod, którym ma płynąć na zachód 19 miliardów metrów sześciennych rosyjskiego gazu rocznie. Rosjanie zobowiązali się do stałego zwiększania ilości gazu przesyłanego przez Ukrainę na Zachód.

6.09.2004, poniedziałek

RECEPTA PUTINA

Sobotnie przemówienie Putina w stylu i tonie było najbardziej radzieckie z jego dotychczasowych wystąpień. Sposoby wyjścia z kryzysu, które zaproponował, są też bardzo radzieckie.

Kiedy trwała tragedia w Osetii Północnej [w szkole w Biesłanie zajętej przez czeczeńskich i inguskich terrorystów; podczas szturmu rosyjskich sił bezpieczeństwa z użyciem czołgów oficjalnie zginęły 334 osoby, w tym 186 dzieci], Władimir Putin nie pokazał się publicznie. Milczenie przerwał w sobotę. Rano przyjechał do Biesłanu. Wieczorem wygłosił orędzie do narodu.

Prezydent w orędziu ani razu nie użył słowa „Czeczenia”. Nie zrobił najmniejszej aluzji do tego, że Moskwa od dziesięciu już lat z krótką przerwą toczy w tym rejonie krwawą wojnę, która powoduje, że na Kaukazie i w całej Rosji rozkręca się spirala krwawego terroru.

Z tego, co Putin mówił do narodu, wynika, że nie ma problemu Czeczenii. Jest problem „przypuszczającego frontalny atak terroryzmu międzynarodowego”. I tych nienazwanych przez prezydenta stojących za terrorystami sił, które „chcą wyszarpać z naszego kraju co bardziej łakomy kęs”, bo uważają, że „Rosja jako jedno z największych mocarstw atomowych świata wciąż jeszcze stanowi dla kogoś zagrożenie”.

Zgodnie z tą logiką nie może być mowy o jakimkolwiek politycznym uregulowaniu konfliktu czeczeńskiego, do którego

i teraz – po tragedii w Biesłanie – wzywają Kreml niektórzy politycy ze świata. I Putin oczywiście nic o nim nie wspominał.

Powiedział natomiast, co uważa za przyczynę nieszczęść, które spadają na kraj. Korzenie zła tkwią w przemianach, które zaszły w Rosji w ostatnich latach, gdy rozpadł się Związek Radziecki, „ogromne, wielkie państwo”. Państwo, które „okazało się niezdolne do życia” – jak dodał prezydent – „niestety”.

Putin nie chwalił porządków radzieckich i „ideologii”, która potrafiła „zdławić”. Przypominał je tylko. Ale przypominał je swym rodakom wstrząśniętym masakrą dzieci w Biesłanie, przerażonym niedawnymi zamachami na samoloty pasażerskie, wybuchem koło stacji moskiewskiego metra i pogłoskami, że po stolicy krąży dziś osiem czeczeńskich szahidek gotowych w każdej chwili w jakimś zatłoczonym miejscu wysadzić się w powietrze.

Dla Rosjan przywołanie radzieckich porządków, dzięki którym nie było „tego wszystkiego”, jest obietnicą, że prezydent postara się przywrócić utraconą wraz z upadkiem ZSRR harmonię.

I prezydent rzeczywiście obiecuje, że podejmie takie kroki. Obiecuje, że już w najbliższym czasie będzie gotowy „kompleks kroków”, które przyniosą „wzmocnienie jedności kraju”. Komuś, jakiejś strukturze, której nie nazywa, zostanie podporządkowane wszystko to, co dzieje się na Kaukazie. Ktoś szykuje się do roli „kierowania” w warunkach kryzysu. Kto może wziąć na siebie taki ciężar, który w ZSRR spadał na KGB?

Jak świadczą błyskawiczne sondaże przeprowadzane w ostatnich dniach przez media moskiewskie, dziś zdecydowana większość Rosjan zaakceptowałaby wzmocnienie roli służb specjalnych w państwie i nadanie im szerokich uprawnień.

14.09.2004, wtorek

RECEPTA PREZYDENTA ROSJI NA TERROR

Odpowiedzią Władimira Putina na napad na Biesłan jest zmiana ustroju kraju. Jeśli zrealizuje to, co wczoraj zapowiedział, Rosja przestanie być federacją, stanie się krajem rządzonym z moskiewskiego centrum.

Mieszkańcy regionów stracą prawo wybierania swych gubernatorów. Wskaże ich stolica, a zatwierdzą opanowane przez kremlowską partię Jedna Rosja regionalne parlamenty. Z kolei ci przywiezieni z Moskwy w teczkach gubernatorzy będą mieć – jak to określił prezydent – „wpływ na formowanie samorządów lokalnych”, czyli wyznaczanie ich członków.

Przedstawiciele regionów nie trafią też do Dumy. Dziś w połowie składa się ona z ludzi z list partyjnych, w połowie – z wybranych w okręgach jednomandatowych. Dzięki temu nawet do obecnego parlamentu zdominowanego przez stworzoną na Kremlu imitację partii zwaną Jedna Rosja trafiło kilku ludzi cieszących się autorytetem na prowincji, a przy tym niezbyt lubianych przez władze. W przyszłym ich już nie będzie.

W zamian Rosjanie dostaną „jednolity system odpowiedzialny za kompleksowe zagwarantowanie bezpieczeństwa”. Takie systemy – jak twierdzi Putin – „od dawna już istnieją w wielu krajach”. Trudno powiedzieć, co prezydent ma na myśli.

Moskwa nie po raz pierwszy w swej historii reaguje na akty terrorystyczne przykręcaniem śruby. Minister spraw wewnętrznych, potem premier Piotr Stołypin pożar krwawego terroru, który ogarnął Rosję w czasie rewolucji 1905 roku, gasił sądami doraźnymi, szubienicą i zsyłkami. Do dziś stryczek nazywają w Rosji „krawatem stołypinowskim”, a wagon do przewożenia więźniów – „stołypinem”. Ale on poza tym, że posłał na szafot ponad tysiąc zamachowców, reformował kraj, rozkręcił jego gospodarkę i dzięki temu pozbawiał terroryzm poparcia społecznego.

Putin śrubę przykręca odważnie, ale z takim szumem zapowiadane reformy wprowadza nieśmiało. Jeśli dalej będzie brnął w tym kierunku, nie pozbawi przeciwnika bazy społecznej i w końcu jedynym orężem w walce z terroryzmem, jaki mu pozostanie, będzie terror.

11.10.2004, poniedziałek

DLACZEGO KANDYDAT NA PREZYDENTA JEST CHORY?

Przeciw Wiktorowi Juszczenko użyto broni biologicznej – podejrzewają austriaccy lekarze. Za to Wiktora Janukowycza, konkurenta Juszczenki w wyborach na prezydenta Ukrainy, bardzo ciepło przyjął Władimir Putin.

Juszczenko niespodziewanie wrócił wczoraj do Ukrainy. Pojawił się na wiecu we Lwowie, gdzie 10 tysięcy osób skandowało jego imię. Wyraźnie blady, zapewniał jednak swych zwolenników, że „jest zdrowy, a wszystko, co jest jego, należy do wolnej Ukrainy”.

Prozachodni faworyt zapowiedzianych na 31 października wyborów prezydenckich wciąż leczy się w wiedeńskiej klinice Rudolfinerhaus. Lekarze nie potrafią postawić go na nogi od początku września, kiedy to lider opozycyjnej Naszej Ukrainy zapadł nagle na ostrą, tajemniczą chorobę i praktycznie został wyeliminowany z kampanii wyborczej.

Juszczenko prowadził ją, jeżdżąc po kraju i osobiście spotykając się z wyborcami na wiecach. Ta taktyka, na którą był skazany, jako że kontrolowane przez państwo media działają przeciw niemu, okazała się niezwykle skuteczna. Na początku września Juszczenko miał solidną ośmioprocentową przewagę nad

prorosyjskim kandydatem obozu władzy premierem Janukowyczem.

W Kijowie mówi się, że Juszczenko został otruty, by nie mógł spotykać się z wyborcami. Mówiło się, że kandydata na prezydenta otruto używaną przez służby specjalne rycyną. Lekarze austriaccy do tej pory nie chcieli się wypowiadać, co mogło być przyczyną choroby. Jednak pod koniec ubiegłego tygodnia szefowie kliniki Rudolfinerhaus potwierdzili, że choroba Juszczenki przebiega na tyle „nietypowo”, iż rodzi to podejrzenie, że mogła być użyta przeciw niemu broń biologiczna. Ogłosili też, że zwrócili się o pomoc w leczeniu pacjenta do międzynarodowych instytucji pracujących nad przeciwdziałaniem broni biologicznej.

Przewodniczący ukraińskiej Rady Najwyższej Wołodymyr Łytwyn domaga się zwołania konsylium międzynarodowego, które bezstronnie ustali, co było przyczyną choroby Juszczenki. – Musimy zwrócić się do społeczności europejskiej, do wielu krajów, a szczególnie do prezydentów Polski i Litwy, aby zwołali takie konsylium – powiedział Łytwyn.

Natomiast główny konkurent Juszczenki – premier Janukowycz – i prezydent Leonid Kuczma świętowali w sobotę w Moskwie zaległe (bo wypadają 7 października) 52. urodziny Władimira Putina. Jubilat przed kamerami bardzo ciepło odnosił się do swoich gości, dziękował za to, że przyjechali, na co usłyszał od Kuczmy, że i on, i Janukowycz są *lekkije na podjom*, czyli od razu ruszają w drogę, kiedy tylko zostaną wezwani. Putin chwalił gości za to, że dziś nie tylko rozwijają dobrosąsiedzkie stosunki z Rosją, ale też za to, że „obrali kurs na zjednoczenie wysiłków obu państw”.

Janukowycz, który ostatnio zachowuje się tak, jakby starał się zdobyć przede wszystkim przychyłność Kremla, a nie wyborców, powtarzał obietnice, które składał dwa tygodnie temu biznesmenom i politykom rosyjskim na spotkaniu w kijowskim Klubie Rosyjskim.

Znów obiecywał, że po zwycięstwie nada językowi rosyjskiemu status drugiego państwowego, że umożliwi Ukraińcom mieszkającym w Rosji uzyskiwanie podwójnego obywatelstwa, że jego kraj razem z Rosją, Białorusią i Kazachstanem będzie tworzyć Wspólną Przestrzeń Gospodarczą.

19.10.2004, wtorek

POKER W KLUBIE ROSYJSKIM

Rosji potrzebny jest na Ukrainie taki prezydent, któremu na Zachodzie nikt nie będzie chciał podać ręki. Dlatego Moskwa obstawia Wiktora Janukowycza i organizuje jego kampanię wyborczą w stylu urągającym wszelkim zasadom demokracji.

Kilka dni temu studenci ze Lwowa urządzili zawody w rzucie jajkiem. Celem była wielka litera „ja” – pierwsza litera nazwiska premiera Wiktora Janukowycza, kandydata na prezydenta. Ci, którym udało się trafić w inicjał, przechodzili do następnego etapu – konkursu na artystyczne omdlenie i upadek na ręce ochroniarzy.

Cała Ukraina śmieje się ze swego premiera. Dwa tygodnie temu student uniwersytetu w Iwano-Frankiwsku rzucił jajkiem w stronę Janukowycza. Premier zemdłał. Według jednych – tylko udawał, że stała mu się straszna krzywda. Według innych – ten chłop jak dąb rzeczywiście przeraził się do tego stopnia, że wyładował pod kroplówką na oddziale reanimacyjnym.

Kandydaturę Janukowycza popierają obóz urzędującego prezydenta Leonida Kuczmy, Moskwa i najpotężniejsi oligarchowie ukraińscy. Jednakże na dwa tygodnie przed wyborami wszystkie sondaże przewidują zwycięstwo Wiktora Juszczenki, lidera opozycyjnego bloku Nasza Ukraina.

O incydencie w Iwano-Frankiwsku rozmawiam z pracownikiem sztabu wyborczego Janukowycza, który już

na wstępie prosi o zachowanie anonimowości. Następnie tłumaczy:

– W rzeczywistości to nie było śmieszne. Ten siedemnastolatek, który zaatakował premiera, długo czekał na jego przyjazd. Jajko trzymał w kieszeni. Tam nagrzało się ono do temperatury ludzkiego ciała. I w końcu zjawia się premier. Wychodzi z autobusu. Chłopak rzuca. Janukowycz czuje cios. Nie wie, co go ugodziło. Może kula, bo przecież postrzał w pierwszej chwili nie boli. Odruchowo dotyka ręką piersi. Czuje, że mokro, że ciepło. Myśli, że to krew – i mdleje.

Tu w czasie kampanii wyborczej trzymają nas w takim napięciu... W Kijowie mówi się, że do Ukrainy zjechali jacyś płatni zabójcy, że dojdzie do jakiejś potężnej prowokacji i odwołania albo unieważnienia wyborów. Tak naprawdę diabli wiedzą, co się stało z Juszczenką, ale wystarczy spojrzeć na niego, żeby się upewnić, że on akurat nie symuluje. Gdyby umarł, wybory oczywiście zostałyby odwołane.

Ja też nie bardzo wierzę, że Janukowycz zemdlał, bo się wystraszył jajka. To były bokser, 140 kilo żywej wagi. Gdy w młodości siedział w więzieniu za napady rabunkowe, koledzy nadali mu ksywę „Cham”. Takiej ksywy nie dostanie histeryk o wrażliwości mimozy...

Wy, dziennikarze, lubicie wracać do tamtego więziennego epizodu z życia premiera. Ale proszę mi wierzyć, dziś jego sytuacja nie jest łatwa. Niech pan zwróci uwagę, dokąd poszedł, gdy tylko opuścił szpital. I co tam powiedział... – kończy mój rozmówca.

Trzy dni po incydencie w Iwano-Frankiwsku Janukowycz, już w dobrej formie, zjawił się w kijowskim Rossijskim Klubie. Świadomie używam nazwy rosyjskiej. W tym języku istnieją dwa

wyrazy, które my tłumaczymy jako „rosyjski”. Słowa „ruskij” używa się, mówiąc o narodzie i jego kulturze, słowo „rossijskij” odnosi się do państwa.

Klub otwarty w Kijowie 31 sierpnia nazywa się Rosyjski – a zatem „państwowy”. Nie skupia osób narodowości rosyjskiej mieszkających w Ukrainie, lecz obywateli Federacji Rosyjskiej. Głównie wysokich urzędników państwowych i biznesmenów, którzy – jak pisze się w oficjalnych dokumentach klubu – są „zainteresowani” Ukrainą.

O randze tej instytucji świadczy to, że jej działalność uroczystie inaugurowali Wiktor Medwedczuk, szef administracji Kuczmy, oraz Dmitrij Miedwiediew, szef administracji Władimira Putina, człowiek numer dwa na rosyjskiej scenie politycznej.

Stanowisko Klubu Rosyjskiego wobec wyborów w Ukrainie jest jednoznaczne. Klub poświęcił tej sprawie specjalne „Memorandum”, w którym o Wiktorze Juszczenko napisano: „To polityk »przestarzałej formacji«, populistą typu mesjanistycznego, »ukraiński Gorbaczow«. Jego żywioł to przemówienia, deklaracje, zebrania. Nie nadaje się jednak do prawdziwej pracy”.

Tak liderzy klubu ocenili byłego prezesa banku centralnego, „ojca hrywny”, który zreformował finanse państwa, a później, jako premier, sprawił, że emeryci i pracownicy budżetówki zaczęli na czas otrzymywać wypłaty.

W dalszym ciągu o Juszczenko pisze się: „To polityk niezdecydowany i niesamodzielny. Całkowicie zależny od swego otoczenia – doradców zagranicznych i drugoplanowych biznesmenów. Na formułowanie polityki Juszczenki i Naszej Ukrainy ogromny wpływ mają eksperci i partnerzy zagraniczni (przede wszystkim amerykańscy). Obawy wywołują również informacje, że Juszczenko udziela poparcia Borys Bieriezowski

[oligarcha był już wtedy na emigracji w Wielkiej Brytanii], znany ze swych antyrosyjskich poglądów. Rosja nie może też ignorować licznych informacji o zaangażowaniu najbliższych sojuszników Juszczenki w szarej strefie gospodarczej”

Nawiasem mówiąc, wkrótce po publikacji „Memorandum” prokuratura rosyjska rozesłała list gończy za Julią Tymoszenko, była wicepremier, jedną z najbliższych współpracowniczek Juszczenki, oskarżaną w Moskwie o udział w aferze korupcyjnej. List ma znaczenie czysto propagandowe – Ukraina nie może wydać pani Tymoszenko, którą jako deputowaną do Rady Najwyższej chroni immunitet parlamentarny.

W zupełnie innym tonie „Memorandum” wypowiada się o Janukowyczu. Przypomina telegram urodzinowy, który Putin wysłał 9 lipca na ręce premiera Ukrainy: „Jest Pan pierwszym szefem rządu ukraińskiego, który sprawił, że wskaźniki gospodarcze, pozytywnie wpływające na życie ludzi, stały się znakomite”

W „Memorandum” zaś czytamy: „Wiktor Janukowycz to kandydat, który jest w stanie skonsolidować naród i elity Ukrainy, gwarant ocalenia ukraińskiej państwowości. On nie dopuści do rozpadu Ukrainy na wschód i zachód, co wciąż stanowi realne zagrożenie. Rosja postrzega w nim pragmatyka, który wie, czego chce od partnera, i wie, co może zaproponować w zamian”

I rzeczywiście, gdy tylko Janukowycz otrząsnął się z szoku po „zamachu jajecznym”, zjawił się w Klubie Rosyjskim, by oznajmić, co „może zaproponować w zamian”. Obiecał bardzo wiele – nadanie językowi rosyjskiemu statusu drugiego języka państwowego; jego zdaniem w Ukrainie rosyjski jest i będzie językiem biznesu.

Obiecał też budowę połączenia drogowego między rosyjskim Kubaniem i ukraińskim Krymem, czego od lat domagają się nacjonaści rosyjscy. Obiecał wreszcie biznesmenom rosyjskim, którzy zechcą inwestować na Krymie, „najdalej idące preferencje”. Na koniec dodał, że wejście do NATO byłoby dla Ukrainy szkodliwe, bo doprowadziłoby do upadku rodzimego przemysłu zbrojeniowego.

Paradoksalnie, radosne deklaracje Janukowycza jako pierwszy wykpił Kuczma, który wszak namaścił premiera na swego „dziedzica”. „To tylko przedwyborcze obietnice” – podsumował prezydent. Przypomniął, że droga z Kubania na Krym wymaga zbudowania mostu lub tunelu przez Cieśninę Kerczeńską; tymczasem geolodzy już dawno przebadali dno cieśniny i doszli do wniosku, że jest to niemożliwe.

Akurat w sprawie pustych obietnic Kuczma może się wypowiadać jako autorytet. On też, w 1994 roku, gdy pierwszy raz startował w wyborach na prezydenta Ukrainy, zapowiadał nadanie rosyjskiemu statusu drugiego języka państwowego, a rosyjskim inwestorom fundował – jak mówią w Moskwie – „ogromny wóz i jeszcze maleńki wózek” kuszących obietnic.

Jako prezydent o wszystkim zapomniał. Lawirował między Moskwą a Zachodem, prowadząc swój kraj raczej w tym drugim kierunku, czego symbolem jest obecność wojsk ukraińskich w Iraku u boku Amerykanów.

Po co właściwie Janukowycz, wspierany w trakcie całej kampanii przez Kreml i samego Putina, tak gorączkowo zaczął teraz zabiegać o względy Rosjan?

Bo sytuacja przedwyborcza w Ukrainie tylko z pozoru wydaje się prosta – po jednej stronie cieszący się sympatią Zachodu, proeuropejski i proamerykański Juszczenko, po drugiej –

prorosyjski Janukowycz. W rzeczywistości polityczny Kijów bardzo przypomina typowo rosyjski film gangsterski. W takim filmie bandyci wciąż się głowią, komu mogą zaufać, kto kogo wykiwa i jak zdobyć gwarancje, że partnerzy nie zdradzą, nie wykpią się ze wszystkich obietnic.

Moskwa wie, że po zwycięstwie Janukowycz może ją zwodzić tak samo jak Kuczma. Doskonale pamięta, że premier, który dziś robi słodkie oczy, w czasach, gdy był gubernatorem Doniecka, powtarzał: „Żadnych Rosjan tu nie wpuścimy, a to, co mamy, podzielimy między siebie”. I rzeczywiście, nie wpuścił do Doniecka żadnej firmy rosyjskiej.

Ale powyborczych gwarancji potrzebują też Kuczma i jego rodzina, a przede wszystkim Wiktor Medwedczuk, szef jego administracji i jeden z najbogatszych oligarchów ukraińskich.

– Dzisiejsza potęga Medwedczuka bierze się stąd – tłumaczy Anatolij Matwijenko, opozycyjny deputowany do Rady Najwyższej – że jako szef administracji sprywatyzował MSW, w dużym stopniu podporządkował sobie prokuraturę i system sądowniczy, a także kontroluje przepływ pieniędzy z budżetu i bogaci się, uprawiając państwowy rekiet [ściąganie haraczy od biznesmenów].

To oczywiste, że pod rządami nowego prezydenta Medwedczuk utraci całe to imperium, a liczni wrogowie zechcą się na nim zemścić. Także za swój dzisiejszy strach. Ilekroć pytałem wysoko postawionych współpracowników Janukowycza o łamanie podstawowych zasad demokracji w trakcie kampanii wyborczej, ci wbijali wzrok w ścianę. Na karteczkach pisali tylko: „Kuczma” albo „Medwedczuk”. Najcichszym szeptem zapewniali mnie, że „to wszystko ich wina, ale my, jak wygramy, zrobimy z nimi porządek, z Rosją też będziemy inaczej rozmawiać”.

W tej sytuacji Kremlowi i Medwedczukowi nie wystarczy zwycięstwo Janukowycza. Im potrzebny jest taki Janukowycz, który nie będzie mógł ich wykiwać. I znaleźli na to sposób.

Rok temu w Waszyngtonie brałem udział w konferencji poświęconej przyszłym wyborom ukraińskim. Amerykańscy eksperci jeden przez drugiego zapewniali, że dla świata zachodniego ważne jest nie to, kto wygra, lecz to – w jakim stylu.

– Jeśli wybory będą czyste, zgodne z regułami demokracji, ich zwycięzca będzie mógł prowadzić samodzielną politykę, niezależną i od Wschodu, i Zachodu – tłumaczył Anders Aslund, dyrektor programu Rosji i Eurazji w Fundacji Carnegie. – Lecz jeśli wygra nieuczciwie, Zachód się od niego odwróci, a wówczas będzie skazany wyłącznie na Rosję. Na Kremlu też to wiedzą.

– Moskwie jest potrzebny taki prezydent Ukrainy, który na Zachodzie będzie *nierukopożaty*, czyli kimś, komu nie podaje się ręki i nie bardzo chce się mieć z nim do czynienia – z całą prostotą i cynizmem oznajmił mi niedawno politolog związany z Kremlen.

W pewnym sensie Janukowycz znalazł się w pułapce. Jego kampanię prowadzą wszak ludzie, którym zależy na tym, by wygrał w sposób spektakularnie wręcz nieuczciwy. O to właśnie chodzi i Medwedczukowi kontrolującemu główne kanały telewizyjne, i moskiewskim „technologom politycznym”, specem od propagandy i intryg.

To oni wiosną „organizowali” wybory mera Mukaczewa, w których kandydat opozycji zdobył trzydziestoprocentową przewagę nad faworytem rządu, a mimo to przegrał. To oni budują – i w Rosji, i w Ukrainie – wizerunek Juszczenki jako nieporadnego polityka, bezwolnej marionetki w obcych rękach, a przy tym „naszysty” (czytaj: faszysty z Naszej Ukrainy).

Kto z Rosji kieruje kampanią Janukowycza? Z pozoru odpowiedź wydaje się prosta. Telewizje pokazują stale rezydujących w Ukrainie Gleba Pawłowskiego i Marata Gelmana z Fundacji Efektywnej Polityki, głównych technologów politycznych Kremla. Ci zaś, zapytani, czego właściwie szukają w Kijowie, udają Greka i zapewniają, że tak sobie czasem „konsultują”..

– Ale Pawłowski czy Gelman to tylko zasłona dymna – zapewnia Jurij Bauman, błyskotliwy kijowski politolog. – Scenariusze wyborcze piszą za kulisami rosyjscy propagandziści w pagonach, ale tacy, którzy w pagonach nigdy się nie pokazują, czyli eksperci ze służb specjalnych. Ci ludzie szykują bardzo różne warianty. Nie zapominajmy, że mają pewien brzydki nawyk – wysadzania domów w powietrze.

Bauman przypomina, że pięć lat temu, gdy decydowała się kwestia sukcesji po Jelcynie, w Moskwie wyleciały w powietrze dwa budynki mieszkalne. Do dziś nie wiadomo, kto zorganizował zamachy.

– Pracujemy w szalonym tempie. I rzeczywiście mamy mnóstwo projektów na każdy wypadek – zapewnia Walentin Kiriczenko, politolog moskiewski zatrudniony przez Medwedczuka.

– Jeden z pańskich kolegów namawiał mnie, żebym pojechał na Krym, bo tam, jak mówił, szykuje się „coś poważnego”. Jakieś wystąpienia Tatarów, które mogłyby być pretekstem do odwołania wyborów. To prawda? – pytam.

Kiriczenko: – Jest, a raczej był taki projekt. Wygląda jednak na to, że zamieszanie na Krymie nie będzie potrzebne. Zresztą Krym to nie jedyny nasz pomysł. Nie pozwolimy, by sytuacja wymknęła się spod kontroli. Janukowycz dobrze o tym wie. On,

tak samo jak Juszczenko, żyje w ogromnym napięciu. Wcale się nie dziwię, że zemdłał, kiedy oberwał jajkiem. I że zaraz po tym „zamachu” przybiegł do Klubu Rosyjskiego.

27.10.2004, środa

PUTIN AGITUJE W KIJOWIE

Prezydent Rosji specjalnie przyjechał do Kijowa, by wesprzeć Wiktora Janukowycza, kandydata władzy.

Stolica Ukrainy powitała prezydenta Rosji pokazem sztucznych ogni. Putin wprost z lotniska przyjechał do studia telewizyjnego. Ponad godzinę odpowiadał na pytania dziennikarzy i widzów trzech największych kontrolowanych przez administrację prezydencką kanałów.

Telewidzowie przysłali Putinowi ponad 80 tysięcy pytań, w tym: „Na kogo głosowałby Pan w wyborach prezydenta Ukrainy?”. Gospodarz Kremla nie odpowiedział, za to gorąco chwalił premiera Ukrainy Wiktora Janukowycza, który konkuruje ze znieawidzonym przez obóz władzy kandydatem opozycji Wiktozem Juszczenką.

– Ukraina ma ponadtrzydziestoprocentowy wzrost gospodarczy. Rząd mądrze ograniczył wydatki oraz zebrał środki na cele socjalne i podniósł emerytury – mówił Putin. Przyznał, że zapraszał Janukowycza na swe urodziny: – Urodziny spędza się w gronie najbliższych.

Rosyjski prezydent mówił też o perspektywach ponownej integracji krajów, które kiedyś wchodziły w skład ZSRR. Tłumaczył, że odtworzyć Związek Radziecki się nie da. Teraz należy się skupić na ujednoczeniu prawodawstwa i jednoczeniu gospodarek Rosji, Ukrainy, Białorusi i Kazachstanu, tworzących

Wspólną Przestrzeń Gospodarczą. To „rozwiąże wiele problemów”, a w przyszłości może przyjdzie czas na „wspólny rząd i wspólny parlament”. Prezydent Rosji zdradził, że kraje tworzące WPG już zgodziły się powołać wspólną komisję do spraw ustalania taryf celnych. Jej decyzje są wiążące dla rządów państw-członków.

12.11.2004, piątek

PUTIN SIĘ WTRĄCA

Wiktor Juszczenko, przywódca opozycji ukraińskiej, wygrał pierwszą turę wyborów prezydenckich – ogłosiła wreszcie komisja wyborcza. Jego szanse na zwycięstwo w drugiej turze rosną. Władimir Putin spieszy na pomoc jego konkurentowi Wiktorowi Janukowyczowi.

Centralna Komisja Wyborcza przyznała wreszcie, że najwięcej głosów (11 milionów 125 tysięcy 395, czyli 39,87 procent) dostał pięćdziesięcioletni Juszczenko, który o 0,55 procent (10 milionów 960 tysięcy 579 głosów) wyprzedził pięćdziesięcioletniego Janukowycza, faworyta obozu władzy. Ta przewaga byłaby większa, gdyby CKW nie unieważniła wyników wyborów w Kirowohradzie, gdzie zdecydowaną przewagę osiągnął Juszczenko. Powodem były liczne prowokacje przeprowadzone przez władze.

21 listopada odbędzie się druga tura wyborów, w której zmierzą się Juszczenko i Janukowycz.

Kandydat opozycyjny w ostatnich dniach szybko zyskuje sobie nowych sojuszników w Ukrainie. Poparł go już lider socjalistów Ołeksandr Moroz (5,81 procent w pierwszej turze) i Anatolij Kinach (0,93 procent), lider Partii Przemysłowców i Przedsiębiorców, a także sztab wyborczy popularnego w Ukrainie mera Kijowa Ołeksandra Omelczenki.

Za Janukowyczem do tej pory opowiedziała się tylko skrajnie antyzachodnia przywódczyni Postępowej Partii Socjalistycznej Natalia Witrenko (1,85 procent).

Janukowycz niespodziewanie zgodził się na udział w telewizyjnej debacie z Juszczenką 16 listopada. Wcześniej zapowiadał, że zrobi to jedynie pod warunkiem, że konkurent przeprosi go za to, co mówił o nim w czasie kampanii, czyli za przypominanie premierowi, że w młodości dwa razy siedział w więzieniu za przestępstwa kryminalne.

Decyzja o udziale w transmitowanej dyskusji może być dla Janukowycza ryzykowna. Kiedy rok temu robiłem w nim wywiad, byłem zaskoczony, jak łatwo premier poddaje się emocjom, kiedy rozmówca porusza drażliwy temat.

Na pomoc Janukowyczowi znów wybiera się do Ukrainy Władimir Putin. Jaki prezent tym razem przywiezie Ukraińcom, by przekonać ich do głosowania na swego faworyta? Kiedy był tu przed pierwszą turą, obiecał im, że bez obowiązku zameldowania będą mogli przebywać w Rosji przez dziewięćdziesiąt dni.

Jak pisze choćby dziennik „Izwestia”, doprowadziło to do sytuacji absurdalnej. Rosjanin z prowincji może przebywać w Moskwie bez zameldowania trzy dni. Potem, jeśli złapie go milicja, płaci karę. Szukający zarobku w bogatej stolicy Rosjanie z biednych regionów mogą więc zazdrościć Ukraińcom, którym ich prezydent dał specjalne przywileje.

19.11.2004, piątek

DONBAS PRZECIWIW JUSZCZENCE

Dwa dni do wyboru ukraińskiego prezydenta. Ługańsk, część Donbasu, matecznika i twierdzy władającego kopalniami i hutami na wschodzie Ukrainy klanu donieckiego, który do władzy pcha szefa rządu Wiktora Janukowycza. Tu chcą, żeby w niedzielę premier wygrał drugą turę wyborów i został prezydentem.

Nie brak tu też takich, co Janukowycza kochają, bo muszą. – Po drodze wszystko przemyślałam. Tam milicja znowu zatrzymuje samochody sztabu Juszczenki, zabiera kierowców. Nic panu nie powiem. Nie teraz. Może po wyborach – tłumaczy przerażona kobieta.

Błaga, żebym nie pisał, ani jak się nazywa, ani gdzie pracuje. A już o tym, jak najpierw dawali jej pieniądze, całe sto dolarów – jak na Ługańsk sporą sumę – jak grozili, że wyrzucą z roboty, a synowi połamią nogi, jeśli nie zdradzi Juszczenki i nie zgodzi się pracować dla tych od Janukowycza, mówić nie chce. – Może kiedyś, po wyborach, jak się wszystko uspokoi. Sama pana znajdę – obiecuje.

To jest Ługańsk, a nie Kijów, wolne miasto całe przystrojone w pomarańczowe wstążki, które kierowcy przywiązują do anten samochodów, a dziewczyny do torebek. A wszystko po to, żeby pokazać, że są za Wiktorem Juszczenką, kandydatem opozycji, który – jak wierzy stolica – w niedzielę w drugiej turze wyborów

zostanie nowym prezydentem Ukrainy. W Ługańsku 31 października, w pierwszej turze, Janukowycz dostał 80,42 procent głosów, a Juszczenko tylko 4,44 procent.

Załogę kopalni węgla Łutuhinska pod Ługańskiem dyrekcja spędziła na wiec, na którym w południe miał być Janukowycz. Ludzie karnie ustawili się w szeregach, wzięli do rąk błękitne proporce i do wieczora na zimnie czekali, bo premier najpierw w Kijowie spotykał się ze wszystkimi dzielnicowymi z całej Ukrainy i namawiał ich, by w czasie drugiej tury pomogli mu odnieść zwycięstwo. A potem latał na Krym do Władimira Putina, by i jego prosić o wsparcie.

Ale zmarznięci górnicy, ich żony i dziewczyny ubrane z tej okazji w stroje ludowe nie żałowali, że przychodzi im tak długo czekać. Z dziennikarzami rozmawiać nie bardzo chcieli.

– Wy tam za kordonem jesteście za Juszczenką. My tu dobrze wiemy. Za faszystą, który chce zamknąć nasze kopalnie, wszystko oddać Amerykanom, a ludzi wypędzić – tłumaczy chłopak, który niechętnie przedstawia się jako Fiodor.

– Ludzie wierzą, że Juszczenko to agent CIA, FBI i prawie hitlerowiec. Bo tak im mówią dyrektorzy kopalni. Tak mówi ta telewizja ukraińska, którą tu oglądają, i telewizje rosyjskie. A Janukowycz to dla nich taki naczałnik, do jakich przywykli. Prawdziwy czerwony dyrektor. Mówi tak jak oni po rosyjsku, a z ukraińskim – tak jak i oni – radzi sobie kiepsko. Oni wierzą, że taki prezydent kopalni nie będzie zamykać. Przy nim będzie robota i wypłata 150, a dla najlepszych to i 200 dolarów miesięcznie – tłumaczy Anatolij Szerbina, dyrygent kopalnianej orkiestry, który zna tu wszystkich. W końcu przez czterdzieści siedem lat pracy grał na pogrzebach 30 tysięcy górników.

– I co z tego, że siedział – wścieka się na mnie starsza kobieta, kiedy pytam, jak można wybrać na prezydenta człowieka, który dwa razy był skazywany za przestępstwa kryminalne. – Lenin też siedział. I Stalin siedział. My, naród sowiecki, my siedzieć przywykliśmy. U nas co drugi miał w życiu *chodkę*. I nic, żyjemy.

– A z Putinem załatwił, że teraz możemy jeździć do Moskwy – chwali premiera młoda dziewczyna.

Moskwa to tutaj ziemia obiecana. Tam na budowie albo za kierownicą trolejbusu można zarobić i trzy razy więcej niż tu na przodku. A z tych kilkudziesięciu tysięcy ukraińskich dziewcząt, które w stolicy Rosji pracują jako prostytutki, większość jest z Donbasu.

W tej wymarzonej Moskwie bywa jednak ciężko. Trzy dni po przyjeździe trzeba tam zdobyć „registrację”, czyli czasowe zameldowanie. A to jest możliwe tylko za sporą łapówkę. Tych, którzy nie mają meldunku, na każdym kroku zatrzymuje milicja. Jeśli się nie wykupią, idą siedzieć. A Putin, który popiera Janukowycza, właśnie podarował Ukraińcom prawo przebywania w Rosji, w tym i w Moskwie, do dziewięćdziesięciu dni bez zameldowania.

Władze Rosji poszły jeszcze dalej w swej dobroci dla sąsiedniego narodu. Znajomy oficer moskiewskiej milicji powiedział mi, że przełożeni kazali wszystkim funkcjonariuszom, by zapomnieli o słowie *chachoł* (obraźliwe określenie Ukraińca); milicjanci bardzo często używają tego określenia w kontaktach z przybyszami znad Dniepru.

I nic dziwnego, że kiedy zmarznięci ludzie na placu przed kopalnią Łutuhinska doczekali się wreszcie premiera, rzucili się ściskać mu rękę, krzycząc: „Urraaa!”. Kobiety z zachwytem powtarzały: – Jaki ładny! Jaki przystojny! Nasz! Nasz prezydent!

Opozycja nie ma tu łatwego życia. – W Ługańsku sytuacja taka, jakby przetoczył się po nas, po opozycji, walec drogowy. Naród rzeczywiście wciąż u nas absolutnie sowiecki. Przywykł słuchać naczalników i robić tak, jak każą. Jeśli każą jechać do Kijowa, bić – jak tu mówią – „naszystów”, czyli ludzi z Naszej Ukrainy, partii Juszczenki, to pojedą i będą bić – opowiada Andrij Ziuż, zastępca szefa regionalnego sztabu wyborczego Juszczenki w Ługańsku. – W kopalniach, w kołchozach w czasie pierwszej tury prawie wszyscy głosowali publicznie. Podchodzili do urny, pokazywali stojącemu obok niej człowiekowi z dyrekcji, że postawili krzyżyk przy nazwisku Janukowycza, i dopiero potem wrzucali kartę do głosowania.

– A co na to wasi obserwatorzy, mężowie zaufania w komisjach?

– Jacy obserwatorzy? Tych ludzi, których nasz sztab kierował do pracy w komisjach, albo przekupili, albo tak jak tę kobietę, która nie chciała z tobą rozmawiać, szantażem i groźbami zmusili do rezygnacji. A potem „namalowali” sobie takie wyniki wyborów, jakie chcieli. Sondáže przed wyborami mówiły, że Juszczenkę popiera u nas około 15 procent. Dostał tylko 4 procent. Te głosy nam ukradli.

– Może po tym, gdy się okazało, że Juszczenko wygrał pierwszą turę w całym kraju, to się zmieni?

– Nam też się tak wydawało. Milicjanci stali się dla nas milsi, urzędnicy też. Ale widocznie Janukowycz na nowo postawił ich na baczność. Tylko wyjechał, a milicja znowu zatrzymuje nasze samochody, konfiskuje ulotki, zamyka kierowców. Nie dziw się, że ta kobieta, która jeszcze wczoraj obiecała, że ci opowie, jak ją wypędzili z komisji wyborczej, dziś jest taka przerażona – tłumaczy Ziuż.

23.11.2004, wtorek

SZCZENIE WMERŁA UKRAINA

Sfałszowane wybory. Opozycja wyprowadza ludzi na ulicę. Po odebraniu Juszczenko zwycięstwa w drugiej turze buntują się całe miasta, świat protestuje. Władza twardo utrzymuje, że nowym prezydentem jest premier Janukowycz. Czy wyśle na demonstrantów policję i wojsko?

– Władze szykują atak milicji na nas o trzeciej nad ranem – mówił wieczorem Wiktor Juszczenko do 200 tysięcy ludzi na Majdanie Niepodległości w Kijowie. Plac, na którym jeszcze w niedzielę w nocy radosny tłum świętował zwycięstwo, zamienił się teraz w krater gniewu. – Sfałszowano w całym kraju 3,1 miliona głosów, mamy dane o 11 tysiącach 110 naruszeniach wyborczych – wołał do tłumu Juszczenko.

Fałszerstwami ma się wkrótce zająć ukraiński parlament. Ale może co najwyżej wyrazić wotum nieufności wobec Centralnej Komisji Wyborczej. – Jeśli parlament nie rozwiąże kryzysu, będziemy musieli zablokować drogi, lotniska i zająć magistraty – mówiła na wiecu Julia Tymoszenko, była wicepremier, zwolenniczka Juszczenki.

Przeciwko cudom nad urną występują miasta. Siedem rad miejskich, w tym Kijowa i Lwowa, ogłosiło, że za prezydenta uznają Juszczenkę.

Nad Ukrainą zawisło widmo rozpadu. Niektórzy opozycjoniści ostrzegają przed wojną domową. – Wzywamy organizatorów

masowych protestów, by wzięli na siebie odpowiedzialność za możliwe konsekwencje – oświadczyli prokurator generalny i szef MSW.

Po zamknięciu urn w niedzielę sondaże obiecywały, że drugą turę wyborów wygra Juszczenko aż z jedenastoprocentową przewagą. Ale CKW ogłosiła, że przegrywa z Wiktorem Janukowyczem stosunkiem 46,7 do 49,7 procent.

Nikłą nadzieję na to, że komisja wyborcza uwzględni protesty i zweryfikuje wyniki, można było mieć do czasu, gdy gratulacje Janukowyczowi przekazał prezydent Rosji. Władimir Putin tak przyklepał jego wybór: – Walka była ostra, ale otwarta i uczciwa, a zwycięstwo przekonujące.

Rosja bez żenady ingerowała w wybory. Putin tuż przed pierwszą turą wsparł Janukowycza, przyjeżdżając do Kijowa. W dniu wyborów szef Dumy rosyjskiej Borys Gryżłow i ambasador w Kijowie Wiktor Czernomyrdin sprawdzali na miejscu, jak pracuje CKW.

Na Majdanie Niepodległości i głównej ulicy Kijowa Chreszczatyku rośnie tłum ludzi, coraz bardziej wściekłych. – Zwyciężyliśmy! I kropka! – grzmiał Juszczenko. Zwolennicy nazywają go już „wybrany przez naród prezydentem”, a Janukowycza uzurpatorem.

Juszczenko: – Zostańcie na miejscu. Ze wszystkich stron Ukrainy wozami, autami, samolotami i pociągami zmierzają tu do nas tysiące ludzi. Nasza akcja dopiero się zaczyna.

Janukowycz w telewizji, na tle flagi Ukrainy, potępił Juszczenkę i „grupkę radykałów”, którzy usiłują przemocą podzielić kraj.

Opozycja żąda unieważnienia wyników z czterech obwodów na wschodzie, gdzie doszło do najgorszych fałszerstw na korzyść

Janukowycza. W niektórych lokalach frekwencja przekroczyła 100 procent!

Protestują Unia Europejska, OBWE, NATO, a Richard Lugar, specjalny wysłannik Waszyngtonu, uznał, że „władze zrealizowały potężny plan fałszerstw i nadużyć”. Administracja USA oficjalnie wezwała ukraiński rząd do „szybkiego działania, by zapewnić wynik wyborów oddający wolę narodu”. Zbigniew Brzeziński, były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego prezydenta Jimmy’ego Cartera, zaapelował, by świat demokratyczny potępił władze Ukrainy i Putina, który „osobiście przyczynił się do skandalicznej manipulacji wyborczej”.

Ludzie w Kijowie wierzą, że ich protest coś zmieni. Tłum na placu śpiewa hymn Ukrainy kończący się słowami: „Duszę, ciało położymy za naszą swobodę, pokażemy, żeśmy bracia kozackiego rodu”.

Słowa te brzmią teraz szczególnie mocno – w centrum miasta demonstruje 200 tysięcy gniewnych ludzi, a wokół centrum władze gromadzą dywizje policji. Nikt nie może przewidzieć, czy dziś lub jutro w Ukrainie nie poleje się krew.

4.12.2004, sobota

TO PORAZKA KREMLA

To ogromna porażka, którą Kreml poniósł na własne życzenie. To wielka nadzieja dla Rosji.

Jeszcze w czwartek wieczorem Michaił Leontiew, komentator ORT, największego rosyjskiego kanału telewizyjnego, zapewniał 140 milionów telewidzów, że całemu zamieszanemu w Ukrainie winni są nawet nie Polacy, ale „Lachy” (w tym kontekście to tak, jakbyśmy na Niemców mówili „Szwaby”). Bo „Lachy” chcą coś znaczyć w Europie i dlatego – zapewniał Leontiew – muszą odbudować swe imperium, które cztery wieki temu władało Ukrainą.

W Rosji powiedzieliby, że Leontiew „przekłada z głowy chorej na zdrową”. To przecież Kreml tym razem zgubiła – jak by to powiedział Lenin – dziecięca choroba imperializmu. Moskwa postawiła na człowieka, który nie mógł uczciwie wygrać wyborów.

Kreml forsował Wiktora Janukowycza, ignorując wyniki sondaży, w których zdecydowana większość Ukraińców mówiła, że człowiek, który siedział za przestępstwa kryminalne, nie może być przywódcą kraju. Nie słuchali studentów kijowskich, którzy na długo przed wyborami skandowali: „Ukraina nie zona, prezydent nie pachan” („Ukraina to nie więzienie, prezydent to nie główny kapo”).

Media rosyjskie, jak mogły, robiły z Wiktora Juszczenki faszystę, nacjonalistę, niemal hitlerowca. Putin nie zauważał go wcale. Janukowyczowi wysyłał życzenia urodzinowe, gościł go na swoich urodzinach, przed wyborami przyjechał na kilka dni do Kijowa, gdzie wychwalał pod niebiosa kandydata obozu władzy.

Moskwa uznała, że człowiek z przeszłością kryminalną, do tego wybrany dzięki brutalnemu sfałszowaniu wyników głosowania, będzie dobrym prezydentem Ukrainy, bo – tak jak Aleksandra Łukaszenkę – nie będą go chcieli widzieć na Zachodzie i tylko Kreml stanie się dla niego pośrednikiem w kontaktach z cywilizowanym światem. Moskwa postawiła na taką kombinację, bo uważała, że tylko tak można na dłużej pozostawić Ukrainę w sferze wpływów rosyjskich.

Na Kremlu boją się Wiktora Juszczenki, bo uważają, że on jest zapatrzony w Zachód i wykopie przepaść między swoim narodem a Rosjanami. Nie zwracali tam uwagi na jego obietnice, że przy nim Rosję i Ukrainę połączą dobre stosunki – takie, jakie powinny być między równoprawnymi partnerami. Może wkrótce i Putin się przekona, że Juszczenko mówił szczerze.

Ukraińska rewolucja to wielka nadzieja dla demokratycznej Rosji, która po pięciu latach rządów Putina tylko wydaje się zniszczona, wdeptana w ziemię. Na kijowskim Majdanie Niepodległości pojawiały się też flagi rosyjskie. Przynosili je tu młodzi ludzie z Moskwy czy Sankt Petersburga. Kiedy pytałem ich, po co tu przyjechali, odpowiadali: – Po naukę.

9.12.2004, czwartek

ZWYCIĘSTWO UKRAINY

Przełom w Kijowie. Rada Najwyższa przyjęła ustawy gwarantujące, że powtórka drugiej tury wyborów będzie uczciwa. Leonid Kuczma natychmiast je podpisał. Radykałowie mówią jednak, że to zgniły kompromis.

Kiedy skończyło się posiedzenie Rady, tłum pod parlamentem ogarnął szal radości. Demonstranci owacjami witali wychodzących z budynku opozycyjnych deputowanych, skandując: „Zuchy! Bohaterowie!”

To wielki sukces zwolenników opozycji od 17 dni protestujących przeciw sfałszowaniu wyników wyborów.

Kuczma, zjawiwszy się w parlamencie, ogłosił, że Hennadij Wasiliew, prokurator generalny, podał się – jak chciała opozycja – do dymisji, a on ją przyjmie.

Licząca 450 deputowanych Rada Najwyższa 402 głosami „za” w jednym głosowaniu przyjęła od razu pakiet uchwał o kapitalnym znaczeniu dla rozwiązania konfliktu między władzą i opozycją oraz dla przyszłego ustroju kraju.

To przede wszystkim zmiany w ordynacji wyborczej, które gwarantują, że w czasie zapowiadanej na 26 grudnia powtórki drugiej tury wyborów prezydenckich nie dojdzie do takich fałszerstw, jakie miały miejsce w czasie i po głosowaniu 21 listopada.

Przede wszystkim bardzo ograniczono możliwość głosowania poza lokalami wyborczymi. Teraz urnę wyborczą będzie można zawieźć tylko do inwalidy pierwszej grupy lub obłożnie chorego, który otrzyma specjalne zaświadczenie lekarskie. Ograniczona jest też możliwość głosowania poza miejscem stałego zamieszkania. Zmiany w ordynacji zezwalają komisjom wyborczym na wydawanie zezwoleń na takie głosowanie tylko jednemu na 200 uprawnionych do głosowania, a nie jak dotąd jednemu na 25. Według opozycji dzięki wywożeniu urn i temu, że grupy ludzi zaopatrzonych w zezwolenia na głosowanie poza miejscem zamieszkania 21 listopada podczas drugiej tury wyborów głosowały po kilkanaście razy, władza sfałszowała wyniki wyborów o 10 procent na korzyść faworyta Kuczmy Wiktora Janukowycza.

W przyjętych właśnie ustawach znalazła się też forsowana przez Kuczmę tak zwana reforma konstytucyjna. Zgodnie ze zmianami w konstytucji Ukrainy, pierwszymi od jej przyjęcia osiem lat temu, uprawnienia nowego prezydenta będą znacznie mniejsze niż te, które ma Kuczma. Wzrośnie natomiast rola parlamentu i premiera. Kandydata na szefa rządu nie będzie mógł samodzielnie wysuwać prezydent, lecz wyłaniać go będzie większość parlamentarna. Teraz to premier, a nie głowa państwa, będzie wyznaczać ministrów (poza szefami resortów siłowych) oraz gubernatorów.

Reforma konstytucyjna wejdzie w życie od 1 września 2005 roku lub 1 stycznia 2006 roku. Jest to uzależnione od tego, jak szybko zostanie przeprowadzona w kraju reforma samorządu lokalnego. Ma ona polegać na tym, że faktyczna władza w regionach Ukrainy z rąk wyznaczanych dziś przez Kijów szefów administracji przejdzie w ręce samorządów. Oznacza to,

że Ukraina odejdzie od podobnego do rosyjskiego modelu zarządzania regionami w stronę samorządowego modelu, jaki obowiązuje w Polsce.

Uchwaliwszy pakiet, Rada Najwyższa przystąpiła do głosowania nad nowym składem CKW. Kuczma przedstawił izbie osiemnastu kandydatów. Czternastu z nich to dotychczasowi członkowie komisji skompromitowanej tym, że dopuściła do ogromnych fałszerstw podczas wyborów 21 listopada. Deputowani jednak odrzucili trzech z nich, których oskarża się o najbardziej aktywny udział w fałszerstwach.

Kiedy izba przystąpiła do głosowania nad kandydaturą Sierhija Kiwałowa, dotychczasowego szefa CKW, deputowani, a wraz z nimi wielotysięczny tłum demonstrantów otaczających parlament, skandowali: „Hańba! Hańba!” Kiwałow nawet nie odważył się – tak jak inni kandydaci – wstać z fotela, by pokazać się obecnym na sali. I otrzymał najmniej, bo tylko 129 głosów. W nowej komisji nie znalazł się żaden człowiek związany z Partią Regionów Wiktora Janukowycza.

Nie wszyscy są jednak zadowoleni z decyzji izby. Przebywający na urlopie premier i kandydat na prezydenta Wiktor Janukowycz nazwał tryb zatwierdzenia nowych członków CKW „bezprawiem i samowolą” spowodowanymi przez szalejącą w kraju „pomarańczowo-brunatną dżumę”.

27.12.2004, poniedziałek

WIWAT JUSZCZENKO!

Pomarańczowa rewolucja zwyciężyła. Wiktor Juszczenko będzie nowym prezydentem Ukrainy. Według wszystkich sondaży kandydat opozycji wygrał zdecydowanie – kilkunastoprocentową przewagą głosów.

Poważane Centrum Razumkova twierdzi, że na Juszczenkę głos oddało 56,3 procent Ukraińców. Na jego rywala premiera Wiktora Janukowycza – 41,3 procent. Po podliczeniu 30,06 procent protokołów Centralna Komisja Wyborcza podała, że na Juszczenkę głosowało 57,43 procent, a na Janukowycza – 38,89 procent wyborców [ostateczne wyniki wyborów to 51,99 do 44,20 procent].

Te wybory odbyły się nadspodziewanie spokojnie – w odróżnieniu od dramatycznej kampanii wyborczej. Było otrucie Juszczenki, który przeżył tylko dzięki sile organizmu i pomocy lekarzy w Austrii. Było sfałszowanie drugiej tury wyborów. I pomarańczowa rewolucja.

Plac Niepodległości w Kijowie, gdzie mieściła się kwatera główna rewolucji, wieczorem znów eksplodował radością. Kończy się epoka prezydenta Kuczmy. Kończy się też pewnie epoka oligarchów. Ukraina – zapowiedział wczoraj Juszczenko – „będzie teraz krajem europejskim”.

Kiedy Kijów się cieszy, wschodnia Ukraina pogrąża się w smutku. – U nas żałoba narodowa. Ludzie mówią, że nie uznają

nowego prezydenta, że chcą się odłączyć od Ukrainy – opowiada Andrij Ziaż ze sztabu Juszczenki w Ługańsku.

Janukowycz rzeczywiście straszył, że jeśli nie wygra, to na wschodzie dojdzie do niebieskiej kontrrewolucji. Ale wydaje się, że nie ma na to ani sił, ani funduszy. – Nie będzie żadnej rewolucji. W Now Rok życzenia złoży nam nowy prezydent – uspokajał po głosowaniu Wołodymyr Łytwyn, przewodniczący ukraińskiego parlamentu.

26.04.2005, wtorek

KONIEC IDEI „IMPERIUM LIBERALNEGO”

Władimira Putina ostatnio spotyka porażka za porażką. Przegrał w Gruzji, gdzie w 2004 roku prezydentem został prozachodni Micheil Saakaszwili, przegrał w Ukrainie. Wkrótce przegra też pewnie w Mołdawii [wybory parlamentarne wygrała w marcu 2005 roku partia proeuropejskiego prezydenta Władimira Voronina].

W gruzach legła idea „imperium liberalnego”, które – jak jeszcze niedawno mówiło się na Kremlu – ekonomicznie i politycznie znów podporządkuje Moskwie były republiki radzieckie.

Świat coraz głośniej pyta, co się stało z demokracją w Rosji. I nawet niezawodny „drug George”, czyli prezydent USA George W. Bush, zadaje swemu koledze z Moskwy pytania, których on bardzo nie lubi. A do tego Putin musiał też ustąpić emerytom, którzy wyszli na ulice miast rosyjskich, protestując przeciw odebraniu im starych przywilejów. Popularność prezydenta spada.

Prasa rosyjska, jak się wydawało, całkowicie podporządkowana Kremlowi, zaczyna go szczytać. Starzy, chytry politycy, jak mer Moskwy Jurij Łużkow, też, choć ostrożnie, krytykują „generalną linię”

Lew osłabł. Nic dziwnego, że już teraz – na trzy lata przed końcem jego kadencji – pojawiają się kandydaci na spadkobierców. I nic dziwnego, że w Moskwie żywo dyskutują, kto może się stać rosyjskim Juszczenką.

Tymczasem prezydent Rosji tęskni za ZSRR. W orędziu o stanie państwa Władimir Putin mówił, że „rozpad Związku Radzieckiego to największa katastrofa geopolityczna XX wieku”.

Przemawiającego na Kremlu Putina oglądały w telewizji miliony rodaków oraz parlamentarzyści i członkowie rządu. Prezydent ubolewał: – Dramat rozpadu ZSRR sprawił, że poza granicami Rosji zostały miliony naszych współobywateli i rodaków. A epidemia rozpadu przerzuciła się na samą Rosję.

Czarny obraz postradzieckiej Rosji w oczach Putina wygląda tak: – Oszczędności ludzi straciły wartość, stare ideały runęły. Wiele instytucji reformowano w pośpiechu. Integralności terytorialnej kraju zagroziły terrorystyczna interwencja i chasawjurtowska kapitulacja [nawiązanie do traktatu pokojowego, który Moskwa podpisała z Czeczenami w 1996 roku].

– Masowa nędza stała się zjawiskiem przyjmowanym jako normalne. Wszystko to działo się na tle głębokiego upadku gospodarczego, niestabilności finansowej, paraliżu sfery socjalnej – rysował Putin apokaliptyczny obraz.

Prezydent obiecał, że Moskwa nie zapomni o milionach rodaków, którzy po rozpadzie imperium pozostali za granicami. Bez wymieniania nazw wypomniał krajom bałtyckim, że łamią prawa żyjących tam Rosjan: – Ci, którzy nie umieją przestrzegać praw człowieka, zagwarantować ich innym, sami nie mają prawa tego wymagać od innych.

Pozostałym sąsiadom przypomniał, że Rosja „nie zamierza rezygnować z misji cywilizującej na kontynencie eurazjatyckim”. To przypomina starą politykę imperialną, według której podboje Rosji carskiej, a potem radzieckiej w Azji niosły tam nowoczesną cywilizację.

Nasz kraj „był, jest i oczywiście będzie największym narodem europejskim” – zapewnił przy tym Putin. – Przez trzy wieki – mówił, podkreślając nieprzerwaną ciągłość historii Rosji od cara Piotra I, poprzez epokę sowiecką, do dzisiaj – ręka w rękę z innymi narodami europejskimi przeszliśmy przez reformy oświaty, trudy budowy parlamentaryzmu, władzy sądowniczej i samorządowej. Krok po kroku razem szliśmy w kierunku rozwoju praw człowieka, równego dla wszystkich prawa wyborczego. Powtórzę – stwierdził Putin – że wszystko to robiliśmy razem z Europą, a czasem wyprzedzaliśmy w tych wysiłkach standardy europejskie.

A potem składał już obietnice godne przywódcy od dawna liberalnego mocarstwa europejskiego.

Przede wszystkim zapowiedział, że wyniki prywatyzacji majątku państwowego w latach dziewięćdziesiątych teraz będą mogły być rewidowane tylko przez trzy lata, a nie przez dziesięć lat, jak do tej pory stanowiło prawo. Ta bardzo ważna obietnica oznacza, że wielki biznes rosyjski może się już nie obawiać nacjonalizacji.

Prezydent obiecał też amnestię kapitałową. Władze nie będą pytać obywateli, skąd wzięli nawet największe sumy, jeśli wpłacą je do rosyjskich banków i zapłacą od nich 15 procent podatku. W ten sposób Putin liczy na to, że do kraju wrócą pieniądze (niektórzy eksperci uważają, że z Rosji wyszło już

ponad 200 miliardów dolarów) nielegalnie wywiezione przez ostatnie czternaście lat.

Prezydent ucieszył przedsiębiorców, zapowiadając, że skończy z „terrorem samowolnych kontroli podatkowych” i rozpocznie bezwzględną walkę z korupcją panującą wśród urzędników, w milicji i w sądach.

Obiecał też wolność mediom, a wszystkim partiom politycznym równy dostęp do państwowych kanałów telewizyjnych.

– Tegoroczne orędzie prezydenckie jest towarem eksportowym. Ma pokazać przywódcom zachodnim, którzy wkrótce zjawią się w Moskwie na obchodach sześćdziesiątej rocznicy zwycięstwa nad faszyzmem, że nasz kraj jest w rzeczywistości europejski i liberalny – uważa Irina Hakamada, jedna z przywódczyń rosyjskich demokratów.

Zdaniem Konstantina Simonowa, dyrektora moskiewskiego Ośrodka Koniunktury Politycznej, tegoroczne orędzie pisali Putinowi kremlowscy liberałowie, którzy walczą o wpływy z otaczającymi prezydenta oficerami tajnej policji: – Putin przemówił do nas językiem liberałów, to ich sukces. Ale o tym, jakie będą jego czyny, zdecyduje otoczenie prezydenta z KGB, o czym się niedługo przekonamy.

Politycy opozycyjni zwracają też uwagę na to, że prezydent w orędziu nie wspomniał o problemach, które dziś najbardziej niepokoją Rosjan. Ani słowa nie powiedział więc o drożyznie oraz odebraniu emerytom i pracownikom sfery budżetowej prawa do bezpłatnych przejazdów i lekarstw, przeciwko czemu od początku roku codziennie protestują na ulicach miast tysiące demonstrantów.

– Nie mówi o tych problemach, bo nie wie, jak je rozwiązać – wyjaśnia Michaił Zadornow, liberalny ekonomista, były minister finansów. – Nie mówi, bo mu wstyd – powiedział mi Giennadij Ziuganow, przywódca komunistów rosyjskich.

2.06.2006, piątek

PUTIN CHCE POWIĘKSZYĆ ROSJĘ

Moskwa podsyca niepokoje i ruchy separatystyczne u swoich sąsiadów – w Gruzji, Mołdawii i Ukrainie. Chodzi nie tylko o odzyskanie wpływów w byłych republikach radzieckich, lecz także o rewizję granic.

Eduard Kokojty, prezydent samozwańczej republiki Osetia Południowa, która formalnie jest częścią Gruzji, zapewnił, że jego region de facto pozostaje częścią Rosji.

– Przekażemy rosyjskiemu sądowi konstytucyjnemu dokumenty dowodzące, że Osetia Południowa stała się częścią imperium rosyjskiego i nigdy z niego nie wychodziła. Nie istnieje ani jeden dokument, który świadczyłby o tym, że republika przestała być częścią Rosji – mówił Kokojty.

Ośmielił go rzecznik rosyjskiego MSZ Michaił Kamynin, który w opublikowanym oświadczeniu napisał, że Rosja, choć szanuje „zasady integralności terytorialnej”, uważa, że Osetia Południowa „ma prawo do samostanowienia”. Kamynin dodał, że Tbilisi nie kontroluje Osetii Południowej.

Kamynina wsparł jego szef, minister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Ławrow, który też oświadczył, że „Gruzja nie jest w stanie kontrolować” republiki.

– Oświadczenia, które słyszymy z Rosji, podają w wątpliwość integralność terytorialną Gruzji – protestował gruziński minister stanu Gieorgij Chaindrawa. Dodał, że wypowiedzi dyplomatów

rosyjskich to „akt agresji”. Zapowiedział też, iż Tbilisi poprosi społeczność międzynarodową o wstawiennictwo.

Moskwa odpowiedziała na to, jak przystało „mocarstwu energetycznemu” – w połowie Gruzji zaopatrywanej w prąd przez Rosjan wysiadło światło.

Niespokojnie jest też na ukraińskim Krymie. Od kilku dni zwolennicy partii komunistycznej i innych ugrupowań prorosyjskich blokują port w Feodozji. Do portu zawinął płynący pod flagą NATO amerykański okręt „Advantage” ze sprzętem dla jednostek, które mają wziąć udział w lipcowych manewrach Sojuszu Północnoatlantyckiego na wybrzeżach Morza Czarnego.

Do Feodozji ściągają grupy demonstrantów z innych rosyjskojęzycznych regionów Ukrainy. Przy bramach portu skandują hasła: „NATO – wróg”, „Precz ze zdrajcami!”, „Nasza przyszłość z Rosją!”. Przywódca krymskich komunistów Leonid Gracz rozpoczął w Feodozji zbieranie podpisów pod petycją o zdymisjonowanie prezydenta Wiktora Juszczenki oraz zjednoczenie Ukrainy i Białorusi z Rosją.

I tu Rosja dolewa oliwy do ognia. Rosyjski parlament – Duma – zapowiedział, że zwróci się do rządu, by zażądał zwrotu Krymu na podstawie zawartego w 1774 roku porozumienia między imperium rosyjskim a Portą Otomańską. Dopiero gdy deputowani zorientowali się, że powołują się na nieaktualny układ między nieistniejącymi państwami, zrezygnowali z przekazania wniosku.

Wiceprzewodniczący Dumy, nacjonalista Władimir Żyrinowski, w telewizji ukraińskiej zapowiedział, że postawi przed sądem Juszczenkę za „bezprawne ogłoszenie niepodległości Ukrainy”. Zapowiadał też, że obali prezydenta Gruzji, a jego kraj „podzieli na sześć niezależnych republik”.

Należy się też spodziewać zaostrzenia sytuacji wokół samozwańczej republiki Naddniestrze, którą Mołdawia uważa za swoją prowincję. (...) Radio Echo Moskwy podało, że Moskwa przekaże Naddniestrzu 215 milionów dolarów na podtrzymanie gospodarki. A rosyjski minister obrony Siergiej Iwanow zapowiedział, że 1,8 tysiąca żołnierzy rosyjskich, którzy stacjonują w Naddniestrzu, nie opuści republiki, dopóki w tym regionie „nie zapanuje spokój”.

Moskwa zgodnie z przyjętymi zobowiązaniami powinna była zabrać swych żołnierzy z Naddniestrza do końca 2003 roku.

Równocześnie Moskwa próbuje narzucić Białorusi coraz wyższe ceny gazu ziemnego. Komentatorzy mówią, że Kreml wytoczył sąsiadowi wojnę gospodarczą, by zmusić jego władze do zgody na szybsze tworzenie Związku Białorusi i Rosji na warunkach dyktowanych przez Rosjan.

Zdaniem komentatorów rosyjskich Rosja rozdmuchuje dziś punkty zapalne w byłych republikach radzieckich, bo Władimir Putin w 2008 roku kończy swą drugą i ostatnią kadencję prezydencką i nie chce być zapamiętany jako ten, przy którym Moskwa utraciła kontrolę nad Gruzją, Ukrainą i Mołdawią.

– Nie chodzi o oddzielenie Osetii Południowej od Gruzji, ale o przyłączenie jej do Rosji. Nie o separatyzm Osetyjczyków, ale o rosyjski imperializm – twierdzi Nikołaj Rudenski, komentator gazety internetowej Grani.ru.

Siergiej Buntman z Radia Echo Moskwy wyjaśnia, że „Kreml pragnie teraz przyłączyć do Rosji choć trzy metry kwadratowe jakiegoś terytorium”. Ostrzega jednak, że „cena tych trzech metrów może być bardzo wysoka”.

Bo podsycanie separatyzmu u sąsiadów może sprawić, że również obywatele Rosji – Tatarzy, Jakuci czy Buriaci –

upomną się o prawo do „samookreślenia” – Nie zapominajmy, że Rosja to federacja, delikatny szklany dom. A kto mieszka w domu ze szkła, nie powinien rzucać kamieniami – przypomniał Buntman.

31.08.2006, czwartek

KTO PSUJE ARMIEŃ ZAWODOWĄ W ROSJI

Ministerstwo obrony przyznaje, że żołnierze kontraktowi tysiącami uciekają ze służby. Generałów to cieszy, bo dopóki do wojska wcielają z poboru, co roku zarabiają na łapówkach setki milionów dolarów.

– Wszystkie obietnice dawane zawodowym to głodne kawałki. Za służbę w Czeczenii obiecywali nam po 550 dolarów miesięcznie na rękę. Najpierw na czas nic nie wypłacili, a potem oficerowie powiedzieli, że dostaniemy żołd, jeśli oddamy im 10 procent. Zerwałem kontrakt. Jako ochroniarz zarobię sześć razy więcej – mówi nam weteran dwu wojen czeczeńskich Igor B.

Według wyliczeń centrum socjologicznego ministerstwa obrony tak jak Igor w ubiegłym roku postąpił co siódmy zawodowy podoficer i szeregowy żołnierz rosyjski. Aż 20 tysięcy z nich odeszło z armii przed upływem trzyletniego terminu kontraktu. W tym roku według ocen sztabu generalnego tempo przedterminowych ucieczek ze służby jest jeszcze większe.

A będzie rosnać. Eksperci alarmują, że tylko co piątą z dzisiejszych zawodowych szeregowych w ogóle myśli o tym, że po zakończeniu trzech lat służby mogłby podpisać nowy kontrakt. A to znaczy, że w latach 2007-2008 siły zbrojne stracą 120 tysięcy najlepiej przygotowanych, w dużej części

„ostrzelanych” ludzi i będą musiały nawet do punktów zapalnych na Kaukazie Północnym wysyłać poborowych.

Generałowie ucieczkę zawodowych z armii tłumaczą jednoznacznie – niski żołd. Szeregowy dostaje równowartość 250 dolarów, a sierżant – 320. To mniej niż średnia krajowa pensja. W jednostkach stacjonujących w Czeczenii armia płaci około 500 dolarów. Ale ten, kto służył na Kaukazie, bez trudu dostanie kilka razy lepiej płatną posadę choćby w służbach ochrony bogatych firm.

Kreml poradziłby sobie z tymi kłopotami, gdyby chodziło tylko o pieniądze. W przyszłym roku nadwyżka budżetowa w Rosji osiągnie 55 miliardów dolarów i państwo mogłoby znaleźć dodatkowy miliard nawet na potrojenie żołdu. Jak jednak uważają eksperci i przedstawiciele organizacji pozarządowych, przyczyny problemów są znacznie głębsze.

– Nasi generałowie na wieść o tym, że plany reformy się sypią, zacierają ręce. Napracowali się, by je storpedować – zapewnia Walentyna Mielnikowa, sekretarz Komitetu Matek Żołnierzy, niezależnej organizacji broniącej praw ludzi służących w siłach zbrojnych.

– Co roku do głównej prokuratury wojennej trafia 150 tysięcy skarg żołnierzy, którzy na czas nie dostali pieniędzy. Praktycznie każdy zawodowy żołnierz musi walczyć o swoje. Państwo je przekazuje wojsku, dowódcy przetrzymują fundusze. Oficerowie nie tylko w Czeczenii wymuszają na podwładnych dziesięcinę od każdej wypłaty. Zawodowi nawet w oddalonych garnizonach sami muszą płacić za wynajęcie mieszkań, bo armia domów dla nich nie buduje. A przyczyna tego wszystkiego ma jedno imię – sabotaż.

Wpływy z łapówek za zwolnienie od służby wojskowej w Rosji są rzeczywiście ogromne i bardzo szybko rosną. Fundacja Indem badająca rosyjską korupcję wyliczyła, że pięć lat temu rodzice poborowych w całym kraju zapłacili za to 13 milionów dolarów, a w roku ubiegłym – aż 353 miliony dolarów. To mniej więcej tyle, ile państwo przez rok zapłaciło wszystkim swoim zawodowym szeregowym i podoficerom.

Znany moskiewski ekspert wojskowy Wiktor Litowkin uważa od lat, że dowódcy z premedytacją torpedują plany budowy armii zawodowej: – Jeszcze cztery lata temu dywizja powietrznodesantowa w Pskowie eksperymentalnie jako pierwsza w naszym kraju została przekształcona w jednostkę w pełni zawodową. To miał być przykład i wzór. Żołnierzom obiecali więc mieszkania, sale gimnastyczne. Ale okazało się, że to wszystko powstaje bardzo powoli, a kosztuje astronomiczne pieniądze. Już wtedy ostrzegałem, że to robota generałów, którzy staną na uszach, by udowodnić, że Rosja nie może sobie pozwolić na armię zawodową i musi zachować poborową.

7.10.2006, sobota

ZABILI POLITKOWSKĄ

Anna Politkowska cieszyła się życiem. A życie uśmiechało się do niej. Nawet po tym, jak zaczęła pisać o wojnie i rozpoczęła własną wojnę z władzą. 7 października, w dzień urodzin Putina, została zamordowana na klatce kamienicy w Moskwie, w której mieszkała.

Dobrze po czterdziestce, wciąż zgrabna, wciąż atrakcyjna. Nie ukrywała, że lubi łowić zainteresowane spojrzenia mężczyzn. Cieszyła ją sława, rosyjskie i zagraniczne nagrody, na które zasłużyła jak mało kto.

– Dobrze mi z moimi latami. Teraz potrafię być szczęśliwa jak nigdy przedtem – powiedziała mi niedawno.

A mimo to w jej oczach, nawet kiedy się uśmiechała, stale obecny był smutek. Może dlatego, że wciąż miała przed nimi te wojenne okropności, które opisywała, może dlatego, że przeczuwała, jaki los ją czeka...

Prawie rok temu leciałem z Politkowską z Nalczika na Kaukazie do Moskwy. Opowiadała mi, że na podwórku milicyjnej komendy trzymają pod gołym niebem zwłoki stu ludzi zastrzelonych przed tygodniem w czasie walk w tym mieście. Pokazywała zdjęcia okaleczonych, rozkładających się trupów, których władze nie chciały wydać rodzinom.

Samolot, którym lecieliśmy, pełen był oficerów federalnych oddziałów specjalnych wracających do stolicy z krwawej

delegacji na Kaukaz. Rozpoznali Politkowską. Przypatrywali się jej z nienawiścią w oczach.

Jeden z nich po wylądowaniu podszedł do mnie i wysyczał: – To suka. Zabić taką to za mało.

Anna miała wszystko, co człowiekowi potrzeba do szczęścia. Urodziła się w Nowym Jorku i tam, z dala od sowieckiej szarej biedy, spędziła dzieciństwo. Jej ojciec, pochodzący z Ukrainy Stiepan Mazepa, pracował jako przedstawiciel ZSRR w ONZ-owskim Komitecie do Walki z Rasizmem. W Związku Radzieckim status rodzin takich jak ta, w której wychowywała się Anna, określano jednym słowem – *niebożytnie* (czyli mieszkańcy nieba).

W nowej Rosji spokojnie mogła zostać „barysznią z Barwichy”, czyli jedną z lekkomyślnie trwoniących miliony dolarów pań z najbardziej ekskluzywnego podmoskiewskiego osiedla. Jej były mąż, pochodzący z polskiej rodziny arystokratycznej, jeden z najbardziej znanych rosyjskich dziennikarzy, zarabia krocie.

– Po to, by żyć jak inni nowi Ruscy, wystarczyło tylko mówić językiem oficjalnej propagandy, wojnę w Czeczenii nazywać operacją antyterrorystyczną, samych Czeczenów bandytami. Albo w ogóle nie zajmować się wojną. Mój mąż zdecydował się na taki właśnie wybór. Odeszłam od niego, bo straciłam dla niego szacunek – tłumaczyła mi kilka lat temu.

Sama poszła na wojnę. I gdyby nie ona, tej wojny by nie było. To znaczy toczyłaby się dalej, ale bez tekstów Politkowskiej świat nie dowiedziałby się o wielu krwawych pacyfikacjach wiosk czeczeńskich czy o torturowaniu jeńców przez rosyjskich żołnierzy.

Kiedy wybuchła druga wojna czeczeńska, władze zabroniły dziennikarzom samodzielnie jeździć do ogarniętej walkami

republiki. Anna, nie bacząc na zakazy, jeździła tam stale. Jak żaden inny reporter umiała dotrzeć wszędzie i do każdego. Przywoziła do swej „Nowej Gaziety” jeden po drugim wstrząsające reportaże.

To dzięki niej świat dowiedział się o kapitanie wywiadu wojskowego GRU Eduardzie Ulmanie, który kazał swym podwładnym rozstrzelać, a potem spalić zwłoki sześciu niewinnych cywilów ze wsi Nochcz-Kiełoj. Ulman stanął przed sądem i został skazany.

W reportażu *Obóz koncentracyjny o nastawieniu komercyjnym* opisała uprawiany przez oficerów stacjonującego w Chottuni 45. Pułku Wojsk MSW proceder handlu trupami zamęczonych w niewoli czeczeńskich jeńców. Potem jeden z oficerów tej jednostki przysłał list do „Nowej Gaziety”, w którym napisał, że Poltkowska zdradziła i szarga honor munduru, więc „tak samo jak bandyci czeczeńscy kwalifikuje się do likwidacji”.

Zaraz potem oficerowie z Sachalina na Dalekim Wschodzie opublikowali w miejscowej gazecie list otwarty, oświadczając, że wydali wyrok śmierci na dziennikarkę.

Poltkowska co roku pisała około trzydziestu reportaży z Kaukazu. Wszystkie wstrząsające, wszystkie demaskujące zbrodnie popełniane przez żołnierzy sił federalnych. Po każdym dostawała nowe pogrożki. Cztery lata temu się załamała. Uciekła do Wiednia. Tam napisała jedną ze swoich książek o wojnie na Kaukazie. Po kilku miesiącach wróciła jednak do Moskwy, do syna Ilii i córki Wiery. I do pracy.

Była na Dubrowce w teatrze opanowanym przez terrorystów. Kiedy terrorystyczne komando zajęło szkołę w Biesłanie, popędziła na Kaukaz. Nie dojechała, bo na lotnisku w Rostowie nad Donem, gdzie się przesiadała, ktoś podał jej zatrutą herbatę.

Annę uważali za wroga nie tylko oficerowie rosyjscy, ale także liczni komendanci czeczeńscy. Politkowska nie kryła bowiem, że Szamil Basajew to dla niej „taki sam przestępca jak generałowie sił federalnych”.

Często atakowali ją także uwieszeni kremlowskiej klamki dziennikarze. Michaił Leontiew, komentator pierwszego kanału telewizyjnego, przekonywał słuchaczy, że Politkowska „jest po prostu stuknięta”.

Władze wytoczyły wojnę „Nowej Gazecie” publikującej teksty Anny. Gnębią redakcję wszelkimi kontrolami. Sądy już kilka razy pod różnymi pretekstami skazywały ją na zapłacenie kar znacznie przekraczających możliwości finansowe „Nowej...”.

I gdyby nie to, że współwłaścicielem gazety jest Michaił Gorbaczow, z którym muszą się liczyć nawet na Kremlu, pismo jak prawie wszystkie niezależne media w Rosji już dawno zostałoby zamknięte albo przejęte przez jakiegoś trzymającego z władzą bogacza.

Politkowska otwarcie i bardzo ostro krytykowała Władimira Putina i Ramzana Kadyrowa, który z woli Moskwy rządzi dziś Czeczenią.

Uważała, że prezydent ponosi pełną odpowiedzialność za śmierć 131 zakładników, którzy zginęli w czasie niefortunnego szturmów sił specjalnych na zajęty przez terrorystów teatr na Dubrowce. Według niej prezydent, odrzucając negocjacje z terrorystami w Biesłanie i szukając wyjścia z sytuacji tylko za pomocą siły, stał się sprawcą śmierci przetrzymywanych tam dzieci.

Kadyrowa Politkowska rzadko nazywała inaczej niż bandytą, zarzucając mu porwanie i torturowanie setek ludzi. Młody, zapalczywy premier Czeczenii reagował na te oskarżenia

niepohamowanymi wybuchami wściekłości. Kiedy kilka miesięcy temu spotkał się z Poltkowską, urządził jej ordynarną awanturę, rwał się do bicia, groził zgwałceniem.

Skrytobójca zamordował dziennikarkę w dniu urodzin Putina, dwa dni po urodzinach Kadyrowa. To przypadek – zastanawiają się przyjaciele Anny – czy też chciał zrobić podarek któremuś z nich?

Jedno jest pewne. Morderca i jego mocodawcy ugodzili nie tylko w Poltkowską. Zadali mocny cios wizerunkowi Rosji, rzucili cień na jej przywódców. Ci mogą się oczyścić, tylko przeprowadzając uczciwe, otwarte śledztwo w sprawie śmierci Anny Poltkowskiej.

Dopiero w czerwcu 2014 roku pięciu oskarżonych – bezpośrednich uczestników zabójstwa Anny Poltkowskiej – skazano na kary od dwunastu lat łagru do dożywocia. Ich zleceniodawca nie został odnaleziony. Dziś nie grozi mu już odpowiedzialność, bo sprawa się przedawniła.

13.10.2006, piątek

KTO NIE Z WŁADZĄ, TEN WRÓG

Zgodnie z tradycją bolszewicką obcym, czyli wrogiem, jest ten, kogo wyznaczy władza. Teraz rosyjska władza wyznacza niezależnych dziennikarzy i obrońców praw człowieka, takich jak Anna Politkowska czy mieszkających w Rosji Gruzinów.

Wydarzenia ostatnich tygodni w Rosji zapowiadają, że rozpoczynająca się kampania prezydencka 2008 roku będzie się toczyć pod hasłami walki z obcym. Kampania w zamierzeniu Kremla ma dać panowanie nad krajem faworytowi tzw. siłowików, czyli dowódców służb specjalnych, armii i policji.

Niedawno państwowa telewizja pokazała Rosjanom bohatera naszych czasów, główną postać serialu *Ataman* – oficera rosyjskiego specnazu. W pierwszej scenie pierwszego odcinka dzielny żołnierz na tle gór czeczeńskich wymienia poglądy z obciążonym teczuszką chuchrowatym okularnikiem.

Rosjanin bije adwersarza w mordę, włóczy po błocie. Bity to obrońca praw człowieka, czyli według prostej żołnierskiej logiki zdrajca i wspólnik czeczeńskich bandytów. Aby widzowie nie mieli wątpliwości, kto tu ma rację, starcie kończy obraz judaszowych srebrników – dolarów – wypadających z teczki sponiewieranego obrońcy praw człowieka.

Oficjalni propagandziści od lat tak właśnie przedstawiali Annę Politkowską, niezależną dziennikarkę i obrończynię praw człowieka. Dla nich każdy, kto pokazywał światu, że siły

federalne w Czeczenii dopuszczają się przestępstw, kto stawał w obronie Czeczenów, był zdrajcą, pożeraczem zachodnich stypendiów jeżdżącym na Kaukaz po to, by odpracować wrogie dolary wypłacane przez sponsorów zza Atlantyku.

W ostatnich miesiącach negatywnymi bohaterami moskiewskich mediów stali się też Gruzini. Kampania przeciw nim wcale nie została sprowokowana niedawnym krótkotrwałym aresztowaniem kilku rosyjskich oficerów przez władze Gruzji pod zarzutem szpiegostwa. Przecież jeszcze na początku lata Moskwa zakazała importu gruzińskich towarów, mszcząc się na kraju wyrywającym się z orbity jej wpływów.

Początkowo moskiewscy obserwatorzy naśmiewali się z tych restrykcji. Ale od incydentu z aresztowanymi w Gruzji oficerami nikomu nie jest już do śmiechu. W Rosji zaczęły się prowadzone na wielką skalę czystki etniczne.

Milicja, która do tej pory przymykała oczy na działalność gruzińskiej mafii, raptem ujęła kilka gruzińskich gangów, w tym w samej tylko stolicy bandę mającą na sumieniu osiem morderstw. Przejrzawszy na oczy, milicja dostrzegła nagle w stołecznych kasynach – ale tylko tych należących do Gruzinów – nielegalne automaty do gry.

Setkami zaczęła wyłapywać Gruzinów pracujących w Rosji bez zezwolenia. Moskiewska milicja kazała dyrektorom szkół przekazać komendom listy uczniów o nazwiskach gruzińskich. Zażądała też od gruzińskich duchownych w Moskwie list z nazwiskami wszystkich wiernych, którzy uczęszczają na nabożeństwa.

Dziś w Moskwie nie może się już czuć bezpiecznie nikt, czyje nazwisko kończy się na -aga, -szwili czy -idze – władze dobiorą się do wszystkich.

Inspektorzy podatkowi wzięli się za popularnego i w Polsce pisarza Borysa Akunina, którego prawdziwe nazwisko Czchartiszwili razi patriotyczne uszy. Nawet Zurab Cereteli, główny rzeźbiarz Rosji, który dzięki swej przyjaźni z najwyższymi dostojnikami państwa od lat korzystał z prawa szpecenia stolicy szkaradziejstwami w rodzaju pomnika Piotra I, wpadł pod etnokosiarkę. Izba obrachunkowa, odpowiednik naszej NIK, po kontroli w kierowanej przez Ceretelego Akademii Sztuk Pięknych dowodzi, że zdefraudował 2 miliardy rubli (230 tysięcy złotych).

– Gdyby żył Iosif Dżugaszwili, na niego też by coś dzisiaj znaleźli – powtarzają w Moskwie.

Spółeczeństwo nie staje po stronie ofiar. Bardzo wielu Rosjan popiera działania prześladowców.

Na plac Puszkina w Moskwie, gdzie czczono pamięć zamordowanej Poltkowskiej, przyszło 2,5 tysiąca mieszkańców dwunastomilionowego miasta. W jej pogrzebie uczestniczyły 2 tysiące osób, w większości zawodowych obrońców praw człowieka. Na uroczystościach żałobnych nie było przedstawicieli Kremla.

Osiem lat temu, gdy od kul skrytobójców zginęła w Petersburgu Galina Starowojtowa, posłanka do Dumy uznawana za symbol rosyjskiej demokracji, Rosja na moment zamarła ze zgrozy. Pożegnać się z zamordowaną przyszły wtedy dziesiątki tysięcy mieszkańców Sankt Petersburga. Byli wszyscy przywódcy państwa poza Borysem Jelcynem, który krótko przed pogrzebem Starowojtowej poważnie zachorował.

Kiedy pod koniec sierpnia trzech młodych nacjonalistów zdetonowało bombę na opanowanym przez Wietnamczyków moskiewskim Rynku Czerkizowskim, zabijając jednaście osób

(zginęli tylko „obcy”, wśród ofiar nie było mieszkańców Moskwy), internetowe fora rosyjskich gazet zaroily się od zachwyty nad „wyczynem bohaterów”. Moskiewska ulica też stanęła po stronie „zuchów”, którzy zaatakowali „spekulantów okupujących nasze rynki”.

Teraz na tych samych forach można przeczytać zachwyty nagonką na Gruzinów i pochwały dla skrytobójców, którzy „rozprawili się ze zdrajczynią Politkowską według praw czasu wojny”. Mordercę zganił natomiast publicysta narodowo-patriotycznej gazety „Zawtra” za to, że zadał dziennikarce śmierć nie taką, na jaką zasłużyła, lecz „zbyt lekką”.

Przy takich nastrojach społecznych Kreml mógł sobie pozwolić na to, by przez trzy dni nie komentować śmierci Politkowskiej. Władimir Putin dopiero czwartego dnia po śmierci dziennikarki wezwany do tablicy przez dziennikarzy w Dreźnie nazwał zbrodnię ohydną. Zapewnił też, że śmierć dziennikarki jest dla władz gorsza od jej reportaży, bo Politkowską mało kto czytał.

Prezydent do nagonki na Gruzinów włączył się od razu. Kazał rządowi „podjąć dodatkowe kroki zmierzające do uporządkowania handlu na rynkach w celu obrony rdzennej ludności Rosji”. Jego podwładni zrozumieli, że dał im komendę: „Bierz!”, jako cel wskazując przybyszy z Kaukazu, przede wszystkim handlujących na rynkach.

Państwowa telewizja RTR natychmiast odpowiedziała reportażami o tym, że rynki, na których zakupy robią biedni Rosjanie, są „okupowane przez osoby niesłowiańskiego pochodzenia”. Wiaczesław Wołodin, wicemarszałek Dumy z ramienia prezydenckiej partii Jedna Rosja, zapowiedział, że partia robi porządek, wypędzi z rynków obcych, a ich miejsce zajmą rdzenni. W obronie rdzennych, a przeciw „czarnym” (tak

w Rosji określa się przybyszy z Kaukazu i z Azji) wystąpił także mer Moskwy Jurij Łużkow.

Niechęć Rosjan do przybyszy z Kaukazu i tych, którzy próbują ich bronić, tłumaczy się nie tylko tym, że szczuje ich na obcych oficjalna propaganda. Dla mieszkańca Moskwy Czeczen czy Gruzin to przede wszystkim gangster, który wspólnie z bandą swych ziomków kontroluje pobliski targ, windując cenę kartofli do dwukrotności ceny na targu w Warszawie, albo właściciel kasyna czy sutener wykorzystujący słowiańskie dziewczyny.

Zwykły obywatel jest bezradny wobec mafii czeczeńskich, gruzińskich, azerskich, ormiańskich, bo opłacają się one milicji i korzystają z jej ochrony. W Kondopodze na północy Rosji doszło niedawno do pogromu ludzi z Kaukazu, gdy czeczeńscy gangsterzy zabili kilku miejscowych, zresztą na oczach milicjantów nieprzeszkadzających swoim sponsorom w mokrej robocie.

Mer Łużkow, zapowiadając zrobienie porządku z obcymi okupującymi rynki, odwraca gniew narodu od podwładnych, którzy za łapówki działają ręką w rękę z „okupantami”

Kreml, demonstrując swą obojętność wobec śmierci Politkowskiej i dając hasło do nagonki na Gruzinów, nie tylko zdejmuje odpowiedzialność z ludzi aparatu władzy karmionych przez gangsterów. Za tym parawanem trwa także walka o to, kto zostanie następcą Putina.

Prezydent kilka miesięcy temu mianował wicepremierami dwóch swych przyjaciół i współpracowników – szefa kremlowskiej administracji Dmitrija Miedwiediewa i kolegę ze służby w KGB, teraz ministra obrony generała Siergieja Iwanowa.

W ten sposób uczynił ich carewiczami, kandydatami na następców i konkurentami w walce o tron. Jak car z bajki wyposażył obu hojnie. Miedwiediewowi dał miliardy na wsparcie szkół, szpitali, kołchozów, podwyżki dla pracowników budżetówki. Domeną Iwanowa jest armia oraz trafiająca do Rosjan frazeologia wielkomocarstwowa i patriotyczna.

Putin zadbał też o ich równe szanse. Jeśli Miedwiediew na minutę ukazuje się w wiadomościach telewizyjnych, to za chwilę równo przez minutę będą tam pokazywać też Iwanowa.

Do niedawna obaj carewicze w sondażach społecznych szli łąb w łąb. Ale ostatnio coś się popsuło. Według badania opinii publicznej przeprowadzonego pod koniec września przez Ośrodek Jurija Lewady 30 procent Rosjan chce poprzeć Miedwiediewa, a Iwanow może liczyć tylko na 13 procent.

A to znaczy, że półtora roku przed wyborami „siłowicy” z Kremla zaczęli przegrywać ze swoimi najgroźniejszymi rywalami w otoczeniu prezydenta, biurokratami wywodzącymi się z Sankt Petersburga.

Co gorsza, Iwanow okazuje się już dziś mniej popularny od dwóch innych pretendentów do schedy po Putinie – komunisty Giennadija Ziuganowa i nacjonalisty Władimira Żyrinowskiego. Wyniki sondażu dowodzą, że Kreml traci patriotycznie nastawionych wyborców, a generałowie nadzieję na to, że kolejny ich człowiek będzie rządził Rosją.

Chcąc odzyskać nacjonalistyczne głosy, Kreml eskaluje prześladowania Gruzinów i przechodzi do porządku nad zamordowaniem Politkowskiej. Sam Iwanow dostał za to patriotycznego przyspieszenia. W sobotnim wywiadzie dla

telewizji RTR zagroził Tbilisi wojną, a przedwczoraj wygrażał Polakom odwetem za budowanie tarczy antyrakietowej.

Jak zapowiada w redakcyjnym komentarzu gazeta „Wiedomosti”, z kampanii prezydenckiej znikną teraz socjalne hasła Miedwiediewa, a zastąpi je twarda nacjonalistyczna retoryka Iwanowa.

9.12.2006, sobota

HOŁUBIENI TRUCICIELE

„Wizerunek naszego kraju jest fatalny. Przez ostatnie lata ciężko pracowaliśmy na taką reputację” – napisał po śmierci Aleksandra Litwinienki, byłego oficera rosyjskich służb specjalnych, moskiewski publicysta Aleksandr Osowcew.

Opinia publiczna na świecie bez większych wahań uznała, że za zamordowaniem Litwinienki, który zmarł w listopadzie 2006 roku w londyńskim szpitalu otruty radioaktywnym polonem 210, stoi Putin i jego służby. Ta wersja wydaje się najbardziej logiczna. Nie tylko dlatego, że – jak twierdzi zbuntowany przeciw Kremlowi pisarz Eduard Limonow – „Rosją rządzą dziś wychowankowie Łubianki, spadkobiercy Pawła Sudopłatowa”. Sudopłatow, zwany „terminatorem Stalina”, organizował morderstwa wszystkich wrogów dyktatora, choćby na drugim końcu świata (to on przygotowywał zamach na Lwa Trockiego).

Putin do wieloletniej tradycji rosyjskiej bezpieki zdążył wnieść własny wkład. To za jego rządów 13 lutego 2004 roku ludzie Łubianki podłożyli w Katarze bombę pod samochód żyjącego od dawna na emigracji Selima Chana Jandarbijewa. Były prezydent Czeczenii zginął na miejscu. Wybuch ciężko ranił jego trzynastoletniego syna.

Zamachowcy, Anatolij Białaszkow i Wasilij Bobaczow, działali tak nieporadnie, że zostali schwytani niemal na gorącym uczynku.

Sąd w Katarze skazał ich na dożywocie. Moskwa stanęła na głowie, by zmusić Katar do wydania swoich agentów. Obiecała, że wsadzi ich do jednego z ojczystych więzień.

Słowa nie dotrzymała. Kiedy agenci przylecieli do Moskwy, z samolotu wychodzili po czerwonym chodniku rozścielonym na trapie. Na płycie lotniska ścisnął ich i całował sam Siergiej Iwanow, bliski przyjaciel Putina nazywany „pierwszym cywilnym ministrem obrony Rosji”, choć w przeszłości jako radziecki szpieg dorobił się stopnia generał majora KGB. Słowem, koledzy witali ich jak bohaterów.

W rok po zamachu w Katarze dziennikarze zapytali na konferencji prasowej szefa rosyjskiej służby więziennej, gdzie siedzą Białaszkow i Bobaczow. – U nas takich nie ma! – usłyszeli w odpowiedzi. Dziś o to, co stało się z bohaterskimi zabójcami, nikt już nie pyta. Jest jasne, że odzyskali wolność i mają się dobrze.

Nikt też nie pyta, dlaczego kilka tygodni temu na moskiewskim Prospekcie Lenina, niedaleko od Kremla, komando milicjantów specjalnie przysłane z Groznego rozstrzelało podpułkownika Federalnej Służby Bezpieczeństwa Mowładiego Bajsarowa, komendanta czeczeńskiego oddziału specjalnego, który zapowiadał, że wskaże prokuraturze zabójców dziennikarki Anny Politkowskiej. Ci, którzy na oczach miejscowej milicji dokonali publicznej egzekucji, a potem spokojnie odjechali z miejsca zbrodni, musieli mieć wydaną przez władze licencję na odstrzał.

Funkcjonariusze rosyjskich służb specjalnych teraz zmieniają swe wyjściowe mundury, podobne do wojskowych, na nowe – czarne. Mundury funduje im państwo za blisko 90 milionów dolarów. Zdaniem Andrieja Sołdatowa, moskiewskiego eksperta ds. służb specjalnych, nowe mundury mają służyć podkreśleniu

specjalnego statusu ludzi z Łubianki, którzy tworzą „coś w rodzaju nowoczesnego zakonu”

– Przełożeni, choćby Nikołaj Patruszew, obecny szef FSB, są przekonani, że funkcjonariusze służb specjalnych to uprzywilejowana kasta. Ni mniej, ni więcej tylko współczesna szlachta – dodaje Sołdatow.

Jednak zabójstwo Litwinienki dowodzi, że szlachetna czystość tych, których Rosjanie wciąż nazywają „rycerzami płaszcza i kindżału”, to tylko mit.

Gazety zachodnie, powołując się na prowadzących śledztwo, piszą, że byłego oficera FSB najprawdopodobniej otruli albo członkowie „tajemniczej” organizacji weteranów służb specjalnych Honor i Godność, albo były oficer rosyjskich służb specjalnych Andriej Ługowoj.

Honor i Godność nie jest aż tak bardzo tajemnicza. O tej fundacji kierowanej przez emerytowanego generała KGB było głośno już jakiś czas temu. Rząd Holandii zapłacił wówczas milion euro za wykupienie z niewoli porwanego w Dagestanie Arjana Erkela z organizacji humanitarnej Lekarze bez Granic. W rozmowach z porywaczami i przekazaniu okupu pośredniczyła właśnie fundacja Honor i Godność. Wkrótce okazało się, że Holendra uwolniła FSB, a weterani z fundacji podzielili się milionem z „wyzwolicielami”

Wiaczesław Izmaiłow, piszący o Kaukazie publicysta „Nowej Gazety”, uważa, że cała intryga była jeszcze bardziej cyniczna. Erkela uprowadzili dagestańscy bandyci od dawna pracujący dla FSB, tylko po to, by dać swoim patronom z Łubianki okazję do „wydojenia” rządu w Hadze.

Historia Ługowoja jest jeszcze bardziej zawikłana. Były zastępca szefa ochrony premiera Jegora Gajdara oficjalnie

pożegnał się z Łubianką dziewięć lat temu. Poszedł na służbę do Borysa Bieriezowskiego, potężnego oligarchy uważanego za szarą eminencję jelcynowskiego Kremla.

Gdy jednak miliarder popadł w niełaskę u Putina, Ługowoj trafił za kraty. Znalazł się w areszcie FSB w moskiewskim Lefortowie – rzekomo za zorganizowanie ucieczki z więzienia Mikołaja Głuszkowa, który wspólnie z Bieriezowskim ukradł setki milionów dolarów państwowej spółce lotniczej Aerofłot.

Limonow, który siedział w Lefortowie w tym samym czasie co obaj współpracownicy oligarchy, zapewnia, że FSB trzymało Głuszkowa w areszcie wcale nie za kradzież, lecz po to, by skłonić Bieriezowskiego do przekazania części majątku. Ługowoj zaś nie tyle pomagał więźniowi w ucieczce, ile na polecenie dawnych przełożonych czasem wieczorem odwoził go na noc do domu.

Trudno powiedzieć, czy to wtedy były ochroniarz premiera dorobił się fortuny – zakładów spirytusowych wycenianych dziś na 100 milionów dolarów.

Nikogo nie powinno to dziwić. W epoce Putina „współcześni szlachcice” dorabiają się sporych fortun. To oni najbardziej skorzystali na wojnie wytoczonej przez państwo spółce naftowej Jukos. Ogromne pola naftowe koncernu w zachodniej Syberii, których zasoby porównywalne są z bogactwem Kuwejtu, przeszły pod kontrolę grupy skupionej wokół Igora Sieczina, zastępcy szefa administracji prezydenckiej. Sieczin uważany jest za przywódcę byłych pracowników Łubianki, którzy przyszli na Kreml za Putinem.

Przedsiębiorcy rosyjscy dość otwarcie przyznają, że korzystają z „opieki” patronów w mundurach. I powszechnie chwalą nowe porządki. – To zrównoważeni ludzie. To nie bandyci, którzy urządzali rajdy na biznes w latach dziewięćdziesiątych. Z nimi

można się dogadać. Biorą rozsądnie, nie grabią. Przy nich, jak mawiał towarzysz Stalin, „życie stało się lepsze, życie stało się weselsze” – z nieskrywanym entuzjazmem opowiadał mi znajomy przedsiębiorca z Permu.

Ta idylla nie będzie jednak trwać wiecznie. Ci, którzy podzielili między siebie Rosję – ludzie służb, skorumpowani czynownicy i „krupniak”, czyli najpotężniejsi przedsiębiorcy – panicznie boją się roku 2008, kiedy to skończy się druga kadencja prezydenta Putina i na Kremlu pojawi się nowy gospodarz. A wraz z nowym władcą powróci to, co Rosjanie, wspominając bandyckie nieporządki lat dziewięćdziesiątych, ze zgrozą nazywają *pierediełom sobstwiennosti* – nowym podziałem majątków i sfer wpływów, któremu towarzyszą zamachy, strzelaniny, niepokoje społeczne.

Tymczasem Putin wciąż nie znalazł kandydata, którego zaakceptowałyby wszystkie rosyjskie elity. Pierwszą parę pretendentów stanowili dwaj wicepremierzy: Siergiej Iwanow (minister obrony) i Dmitrij Miedwiediew. Pierwszego nie chcieli jednak cywilni biurokraci, drugiego obawiali się mundurowi. Teraz, jak się wydaje, na scenie pojawił się drugi tandem – szef rosyjskich kolei Władimir Jakunin i Siergiej Czemezow kierujący Rosoboroneksportem, potężną firmą handlującą bronią.

Ale cywile i mundurowi rządzący Rosją nie chcą żadnego następcy. Wierzą, że kraj uniknie katastrofy tylko wtedy, kiedy nadal będzie rządził twórca i gwarant dzisiejszego porządku. Tak jak niegdyś bojarzy błagali cara Iwana Groźnego, by nie zrzekał się korony, tak dzisiejsi „bojarzy” gotowi są prosić, a może i przymusić Putina, by nie porzucił ich i dalej sprawował władzę. Tego samego życzą sobie zwykli Rosjanie. Sondaże opinii

publicznej dowodzą, że jeśli Putin po raz trzeci stanie do wyborów prezydenckich, wygra je w cuglach.

„System polityczny ustanowiony w czasach Putina nie radzi sobie z podstawowym i najważniejszym zadaniem – zapewnieniem spokojnego i pokojowego przekazania władzy” – napisał jeden z najbardziej godnych uwagi publicystów rosyjskich Leonid Radzichowski.

Putin uparcie powtarza, że odejdzie z Kremla w 2008 roku. – On rzeczywiście ma dosyć – mówił mi niedawno Stanisław Biełkowski, technolog polityczny związany z Kremlen. – W czasie swych rządów zgromadził spory majątek osobisty. Pora się nim nacieszyć. Pora nacieszyć się życiem. On ma tylko pięćdziesiąt cztery lata i mocne zdrowie.

– Nie. On nie odejdzie. Nie pozwolimy mu. Nie zostawimy mu innego wyjścia – uważa prostoduszny Ramzan Kadyrow, wielkorządca Czeczenii z nadania Moskwy.

CZEŚĆ 2. GRUZIŃSKA LEKCJA

KROK PO KROKU

- W lutym 2007 roku Władimir Putin wygłasza przemówienie na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium, uznanej za początek nowej zimnej wojny.
- W marcu 2008 roku Putin przestaje być prezydentem i wyznacza na swego następcę Dmitrija Miedwiediewa, który pewnie wygrywa wybory w pierwszej turze. Sam obejmuje fotel premiera.
- W kwietniu 2008 roku na szczycie w Bukareszcie państwa NATO zgodziły się, że Ukraina i Gruzja mogą zostać w przyszłości członkami Sojuszu Północnoatlantyckiego, co wywołało furię w Moskwie. Żadnych ram czasowych nie podano.
- W sierpniu 2008 roku prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili próbuje siłą przywrócić władzę Tbilisi nad Osetią Południową, zbuntowaną od lat dziewięćdziesiątych XX wieku prowincją wspieraną przez Rosjan. Moskwa natychmiast wykorzystuje to do ataku na Gruzję i dopiero po naciskach USA i Unii Europejskiej wycofuje wojska. Ostatecznie odrywa jednak Osetię Południową i Abchazję – inną zbuntowaną prowincję – od Gruzji.
- Wiosną 2011 roku Rosja – dzięki decyzji prezydenta Miedwiediewa – decyduje się nie wetować rezolucji Rady Bezpieczeństwa ONZ o użyciu siły w Libii, gdzie wybuchło

powstanie przeciwko reżimowi Muammara Kaddafiego. Dzięki temu koalicja pod wodzą NATO może bombardować armię dyktatora, co prowadzi do jego upadku. Putin publicznie krytykuje decyzję Miedwiediewa.

- W lutym 2010 roku prorosyjski Wiktor Janukowycz wygrywa wybory prezydenckie w Ukrainie, wyprzedzając Julię Tymoszenko, która zdradziła obóz Wiktora Juszczenki.
- We wrześniu 2011 roku Miedwiediew ogłasza, że Putin w 2012 roku znów wystartuje w wyborach prezydenckich. Wybuchają masowe protesty opozycji, ale władza je szybko pacyfikuje.
- Wiosną 2012 roku Putin zostaje głową państwa, a Miedwiediew szefem rządu.
- We wrześniu 2013 roku Kreml po raz pierwszy skazuje opozycjonistę i tropiciela korupcji Aleksieja Nawalnego, ale jednocześnie zgadza się, by wystartował w wyborach na mera Moskwy. Przegrywa w pierwszej turze z kandydatem władzy Siergiejem Sobianinem, ale zdobywa ponad 27 procent głosów i staje się najważniejszą postacią antyputinowskiego obozu.

11.02.2007, niedziela

ZIMNA WOJNA PUTINA

– Jedno państwo, a są to oczywiście Stany Zjednoczone, przekracza wszelkie dopuszczalne granice – mówił prezydent Rosji na corocznej Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Co jeszcze mówił? Oto fragmenty:

– Jestem bardzo wdzięczny za zaproszenie na tak ważną konferencję, która zgromadziła polityków, wojskowych, przedsiębiorców i ekspertów z ponad czterdziestu krajów świata.

Format konferencji daje mi możliwość uniknięcia „sztucznych uprzejmości” i konieczności mówienia okrągłymi, przyjemnymi, ale pustymi frazesami dyplomatycznymi. Cóż, wiadomo, że problematyka bezpieczeństwa międzynarodowego obejmuje o wiele więcej niż tylko kwestie stabilności wojskowej i politycznej. To stabilność gospodarki światowej, zwalczanie ubóstwa, bezpieczeństwo gospodarcze i rozwój dialogu międzywilizacyjnego.

Taki wszechobejmujący, niepodzielny charakter bezpieczeństwa wyrażony jest też w jego podstawowej zasadzie: „Bezpieczeństwo dla każdego to bezpieczeństwo dla wszystkich”. Jak powiedział jeszcze w pierwszych dniach rozpoczynającej się II wojny światowej Franklin Roosevelt: „Gdziekolwiek zostaje naruszony pokój, stanowi to zagrożenie dla pokoju i bezpieczeństwa na całym świecie”

Te słowa nadal są aktualne. O tym, nawiasem mówiąc, świadczy również temat naszej konferencji, który tu podano: „Globalne kryzysy – globalna odpowiedzialność”.

Zaledwie dwadzieścia lat temu świat był podzielony pod względem ideologicznym i gospodarczym, a o jego bezpieczeństwie decydowały ogromne potencjały strategiczne dwóch supermocarstw.

Konfrontacja globalna odsuwała na dalszy plan stosunków międzynarodowych skrajnie ważne punkty agendy – kwestie gospodarcze i społeczne. Zimna wojna – jak każda inna – zostawiła po sobie, używając przerośni, pola minowe. Mam na myśli stereotypy ideologiczne, podwójne standardy oraz innego rodzaju myślenie szufladkowe.

Zapowiadany przecież po zimnej wojnie świat jednobiegunowy również nie powstał.

Oczywiście, historia ludzkości była świadkiem okresów systemu jednobiegunowego i dążenia do dominacji światowej. Czego to w historii ludzkości nie było.

Jednakże, czym tak naprawdę jest świat jednobiegunowy? Jak by nie upiększać tego terminu, w gruncie rzeczy oznacza praktycznie tylko jedno: to jeden ośrodek władzy, jeden ośrodek siły, jeden ośrodek podejmowania decyzji.

Jest to świat jednego gospodarza, jednego suwerena. W ostatecznym rozrachunku jest to zgubne nie tylko dla wszystkich, znajdujących się w ramach tego systemu, lecz także dla samego suwerena, ponieważ niszczy go od środka.

Nie ma to oczywiście nic wspólnego z demokracją, dlatego że demokracja, jak wiadomo, jest władzą większości, uwzględniającą interesy i zdanie mniejszości.

Nawiasem mówiąc, nas, Rosję, ciągle uczą demokracji. Ale ci, którzy nas uczą, sami jakoś nie za bardzo palą się do nauki.

Uważam, że dla współczesnego świata model jednobiegunowy jest nie tylko nie do przyjęcia, jest wręcz nierealny. Nie tylko dlatego, że przy jednoosobowym przywództwie we współczesnym – zwłaszcza we współczesnym – świecie nie będzie wystarczającej ilości zasobów ani wojskowo-politycznych, ani gospodarczych. Lecz co najważniejsze: sam model nie działa z tego powodu, że u jego podstaw nie ma i nie może być moralno-etycznej bazy współczesnej cywilizacji.

Razem z tym, wszystko, co się dzieje dziś na świecie – dopiero teraz zaczęliśmy dyskutować na ten temat – to skutek prób wprowadzenia do światowego porządku właśnie takiej koncepcji, koncepcji świata jednobiegunowego.

Jaki jest tego skutek?

Jednostronne, często bezprawne działania nie rozwiązały żadnego problemu. Co więcej, stały się generatorem nowych ludzkich tragedii i obszarów napięć. Proszę ocenić samodzielnie: ilość wojen, konfliktów lokalnych i regionalnych wcale się nie zmniejszyła. Ludzi w tych konfliktach ginie nie mniej, a nawet więcej niż wcześniej – znacznie więcej, znacznie więcej!

Obserwujemy dziś prawie niczym niepowstrzymany, nadmierne użycie siły w sprawach międzynarodowych, siły wojskowej, wciągającej świat w otchłań konfliktów następujących jeden po drugim. W efekcie brakuje sił na kompleksowe rozwiązanie jakiegokolwiek z nich. Niemożliwe staje się też ich rozwiązanie polityczne.

Widzimy coraz większe lekceważenie fundamentalnych zasad prawa międzynarodowego. Co więcej, poszczególne normy, a w istocie prawie cały system prawny jednego państwa, przede

wszystkim, oczywiście, Stanów Zjednoczonych, przekroczył swoje granice narodowe we wszystkich dziedzinach: i w gospodarce, i w polityce, i w sferze humanitarnej – i narzuca się innym państwom. Lecz komu się to spodoba? Komu się to spodoba?

W sprawach międzynarodowych coraz częściej obserwujemy dążenie do rozwiązania tego lub innego problemu, opierając się na tak zwanej argumentacji politycznej, uwzględniającej bieżącą koniunkturę polityczną.

Oczywiście, jest to skrajnie niebezpieczne. Prowadzi do tego, że nikt już nie czuje się bezpiecznie. Chcę to podkreślić: nikt nie czuje się bezpiecznie! Dlatego że nikt nie może korzystać z prawa międzynarodowego, żyjąc jak u Pana Boga za piecem. Owszem, taka polityka jest katalizatorem wyścigu zbrojeń.

Dominacja czynnika siły nieuchronnie podsyca dążenia wielu państw do posiadania broni masowego rażenia. Co więcej, pojawiły się zasadniczo nowe zagrożenia, takie jak terroryzm, które były już znane wcześniej, ale dziś nabierają globalnego charakteru.

Jestem przekonany: dotarliśmy do tego decydującego momentu, w którym powinniśmy się poważnie zastanowić nad całą konstrukcją globalnego bezpieczeństwa.

Tu należy zacząć od poszukiwań rozsądnej równowagi między interesami wszystkich podmiotów wspólnoty międzynarodowej. Tym bardziej dzisiaj, kiedy „krajobraz międzynarodowy” zmienia się tak wyraźnie i tak szybko – zmienia się wskutek dynamicznego rozwoju wielu państw i regionów.

Pani kanclerz [Angela Merkel] już o tym wspomniała. To prawda, łączne PKB Indii i Chin według parytetu siły nabywczej jest już wyższe niż PKB Stanów Zjednoczonych Ameryki. Z kolei obliczone na tej samej zasadzie PKB państw grupy BRIC –

Brazylii, Rosji, Indii i Chin – przewyższa łączne PKB Unii Europejskiej. Zresztą według ocen ekspertów w najbliższej przyszłości ta różnica będzie się tylko pogłębiać.

Nie ma się co łudzić, że potencjał gospodarczy nowych ośrodków światowego wzrostu będzie się niechybnie przekształcał we wpływy polityczne i że będzie umacniał wielobiegunowość.

W związku z tym poważnie wzrasta rola dyplomacji wielostronnej. Otwartość, przejrzystość i przewidywalność są w polityce absolutnie niezbędne, a zastosowanie siły powinno być środkiem całkowicie wyjątkowym, tak samo jak stosowanie kary śmierci przez systemy prawne niektórych państw.

Dziś przecież, na odwrót, jesteśmy świadkami sytuacji, gdy państwa, w których stosowanie kary śmierci jest zakazane nawet wobec zabójców i innych przestępców – niebezpiecznych przestępców – bez względu na to owe państwa z łatwością decydują się na udział w operacjach wojskowych, które trudno nazwać zgodnymi z prawem. A przecież w tych konfliktach giną ludzie – setki, tysiące niewinnych ludzi!

W tym samym czasie pojawia się pytanie: czy powinniśmy obojętnie i bezczynnie patrzeć na różne konflikty wewnętrzne w poszczególnych państwach, na działania reżimów autorytarnych, tyranów, na rozpowszechnianie broni masowego rażenia? Oczywiście, nie powinniśmy patrzeć obojętnie. Absolutnie nie.

Czy mamy jednak środki, aby przeciwstawiać się takim zagrożeniom? Oczywiście, mamy. Wystarczy przypomnieć sobie niedawną historię. Przecież w sposób pokojowy dokonała się w naszym kraju zmiana ustroju na demokrację! Przecież miała miejsce pokojowa transformacja reżimu sowieckiego –

transformacja pokojowa! I to jakiego reżimu! Z jaką ilością broni, w tym broni jądrowej! Dlaczego teraz przy pierwszej lepszej okazji trzeba bombardować i ostrzeliwać? Czyż naprawdę w warunkach braku zagrożenia wzajemnego unicestwienia brakuje nam kultury politycznej, szacunku wobec wartości demokracji i prawa?

Jestem przekonany: wyłącznym mechanizmem podjęcia decyzji o użyciu siły wojskowej jako ostatecznego argumentu może być tylko Karta Narodów Zjednoczonych. W związku z tym albo nie zrozumiałem tego, co całkiem niedawno powiedział nasz kolega, minister obrony Włoch, albo może wyraził się nieprecyzyjnie. W każdym razie usłyszałem, że użycie siły może być traktowane jako legalne tylko w tym wypadku, jeśli decyzja została podjęta w NATO, w Unii Europejskiej lub w ONZ. Jeśli rzeczywiście tak uważa, to mamy różne spojrzenia na tę sprawę. Chyba że się przesłyszałem.

Jako zgodne z prawem można traktować użycie siły tylko wtedy, gdy decyzja została podjęta na podstawie i w ramach ONZ. Nie należy zastępować Organizacji Narodów Zjednoczonych ani NATO, ani Unią Europejską. Sytuacja będzie mogła się zmienić wtedy, kiedy ONZ będzie realnie jednoczyć siły wspólnoty międzynarodowej, realnie mogące reagować na wydarzenia w poszczególnych państwach, gdy uda nam się uchronić przed lekceważeniem prawa międzynarodowego. W przeciwnym razie sytuacja zabrnę w ślepią uliczkę, zaś liczba poważnych błędów będzie rosła. Przy tym, oczywiście, należy dążyć do tego, żeby prawo międzynarodowe miało charakter uniwersalny i w rozumieniu, i w zastosowaniu norm.

Nie należy zapominać, że demokratyczny sposób działań w polityce bez wątplenia wymaga dyskusji i żmudnego

wypracowywania decyzji.

Oczywiście, niepokoją nas również plany dotyczące rozmieszczania elementów systemu obrony przeciwrakietowej na terenie Europy. Komu jest potrzebna kolejna runda nieuniknionego w takiej sytuacji wyścigu zbrojeń? Szczerze wątpię, że samym Europejczykom.

Broni rakietowej, realnie zagrażającej Europie, o zasięgu rzędu 5-8 tysięcy kilometrów, nie ma już żaden tak zwany kraj problemowy. W najbliższej przyszłości i najbliższej perspektywie taka broń się tam nawet nie pojawi, nie ma takiej możliwości. A nawet teoretyczne wystrzelenie północnokoreańskiej rakiety na terytorium USA przez Europę Zachodnią wyraźnie przeczy zasadom balistyki. Jak to mawiają u nas w Rosji, to jak sięgać prawą ręką do lewego ucha.

Będąc tu, w Niemczech, nie mogę nie wspomnieć o kryzysowej sytuacji traktatu o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie.

Adaptowany traktat o konwencjonalnych siłach zbrojnych w Europie został podpisany w 1999 roku. Uwzględnił nowe realia geopolityczne – likwidację Układu Warszawskiego. Od tego czasu minęło siedem lat i tylko cztery państwa ratyfikowały ten dokument, w tym Federacja Rosyjska.

Państwa NATO otwarcie oświadczyły, że nie ratyfikują traktatu, w tym norm o reżimie flankowym [o rozmieszczeniu na flankach Sojuszu określonej ilości sił zbrojnych], do czasu wycofania przez Rosję swoich wojsk z Gruzji i Mołdawii. Z Gruzji nasze wojska są wycofywane, nawet w trybie przyśpieszonym. Rozwiązaliśmy te problemy z naszymi gruzińskimi kolegami i wszyscy o tym wiedzą. W Mołdawii pozostaje zgrupowanie wojsk – półtora tysiąca żołnierzy – pełniących funkcje pokojowe i ochraniających składy amunicji pozostałe z czasów ZSRR.

Ale co się dzieje w tym samym czasie? W tym samym czasie w Bułgarii i Rumunii pojawiają się tak zwane amerykańskie wysunięte bazy operacyjne, po pięć tysięcy żołnierzy w każdej. Można wnioskować, że NATO wysuwa swoje siły wsparcia pod nasze granice państwowe, a my, ściśle dotrzymując zobowiązań traktatu, w żaden sposób nie reagujemy na te działania.

Myślę, że jest to oczywiste: proces rozszerzania się NATO nie ma żadnego związku ani z modernizacją samego Sojuszu, ani z zapewnieniem bezpieczeństwa w Europie. Wręcz przeciwnie, to poważny czynnik prowokacyjny, obniżający poziom wzajemnego zaufania.

Mamy uzasadnione prawo, aby zapytać wprost: przeciwko komu jest to rozszerzanie? Co się stało z tymi zapewnieniami, które składali zachodni partnerzy po rozpadzie Układu Warszawskiego? Gdzie są teraz te zapewnienia? Nikt już nawet o nich nie pamięta.

Pozwolę jednak sobie przypomnieć na naszym forum, co zostało powiedziane. Chciałbym przytoczyć cytaty z wystąpienia sekretarza generalnego NATO pana Wörnera z Brukseli z 17 maja 1990 roku. Powiedział wówczas: „Sam fakt, że jesteśmy gotowi nie rozmieszczać wojsk NATO poza granicami terytorium RFN, daje Związkowi Radzieckiemu twarde gwarancje bezpieczeństwa”. Gdzie są te gwarancje?

Kamienie i betonowe bloki muru berlińskiego już dawno zostały wyprzedane jako pamiątki turystyczne. Ale nie wolno zapominać, że jego upadek stał się możliwy również dzięki historycznemu wyborowi, w tym wyborowi naszego narodu – narodu Rosji, wyborowi na rzecz demokracji i wolności, otwartości i szczerego partnerstwa między wszystkimi członkami wielkiej europejskiej rodziny.

A dziś starają się nam narzucić nowe ściany i linie podziału – chociaż wirtualne, to i tak dzielące, rozcinające nasz wspólny kontynent. Czy naprawdę znów będziemy potrzebować długich lat i dziesięcioleci, zmiany kilku pokoleń polityków, aby rozebrać i zdemontować te nowe ściany?

W sferze energetycznej Rosja opowiada się za utworzeniem wspólnych dla wszystkich zasad rynkowych i przejrzystych warunków. Jasne jest, że cena nośników energii powinna być określana przez rynek i nie powinna być przedmiotem spekulacji politycznych, presji gospodarczej ani szantażu.

Jesteśmy otwarci na współpracę. Firmy zagraniczne biorą udział w naszych największych projektach energetycznych. Według różnych szacunków do 26 procent wydobycia ropy naftowej w Rosji – proszę się zastanowić nad tą liczbą – do 26 procent wydobycia ropy w Rosji przypada na kapitał zagraniczny. Proszę spróbować podać mi przykład podobnego szerokiego udziału biznesu rosyjskiego w kluczowych branżach gospodarki państw zachodnich. Nie ma takich przykładów! Takich przykładów brak.

Przypomnę również o stosunku inwestycji napływających do Rosji i idących z Rosji do innych krajów. Stosunek ten to mniej więcej piętnaście do jednego. Oto mają Państwo wyraźny przykład otwartości i stabilności gospodarki rosyjskiej.

Bezpieczeństwo gospodarcze jest sferą, w której każdy powinien trzymać się wspólnych zasad. My jesteśmy gotowi do uczciwej konkurencji.

W tym celu w gospodarce rosyjskiej pojawia się coraz więcej możliwości. Taką dynamikę obiektywnie oceniają eksperci i nasi partnerzy zagraniczni. Niedawno na przykład podniosła się pozycja Rosji w rankingu OECD: z czwartej grupy ryzyka nasze

państwo przeszło do trzeciej. Chciałbym, korzystając z okazji, tu, w Monachium, podziękować naszym niemieckim kolegom za współudział w podjęciu powyższej decyzji.

Na zakończenie chciałbym zaznaczyć następującą rzecz. Bardzo często słyszymy – sam bardzo często słyszę ze strony naszych partnerów, w tym ze strony naszych partnerów europejskich – apele do Rosji, aby odgrywała coraz bardziej aktywną rolę w sprawach światowych.

W związku z tym pozwolę sobie na jedną małą uwagę. Wątpię, aby trzeba nas było ku temu popychać i pobudzać. Rosja to państwo z ponadtysiącletnią historią, praktycznie zawsze korzystała z przywileju prowadzenia niezależnej polityki zagranicznej.

Również dzisiaj nie zamierzamy zmieniać tej tradycji. Jednocześnie doskonale widzimy, jak zmienił się świat, realistycznie oceniamy swoje możliwości i swój potencjał. Oczywiście, także chcielibyśmy mieć do czynienia z odpowiedzialnymi i równie samodzielnymi partnerami, wspólnie z którymi moglibyśmy pracować nad budowaniem sprawiedliwego i demokratycznego światowego porządku, dbając w nim o bezpieczeństwo i rozkwit nie dla wybrańców, lecz dla wszystkich.

Oficjalny tekst ze strony ambasady Rosji w Warszawie.

27.04.2007, wtorek

PUTIN BRONI TWIERDZY ROSJA

Władimir Putin wygłosił ostatnie już doroczne prezydenckie orędzie do narodu i świata. Rosję, którą za rok zostawi następcy, widzi jako oblężoną twierdzę, zagrożoną też od środka przez wraże siły.

Według prezydenta do Rosji trafia „rzeka pieniędzy”, którą z zagranicy otrzymuje antypaństwowa opozycja. A obce siły, czyli Zachód, koncentrują wojska tuż przy granicach rosyjskich i planują jeszcze rozlokować w Europie elementy obrony przeciwrakietowej.

Putin mówił, że twierdza Rosja wymaga kapitalnego remontu. Bo też kraj jest w kiepskim stanie. Prezydent przyznał, że połowę mieszkań w Rosji trzeba natychmiast wyremontować. Setki tysięcy rodzin mieszka w domach, które w każdej chwili mogą się zawalić. Drogi są w takim stanie, że Rosja traci wskutek wypadków i awarii więcej, „niż wydajemy na obronę”. Brakuje energii elektrycznej i Rosji niezbędna jest „druga elektryfikacja”.

Dobrze, że prezydent zwraca na to uwagę, bo Rosji potrzebna jest gruntowna modernizacja. Dobrze, że obiecuje na nią astronomiczne sumy. Tylko dlaczego mówi o tym dopiero teraz, gdy szykuje się do odejścia? Przecież koniunktura na ropę, która zalewa Rosję rzeką petrodolarów, trwa od początku jego rządów. Pieniądze znalazłyby się znacznie wcześniej. Ale przepadały gdzie indziej – w czarnej dziurze korupcji, która nawet w ocenie

prokuratury generalnej pochłania więcej, niż wynosi cały budżet Rosji.

W pierwszych orędziach Putin dużo mówił o konieczności walki z korupcją. W tym o niej nawet nie wspomniał. To zgodne ze starą i bardzo złą tradycją rosyjską, która nie pozwala przyznać się do własnych błędów, a lud, który ma powody do niezadowolenia, szczuć na „wszechobecnych wrogów”.

Tak robili carowie, tak postępowali sekretarze generalni.

6.07.2007, piątek

AK-47 STRZELA OD SZEŚĆDZIESIĘCIU LAT

Raduje się lud Udmurcji, raduje się Moskwa. Dziś Rosja świętuje sześćdziesiąte urodziny słynnego karabinu AK-47, o którym prezydent Władimir Putin powiedział, że jest to „symbol kreatywnego geniuszu rosyjskiego narodu”

Na uroczystość w moskiewskim Centralnym Muzeum Sił Zbrojnych specjalnie wiozą z Sankt Petersburga pierwszy egzemplarz sławnego automatu przechowywany tam niczym relikwia. Zaprezentuje go sam konstruktor – osiemdziesięciosiedmioletni Michaił Kałasznikow.

A w Udmurcji, uralskiej republice, która jest kolebką karabinu znajdującego się w wyposażeniu pięćdziesięciu pięciu armii na całym świecie i którego wizerunek ozdabia godła sześciu państw, radosne obchody urodzin „kałacha” połączone z 200. rocznicą powstania przemysłu zbrojeniowego w regionie trwają od początku roku. I potrwać do grudnia.

Remontowane jest centrum Iżewska, stolicy republiki. Powstają parki i skwery, filmy i książki. Ma być otwarte muzeum i cerkiew. Gotowy jest już projekt niezwykłego hotelu, którego gości do dziewiętnastego piętra wystrzeliwać będą windy podnoszące się w trzech zewnętrznych szybach w kształcie AK-47.

Miasto Iżewsk i słynna fabryka zbrojeniowa Iżmasz obiecują, że w jubileuszowym roku ufundują mieszkania sierotom. I słusznie, bo przecież Kałasznikow wniósł istotny wkład w rozwój światowego sieroctwa. Jak obliczają eksperci, przez ostatnich sześćdziesiąt lat wyprodukowano 100 milionów tych znakomitych automatów, które strzelają dziś na wszystkich wojnach.

Ile z tych 100 milionów powstało w samym Iżmaszu, trudno powiedzieć. Do upadku ZSRR Iżewsk był miastem zamkniętym. A i fabryk zbrojeniowych też tu nie było, tylko według wersji oficjalnej wytwórnie maszyn do szycia i snopowiązałek. Ale były to takie snopowiązałki, które według dawnej radzieckiej anegdoty zaatakowane w czasie żniw nad Amurem przez oddziały chińskie „odpowiedziały celnym ogniem i odrzuciły wroga w głąb jego terytorium”.

Tajemnicza jest też historia powstania śmiercionośnego cuda. Świat wierzy w opowieść o genialnym dwudziestopięcioletnim samouku z syberyjskiej wioski, który pierwszy automat wyklepał w warsztacie remontującym wagony, a potem żmudnie go udoskonalął, tak by w roku 1947 jego dzieło zwyciężyło konkurs na nowy karabin dla Armii Czerwonej.

Po Rosji uparcie krąży jednak wersja, że rękę do projektu AK-47 przyłożyli konstruktorzy niemieccy, a szczególnie zabrany przez władze radzieckie w 1946 roku do Iżewska specjalista o nazwisku znanym wszystkim fanom filmu wojennego – Hugo Schmeisser.

Władze ZSRR szczerze dzieliły się udanym automatem z satelitami i kandydatami na satelitów na całym świecie. Sprzedawały gotowy wyrób, rozdawały licencję na jego produkcję. Automat Kałasznikowa uznany za najlepszy na świecie jest dziś wytwarzany na wszystkich kontynentach poza Australią.

Rosjanie podkreślają jednak, że tylko ich „kałach” jest prawdziwy i dobry.

Władza szczerze nagrodziła konstruktora medalami i tytułami. Michaił Kałasznikow jest dwukrotnym bohaterem pracy socjalistycznej, ma trzy Ordery Lenina. Stalin dał mu Nagrodę Stalinowską, a Jelcyn – Order Andrzeja Apostoła. Narzeka jednak, że niczego się nie dorobił, a przecież gdyby za każdy wyprodukowany automat dostawał choć rubla, byłby milionerem.

Mimo podeszłego wieku może jednak zdąży jeszcze nim zostać, i to znów z pomocą Niemców. Zawarł umowę z niemiecką firmą MMI, która wypuszcza na rynek kosmetyki, wódkę, noże, rowery i łodzie, oznaczając je marką „Kałasznikow” i oddając Kałasznikowowi trzecią część zysków od ich sprzedaży. Konstruktor pytany, czy nie wstydzi się firmować swoim nazwiskiem takich bzdur, odpowiada, że nie, byle te wyroby były dobrej jakości i miały taką siłę przebicia jak jego ulubione dziecko.

19.09.2007, środa

ROSYJSKA FLOTA W UKRAIŃSKIEJ GRZE

Minister transportu mówi, że Rosjanie muszą zostać na Krymie na zawsze. Karci go minister obrony. A Moskwa podgrzewa atmosferę.

Minister transportu Mykoła Rudźkowski, socjalista w rządzie promoskiewskiego premiera Wiktora Janukowycza, w wywiadzie dla rosyjskiej telewizji w Sewastopolu zaatakował „szowinistów ukraińskich”, którym nie podoba się obecność floty wojennej Rosji na Krymie.

– Jestem głęboko przekonany, że dopóki Sewastopola strzeże marynarka rosyjska, to sytuacja na Krymie będzie stabilna, że będzie tu pokój i porządek – przekonywał Rudźkowski. – A jak tylko, nie daj Boże, marynarze rosyjscy stąd odejdą, to od razu rozpoczną się procesy, które dla wszystkich okażą się przykrą niespodzianką – straszyl minister. Rudźkowski dodał też, że uważa za konieczne przedłużenie umowy o przebywaniu floty rosyjskiej w Sewastopolu.

Ponaddwudziestotysięczny garnizon rosyjski stacjonuje w Ukrainie na podstawie dwudziestoletniej umowy Moskwy i Kijowa podpisanej w 1997 roku. Prezydent Wiktor Juszczenko powtarza, że kontrakt nie będzie przedłużony i że Rosjanie za dziesięć lat muszą odejść z Sewastopola.

Mianowany przez Juszczenkę minister obrony Anatolij Hrycenko, odpowiadając Rudźkowskiemu, przypomniał, że w Ukrainie obowiązuje konstytucja, a ona wyraźnie mówi, że na terytorium kraju nie mogą stacjonować żołnierze obcej armii. Kontraktu z marynarką Rosji nie można więc przedłużyć.

– O jakich korzyściach, o jakiej stabilizacyjnej roli rosyjskiej marynarki wojennej mówi Rudźkowski? Rosjanie zachowują się na Krymie jak okupanci, prowokują konflikty – uważa Ołeh Jacenko, przewodniczący Bractwa Studenckiego, organizacji młodzieżowej, która od lat uważnie przygląda się poczynaniom floty rosyjskiej na Krymie. – W doktrynie wojennej Kremla zapisano przecież, że zadaniem państwa jest dalsze utrzymanie głównej bazy wojennej Floty Czarnomorskiej właśnie w Sewastopolu, „mieście rosyjskiej sławy wojennej”. A nieoficjalnie baza jest narzędziem, za pomocą którego Moskwa, jeśli zechce, zmieni Krym w nowe Naddniestrze czy Abchazję, czyli niestabilny region wypowiadający wszelkie posłuszeństwo władzom państwa. W bazie odbywają się spotkania organizacji domagających się włączenia Krymu do Rosji, na wojskowych maszynach drukarskich separatyści drukują swoje materiały i ulotki wyborcze – dodaje Jacenko.

Według niego Rosjanie nielegalnie zajmują na półwyspie cztery tysiące obiektów, do których dzierżawienia Ukraina nie dała im prawa. Mimo nacisków ze strony władz w Kijowie, prób, prób dogadania się z Kremlem nie chcą słyszeć o oddaniu Ukraińcom instalacji nawigacyjnych na wybrzeżu, w tym dziesięciu latarni morskich.

Obserwatorzy w Kijowie powtarzają, że karta krymska – tak samo jak kwestia nadania językowi rosyjskiemu statusu drugiego

języka państwowego – jest w grze w czasie każdej kampanii wyborczej, o co stara się także Moskwa.

– Rosja dziś nie pakuje się z buciorami w nasze wybory, tak jak robiła to w roku 2004, kiedy Władimir Putin skompromitował się, otwarcie agitując za Janukowyczem. Robi to dyskretniej, używając raczej metod czekistowskich – ocenia Wadim Karasiow, znany kijowski politolog. – Kreml oddał głos naszym prorosyjskim politykom. I dziennikarzom oglądanych u nas rosyjskich państwowych kanałów telewizyjnych, które oskarżają Juszczenkę o skrajny nacjonalizm, tłumienie demokracji i wszelkie inne grzechy.

22.11.2007, czwartek

WYBORY W ROSJI JAK SPECOPERACJA PUTINA

Wybory prezydenta Rosji już za cztery miesiące. Obywatele wciąż jednak nie tylko nie znają nazwisk ewentualnych kandydatów, ale także nie wiedzą, jaki ma być zakres władzy przyszłego przywódcy państwa czy na jak długo go wybiorą.

A przede wszystkim – czy nowy prezydent rzeczywiście będzie rządził, czy też będzie tylko cieniem Władimira Putina, który jako premier, marszałek Dumy lub nawet szef Wszechrosyjskiego Związku Dżudo „zostanie u steru”, o co dziś błaga go cały naród.

To wszystko na progu kampanii wyborczej pozostaje ściśle strzeżoną tajemnicą samego Putina, a może jeszcze jego najbliższych współpracowników. – Mamy kampanię prowadzoną w stylu operacji specjalnej, dla powodzenia której najważniejsze jest zachowanie tajności i zaskoczenie przeciwnika niespodziewanym rozwiązaniem – z przekazem mówi się w Moskwie.

Wczoraj Putin na moskiewskim forum swych zwolenników powiedział: „Nic jeszcze ostatecznie nie jest określone”. Bo nawet oni nie muszą wiedzieć, co szykuje im władza. Muszą zgodnie z hasłami, którymi upstrzone są dziś ulice rosyjskich miast, „Putinowi wierzyć” i w grudniowych wyborach parlamentarnych zapewnić prezydenckiej partii Jedna Rosja większość w Dumie.

Taką większość, która pozwoli jej przed marcowymi wyborami prezydenckimi w dowolny sposób zmienić konstytucję. W jakim celu, pod kogo – to na razie tajemnica.

Jeśli nie, to – jak z trybuny zjazdu przestrzegł prezydent – kraj czeka smuta, czyli czas zamętu, który wywołają żądni odwetu oligarchowie oraz sterowani przez wrogą zagranicę demokraci.

A w obliczu zagrożenia ze strony dawno zepchniętych na margines ugrupowań demokratycznych można zapomnieć o konstytucji, która mówi, że prezydent musi odejść od władzy po dwóch kadencjach.

11.12.2007, wtorek

PUTIN WYBRAŁ CAREWICZA

Rosyjski sfinks zdradził swoją tajemnicę. Władimir Putin namaścił wicepremiera Dmitrija Miedwiediewa na swego następcę.

Po ogłoszeniu tej decyzji staje się jasne, że to właśnie ten czterdziestodwuletni prawnik wystartuje w wyborach prezydenckich 2 marca 2008 roku i wygra je z ogromną przewagą.

Niektórzy eksperci twierdzą, że to „wybór najlepszy z możliwych”. Ale „najlepszy” w tej sytuacji wcale nie znaczy dobry. To nie prezydent Putin powinien wyznaczać swojego następcę. Powinien wybrać go rosyjski naród. Jednak w tej Rosji, w której Putin od ośmiu lat buduje „demokrację sterowaną”, taki wybór nie jest, niestety, możliwy.

A spośród wyborów „możliwych” Dmitrij Miedwiediew wydaje się całkiem niezły.

Przede wszystkim jest młody – ma dziś o sześć lat mniej, niż miał Władimir Putin, kiedy w roku 2000 pierwszy raz wygrał wybory prezydenckie. A więc należy do zupełnie innego pokolenia.

Kiedy Miedwiediew miał dwadzieścia cztery lata, biegał po rodzinnym Leningradzie z ulotkami, agitując za Anatolijem Sobczakiem, swoim wykładowcą i demokratycznym kandydatem na posła do Rady Najwyższej. Putin w tym samym wieku i w tym samym Leningradzie, naoglądawszy się filmów

o Stirlitzu, bohaterze serialu *Siedemnaście mgnień wiosny*, marzył o karierze agenta KGB.

Miedwiediew ma solidne wykształcenie, jest docentem, specjalistą prawa cywilnego. Uważany jest za liberała. Oczywiście w przyjętym w dzisiejszej Rosji znaczeniu tego słowa.

Inni potencjalni kandydaci na „carewicza” robią znacznie gorsze wrażenie. Jego najgroźniejszy konkurent – generał KGB i też wicepremier Siergiej Iwanow – dał się poznać z żupackiego poczucia humoru i agresywnej antyzachodniej retoryki.

O dwadzieścia trzy lata starszy od Miedwiediewa premier Wiktor Zubkow ma poglądy skrajnie konserwatywne. Cóż, największymi sukcesami w jego zawodowej karierze była rekordowa wydajność krów w kierowanym przez niego sowchozie Czerwona Słowianka oraz niedawna wygrana w konkursie karaoke, w którym po mistrzowsku wykonywał pieśń o „Leninie takim młodym”.

Nie wiadomo, czy Miedwiediew przy Putinie, który zapowiada, że nie odejdzie z polityki, może stać się samodzielnym przywódcą państwa. Ma jednak to, co jest do tego potrzebne: wykształcenie, doświadczenie w politycznych intrygach, wsparcie liberalnie nastawionej części prezydenckiej administracji.

Jeśli zostanie prezydentem prawdziwym, a nie malowanym, to – jak kiedyś powiedziała o Michaile Gorbaczowie premier Margaret Thatcher – „z panem Miedwiediewem będzie można robić interesy”.

18.12.2007, wtorek

PUTIN ZOSTAJE, BO MUSI

Gdy 7 maja 2008 roku skończy się jego prezydentura, Władimir Putin przeprowadzi się z Kremla do niedalekiej siedziby rządu. I to on, a nie wskazany przez niego nowy prezydent Dmitrij Miedwiediew, pozostanie centralną postacią władzy w Rosji.

Współpracownicy Putina dowodzą, że on musi zostać, bo tylko on jest w stanie zapewnić krajowi powodzenie oraz obronę przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi. Ale w Moskwie coraz głośniej mówi się o tym, że Putin nie może odejść, bo stał się zakładnikiem systemu, który stworzył w ciągu ośmiu lat swoich rządów.

Ten system nazywany „korporacją Kreml” tworzą klany urzędników gryzące się ze sobą o wpływy i kontrolę nad rzekami państwowych pieniędzy. Jedynym arbitrem, z którym się liczą i który zapobiega otwartej wojnie, jest Putin.

13.02.2008, środa

UKRAINA NA CELOWNIKU

Prezydenci Rosji i Ukrainy dosłownie w ostatniej chwili porozumeli się co do zasad handlu gazem. Ale gospodarz Kremla i tak przestrzegł Kijów przed wchodzeniem do NATO.

Gazprom jeszcze niedawno uprzedzał sąsiada, że jeśli Kijów nie zacznie spłacać długów za gaz, które Moskwa ocenia na 1,5 miliarda dolarów, to we wtorek o godzinie 16.00 znacznie ograniczy dostawy dla Ukrainy. Podobny konflikt na początku 2006 roku doprowadził do ograniczenia dostaw gazu dla klientów Gazpromu także na zachodzie Europy.

Ostatnią szansą na uniknięcie gazowej wojny w tym roku było niedawne spotkanie Władimira Putina z Wiktorem Juszczenką w Moskwie. Prezydenci, jak zapewnili w czasie konferencji prasowej po spotkaniu, porozumeli się co do zasad współpracy gazowej w przyszłości.

Te zasady – według Putina – będą wprowadzane dopiero spisane na papierze, wydają się jednak zgodne z tym, czego chciał Kijów. Ukraina od jutra zacznie spłacać dług. Nie wiadomo jednak, czy w wysokości takiej, jaką podawał Gazprom, czy też zgodnie z tym, co wyliczyła premier Julia Tymoszenko oceniająca zaległości na nieco ponad miliard dolarów.

Korzystne dla Kijowa jest to, że jak zapewnił Juszczenko, cenę na rosyjski gaz dla Ukrainy w tym roku ustalono na poziomie 179

dolarów za tysiąc metrów sześciennych, czyli znacznie mniej niż 314 dolarów, których żądał Gazprom.

Jeszcze ważniejsza dla Ukrainy jest zapowiedź, że być może już w tym roku gaz od Gazpromu kupować będzie bezpośrednio państwowa ukraińska firma Naftohaz Ukraina. Z gry wypadną więc dwaj pośrednicy – Rosukrenergo, który sprzedawał Ukrainie cały eksportowany do tego kraju gazpromowski gaz, oraz Ukrgasenergo, który kupował cały surowiec importowany do Ukrainy.

Zdaniem ekspertów taki schemat pomagał politykom w Moskwie i Kijowie przywłaszczać sobie gazowe pieniądze. Bez pośredników, wyeliminowania których uparcie domagała się Tymoszenko, transakcje gazowe staną się bardziej przejrzyste, a rząd Ukrainy będzie w stanie kontrolować stan dostaw.

Groźba wojny gazowej znika. Moskwa za to grozi Kijowowi przykrymi konsekwencjami ewentualnego wejścia do NATO. Po spotkaniu z Juszczenką Putin przyznał, że plany integracji z Sojuszem są „wewnętrzną sprawą Ukrainy”, wezwał jednak Kijów, by „pomyślał o konsekwencjach” tego kroku.

A zdaniem prezydenta Rosji Ukraina jako członek NATO „wyrzeknie się części swej suwerenności”. To może doprowadzić choćby do zainstalowania na jej terytorium elementów amerykańskiej obrony przeciwrakietowej. – Strach nawet pomyśleć, że Rosja, odpowiadając na ten krok, wyceluje w Ukrainę swoje systemy jądrowo-rakietowe. To nas bardzo niepokoi – martwił się prezydent Rosji.

Wtórował mu Dmitrij Rogozin, ambasador Rosji w NATO, ten sam, który niedawno groził Polsce powtórką wojny, jeśli powstaną u nas elementy amerykańskiej tarczy antyrakietowej. Jego zdaniem Putin jako głowa państwa nie mógł szczerze

powiedzieć Ukraińcom całej prawdy. A w rzeczywistości skutki realizacji planów atlantyckich będą „tragedią tak dla ukraińskiego, jak i rosyjskiego narodu”. Rosja w odpowiedzi może na przykład wprowadzić wizy dla Ukraińców.

Prezydent Rosji skrytykował także Ukraińców za – jak to nazwał – „niedopuszczalne spekulacje historyczne służące koniunkturze politycznej”, które jego zdaniem „poważnie szkodzą stosunkom rosyjsko-ukraińskim”.

Te spekulacje to choćby wysuwane przez Ukraińców żądania uznania Wielkiego Głodu w sowieckiej Ukrainie, który w latach 1932-1933 spowodował śmierć milionów ludzi, za zbrodnię ludobójstwa. Moskwa protestuje też przeciwko oficjalnemu uznawaniu weteranów UPA za bohaterów walki o wolność narodu.

Putin wezwał więc sąsiadów, by zamiast spekulować, wspólnie z Rosjanami w przyszłym roku obeszli 200. urodziny Mikołaja Gogola oraz 300. rocznicę bitwy pod Połtawą, w której car Piotr I pokonał Szwedów oraz Kozaków walczących pod wodzą hetmana Iwana Mazepy, uznawanego dziś przez wielu Ukraińców za bohatera narodowego.

1.03.2008, sobota

PUTIN, SOWIECKI CHŁOPAK

Barbarzyńcy z Paryża zgubili Bizancjum, a dziś chcą zgubić Rosję. Takie jest przesłanie filmu zrobionego przez spowiednika Władimira Putina. To była też ideologia samego prezydenta.

Jutro Rosjanie formalnie potwierdzą, że ich trzecim prezydentem – zgodnie z wolą Putina ogłoszoną już w grudniu zeszłego roku – został Dmitrij Miedwiediew. Nowy gospodarz Kremla odziedziczy Rosję dużo bogatszą i pewniejszą siebie niż ta, która dostała się Putinowi po Borysie Jelcynie. Jednak – wbrew temu, co wmawia światu kremlowska propaganda – odziedziczy Rosję, która wciąż nie jest stabilna i nie może spokojnie spoglądać w przyszłość.

Latem w sklepie na Manhattanie spotkałem grupę Rosjan, którzy z rozbawieniem grzebali w stosach książeczek i kalendarzy pełnych szyderstw z George'a W. Busha. Wybrali kalendarz ścienny pozwalający odliczać dni, które zostały do tego pięknego momentu, gdy prezydent opuści Biały Dom.

– U was taki sklep splądrowałaby bojówka, a właściciel poszedłby siedzieć za obrazę głowy państwa – zagadnąłem.

– Oczywiście – zgodzili się bez wahania. – Bo my szanujemy swojego prezydenta. On jest nasz. Mądry, a przy tym normalny sowiecki chłopak.

Określenie „sowiecki chłopak” dla Polaka brzmi nie najlepiej. Ale w Rosji to ogromny komplement. Znaczy, że ktoś jest tak

swój, że już bardziej być nie można.

Ten wizerunek przywódcy w pocie czoła tworzyły wspólnie służby specjalne, cenzura i propaganda. Jednak swe niebywale wysokie poparcie społeczne, które przez całe osiem lat sprawowania władzy nigdy nie spadło poniżej 50 procent, a dziś dochodzi do 80 procent, Putin zawdzięcza nie tylko wysiłkom oficjalnej propagandy i administracyjnemu kagańcowi nałożonemu na media.

Najbardziej wyrazistym wyznaniem wiary tych, którzy rządzą dziś Rosją, jest pokazywany przez państwowe kanały telewizyjne film archimandryty Tichona (Grigorija Szewkunowa), spowiednika rodziny Putina, *Śmierć imperium. Lekcja bizantyjska*.

Rzecz dotyczy upadku Bizancjum w XV wieku, ale to tylko pretekst, bo archimandryta udziela ostrzeżeń współczesnej Rosji. Opowiada, że prawosławne Bizancjum było najwspanialszym, najsilniejszym i najbogatszym imperium w dziejach świata. Dało ludzkości podstawy prawa i porządku państwowego, a także wspaniałe dzieła sztuki. I to w czasach, gdy „w Brukseli i Paryżu” mieszkali „prymitywni i głupi barbarzyńcy”. Ale te właśnie dzikusy swoimi podstępными spiskami podkopali potęgę Bizancjum i sprawili, że wyrzekło się ono swych wartości konserwatywnych i prawosławnych.

Europę w filmie uosabia dryblas w czarnej opończy i weneckiej masce karnawałowej z długim nosem. To on podburza narody mieszkające na krańcach imperium do buntu przeciw metropolii. Żeby widz nie miał wątpliwości, o jaki bunt chodzi, zamaskowany dryblas zaczyna od tego, że na targu przewraca kosz, z którego w błoto wysypują się pomarańcze, nawiązując do wydarzeń w Ukrainie w 2004 roku.

Europejscy barbarzyńcy, prowadząc swą krecią robotę, powodują, że państwo mięknie, wyrzekając się kontroli nad finansami. Rujnują też siły zbrojne Bizancjum, podpowiadając, że trzeba zrezygnować z powszechnego poboru na rzecz armii zawodowej. Pomagają rosnąć fortunom oligarchów, którzy ukrywają kapitały na Zachodzie.

Wreszcie na Bizancjum najeżdżają krzyżowcy, którzy przez pół wieku wywożą ze wspaniałego miasta jego skarby. Złoto Bizancjum staje się fundamentem „brutalnego, zachłannego kapitalizmu” i oczywiście „pierwszych fortun żydowskich”. A Bizancjum, śmiertelnie ranione przez barbarzyńców, wpada w ręce muzułmanów.

Gdy w Rosji do władzy doszli bolszewicy, kazali narodowi zapomnieć o „bizantyjskiej lekcji”. Uczonych studiujących tę historię wygnali z uniwersytetów i represjonowali. Ten błąd naprawił mądry przywódca. Józef Stalin kazał wznowić badania nad historią Bizancjum – i to w jakże trudnym roku 1943. „Były seminarzysta Dzugaszwili wiedział, z jakich doświadczeń należy korzystać” – tym zapewnieniem kończy swój film spowiednik Putina.

Historycy nie zostawili na dziele Tichona suchej nitki, nie szczędząc słów: „kłamstwa”, „ciemnota”, „głupia propaganda”. Ale Rosjanie zgadzają się z wywodami archimandryty. Na forach internetowych piszą, że dał dzisiejszej Rosji słuszną przestrożę, i chwalą Putina, że odrzuca to, co Moskwie – jak niegdyś Bizancjum – próbuje dziś narzucić Zachód.

Wiarę Rosjan w Putina i jego ideologię wzmacniają bezsporne sukcesy jego prezydentury.

Z rąk Jelcyna dostał 145-milionowe państwo zajmujące siódmą część światowych lądów, którego budżet był mniejszy od budżetu

samego tylko Nowego Jorku. Rosję przygniatało brzemień długów znacznie przewyższających jej roczne dochody. Z samodzielną, choć formalnie pozostającą w granicach Federacji Rosyjskiej Czeczenią Moskwa pozostawała w stanie ni to wojny, ni to pokoju, co rzeczywiście stanowiło dla niej poważne niebezpieczeństwo. Regionami rządzili samowolni gubernatorzy niczym książęta feudalni. Rynkiem – oligarchowie i bandyci. Dochody ponad jednej trzeciej Rosjan nie przekraczały i tak bardzo skromnego minimum socjalnego.

Dziś Rosja nie ma długów. Dysponuje budżetem dziewięciokrotnie większym niż u schyłku epoki Jelcyna, a jej rezerwy kruszcowo-walutowe sięgają niemal pół biliona dolarów. Więcej zapasów mają tylko Chiny i Japonia.

Według oficjalnych statystyk dochody poniżej minimum socjalnego ma teraz niecałe 18 procent Rosjan. Inaczej patrzy na to ONZ oceniająca, że w nędzy żyje ten, kto na codzienne utrzymanie wydaje nie więcej niż trzy dolary, a w takiej sytuacji wciąż znajduje się co najmniej 30 procent Rosjan – przede wszystkim emeryci. Jednak pod rządami Putina przeciętna płaca nominalna wzrosła z 80 do 400 dolarów, a jej realna siła nabywcza – 2,5 razy.

Na Kaukazie wciąż tli się konflikt, który może wybuchnąć z nową siłą, ale wojna w Czeczenii skończyła się zwycięstwem Rosji. Pokoju strzeże tam twardą ręką brutalny Ramzan Kadyrow i jego milicje słynące z okrucieństwa. Trzeba jednak przyznać, że Amerykanie mogliby mówić o sukcesie, gdyby udało im się ustanowić taki porządek w Iraku czy Afganistanie.

Na dodatek, co dla Rosjan bardzo ważne, ich kraj pod rządami Putina zaczął pokazywać światu pazury. Grozi wstrzymaniem dostaw gazu czy ropy i znów, jak w czasach ZSRR, trwoży

Brytyjczyków czy Norwegów, wysyłając ku ich wybrzeżom bombowce strategiczne.

Szczyście Rosji toczy się jak baryłka ropy. A ta na rynkach światowych kosztuje dziś ponad 100 dolarów, podczas gdy pod koniec rządów Jelcyna kosztowała zaledwie 12 dolarów. Jednak Putin, wbrew temu, co się powszechnie uważa, nie wszystko zawdzięcza niebotycznemu wzrostowi cen surowców energetycznych.

Grupa ekonomistów z Rosyjskiej Akademii Nauk przedstawiła ocenę prezydentury Putina. Ocenę zaskakująco krytyczną. Naukowcy przyznali jednak, że z 7 procent wzrostu PKB, jaki Rosja osiągnęła w zeszłym roku, tylko 2 punkty procentowe zawdzięcza wzrostowi cen paliw na rynkach światowych. Pozostałe 5 punktów procentowych wypracowały inne branże.

Największą porażką polityki zagranicznej Putina były kolorowe rewolucje – w Gruzji, a przede wszystkim w „bratniej” Ukrainie. Tu Moskwę zgubiła arogancja i zaściankowość.

– Im w komsomole i na kursach w partii czy w KGB wbili do głowy, że nigdzie na świecie nie ma prawdziwej demokracji. Oni głęboko wierzą, że to tylko gra pozorów, oszustwa, a w polityce o wszystkim decydują pieniądze, sztuczki polittechnologów i brutalna siła – ocenia ludzi rządzących dziś w Rosji Ludmiła Aleksiejewa, szefowa Moskiewskiej Grupy Helsińskiej. – Nie potrafią zrozumieć, że setki tysięcy ludzi mogą tygodniami stać na zaśnieżonym placu i marznąć w namiotach nie za pieniądze, lecz tylko dlatego, że chcą o coś walczyć. Nie rozumieją tego, bo w szkołach radzieckich nauczono ich, że naród to bydło, którym można kierować kijem albo marchewką. Czas zmienić ten pogląd. Mamy w końcu XXI wiek.

Na Kremlu jednak takich rad nie słuchają.

Pytany przez dziennikarzy, czy przebieg wyborów prezydenckich będą kontrolować obserwatorzy OBWE, Putin gniewnie odpowiedział: „Niech swoją żonę uczą kapuśniak gotować”. W oczach rodaków zarobił kolejne punkty. Bo to kolejna typowa dla niego riposta z podtekstem.

Tym razem cytował bandytę Gorbatego z kultowego filmu *Czarny kot*, który na pytanie, czemu nie zmieni samochodu na bardziej szykowny, odpowiada: – Niech swoją żonę uczy kapuśniak gotować. Jestem starym hersztem bandy i tradycji przestrzegam.

Rosja niestety coraz częściej rozmawia ze światem takim właśnie szyderczym językiem. Znany komentator Siergiej Dorienko, pytany niedawno o Litwinów, którzy chcą domagać się od Moskwy odszkodowania za okupację radziecką, odpowiedział: – Pomiędzy nami a Europą mieszkają jakieś dojarki.

Brytyjczycy domagający się ekstradycji agenta specjalnego Andrieja Ługowoja, który najprawdopodobniej otruł polonem w Londynie emigranta politycznego Aleksandra Litwinienkę, też otrzymali odpowiedź w podobnym stylu. Ługowoj został posłem do Dumy. Teraz przed wszelką odpowiedzialnością chroni go immunitet parlamentarny.

Niedawno oberwało się nawet braciom Serbom. Komentator telewizji państwowej Konstantin Siomin powiedział, że premier Serbii Zoran Džindžić, zastrzelony pięć lat temu przez bandytę, „zasłużył sobie na kulę w łeb”, bo był marionetką amerykańską i „zniszczył legendarną armię serbską oraz służby specjalne”.

Serbowie się obrazili. Miedwiediew w czasie wizyty w Belgradzie musiał składać wyjaśnienia.

Nie styl dialogu jest jednak ważny, lecz to, co się za nim kryje. Największą porażką polityki wewnętrznej Putina jest

niesamowity wzrost korupcji. Osiem lat temu odbierała ona Rosjanom 40 miliardów dolarów rocznie. Dziś oceny oficjalne i niezależnych ośrodków badawczych mówią, że chodzi o kwotę sześć do ośmiu razy większą – mniej więcej tyle, ile wynosi cały budżet państwa.

Niektóre media światowe twierdzą, że wśród polityków, którzy dorobili się na korupcji, jest i sam Putin, który miał zgromadzić majątek wart 40 miliardów dolarów. Źródłem tej rewelacji jest Stanisław Biełkowski, politolog, któremu, delikatnie rzecz ujmując, prowokacje polityczne nie są obce.

Jeśli jednak nie brakuje ludzi, którzy wierzą w tę pogłoskę, to dlatego, że Rosja jest dziś trzecim krajem świata pod względem liczby ludzi, których majątek liczy się w miliardach dolarów. Najbogatszy z Rosjan, magnat aluminiowy Oleg Deripaska, ma majątek wyceniany na 40 miliardów dolarów.

Dziś Miedwiediew powtarza, że korupcja zagraża Rosji. I proponuje słuszną terapię – wolność mediów, kontrola społeczna, wzrost roli samorządów.

Odważy się ją przeprowadzić? A jeśli tak, to czy jakiś archimandryta Tichon nie upomni go, że próbuje sięgać po wzory prowadzące imperium do zguby, a nie po te, które w trudnym roku 1943 słusznie docenił „były seminarzysta Dżugaszwili”?

3.03.2008, poniedziałek

NOWY CAR

Czterdziestotrzyletni Dmitrij Miedwiediew będzie najmłodszym prezydentem w dziejach Rosji. Bez stażu w aparacie Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego – jak Jelcyn – ani w organach KGB – jak Putin. To pozwala żywić ostrożną nadzieję.

Do wczorajszych wyborów prezydenckich w Rosji można mieć sporo pretensji (oficjalnie Miedwiediew dostał 70,28 procent głosów, a drugi Giennadij Ziuganow – 17,72 procent). Ale lekceważyć ich nie należy. Można chyba bowiem żywić trochę nadziei na to, że Miedwiediew, który przy poparciu zdecydowanej większości rodaków został trzecim prezydentem Rosji, okaże się roztroptym reformatorem.

To paradoks, ale nowy prezydent jest dla świata większą zagadką, niż był jego poprzednik osiem lat temu, kiedy wszyscy zadawali sobie pytanie: „Who’s Mr. Putin?”. Jeszcze przed wyborami Putin udzielił obszernego wywiadu, który stał się kanwą książki *Z pierwszych ust*. Opowiedział wtedy o sobie bardzo wiele – o chuligańskim dzieciństwie w biednej dzielnicy Leningradu; o tym, jak marzył o pracy w „organach”, i o tym, że długo nic nie wiedział o stalinowskich represjach.

A Miedwiediew nie zechciał jeszcze „wyspowiadać się” przed rodakami.

Zgodnie z tradycją nowej Rosji Miedwiediew – faworyt w wyborach prezydenckich – podobnie jak wcześniej Borys

Jelcyn i Władimir Putin nie uczestniczył w debatach telewizyjnych.

Debaty były dla Władimira Żyrinowskiego, który błaznował w studiu, walił w twarz przedstawiciela swego konkurenta i drąc się wniebogłosy, rozkazywał swoim ochroniarzom „rozstrzelać go na korytarzu”.

„Następca” w tym cyrku nie brał udziału. Nie starał się też przypodobać narodowi na wiecach. Jako wicepremier jeździł po kraju z wizytami gospodarskimi. Wygłaszał państwowotwórcze mądrości, które potem do znudzenia powtarzały oficjalne kanały telewizyjne. Cała jego kampania wyborcza ograniczyła się do dnia, w którym wziął urlop, by spotkać się z trzystu starannie dobranymi „reprezentantami społeczeństwa”.

W tym, co mówił, występując publicznie, nie było nic osobistego – żadnych wyznań, żadnych z serca płynących wynurzeń. Nie przedstawił też programu swej prezydentury.

To kolejny paradoks, że człowiek, który od ponad ośmiu lat – kiedy to premier Putin ściągnął go z Sankt Petersburga do pracy w aparacie rządu – obraca się w orbicie najwyższej władzy, dla Rosjan pozostaje zagadką. Dziennikarze nazwali go kiedyś „kremlowskim wezyrem”, strażnikiem tajemnic.

A przecież przez dwa lata (2003-2005) był szefem administracji Kremla, czyli w istocie drugim po prezydencie dygnitarzem w Rosji pod względem znaczenia i wpływów. Kierował dwudziestopięcioletnim aparatem urzędniczym, który w tym państwie decyduje o wszystkim. Z tego stanowiska dwa i pół roku temu przeskoczył wprost na *prijemnika*, czyli jednego z najbardziej prawdopodobnych „następców tronu”.

Gdy w grudniu zeszłego roku Putin ostatecznie wyznaczył Miedwiediewa na swego dziedzica, doszło jednak do sensacji związanej z rodzinnymi sprawami przyszłego prezydenta. Okazało się, że *otczestwo* jego mamy zdradza jakoby niezbyt słowiańskie pochodzenie.

Ci, którzy trzymają się starej czarnosecinnej zasady: *jesli w kranie niet wody, znaczit' wypili Żydy* (jeśli w kranie nie ma wody, to znaczy, że wypili ją Żydzi), mają w Rosji ułatwione zadanie, gdyż każdy do własnego imienia dodaje *otczestwo*, czyli imię ojca.

A mama Dmitrija – jak ogłosiły z hukiem nacjonalistyczne gazety i strony internetowe – to Julia Weniaminowna. Fachowcy od czystości rasy wygrzebali też niezbyt słowiańskie nazwisko panięskie żony przyszłego prezydenta – Linnik. Nie dość, że sam po matce Żyd, to i żonę ma Żydówkę. W rosyjskim internecie pojawiły się dramatyczne ostrzeżenia: „Rosjanie, wasz przyszły prezydent to Żyd!”

To, że panięskie nazwisko mamy przyszłego prezydenta ma idealnie rosyjskie brzmienie Szaposznikowa, nieustraszonych łowców *otczestw* nie przekonało. Tak samo jak to, że Swietłana Miedwiediewa z domu Linnik aktywnie uczestniczy w cerkiewnych programach wychowania patriotycznego, a od zwierzchnika rosyjskich prawosławnych, patriarchy Aleksija II, z którym Miedwiediewowie mieszkają dosłownie drzwi w drzwi, otrzymuje cerkiewne medale i wyróżnienia.

Nie udało mi się ustalić, kto pierwszy wziął pod lupę drzewo genealogiczne przyszłego prezydenta. Publicyści niezależnych agencji internetowych przekonują, że alarm podniosły media podległe służbom specjalnym, które obawiają się, że następca Putina może się okazać liberałem.

To, co wiemy na pewno o trzecim prezydencie Rosji, może budzić nadzieję. Wyrósł w Leningradzie w bardzo interesującej rodzinie. Mama – filolog, wykładowca. Ojciec – fizyk i też wykładowca. Rodzice mieszkali w biednej dzielnicy miasta uważanej za robotniczą. Nie szli drogą kariery partyjnej, bo ta dałaby im dobry lokal w dobrej okolicy, gdzie mieszkania miały „wysokie sufity”, które w ZSRR świadczyły o statusie społecznym.

Inteligencja, na dodatek leningradzka, która w dorosłe życie wkraczała w latach sześćdziesiątych zeszłego wieku – jak rodzice Miedwiediewa – to najlepsze pokolenie w całej chyba historii Rosji. Ludzie starannie wykształceni, ciekawi świata, pełni nadziei na zmiany w swoim kraju. Te nadzieje kończyły się zażartymi „dyskusjami w kuchniach” w słynne leningradzkie czy moskiewskie noce z piątku na poniedziałek, ale wielu marzycieli z tamtych lat do dziś pozostaje marzycielami.

Koledzy i nauczycielki Miedwiediewa zgodnie twierdzą, że rodzice, zwłaszcza mama, bardzo dbali o syna. Zawsze czyściutki, zapięty na ostatni guzik, wzorowo przygotowany do lekcji. Od pierwszych klas pewny, że w przyszłości zostanie prawnikiem. Ponoć w dzieciństwie swą powagą i roztropnością przypominał im „małego staruszka”.

Jaki kontrast z małym Putinem, synem robotnika z zakładów wagonowych i sprzątaczkę, którego w tym samym Leningradzie wychowywała ulica i który do dziś zjednuje sobie rodaków, inkrustując swoje oficjalne wystąpienia słówkami z żargonu kryminalnego.

W wieku dwudziestu czterech lat Miedwiediew pracował w sztabie wyborczym swego dawnego wykładowcy Anatolija Sobczaka, demokratycznego polityka, który w pierwszych jako

tako wolnych wyborach do Rady Najwyższej walczył o mandat deputowanego. Gdy cenzura pod błahym pozorem skonfiskowała cały nakład ulotek Sobczaka, Miedwiediew z kolegami przez całą noc w konspiracyjnym lokalu drukowali nowe ulotki. Później wspominał, że czuł się „jak Lenin drukujący w podziemiu »Iskrę«” (...)

Gdy Sobczak został merem Leningradu, któremu szybko przywrócił starą nazwę Sankt Petersburg, Miedwiediew przyszedł do pracy w administracji miasta. Jego bezpośrednim zwierzchnikiem przez kilka lat był Putin, który już wtedy obdarzył młodego prawnika ogromnym zaufaniem.

Gdy Sobczak przegrał kolejne wybory, Miedwiediew – lojalny wobec byłego szefa, podobnie jak Putin – odszedł z merostwa. Podjął pracę w prywatnej firmie Ilim Pulp International. I tu poniósł najbardziej dotkliwą porażkę. Występując jako prawnik, dzielnie bronił swej firmy przed zakusami Olega Deripaski. Ludzie oligarchy – uzbrojeni w wyroki przekupionych sądów, pod osłoną przekupionych milicjantów i komorników – najechali firmę Ilim Pulp International i odebrali jej Bajkałski Kombinat Celulozowy.

Miedwiediew przegrał ponoć dlatego, że nie chciał sięgnąć po te same metody co jego przeciwnicy i nie próbował bronić firmy, rozdając łapówki. Ponoć bardzo przeżył tę porażkę.

Ważne jest to, że na własnej skórze przekonał się, jak wielkim złem jest w dzisiejszej Rosji korupcja.

O tym, jaka będzie Rosja przy prezydencie Miedwiediewie, decydować będzie jednak nie wynik niedzielnych wyborów i nie osobiste poglądy, zalety czy wady charakteru trzeciego prezydenta.

Ustrój kraju zacznie się krystalizować, gdy ustali się podział władzy i kompetencji pomiędzy nowym szefem państwa a Putinem, który po inauguracji Miedwiediewa zapowiadanej na 7 maja zostanie premierem.

Zanim to się stanie, kraj będzie miał dwa ośrodki władzy. A Rosja w takim stanie trwać nie może. Aparat państwowy musi wiedzieć, pod kogo ma „się położyć” – jak mawiają nasi sąsiedzi. Niepewność i wahania nieuchronnie muszą prowadzić do niebezpiecznych konfliktów. Rosja miała już kiedyś, w XVII wieku, dwóch władców. Młody Piotr, nazwany potem Wielkim, i jego przyrodni brat Iwan siedzieli nawet na podwójnym tronie.

Długo to jednak nie trwało, a skończyło się egzekucjami.

13.03.2008, czwartek

UKRAINA BĘDZIE ŚWIĘTOWAĆ ZWYCIĘSTWO NAD ROSJANAMI

W 2009 roku w Ukrainie odbędą się z wielkim rozmachem obchody 350. rocznicy bitwy pod Konotopem. Właśnie ukazał się dekret prezydenta Wiktora Juszczenki w tej sprawie.

– Postąpili „na złość złym Moskalom” – ocenił krok władz w Kijowie „Moskowskij Komsomolec”

Prezydent chce, by cała Ukraina przez najbliższe dwa lata wspominała wydarzenia z 7 i 8 lipca 1659 roku i ówczesnej wojny polsko-rosyjskiej. Kozacy pod wodzą hetmana Iwana Wyhowskiego wraz z korpusem polskim i Tatarami krymskimi rozbili w pobliżu wsi Szapowaliwka sześćdziesięciotysięczne wojsko rosyjskie dowodzone przez księcia Aleksieja Trubeckiego.

W niezwykle krwawej bitwie zginęło około 30 tysięcy Rosjan, a 5 tysięcy dostało się do niewoli. Dziś uważa się bitwę pod Konotopem za największe zwycięstwo Ukraińców nad Rosjanami.

Juszczenko w swym dekreście nakazał, by w przyszłym roku w szkołach odbyły się lekcje i akademie poświęcone bitwie. Ma też ukazać się seria znaczków przedstawiających zwycięstwo, do obiegu wejdzie okolicznościowa moneta, powstanie film dokumentalny o wydarzeniach sprzed 350 lat. Już w tym roku w Szapowaliwce, dziś należącej do obwodu sumskiego,

rodzinnego regionu prezydenta, odbędzie się wielki festiwal „Kozacki rodowód”

Według Juszczenki obchody to także okazja podkreślenia związków Ukrainy z Tatarami krymskimi. Wygnani z ojczyzny przez Stalina w 1944 roku, wrócili na zamieszkaną w większości przez Rosjan Krym i są tam dziś siłą najbardziej lojalną wobec Kijowa.

Inicjatywa prezydenta jest odważnym gestem w bardzo trudnym dialogu Ukrainy z Rosją na temat historii obu krajów.

7.05.2008, środa

WYKONAĆ „PLAN PUTINA”

Ustępujący prezydent nie tylko nakreślił nowemu władcy strategię, ale będzie go też stale i dokładnie kontrolował.

W roku 2010 prezydent Miedwiediew wzywa do siebie premiera Putina i robi mu wymówki: – Nie radzi pan sobie z wykonaniem planu – mówi krążąca po Moskwie anegdota. – Planu? Jakiego planu? – dopytuje spłoszony szef rządu. – Oj, niech pan nie udaje, że pan nie wie, o jaki plan chodzi! – strofuje Putina prezydent.

Wszyscy w Rosji dobrze wiedzą, że w „epoce Miedwiediewa” kraj będzie z zapałem wykonywał właśnie „plan Putina”. Zresztą sam kandydat na prezydenta obiecał to wyborcom, a oficjalna propaganda namawiała naród do głosowania na „następcę”, który gwarantuje „zachowanie kursu” wytyczonego przez dotychczasowego gospodarza Kremla.

W czasie prezydenckiej kampanii wyborczej „plan Putina” był bytem wirtualnym. Nigdzie go nie spisano, ale – jak zapewniali prominenci Jednej Rosji, czyli prezydenckiej „partii władzy” – wszystkie jego zasady mają się kryć w ośmiu dorocznych orędziach prezydenta.

To, że prezydent w kolejnych programowych przemówieniach czasem zaprzeczał temu, co mówił w poprzednich, specjalnie ich nie peszyło. Nieliczni krytycy w niezależnych witrynach internetowych dworowali sobie tylko, że taki „plan Putina” jest

jak nowe szaty króla, tylko nikt z dworaków nie ma odwagi, by krzyknąć, że władca jest nagi.

Dziś „plan Putina” ma już kształty bardziej konkretne i nazywa się „Koncepcją rozwoju Rosji do roku 2020”. Dokument obiecuje, że pod koniec drugiej dekady naszego wieku przeciętny Rosjanin będzie żył 75 lat, czyli o dziesięć lat dłużej niż dziś. Na każdy tysiąc obywateli mają przypadać 604 samochody (dziś – 180). Kraj pokryje gęsta sieć autostrad. Przeciętna trzyosobowa rodzina będzie żyć w mieszkaniu o powierzchni 100 metrów kwadratowych. Średnia płaca przez dwanaście lat ma wzrosnąć trzykrotnie i dojść do poziomu 5,1 tysiąca złotych.

A pod względem wysokości dochodów przypadających na obywatela Federacja Rosyjska ma się znaleźć w pierwszej piątce najbogatszych państw świata (dziś plasuje się około pięćdziesiątego miejsca). Zgodnie ze strategią skończy się też nękający Rosję kryzys demograficzny. W 2020 roku kraj ma mieć 145 milionów obywateli, czyli ponad 2 miliony więcej niż dziś.

Starszym Rosjanom dokument kojarzy się z programem Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego z 1961 roku, który zapowiadał zbudowanie w ciągu dwudziestolecia takiego komunizmu, w którym każda rodzina będzie miała swoje mieszkanie, a każdy obywatel otrzyma to, czego potrzebuje.

Niezależni ekonomiści nazywają strategię utopijnym programem „budowy kapitalizmu z ludzką twarzą”. Obliczają, że na samo tylko zbudowanie nowoczesnych dróg trzeba by wydać 750 miliardów dolarów, czyli prawie pięć razy więcej, niż przez ostatnie lata naftowej prosperity udało się zgromadzić w przeznaczonym na modernizację kraju funduszu stabilizacyjnym. Na takie pieniądze Rosja mogłaby liczyć tylko

pod warunkiem, że ceny ropy rosłyby w takim samym zawrotnym tempie jak w czasach Putina.

Oficjalnie w Rosji obowiązuje jednak triumfalizm. Także w polityce zagranicznej. Ciągłe mówi się tutaj o „Rosji wstającej z kolan”, odzyskującej należną jej, dawną pozycję w świecie. Czyli taką, jaką kraj miał w czasach ZSRR. Putin już zapowiedział, że Moskwa za Miedwiediewa, którego określił jako „prawdziwego patriotę”, będzie ostro konkurować ze światowymi potęgami. Ostrzegł Amerykanów, że z jego następcą wcale „nie będzie im łatwiej”.

Sam Miedwiediew na perspektywę Rosji patrzy inaczej. W swoich kilku uznanych za programowe wystąpieniach zwracał uwagę na zagrożenia, jakie dla kraju stanowią korupcja oraz, jak to określił, „niespotykany nigdzie indziej na świecie nihilizm prawny”. Jako środek walki z tym złem wymienił rozwój społeczeństwa obywatelskiego i wolnych mediów. W putinowskiej Rosji brzmi to obrazoburczo. Komentatorzy ostrożnie pytają, czy możemy się spodziewać „miedwiediewowskiej odwilży”.

Ale na to, przynajmniej w najbliższym czasie, liczyć nie należy. Putin, który dzień po zaprzysiężeniu Miedwiediewa ma zostać premierem, mozolnie buduje mechanizm, dzięki któremu będzie kontrolować następcę i sterować nim. Objął funkcję przewodniczącego Jednej Rosji, partii dysponującej w parlamencie większością wystarczającą, by bez trudu zdymisjonować prezydenta. Gubernatorzy, którzy za czasów Putina odpowiadali tylko przed Kremlm, teraz będą rozliczani przez rząd.

Jak pisze prasa moskiewska, tworzy też ogólnokrajowy Komitet Śledczy, w skład którego wejdą służby śledcze prokuratury, MSW

i Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Komitet, którym kierować będzie Aleksander Bastrykin, jeden z najbardziej zaufanych ludzi Putina, będzie podlegać premierowi. A to oznacza, że odtąd to szef rządu będzie kontrolował służby i resorty siłowe, które za czasów jego prezydentury podlegały Kremlowi.

9.08.2008, sobota

ŚWIAT MUSI ROZBROIĆ OSETYJSKĄ MINE

Decydując się na „wyzwolenie” czy też, jak mówił, „przywrócenie porządku konstytucyjnego” w Osetii Południowej, prezydent Gruzji Micheil Saakaszwili popełnił ogromny błąd.

Tak jak kiedyś Slobodan Miloszević nie rozumiał, że jego kraj ma do wyboru albo aksamitny rozwód ze zbuntowanymi regionami – Abchazją i Osetią Południową – albo zamęt i rozpad kraju w wyniku krwawych konfliktów. Od początku lat dziewięćdziesiątych jest przecież jasne, że mieszkańcy obu prowincji, podjudzani umiejętnie przez Moskwę, za nic nie chcą żyć pod rządami Tbilisi.

Być może prezydent Gruzji chytrze liczył na to, że kiedy zaczynała się olimpiada w Pekinie, Rosjanie pozostaną neutralni. Był naiwny, bo przecież takiej okazji, jaką jej teraz stworzył, Moskwa nie przegapiłaby nigdy.

Rosja od dawna otwarcie wspiera Abchazję i Osetię Południową i już dawno nadała obywatelstwo zdecydowanej większości mieszkańców obu samozwańczych republik. Teraz, kierując swe czołgi, helikoptery i odrzutowce na stolicę Osetii Południowej, Cchinwali, może szczerze argumentować, że broni tam swoich obywateli.

Saakaszwili, polityk, na którego stawiał Zachód i Polska, raczej prędzej niż później zapłaci za swój niedawny błąd.

Teraz najważniejsze jest jednak to, jak zatrzymać kaukaski konflikt. Politycy, w tym i polscy przywódcy, powinni zdecydowanie domagać się bezwarunkowego przerwania ognia, apelując do Busha i Putina, którzy obaj szczęśliwym trafem są w Pekinie. Putin musi natychmiast wycofać swoje wojska i ostudzić wojenny zapał przyjaciół w Osetii Południowej. Bush musi zatrzymać swego protegowanego Saakaszwilego.

A co dalej? Konflikt w Osetii to nie lokalny zatarg gdzieś w ciemnym kącie Europy. To wybuch jednej z wielu min z opóźnionym zapłonem, które pozostały po upadku ZSRR. Takich miejsc jak Osetia Południowa jest sporo. Gruzińska Abchazja. Samozwańcze Naddniestrze. Potencjalnie wybuchowy Krym. Stale niespokojny rosyjski Kaukaz Północny.

Politycy w Moskwie i na Zachodzie lubią się bawić tymi minami, wykorzystując je przeciw sobie, i w ostatnich latach niewiele zrobili, by je rozbroić. Dramat, który rozpoczął się wczoraj na Kaukazie, pokazuje, jak niebezpieczna jest ta gra i że czas najwyższy ją przerwać.

Kiedy przez wiele lat na Bałkanach trwały wojny, Rosja niezmiennie wspierająca Serbię w jej walce o utrzymanie wielkiej Jugosławii broniła zasady supremacji państwa nad mniejszościami narodowymi. Zachód bronił praw mniejszości do samostanowienia i na Bałkanach, i krytykując Moskwę za dławienie powstania Czeczenów.

Gdy uzyskanie niepodległości przez Kosowo zakończyło konflikt bałkański, Moskwa i Zachód zamieniły się rolami. Teraz to Rosja występuje jako orędownik prawa gruzińskich mniejszości do samostanowienia. – Jesteśmy gwarantem

interesów narodów Kaukazu – mówił wczoraj prezydent Miedwiediew.

Moskwa, jak niedawno NATO w obronie Albańczyków z Kosowa przeciw Serbii, występuje zbrojnie przeciw Gruzji w obronie Osetyjczyków. A Zachód, jak kiedyś Rosja za Serbią, staje z kolei w obronie integralności Gruzji.

Ta z obu stron dwuznaczna moralnie gra może rozpalić nowe konflikty i skończyć się źle: dla Rosji – na Kaukazie, dla Zachodu – destabilizacją Ukrainy, gdzie na Krymie wrodzy swemu państwu Rosjanie, tak jak w Osetii Południowej i Abchazji, stanowią większość mieszkańców. Kijów, zdając sobie z tego sprawę, jako pierwsza stolica zaapelował wczoraj do obu stron o natychmiastowe przerwanie ognia.

Jeśli uda się szybko doprowadzić do zakończenia starć w Osetii, Zachód i Rosja będą musiały się zdecydować na kolejny trudny krok – nieprzyjemną rozmowę o tym, jakich zasad powinny się trzymać przy rozwiązywaniu podobnych konfliktów. Tylko czy taka rozmowa po doświadczeniach bałkańskich jest jeszcze możliwa?

12.08.2008, wtorek

Z WOJNĄ PUTINOWI DO TWARZY

Władimir Putin powiedział ostatnio o sobie, że jest zasłużonym trenerem. Rosjanie wiedzą, że ich premier mówił nie tylko o sporcie.

Gruzińscy nieładzie masakrują niewinnych. Micheil Saakaszwili to wspierany przez Zachód ludobójca. Nasze czołgi to jedyny ratunek dla niewinnych ofiar – taki obraz wojny prezentują Rosjanom media i politycy.

A na tym straszliwym tle pierwszoplanowym bohaterem jest – jak osiem lat temu, kiedy zaczynała się druga wojna czeczeńska – Putin. Premier całkowicie odsunął w cień prezydenta Dmitrija Miedwiediewa.

Szef rządu jest znowu taki sam jak równo dziewięć lat temu, kiedy Czeczeni pod wodzą Szamila Basajewa napadli na rosyjski Dagestan. Wtedy Putin, świeżo upieczony premier, podbijał serca Rosjan, obiecując, że dopadnie wrogów i załatwi ich „choćby w kiblu”.

To on, kiedy w Osetii Południowej toczyły się zacięte walki, przyleciał do sąsiadującej z gruzińską republiką rosyjskiej Osetii Północnej wprost z olimpiady w Pekinie. To on, a nie Miedwiediew, który jeszcze był na urlopie nad Wołgą, jak przed laty w sportowej wiatrówce i w rozpiętej pod szyją koszuli prowadził naradę z miejscowymi naczelnikami, wydawał im

polecenia i obiecywał, że „Rosja doprowadzi sprawę do końca i nikogo nie zostawi w potrzebie”

Potem przed kamerami złożył raport ze swej wyprawy nowemu gospodarzowi Kremla. Ale z tonu rozmowy widać było dobrze, kto – jak mówią Rosjanie – jest w domu gospodarzem, a kto gościem.

Nieprzypadkowo gazety rosyjskie powtarzały wczoraj zdanie Putina, który w Pekinie przyznał: „Przecież jestem zasłużonym trenerem”. Premier mówił o sporcie, ale czytelnicy doskonale łapią, że chodzi nie tylko o dżudo.

Matwiej Gonopolski uważa, że to, co teraz dzieje się w Gruzji, jest prostą kontynuacją głośnego monachijskiego wystąpienia prezydenta Putina sprzed kilku miesięcy. – Wtedy, w lutym, Putin straszył świat tym, jakie mogą być konsekwencje uznania niepodległości Kosowa. I stało się. Teraz Moskwa urządza swoje Kosowo – powiedział komentator na antenie Radia Echo Moskwy.

Byłem w Rosji, kiedy siły NATO interweniowały w Kosowie. Wtedy Rosjanie, wściekli na Zachód, który ignorując głosy Moskwy, „masakruje braci Serbów”, zbierali się pod ambasadą USA. Obrzucali budynek jajkami, a chcieliby granatami. Ktoś nawet próbował strzelać po ambasadzie z granatnika, ale ten, jak na ironię, się zaciął i nie wypalił.

Rosja czuła się poniżona i bezsilna.

Teraz Moskwa z dziką satysfakcją próbuje robić powtórkę z tamtej sytuacji. W tej repetycji, którą wystawiają media rosyjskie, główni aktorzy zamienili się jednak rolami. Telewizje w Rosji na okrągło pokazują spektakl, w którym pokrzywdzonymi kosowskimi Albańczykami są teraz Osetyjczycy próbujący zrzucić z siebie jarzmo Serbów-Gruzinów.

Dziennik „Komsomolskaja Prawda” opublikował zapiski anonimowego żołnierza, który, kiedy w Cchinwali „na chwilę milkną wystrzały”, odkłada automat, chwytając za pióro i na gorąco kreśli: „Rano miasto poddano ostrzałowi artyleryjskiemu. Gruzini nie mogą się pogodzić z przegraną. To nieludzie. W jednej ze wsi schwytali matkę i córkę. Obcięli im głowy i pastwili się nad trupami! O jakich jeszcze popełnionych przez nich okrucieństwach dopiero się dowiemy!”

Czytelnicy dowiadują się więc o kolejnych gruzińskich okrucieństwach na przykład z „Niezawisimej Gaziety”, która relację o zniszczeniach spowodowanych przez gruzińskie wojska ilustruje zdjęciami zrobionymi przez fotoreporterów agencji Reuters w zbombardowanym przez Rosjan gruzińskim mieście Gori.

W rosyjskiej powtórce z Kosowa w roli głównego złoczyńcy Slobodana Miloszevicia występuje prezydent Micheil Saakaszwili, który dał sygnał do rozpoczęcia szeroko zakrojonej operacji wojskowej w Osetii Południowej. Jurij Łużkow, obszernie cytowany przez wczorajszą „Rossijską Gazietę”, idzie jeszcze dalej. Mer Moskwy twierdzi, że przy tym, co zrobił przywódca Gruzji, „bladziutko wyglądają” nawet „niektóre epizody drugiej wojny światowej”.

Obrońcami uciemienionych są dziś żołnierze 58. armii, którzy przez ostatnie czternaście lat zdobywali doświadczenie bojowe, pacyfikując Czeczenię. Teraz ta sama armia, jak powtarzają co chwila media moskiewskie, wcale nie wojuje, lecz „prowadzi operację w celu przymuszenia do pokoju”.

W tym chórze dosyć niestety słabo odzywają się inne głosy. Dziennik „Wiedomosti” napisał w redakcyjnym komentarzu: „Niezależnie od tego, ile trwałaby jeszcze wojna w Osetii, Rosja

będzie za nią płacić długo. Zachód grozi nam pogorszeniem stosunków. Rząd będzie musiał zwiększyć wydatki zbrojeniowe i zapłacić za odbudowę Osetii”

A Matwiej Gonopolski przestrzega: „Skutkiem tej wojny będzie to, że przyjazny Rosjanom naród gruziński stanie się teraz naszym wrogiem. I to na długo”

27.08.2008, środa

TO JEST ROZBIÓR GRUZJI

Rosja patrzy Zachodowi w oczy i z cynicznym uśmiechem przypomina: – U nas gaz. A u was? Bezradni jednak nie jesteśmy.

Decyzję o uznaniu przez Rosję niezależności gruzińskich prowincji Abchazja i Osetia Południowa z radością poparł Ramzan Kadyrow, prezydent Czeczenii. Władca promoskiwski, osadzony w Groznym na rosyjskich bagnietach, ale dziś mocny już wielotysięcznymi oddziałami uzbrojonej po zęby własnej milicji. Polityk zapalczywy, brutalny i ambitny.

Moskwa odebrała Gruzji Abchazję oraz Osetię Południową i w rzeczywistości samowolnie dokonała rozbioru sąsiada, uzasadniając to takimi grzechami Tbilisi, jakie sama popełniała w Czeczenii. Bo czym różni się zarządzane przez Micheila Saakaszwilego bombardowanie Cchinwali od dywanowych nalotów na Grozny jesienią 1999 roku?

Wtedy uzasadnienie było takie samo. Metropolia i tu, i tam „zaprowadzała porządek konstytucyjny” w zbuntowanej prowincji, ignorując wolę jej mieszkańców. Różnica tylko jest taka, że w Groznym i latami pacyfikowanych przez Rosjan wioskach czeczeńskich ofiar było więcej.

Jeśli więc Saakaszwili jest „ludobójcą”, to kim jest Władimir Putin, który takimi samymi metodami, tylko na większą skalę, bo i czołgów miał więcej, prowadził tamtą wojnę?

Prezydent Dmitrij Miedwiediew tłumaczy decyzję rozbioru względami humanitarnymi. Według niego tylko odrywając obie prowincje od Gruzji, można zapewnić bezpieczeństwo i normalne warunki życia mieszkańcom tych regionów, którzy już dawno w referendum wypowiedzieli się za niezależnością.

To tylko półprawda. W wyniku wojny w Abchazji – wywołanej przez miejscowych separatystów wspieranych przez Rosję – z prowincji na początku lat dziewięćdziesiątych wygnano co najmniej 250 tysięcy Gruzinów. Ci ludzie pozbawieni dorobku całego życia do dziś wegetują w tymczasowych przytułkach. A wczoraj stracili wszelką nadzieję na to, że kiedykolwiek wrócą do swoich domów.

Teraz, gdy rosyjska 58. armia pognęła wojska gruzińskie z jego republiki, prezydent Osetii Południowej Eduard Kokojty chwalił się na łamach dziennika „Kommiersant”, że ludność wiosek gruzińskich też została wypędzona z domów, a „my wszystko tam zrównaliśmy z ziemią”, żeby „już nikt nie wrócił strzelać nam w plecy”. Czy „zrównywanie z ziemią” gruzińskich wiosek, którym chełpi się pupil Moskwy, też nie należy nazwać „ludobójstwem”?

Nowych uchodźców z Osetii Południowej jest co najmniej kilkanaście tysięcy. W sumie liczba mieszkańców Abchazji i Osetii Południowej jest dziś mniejsza od liczby tułających się po świecie uchodźców z tych prowincji. Oni nie brali udziału w żadnych referendum. Nie wyrażali „woli oderwania” swojej ziemi od Gruzji, na którą to wolę powołuje się Miedwiediew. Dziś ich „bezpieczeństwo” Moskwy nie interesuje, ona ich skreśliła.

Rosjanie, najpierw demolując niestawiającą już oporu Gruzję, a teraz ją demontując, złamali sześciopunktowe porozumienie zawarte niedawno w Moskwie przez Miedwiediewa i prezydenta Francji Nicolasa Sarkozy’ego.

Międzynarodowa opinia publiczna zgodnie potępia dziś Moskwę. Rosja ignoruje tę krytykę. Robi wrażenie, że bezsilna dziś Ameryka – jak zapewniają kontrolowane przez państwo media rosyjskie – i cierpiąca na uwiad starczy Europa nic nie są w stanie zrobić „wstającemu z kolan” supermocarstwu.

Bezradni jednak nie jesteśmy. Gwałtowny spadek akcji na giełdach moskiewskich wywołany obawami, że może dojść do międzynarodowej izolacji Rosji, pokazuje, jak bardzo ten kraj jest zależny od Zachodu.

My, jak mówią z dumą w Rosji, „siedzimy na igle” rosyjskiego gazu i ropy. Oni swoje bogactwo biorą stąd, że sprzedają gaz i ropę właśnie nam. A większość mięsa, sprzętu domowego, maszyn, samochodów, lekarstw – wszystkiego, co do życia niezbędne – kupują u nas, bo swego nie mają. Elity rosyjskie trzymają swoje kapitały w zachodnich bankach, domy mają w Londynie i na Lazurowym Wybrzeżu, dzieci uczą za granicą.

Nie jest więc tak, że Rosja się z nami liczyć nie musi. To, na ile możemy wpłynąć na nią, zależy od jednego – na ile solidarnie Europa i Ameryka powiedzą jej, że nie pozwalają na samowolny rozbiór suwerennego kraju.

6.09.2008, sobota

HETMAN ZDRADZONY. KSIĘŻNICZKA WYBIERA MOSKWĘ

Wojna w górach Kaukazu stała się detonatorem wojny na szczytach władzy w Kijowie. Celem ataku i tym razem jest prezydent, który sięgnął po władzę dzięki pomarańczowej rewolucji. Moskwa walczy z nim rękami samych Ukraińców.

Obu wyniesionych do władzy kolorowymi rewolucjami prezydentów – Wiktora Juszczenkę i Micheila Saakaszwilego – łączy bliska, mocna przyjaźń. Często spotykają się w Karpatach czy na Kaukazie. I wtedy czasem wspominają wspólną noc sylwestrową 2004 roku.

Kijów, Majdan. Pół miliona, a może milion ludzi witało Nowy Rok i świętowało wyniki trzeciej tury wyborów prezydenckich w Ukrainie. Już ostatecznie było wiadomo, że zwyciężył Juszczenko.

O północy w niebo strzeliły fajerwerki. Kiedy imponujący pokaz się skończył, stojący na scenie oklaskiwani przez tłum liderzy wzięli się za ręce i unieśli je do góry. Triumfator Juszczenko, jego żona Kateryna, druh z Gruzji Saakaszwili, jego żona Sandra i ubrana w piękne futro Julia Tymoszenko.

I wtedy z niskich chmur, których jeszcze przed chwilą, gdy niebo rozświetlały sztuczne ognie, nie było, sypnął gęsty śnieg.

– To znak z nieba! Na szczęśliwy nowy rok! Na szczęście naszych zwycięskich rewolucji! – krzyczała do mikrofonu Tymoszenko.

Księżniczka pomarańczowej rewolucji zdawała się jeszcze piękniejsza niż zwykle – oczy jej błyszcząły, a policzki były zarumienione od już styczniowego chłodu.

Anatolij Hrycenko, szef komisji obrony Rady Najwyższej, twierdzi, że wywiad ukraiński przespał wojnę w Gruzji i w nocy z 7 na 8 sierpnia nie zawiadomił prezydenta o tym, co się dzieje w Osetii Południowej.

Myli się, wywiad nie był potrzebny. Juszczenko znał sytuację w zbuntowanej prowincji, wiedział, że wspierani przez Moskwę Osetyjczycy z dnia na dzień coraz gwałtowniej ostrzeliwują wioski gruzińskie, a stacjonujące w Osetii „siły pokojowe” złożone z samych Rosjan biernie się temu przyglądają.

Juszczenko wiedział też, że jego przyjaciel z Tbilisi planuje „przywrócić porządek konstytucyjny”, czyli opanować zbuntowaną prowincję siłą. I był gotów pomóc Saakaszwilemu. Po ludzku, po przyjacielsku.

Kateryna Juszczenko, spędzająca z córkami Sofijką i Christinką oraz z synkiem Tarasem letnie wakacje we wspaniałej willi prezydenta koło krymskiego Sewastopola, szykowała już schronienie dla dzieci Saakaszwilego. Czekwała na trzynastoletniego Eduarda i dwuipółrocznego Nikolosa, chrześniaka Juszczenki.

Doczekała się ich cztery dni po wybuchu wojny, kiedy specjalny samolot z Pekinu przywiózł Sandrę Saakaszwili z chłopcami z igrzysk olimpijskich nie do bombardowanej przez Rosjan Gruzji, lecz na Krym.

Pierwszą fazę wojny Juszczenko obserwował z położonej przy ulicy Bankowej w centrum Kijowa siedziby administracji prezydenckiej.

Jego roboczy gabinet na piętrze jest zagracony do niemożliwości. Na stolikach, półkach, biurku leżą kozackie

buławy, stara broń, sztychy, książki. Wszystko to ma przypominać o starej Ukrainie i jej dawnej bitewnej chwale.

Bo gospodarz, choć z zawodu finansista, jest przywiązany do tradycji wojennej. Nawet urodził się, jak na mężczyznę przystało, 23 lutego, kiedy w ZSRR obchodziło się Dzień Obrońcy Ojczyzny. W jego rodzinnej Choruziwce w obwodzie sumskim – nie żadnej tam wsi kołchozowej, lecz starej kozackiej stancy – żywa jest tradycja hetmanów, wypraw na Turcję, wojen z Polską, wolnego wojska kozackiego. I oczywiście pamięć bohaterów sprzed wieków i z ostatniej wojny. Takich jak Andrij Juszczenko, ojciec prezydenta, dzielny żołnierz Armii Czerwonej, który wzięty do niewoli przez Niemców kilkanaście razy uciekał z obozów, w tym z obozu koncentracyjnego w Auschwitz.

Wiktor Juszczenko jest dumny ze swego ojca. Pytałem go kiedyś, jak udało mu się przeżyć, kiedy jesienią 2004 roku zatruto go śmiertelną dawką dioksyny. – Siła jest w genach, które odziedziczyłem. Ojca nie złamali hitlerowcy, mnie nie złamała trucizna – odpowiedział.

W jego gabinecie pachnie kozacką, hetmańską Ukrainą, tradycją wojennych pochodów. To nie jest tylko romantyczna tęsknota za przeszłością. Także wyrachowanie.

Juszczenko szczerze pragnie, żeby dawna kozacka tradycja stała się fundamentem tożsamości narodu ukraińskiego i wyparła tradycję radziecką, zgodnie z którą Ukraina to po prostu nieco inna Rosja.

Niedawno Władimir Putin zaproponował Kijowowi wspólne obchody 300. rocznicy bitwy pod ukraińską Połtawą, gdzie Rosjanie w 1709 roku rozgromili Szwedów. Pomysł zuchwały, bo w tamtej batalii po stronie Szwedów przeciw Rosjanom

walczył kozacki hetman Iwan Mazepa, uznawany przez wielu w Ukrainie za bohatera.

Juszczenko odpowiedział, że Ukraina w przyszłym roku uroczyście będzie świętować inną rocznicę – 350-lecie bitwy pod Konotopem, w której Kozacy pokonali Moskali.

W rewanżu w prasie rosyjskiej pojawiły się kłamliwe wzmianki, że Andrij Juszczenko w obozach hitlerowskich nie był bohaterem, ale pełnił funkcję kapo.

Juszczenko, jak na spadkobiercę tradycji hetmanów przystało, 8 sierpnia całą swą uwagę poświęcił wydarzeniom w Gruzji. Z jego roboczego grafiku wynika, że nikogo nie przyjmował, nikogo nie odznaczał. Na jego oficjalnej stronie internetowej opublikowano tylko jeden, wcześniej przygotowany dekret – o pomocy dla powodzian na Podkarpaciu.

Za to wiele razy rozmawiał przez telefon z Saakaszwilim.

Czułość prezydenta sprawiła, że to Kijów pierwszy błyskawicznie zareagował na uderzenie armii rosyjskiej na gruzińskie oddziały walczące z Osetyjczykami o Cchinwali. Startujące z Mozdoku rosyjskie myśliwce szturmowe Su-25 zaczęły bombardować Gruzinów zaraz po dziewiątej czasu warszawskiego, a MSZ Ukrainy już o 9.50 opublikował komunikat mówiący o „konieczności przestrzegania integralności terytorialnej i suwerenności Gruzji”. Dyplomaci z Kijowa zaproponowali też swój udział w mediacjach prowadzących do zakończenia konfliktu.

Pod wieczór specjalny wysłannik Juszczenki, wiceminister spraw zagranicznych Ukrainy Konstantyn Jelisiejew, był już w Tbilisi i przekazywał Gruzinom wyrazy poparcia.

Tymczasem Rosja rozpoczynała swoje działania na propagandowym froncie ukraińskim. Jako pierwszego rzuciła

do boju przywódcę partii komunistycznej Petra Symonenkę, człowieka wiernego tradycjom radzieckim, który publicznie przeważnie mówi po rosyjsku.

Symonenko w specjalnym oświadczeniu stwierdził, że po stronie Saakaszwilego na Kaukazie z Rosjanami walczą też Ukraińcy. I wezwał Juszczenkę, by ten „rozkazał natychmiast zawrócić do domu wojskowych ukraińskich, którzy znajdują się w Gruzji, i przestał zbroić swego prezydenckiego kuma”.

Symonenko „zdecydowanie potępił reżim Saakaszwilego” za rozpętanie wojny. Niczego od niego się jednak nie domagał, bo prezydent Gruzji to, jak powiedział, „piskłę z gniazda amerykańskiego orła, a jego postępowanie to zwierciadlany obraz agresywno-hegemonistycznej polityki USA”.

Zaraz po Symonence tego samego 8 sierpnia odezwał się Leonid Gracz, przywódca komunistów Krymu, który otwarcie nawołuje do oderwania półwyspu od Ukrainy i włączenia go do Rosji.

– To, co się wydarzyło w Osetii Południowej, to krwawe pozdrowienie od Michaiła [Gracz mówi wyłącznie po rosyjsku i imiona też zruszcza] Saakaszwilego dla Juszczenki. Jesteśmy przerażeni tym, że Juszczenko może skorzystać z tego przykładu i pójść krwawą drogą nienawiści. Niestety, które spadło na narody południowoosetyjski i rosyjski, powinno się stać dla nas dzwonem na trwogę. Wiedząc, że Juszczenko podobnie jak Saakaszwili trzyma się kursu wciągania państwa do NATO, każdy z nas powinien sobie zdawać sprawę, że natowcy szykują powtórkę z południowoosetyjskiego nieszczęścia także naszemu Krymowi – straszyl Gracz.

Dwie trzecie mieszkańców półwyspu to Rosjanie.

Nieco później, bo dopiero drugiego dnia wojny, odezwała się Moskwa. Oskarżyła Ukrainę o to samo co Symonenko i Gracz. „Państwo ukraińskie, które do ostatniej chwili z pasją zbroiło po zęby armię gruzińską, tym samym nakłaniając kierownictwo Gruzji do interwencji i czystek etnicznych w Osetii Południowej, nie ma prawa pouczać innych, a tym samym pretendować do jakiegokolwiek roli w uregulowaniu konfliktu” – czytamy w oficjalnej odpowiedzi MSZ Rosji na wcześniejsze oświadczenie MSZ Ukrainy.

Tymczasem rosyjskie kanały telewizyjne powszechnie oglądane w Ukrainie zapewniały Ukraińców, że to żołnierze ich armii strzelają do samolotów rosyjskich walczących z Gruzinami. To właśnie Ukraińcy mieli strącić rakieta strategiczny ponaddzwiękowy bombowiec Tu-22.

Wydawało się, że Ukraina może lada moment być wciągnięta w konflikt.

Trzeciego dnia wojny z dzierzawionej przez Rosjan krymskiej bazy morskiej w Sewastopolu wypłynęła ku brzegom kaukaskim silna eskadra Floty Czarnomorskiej prowadzona przez potężny krążownik rakietowy „Moskwa”.

Armada zablokowała wybrzeże gruzińskie. Wzięła też bezpośredni udział w walkach, zatapiając gruziński kuter rakietowy.

Ukraina zaprotestowała przeciw wykorzystywaniu bazy położonej na jej terytorium do agresji na obce państwo.

Juszczenko zapowiedział, że nie wpuści do Sewastopola okrętów wracających z wyprawy zbrojnej ku brzegom Kaukazu. Kilka dni później nakazał jednostkom rosyjskim stacjonującym na Krymie, by trzy dni przed każdym przekroczeniem granicy Ukrainy przez dowolny ich statek czy samolot zawiadamiały

o tym władze w Kijowie. Zażądał od Rosjan raportów: kto znajduje się na pokładzie każdego przekraczającego granicę okrętu lub przelatującego nad nią samolotu oraz w jaką broń, amunicję i materiały wybuchowe jest on wyposażony.

Trudno sobie wyobrazić, jak Juszczenko wyobrażał sobie egzekwowanie tych żądań.

Rosjanie mają dziś na Krymie 25 tysięcy marynarzy, 388 jednostek nawodnych, 14 okrętów podwodnych, 34 samoloty i helikoptery bojowe. Wejścia do bazy w Sewastopolu stale strzegą zakotwiczone na redzie rosyjskie niszczyciele.

Cała marynarka wojenna Ukrainy to 15,5 tysiąca ludzi, 27 jednostek pływających, 12 samolotów i helikopterów bojowych. Są jeszcze baterie artylerii nabrzeżnej, ale dysponująca potężniejszymi okrętami flota rosyjska mogłaby zdmuchnąć marynarkę ukraińską jedną, dwiema salwami.

Moskwa odpowiedziała więc Kijowowi na jego żądania z chłodną ironią właściwą temu, kto dysponuje miażdżącą przewagą siły ognia. – Flota Czarnomorska zgodnie z ustaleniami pozostanie na Krymie do 2017 roku, nie zważając na cyniczne wypowiedzi Ukrainy – oświadczył Grigorij Karasin, rosyjski wiceminister spraw zagranicznych.

W obronie rosyjskich okrętów stanęli też mieszkańcy Sewastopola, których sporą część stanowią emerytowani marynarze. – Czy dowódca morskich sił Ukrainy spodziewa się, że pozwolimy mu zablokować wejście do bazy? Jeśli trzeba będzie, to wypłyniemy na kutrach, łódkach, tratwach, a nawet wpław i unieruchomimy wszystkie łajby ukraińskie! – krzyczał na wiecu w Sewastopolu Andriej Mierkułow, radny miejski z ramienia silnej tu partii Blok Rosyjski.

Kiedy nocą 12 sierpnia przywódcy Estonii, Litwy, Łotwy, Polski i Ukrainy występowali w Tbilisi na wiecu poparcia dla atakowanej przez Rosjan Gruzji i Saakaszwilego, było tak jak w sylwestrową noc 2004 roku na kijowskim Majdanie. Wzięli się za ręce, unieśli je do góry.

Brakowało tylko księżniczki pomarańczowej rewolucji Julii Tymoszenko. A w Kijowie coraz częściej powtarzano pytanie: – Czemu pani premier milczy? Czemu nie powiedziała słowa na temat wojny, sporu o Flotę Czarnomorską, sytuacji na Krymie? I gdzie w ogóle jest?

Media spekulowały, że Tymoszenko może się leczyć, może spędza urlop w hotelu Villaggio Forte na Sardynii, w ulubionym zakątku poprzedniego prezydenta Ukrainy Leonida Kuczmy i jego zięcia, miliardera Wiktora Pinczuka.

Miała się tam ukrywać, rozpuściwszy swój firmowy warkocz, a kiedy wychodziła z hotelu, zasłaniała twarz wielkimi okularami przeciwsłonecznymi.

Ona sama do dziś nie wyjaśniła, co robiła ani gdzie była w gorące dni wojny w Gruzji, kiedy jej szef spierał się z Moskwą i latał do Tbilisi.

Kiedy w końcu zjawiła się w Kijowie, dopadli ją dziennikarze i zapytali, czy rzeczywiście wypoczywała na śródziemnomorskiej wyspie. Tymoszenko odparła: – Spytajcie o to sardynki, które pływają wokół Sardynii.

Kiedy dziennikarze ukraińscy próbowali zgadnąć, gdzie się schowała Tymoszenko, w Kijowie doszło do skandalu, który w konsekwencji wywołał polityczne trzęsienie ziemi.

Andrij Kysłyński, zastępca szefa kancelarii Juszczenki, 14 sierpnia na konferencji prasowej ogłosił, że pani premier milczy na temat sytuacji w Gruzji, bo zdradziła Ukrainę i spiskuje

z Moskwą, która obiecała jej ogromne pieniądze na kampanię przed zapowiedzianymi na początek 2010 roku wyborami prezydenckimi.

Kysłyński nie zastrzegł, że to tylko jego podejrzenia. On przedstawił słuchaczom jedenastopunktowy akt oskarżenia. Twierdził, że szefowa rządu zniknęła ze sceny politycznej i milczy jak sardynka, bo na Sardynii pracuje z powołanym i opłacanym przez Rosjan sztabem, który ma kierować jej kampanią wyborczą. I że spotyka się tam z Kuczmą i byłym szefem jego kancelarii Wiktozem Medwedczukiem, znanym z sympatii do Rosji.

Kysłyński oskarżał, że układ, który pani premier zawarła z Moskwą, przewiduje, iż Gazprom da jej miliard dolarów na wybory. Za to jej frakcja w parlamencie, czyli Blok Julii Tymoszenko, ma już teraz wejść w porozumienie z prorosyjską Partią Regionów i wspólnie z komunistami uchwalić zmiany ustaw ograniczające kompetencje Juszczenki.

W sumie te trzy frakcje dysponują w 450-osobowej Radzie Najwyższej „konstytucyjną” większością 368 głosów.

Po wygranych wyborach – ciągnął Kysłyński – Tymoszenko już jako prezydent miałaby m.in. zrezygnować ze starań o przyjęcie Ukrainy do NATO, a gazociągi prowadzące przez jej kraj z Rosji do Europy oddać konsorcjum niemiecko-rosyjskiemu.

Tak poważne zarzuty ze strony wysokiego urzędnika administracji prezydenckiej powinny były doprowadzić albo do natychmiastowej dymisji i postawienia pani premier w stan oskarżenia, albo do dymisji i postawienia przed sądem Kysłyńskiego.

Nic takiego się jednak nie stało.

Tymoszenko zareagowała dopiero po sześciu dniach. Powiedziała, że administracji prezydenckiej potrzebny jest stolarz,

który przybije na jej drzwiach tabliczkę „Sala szpitalna nr 5”, ostrzegającą, że za nimi umieszczono niebezpiecznych dla otoczenia pacjentów cierpiących na choroby umysłowe.

Przy okazji pierwszy raz wypowiedziała się na temat wojny na Kaukazie i wydusiła z siebie, że jest za „terytorialną integralnością Gruzji”.

Zacietrzewieni, wściekle walczący ze sobą o władzę i pieniądze politycy ukraińscy często rzucają pod adresem przeciwników najcięższe oskarżenia. A potem równie często i szybko zapominają o tym i wszystko rozchodzi się po kościach.

Tym razem się nie rozeszło.

2 września Rada Najwyższa po wakacyjnej przerwie wracała do pracy. Juszczenko wybierał się na sesję parlamentu, żeby zaapelować do posłów o jedność w obliczu agresywnej Rosji, która rozprawiwszy się z małym gruzińskim sąsiadem, zagraża Ukrainie.

Zrezygnował jednak, gdy go ostrzeżono, że w gmachu na Hruszewskiego czeka go wrogie przyjęcie.

W parlamencie realizował się złowrogi scenariusz nakreślony trzy tygodnie wcześniej przez Kysłyńskiego. Księżniczka pomarańczowej rewolucji, albo wcielając w życie jego zapowiedzi, albo mszcząc się za fałszywe oskarżenia pod swoim adresem, sprzymierzyła się z Partią Regionów Janukowycza i komunistami przeciw głowie państwa.

I Rada, jak fabryczna taśma, stale tą samą większością przegłosowywała antyprezydenckie uchwały jedna po drugiej.

Już pierwsza z nich przeraziła Juszczenkę. Rada postanowiła powołać do życia parlamentarne komisje śledcze. Zaczęła od komisji, która ma znaleźć winnych dostaw broni ukraińskiej do Gruzji.

Tym samym parlament Ukrainy podjął oskarżenia rzucone przez Moskwę w pierwszych dniach wojny o „zbrojeniu po zęby armii gruzińskiej” i nakłanianiu tym samym do „interwencji i czystek etnicznych w Osetii Południowej”.

Posłowie prezydenckiej Naszej Ukrainy-Samoobrony Ludowej, którzy teoretycznie tworzą koalicję rządową razem z Blokiem Julii Tymoszenko, na znak protestu wyszli z sali.

A parlament głosował dalej.

Przyznał rządowi prawo prowadzenia własnej, odrębnej od prezydenckiej polityki zagranicznej. Uprościł procedurę dymisjonowania prezydenta przez parlament. I w końcu odebrał Juszczenko wpływ na obsadę stanowiska szefa Służby Bezpieczeństwa Ukrainy i stanowisk szefów resortu.

Tymoszenko razem z prorosyjską Partią Regionów i otwarcie wspierającymi Moskwę komunistami przez cały dzień konsekwentnie pozbawiała prezydenta realnego wpływu na bieg spraw państwa. Zmieniała prozachodniego Juszczenkę w „królową angielską”, figuranta.

Jeśli – tak jak przewidywał Kysłyński – alians pani premier okaże się trwały, Juszczenko albo nie dotrwa do kolejnych wyborów prezydenckich, albo stanie do nich jako polityk przegrany.

Blok Tymoszenko i jego prorosyjscy sojusznicy mają dość siły, by przełamać weto, które prezydent z pewnością zgłosi wobec przyjętych zmian w ustawach.

Jeśli zechcą, mogą też zdymisjonować Juszczenkę pod byle pretekstem – choćby za pomoc, której udzielał swojemu przyjacielowi Saakaszwilemu.

Pomarańczowa koalicja w parlamencie ukraińskim się rozpadła. Oskarżając panią premier o zdradę ideałów obozu

pomarańczowego, wycofała się z niej prezydencka Nasza Ukraina-Samoobrona Ludowa.

Za zerwaniem koalicji głosowało w środę nad ranem 39 z 72 posłów prezydenckiego ugrupowania. Tylko 39, co dowodzi, że Juszczenko nie może liczyć już nawet na swoich posłów.

Co gorsza – jeden z liderów Naszej Ukrainy-Samoobrony Ludowej Jurij Łucenko otwarcie przeszedł na stronę pani premier, zapowiadając, że pomimo zerwania koalicji pozostaje ministrem spraw wewnętrznych w rządzie Tymoszenko.

Wszystko wskazuje na to, że w prezydenckich wyborach za dwa lata, a może i wcześniej, Rosja będzie miała popieranego przez siebie kandydata, który stanie do walki z Juszczenką.

I pewnie nie będzie to Wiktor Janukowycz, szef Partii Regionów. Kreml, i Władimir Putin osobiście, stawiał już na niego cztery lata temu, co skończyło się kompromitującą klęską i Moskwę, i ówczesnego rosyjskiego prezydenta.

Tymoszenko, gdyby rzeczywiście udało się ją Moskwie złowić, byłaby dla Rosji złotą rybką. Ona nie ma jak szef Regionów kryminalnej przeszłości, w młodości nie okradała z czapek przechodniów w małym górniczym miasteczku i nie siedziała za to w więzieniu.

Ma niezwykłą zdolność pozyskiwania zwolenników. Jest odważna. Nie skompromitowałaby się tak jak Janukowycz, który trafiony jajkiem rzuconym przez studenta ze strachu stracił przytomność w świetle kamer telewizyjnych.

Ponadto współpraca Tymoszenko z Moskwą miałaby wymiar symboliczny – byłaby znakiem dla świata, że pomarańczowa, prozachodnia rewolucja skończyła się katastrofą, a Ukraina wraca do rosyjskiej strefy wpływów.

Czy rzeczywiście premier Tymoszenko zdradziła ideały pomarańczowej rewolucji? Julia Mostowa, ceniona w Kijowie publicystka i redaktorka tygodnika „Dzerkało Tyżnia”, ma wątpliwości: – Po co Tymoszenko miałaby brać jakiś miliard dolarów od Rosjan na kampanię wyborczą? Ona może w kraju zebrać więcej pieniędzy, niż będzie w stanie wydać.

A Jurij Bauman, kijowski politolog, ocenia, że Tymoszenko po prostu rozpoczęła już swoją kampanię i postanowiła zawalczyć o głosy wyborców ze wschodu i południa kraju, gdzie bardzo silne są sympatie prorosyjskie.

– Jej dotychczasowy elektorat to zachód Ukrainy. Przywiązany do tradycji narodowych, prozachodni. Ale głosami tylko zachodu wyborów się u nas nie wygrywa – tłumaczy Bauman. – Żeby wygrać, trzeba sięgać po głosy na wschodzie. A tam tradycja hetmanów i wolnej kozaczyzny, na którą stawia Juszczenko, nic nie znaczy. Dla ludzi z Doniecka czy Ługańska, tak samo jak dla Rosjan, historia zaczyna się od zwycięstw Armii Czerwonej nad hitlerowcami. Sondáže dowodzą, że ci ludzie uważają rosyjską Flotę Czarnomorską stacjonującą na Krymie za czynnik stabilizujący sytuację w kraju, gwarancję ich bezpieczeństwa. Jeśli mają jakąś dewizę polityczną, to brzmi ona: „Byleby tylko nie było wojny”. Awantura o flotę, pogłoski o udziale żołnierzy ukraińskich w walkach na Kaukazie podrzucane nam przez telewizje rosyjskie przestraszyły tych ludzi. Dlatego spodobała im się wstrzeźliwość Tymoszenko – uważa politolog z Kijowa.

Jego zdaniem wojna na Kaukazie, która pokazała nową, agresywną i zdecydowaną twarz Moskwy, na dobre zmieniła politykę w Ukrainie: – Teraz będą się stale oglądać na Rosję, dużo bardziej się z nią liczyć.

Podobnie ocenia prof. Myrosław Popowycz, jeden z najbardziej cenionych obserwatorów życia publicznego w Ukrainie. – W Kijowie mówi się, że teraz Rosja zabierze się za Ukrainę. Że tak jak w gruzińskiej Osetii Południowej wzniesi ruchawki na naszym Krymie, żeby stworzyć sobie pretekst do kolejnej zbrojnej inwazji. Ale to nie tak – przekonuje prof. Popowycz. – Po pierwsze, Rosja już się za nas wzięła. Po drugie, na froncie ukraińskim nie musi wcale walczyć czołgami. Trzyma nas na celowniku swoich rur – gazociągów, naftociągów. Podporządkuje nas za pomocą cen gazu, ropy, zakazów wwozu mięsa, cukru i tak dalej. A jej celem jest, tak jak w Gruzji, zniszczenie dorobku naszej kolorowej rewolucji, zawrócenie z drogi ku NATO [w kwietniu 2008 roku na szczycie Sojuszu Północnoatlantyckiego w Bukareszcie zdecydowano, że w przyszłości Ukraina i Gruzja zostaną członkami NATO] i Unii Europejskiej. Moskwa już odniosła wielki sukces na ukraińskim froncie, bo wtrąciła nas w wielki zamęt polityczny.

7.11.2008, piątek

PUTIN ZNÓW PREZYDENTEM?

Dmitrij Miedwiediew toruje Władimirowi Putinowi powrót do prezydentury, i to na dwanaście lat – sądzą obserwatorzy moskiewscy.

Nowy przywódca Rosji w swym pierwszym dorocznym orędziu do parlamentu i narodu – poza zapowiedziami rozmieszczenia rakiet Iskander w obwodzie kaliningradzkim jako odpowiedzi na budowę amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce i Czechach – ogłosił, że chce przedłużyć kadencję prezydencką z czterech do sześciu lat i parlamentarną – z czterech do pięciu.

To pierwsze stało się sensacją światową, drugie wywołało burzę w Rosji.

Komentatorzy natychmiast przypomnieli pogłoski krążące w Moskwie rok temu, kiedy zbliżał się koniec drugiej i ostatniej kadencji poprzedniego prezydenta Władimira Putina. Mówiło się wtedy, że zgodnie z tajnym planem Kremla ustępującego prezydenta jedynie czasowo zastąpi „figurant”, który zmieni konstytucję, a potem szybko poda się do dymisji, ustępując miejsca poprzednikowi, który po przerwie znowu będzie mógł stanąć do wyborów prezydenckich.

Prestiżowy dziennik „Wiedomosti” uważa, że zapowiedź przedłużenia kadencji prezydenckiej to sygnał, że rozpoczęła się realizacja tajnego planu, wymyślonego, zdaniem gazety, przez

Władisława Surkowa, zastępcę szefa administracji Kremla, autora najbardziej pokrętnych intryg politycznych w Rosji w ostatnich latach.

„Wiedomosti” zapowiadają, że Miedwiediew już w przyszłym roku poda się do dymisji, Putin wróci do władzy i będzie rządzić Rosją do 2021 roku. Według dziennika premier już rozpoczął kampanię prezydencką, uruchamiając kilka dni temu swoją witrynę internetową.

W podobnym tonie pisze inna prestiżowa moskiewska gazeta – „Kommiersant” – przypominając, że prawo nie zabrania temu, kto przez dwie kadencje był prezydentem, starać się jeszcze raz o to stanowisko po przerwie w sprawowaniu władzy.

Tym spekulacjom przeczy jednak to, że Miedwiediew zawarł w orędziu także nieśmiałe zapowiedzi zmiany polityki wewnętrznej. Putin przez osiem lat swoich rządów budował coś, co w Rosji nazywają „twardym pionem władzy”, czyli system, w którym całe życie polityczne jest podporządkowane jednemu ośrodkowi.

Z Rady Federacji, wyższej izby parlamentu, składającej się z przedstawicieli regionów, wyrzucił wybieranych przez mieszkańców obwodów gubernatorów, a na ich miejsce posadził ludzi przez siebie mianowanych. Z Dumy, izby niższej, znikła wszelka demokratyczna opozycja. Symbolem zmian stała się maksyma Borysa Gryżłowa, marszałka Dumy: „Parlament to nie miejsce do dyskusji!”

Teraz Miedwiediew nie ogłosił wprawdzie, że przywróci zlikwidowane przez Putina wybory gubernatorów, a im samym da miejsca w Radzie Federacji, zapowiedział jednak, że senatorami będą mogli być tylko ludzie, którzy wcześniej zostali wybrani do regionalnych samorządów. To tylko pół kroku,

ale w kierunku przeciwnym do tego, w którym cały czas szedł Putin.

Nowy prezydent obiecuje też, że partie, którym nie udało się pokonać ustanowionego przy Putinie siedmioprocentowego progu wyborczego, ale zdobyły sporo głosów, będą mogły liczyć na jedno, dwa miejsca w Dumie. Zmiana również niewielka, ale nawet kilku demokratów może zmienić Dumę w „miejsce do dyskusji”

Miedwiediew zapowiedział także, że nieco odkręci śrubę, którą partiom politycznym przykręcał przez osiem lat Putin. Łatwiej będzie zakładać nowe ugrupowania, rejestrować listy wyborcze.

To na razie tylko ogólnikowe zapowiedzi, bo prezydent nie powiedział, jak i kiedy będzie realizował swe plany, a w dzisiejszej Rosji wysocy przedstawiciele władzy nie pozwalają dziennikarzom odpytywać się na gorąco.

Jeśli jednak Miedwiediew będzie realizował swoje obietnice, utwardzany przez Putina „pion władzy” zacznie mięknąć. A przecież tymczasowy „figurant” nie zmieniałby ulubionych porządków gospodarza, jeśliby ten za moment miał wrócić na swoje miejsce.

22.11.2008, sobota

PUTIN MOŻE WRÓCIĆ NA DWANAŚCIE LAT

Duma zatwierdziła wczoraj przedłużenie kadencji prezydenta Rosji z czterech do sześciu lat.

Za propozycją przedłużenia kadencji prezydenckiej do sześciu lat i poselskiej (z czterech do pięciu lat) głosowali wszyscy obecni w Dumie deputowani frakcji prokremlowskiej – 392 osoby. Przeciw było tylko 57 komunistów uparcie broniących czteroletnich kadencji zapisanych w konstytucji przyjętej w czasach Borysa Jelcyna.

Nie można jednak powiedzieć, że w obozie władzy nie było przeciwników przedłużenia o dwa lata rządów prezydenckich. Wielu prokremlowskich polityków – m.in. brunatny populistą Władimir Żyrinowski – prześcigało się w propozycjach, by prezydentowi dać porządzić jeszcze dłużej, na przykład siedem lat.

Zdecydowanie protestowała przeciw pierwszej od 1993 roku zmianie konstytucji opozycja pozaparlamentarna. Zwolennicy demokratycznej partii Jabłoko pikietowali Dumę z transparentem, na którym zapisali słowa Putina: „Mózgi im trzeba zmienić, a nie konstytucję”, którymi jeszcze jako prezydent odrzucił on propozycję wydłużenia swej kadencji.

12.08.2009, środa

KREML MROZI UKRAINE

Dmitrij Miedwiediew zamroził kontakty z Kijowem do czasu pojawienia się tam nowego prezydenta i oskarżył ukraińską głowę państwa o antyrosyjskość. – Moskwa usiłuje dobić Wiktora Juszczenkę – uważają eksperci.

Oświadczenie prezydenta ukazało się na jego wideoblogu. Miedwiediew mówił, że nie wyśle do Kijowa nowego ambasadora Michaiła Zurabowa. Dyplomaty, który został wyznaczony przez Moskwę i zaakceptowany już przez Kijów.

Prezydent tłumaczył, że zdecydował się na ten krok, bo z winy władz Ukrainy napięcie między oboma krajami przekracza wszelkie normy. Lista ciężkich zarzutów jest długa.

– Kijów zajął stanowisko jawnie antyrosyjskie w związku z napadem reżimu Saakaszwilego na Osetię Południową. To właśnie z ukraińskiej broni zabijano cywilów i rosyjskich żołnierzy sił pokojowych – mówił Miedwiediew, odnosząc się do wojny z Gruzją sprzed roku.

– Łamiąc fundamentalne porozumienia między naszymi krajami, codziennie czyni się próby przeszkadzania w działalności Floty Czarnomorskiej – to nawiązanie do układu, w którym Kijów zgodził się, by baza rosyjskiej marynarki w Sewastopolu na ukraińskim Krymie działała do 2017 roku.

Ukraińcy wielokrotnie powtarzali, że wywiążą się ze zobowiązania, ale niech Rosjanie przygotują program

wycofania jednostek. Admirałowie rosyjscy dają do zrozumienia, że po 2017 roku chcą zostać na Krymie.

Następnie Miedwiediew zarzucił Kijowowi „otwarte fałszowanie skomplikowanych, trudnych epizodów wspólnej historii, stronic Wielkiego Głodu w Związku Radzieckim, traktowanie Wielkiej Wojny Ojczyźnianej jako konfrontacji między systemami totalitarnymi”

Ponadto zdaniem prezydenta firmy rosyjskie muszą się borykać z obstrukcją władz Ukrainy. – Kijów za plecami Rosji porozumiewa się z Europą w sprawie dostaw rosyjskiego gazu – stwierdził Miedwiediew.

Zwracając się do Ukraińców, zapewnił, że stosunki obu państw przetrwają wszelkie problemy i nie zepsują ich ani interesy polityków, ani błędy kierowników, nie zatopi ich gadanina i pseudohistoryczne badania.

– Jestem przekonany, że nastąpią nowe czasy, ale w istniejącej sytuacji zdecydowałem się nie wysyłać ambasadora do Ukrainy. Rozpocznie on pracę później. Związki Rosji i Ukrainy wrócą na nowy jakościowo poziom, poziom partnerstwa strategicznego. I te czasy nie są odległe – powiedział, nawiązując tym razem do zapowiedzianych na styczeń wyborów prezydenckich w Ukrainie.

Gwałtowny atak na przywódców sąsiedniego kraju, który ukraiński deputowany Andrij Parubij nazywa antyukraińskim manifestem, zakłopotał rosyjskich ekspertów. Kilku z nich odmówiło nam komentarza, tłumacząc, że nie rozumieją, co skłoniło prezydenta do tak ostrej i niespodziewanej krytyki ukraińskiego kolegi.

– Na Kremlu najwidoczniej doszli do wniosku, że pięć miesięcy przed wyborami w Ukrainie Moskwa powinna i może dobić

Juszczenkę – powiedział nam Władimir Miłow, jeden z przywódców opozycyjnego ruchu Solidarnost'. – Chyba zapomnieli lekcję z 2004 roku, kiedy w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej w Ukrainie Władimir Putin poparł Wiktora Janukowycza, głównego rywala Juszczenki. Nie bez powodu tych, którzy rządzą Rosją, nazywa się „siłowikami”. W ich naturze jest usiłowanie rozwiązywania wszelkich problemów za pomocą pogroźek i siły.

– Być może Moskwa ustami Miedwiediewa wyświadcza kolejną niedźwiedzią przysługę Janukowyczowi, który znów staje do wyborów jako przeciwnik Juszczenki – uważa kijowski politolog Wiktor Nebożenko. – Po wojnie z Gruzją przywódcy Rosji, brutalnie atakując Micheila Saakaszwilego, uratowali go przed nieuchronną, jak się wydawało, utratą prezydenckiego fotela. Teraz, napadając na pomarańczowego prezydenta i ingerując w naszą kampanię wyborczą, Miedwiediew podnosi bardzo niskie notowania Juszczenki i czyni go w oczach wyborców obrońcą kraju przed zakusami Rosji – dowodzi ukraiński ekspert.

Ostatecznie wybory prezydenckie w lutym 2010 roku wygrał Wiktor Janukowycz z prorosyjskiej Partii Regionów, który minimalnie pokonał Julię Tymoszenko z proeuropejskiej Batkiwszczyny. Wiktor Juszczenko, którego popularność ogromnie spadła, m.in. po przeprowadzeniu kilku bolesnych dla społeczeństwa reform, dostał w pierwszej turze niecałe 5,5 procent głosów.

4.12.2009, piątek

DOBRY GOSPODARZ PUTIN

– Niedoczekanie wasze – odparł premier Władimir Putin pytany, czy zamierza odejść z polityki. W czasie dorocznej telewizyjnej rozmowy z rodakami nie wykluczył też, że za trzy lata znów będzie się starać o fotel prezydencki.

Ósma już z kolei *Rozmowa z Władimirem Putinem*. Ciąg dalszy to najważniejsze, obok defilady zwycięstwa na placu Czerwonym 9 maja, wydarzenie liturgiczne w życiu politycznym Rosji.

Transmitują ją telewizja Rossija, Radio Rossii i Radio Majak. Publiczny dialog szefa rządu z rodakami przyćmiewa nawet orędzie Dmitrija Miedwiediewa, od maja 2008 roku prezydenta. Wyniki sondażu przeprowadzonego przez Ośrodek Jurija Lewady dowodzą, że 43 procent Rosjan uważa rozmowę premiera ze społeczeństwem za ważniejszą od wystąpienia prezydenta, a tylko 16 procent myśli, że jest na odwrót.

Przed obecną *Rozmową* i w jej trakcie Rosjanie zadali Putinowi około 2,2 miliona pytań – telefonując do specjalnego sztabu, przysyłając SMS-y i e-maile. Oznacza to, że co siedemdziesiąty piąty mieszkaniec kraju próbował nawiązać kontakt z „liderem nacji”, jak często nazywa się tu premiera.

Oprawa samej *Rozmowy* jak zwykle była imponująca. W studiu moskiewskim z Putinem spotkało się około 200 gości z całego kraju. Kamery telewizyjne dyżurowały też w regionach. Dzięki temu po dwa pytania mogli zadać ludzie z Pikałowa,

Komsomolska na Amurze, Togliatti, nowokuźnieckiego zagłębia węglowego, Magnitogorska czy Naberieżnych Czełnów.

Te miasta wybrano nieprzypadkowo – to miejsca bojowej chwały Putina w ostatnim kryzysowym roku. Premier był w każdym z nich, wszędzie – tak jak w małym Pikałowie czy w wielkiej fabryce samochodów w Togliatti – osobistymi decyzjami i potężnymi zastrzykami pieniędzy ratował miejscowe zakłady przed bankructwem.

W tych fabrykach korespondenci telewizyjni rozstawiali po kilkudziesięciu starannie dobranych, odzianych w kaski pracowników. Ci, którym podtykali mikrofony, dziękowali i prosili o dalsze wsparcie.

Putin znów wystąpił w roli dobrego ojca narodu, obiecując pomoc państwa budowniczym samolotów, stoczniovcem, załogom fabryk samochodów w Togliatti i Naberieżnych Czełnach, metalurgom, górnikom.

Pokazał, że nieobce mu są codzienne kłopoty zwykłych ludzi. Dodzwoniła się do niego kobieta zatroskana losem staruszki mieszkającej tuż obok miejsca, gdzie zamachowcy wysadzili w powietrze pociąg „Newski Ekspres”, zabijając dwadzieścia siedem osób. Pytała, kto wyreperuje samotnej kobiecie płot rozbity wykolejonym wagonem. Premier uspokoił kobietę – już wcześniej rozmawiał z szefem kolei o staruszce, która zaraz po katastrofie pomagała rannym. Postanowili, że podwoją jej emeryturę i przeprowadzą do innego domu.

Stoczniovec z Komsomolska na Amurze skarżył się, że on i jego koledzy nie dostali jeszcze wypłat. Putin i w tym przypadku dokładnie wyjaśnił rozmówcy, kiedy stocznia ureguluje długi wobec swych robotników.

Dobrego słowa nie miał tylko dla Michaiła Chodorkowskiego, odbywającego już jedną karę i znów sądzonego byłego szefa spółki naftowej Jukos. Przypomniął, że dawny oligarcha siedzi w więzieniu, bo został prawomocnie skazany. Dodał, że wśród ciemnych spraw Jukosu jest „co najmniej pięć udowodnionych morderstw” (zamieszany jest w nie szef ochrony spółki). I pochwalił się, że pieniądze, które państwo zarobiło na sprzedaży przejętego Jukosu, poszły na cele społeczne – remont 10 milionów mieszkań i nowe mieszkania dla Rosjan wyprowadzanych ze starych ruder.

Na pytanie o ocenę Stalina premier odpowiedział „po wyborczemu”. Przypomniął, że Stalin zmienił kraj i to w jego epoce ZSRR pokonał Niemcy. Ale dodał, że te sukcesy zostały jednak osiągnięte za cenę, z którą „nie wolno się pogodzić”. Przyznał też, że w epoce Stalina doszło do masowych zbrodni przeciw własnemu narodowi.

– To taki pożyteczny dwustronny kontakt ze społeczeństwem – wyjaśniał Putin sens rozmowy z rodakami. Tłumaczył, że członkowie rządu z ogromnym zainteresowaniem czytali pytania obywateli, bo dzięki temu dowiedzieli się wiele o sytuacji w kraju.

Dialog wyglądał jak początek kampanii przed wyborami prezydenckimi w 2012 roku. Putin, który był głową państwa w latach 2000-2008, nie wykluczył, że będzie się starał o prezydencki fotel. W czasie czterogodzinnej rozmowy z rodakami tylko dwa razy wspomniął swego przełożonego Miedwiediewa. A na temat powszechnego głosowania stwierdził: – Chwała Bogu, wyborów u nas nie ma.

Premier chciał powiedzieć, że wyborów nie ma w tej chwili, ale wyszło dwuznacznie.

8.02.2010, poniedziałek

ROSJA NADAL BOI SIĘ NATO

– Największe zagrożenie dla Rosji to NATO – głosi nowa rosyjska doktryna wojenna. Do tego ogłoszona w idealnym momencie.

Kreml celowo ogłosił nową doktrynę w przeddzień konferencji w Monachium, którą Władimir Putin wykorzystał przed trzema laty do publicznego oskarżenia USA i NATO o osaczenie Rosji. Rosyjski szef dyplomacji Siergiej Ławrow teraz też ostro krytykował w Monachium pomysł rozmieszczenia rakiet Patriot w Polsce oraz włączenia Rumunii w plany budowy nowej tarczy.

Dwie poprzednie rosyjskie doktryny – pierwsza wydana jako dekret Borysa Jelcyna w 1993 roku i druga sygnowana przez Władimira Putina dziesięć lat temu – nie wskazywały wprost potencjalnego przeciwnika, który zagraża bezpieczeństwu Rosji. Natomiast teraz wymieniony z nazwy Sojusz Północnoatlantycki znalazł się na pierwszym miejscu długiej listy „zagrożeń wojennych”.

– Jestem zaskoczony. To nie odpowiada rzeczywistości – mówił na obecnej monachijskiej konferencji sekretarz generalny NATO Anders Fogh Rasmussen. Rozczarowanie jest tym większe, że Rasmussen zarządził niedawno konsultacje z Rosją na temat nowej strategii NATO (pracująca nad nią „rada mędrców” leci do Moskwy jutro) oraz zamierza przeprowadzić wspólną rosyjsko-NATO-wską ocenę zagrożeń bezpieczeństwa obu stron.

Rosjanie uparcie wracają do pomysłu stworzenia nowego systemu bezpieczeństwa w Europie, który Miedwiediew zgłosił w 2008 roku. – Chcemy przewyciężyć zimnowojenne myślenie w kategoriach bloków politycznych w Europie – przekonywał teraz w Monachium Ławrow.

Zdaniem zachodnich analityków jednym z prawdziwych celów nowego systemu miałyby być jednak zamrożenie obecnej sytuacji geopolitycznej w Europie. – Rosyjskie propozycje dotyczące nowej architektury bezpieczeństwa europejskiego nawiązują do niefortunnej tezy o podziale na starą i nową Europę o różnych prawach – mówił w Monachium były szef polskiej dyplomacji Adam Daniel Rotfeld.

Amerykanie uchylają się od dyskusji o pomysłach Miedwiediewa i podkreślają – jak sekretarz stanu Hillary Clinton podczas niedawnej mowy w paryskiej École Militaire – że podstawowym forum bezpieczeństwa w Europie pozostaje OBWE.

– OBWE cierpi na atrofię. Wojny na Bałkanach i w Gruzji dowodzą, że nie spełnia swej funkcji w dziedzinie bezpieczeństwa – polemizował Ławrow w Monachium. Rosja dąży do zmarginalizowania tej organizacji, której obserwatorzy systematycznie wytykają oszustwa wyborcze pupilom Kremla na obszarze poradzieckim.

Kreml twierdzi, że boi się nie tylko rozszerzenia NATO, jego nowych instalacji, jak tarcza antyrakietowa, czy też przesuwania zachodnich wojsk ku swym granicom, ale też – to element nowej doktryny, o którym Moskwa mówiła dotąd bardzo rzadko – „dążenia NATO do przejmowania funkcji globalnych”.

Część krajów Sojuszu istotnie chce coraz większego wychodzenia NATO poza podstawowe zadanie obrony swego

terytorium i stworzenia z NATO – jak mówił Rasmussen – serca światowego bezpieczeństwa (*security hub*), angażującego m.in. Indie i Chiny.

Obawy Rosji przed rosnącą rolą NATO mogą być jednak mocno na wyrost, bo pomysłem Rasmussena towarzyszy – jak można usłyszeć w brukselskiej kwaterze Sojuszu – brak konkretnych idei ze strony Białego Domu. – Waszyngton od blisko roku uchyla się od przywódczej roli w Sojuszu. Nie wiadomo, czy i jak pociągnie prace nad nową dobrą strategią NATO – mówi jeden z NATO-wskich dyplomatów.

Wbrew naciskom rosyjskich jastrzębi Kreml nie zastrzegł w swej nowej doktrynie prawa Rosji do prewencyjnego uderzenia jądrowego czy też do użycia broni atomowej w konfliktach regionalnych.

26.07.2010, poniedziałek

EASY RIDER PUTIN

Premier Rosji spotkał się z dziesięcioma rosyjskimi szpiegami deportowanymi niedawno z USA. Obiecał im „ciekawe życie”, a tym, którzy ich zdradzili – marny koniec.

Putin razem ze szpiegami nawet zaśpiewał. Pieśń wykonana przez nich pod żywą muzykę to *Od czego zaczyna się ojczyzna*, pochodzi ona z nakręconego w końcu lat sześćdziesiątych ulubionego przez funkcjonariuszy KGB filmu *Tarcza i miecz* o dzielnych radzieckich szpiegach. W jednej ze zwrotek utworu mowa jest o tym, że ojczyzna zaczyna się od „starej ojcowskiej budionowki”, czyli sukiennego hełmu noszonego przez bolszewików.

Z Putinem pieśń wykonywali ludzie pod koniec czerwca zdemaskowani przez FBI jako nielegalowie, czyli zakonspirowani agenci rosyjskiej Służby Wywiadu Zagranicznego, którzy do niedawna prowadzili za oceanem normalne życie obywateli USA. Dwa tygodnie temu Amerykanie wymienili ich na czterech obywateli Rosji odsiadujących w ojczyźnie wyroki za współpracę z obcymi wywiadami.

Szef rządu obiecywał zdemaskowanym nielegalom, że mimo wpadki czeka ich teraz niezłe życie – „ciekawe i barwne”.

W ojczyźnie, do której wrócili tak niespodziewanie i wbrew swej woli, szpiegdy, jak obiecuje premier, dostaną dobrą pracę. Jakie posady czekają całą dziesiątkę, nie wiadomo. Można się

tylko domyślać, że największe perspektywy otwierają się przed młodą Anną Chapman, z domu Kuszczenko.

Rudowłosa dziewczyna o wyzywającej urodzie i swobodnym stylu bycia rozpala niezdrowe emocje u podstarzałych panów i teraz biją się o nią przywódcy partii politycznych widzący w niej kandydatkę na postać do Dumy. Największe szanse na zdobycie politycznej ręki Anny, z uwagi na zgrabną figurę zwaną agentem 90-60-90, ma, jak się wydaje, nacjonalistyczna partia Władimira Żyrinowskiego [ostatecznie Chapman dostała kilka intratnych propozycji z rosyjskich mediów i firm, politykiem nie została].

W poselskich ławach tej partii zasiada już były oficer służb specjalnych Andriej Ługowoj. To on, jak się powszechnie uważa, cztery lata temu otruł polonem w Londynie ukrywającego się na emigracji zbuntowanego podpułkownika FSB Aleksandra Litwinienkę. Brytyjczycy ścigają go międzynarodowym listem gończym.

Premier, przyjmując u siebie szpiegów, nie tylko śpiewał z nimi pieśń ze szpiegowskiego hitu i koił ich skołatane porażką serca obietnicami jedwabnego życia. Zapewnił ich także, że wpadka to wynik nie ich złej pracy, lecz zdrady.

A zdrajcy zawsze kończą źle, „umierają z reguły albo od pijaństwa, albo od narkotyków pod płotem”. Jeden z nich, jak przypomniał Putin, „niedawno tak zakończył swoją egzystencję”. Premier nie wymienił jego nazwiska, miał jednak zapewne na myśli Siergieja Trietiakowa, oficera wywiadu rosyjskiego, który dziesięć lat temu przeszedł na stronę Amerykanów, a kilka tygodni temu umarł na serce w swym domu w USA.

Premier zapewnił, że wie, kto zdradził nielegalów, dodając, że „służby specjalne rozliczą się z nimi zgodnie ze znanymi

powszechnie regułami obowiązującymi w tym środowisku”. KGB znana była z tego, że swych zdrajców ścigała i bez mrugnięcia okiem mordowała albo na Łubiance, albo gdziekolwiek poza granicami kraju.

O swych rozmowach i śpiewach ze szpiegami sam Putin szczegółowo opowiedział poza granicami Rosji, w Forosie, kurorcie na ukraińskim Krymie, dokąd przyjechał na rozmowy z prezydentem Wiktoorem Janukowyczem i spotkanie z tysiącami motocyklistów, którzy zjechali pod Sewastopol.

Premier, który rok temu został przyjęty do moskiewskiego bractwa motocyklistów Nocne Wilki, pojawił się na zlocie amatorów szybkiej jazdy mocnymi motorami w dobrym stylu. Przyjechał, pędząc na czele kolumny motocyklistów trzykołowym harleyem-davidsonem, za którym powiewały dwie flagi – rosyjska i ukraińska.

Ubrany był oczywiście na czarno, na nosie miał ciemne okulary. Kasku wbrew przepisom o ruchu drogowym nie założył.

Putin, który od lat robi, co może, by pokazać, że żaden środek transportu nie jest mu obcy – jeździł konno, latał myśliwcem, pilotował bombowiec, schodził pod powierzchnię oceanu w okręcie podwodnym – zrobił furorę wśród bajkerów. Ich samych nazywał „braćmi”, a ich hobby – „najbardziej demokratycznym”. Oni pchali się do niego, prosząc o autograf.

Jakaś dziewczyna błagała, by podpisał się jej na przedramieniu. Ale premier odmówił i tylko pocałował ją w rękę.

2.12.2010, czwartek

PUTIN GANI AMERYKĘ

W wywiadzie dla CNN premier Władimir Putin oburzał się na to, jak dyplomaci USA traktują jego kraj w ujawnionych przez portal Wikileaks dokumentach. Zapowiedział też, że jeśli Moskwa nie dogada się z Zachodem w sprawie współpracy militarnej, światu grozi wyścig zbrojeń.

Putina poruszyło to, że w dokumentach, które publikuje Wikileaks, Amerykanie jego współpracę z prezydentem Dmitrijem Miedwiediewem przedstawiają jak relację między Batmanem i Robinem w filmie, w którym superbohater bierze sobie za partnera niedoświadczonego Robina.

Taka charakterystyka – według szefa rządu Rosji – „miała oczernić jednego z nas” – Nie podejrzewaliśmy, że to zostanie zrobione z taką wyniosłością, tak ordynarnie i nieetycznie – oceniał Putin w rozmowie z Larrym Kingiem, która została wyemitowana nad ranem czasu polskiego. Poradził też dyplomatom USA, by bardziej przykładali się do „zabezpieczenia konfidencjonalności swej korespondencji”.

Putin polemizował z sekretarzem obrony Robertem Gatesem, który stwierdził w jednym z ujawnionych dokumentów, że rosyjska demokracja „przestała istnieć”. Premier przypomniał, że w wyborach prezydenta USA dwa razy zwyciężał kandydat, który zdobył mniej głosów, ale zyskał większe poparcie elektorów.

– Kiedy rozmawiamy o tym z naszymi amerykańskimi kolegami, słyszymy: „Nie mieszajcie się w nasze sprawy. To nasza tradycja i ona będzie trwać”. My się nie mieszamy, ale poradziłbym Amerykanom, aby i oni nie ingerowali w suwerenny wybór narodu Rosji – apelował Putin.

Premier powtórzył też to, co swym dorocznym orędziem mówił Miedwiediew o amerykańsko-rosyjskiej współpracy militarnej. I tak jak prezydent zapowiedział, że jeśli Moskwa i Waszyngton nie dojdą do porozumienia w sprawie budowy wspólnej tarczy antyrakietowej, to światu grozi nowy wyścig zbrojeń. Podobnych konsekwencji należy oczekiwać, jeśli Amerykanie nie ratyfikują podpisanego już przez prezydentów USA i Rosji traktatu o redukcji ofensywnej broni atomowej START.

Wywiadu Putina dla Kinga w Rosji oczekiwano jak ważnego wydarzenia, bo dobrze pamiętana jest rozmowa ze słynnym dziennikarzem CNN z roku 2000. Wtedy świat gubił się w domysłach, co było przyczyną tragedii atomowego okrętu podwodnego „Kursk”, który zatonął w czasie ćwiczeń na Morzu Barentsa. King zapytał więc: „Co się stało z łodzią podwodną?”. Putin, patrząc mu prosto w oczy, zamknął temat lakoniczną odpowiedzią: „Ona zatoneła”.

3.12.2010, piątek

MAFIJNA PIRAMIDA ROSJI

Zachód uważa Rosję za państwo skorumpowane do cna. Na czele tej przestępczej piramidy stoi sam Władimir Putin gromadzący ogromny majątek – wynika z raportów dyplomatów USA ujawnionych przez portal Wikileaks.

John Beyrle, ambasador USA w Moskwie od lipca 2008 roku, pisał w jednej z depeesz, że merowie miast i gubernatorzy dają kremlowskim urzędnikom solidne łapówki, co gwarantuje im nietykalność i ochronę przed kontrolami z centrum. Wśród opłacających się Kremlowi miał być mer Moskwy Jurij Łużkow, wyrzucony dwa miesiące temu przez prezydenta Dmitrija Miedwiediewa.

Łużkowa widziano ponoć, jak w otoczeniu ochrony przyjeżdżał do siedziby prezydenta Rosji z walizkami pieniędzy. Merów i gubernatorów „karmią” z kolei ich podwładni.

Kolejny szczebel wszechobecnej korupcji to FSB i milicja. Obie te instytucje podzieliły między siebie rewiry łowieckie. Milicja doi średnich i małych przedsiębiorców, a FSB bierze ciężkie pieniądze od „krupniaka”, jak nazywany jest w Rosji duży biznes.

„Łapówkarstwo stało się równoległym do oficjalnego systemem podatkowym, który czyni bogatymi milicjantów, biurokratów i funkcjonariuszy FSB” – podsumowuje treść dokumentów opublikowanych przez Wikileaks brytyjski dziennik „Guardian”. Eksperci szacują od dawna, że korupcja w Rosja sięga

rocznie 300 miliardów dolarów – to mniej więcej tyle, ile wynosi budżet państwa.

Ludzie z aparatu państwowego kontrolują struktury mafijne i za pieniądze gwarantują bezpieczeństwo także gangom. Ambasador Beyrle w jednym z raportów z Moskwy donosił: „Elementy przestępcze mają »kryszkę« (dosłownie – dach, w tym przypadku – gwarancja ochrony) od milicji, FSB, MSW i prokuratury, a także władz Moskwy”

W innym miejscu dyplomata ocenił: „Rząd rosyjski w swych związkach z bossami przestępczości zorganizowanej posuwa się jeszcze dalej, dając im przywileje polityczne gwarantujące immunitet i pozwalające im uniknąć odpowiedzialności za przestępstwa”

O przykładzie takiej troski, którą państwo otoczyło gangstera, opowiedzieli dyplomatom USA hiszpańscy prokuratorzy, którzy w ubiegłym roku wystawili nakaz aresztowania Władysława Reznika, podejrzanego m.in. o związki z mafią i pranie brudnych pieniędzy.

Reznik, pochodzący jak wszyscy ważni dziś ludzie w Rosji z Sankt Petersburga, okazał się jednak nietykalny. Od ośmiu lat jest deputowanym do Dumy, wiceszefem frakcji putinowskiej partii Jedna Rosja, przewodniczącym parlamentarnej komisji rynku finansowego, a sam Putin publicznie zwraca się do niego po imieniu.

Gangsterzy rewanżują się państwu za okazywaną im troskę. Jak piszą amerykańscy dyplomaci, rosyjski wywiad chętnie korzysta z usług zorganizowanych grup przestępczych, choćby handlując bronią za ich pośrednictwem.

W swych raportach z Rosji dyplomaci donosili także o ogromnych lewych dochodach samego Putina, które

„skrupulatnie ukrywa za granicą”. Wspominają przy tym o tajemniczej handlującej ropą szwajcarskiej firmie Gunvor, która według uparcie krążących po Rosji pogłosek ma być głównym źródłem ocenianego na 40 miliardów dolarów majątku byłego dwukrotnego prezydenta.

Trzy lata temu przedstawiciele Gunvoru oficjalnie zapewniali, że Putin „nie ma żadnego udziału ani nie czerpie żadnych dochodów” z działalności tej firmy, Amerykanie podejrzewają, że to nieprawda, i sądzą, że nieprzejrzyste interesy szefa rządu mają decydujący wpływ na politykę rosyjską.

Sama Condoleezza Rice, sekretarz stanu w administracji prezydenta George’a Busha, w swej korespondencji podejrzewała, że Putin w 2008 roku na swego następcę na Kremlu wybrał słabego Miedwiediewa, aby zachować swą bezprawnie zebraną fortunę.

Zdaniem innych dyplomatów USA „dziedzicem” Putina miał zostać były generał KGB Siergiej Iwanow, w ostatnich kilku latach minister obrony i wicepremier, ale ustępujący prezydent obawiał się, że to polityk zbyt silny, który mógłby go pociągnąć do odpowiedzialności.

Na rewelacje Wikileaks zareagował jedynie rzecznik Putina, nazywając je „czystymi insynuacjami i absolutną bzdurą”. Cały kraj wpadł bowiem w euforię, gdy FIFA wybrała właśnie Rosję na gospodarza piłkarskich mistrzostw świata w 2018 roku.

Materiały ujawnione przez Wikileaks rzucają też światło na relacje Putina z przywódcami Włoch i Gruzji. Według ambasadora USA w Rzymie Ronalda Spoglego premierowi Silvio Berlusconiemu imponuje styl macho, pewnego siebie przywódcy, jaki prezentuje Putin. Włoch próbuje naśladować Rosjanina, ufa mu i popiera „rosyjskie starania o to, by zniszczyć NATO”. Męską

przyjaźń premierów wzmacniają luksusowe podarki, jakimi stale wymieniają się obaj politycy.

Z kolei według raportów Johna Teffta, byłego ambasadora USA w Tbilisi, Rosja jeszcze na długo przed sierpniową wojną w 2008 roku prowadziła agresywną tajną grę przeciwko Gruzji, wspierając separatystów w Abchazji i Osetii Południowej, m.in. dostarczając im broń. Zdaniem Teffta Moskwa uparcie dążyła do destabilizacji sytuacji w sąsiednim kraju i odsunięcia od władzy prezydenta Micheila Saakaszwilego.

21.04.2011, czwartek

PUTIN OBIECUJE WSZYSTKO WSZYSTKIM

Doroczny raport o dokonaniach rządu, który premier Władimir Putin wygłosił w Dumie, bardzo przypomina program kandydata, który wystartuje w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Zdaniem obserwatorów Putin polemizował z Dmitrijem Miedwiediewem.

Premier, który zgodnie z zasadami przyjętymi w Rosji powinien zrezygnować z funkcji zaraz po wyborach głowy państwa w marcu 2012 roku, opowiadał deputowanym o swoich dalekosiężnych planach na przyszłość. Przekonywał, że Rosja potrzebuje dziesięciu lat „stabilnego rozwoju” i że nie można dopuścić do „nieprzemyślanych eksperymentów opartych czasem na nieprzemyślanym liberalizmie lub demagogii socjalnej”.

Internetowa Gazeta.ru zwraca uwagę, że premier, który od lat przedstawia się Rosjanom jako gwarant stabilizacji, przeciwstawił się prezydentowi Miedwiediewowi znanemu jako zwolennik reform liberalnych. Choć ani Putin, ani Miedwiediew nie ogłosili jeszcze, czy będą startować w wyborach, to są traktowani jako potencjalni konkurenci w nadchodzącej rozgrywce o Kreml.

Między tym, co mówił w Dumie Putin, a deklaracjami obecnego gospodarza Kremla są i inne zasadnicze różnice. Prezydent powtarza, że Rosja powinna wyzwolić się

z narkotycznej zależności od eksportu surowców, która sprawia, że kraj się nie rozwija.

Premier zaś zapewniał, że eksport droższych dziś surowców energetycznych tworzy solidny fundament dostatku Rosjan i gwarantuje, że państwo będzie w stanie wywiązywać się ze zobowiązań socjalnych wobec obywateli.

A naftowo-gazowe perspektywy Rosji są – zdaniem Putina – świetne. Choćby dlatego, że po katastrofie w japońskiej elektrowni atomowej Fukushima Niemcy coraz niechętniej patrzą na swoją energetykę jądrową, więc będą jeszcze bardziej potrzebować rosyjskich paliw.

– Oto, gdzie jest źródło prawdziwych innowacji – chwalił premier kompleks paliwowy, zaocznie wchodząc w polemikę z prezydentem, dla którego uzależnienie rosyjskiej gospodarki od handlu surowcami hamuje rozwój, a motorem modernizacji powinny się stać nowoczesne technologie.

Zadowolony z rzeki petrodolarów znów płynących do Moskwy Putin zapewnił, że kryzys został pokonany na wszystkich frontach.

Obiecał, że w najbliższych dziewięciu latach armia dostanie nową broń wyprodukowaną przez rosyjską zbrojeniówkę. Oficerowie wprowadzą się do nowych mieszkań wybudowanych przez państwo. Będą podwyżki płac, emerytur, stypendiów – tych od razu dwukrotne. Będą nowe szpitale, drogi, rakiety, podbój kosmosu. Będzie nawet wzrost liczby urodzin – i to o 25-30 procent w ciągu najbliższych czterech lat.

Słowem Putin, jak oceniał znany politolog Dmitrij Oreszkin, obiecał wszystko wszystkim, jak wypada politykowi, który rozpoczyna kampanię wyborczą.

Czterogodzinne, utrzymane w stylu propagandy sukcesu spotkanie premiera z posłami zepsuł tylko Nikołaj Lewiczew, szef frakcji parlamentarnej Sprawiedliwa Rosja. Występując w debacie na temat raportu premiera, powiedział Putinowi prosto w oczy, że składa obietnice bez pokrycia, bo nawet jego ministrowie dowodzą, że Rosji zwyczajnie nie stać na to wszystko, o czym mówił szef rządu. Powiedział też, że myli się on głęboko, bo otoczył się wytartą talią doradców potrafiących myśleć tylko w kategoriach poprzedniego stulecia i niebędących w stanie pojąć mechanizmów współczesnego świata.

Wystąpienie Lewiczewa w Dumie było czymś niebywałym.

Na słowa Putina o tym, że w Rosji nie można dopuścić do „eksperymentów” opartych na liberalizmie, odpowiedział zaś Arkadij Dworkowicz, doradca ekonomiczny Miedwiediewa. Według niego niezbędna krajowi modernizacja polega między innymi „na zmianach we wszystkich sferach życia, reformie instytucji publicznych”.

14.06.2011, wtorek

CAŁA ROSJA WE FRONCIE PUTINA

Załogi fabryk i mieszkańcy całych miast wstępują do putinowskiego Wszechrosyjskiego Frontu Narodowego. Do Frontu, jak mówi poseł Jednej Rosji, partii premiera, tylko samobójca może się nie przyłączyć.

Front ma zapewnić premierowi sukces w grudniowych wyborach parlamentarnych. Ideę stworzenia Frontu jednoczącego wszystkie siły chcące rozwoju kraju Władimir Putin ogłosił 6 maja na zjeździe swej partii w Wołgogradzie. Zresztą z trybuny zjazdu premier konsekwentnie nazywał Wołgograd po staremu, czyli Stalingradem.

Obiecywał reprezentantom organizacji społecznych i drobnych partii, które zjednoczą się we Froncie, mandaty w Dumie. Pszczelarze, wędkarze, działkowicze – jak wyjaśnił – mogą liczyć na dobre miejsca na listach Jednej Rosji.

I społecznicy z zapałem ruszyli, by zapisać się do Frontu. Jego formuła okazała się na tyle otwarta, że członkiem Frontu może się stać w zasadzie każdy, nawet obywatel siedzący w więzieniu. We Froncie nie ma jednak miejsca dla przedstawicieli „nieformalnej”, czyli przeciwstawiającej się Kremlowi, opozycji, która jest bardzo nieliczna.

Natomiast zwykli obywatele gremialnie przyłączają się czy też są przyłączani do Frontu. Działacze Jednej Rosji z Chabarowska zaraz po ogłoszeniu zapisów zameldowali, że do Frontu

przyłączyło się już kilkanaście organizacji społecznych skupiających w sumie pół miliona mieszkańców ich 580-tysięcznego miasta!

Organizatorzy pospolitego ruszenia w piątek zdążyli ogłosić, że zapisują hurtem całe załogi przedsiębiorstw, a już w poniedziałek, choć był to w Rosji dzień wolny od pracy, otrzymali kolektywne zgłoszenie od 39 tysięcy robotników fabryk Syberyjskiego Związku Biznesowego. Do załóg zdążyło się też przyłączyć 15 tysięcy emerytów tych zakładów. I – jak twierdzą szefowie Związku – każdy pracownik oraz każdy były pracownik między piątkiem a poniedziałkiem zdążył ponoć zadeklarować, że z własnej i nieprzymuszonej woli gotów jest poprzeć Front Putina.

Że syberyjscy biznesmeni tak się spieszyli z zapisaniem do Frontu siebie, swoich podwładnych i emerytów, dziwić się nie należy. Kilka dni temu Jewgienij Fiodorow, poseł Jednej Rosji i szef parlamentarnej komisji polityki gospodarczej i przedsiębiorczości, tak tłumaczył Sybirakom oraz ich kolegom z całej Rosji: – Tak na własny użytek powinniśmy zrozumieć, że potrzebna jest nam poważna, totalna konsolidacja. Trzeba, żeby maksymalna liczba załóg i obywateli indywidualnych oraz organizacji społecznych zajęła aktywną pozycję.

Fiodorow zapewniał, że do Frontu premiera przyłączą się wszystkie firmy, które chcą „żyć, rozwijać się i nie umrzeć”. – Być może jest u nas jakiś biznes, który chciałby umrzeć i przejawia skłonności samobójcze. Taki biznes nie musi się konsolidować wokół idei Frontu – postawił kropkę nad i szef komisji polityki gospodarczej i przedsiębiorczości w Dumie Państwowej.

Na próby ciągnięcia ich do fasadowego ruchu przypominającego peerelowski Front Jedności Narodu lub

Niezachwiany Front Komunistów i Bezpartyjnych z czasów ZSRR, Rosjanie reagują ironicznie. Pewien obywatel ogłosił na przykład, że wypełnił ankietę na stronie internetowej premiera i zapisał do Frontu swego kota. Otrzymał nawet zwrotny e-mail z potwierdzeniem: „Kot Kotofeicz Matroskin został zarejestrowany jako czynny członek Wszechrosyjskiego Frontu Narodowego”. Internauci przekomarzają się z autorem żartu, pisząc, że powinien zostać ukarany za „okrutne traktowanie zwierząt”.

Front szefa rządu jest jednak formowany sporym propagandowym wysiłkiem, bo ma pomóc obozowi władzy rozwiązać całkiem poważny problem. Putinowska Jedna Rosja złożona prawie wyłącznie z urzędników i innych funkcjonariuszy państwowych niecałe pół roku przed wyborami szybko traci popularność. I – jak wskazują wyniki sondaży – w nowej Dumie nie będzie już mieć „konstytucyjnej” większości, czyli dwóch trzecich mandatów. A może nie zdobędzie i połowy. Znękani korupcją biurokratów Rosjanie coraz częściej nazywają ją po prostu „partią łajdaków i złodziei”.

Putin zaś, jeśli chce w marcu przyszłego roku stanąć do wyborów prezydenckich, musi zapewnić swemu ugrupowaniu świetny sukces w wyborach do Dumy. Tworząc Front, poszerza więc ofertę wyborczą swej partii. Funkcjonariusze Jednej Rosji, której symbolem jest niedźwiedź, starają mu się przysłużyć w tej sprawie, jak tylko potrafią.

7.07.2011, czwartek

ROSJA SIĘ NIE ZBROI

W tym roku Rosja kolejny raz zawali plany zbrojeniowe i nie przekaże armii być może żadnej nowej strategicznej czy taktycznej rakiety – ostrzega główny konstruktor rakiet Jurij Sołomonow. Prezydent Dmitrij Miedwiediew kazał ministrowi obrony zbadać sytuację w trybie pilnym.

W wywiadzie dla dziennika „Kommiersant” Sołomonow ujawnił, że do dziś MON nie zawarło z jego Moskiewskim Instytutem Techniki Cieplnej ani jednego kontraktu na dostawę rakiet. Zakłady w Wotkińsku nie dostały w tym roku żadnego zamówienia na pociski balistyczne JaRS czy Topol M. Nie ma też umowy na rakiety Iskander, których umieszczeniem w obwodzie kaliningradzkim Moskwa lubi straszyć Polaków.

Sołomonow przypomina, że fabryka wotkińska zgodnie z planami rządu miała w latach 2007-2015 przekazać siłom zbrojnym około stu rakiet Topol M. To już jego zdaniem na pewno się nie uda, bo do tej pory program nie był w sposób zadowalający finansowany.

Teraz pieniądze na zbrojenia są. Prezydent Dmitrij Miedwiediew i premier Władimir Putin powtarzają, że w najbliższych dziewięciu latach Moskwa na przebrojenie armii przeznaczy aż około 600 miliardów dolarów.

Zdaniem głównego konstruktora rakiet rosyjskich nie polepszy to jednak sytuacji. W rozmowie z „Kommiersantem” Sołomonow

zwrócił uwagę na to, że zwiększyć produkcję pocisków można tylko poprzez rozbudowę zakładów zbrojeniowych. A takich inwestycji w kraju się nie prowadzi.

Sołomonow zwraca też uwagę na to, że rosyjska zbrojeniówka szybko się starzeje i, jak to określił, „traci technologie” – Cały czas jesteśmy pół żywi, pół martwi. Niektóre mechanizmy – kooperacja, budowa części mechanicznych – jeszcze jako tako pracują. A to, co stanowi podstawę naszej branży, czyli chemia, prace nad specjalnymi materiałami, leży. Sprzęt, na którym pracujemy, szybko się starzeje. Jeśli nie zostaną podjęte nadzwyczajne kroki, wszystko skończy się fatalnie – ostrzega konstruktor.

W maju Miedwiediew, zorientowawszy się, że ubiegłoroczny plan wyposażenia armii w nowy sprzęt został wykonany tylko w małej części, obruszył się na członków rządu odpowiedzialnych za siły zbrojne i przemysł obronny. Zażądał też przykładowego ukarania winnych, a ministrom przypomniał, że w „dawnych czasach” za takie wyniki pracy zostaliby wysłani „do pracy fizycznej na świeżym powietrzu”.

Nic dziwnego, że wywiad Sołomonowa bardzo zaniepokoił przywódcę państwa. Prezydent dał ministrowi obrony Anatolijowi Sierdiukowowi trzy dni na wyjaśnienie, jak realizowany jest plan zakupu rakiet, i ukaranie albo winnych, albo „siejących panikę” – W czasie wojny panikarzy się rozstrzeliwało, ja pozwalałam panu wyrzucać ze stanowisk – poinstruował Miedwiediew swego ministra.

26.09.2011, poniedziałek

PUTIN POWRÓCI WIOSNĄ

Po Putinie Miedwiediew, po Miedwiediewie Putin. Największa tajemnica rosyjskiej polityki ostatnich lat się wyjaśniła. Władimir Putin w przyszłym roku wraca na sześć, a może na dwanaście lat na stanowisko prezydenta.

Rosja i świat dowiedziały się o tym na sobotnim zjeździe partii władzy, która zatwierdzała listę kandydatów w grudniowych wyborach parlamentarnych. W hali sportowej na moskiewskich Łuźnikach przed 10 tysiącami delegatów Jednej Rosji stanął Dmitrij Miedwiediew i wypowiedział słowa, które przejdą do historii: – Uważam, że byłoby właściwe, gdyby zjazd poparł kandydaturę przewodniczącego partii Władimira Putina na stanowisko prezydenta kraju.

Sala odpowiedziała owacją.

Premier Putin ogłosił z kolei, że chce, aby Miedwiediew został szefem jego rządu oraz by przed wyborami parlamentarnymi prezydent zajął pierwsze miejsce na liście wyborczej Jednej Rosji.

Do zapowiedzianych na marzec 2012 roku wyborów prezydenckich zostało prawie pół roku, ale po tym, co ogłoszono na konwencji Jednej Rosji, wiadomo już, kto wygra. Tak jak we wszystkich poprzednich wyborach prezydenckich zwycięzcą może się stać tylko kandydat obozu władzy. (...)

Członkowie Jednej Rosji są zachwyceni. Do partii należą ponad 2 miliony osób, w przeważającej większości są to funkcjonariusze

państwowi. Dla nich powtarzający hasła o konieczności modernizacji kraju i reform Miedwiediew był potencjalnym zagrożeniem. Putina przyjmują jako gwaranta status quo, przywilejów i faktycznej bezkarności.

Z oburzeniem zareagowała opozycja demokratyczna. – Putin ostatecznie zdecydował, że zostanie Aleksandrem Łukaszenką – uważa Borys Niemcow, były wicepremier, jeden z przywódców niezarejestrowanej Partii Wolności Narodowej. Białoruski dyktator, rządzący od 1994 roku, w swoim kraju w ogóle zlikwidował kadencyjność prezydenta.

Zdaniem jego partyjnego kolegi, byłego premiera Michaiła Kasjanowa, wybrano najgorszy wariant. – Krach jest nieunikniony. Nastąpi za rok lub dwa – przestrzega.

Z kolei Siergiej Mitrochin kierujący Jabłokiem, jedyną niezależną partią demokratyczną, którą władze dopuściły do udziału w grudniowych wyborach parlamentarnych, ocenia, że roszcza w rządzącym tandemie nie ma nic wspólnego z modernizacją kraju zakładającą przede wszystkim zmienność władzy. – To prowadzi do zastoju – ostrzegł.

Słowo „zastój” powtarza się w wielu komentarzach. W Rosji oznacza ono epokę późnego Leonida Breżniewa, kiedy ZSRR, zamiast się reformować, kostniał, co skończyło się upadkiem supermocarstwa. Breżniew, jak się dziś przypomina, był osiemnaście lat u władzy, a epoka Putina – jeśli za rok wróci na Kreml na dwie sześciolatek kadencje – potrwa sześć lat dłużej.

Przed zastojem oraz katastrofą, do której może to doprowadzić, przestrzegają eksperci. – Rosja przeżarta przez korupcję karmiącą bezkarnych i samowolnych funkcjonariuszy aparatu państwowego, zarządzana anachronicznie, bez niezależnego sądownictwa i samodzielnego parlamentu, bez reform, których

teraz nie będzie, po prostu przepadnie. Wówczas możemy się spodziewać rozmaitych wariantów – od białoruskiego z przykręcaniem śruby i samoizolacją po wybuch społeczny – prognozuje Jewgienij Gontmacher, jeden z szefów prezydenckiego Instytutu Rozwoju Społecznego.

Leonid Radzichowski, znany rosyjski publicysta niezależny, ma podobne obawy: – Putina wspiera przede wszystkim klasa funkcjonariuszy państwowych, która pod jego rządami bardzo się rozrosła i niezwykle wzbogaciła. Ludzie ci będą żądali od Putina, by nadal spływały na nich przywileje i ogromne pieniądze. A on nie będzie umiał im odmówić. W takich warunkach nie ma co liczyć na to, że odważy się na zdecydowane i bolesne reformy antykryzysowe. Czeka nas długi kryzys.

Przeciw ogłoszonym decyzjom zaprotestował też wicepremier i minister finansów Aleksiej Kudrin, który powiedział, że nie będzie pracował w przyszłym rządzie Miedwiediewa. Stwierdził, że nie pozwolą mu na to różnice poglądów z dzisiejszym prezydentem.

9.12.2011, piątek

ROSJA WSKAZUJE WROGA

Premier Władimir Putin oskarża USA o finansowanie ulicznych protestów. Władze chcą cenzurować internet, poprzez który zwolennicy opozycji zwołują się m.in. na wielki wiec w Moskwie przeciwko sfałszowaniu wyborów do Dumy.

Szef rządu spotkał się z aktywem Ogólnorosyjskiego Frontu Narodowego, organizacji skupiającej ludzi, którzy mają go wspierać w czasie kampanii przed marcowymi wyborami prezydenckimi. Zapowiedział, że nie chciałby „przeżuwać” tematu niedzielnych wyborów do Dumy, które miała wygrać jego Jedna Rosja z poparciem 49,32 procent (jedyna prawdziwie opozycyjna partia Jabłoko dostała 3,43 procent i nie weszła do parlamentu). Powiedział jednak sporo o potężnych, jak na warunki rosyjskie, protestach opozycji przeciwko fałszerstwom wyborczym.

– Co do tych imprez, demokracji ulicznej, to uważam, że jeśli ludzie działają w ramach prawa, to należy im pozwolić wyrazić swoje poglądy. Jeśli jednak łamią przepisy, to organy władzy i porządku powinny domagać się przestrzegania prawa za pomocą wszelkich zgodnych z prawem środków – tłumaczył premier i dodał, że obecne protesty opozycji są „zamawiane z zagranicy”.

– Dlatego mamy obowiązek bronić swojej suwerenności – ostrzegł Putin, proponując, by „zastanowić się nad zaostreniem odpowiedzialności dla tych, którzy wypełniają zlecenia obcego państwa”.

Jego zdaniem ton opozycjonistom narzuciła sekretarz stanu USA Hillary Clinton, kiedy ogłosiła, że niedzielne wybory nie były „ani sprawiedliwe, ani uczciwe” – Oni usłyszeli ten sygnał i przy wsparciu Departamentu Stanu aktywnie zabrali się do swojej roboty – oskarżał Putin. Przy okazji skrytykował system wyborczy w Ameryce, gdzie jego zdaniem niezależnych obserwatorów nie dopuszczają do lokali wyborczych i mówią im, jak to określił, „poszli won”.

O tym, jak władze w rzeczywistości dbają o prawo obywatela do wyrażenia swojej opinii, świadczy dziwna gra wokół zapowiedzianej na sobotę demonstracji opozycji na placu Rewolucji w centrum Moskwy.

Początkowo urzędnicy merostwa zezwolili na nią, ale zastrzegli, że może na nią przyjść najwyżej trzysta osób. A jeśli będzie ich więcej, to zgodnie z prawem policja rozpędzi zgromadzonych. Wyglądało to na prowokację, bo po masowych protestach w ostatnich dniach w Moskwie było pewne, że na plac Rewolucji samych korespondentów zagranicznych przyjdzie ponad trzystu. W internecie już ponad 50 tysięcy Rosjan zapowiedziało, że weźmie udział w demonstracji.

Władze, nie wiedząc, jak z tego wybrnąć, zamknęły plac ze względu na remont. W czwartek remont już się zakończył, a ogrodzenie wokół placu zdemontowano. Zaraz potem merostwo ogłosiło, że na placu Rewolucji w sobotę zaczną działać „jedyne w świecie” teatr lodowy. Później okazało się, że teatr otworzy się dopiero w niedzielę.

Wczoraj wieczorem obie strony doszły jednak do kompromisu. Władze zaproponowały przywódcom opozycji, by w sobotę zebrali się na placu Błotnym, również w pobliżu Kremla. Opozycjoniści domagali się zgody na zgromadzenie większej

liczby demonstrantów na placu Rewolucji, przypominając, że putinowskiej młodzieźowce Nasi zezwolono kilka dni temu na przeprowadzenie w tym miejscu manifestacji dwudziestotysięcznej.

W końcu opozycjoniści zgodzili się na plac Błotny, a merostwo – na wiec z udziałem 30 tysięcy osób. Ponadto ma on trwać nie dwie, ale cztery godziny.

Na razie do Moskwy są przerzucane dodatkowe oddziały wojsk wewnętrznych i policji. Po stolicy krąży plotka, że ściągnięto tu także specnaz czeczeński. To jednak byłoby skrajną głupotą, bo skutki konfrontacji nacjonalistycznie nastawionej młodzieży ze znieawidzonymi przez nią Czechenami mogłyby być tragiczne.

Motorem i spoiwem powyborczego buntu w stolicy Rosji jest internet. To za jego pośrednictwem młodzi ludzie zwołują się na demonstracje. Wielu z nich dysponuje najnowszymi smartfonami i dzięki nim już w trakcie manifestacji potrafią lepiej niż dowódcy sił porządkowych ocenić sytuację, zlokalizować oddziały milicyjnego specnazu.

Dlatego władze łamią sobie głowę nad tym, jak ograniczyć możliwości korzystania z internetu. Wczoraj generał Aleksiej Moszkow, szef kontrolującego sferę komunikacji komputerowej policyjnego wydziału K, w rządowej „Rossijskiej Gazecie” domagał się wprowadzenia zakazu anonimowego wchodzenia do sieci. Moszkow chce, by wcześniej internauci rejestrowali się pod imieniem i nazwiskiem, podając swój realny, a nie wirtualny adres.

Redakcja dla zwiększenia efektu słów generała zamieściła obok wywiadu tekst *W wirtualnej pętli* – o tym, jak „nagonka w sieci społecznościowej doprowadziła byłego komandosa do samobójstwa”

12.12.2011, poniedziałek

ROSJA BEZ PUTINA!

Co najmniej 40 tysięcy ludzi protestowało w Moskwie przeciw Putinowi i fałszerstwom wyborczym na największej od dwudziestu lat opozycyjnej manifestacji. Tłum skandował: „Rosja bez Putina!”. Przez cały kraj przełała się fala mniejszych demonstracji.

Zdaniem władz w sobotę na placu Błotnym oddzielonym od Kremla rzeką Moskwą zgromadziło się około 25 tysięcy ludzi. Zachodnie agencje donosiły o kilkudziesięciu tysiącach. Tymczasem na zdjęciach z kamery umieszczonej na samolocie bezzałogowym agencji RIA Nowosti widać, że tłum zajmował co najmniej 40 tysięcy metrów kwadratowych, czyli było nie mniej niż 40 tysięcy osób. W przeciwieństwie do demonstracji z początku tygodnia policjanci nie zatrzymywali i nie bili manifestantów.

Stojąc na zimnie, w śniegu i deszczu przez ponad trzy godziny, domagali się unieważnienia wyników wyborów parlamentarnych z 4 grudnia. Wygrała je putinowska Jedna Rosja, ugrupowanie nazywane przez przeciwników „partią żulików i złodziei”.

Na Łużkowym Moście zawisł transparent *Żuliki i wory, wiernicie wybory* (Żuliki i złodzieje, oddajcie wybory). Na wielu transparentach widać było mapę kraju i niedźwiedzia (godło

Jednej Rosji) taszczącego za granicę worek pieniędzy. Popularne było też hasło *JEDRO w wiadro* (JEDnaROsja do kubła).

Nad tłumem skandującym najczęściej hasła: „Rosja bez Putina!” i „Putin złodziej!” powiewały też czerwone flagi komunistów i czarno-żółto-białe nacjonalistów, ale członkowie tych ugrupowań nie byli dobrze przyjmowani.

Wiec zaczął Aleksandr Jerin, który zaśpiewał swój zjadliwy przebój ostatnich dni: *Nasz dom wariatów głosuje na Putina*.

Potem występowali politycy od dawna niepokazywani w telewizjach – były wicepremier Borys Niemcow, były premier Michaił Kasjanow. Przemawiali Grigorij Jawliński, przywódca demokratycznego Jabłoka, parlamentarzyści partii Sprawiedliwa Rosja, a także popularni twórcy, tacy jak poeta i pisarz Dmitrij Bykow oraz pisarz Borys Akunin.

Ten ostatni przyjechał na demonstrację z Francji, gdzie pisze kolejną książkę. Choć mówił, że pierwszy i chyba ostatni raz występuje na wiecu, to okazał się znakomitym trybunem. – Przez dwadzieścia lat nie widziałem takiej Moskwy i myślałem, że nigdy takiej nie zobaczę. To wielki i ważny dzień! – oświadczył pisarz i zażądał powtórzenia wyborów. – W każdym lokalu muszą być nasi obserwatorzy, z każdego musi być transmisja online od przyjścia pierwszego wyborcy do podpisania protokołów o wynikach głosowania – wyliczał Akunin. Tłum odpowiadał owacjami.

Padały kolejne postulaty zapisane potem w rezolucji. Chodzi m.in. o natychmiastowe uwolnienie aresztowanych po ubiegłotygodniowych protestach powyborczych (w całej Rosji policja zatrzymała około 2 tysięcy ludzi), unieważnienie wyborów i rozpisanie nowych, dymisję Władimira Czurowa,

szefa Centralnej Komisji Wyborczej, ukaranie odpowiedzialnych za fałszerstwa oraz rejestrację partii opozycyjnych.

Gdy chciała wystąpić świeżo wybrana posłanka Sprawiedliwej Rosji Oksana Dmitriewa, tłum przerwał jej okrzykami: „Oddajcie mandaty!” (to było pod adresem Dmitriewej i komunistów). Brawa zebrał inny poseł Sprawiedliwej Rosji Giennadij Gudkow, bo obiecał, że na znak protestu przeciw fałszerstwom on i inni deputowani tej partii odejdą z Dumy. „Jeszcze wrócimy!” – skandował tłum, kończąc wiec.

W sobotę manifestacje odbywały się w wielu miastach Rosji, m.in.: we Władywostoku, w Chabarowsku, Tomsku, Nowosybirsku, Omsku, Czycie, Krasnojarsku, Irkucku, Uljanowsku, Kemerowie, Jekaterynburgu, Czeboksarach, Iżewsku, Kazaniu, Wołgogradzie, Permie, Murmańsku, Pietrozawodsku, Pskowie, Włodzimierzu, Woroneżu, Kaliningradzie. W centrum Petersburga demonstrowało ponad 10 tysięcy zwolenników opozycji.

16.12.2011, piątek

DOROCZNA TELEAUDIENCJA PREMIERA PUTINA

Poluzowanie śruby, uczciwe wybory prezydenckie, uwolnienie Chodorkowskiego (jak się pokaja) i budowę tunelu do Japonii – obiecał Władimir Putin w czasie dorocznej telewizyjnej rozmowy z narodem.

Ta wszechrosyjska teleaudycja, której kandydujący na prezydenta premier udzielił narodowi, różniła się od poprzednich. On sam oraz autorzy starannie wyreżyserowanego programu starali się udawać, że sytuacja jest pod kontrolą, ale czuć było napięcie związane z protestami opozycji po wyborach do Dumy. Temu teleshow można by nadać tytuł znanego filmu *Spokojnie, to tylko awaria*.

Premier, jak zawsze, próbował żartować, ale tym razem niezbyt fortunnie. Przyznał, że kiedy zobaczył kadry z moskiewskiego placu Błotnego, gdzie w sobotę zebrało się ponad 40 tysięcy ludzi protestujących przeciw sfałszowaniu wyborów, „coś go uderzyło”. Białe wstążeczki, które demonstranci przyczepili do kurtek, wzięły za „środki antykoncepcyjne”, z którymi na manifestacje wychodzą walczący z AIDS. Przyznał od razu, że pozwolił sobie na niezbyt stosowny żart.

Odnosząc się do protestów powyborczych, przyznał, że na plac Błotny wyszli „aktywni młodzi ludzie”, a istnienie takiej

generacji można uznać za sukces jego rządów. Zapowiedział też, że 4 marca 2012 roku w czasie wyborów prezydenckich w każdym lokalu wyborczym zostanie umieszczona kamera transmitująca do internetu obraz tego, co się dzieje z urną.

Bardzo starannie państwowa telewizja Rossija, gospodarz spotkania z narodem, przygotowała sceny rozmowy Putina z mieszkańcami miast prowincji. Kamery zostały ustawione nie na głównych placach miast, jak bywało wcześniej, lecz w ustronnych miejscach. Można tam było uchronić się przed ludźmi, którym przysłoby do głowy gwizdnąć albo pozwolić sobie na inny wybryk. Mieszkańcy Ufy na przykład zebrali się w miejscu, które wyglądało jak leśna polana.

Były momenty zabawne, lecz tym razem niezamierzone. Na przykład gdy poseł do Dumy, robotnik z Uralmaszwagonu w Niżnym Tagile, zameldował w moskiewskim studiu premierowi, że jego fabryka wyprodukowała już w tym roku 24 tysiące wagonów. Niedługo później kamery pokazały hale tej samej fabryki, skąd robotnicy też rozmawiali z szefem rządu. Tyle że stali nie na tle wagonów, lecz nowiutkich czołgów.

Premier i kandydat na prezydenta złożył wiele obietnic. Zapowiedział, że mieszkańcy regionów znów będą wybierać gubernatorów, jak to było do roku 2004, kiedy to sam Putin wprowadził zasadę mianowania gospodarzy obwodów przez Kreml. Teraz kandydatów na te stanowiska będą wysuwać partie reprezentowane w Dumie, a prezydent – po odsianiu niezastępujących na jego zaufanie – pozwoli im stanąć do wyborów.

Putin zapowiedział też, że jako prezydent może ułaskawić byłego szefa spółki naftowej Jukos Michaiła Chodorkowskiego skazanego na trzynaście lat więzienia, o ile ten przyzna się

do winy, czyli ciężkich przestępstw podatkowych i kradzieży wielkiej ilości ropy należącej do jego firmy.

Putin poznęcał się też nad opozycją. Zapewnił, że uczestnicy wiecu na Błotnym przyszli tam za pieniądze z zagranicy. Rozprawił się z jednym z przywódców opozycyjnej partii PARNAS, pierwszym premierem w czasach swojej prezydentury Michaiłem Kasjanowem. Powiedział, że szefem rządu był marnym, i oskarżył go o korupcję, przypominając, że Kasjanowa nazywano „Misza dwa procent”, bo ponoć brał do kieszeni 2 procent od każdego państwowego kontraktu. Zdecydowanych krytyków dzisiejszych władz Rosji Putin nazwał – jak zastrzegł za Karolem Dickensem – po prostu „małpim ludem”.

Premier mówił też o wielkich planach Rosji, jak połączenie dalekowschodniej wyspy Sachalin z kontynentem, oraz budowie tunelu do Japonii.

16.12.2011, piątek

STRACONA SZANSA PLACU BŁOTNEGO

Niebywała fala powyborczych protestów przetaczająca się przez Rosję dowodzi, że epoka Władimira Putina wcale nie jest czasem straconym dla rosyjskiej demokracji. Stabilizacja sytuacji w kraju, czym szczyli się „przywódca narodu”, pozwoliła dojrzeć i nabrać sił nowej generacji gotowej stworzyć prawdziwe społeczeństwo obywatelskie.

Czy znaczy to, że już teraz w Rosji nastąpią wielkie przemiany? Nie. Protesty, a szczególnie wielotysięczny sobotni wiec opozycji na placu Błotnym w Moskwie, pokazały też, że liberalna opozycja rosyjska do nich nie dojrzała.

To paradoks, ale epoka Borysa Jelcyna, który obiecywał budowę wolnego społeczeństwa, zraziła Rosjan do demokracji. Bałagan, bandytyzm, błyskawicznie rosnące fortuny oligarchów przejmujących za grosze na fałszywych przetargach to, co kraj ma najcenniejszego, zraziły ludzi do udziału w polityce. Za Jelcyna Rosjanie zaczęli nazywać prywatyzację *prychwatyzacją* (od *prychwatit* – zagarnąć), a demokrację *diermokracją* (od *diermo* – gówno).

Dlatego Putin ze swoimi obietnicami stabilizacji połączonej z przykręcaniem śruby był nie tylko przyjęty przez rodaków bez większego oporu, ale i zaakceptowany. Popularność Putina

rekordowo długo utrzymywała się na rekordowo wysokim poziomie, a Rosjanie z ulgą odwrócili się od polityki.

Ale powoli i ku zaskoczeniu władzy dojrzewiali do powrotu. Państwo odebrało im wiele swobód obywatelskich, narzuciło ostrą cenzurę oficjalnym mediom. Ale nie odebrało wolności podróżowania, pozostawiło swobodę internetowi. W Moskwie inżynier, ekonomista czy początkujący prawnik bez trudu znajdzie dziś pracę za równowartość 7 tysięcy złotych miesięcznie. I stać go na coroczną wyprawę za granicę czy dobry komputer. Do internetu ma stały dostęp co najmniej 40 procent Rosjan.

Realny i wirtualny kontakt ze światem, swobodna informacja o rzeczywistej sytuacji w Rosji odpowiedziały im, że warto i należy być obywatelem upominającym się o swoje prawa, a dzisiejszy ustrój nie daje im perspektyw rozwoju.

Protest przeciw sfałszowaniu wyborów parlamentarnych z 4 grudnia niesłusznie nazywają na świecie „buntem sytych”. To są masowe wystąpienia ludzi pewnych swej wartości, ciężko pracujących, którzy widzą, że w anachronicznie zarządzanym i skorumpowanym państwie ich wysiłki nie przyniosą im niczego więcej niż to, czego się już dorobili.

Trzeba przyznać, że Kreml szybko i sprytnie zareagował na protesty. Dwa dni po wiecu na Błotnym młody, uważany za liberała playboy i oligarcha Michaił Prochorow ogłosił, że weźmie udział w wyborach prezydenckich, a liberalny ekonomista, były wicepremier Aleksiej Kudrin, że chce stworzyć nową demokratyczną partię. Obaj są związani z obozem władzy, więc ich deklaracje należy rozumieć jako podjętą przez Kreml próbę zagospodarowania protestującej części elektoratu.

Liberalna opozycja przegrała swoją pierwszą wielką szansę. Zaczęło się od głupiej, zupełnie niepotrzebnej kłótni o to, gdzie

w Moskwie ma być w sobotę protest przeciw sfałszowaniu wyborów.

Władze początkowo zgodziły się na plac Rewolucji w pobliżu Kremla, o ile przyjdzie tam nie więcej niż trzystu ludzi. Potem Borys Niemcow z Partii Wolności Narodowej (PARNAS) dogadał się z merostwem, że na placu Błotnym może się zgromadzić do 30 tysięcy manifestantów.

I zaczęła się awantura. Część kolegów opozycjonistów oskarżyła byłego wicepremiera o zdradę. Napadli na niego szef Partii Nacjonal-Bolszewików pisarz Edward Limonow i Jewgienija Czirikowa, wstawiona oporem przeciwko wyrąbywaniu lasu w podmoskiewskich Chimkach. Chcieli przekształcić protest w awantury uliczne, a demonstracja na placu Rewolucji skończyłaby się w najlepszym wypadku tylko pałowaniem.

Nie rozumieli, że tym razem chodzi o to, by pokazać, że protestujących jest wielu, że umieją manifestować pokojowo i nie dadzą państwowym telewizjom nakręcić obrazków dowodzących, że opozycja to anarchia, płonące samochody, rozbite witryny i krew.

Czirikową i jej kolegów udało się jakoś przekonać, by ze swoimi zwolennikami z placu Rewolucji pod kordonem policji przeszli na Błotny. Limonow się obraził, obsobaczył „kolaborantów” i zamiast na demonstrację pojechał do domu.

Drugą szansę poróżnieni opozycjoniści stracili w czasie swojego wiecu. Dziś bylibyśmy już w innej Rosji, gdyby któryś z nich został ogłoszony i zaakceptowany przez tłum jako niezależny kandydat na prezydenta, konkurent Putina w wyborach 4 marca przyszłego roku. Mógłby to być choćby Niemcow, rozsądny i lubiany Władimir Ryżkow czy też siedzący w tym czasie w areszcie za udział we wcześniejszych protestach coraz bardziej

popularny bloger i demaskator korupcji Aleksiej Nawalny. Wszystko to można było przeprowadzić od ręki.

Nie jest pewne, że władze zechciałyby zarejestrować i dopuścić do udziału w wyborach kandydata z Błotnego. Ale odmówić byłoby trudno. A w takim wypadku demonstranci dostaliby to, o co im naprawdę chodziło – wybory, o uczciwość których zadbaliby sami, zgłaszając się do pracy w komisjach wyborczych. Pytałem o to młodych ludzi w czasie sobotniego wiecu i prawie każdy z nich obiecywał, że chętnie zgłosi się do pracy przy wyborach.

17.01.2012, wtorek

PUTIN OBIECUJE ROSJANOM WSPANIAŁĄ PRZYSZŁOŚĆ

Starający się o trzecią kadencję prezydencką Władimir Putin chwali się w dzienniku „Izwestia” „wyprowadzeniem Rosji ze ślepego zaułka” i „przetrąceniem kręgosłupa terroryzmowi”. Nie rozumie jednak, o czym miałyby rozmawiać z opozycją.

Rosja koncentruje siły – wyzwania, na które musimy odpowiedzieć – tak zatytułowany został programowy tekst obecnego premiera.

Putin tłumaczy w nim, dlaczego znów zdecydował się wrócić na Kreml: „W 1999 roku, gdy zostałem premierem, a następnie prezydentem, nasze państwo znajdowało się w stanie głębokiego systemowego kryzysu. I grupa ludzi, którą dane było sformować i poprowadzić autorowi tych słów, ciesząc się poparciem absolutnej większości obywateli, wyprowadziła Rosję ze ślepego zaułka wojny domowej [chodzi o konflikt w Czeczenii], przetrąciła kręgosłup terroryzmowi, odbudowała integralność terytorialną kraju, przywróciła ład konstytucyjny i zapewniła Federacji Rosyjskiej w ciągu dziesięciu lat jeden z najwyższych w świecie wskaźników wzrostu gospodarczego”

Faworyt wyborów, które odbędą się w marcu, ogólnikowo ujawnił, jakie stawia sobie zadania: „Naszym celem na najbliższe lata jest usunięcie z drogi rozwoju narodowego wszystkiego, co przeszkadza iść naprzód, a także zakończenie budowy w Rosji

takiego systemu politycznego, takiej struktury gwarancji socjalnych i takiego modelu gospodarki, które razem stworzą jeden żywy, stale rozwijający się, a jednocześnie stabilny i zdrowy organizm państwowy”

Putin jednocześnie wykluczył możliwość udziału w debatach z przeciwnikami jego władzy, którzy w ubiegłym miesiącu w całej Rosji zbierali się na wielotysięczne manifestacje. „Dzisiaj mówi się o różnych formach odnowienia procesu politycznego. W jakiej sprawie proponuje się dojść do porozumienia? Modelu przyszłej władzy? Przekazania jej »najlepszym ludziom«? I co dalej?” – pyta Putin, dając do zrozumienia, że taki dialog prowadziłyby donikąd.

Premier zarzucił opozycji, że stawia Rosję przed „stale powtarzającym się w naszej historii problemem – dążeniem do rewolucji, a nie konsekwentnego rozwoju. A przecież doświadczenie, nie tylko rosyjskie, dowodzi, że historyczne skoki, przewroty są zgubne” – podkreślił Putin.

W innym miejscu przestrzegł przed „destrukcyjnymi siłami”, których sojusznikami stają się państwa próbujące „eksportować demokrację przy użyciu siły i metodami wojskowymi”

Sam Putin przedstawił się wyborcom jako gwarant harmonijnego, stopniowego rozwoju, który ma „zapewnić suwerenność Rosji i dobrobyt obywatelom wielkiego mocarstwa na dziesięciolecie; obronić sprawiedliwość i godność każdego człowieka, prawdę i zaufanie w relacjach między państwem a społeczeństwem”

– Bilans jego rządów jest fatalny: degradacja przemysłu, nauki, armii – skomentował artykuł Putina Giennadij Ziuganow, kandydat komunistów na prezydenta.

– Putin składa dziś obietnice, że tylko pod jego rządami kraj będzie się rozwijać harmonijnie, a ludziom będzie się żyło coraz lepiej. To niech najpierw powie, dlaczego rządząc Rosją tak długo, tego nie osiągnął – stwierdził Grigorij Jawliński, przywódca demokratycznej partii Jabłoko i również jeden z kandydatów w marcowych wyborach.

Obecny premier mimo dużego spadku poparcia wciąż jest najpopularniejszym rosyjskim politykiem. Część sondaży nie daje mu jednak zwycięstwa już w pierwszej turze, co przy wyborze głowy państwa nie zdarzyło się w Rosji od 1996 roku.

31.01.2012, wtorek

PUTIN KRYTYKUJE RZĄDY PUTINA

Gigantyczna korupcja, chybione pomysły gospodarcze i brak konkurencyjności firm – tak wygląda rosyjska gospodarka w oczach Władimira Putina znów starającego się o prezydenturę.

Obecny szef rządu i były prezydent opublikował kolejny już w ostatnich tygodniach programowy artykuł – tym razem w biznesowym dzienniku „Wiedomosti”

Wiele z tego, co napisał Putin, przypomina to, co o jego polityce gospodarczej od dawna mówi opozycja. Premier pisze na przykład, że Rosja „ponad ćwierć dochodu narodowego, pochodzącego z eksportu gazu, ropy, metali, drewna i innych surowców”, próbowała przeznaczyć na włączenie się do światowej rywalizacji o rynki sprzedaży. W tym celu stworzyła potężne państwowe korporacje, takie jak np. Rostechologia (426 fabryk, przede wszystkim zbrojeniowych) czy Rosatom (właściciel elektrowni jądrowych).

Te molochy „ani nie stały się konkurencyjne na globalnym rynku, ani ich kapitalizacja nie wzrosła, ani nawet nie przynoszą stałych zysków” – przyznaje Putin. Nie dodaje tylko, że te giganty powstały z jego inicjatywy i że rządzą nimi jego bliscy koledzy.

Premier ocenia, że „klimat biznesowy w Federacji Rosyjskiej, atrakcyjność jej rynku dla inwestycji długofalowych są wciąż niezadowolające”, choć w ostatnich latach „z inicjatywy prezydenta Dmitrija Miedwiediewa zainicjowaliśmy wiele

reform zmierzających do poprawy warunków działania biznesu. Zauważalne zmiany jednak na razie nie nastąpiły”.

Jako główną przeszkodę, która nie pozwala gospodarce Rosji pokonać narkotycznej zależności od eksportu surowców i się modernizować, Putin wskazał korupcję, którą nazywa „systemową”. Tłumaczy, że praca funkcjonariuszy państwowych nie jest kontrolowana przez społeczeństwo, a przedsiębiorcy w tych warunkach ignorują prawo, bo ważniejsze dla nich jest kupienie sobie urzędników patronujących biznesowi i pomagających zlikwidować konkurentów za pomocą podatków czy sądów.

„Musimy zmienić samo państwo, władzę wykonawczą i sędziowską w Rosji; zdemontować represyjne spoiwo organów policyjnych, śledczych, prokuratorskich i sędziowskich; usunąć z prawa karnego wszystkie pozostałości radzieckiej świadomości prawnej, wszystkie przepisy pozwalające na przekształcenie sporu gospodarczego w sprawę karną przeciwko jednemu z uczestników” – wskazuje Putin.

Premier zapewnił, że jego kraj po takich zmianach „powinien zająć znaczące miejsce w międzynarodowym podziale pracy nie tylko jako dostawca surowców i nośników energii, lecz także jako posiadacz najnowocześniejszych technologii w co najmniej kilku dziedzinach”. Powinny to być m.in.: energetyka atomowa, technologie kosmiczne, przemysł farmaceutyczny, chemiczny i lotniczy, ale też informatyka i nanotechnologie.

Szef rządu zapowiedział ograniczenie roli państwa w gospodarce i zapewnił, że gotowe są programy prywatyzacji wielkich koncernów. O tym, jak miałyby to przebiegać, jednak nie napisał.

– Zapoznałem się z tekstem i nasuwa mi się pytanie: gdzie przez ostatnie dwanaście lat był autor i czym się zajmował? Czy to nie pod jego rządami skala korupcji w Rosji doszła do niespotykanego w krajach cywilizowanych poziomu? – mówi „Wyborczej” znany ekonomista Władisław Inoziemcew.

W komentarzu na stronie internetowej „Wiedomosti” napisał zaś: „Okazuje się, że autor artykułu, niejaki Władimir Putin, kandydat na prezydenta z ramienia partii Jedna Rosja, wydaje wyrok na innego Władimira Putina, kiedyś prezydenta, dziś premiera i przywódcę rządzącej od dwunastu lat partii, a przy tym nie dostrzega związku między wieloma wydarzeniami, do jakich doszło w czasie rządów tamtych wcześniejszych Putinów. To chyba przypomina rozdwojenie jaźni”

7.02.2012, wtorek

PUTIN POZUJE NA DEMOKRATĘ

Prawdziwa demokracja jest niezbędna do budowy państwa służącego społeczeństwu – przekonuje rosyjski premier i zapowiada reformy polityczne. – Słuszne rzeczy, ale absolutnie sprzeczne z tym, co robił przez dwanaście lat – ocenia ekspert.

Tekst szefa rządu w gazecie „Kommiersant” to najwyraźniej próba pozyskania przychylności klasy średniej, która ostatnio regularnie występuje przeciw niemu na wielotysięcznych wiecach w Moskwie i Sankt Petersburgu oraz mniej licznych w innych miastach kraju.

Ta aktywność polityczna – zdaniem byłego prezydenta – świadczy o tym, że Rosjanie dojrzeli do demokracji. „Nasze społeczeństwo jest dzisiaj zupełnie inne niż na początku pierwszej dekady XXI wieku. Wielu ludzi jest lepiej sytuowanych, lepiej wykształconych i bardziej wymagających. Zmiana wymagań stawianych władzom, wyjście klasy średniej z wąskiego światka budowy własnego dobrobytu to rezultat naszych wysiłków. Pracowaliśmy na to” – Putin chwali się tym, że wychował generację, która buntuje się przeciw niemu.

Tłumaczy, że w latach dziewięćdziesiątych, kiedy państwo było słabe, a oligarchowie rozgrabili majątek narodowy, Rosjanie sparzyli się na demokracji i ją odrzucali. W ten sposób premier sugeruje, że przykręcanie śruby, do którego doszło w czasie jego rządów, likwidacja wyborów gubernatorów, kontrola państwa

nad mediami, odmowa rejestracji partii politycznych – wszystko to zostało zrealizowane na prośbę społeczeństwa.

Teraz jednak czas na demokratyzację, ale, jak wynika z tekstu Putina, niewielką i przede wszystkim na poziomie lokalnym. Premier chce wprowadzić wybory szefów administracji miejskich i radnych, a także dać społecznościom lokalnym prawo odwoływania komendantów policji i zarządzających gospodarką komunalno-mieszkaniową.

Putin podpisał się też pod inicjatywami prezydenta Dmitrija Miedwiediewa dotyczącymi liberalizacji rejestrowania partii politycznych, a także ułatwienia zgłaszania kandydatów na posłów regionalnych i federalnych oraz na prezydenta. Opowiedział się również za przywróceniem wyborów gubernatorów.

Ukłonem w stronę buntującej się dziś klasy średniej zafascynowanej internetem jest propozycja, by projekty ustaw poparte przez 100 tysięcy internautów były obowiązkowo rozpatrywane przez Dumę.

Putin zgłosił też inicjatywę „poprawienia języka prawodawstwa, uczynienie go zrozumiałym dla adresatów”. Sam zrobił to jednak za pomocą frazy nie tak już lekkostrawnej: „Ważne jest stworzenie przyjaznego interaktywnego interfejsu na portalach organów władzy publicznej”.

Według Maksima Trudolubowa, szefa działu komentarzy dziennika „Wiedomosti”, programowe artykuły Putina są „żałosne” – One byłyby interesujące, gdyby podpisywał je polityk niebędący u władzy. A tak czytamy o planach reform zaprzeczających temu, co autor wprowadzał w życie przez dwanaście lat. To on zlikwidował wybory gubernatorów i merów miast, uniemożliwił rejestrację partii opozycyjnych. A teraz

tłumaczy, że tego chciało społeczeństwo – wylicza „Wyborczej” Trudolubow.

I dodaje: – Putin pisze też wiele o tym, jak po jego powrocie na Kreml będzie wyglądała walka z korupcją. Jaka walka? Jeśli to on zmusza dziś gubernatorów do fałszowania wyborów na jego korzyść, to jak potem będzie ich rozliczał za łapówki? To wszystko dowodzi, że premier zużył się jako polityk.

14.02.2012, wtorek

PUTIN OBIECUJE ROSJĘ MIODEM PŁYNAĆĄ

Rozwiązanie problemu mieszkaniowego do 2030 roku, szybki wzrost liczby ludności i utrzymanie niskiego wieku emerytalnego zapowiada Władimir Putin. Podobne obietnice chętnie składali przywódcy ZSRR, a pozostały po nich tylko smutne anegdoty.

Premier ogłosił w poniedziałek w prasie kolejny fragment swego programu – tym razem w „Komsomolskiej Prawdzie” napisał o przyszłej polityce społecznej.

Zapewnił, że do 2020 roku „na 60 procent”, a do 2030 roku już ostatecznie rozwiąże „problem dostępności nowych, nowoczesnych mieszkań”. Żeby to zrealizować, postara się obniżyć koszty budownictwa mieszkaniowego o 20-30 procent.

Rosjanie przypomnieli sobie, że takie same wizje roztaczali przed nimi kolejni przywódcy ZSRR – Nikita Chruszczow (1953-1964), Leonid Breżniew (1964-1982), a nawet Michaił Gorbaczow (1985-1991). Ten ostatni w pierwszych latach swej pierestrojki zapewniał, że w 2000 roku każdy obywatel Związku Radzieckiego będzie mieszkać w swoim lokalu. I jako jedyny w pewnym sensie słowa dotrzymał – w 2000 roku rzeczywiście nie było ani jednego obywatela ZSRR, który nie miałby swego mieszkania. Ale tylko dlatego, że dziewięć lat wcześniej Związek Radziecki przestał istnieć.

Z tego, co napisał Putin, wynika, że jego prognozy opierają się na fałszywych przesłankach. W tekście znalazło się stwierdzenie, że dziś statystyczny Rosjanin na to, by kupić sobie 54-metrowe mieszkanie, musi odkładać średnią pensję przez cztery i pół roku. W rzeczywistości taki lokal w Moskwie kosztuje dziś tyle, ile przeciętny Rosjanin zarabia przez trzydzieści lat. Mieszkaniec Niżnego Nowgorodu, gdzie buduje się znacznie taniej niż w stolicy, musi pracować trzynaście i pół roku.

Nic dziwnego, że przez osiem lat prezydentury Putina i kolejne cztery lata jego premierowania tylko 4 procent Rosjan rozwiązało swój „problem mieszkaniowy”.

Kolejną, jak to określa prof. Anatolij Wiszniewski, guru rosyjskich demografów, „fantastyczną wizją” jest zawarta w artykule premiera zapowiedź wzrostu liczby obywateli Rosji do 2050 roku o 12 milionów.

Putin napisał, że jeśli utrzymają się dzisiejsze tendencje demograficzne, to w połowie wieku w Rosji będzie tylko 107 milionów ludzi – o 36 milionów mniej niż dziś. Ale premier obiecuje, że uda się temu zapobiec i sprawić, by kraj liczył w 2050 roku 155 milionów obywateli. Jak? Zapowiada na przykład, że rodzinie, w której pojawi się trzecie dziecko, państwo będzie pokrywać koszty jego utrzymania.

Putin obiecał też „mądrą” politykę migracyjną, dzięki której Rosja co roku mogłaby „przyrastać” o 300 tysięcy nowych obywateli. To akurat stoi w sprzeczności z tym, co sam premier dwa tygodnie temu pisał w innym artykule poświęconym polityce narodowościowej – bo wtedy mówił o zaostreniu polityki imigracyjnej.

Putin nie przypomniał też, że przez ostatnią dekadę jego rządów liczba Rosjan zmniejszyła się o 2,8 miliona i ciągle spada,

a perspektywy kraju są fatalne. Prof. Wiszniewski ostrzega, że kraj stanął na skraju przepaści demograficznej, bo w wiek rozrodzony wkracza pokolenie głębokiego niżu demograficznego lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Dzieci będzie się więc rodzić bardzo mało, a według eksperta liczba mieszkańców kraju będzie się co roku zmniejszać o pół miliona.

Zdaniem Jewgienija Gontmachera, jednego z szefów prezydenckiego Instytutu Rozwoju Współczesnego, socjalnego manifestu faworyta wyścigu o Kreml poważnie przyjmować nie należy: – To są tylko obietnice wyborcze nieoparte żadnymi wyliczeniami. Mamy tu zapowiedź podwyższenia stypendiów studentom, podwyżek płac nauczycieli, lekarzy, robotników, i to do 200 procent średniej krajowej. I jeszcze utrzymania dzisiejszego wieku przechodzenia na emeryturę, który u nas w rzeczywistości wynosi średnio pięćdziesiąt cztery lata. Ile to wszystko będzie kosztować? Skąd wziąć na to pieniądze bez rewolucji budżetowej i podatkowej? Niedawno byłem na spotkaniu z ministrem finansów Antonem Siłuanowem, który mówił, że budżet kraju już jest „przepełniony” zobowiązaniami socjalnymi i więcej ich nie udźwignie.

Gontmacherowi artykuł w „Komsomolskiej Prawdzie” przypomina starą anegdotę o tym, że „jeżeli partia mówi, że nie da, to nie da, a jeśli mówi, że da, to znaczy, że mówi”. – Chociaż może Putin kalkuluje po swojemu i wie, że baryłka ropy będzie wkrótce kosztować 200 dolarów, a wtedy starczy mu pieniędzy na wszystko – podkreśla.

21.02.2012, wtorek

WYŚCIG ZBROJEŃ PUTINA

Starający się o powrót na Kreml Władimir Putin zapowiada przebrojenie rosyjskiej armii i wyposażenie jej w sprzęt, który „widzi dalej, strzela dokładniej i reaguje szybciej”. – To nierealne obietnice – mówią eksperci.

Premier w tekście opublikowanym w rządowej „Rossijskiej Gazecie” wskazuje na niebezpieczeństwo, które grozi dziś jego krajowi. Uważa, że wstrząsy w gospodarce światowej „rodzą pokusę rozwiązywania swoich problemów kosztem innych”. Premier straszy rodaków wrogami wyciągającymi ręce po skarby ukryte w ziemi rosyjskiej, dodając, że Rosja nie może „wodzić na pokuszenie swą własną słabością”.

Zagrożeniem dla Rosji jest też amerykańska tarcza antyrakietowa, na którą Putin obiecuje odpowiedzieć „efektywnie i asymetrycznie”. Państwo w ciągu najbliższej dekady da swojej armii nowoczesną broń, na co przeznaczy 23 biliony rubli (około 760 miliardów dolarów), czyli dwa razy więcej, niż wynosi budżet kraju na bieżący rok.

Putin zapowiedział, że armia otrzyma 400 międzykontynentalnych rakiet balistycznych, osiem wielkich okrętów podwodnych, około 20 wielozadaniowych okrętów podwodnych, ponad 50 okrętów nawodnych i około 100 wojskowych satelitów.

Na liście zakupów szef rządu umieścił też 600 nowoczesnych samolotów, w tym supernowoczesne myśliwce piątej generacji, oraz ponad 1000 śmigłowców. Siły zbrojne Rosji otrzymają również setki najnowocześniejszych rakiet przeciwlotniczych i tysiące pojazdów wojskowych.

Lwia część tego sprzętu będzie pochodzić z rodzimych fabryk zbrojeniowych. Rosja będzie też kupować broń za granicą, ale przede wszystkim po to, by zdobywać nowe technologie dla swojego przemysłu. Szef rządu zapowiedział modernizację krajowej zbrojeniówki, rozwój jej zaplecza naukowego i szkół, które będą przygotowywać fachowe kadry dla przemysłu.

Zdaniem Aleksandra Konowałowa, przewodniczącego moskiewskiego Instytutu Ocen Strategicznych, Putin „dużo pisze o tym, co należy zrobić, ale nic o tym, jak to zrobić” – Przez szesnaście lat Rosja zbudowała dwa strategiczne podwodne krążowniki klasy Borej, dla których zresztą do dziś nie mamy rakiety. Teraz za dziesięć lat mamy dostać jeszcze sześć takich jednostek. Do armii w ostatnich latach trafia rocznie osiemdziesiąt strategicznych rakiet balistycznych. Teraz co roku ma być ich czterdzieści. Kto to zbuduje? Skąd weźmiemy nowe fabryki, nowe stocznie? Putin składa puste obietnice – ocenia ekspert.

Natomiast Wiktor Litowkin, redaktor naczelny tygodnika „Niezawisimoje Wojennoje Obozrienje”, uważa, że militarny program Putina mógłby zostać zrealizowany, jeśli „zabierzemy się do tego rozumnie”.

– Ale u nas tak nie bywa. Pieniądze, i to ogromne, są, ale to nie wystarczy. Trzeba pilnować, żeby ich nie rozkradli, żeby wyprodukowali to, co naprawdę jest potrzebne armii. Trzeba rozliczać polityków, którzy odpowiadają za zbrojeniówkę. Premier składa nam słodkie obietnice. Ale – jak mówimy –

od powtarzania słowa „chałwa” w ustach słodko się nie robi –
przypomina Litowkin.

24.02.2012, piątek

PUTINA BITWA O ROSJĘ

– Nie pozwolimy, by ktokolwiek narzucał nam swoją wolę, bo mamy własną. Jesteśmy narodem zwycięzcą. Mamy to w genach. Bitwa o Rosję trwa! Zwycięstwo będzie nasze! – krzyczał Władimir Putin do swych zwolenników na moskiewskim stadionie Łuźniki.

Pojawienie się premiera i faworyta wyborów prezydenckich zapowiedzianych na 4 marca na czwartkowym wiecu było sensacją. Po tym, jak został w listopadzie wygwizdany w stołecznej hali sportowej Olimpijski, Putin unikał spotkań z publicznością. W czasie kampanii wyborczej tylko raz pojawił się na wiecu w fabryce w syberyjskim Kemerowie, gdzie organizatorzy starannie dobrali mu publiczność.

Wprawdzie rzecznik Putina Dmitrij Pieskow zapowiadał, że pojawienie się jego szefa na Łuźnikach jest „wielce prawdopodobne”, ale ludzie nie wierzyli, że zobaczą premiera. I dlatego wielu z nich, przybyłych na manifestację na polecenie przełożonych, odhaczało się na listach obecności i od razu rejterowało.

Przez to o mało co nie spóźniłem się na przemarsz Bulwarem Frunzeńskim w kierunku Łuźników, który poprzedził sam wiec. Straciłem sporo czasu, zanim zorientowałem się, że rzeka ludzi ze zwiniętymi flagami i transparentami płynie nie w kierunku miejsca zbiórki, lecz z powrotem.

– Zapisali nas i starczy. Idziemy do domu. Świątować! – wyjaśnili chłopcy, którzy pokazali mi, gdzie ludzie zbierali się na marsz. A zanim odeszli, złożyli mi jeszcze życzenia. Bo w czwartek było przecież jedno z najbardziej ulubionych przez Rosjan świąt – Dzień Obrońcy Ojczyzny uważany tu po prostu za dzień wszystkich mężczyzn.

Po Frunzeńskim do Łużników przemaszerowało, jak twierdzi policja, 30 tysięcy ludzi zamiast zapowiadanych przez organizatorów 40 tysięcy. Szli grupami pod okiem szefów pracownicy firm komunalnych, miejskich firm transportowych, szkół, dzielnicowych administracji. Na pytania odpowiadali niechętnie, ale zapewniali, że przyszli z własnej woli, bo chcą, by ich prezydentem był znowu Putin.

Na ogromnym, mieszczącym 78 tysięcy widzów stadionie, czekali na uczestników marszu ludzie przywiezieni tam z osiemdziesięciu regionów Rosji. Pod stadionem spotkałem grupę umundurowanych Kozaków, jak mnie zapewnił jeden z nich, z dalekowschodniego Ussuryjska.

Policja twierdzi, że wiec zgromadził 130 tysięcy zwolenników Putina. Ale to spora przesada. Trybuny stadionu nie były pełne, na jego płycie zebrało się najwyżej 8 tysięcy manifestantów. Według organizatorów wokół stadionu było jeszcze około 30 tysięcy ludzi.

Po rozpoczęciu wiecu ludzie nieprzerwanym strumieniem ze stadionu wychodzili. I kiedy 40 minut później na scenie pojawił się Putin, spora część trybun była już pusta.

Zaskoczona publiczność przyjęła premiera z entuzjazmem. A on, przywitawszy się i zapomniawszy złożyć życzenia zgromadzonym mężczyznom, od razu rozpoczął przemówienie. Bardzo agresywne, poświęcone zagrożeniom, przed którymi stoi dziś Rosja.

– Jesteśmy gotowi nie tylko pracować dla ojczyzny, ale i bronić jej. Nie pozwolimy, by ktokolwiek ingerował w nasze wewnętrzne sprawy, narzucał nam swoją wolę, bo mamy swoją wolę. Ona zawsze pomagała nam zwyciężać. Jesteśmy narodem zwycięzcą. Mamy to w genach. I teraz też zwyciężymy! – zapewnił Putin, a tłum, powiewając flagami, odpowiedział mu głośno: – Taaak!

Premier zwrócił się też do tych, którzy go nie popierają, zarzucając im brak patriotyzmu: – Prosimy nie spoglądać za granicę (Putin użył słowa *bugor* wywodzącego się z języka kryminalistów, a nie cywilizowanego „granica”), nie zdradzać swojej ojczyzny, a być razem z nami, pracować na jej rzecz, na rzecz jej narodu i kochać ją, jak my, z całego serca. I zapytam was, kochamy ojczyznę?

A stadion odpowiedział mu jeszcze głośniejszym: – Taaak!

Premier przypomniał, że w tym roku przypada 200. rocznica wojny Rosji z Napoleonem, a nawet z pamięci wyrecytował fragment znanego patriotycznego wiersza Michaiła Lermontowa *Borodino*. I zakończył przemówienie bojową frazą zapożyczoną od premiera ZSRR Wiaczesława Mołotowa wzywającego w czerwcu 1941 roku do walki z Niemcami: – Bitwa o Rosję trwa! Zwycięstwo będzie nasze!

Taka retoryka podoba się Rosjanom przekonywanym stale przez oficjalną propagandę, że na ich kraj czyha wrogi Zachód i liberalna opozycja. – Zuch Putin! Tak trzeba Zachodowi i wam, Polakom, ch...m Słowianom. I naszym pomarańczowym zaprzańcom – chwalił premiera Kozak z Ussuryjska.

28.02.2012, wtorek

LĘKI I NADZIEJE

Krytyka USA za wtrącanie się w sprawy innych państw, kontrola internetu, obrona programu atomowego Iranu i rozszerzenie współpracy gospodarczej z UE – to polityka zagraniczna przyszłego prezydenta Rosji.

Szef rządu, który w niedzielę zapewne już w pierwszej turze wygra wybory głowy państwa, tym razem wybrał „Moskowskije Nowosti” na poinformowanie o sprawach międzynarodowych.

Zgodnie z zasadami uprawianej przez Moskwę polityki zagranicznej premier konsekwentnie broni reżimów, które stają się ofiarą, jak to określił, „inżynierii politycznej” uprawianej przez Zachód. Twierdzi, że „wiele krajów pod osłoną humanitarnych haseł, z pomocą lotnictwa, rozprawiło się z reżimem libijskim”, i podkreśla, że nie wolno pozwolić na podobny scenariusz w Syrii.

„Wiele konfliktów zbrojnych usprawiedliwianych celami humanitarnymi podważa utrwaloną przez stulecia zasadę suwerenności państwa. W stosunkach międzynarodowych powstaje próżnia etyczno-prawna” – ostrzega Putin.

Oskarża Stany Zjednoczone o to, że nie mogą opanować „wojennego świerzbienia”, a to nie pozwala im spokojnie, razem z partnerami, wypracować rozsądnych planów rozwiązania sytuacji konfliktowych. Ma tu na myśli także Iran i przestrzega

przed podejmowaniem akcji wojskowej przeciw Teheranowi, który rozwija swój program atomowy.

„Jeśli do tego dojdzie, następstwa będą katastrofalne” – wyjaśnia rosyjski premier. I proponuje „przyznanie Iranowi prawa do rozwijania cywilnego programu jądrowego, w tym wzbogacania uranu, ale w zamian za oddanie całej irańskiej działalności w sferze nuklearnej pod niezawodną i wszechstronną kontrolę Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej”

Za to „nie do przyjęcia” jest dla Putina program atomowy rozwijany przez Koreę Północną, ale w tej sprawie nie zaproponował rozwiązań.

Kolejne zagrożenie faworyt niedzielnych wyborów widzi w nowych technologiach komunikowania się: „Można powiedzieć, że internet, sieci społecznościowe i telefony komórkowe – podobnie jak telewizja – przekształciły się w skuteczne narzędzie zarówno polityki wewnętrznej, jak i zagranicznej. Jest to nowy czynnik wymagający przemyślenia, w tym po to, aby promując unikatową wolność komunikowania się w internecie, zmniejszyć ryzyko jego wykorzystania przez terrorystów i przestępców”

Putin deklaruje za to pogłębienie współpracy z UE: „Ponownie proponuję, byśmy popracowali nad utworzeniem harmonijnej wspólnoty gospodarek na obszarze od Lizbony po Władywostok. A w przyszłości doprowadzili do sformowania strefy wolnego handlu, a nawet bardziej zaawansowanych mechanizmów integracji gospodarczej. Uzyskamy wówczas wspólny kontynentalny rynek wart biliony euro”

Za pole do współpracy premier tradycyjnie uznaje rozwijanie kooperacji Europy z Rosją w dziedzinie surowców

energetycznych, czyli w istocie rzeczy zwiększenie uzależnienia rynków UE od rosyjskiej ropy i rosyjskiego gazu.

5.03.2012, poniedziałek

CAR PUTIN III

– Dziękuję wszystkim, którzy powiedzieli „tak” wielkiej Rosji! Obiecywałem, że wygramy, i wygraliśmy! – wołał Władimir Putin do 100 tysięcy zwolenników, którzy pod Kremlm świętowali jego zwycięstwo w wyborach prezydenckich.

– Dowiedliśmy, że nikt nam nie może niczego narzucić. Pokazaliśmy, że nasi ludzie bez trudu potrafią odróżnić dążenie do odnowy od prowokacji politycznych, których celem jest tylko jedno: zrujnowanie rosyjskiej państwowości. Naród rosyjski pokazał jednak, że takie warianty na ziemi rosyjskiej nie przejdą. One nie przejdą! – wykrzyknął ze łzami w oczach Putin, gdy wszystkie sondaże pokazały, że zdecydowanie wygrał wybory (dostał 63,30 procent głosów).

Stojąc obok obecnego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa, premier zapewniał, że osiągnął „czyste zwycięstwo”.

Na 111 milionów uprawnionych do głosowania czekało ponad 95 tysięcy komisji wyborczych w całym kraju. Opozycja spodziewała się, że władza – podobnie jak zrobiła to w czasie grudniowych wyborów do Dumy – będzie powszechnie fałszować wyniki na korzyść premiera.

Obóz władzy starał się przekonywać, że nic takiego nie będzie mieć miejsca. Dla niego to bardzo ważne, bo jak się od wieków mówi w Rosji: „car musi być legitymny”, by nikt nie mógł podważyć prawomocności jego obecności na Kremlu.

Putin polecił nawet, by w lokalach wyborczych zainstalować kamery, które rejestrowały przebieg głosowania i miały również rejestrować liczenie głosów. Z całego kraju dochodziły jednak sygnały, że kamery natychmiast po zakończeniu głosowania zostały wyłączone.

– U nas zdarzyło się coś, co tylko w bardzo ogólnym zarysie przypomina wybory, a bardziej ich karykaturę. Mieliśmy i przekupywanie głosujących, i wrzucanie do urn całych plików kart wypełnionych w „jedynie słuszny sposób”, i wreszcie „karuzele”, czyli grupy ludzi przewożonych od lokalu do lokalu autobusami i głosujących po kilka, kilkanaście razy w każdym z tych miejsc – powiedział „Wyborczej” Leonid Wołkow, szef oddziału stowarzyszenia Gołos w Jekaterynburgu.

Gołos zorganizował obserwację wyborów w całym kraju i odnotował ponad 3 tysiące przypadków łamania prawa. – Byłem członkiem mobilnej grupy, której zadaniem było reagowanie na skargi mężów zaufania i obserwatorów w lokalach wyborczych na południowym zachodzie Moskwy. Tam, gdzie głosował także sam Putin – opowiadał nam Rustam Abdraszyłow. Według niego w stolicy działało się dokładnie to samo, co w Jekaterynburgu.

Abdraszyłow był także świadkiem, jak w lokalu wyborczym w siedzibie Rosyjskiej Akademii Nauk, skąd chwilę przedtem wyszedł Putin i jego żona Ludmiła, zjawiły się aktywistki ukraińskiego ruchu Femen.

Dziewczyny z obnażonymi piersiami, jak to mają w zwyczaju, udawały, że próbują ukraść urnę, w której leżała karta do głosowania wypełniona przez premiera. Na piersiach miały zaś wypisane hasła: „Kradnę za Putina”, „Złodziej 3” (aluzja do tego, że to będzie trzecia kadencja Putina), „Kremlowskie

szczury”. W czasie, kiedy je zatrzymywano, dziewczęta skandowały: „Putin złodziej!”. Grozi im do piętnastu dni aresztu lub grzywna.

Teraz władze obawiają się zapowiedzianych już wielkich protestów opozycji. (...) Merostwo Moskwy, bojąc się demonstracji tuż pod symbolem najwyższej władzy, zawczasu oddało przylegające do Kremla place proputinowskim młodzieżówkom, i to na kilka najbliższych dni.

Tak więc Nasi, członkowie Młodej Gwardii czy Rosji Młodej, już wczoraj zaczęli „putingować” (nowe rosyjskie określenie wzięte ze skrzyżowania słów „Putin” i „miting”) na Łubiance, placu Maneżowym, placu Rewolucji, placu Błotnym, a od wtorku do niedzieli będą okupować też plac Puszkina.

Przygotowania do tego święta sprawiły, że centrum Moskwy przypomina Warszawę czy Gdańsk z czasów stanu wojennego. We wszystkich newralgicznych punktach miasta stoją długie kolumny autobusów i ciężarówek z policjantami, OMON-owcami czy żołnierzami wojsk wewnętrznych. Skoncentrowano je przy tradycyjnych miejscach opozycyjnych demonstracji, a przed merostwem stoją potężne ciężarówki z zakratowanymi oknami, kilka policyjnych więźniarek i wóz strażacki z armatką wodną. Wielki parking policyjnych wozów zorganizowano też przed Teatrem Wielkim.

Sam Putin jeszcze w czwartek w czasie spotkania z aktywistami swojego Ogólnorosyjskiego Frontu Narodowego powiedział, że opozycja, by wszcząć niepokoje w kraju, planuje „złożyć w sakralnej ofierze” którąś ze znanych w Rosji osób. – Sami go rozwalą, a potem wszystko zwałą na władze – stwierdził premier.

W Moskwie przyjęto tę wypowiedź szefa rządu jako bardzo niebezpieczną. Zdaniem opozycji ludzie z resortów siłowych

mogą zrozumieć, że Putin życzy sobie przelewu krwi, i mogą spełnić to, co uznali za polecenie.

8.05.2012, wtorek

PUTIN ZAPRZYSIĘŻONY NA PUTINA

Władimir Putin po czteroletniej przerwie wrócił na Kreml. Kiedy składał przysięgę prezydencką, policja w centrum Moskwy polowała na jego przeciwników, zatrzymując około 200 osób.

Położywszy dłoń na „koronacyjnym” egzemplarzu konstytucji, jak każe tradycja, wyrecytował z pamięci tekst przysięgi prezydenckiej. Potem wygłosił krótką przemowę, obiecując, że będzie rozwijał kraj, opierając się na „wartościach tysiącletniej kultury rosyjskiej”, i przestrzegał zasad demokracji. Podziękował też swemu poprzednikowi, podkreślając, że Dmitrij Miedwiediew zapewnił „ciągłość i stabilność rozwoju Rosji”.

Wkrótce po ceremonii i po tym, gdy ustępujący prezydent przekazał następcy tzw. walizeczkę atomową z szyframi uruchamiającymi strategiczny arsenał jądrowy kraju, Putin desygnował Miedwiediewa na premiera.

Na okazałą uroczystość na Kremlu zaproszono około 3 tysięcy gości – członków rządu, parlamentarzystów, gubernatorów, ambasadorów, lojalnych wobec władz artystów i redaktorów, kawalerów najwyższych rosyjskich orderów.

Z zagranicy przyjechali starzy przyjaciele Putina – wsławiony skandalami były premier Włoch Silvio Berlusconi, były kanclerz Niemiec Gerhard Schröder, dziś pracujący dla Gazpromu, oraz ulubieniec Miedwiediewa, aktor i dawny gubernator Kalifornii Arnold Schwarzenegger.

Byli też przywódcy religijni. Najważniejszy z nich, patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl, zaraz po inauguracji w Soborze Zwiastowania odmówił tylko dla Putina i jego żony Ludmiły modlitwę w intencji rozpoczynającej się prezydentury. Później przywódca Cerkwi w stołecznym soborze Chrystusa Zbawiciela celebrował jeszcze specjalne inauguracyjne nabożeństwo.

Wspaniałe, wzorowane na koronacji cara Aleksandra II zaprzysiężenie przywódcy państwa okazało się jednak świętem dla bardzo nielicznych. Zwykłym mieszkańcom stolicy kazano się trzymać z daleka.

Kreml już rano otaczał wysoki metalowy płot. Gdy około godziny 8 jechałem przez centrum, widziałem prawie wyłącznie ludzi w milicyjnych mundurach. OMON-owcy w pośpiechu przegradzali ulice i chodniki.

Eskortowany przez motocyklistów luksusowy mercedes-benz S600 guard pullman wiozący Putina z siedziby rządu na Kreml jechał więc przez puste ulice jakby wymarłego miasta. Nikt po drodze nie pozdrawiał prezydenta. Kiedy wjechał na Bulwar Gogola, nikt nie otworzył okna, by mu pomachać. Mieszkańcy dobrze wiedzieli, że rozlokowani na dachach snajperzy mają za zadanie czuwać nad tym, by do okien nikt nie podchodził.

– Ostatnim przywódcą państwa, który wjeżdżał na Kreml w podobnych okolicznościach, był Napoleon w 1812 roku. Zajęta przez wroga Moskwa też była pusta i nawet jeszcze się paliła – ironizuje Gleb Pawłowski, znany politolog, niegdyś ważny doradca Putina.

Rosyjscy internauci, pisząc o atmosferze panującej w stolicy, powtarzają słowa „okupacja”, „oblężenie”, „pacyfikacja”, „czystka”.

Głęboki cień na z założenia wspaniałą inaugurację Putina rzuciła niedzielna brutalna rozprawa policji z opozycjonistami,

którzy przyszli na legalny pochód i wiec na placu Błotnym w centrum Moskwy. Doszło do starć, w wyniku których poszkodowanych zostało co najmniej 76 osób z obu stron. Aresztowano od 450 do 650 demonstrantów.

W czasie, kiedy Putin składał przysięgę na Kremlu, przed moskiewskimi sądami stawali przywódcy opozycji oskarżani o sprzeciwianie się policji. Trzeba przyznać, że nie ukarano ich surowo. Borys Niemcow, były wicepremier, jeden z przywódców partii 'Solidarnost', Siergiej Udalcow z Lewego Frontu i Aleksiej Nawalny zasłużony w walce z korupcją dostali po 1000 rubli (około 100 złotych) grzywny.

Opozycjoniści również wczoraj próbowali manifestować przeciw inauguracji Putina. Policja przez cały dzień polowała na ludzi wychodzących na ulice z białymi wstążeczkami, symbolem zimowego rosyjskiego protestu. Aresztowano około 200 osób. Zatrzymanym młodym chłopcom wręczano wezwania do komisji poborowych.

Putin rozpoczął urzędowanie od wydania kilku populistycznych dekretów, realizacja których ma sprawić, że Rosjanom żyć się będzie znakomicie. Poleciał m.in. rządowi podniesienie w ciągu sześciu lat średniej pensji półtora raza. W 2018 roku lekarze i nauczyciele mają zarabiać dwa razy więcej, niż wynoszą średnie zarobki w ich regionie, a mieszkania powinny być o 20 procent tańsze niż obecnie, kredyty hipoteczne zaś – powszechnie dostępne.

Przywódcą państwa oczekuje też, że będzie malała liczba zgonów, a średnia długość życia wzrośnie do siedemdziesięciu czterech lat. Życzy też sobie, by 90 procent obywateli było zadowolonych z usług świadczonych przez urzędników państwowych i municypalnych.

Prócz tych pobożnych życzeń są też zapisy mogące rzeczywiście wpłynąć na zmianę ekonomicznej sytuacji w kraju. Putin polecił, by państwo zrezygnowało z udziałów w „niesurowcowych” branżach gospodarczych. Chce również, by rząd dopuścił zagraniczne firmy do budowy dróg.

6.06.2012, środa

STRACH NA KREMLU

Czego Władimir Putin boi się najbardziej? Bandytów i morderców? Nie. Złodziei, przez których przepadają miliardy? Też nie. Największy strach na Kremlu budzą aktywni obywatele, którzy pokojowo potrafią się upomnieć o swoje prawa.

Zgodnie z forsowanymi przez kremlowską „partię władzy” Jedna Rosja i w pośpiechu wcielany w życie poprawkami do ustawodawstwa o zgromadzeniach publicznych to właśnie oni będą karani bardziej surowo niż bandyci i złodzieje.

Kilka dni temu zapadł wyrok w sprawie Siergieja Cepowiaza, jednego z przywódców tzw. bandy Capków, która przez lata terroryzowała stanicę Kuszczewską w Kraju Krasnodarskim. Odbierała ziemię farmerom, mordując tych, którzy nie chcieli oddać pól. Na koncie bandy są setki napadów, porwań, gwałtów.

Bandyci, niepodzielnie rządząc w swojej stаницy, tak się rozzuchwalili, że dwa lata temu w jedną noc zamordowali dwanaście osób, w tym małe dzieci i kobiety, a potem próbowali spalić ciała. Sąd uznał Cepowiaza za winnego zacierania śladów tej zbrodni i skazał go na grzywnę w wysokości 150 tysięcy rubli (około 15 tysięcy złotych).

Również kilka dni temu skończył się proces szefów trzech firm, które odpowiadały za przygotowanie partii myśliwców MiG-29 przeznaczonych na eksport do Algierii, bardzo ważnego partnera rosyjskiej zbrojeniówki.

Zainstalowali w samolotach używane i wybrakowane części, wystawiając dokumenty świadczące o tym, że podzespoły bojowych maszyn są fabrycznie nowe. Algierczycy połapali się, że Rosjanie wciskają im złom, i nie przyjęli migów. Rosja straciła kontrakt na 1,1 miliarda dolarów. Moskiewski sąd jednego z oskarżonych skazał na pięć lat więzienia, a dwóch pozostałych – na grzywny 200 i 500 tysięcy rubli.

W myśl nowego prawa o zgromadzeniach uczestnik każdej opozycyjnej demonstracji ryzykuje, że wlepią mu grzywnę w wysokości 300 tysięcy rubli, czyli dwa razy większą niż ta, którą dostał współodpowiedzialny za masowe morderstwo Cepowiaz.

A opozycjonista organizujący na przykład spacer czytelników z ich ulubionymi pisarzami po ulicach Moskwy będzie musiał zapłacić 600 tysięcy rubli, czyli więcej niż „fałszerze migów”. I tyle, ile statystyczny Rosjanin zarabia przez dwa lata.

Tak wysokie kary są przewidziane niby tylko dla uczestników manifestacji, która doprowadziła do naruszenia norm sanitarnych, uszkodzenia zieleni miejskiej, przeszkadzała ruchowi ulicznemu lub przemieszczaniu się pieszych albo skończyła się bijatyką.

Nikt nie może jednak mieć pewności, że „nieznani sprawcy” nie dopuszczą się prowokacji wobec absolutnie pokojowej, legalnej demonstracji.

W Rosji bez zgody władz można przeprowadzać jednoosobowe pikiety. Ale kiedy jakiś opozycjonista staje z plakatem pod parlamentem, podchodzi do niego ktoś zupełnie mu obcy i też z plakatem, wtedy „pikietujących” jest dwóch, a to już nie jednoosobowa pikieta, ale „zgromadzenie”, i opozycjonista idzie do pudła.

Teraz wystarczy, że do manifestacji opozycyjnej przyłączy się kilku facetów z butelkami piwa, a oni przejdą się jeszcze po trawniku i już OMON może łapać demonstrantów za złamanie „norm sanitarnych” i niszczenie zieleni, a sądy mogą wymierzać kary doprowadzające rodziny manifestantów do bankructwa.

Nowe drakońskie prawo wbrew temu, co mówią propagandziści Jednej Rosji, wcale nie ma na celu zaprowadzenie porządku na ulicach, ale wygnanie obywateli z tych ulic. Władza chce raz na zawsze skończyć z publicznymi protestami przeciwko Kremlowi i jego nowemu-staremu gospodarzowi.

29.08.2012, środa

PUTIN TO MA KLAWĘ ŻYCIE

Władimir Putin kurczowo trzyma się władzy, bo gwarantuje mu ona luksus godny monarchy z Zatoki Perskiej – twierdzą dwaj opozycjoniści, autorzy raportu o bogactwie otaczającym prezydenta.

Opublikowanej wczoraj broszurze Borys Niemcow, znany polityk demokratyczny, w latach dziewięćdziesiątych wicepremier, oraz jego partyjny towarzysz z ruchu Solidarnost' Leonid Martyniuk nadali ironiczny tytuł *Życie niewolnika na galerach (pałace, jachty, samochody i inne akcesoria)*.

Drwina polega na tym, że sam prezydent użał się kiedyś publicznie nad swoim losem, mówiąc, że od czasu, kiedy stał się gospodarzem Kremla, „harował jak niewolnik na galerach i robił to od rana do nocy z pełnym zaangażowaniem”.

Opozycjoniści opisują więc, w jakich warunkach trzyma się przywódca państwa. Z dwudziestu luksusowych rezydencji, którymi dysponuje dziś Putin, dziewięć zbudowano lub podniesiono z ruin w czasie jego rządów.

On sam z rodziną mieszka w podmoskiewskim Nowo-Ogariowie, które odziedziczył po Jelcynie. W tej posiadłości ma do dyspozycji przestronny pałacyk, basen i stajnię z wierzchowcami. Wakacje – jak i jego poprzednik – lubi spędzać w letniej rezydencji Boczarow Ruczej w Soczi nad Morzem

Czarnym, gdzie często cumuje jeden z trzech prezydenckich jachtów.

Gospodarz Kremla osiem lat temu kazał odbudować XIX-wieczny zamek w podmoskiewskiej Barwisze i przywrócić mu blask. Rekonstrukcja liczącej 1300 metrów kwadratowych magnackiej siedziby, która przed bolszewickim przewrotem należała do baronów Meyendorffów, kosztowała – jak piszą Niemcow i Martyniuk – 100 milionów dolarów.

Dwa razy większe były koszty rezydencji Jantar na zachodnim skraju Federacji Rosyjskiej, czyli w nadbałtyckim obwodzie kaliningradzkim.

A nad Morzem Czarnym, w pobliżu Gelendżyka, powstaje „Pałac Putina”, wielkopańska siedziba utrzymana w stylu włoskiego klasycyzmu. Jak niedawno zdradził Siergiej Kolesnikow, ukrywający się za granicą biznesmen należący niegdyś do kręgu bliskich przyjaciół Putina, kosztem miliarda dolarów wznoszony jest tam kompleks wypoczynkowo-sanatoryjny dla przywódcy państwa.

Niemcow i Martyniuk dowodzą, że Putin ma do dyspozycji formalnie należące do administracji prezydenta rezydencje w Sankt Petersburgu, na Kaukazie, nad Wołgą, na Syberii, a nawet w Paryżu. Tymczasem przywódcy USA, Niemiec czy Francji mają tylko po dwie...

Park samolotowy, z którego może korzystać Putin, też jest imponujący. Składa się z 43 samolotów oraz 15 śmigłowców. Jest wśród nich pięć czterosilnikowych odrzutowców dalekiego zasięgu Ił-96. Swoją flotyllę prezydent wzbogacił niedawno kosztem 105 milionów dolarów o Airbusa ACJ319, obliczoną na dziewiętnastu pasażerów latającą salonkę.

Przywódca Rosji ma także na czym popływać – do wyboru trzy morskie jachty: 54-metrowy „Syrius”, 28-metrowy „Buriewiestnik” i 57-metrowa „Olimpia”. Ta ostatnia jednostka to podarunek znanego miliardera, właściciela londyńskiego klubu futbolowego Chelsea Romana Abramowicza. Do wypraw rzecznych służy zaś zmodernizowany niedawno pięciopokładowy statek „Rossija”.

Rzecznik prasowy Putina Dmitrij Pieskow zapewnia, że jego szef korzysta tylko z należących do państwa rezydencji, samolotów czy jachtów i nic zdożnego w tym nie ma.

Niemców w rozmowie z „Wyborczą” zwrócił jednak uwagę na to, że budowania coraz to nowych luksusowych rezydencji dla przywódcy kraju, którego co piąty mieszkaniec znajduje się poza oficjalną granicą ubóstwa, za moralne uznać nie można.

Autorzy raportu oszacowali również imponującą kolekcję zegarków, którą Putin zgromadził w czasie swych rządów. Podliczyli, że 11 świecidełek, które pojawiają się na prawym nadgarstku prezydenta (nigdy nienakładającego zegarka na lewy), jest w sumie wartych około 700 tysięcy dolarów. Na te cacka gospodarz Kremla, zarabiający oficjalnie około 110 tysięcy dolarów rocznie, musiałby pracować przez całą sześćoletnią kadencję.

7.11.2012, środa

RATOWNIK MINISTREM OBRONY

Władimir Putin zdymisjonował ministra obrony Anatolija Sierdiukowa, zwanego w armii „meblarzem”, który kierował resortem pięć lat, reformując siły zbrojne. Zastąpił go generał Siergiej Szojgu, przez dwie dekady główny ratownik Rosji.

Tej dymisji wojskowi domagali się od dawna. Doktor nauk ekonomicznych Sierdiukow, który wcześniej kierował firmą handlującą meblami, jako cywil był dla generałów i oficerów człowiekiem obcym. Kiedy w 2007 roku został szefem resortu obrony, Leonid Iwaszow, zaliczany do betonowo-konserwatywnego odłamu generalicji, nazwał tę nominację „splunięciem w twarz armii”. A w siłach zbrojnych nowego ministra od razu obdarzono ironicznymi przydomkami: „meblarz”, „taboretkin”, „feldmebel”.

Putin powierzył mu zreformowanie armii i zmianę jej struktury organizacyjnej na zbliżoną do tej w państwach NATO. Konserwatywna generalicja, przyzwyczajona do porządków radzieckich, sprzeciwiała się temu, jak mogła.

Szef resortu okazał się jednak sprawnym administratorem. Armia odeszła od modelu opartego na pułkach i dywizjach; podstawowe jednostki bojowe to dziś samodzielne, trzy-, czterotysięczne brygady piechoty zmotoryzowanej, z własnym zwiadem, artylerią, służbą łączności. Sierdiukow przebrał też wojsko w praktyczniejsze i ładniejsze mundury. Jak twierdzi

ekspert wojskowy Aleksandr Golc, „przeprowadził jedyną w ostatniej dekadzie udaną reformę w kraju i przekształcił przestarzałą armię radziecką w coś, co przypomina współczesne siły zbrojne”.

Sierdiukow pokazał, że zmiany w Rosji są możliwe, czym utarł nosa choćby swemu poprzednikowi, a dziś szefowi administracji Kremla Siergiejowi Iwanowowi. Ten, kierując przed laty resortem obrony, często kłamliwie meldował, że doprowadził do szczęśliwego końca reformę armii, choć nawet jej nie zaczął.

Sukcesy nie przysporzyły Sierdiukowowi przyjaciół w ministerstwie i administracji Kremla – wrogowie reform niecierpliwie czekali na jego potknięcie. I się doczekali. Komitet Śledczy wszczął niedawno dochodzenie przeciw szefom firmy Oboronserwis, która zaopatrywała armię w żywność i remontowała jej pojazdy, a przy okazji ponoć prowadziła pokątne interesy, prywatyzując i sprzedając na lewo jej nieruchomości.

Dwa tygodnie temu funkcjonariusze Komitetu przeprowadzili rewizję w luksusowym mieszkaniu Jewgienii Wasilewnej, szefowej wydziału stosunków własnościowych ministerstwa obrony, która współpracowała z Oboronserwisem. Znaleźli 3 miliony rubli, 120 złotych pierścionków, drogie obrazy i samego ministra. A było to o szóstej rano, kiedy nikt w stolicy nie wykazuje aktywności profesjonalnej i zainteresowania stosunkami własnościowymi.

W intrydze polityczno-finansowej pojawił się więc także motyw osobisty, który nie ucieszył Wiktora Zubkowa, bliskiego Putinowi byłego premiera, a prywatnie teścia Sierdiukowa, przez lata czuwającego nad jego karierą.

Putin, choć zawsze wspierał swego ministra, musiał zdymisjonować go w związku z „sytuacją wokół resortu”. Intryga konserwatystów nie do końca się jednak udała, bo na fotelu Sierdiukowa nie znalazł się żaden z nich. A miał nań chrapkę choćby nacjonalista, wicepremier Dmitrij Rogozin.

Nowym ministrem uczynił Putin wypróbowanego, odpornego na intrygi przyjaciela, od niedawna gubernatora obwodu podmoskiewskiego, generała armii Siergieja Szojgu. Przez ponad dwadzieścia lat kierował on bardzo sprawnymi służbami ratowniczymi, długo szefował ministerstwu spraw nadzwyczajnych. Brał udział w akcjach ratowniczych, wykazując się odwagą, czym zasłużył na tytuł Bohatera Federacji Rosyjskiej. To on tworzył partię Jedność (dziś Jedna Rosja), która wspierała dzisiejszego gospodarza Kremla, kiedy w 2000 roku starał się o pierwszą prezydenturę.

15.11.2012, czwartek

MANIA PRZEŚLADOWCZA

Od wczoraj szpiegiem może zostać każdy, kto kontaktował się z cudzoziemcem choćby na ulicy.

Nową definicję zdrady stanu i szpiegostwa zawartą w zmienionych paragrafach kodeksu karnego podpisał prezydent Władimir Putin i opublikowała „Rossijskaja Gazieta”

Zdradza lub szpieguje w Rosji każdy, kto przekaze tajemnicę państwa „innemu państwu, organizacji międzynarodowej lub ich przedstawicielom”. Zbrodnią przeciw Rosji staje się również „okazanie finansowej, materialno-technicznej, konsultacyjnej albo innej pomocy obcemu państwu, międzynarodowej lub zagranicznej organizacji albo ich przedstawicielom w działalności skierowanej przeciw bezpieczeństwu Federacji Rosyjskiej”. Grozi za to kara od 10 do 20 lat więzienia.

Jak pisze „Rossijskaja” w komentarzu, „nawet oficjalna praca dla zagranicznych cywilnych organizacji może być uznana za przestępstwo przeciw naszemu państwu, jeśli śledztwo wykaże, że te struktury działały przeciw interesom Rosji”

Według Matwieja Ganopolskiego, komentatora Radia Echo Moskwy, to pułapka, w jaką wpaść może każdy obywatel. – Jeśli, co mi się zdarza, proponują mi udział w seminarium, publicznej dyskusji, napisanie tekstu dla zagranicznej gazety, to zanim się zgodzę, powinienem najpierw się dowiedzieć, czy ci, z którymi rozmawiam, nie są uznawani przez FSB za wrogów ojczyzny.

Mógłbym zapytać o to na Łubiance, ale po co. Tam mi odpowiedzą, że lista działających na szkodę Rosji jest tajna i ogłaszać jej nie wolno – mówił na antenie radia Ganopolski.

Na wysoką grzywnę lub karę do czterech lat więzienia naraża się też ten, kto stara się wejść w posiadanie informacji stanowiących tajemnicę państwową poprzez „jej wykradzenie, szantaż, przymus lub groźbę użycia siły albo innym bezprawnym sposobem”.

– To bardzo gumowy zapis. Rozciągnąć go można bardzo szeroko, praktycznie na każdego obywatela, któremu państwo nie dało statusu człowieka dopuszczonego do tajemnic państwowych. Jeśli na przykład w pociągu przypadkowo ktoś usłyszał rozmowę na sekretny temat, to wszedł w posiadanie tajemnicy państwowej, o której wiedzieć mu nie wolno, w sposób formalnie „bezprawny”. I można go karać tylko za to, że słuchał – mówi „Wyborczej” Grigorij Pasko.

Ten były dziennikarz wojskowy za publikacje o zagrożeniach dla środowiska naturalnego został skazany za współpracę z zagranicą, odsiedział dwa lata i osiem miesięcy w łagrze, a po wyjściu na wolność skończył prawo i specjalizuje się w sprawach szpiegowskich.

Według niego nowe przepisy są wprowadzane po to, by Rosjanie trzymali się z dala od cudzoziemców. – Jeśli człowiek mówiący z obcym akcentem zapyta na ulicy o drogę, lepiej mu nie odpowiadać, bo jeśli to współpracownik choćby fundacji „szkodzącej” według naszych służb specjalnych Rosji, okazanie mu pomocy okaże się zdradą. Jeśli zagraniczny dziennikarz poprosi o wywiad, lepiej nie ryzykować i nie godzić się na spotkanie – opowiada Pasko.

W przyszłą środę wchodzi również w życie inna skandaliczna ustawa – o organizacjach pozarządowych. Zgodnie z nią te instytucje, które otrzymują wsparcie z zagranicy, a przy tym zajmują się polityką, czyli „próbują wpływać na nastroje społeczne”, będą musiały na każdym kroku przyznawać się i podkreślać, że są „agentami zagranicy”.

W praktyce oznacza to, że na przykład znany obrońca praw człowieka Siergiej Kowalow, szef rosyjskiego stowarzyszenia Memoriał, każde swoje wystąpienie w telewizji czy na jakimś sympozjum będzie musiał rozpoczynać od wyznania „jestem agentem zagranicy”. Każda publikacja stowarzyszenia, które odtwarza prawdę o zbrodniach bolszewickich i wiele uwagi poświęca na przykład zbrodni katyńskiej, też musi zawierać ostrzeżenie, że została wydana przez „agenta”.

– Dla Rosjanina określenie „agent zagranicy” jest synonimem słów „szpieg”, „zdrajca ojczyzny”. I nam w istocie rzeczy każą stale publicznie przyznawać się, że popełniamy ciężką zbrodnię – ocenia w rozmowie z „Wyborczą” Aleksiej Simonow, wybitny reżyser filmowy, pisarz i prezes działającej od 21 lat Fundacji Obrony Głosnosti. – Władzom chodzi o to, by zohydzić nas w oczach społeczeństwa, pokazać mu, że każdy, kto działa niezależnie od nich, jest agentem sił wrogich państwu.

Szefowie znanych i szanowanych na całym świecie organizacji pozarządowych, takich jak stowarzyszenie Memoriał, Moskiewska Grupa Helsińska, Transparency International i wiele innych, zapowiedzieli, że choć grożą im kary finansowe, likwidacja ich instytucji, a nawet więzienie, za nic nie ogłoszą się „agentami zagranicy”.

13.12.2012, czwartek

TWIERDZA ROSJA

– Rosja musi być mocna, ludna, dostatnia i skonsolidowana, by przetrwać w nieprzewidywalnym, targanym wstrząsami świecie – mówił w środę Władimir Putin w orędziu, pierwszym po powrocie na Kreml.

Rosjan powinno być według prezydenta dużo (obecnie są ich 143 miliony). Dlatego trzeba się starać, by „normą” była rodzina z trojgiem dzieci. Dziś, co gospodarz Kremla uważa za wielki sukces swojej polityki, Rosjan przybywa – od początku roku do końca września ich liczba wzrosła o 200 tysięcy.

Demografowie, na przykład prof. Anatolij Wiszniewski z moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomiki, są jednak przekonani, że ta sytuacja szybko zmieni się na gorsze. Według nich przyrost ludności wziął się stąd, że teraz matkami zostają kobiety, które przyszły na świat w czasie demograficznego wyżu końca lat osiemdziesiątych XX wieku. Wkrótce jednak zastąpią je znacznie mniej liczne roczniki z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy w Rosji doszło do katastrofy demograficznej. A to znaczy, że i dzieci będzie mniej.

Dla zwiększenia liczebności Rosjan prezydent chce sięgnąć do „rezerw zagranicznych” i uprościć procedurę nadawania obywatelstwa tym Rosjanom, którzy urodzili się w ZSRR, a dziś mieszkają w republikach poradzieckich. Prawo stania się

Rosjanami w trybie przyspieszonym powinni otrzymać również potomkowie mieszkańców ZSRR, a nawet imperium carskiego.

Moskwa otwiera ramiona przed tymi, którzy chcieliby osiąść w Federacji Rosyjskiej na stałe, ale zamierza ograniczyć czasowy napływ obywateli byłych republik ZSRR. Jak zapowiedział Putin, od roku 2015 nie będą oni już mogli przekraczać granic Rosji, okazując tzw. paszporty wewnętrzne (odpowiedniki naszych dowodów osobistych), lecz paszporty zagraniczne. To zła wiadomość dla Tadżyków czy Kirgizów tłumnie przyjeżdżających do Rosji za pracą.

Dziś w kraju pracują, jak się szacuje, miliony gastarbeiterów. To przede wszystkim przybysze z Azji Centralnej, którzy podejmują się najcięższych i wymagających najniższych kwalifikacji prac. Do Rosji, a przede wszystkim do jej stolicy, ciągną też tysiące Ukraińców i Białorusinów.

Dla Mińska to spory problem i ostatnio prezydent Aleksander Łukaszenka zabronił pracownikom niektórych swoich firm zwalniać się z pracy, narzucając im status feudalnych chłopów przypisanych do ziemi.

W orędziu, które prezydent Rosji zgodnie z konstytucją musi wygłosić co roku, Putin przedstawił również swoje widzenie świata i – jak to wcześniej podkreślali kremlowscy urzędnicy – wyznaczył najważniejsze zadania stojące przed nim w rozpoczynającej się jego sześcioletniej kadencji.

Putin mówił, że „najbliższe lata mogą być przełomowe nie tylko dla nas, ale praktycznie dla całego świata, który wchodzi w epokę kardynalnych przemian, a być może i wstrząsów”.

W tej sytuacji głównym zadaniem powinno być „zbudowanie silnej, bogatej Rosji, która będzie w stanie poradzić sobie z przeciwnościami i coraz ostrzejszą konkurencją

międzynarodową”. Kraj powinien więc być „suwerenny, wpływowy, nie zagubić się jako naród, być i pozostawać Rosją”.

Putin, na co zwracają uwagę eksperci, od dawna jest przekonany, że kraj otaczają wrogie siły, a przeciwstawić im się można, tylko konsolidując cały naród. Prezydent zapowiedział, że nikt, kto „bierze pieniądze z zagranicy”, nie może być w Rosji politykiem. (...)

Swoje związki z zagranicą będą musieli ograniczyć także przedstawiciele władz. Ministrom, posłom, wysokim urzędnikom federalnym i regionalnym nie wolno będzie trzymać pieniędzy w obcych bankach i papierach wartościowych, tak samo jak zajmować się biznesem poza ojczyzną. Zostaną też zobowiązani do przyznawania się do nieruchomości nabytych za granicą.

Dzięki tym posunięciom rosyjscy urzędnicy nie będą już mogli liczyć na to, że jeśli w Rosji zaczną im się palić grunt pod nogami, ułożą sobie wygodne życie na przykład w Londynie. A znalazło tam schronienie wielu byłych prominentów, którzy popadli w niełaskę Kremla.

Moskwa, jak przypominał Putin, będzie też intensywnie przebrajać swoją armię, wyposażając ją w nowoczesną broń. A to, jak obiecał prezydent, sprawi, że gospodarka kraju będzie się rozwijać w szybkim tempie. Władze planują, że na zmodernizowanie sił zbrojnych wydadzą do 2020 roku około 650 miliardów dolarów.

Rosja ma być nie tylko silna militarnie, ale też samowystarczalna żywnościowo. W najbliższych czterech-pięciu latach, jak przewiduje Putin, kraj powinien zrezygnować z importu ważniejszych produktów rolnych, a potem się stać „największym na świecie” ich eksporterem.

Jak pochwalił się w orędziu prezydent, jego kraj dysponuje 55 procentami „światowych urodzajnych ziem”. Nie powiedział jednak, że od 30 do 40 procent konsumowanej przez Rosjan żywności pochodzi z importu, bo w większości regionów Federacji ogromne areały ziemi leżą odłogiem, a wieś się wyludniła.

Prezydent obiecał, że podatek dochodowy w Rosji pozostanie liniowy i nadal będzie wynosić 13 procent. Władze planują natomiast wprowadzenie „podatku od luksusu” nakładanego na przykład na drogie nieruchomości czy samochody.

Według Putina w Rosji będzie rozwijać się demokracja. Ale będzie ona swoista – zgodna z tradycjami tego państwa, przyjętymi w nim normami. Taki ustrój już od dawna nazywa się w świecie „demokracją suwerenną”, a więc odrzucającą kryteria demokratyczności przyjęte na Zachodzie. One bowiem, zdaniem urzędników i ekspertów kremlowskich, pomagają tylko wichrzycielom, którzy za obce pieniądze wywołują kolorowe rewolucje, takie jak pomarańczowa w 2004 roku w Ukrainie.

Polityczną nowinką ogłoszoną przez Putina była zapowiedź przywrócenia wyborów do Dumy w okręgach jednomandatowych, których tu nie było od 1993 roku. W tym przypadku prezydent chce skorzystać z doświadczeń swego ukraińskiego kolegi Wiktora Janukowycza.

W Ukrainie w końcu października, też po latach przerwy, wybrano Radę Najwyższą według systemu mieszanego – połowę posłów z list partyjnych, połowę w okręgach jednomandatowych. Dzięki temu prezydencka prorosyjska Partia Regionów, którą na listach partyjnych poparła nieco mniej niż jedna trzecia wyborców, ma w parlamencie prawie połowę

mandatów, bo przyłączyli się do niej posłowie wybrani jako „niezależni”

22.12.2012, sobota

PRAWO CARA HERODA

Duma niemal jednogłośnie zabroniła oddawania do adopcji sierot obywatelom USA i innych państw, które „naruszają prawa Rosjan”. I zlikwidowała organizacje pozarządowe finansowane z amerykańskich pieniędzy, które zajmują się polityką.

To odpowiedź na przyjęty niedawno przez Kongres i podpisany przez prezydenta Baracka Obamę tzw. akt Magnitskiego. Pozbawia on wiz i zamraża aktywa w USA rosyjskich policjantów, prokuratorów, sędziów i urzędników podatkowych zamieszanych w śmierć Siergieja Magnitskiego. Prawnik brytyjskiego funduszu Hermitage Capital zmarł w areszcie w 2009 roku – osadzono go tam, gdy zdobył dowody, że gang rosyjskich państwowych oficjeli ukraść jego firmie 230 milionów dolarów.

Posłów zdopingował prezydent Władimir Putin, który na czwartkowej konferencji dla kilkuset dziennikarzy przyznał, że „może nie jestem dobrym chrześcijaninem, ale nie potrafię nie oddać, jeśli nas biją”. A „biją”, przyjmując „akt Magnitskiego”.

„Biją” też, kiedy sądy w USA nie pozwalają rosyjskim dyplomatom brać udziału w procesach przybranych rodziców, którzy skrzywdzili adoptowane sieroty. W ostatnich latach w Stanach Zjednoczonych zginęło dziewiętnaścioro takich dzieci, a ich opiekunowie zostali przez sędziów – według Moskwy – potraktowani zbyt łagodnie.

W Rosji co roku bez śladu przepada 25-27 tysięcy dzieci, a ponad 1,5 tysiąca ginie z rąk prawdziwych czy przybranych rodziców.

W piątek Dmitrij Gudkow ze Sprawiedliwej Rosji, jeden z kilku polityków opozycyjnych zasiadających w Dumie, próbował namówić posłów, by odłożyli głosowanie nad „aktem Magnitskiego”. „Nowaja Gazieta” zebrała bowiem ponad 100 tysięcy podpisów Rosjan, sprzeciwiających się zakazowi adopcji, a prawo nakazuje w takim przypadku parlamentowi rozpatrzyć wnioski obywateli.

Marszałek Dumy Siergiej Naryszkin przerwał jednak Gudkowowi po pierwszym zdaniu. Posłowie słuchali natomiast bredni Swietłany Goriaczewej (też Sprawiedliwa Rosja), która opowiadała, że Amerykanie biorą dzieci z Rosji tylko „na organy, dla uciech seksualnych” i jako materiał na żołnierzy.

Uczciwie uzasadnił poparcie dla ustawy komunista Anatolij Łokoć. Przyznał, że nie żywi żadnej sympatii i nie chce bronić tych, którzy przyczynili się do śmierci Magnitskiego, ale Amerykanie „wywołują we mnie zgagę jeszcze od czasów Związku Radzieckiego”.

Za ustawą głosowało 420 posłów. Przeciw było tylko siedmiu – wśród nich komunista i fizyk Żores Ałfiorow, laureat Nagrody Nobla. Już 26 grudnia nowe prawo zatwierdzi Rada Federacji, a przed Nowym Rokiem podpisze prezydent.

Media, nie tylko opozycyjne, przypominają, że w Rosji jest dziś ogromnie dużo niechcianych dzieci. Tylko w domach dziecka mieszka 650 tysięcy sierot (prawie 0,5 procent całej ludności kraju), a żadnych szans na znalezienie rodziców zastępczych nie mają dzieci chore, bo rodacy brać ich nie chcą. Decydują się na to natomiast Amerykanie.

„10 procent wychowanków domów dziecka popełnia samobójstwa. 40 procent z nich staje się alkoholikami i narkomanami. Jeśli weźmiemy pod uwagę to, że przez ostatnie dwadzieścia lat obywatele USA usynowili 60 tysięcy sierot rosyjskich, to łatwo obliczymy, że Duma przyjęła uchwałę o zabiciu i degradacji 30 tysięcy dzieci w najbliższych dwudziestu latach” – napisała publicystka „Nowej Gazety” Julia Łatynina w tekście *Prawo cara Heroda*.

28.03.2013, czwartek

ROSJA TROPI AGENTÓW

Prokuratorzy i inspektorzy różnych służb przeprowadzili naloty na blisko 2 tysiące niezależnych instytucji, szukając dowodów na to, że są one „agentami zagranicy”. Świat protestuje, nagonka trwa.

Prokuratorzy z prokuratury generalnej i funkcjonariusze policji podatkowej rewidowali moskiewskie siedziby broniącej praw człowieka organizacji Human Rights Watch i antykorupcyjnej Transparency International.

Jak powiedziała dziennikarzom Rachel Denber z Human Rights Watch, goście tłumaczyli, że kazano im przeprowadzić „niezapowiedziany audyt”, i zażądali dokumentów.

Wcześniej kontrolerzy sprawdzali stowarzyszenie Memoriał, szanowaną na świecie organizację, której celem jest odkrywanie prawdy o zbrodniach stalinowskich. Tu też żądali dokumentów i dostępu do komputerów. Sporą część tego, co im przedstawiono, zabrali ze sobą, co sparaliżowało pracę stowarzyszenia.

Razem z inspektorami w Memoriale zjawiała się ekipa mającej najgorszą opinię telewizji NTW. Kanał na zamówienie Kremla, wykorzystując materiały przygotowane przez służby specjalne, wypuszcza reportaże szkalujące opozycję.

Pracownicy Memoriału stanowczo sprzeciwili się obecności ekipy NTW przy rewizji i zmusili ją do opuszczenia siedziby organizacji.

Jak poinformował potem dziennikarzy Oleg Orłow, jeden z szefów stowarzyszenia, inspektorzy nie potrafili wyjaśnić, w jakim celu ich przysłano i w związku z jaką konkretną sprawą.

Ofiarą całej serii nalotów padły biura stowarzyszenia Alliance Française, które zajmuje się nauczaniem języka francuskiego. Od tygodnia inspektorzy sprawdzają placówkę tej organizacji w Samarze, jedenaście lat temu uroczyście otwartą przez prezydenta Francji Jacques'a Chiraca, kawalera rzadko przyznawanego obcokrajowcom rosyjskiego orderu Za Zasługi dla Ojczyzny.

Prokuratorzy dokładnie lustrują dokumenty finansowe Alliance Française i przesłuchują ludzi, którzy przychodzą do jego siedziby na kursy francuskiego.

– Wypytyują, po co uczymy się języka i czy naszym celem nie jest emigracja z Rosji do Francji – powiedział radiu Swoboda jeden z kursantów uczących się w Samarze.

Kontrole organizacji pozarządowych to operacja przeprowadzana w całym kraju. Jak ocenia Paweł Czikow, członek Rady do spraw Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka przy prezydencie Rosji, do tej pory rewizje przeprowadzono w blisko 2 tysiącach placówek organizacji pozarządowych w czterdziestu regionach Federacji Rosyjskiej.

Operacja przeciw instytucjom niezależnym jest związana z przyjętą w ubiegłym roku i ostro krytykowaną przez obrońców praw człowieka ustawą o „agentach zagranicy”. Publikacje organizacji podlegających nowym przepisom muszą być opatrywane informacją, że zostały przygotowane przez „agentów”, ich przedstawiciele, występując publicznie, też muszą zaczynać od przyznania się do „agenturalności”.

Rosyjskie ministerstwo sprawiedliwości nie chciało tropić niezależnych. Niedawno doszło do paradoksalnej sytuacji, kiedy organizacja Szczyt i Miecz z Czuwaszji próbowała się zarejestrować jako „agent zagranicy”, by mieć podstawy do zaskarżenia nowej ustawy do sądu, ale resort jej odmówił.

W sprawę wdał się jednak Władimir Putin, który 14 lutego na kolegium Federalnej Służby Bezpieczeństwa wezwał do skupienia uwagi na grupach finansowanych z zagranicy. Tego zadania gorliwie podjęła się prokuratura generalna, która ostatnio traci znaczenie, ustępując konkurującemu z nią Komitetowi Śledczemu Federacji Rosyjskiej.

19.07.2013, piątek

ŁAGIER DLA NAWALNEGO

Pięć lat łagru z Czuwaszji – na tyle został skazany Aleksiej Nawalny, słynny bojownik z korupcją, najpopularniejszy rosyjski opozycjonista. Stowarzyszenie Memoriał uznało go za więźnia politycznego.

W sądzie dzielnicy leninowskiej Kirowa, około 600 kilometrów na północny wschód od Moskwy, sędziego Siergiej Blinow ogłosił, że Nawalny jest winien udziału w aferze ze sprzedażą drewna po rzekomo niższej cenie.

Sąd skazał go na pięć lat łagru i 500 tysięcy rubli (około 50 tysięcy złotych) grzywny. Sędzony razem z opozycjonistą biznesmen Piotr Oficerow dostał cztery lata łagru.

Odpowiadający z wolnej stopy Nawalny został aresztowany na sali sądowej i pod konwojem, w kajdankach odprowadzony do *awtozaka* – ciężarówki do przewożenia więźniów.

Proces był kuriozalny i wyglądał na szytą grubymi nićmi prymitywną realizację politycznego zamówienia.

Od wyroku w części dotyczącej aresztowania na sali sądowej apelację złożyła prokuratura generalna. W jej ocenie skazany powinien jedynie zobowiązać się do nieopuszczania miejsca zamieszkania. Rozprawa apelacyjna ma się odbyć już dziś.

Opozycjonista był sędzony za to, że cztery lata temu jako społeczny doradca gubernatora obwodu kirowskiego, demokratycznego polityka Nikity Biełycha, miał namówić

Wiaczesława Opalewa, szefa państwowej firmy Kirowles, do sprzedania 10 tysięcy metrów sześciennych drewna po cenie niższej niż oficjalna. Dłużycza, na którą nie było chętnych, według cenników warta była 17,3 miliona rubli (około 1,7 miliona złotych). A poszła za 16 milionów.

Komitet śledczy w Kirowie jeszcze latem 2011 roku przyglądał się tej rzekomej aferze, podejrzewając, że Nawalny naraził państwo na stratę 1,3 miliona rubli. Zamknął jednak postępowanie.

Sprawa ożyła rok temu, kiedy Nawalny był już najpopularniejszym rosyjskim opozycjonistą, jednym z przywódców „białego” antyputinowskiego protestu w Moskwie, który śmiertelnie wystraszył Kreml.

Sam szef Komitetu Śledczego generał pułkownik Aleksandr Bastrykin przed kamerami telewizyjnymi na naradzie z podwładnymi z regionów beształ podwładnych z Kirowa, krzyżąc, że „mieli człowieka, nazwisko jego – Nawalny, i go wypuścili”.

Teraz jednak Moskwa im na to nie pozwoli, bo muszą „skończyć z tym *rospiłem*”. *Rospil* (od „pilit”, czyli piłować – w tym przypadku rosyjski budżet) to słynna strona internetowa, na której bloger i jego współpracownicy demaskują nieuczciwych urzędników okradających państwo. Wypowiedź generała Bastrykina była szokująca – wysoki przedstawiciel organów ścigania publicznie „zamówił” rozprawę z opozycjonistą.

Pognani do roboty funkcjonariusze Komitetu Śledczego zabrali się energicznie za Nawalnego, oskarżając go o malwersacje i narażenie państwa na stratę 17 milionów rubli – tyle według oficjalnych cenników warte było całe drewno.

Sędzia Blinow prowadził proces w podobnym stylu. Konsekwentnie odmawiał przesłuchania świadków obrony. Odrzucił 39 z 43 wniosków adwokatów Nawalnego. Nie zgodził się nawet na przeprowadzenie ekspertyzy, która miała wykazać, ile państwo rzeczywiście mogło stracić na transakcji z drewnem.

W samej sentencji wyroku Blinow stwierdził, że ważnymi dowodami winy Nawalnego są zapisy z nagrań jego rozmów telefonicznych i SMS-ów sprzed czterech lat. Przez nieostrożność czy niedostatek rozsądku potwierdził w ten sposób, że służby specjalne podsłuchiwały opozycjonistę nielegalnie bez wymaganej przez prawo zgody sądu, bo wobec Nawalnego nie toczyło się przecież wówczas żadne dochodzenie.

Sędzia wymierzył karę mniejszą tylko o rok od tej, jakiej żądał prokurator. Blinow tłumaczył to „okolicznościami łagodzącymi” – tym, że Nawalny ma dwoje nieletnich dzieci.

W przeddzień ogłoszenia wyroku opozycjonista został zarejestrowany jako kandydat na mera Moskwy we wrześniowych wyborach. Wyrok nie odbiera mu automatycznie prawa do kandydowania. Kiedy jednak się uprawomocni, co powinno nastąpić do końca sierpnia, najwyżej dziś notowany opozycyjny polityk nigdy nie będzie mógł startować w żadnych wyborach.

Nawalny już zapowiedział, że wycofuje swoją kandydaturę.

W Moskwie stowarzyszenie Memoriał uznało Nawalnego i Oficerowa za więźniów politycznych.

Zdaniem jednego z liderów opozycji Borysa Niemcowa wyrok ogłoszony w Kirowie „przez automat przebrany w togę sędziowską”, a w rzeczywistości podjęty na Kremlu, jest „obrzydliwy”.

Protestują jednak nie tylko krytycy Putina. Aleksiej Kudrin, były wicepremier i minister finansów, człowiek bliski dzisiejszemu prezydentowi, stwierdził, że wyrok jest obliczony na usunięcie Nawalnego z życia politycznego.

Zwolennicy opozycji już kilka dni temu zapowiedzieli, że po wyroku zbiorą się w centrum Moskwy. Władze odpowiedziały, że nie dopuszczą do demonstracji. Na placu Maneżowym pod murami Kremla, gdzie mieli się zebrać opozycjoniści, ni stąd, ni zowąd zaczęła się w czwartek wymiana płytek chodnikowych. Do centrum skierowano wzmocnione oddziały milicji.

Na ulicy Twerskiej zebrało się ponad 6 tysięcy osób, głównie 20-, 30-latków. Skandowano: „Uwolnić, uwolnić!” i „Putin złodziej!”. Przejeżdżający kierowcy samochodów trąbili w geście solidarności, wiele osób przyjechało na rowerach. Protesty miały momentami charakter ludowego festynu. Kiedy demonstranci próbowali zablokować Twerską, interweniowała policja. Do późnego wieczora aresztowano co najmniej sześćdziesiąt osób.

Około czterdziestu protestujących przeciw skazaniu opozycjonisty zatrzymano również w Petersburgu, gdzie na ulice wyszło blisko 2 tysiące osób. Demonstracje odbyły się też m.in. we Władywostoku, w Kazaniu, Samarze i Kirowie. (Pod presją demonstracji sąd następnego dnia „zawiesił” wykonywanie wyroku. Nawalny i Oficerow odzyskali wolność).

29.07.2013, poniedziałek

PUTIN KUSI KIJÓW

Z niezwykle dużym rozmachem obchodzona 1025. rocznica chrztu Rusi stała się wielkim świętem państwowym i religijnym, co Władimir Putin wykorzystał do agitacji za integracją Ukrainy z Rosją, a nie z UE.

Hierarchowie Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej ogłosili obchody od razu dwóch rocznic – samego przyjęcia chrześcijaństwa przez kijowskiego księcia Włodzimierza Wielkiego w 988 roku i początku odrodzenia życia religijnego na terenie ZSRR ćwierć wieku temu.

Drugi chrzest Rusi – tak metropolita wołokołamski Hilarion zatytułował przygotowany z okazji jubileuszu film, który w ubiegłym tygodniu nadał państwowy kanał telewizyjny Rossija. Mówił w nim o tym, że obchody cerkiewnego milenium w 1988 roku, na które władze radzieckie zezwoliły po dekadach gnębienia Cerkwi, stały się początkiem odrodzenia życia religijnego, symbolicznym „drugim chrztem narodu”. Od tego czasu, przypomniał człowiek nr 2 w prawosławnym Patriarchacie Moskiewskim, otwarto na terenie Rosji 25 tysięcy świątyń. „To trzy dni” – zapewnił autor filmu, w którym wystąpił m.in. Putin.

Prezydent opowiadał widzom, jak ważna w życiu człowieka i w życiu Rosji jest religia. Przyznał się też, że w dzieciństwie mama ochrzciła go „jakby w tajemnicy przed ojcem”, który był

„mikrodziałaczem partyjnym na poziomie organizacji w hali fabrycznej”

Sam gospodarz Kremla okazał się centralną postacią moskiewskiej części obchodów cerkiewnego jubileuszu. W soborze Chrystusa Zbawiciela całował jedną z największych relikwii chrześcijańskich – sprowadzony specjalnie z Grecji krzyż św. Andrzeja. Zaprosił do siebie piętnastu przywódców lokalnych zagranicznych Cerkwi, przed którymi wystąpił jako protektor i obrońca prawosławia na całym świecie.

Kanały telewizyjne wiele razy powtarzały później fragment spotkania, w którym patriarcha Aleksandrii i Afryki Teodor II prosił Putina, by nie dopuścił do porzucenia Syrii przez zagrożonych tam dziś chrześcijan. A po rozmowie z prezydentem patriarchowie zrobili sobie zbiorowe zdjęcie z Putinem w monumentalnej Sali Tronowej Kremla. Ta pamiątka pozostanie im jako symbol bliskiego sojuszu tronu i ołtarza w dzisiejszej Rosji.

W piątek wieczorem patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl, przywódcy Cerkwi zagranicznych i krzyż św. Andrzeja specjalnym pociągiem pojechali na uroczystości do Kijowa, gdzie 1025 lat temu w wodach Dniepru chrzczył się naród Rusi. Za nimi poleciał też Putin.

Przed tą wyprawą komentatorzy moskiewscy zapowiadali, że będzie on musiał poradzić sobie z bardzo trudnym zadaniem – przekonać prezydenta Wiktora Janukowycza, by zrezygnował z ambicji europejskich i zdecydował się na integrację ze strukturami łączącymi dziś Rosję, Białoruś i Kazachstan.

Podkreślali przy tym, że czas obchodów w Kijowie to dla gospodarza Kremla „ostatnia szansa”. Jesienią Ukraina może bowiem podpisać w Wilnie umowę stowarzyszeniową z UE,

co ostatecznie przekreśliłoby plany Rosji o włączeniu jej do Związku Celnego Rosji, Białorusi i Kazachstanu. Przy tym, jak zauważył na przykład moskiewski dziennik „Wiedomosti”, rosyjski przywódca ma dziś swemu ukraińskiemu koledze niewiele do zaproponowania, poza tradycyjną obietnicą taniego gazu.

Putin w Kijowie stale powtarzał, że dla Ukrainy naturalny jest sojusz z Moskwą. Używał przy tym argumentów religijnych, historycznych, politycznych i ekonomicznych. – To nasze wielkie, wspólne święto. Przypomina nam o duchu naszej jedności, mówi o wspólnych korzeniach i o tym, jak wielu rzeczy dokonaliśmy razem w minionych stuleciach. Wspierając się dziełem naszych przodków, jesteśmy zdecydowani nadal razem działać w tym duchu – stwierdził po przyjeździe.

Na konferencji zorganizowanej z okazji 1025. rocznicy chrztu Rusi ostrzegał zaś, że „w bezwzględnej walce na rynkach światowych możemy zwyciężyć, jedynie łącząc nasze wysiłki”. I wyliczał: – W pierwszym kwartale bieżącego roku obroty handlowe Rosji z Ukrainą spadły o ponad 17 procent. W państwach Związku Celnego dwa lata temu obroty te wzrosły o 34 procent, w minionym roku o kolejne 11 procent, a w pierwszym kwartale bieżącego roku o 2-3 procent – i to mimo spadków w gospodarce światowej.

Nie wiadomo, jak te argumenty wpłynęły na Janukowycza. Jego spotkanie z gościem z Rosji, co podkreślają obserwatorzy, trwało tylko kwadrans. Nie pomógł też Putinowi Aleksander Łukaszenka, który powinien przekonywać kolegę z Ukrainy do korzyści płynących z sojuszu z Moskwą.

Białoruski prezydent bez wyjaśnienia przyczyn nie przyjął zaproszenia do Kijowa i czeka dziś na patriarchów i krzyż św.

Andrzeja u siebie w Mińsku. On, który przedstawia się jako prawosławny ateista, zaskoczył ich kilka dni temu, mówiąc, że Cerkwi potrzebna jest reforma – mniej przepychu, zbliżenie do prostych wiernych, skrócenie ceremonii religijnych, zbyt długich dla sędziwych uczestników nabożeństw.

O jedność Rosji z Ukrainą łatwo nie będzie także z innych przyczyn. W Kijowie nacjonałiści protestowali przeciw „imperialistycznej wizycie” Putina. A po zakończeniu uroczystości, w których brał udział Cyryl i hierarchowie Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego, ulicami miasta przeszła jubileuszowa procesja wiernych Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego, która nie uznaje nad sobą zwierzchnictwa Moskwy.

16.08.2013, piątek

BAT NA UKRAINE

Moskwa wypowiedziała Kijowowi wojnę handlową. Federalna Służba Celną zamknęła granicę dla eksporterów ukraińskich. – Rosja w ten sposób gorączkowo próbuje nie dopuścić do tego, co nieuniknione, czyli zbliżenia Ukrainy z UE – mówi ukraiński ekspert.

W środę okazało się, że tamtejsi celnicy wpisali na listę „tworzących ryzyko”, czyli podejrzanych, wszystkie ukraińskie firmy eksportujące swe wyroby do Rosji.

W praktyce oznacza to, że wszystkie wagony czy ciężarówki wiozące towary z Ukrainy muszą być na przejściach granicznych rozładowane. Ich ładunek należy zważyć ponownie, sprawdzić, czy odpowiada normom, co może potrwać nawet kilka tygodni. Bije to szczególnie mocno w tych eksporterów, którzy mają na swoje towary certyfikaty „wytworzone w Ukrainie”, a takie dokumenty posiadają największe firmy ukraińskie.

Do tej pory ich transporty bez większych formalności sprawnie wjeżdżały do Rosji i nie trzeba było płacić za nie 15-procentowego cła granicznego. Teraz celnicy rosyjscy kwestionują certyfikaty bez wyjątku i wymagają, by przewoźnicy potwierdzili ich autentyczność i w Kijowie, i w Moskwie. A to wymaga czasu. Część towarów może się zepsuć.

Na granicy już utknęło na przykład sześć ciężarówek spółki Global Spirits wiozących wódkę Chortyca. Ugrzęzły też transporty

firmy Milkland, jednego z największych eksporterów wyrobów mlecznych. Celnicy rosyjscy zapowiedzieli, że formalności związane ze sprawdzeniem certyfikatów wydanych tej spółce na jej produkty potrważą około dwudziestu dni.

Komentatorzy i w Moskwie, i w Kijowie są w zasadzie zgodni co do tego, że Rosja, blokując granicę przed towarami sąsiada, próbuje postawić władze Ukrainy pod ścianą i zmusić je do porzucenia planów zapowiadanego na jesień podpisania układu o stowarzyszeniu tego kraju z Unią Europejską.

Moment na rozpoczęcie tej akcji Kreml wybrał nieprzypadkowo. Kilka dni temu Kijów ogłosił projekt układu i tym samym kolejny raz potwierdził, że wybiera kurs europejski, a nie narzucane mu przez wschodniego sąsiada członkostwo w Unii Celnej, w skład której dziś wchodzi Białoruś, Kazachstan i Rosja.

Konstantin Zatulin, poseł do Dumy, członek parlamentarnej komisji ds. Wspólnoty Niepodległych Państw, w wywiadzie dla Radia Echo Moskwy tłumaczył, że skoro Kijów chce podpisywać układ stowarzyszeniowy z UE, Rosjanie już dziś próbują pokazać obywatelom Ukrainy, co ich czeka, kiedy w wyniku eurointegracji Rosja utrudni ich biznesmenom dostęp do swoich rynków. A te perspektywy są według niego fatalne – stagnacja gospodarcza, wzrost bezrobocia.

Tym samym Ukraińców straszy Komunistyczna Partia Ukrainy, która zapowiada, że na początku września zacznie zbierać podpisy pod wnioskiem o przeprowadzenie referendum zakazującego zbliżenia kraju z Unią.

– Moskwa znów wzięła do ręki bat i jak to ma w zwyczaju, próbuje siłą „nauczyć rozumu” sąsiada. Rosja toczyła już wojny handlowe, gazowe, mięsne, szprotowe ze wszystkimi sąsiadami

z Zachodu. Z wami, Polakami, też. Tym razem chodzi jej o to, by nie dopuścić do tego, co nieuniknione, czyli zbliżenia Ukrainy z Unią – powiedział „Wyborczej” Wadim Karasiow, znany kijowski politolog.

Dodał, że prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz wprawdzie „wielkim entuzjastą Europy nie jest”, ale rozumie, że „naszą przyszłość musimy wiązać z Zachodem, a nie ze Wschodem”.

– A jeszcze niespełna trzy tygodnie temu Władimir Putin w Kijowie mówił takie słodkie słowa. Czas marchewki skończył się szybko – przypomniał Karasiow.

Ekspert miał na myśli niedawne odchody 1025. rocznicy chrztu Rusi. Ledwie tylko uroczystości się skończyły, rosyjskie władze sanitarne wprowadziły zakaz importu wyrobów firmy Roshen, ukraińskiego potentata cukierniczego należącego do Petra Poroszenki, byłego szefa MSZ Ukrainy i aktywnego zwolennika proeuropejskiego kursu kraju. Wtedy też celnicy rosyjscy zaczęli powoli rozszerzać ukraińską listę „ryzykownych” importerów.

Na relacje Kijowa i Moskwy rzucają cień także inne problemy. Miesiąc temu na Morzu Azowskim, gdzie granica obu krajów nie została do dziś wytyczona, w wyniku kolizji ukraińskiej łodzi rybackiej z kutrem patrolowym rosyjskiej straży granicznej zginęło czterech rybaków. Rosjanie twierdzili, że łódź, próbując uciec, staranowała ich jednostkę.

Okazało się jednak, że piąty członek załogi jednostki ukraińskiej przeżył i kiedy przyszedł do siebie w rosyjskim szpitalu, zeznał, że Rosjanie umyślnie staranowali łódź, a potem zostawili tonących na pastwę losu.

Oficjalne władze Rosji nie komentują zablokowania granicy dla towarów z Ukrainy. Pytany o to Aleksandr Smieliakow, rzecznik

Federalnej Służby Celnej, ograniczył się do nic niemówiącej frazy:
– Nie możemy ani potwierdzić, ani zdementować takiej decyzji.

Zamrożenie ruchu na granicy może bardzo zaszkodzić Ukrainie. Wartość importu z tego kraju do Rosji w pierwszych sześciu miesiącach 2013 roku wyniosła 7,8 miliarda dolarów. Prognoza na drugie półrocze zapowiadała, że dojdzie on do poziomu 8,5 miliarda. „Rosyjski bat” bije po kieszeni przede wszystkim potężnych oligarchów ukraińskich, ludzi bliskich Janukowyczowi i mających spory wpływ na prezydenta. Według Federacji Ukraińskich Pracodawców straty mogą wynieść 2,5 miliarda dolarów.

19.08.2013, poniedziałek

FRONT ANTYUKRAIŃSKI

Rosja wszelkimi sposobami, uciekając się do szantażu, nacisków ekonomicznych, kupowania polityków i mediów, będzie przeciwdziałać podpisaniu przez Ukrainę układu stowarzyszeniowego z UE – pisze ukraińska gazeta „Dzerkało Tyżnia”, która opublikowała tajny plan działań Kremla.

Poważany i zazwyczaj nieźle poinformowany tygodnik przypomniał, że w ostatnim tygodniu rosyjska Federalna Służba Celną praktycznie zablokowała eksport towarów ukraińskich do Rosji. Grozi to gospodarce ukraińskiej wielomiliardowymi stratami, pogłębieniem kryzysu, bankructwem kluczowych spółek.

„Nikt dziś nie ma wątpliwości co do tego, że Rosja atakuje, a celem jej ofensywy jest przeszkodzenie zapowiedzianemu na jesień podpisaniu układu stowarzyszeniowego z Unią Europejską. Eksperti zastanawiają się jedynie, czy Moskwa wystrzeliwiuje jeszcze tylko rakietę sygnalizacyjną, czy też już ostre pociski” – zastanawia się gazeta, zapewniając, że potężny sąsiad Ukrainy gra ostro i otwiera „front ukraiński”

Moskwa, jak to określali propagandziści kremlowscy pięć lat temu, kiedy doszło do wojny z Gruzją, „przymuszała Tbilisi do pokoju”. Teraz, mówiąc tym samym językiem, „przymusza Kijów do bratniej miłości”

Gotowa jest więc zrobić wszystko, by nie pozwolić Ukraińcom na integrację z Europą i zmusić ich do przyłączenia się do jednoczącej dziś Białoruś, Kazachstan i Rosję Unii Celnej, a także do wejścia do tworzonej Wspólnej Przestrzeni Gospodarczej. Te twory, kosztujące dziś Moskwę sporo pieniędzy, dają jej nadzieję na trwałe utrzymanie dawnych republik ZSRR w jej strefie wpływów.

Jeśli jednak w tę orbitę nie uda się wciągnąć Ukrainy, zjednoczeniowe wysiłki Władimira Putina nie będą miały sensu. A sfinalizowanie zbliżenia Kijowa z UE, do którego ma dojść na listopadowym szczycie Partnerstwa Wschodniego w Wilnie, plany Moskwy może ostatecznie przekreślić.

Jak pisze „Dzierkało”, Moskwa „zaspała”. Putin do niedawna wierzył bowiem, że przywódcy europejscy nie podpiszą niczego z prezydentem Wiktoorem Janukowyczem, póki ten trzyma za kratami byłą premier Julię Tymoszenko (najważniejsza rywalka polityczna Janukowycza), skazaną na siedem lat więzienia za podpisanie niekorzystnego kontraktu na dostawę rosyjskiego gazu. Teraz Kreml otrzymał ponoć sygnały z Berlina mówiące o tym, że kanclerz Angela Merkel byłaby gotowa przymknąć oko na to, że jej była ukraińska koleżanka wciąż siedzi.

Według innej wersji prezydent Ukrainy ma się zgodzić, i to już we wrześniu, na wypuszczenie „księżniczki pomarańczowej rewolucji” na leczenie do Niemiec. W zamian Unia przymknie oko na to, że Ukraina nie wypełniła innych warunków, jakie stawiali jej Europejczycy przed podpisaniem układu stowarzyszeniowego.

Na Kremlu wpadli w panikę, kiedy zrozumieli, że Ukraina już całkiem niedługo może przekroczyć europejski próg.

Według „Dzerkała” Putin kazał swemu znanemu z nacjonalistycznych poglądów doradcy do spraw integracji Siergiejowi Głaziewowi naprędce sporządzić program przeciwdziałania procesowi zbliżania Ukrainy do UE i przyciągnięcia jej wolą-niewolą do Unii Celnej.

Dokument publikowany przez gazetę wygląda jak plan szeroko zakrojonej operacji specjalnej przeprowadzanej na wrogim terytorium.

Wśród głównych namierzonych przez Głaziewa celów ataku znaleźli się bliscy Janukowyczowi oligarchowie ukraińscy dysponujący własnymi telewizjami. Tacy ludzie, jak potentat rynku cukierniczego Petro Poroszenko czy magnat metalurgiczny Wiktor Pinczuk, czerpią ogromne zyski ze sprzedaży swych towarów w Rosji.

A na kontrolowanych przez nich kanałach „dominuje, jak to widzą eksperci z Moskwy, retoryka antyrosyjska, nasączona kłamstwem i nienawiścią do naszego kraju”. Głaziew planuje więc podjęcie „specjalnych wysiłków”, by wpłynąć na potentatów telewizyjnych w celu „zmiany przekazywanych przez ich kanały treści”.

Plan działań obejmuje m.in. „zawarcie umów z właścicielami telewizji” w celu „osiągnięcia co najmniej neutralności ich nastawienia i dopuszczenia na ekran naszych specjalistów”. Nakłonić do zgody na przykład Poroszenkę, właściciela 5 Kanału, powinien wprowadzony niedawno „ze względów sanitarnych” zakaz wwozu do Rosji wyrobów jego koncernu cukierniczego Roshen. Zamknięcie granicy z Rosją dla towarów ukraińskich też bije przede wszystkim w firmy tych oligarchów, którzy mają swoje koncerny medialne.

Stratedzy Kremla uważają także, że warto wziąć pod uwagę „osobiste interesy Janukowycza”, który poprzez syna Ołeksandra „buduje swoje struktury biznesowe”. Można więc skusić go „stworzeniem sprzyjających warunków dla rozwoju jego projektów”, czyli mówiąc wprost – zwyczajną korupcją.

I stawiając pod ścianą, i kusząc ludzi bliskich prezydentowi oraz samego Janukowycza, nie wolno zapominać o „tworzeniu przyjaznych nam społecznych, politycznych i innych organizacji rozumiejących konieczność integracji z Rosją”.

Ważnym sojusznikiem, jak czytamy w dokumencie opublikowanym przez „Dzierkało Tyżnia”, może się też okazać działająca w Ukrainie Rosyjska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego.

Za centralną postać, która może w sąsiednim kraju skupić wokół siebie zwolenników polityki antyeuropejskiej, na Kremlu uważają Wiktora Medwedczuka, byłego szefa administracji Leonida Kuczmy, przywódcę promoskiewskiego ruchu Ukraiński Wybór, prywatnie przyjaciela Putina.

W zamyśle Głaziewa jest przeprowadzenie przez spacyfikowane przez Rosjan media i podporządkowane im organizacje połączone, wedle słów doradcy Putina, we front „analogiczny do ruchu Bohdana Chmielnickiego (słynnego przywódcy kozackiego z XVII wieku, który wywołał antypolskie powstanie i związał się z Moskwą) za zjednoczeniem z Rosją”. W ten sposób Ukraińców przekonywano by, że po zbliżeniu z Europą staną w obliczu kryzysu, biedy, bezrobocia. Integracja z Rosją zaś zapewni im szybki i trwały wzrost stopy życiowej.

Władze Rosji nie zareagowały na opublikowanie przez kijowską gazetę sensacyjnego dokumentu. W niedzielę Głaziew pośrednio potwierdził, że Moskwa zaplanowała przeprowadzenie

antyeuropejskiej kampanii w Ukrainie. Zagroził, że Rosja „zaostrzy zasady postępowania celnego na granicy z Ukrainą”, jeśli ten kraj podpisze układ stowarzyszeniowy z UE [Janukowycz ostatecznie odmówił podpisania umowy z Unią, co wywołało protesty na kijowskim Majdanie krwawo pacyfikowane przez siły wierne prezydentowi].

9.09.2013, poniedziałek

PORAŻKA KREMLA

Faworyt obozu władzy ze słabym wynikiem wygrał przedterminowe wybory na mera Moskwy. Świetny rezultat osiągnął opozycjonista Aleksiej Nawalny, nękany przez śledczych i prokremlowskie media.

Jak podał tuż po zamknięciu lokali wyborczych bliski obozowi władzy Wszechrosyjski Ośrodek Badania Opinii Publicznej, dotychczasowy mer Siergiej Sobianin dostał 53 procent głosów i pozostanie na stanowisku. To jednak wynik o prawie 20 punktów procentowych gorszy, niż dawały mu sondaże na starcie kampanii wyborczej.

Według Ośrodka aż 32 procent głosów zgarnął Nawalny. Znany bloger walczący z korupcją i przeciwnik prezydenta Władimira Putina jeszcze niedawno mógł liczyć na poparcie zaledwie 7 procent moskwian.

Po przeliczeniu 68 procent głosów prowadził Sobianin z 51,64 procent. Nawalny miał 26,93 procent poparcia [ostatecznie było 51,3 do 27,2 procent]. Takie wyniki świadczą o tym, że obóz władzy poniósł dotkliwą klęskę w pierwszych od dziesięciu lat wyborach mera stolicy (w ostatnich latach gospodarza Moskwy mianował prezydent), faktycznie trzeciego urzędnika w rosyjskiej hierarchii biurokratycznej.

Jak informowała telewizja Dożd, sztab Sobianina zaraz po ogłoszeniu wstępnych wyników odwołał zapowiadany

wcześniej koncert na placu Błotnym. Mer miał tam podziękować mieszkańcom Moskwy za poparcie i wspaniałe zwycięstwo. Koncert w końcu się odbył, ale z opóźnieniem.

Wynik Nawalnego jest tym bardziej zaskakujący, że kampanii wyborczej za uczciwą uznać nie można. Na rzecz Sobianina pracowała intensywnie cała kontrolowana przez Kreml machina propagandowa. Dzień w dzień stołeczne i federalne telewizje opowiadały o olśniewających sukcesach mera, który co rusz przecinał wstęgi, otwierał nowe drogi, obiecywał wyższe pensje i emerytury. Było to tym łatwiejsze, że przez trzy lata rządów Sobianin dał się poznać jako efektywny gospodarz miasta, który stawia Moskwę na nogi po latach fatalnych rządów wszechwładnego swego czasu Jurija Łużkowa.

Nawalny miał więc bardzo mocnego przeciwnika, a przy tym – nie tylko – medialny wiatr w oczy. Jeśli już mówiły o nim telewizje, to jako o bohaterze dochodzeń, które jedno po drugim wszczywał przeciw niemu Komitet Śledczy Federacji Rosyjskiej. Na samym początku kampanii opozycjonista został nawet uznany za winnego rzekomej kradzieży drewna i wsadzony do aresztu.

Nawalny został uwolniony dopiero, kiedy w dniu, w którym sędzia ogłaszał dla niego karę pięciu lat łagru, w centrum Moskwy zebrało się na spontanicznej manifestacji około 10 tysięcy osób, by zaprotestować przeciw prześladowaniu opozycjonisty. Na wolności Nawalny ma zostać do czasu uprawomocnienia się wyroku.

Nie mając dostępu do telewizji, opozycjonista zdecydował się na morderczy maraton i dzień w dzień po kilka razy spotykał się z moskwianami na podwórkach ich domów. Obiecywał, że będzie walczył z „żulikami i złodziejami”, jak nazywa członków putinowskiej „partii władzy” Jedna Rosja.

Dzięki temu jego popularność szybko rosła. Poparcie zdobywał przede wszystkim wśród młodych, wykształconych ludzi. Przed samymi wyborami w Moskwie pojawiło się nawet zapożyczone od Polaków hasło: „Schowaj babci paszport” (odpowiednik naszego dowodu osobistego).

Świetny wynik Nawalnego dowodzi kilku ważnych rzeczy. Rozgromił kontrolowaną przez Kreml tzw. systemową opozycję, zdobywając dwa razy więcej głosów niż kandydaci komunistów, nacjonalisty Władimira Żyrinowskiego i partii Sprawiedliwa Rosja razem wzięci. Pokazał w ten sposób, że opozycja „pozasystemowa”, która nie ma swej reprezentacji w parlamencie i stołecznej Dumie, jest znacznie silniejsza od koncesjonowanej przez Kreml.

Wynik Nawalnego pokazuje też, że młodzi przeciwnicy Putina, którzy dwa lata temu zaskoczyli świat masowymi protestami na placach stolicy, a potem przycichli, rosną w siłę. Kremlowscy propagandziści pogardliwie nazywają ich „chomiczkami internetowymi”, a to właśnie te „chomiczki” odniosły w moskiewskich wyborach wielki sukces.

CZEŚĆ 3. UKRAIŃSKI STRACH

KROK PO KROKU

- W listopadzie 2013 roku prezydent Ukrainy Wiktor Janukowycz odmawia na szczycie Unii Europejskiej w Wilnie podpisania umowy stowarzyszeniowej z UE. Na kijowskim Majdanie Niepodległości gromadzą się w proteście studenci, którzy zostają brutalnie pobici przez specjalne milicyjne oddziały Berkutu. To wywołuje masowy wybuch, na Majdanie powstaje antyrządowe miasteczko, momentami gromadzi nawet kilkaset tysięcy osób. Demonstracje rozlewają się na inne miasta Ukrainy.
- 7 lutego 2014 roku rozpoczynają się w Soczi zimowe igrzyska olimpijskie, oczko w głowie Putina. W 2016 roku okazuje się, że świetne wyniki Rosjan były skutkiem masowego dopingowania się zawodników, czym zajmowała się Federalna Służba Bezpieczeństwa. Przy okazji wyszło na jaw, że w państwie Putina przez lata istniał system dopingowy obejmujący ponad tysiąc sportowców wszelkich dyscyplin. Karą jest wykluczenie wielu rosyjskich sportowców ze światowych imprez.
- W lutym 2014 roku dochodzi do masakry na Majdanie, snajperzy zabijają kilkudziesięciu demonstrantów.
- Janukowycza opuszczają kolejni zwolennicy, a prezydent w lutym 2014 roku ucieka do Rosji.

- W marcu 2014 roku Rosja dokonuje aneksji ukraińskiego Krymu, przeprowadzając wcześniej – pod lufami wysłanych tam wojsk – referendum.
- Na początku maja wspierani przez Rosję „separatyści” ogłaszają powstanie na wschodzie Ukrainy tzw. republik ludowych w Doniecku i Ługańsku. Dochodzi do ciężkich walk ukraińskiej armii z „separatystami” i posyłanymi potajemnie do Donbasu rosyjskimi wojskami.
- W maju 2014 roku wybory prezydenckie w Ukrainie wygrywa proeuropejski Petro Poroszenko, a Kijów przyspiesza integrację z UE.
- Jesienią 2014 roku i w lutym 2015 roku Poroszenko, Putin, prezydent Francji Emmanuel Macron i kanclerz Niemiec Angela Merkel podpisują w Mińsku porozumienia – to de facto zawieszenie broni w Donbasie. Zgodnie z nimi Kijów miał się zgodzić na bardzo daleko idącą autonomię „republik ludowych”, które stałyby się sterowanymi z Moskwy „politycznymi nowotworami” w jej organizmie. Porozumienia nie weszły w życie, ale aż do 2022 roku ustabilizowały linię demarkacyjną na wschodzie Ukrainy.
- We wrześniu 2014 roku Ukraina podpisuje umowę stowarzyszeniową z UE, w tym o „pogłębionej i całościowej strefie wolnego handlu”.
- 27 lutego 2015 roku pod murami Kremla ginie od kul mordercy Borys Niemcow, były wicepremier i jeden z najważniejszych opozycyjnych polityków.
- W 2015 roku Rosja włącza się do wojny domowej w Syrii, wspierając krwawy reżim dyktatora Baszara al-Asada. Nie tylko wysyła kontyngent wojskowy oraz najemników z prywatnej Grupy Wagnera, finansowanej przez miliardera Jewgienija

Prigożyna, ale też bombarduje pozycje rebeliantów pociskami wystrzeliwanymi między innymi z okrętów na Morzu Kaspijskim czy posyła nad Syrię bombowce strategiczne. Celem często są obiekty cywilne, w tym szkoły i szpitale.

- W 2016 roku rosyjskie służby specjalne potajemnie, ale aktywnie wspierają w amerykańskich wyborach republikanina Donalda Trumpa, starając się skompromitować jego rywalkę, demokratkę Hillary Clinton. Ludzie Trumpa spotykają się też z rosyjskimi wysłannikami mającymi rzekomo dokumenty kompromitujące Clinton. Trump wygrywa.
- W czerwcu i lipcu 2018 roku w Rosji odbywają się piłkarskie mistrzostwa świata. Dziennikarskie śledztwo zachodnich mediów ujawnia, że Rosja korumpowała działaczy, by dostać organizację mundialu.
- W marcu 2018 roku w brytyjskim Salisbury rosyjscy agenci trują nowiczokiem Siergieja Skripala i jego córkę. Oboje cudem przeżywają. Skripal to były oficer rosyjskiego wywiadu wojskowego i podwójny agent (pracował dla Brytyjczyków), wymieniony w 2010 roku na Rosjan zatrzymanych przez USA.
- W kwietniu 2019 roku wybory prezydenckie w Ukrainie wygrywa Wołodymyr Zełenski, pokonując Poroszenkę. Ogłasza dalsze zbliżenie z UE i NATO – Kijów chce jak najszybciej stać się członkiem obu organizacji.
- W sierpniu 2020 roku agenci FSB podają truciznę Nawalnemu. Opozycjonista zostaje uratowany, dzięki międzynarodowej mediacji wyjeżdża na leczenie do Niemiec, a po powrocie w styczniu 2019 roku do Rosji zostaje natychmiast zatrzymany. W marcu 2022 roku zostaje skazany na dziewięć lat łagru za rzekome defraudacje finansowe.

- W listopadzie 2020 roku Trump przegrywa wybory z demokratą Joe Bidenem.
- 21 lutego 2022 roku Putin uznaje „niepodległość” tzw. republik ludowych w Doniecku i Ługańsku.
- 24 lutego 2022 roku Putin wydaje rozkaz do ataku na Ukrainę.

3.12.2013, wtorek

W KIJOWIE POLSKA BIERZE REWANŻ ZA POŁTAWĘ

Wydarzenia w Ukrainie pokazywane Rosjanom przez kontrolowane przez Kreml, a przy tym i najbardziej tu oglądane kanały telewizyjne, to opłacone żywą gotówką rozróbę szczonej przez „koalicję Szwecja-Polska-Litwa” garstki chuliganów. I to takich – jak to zgrabnie określono w niedzielę wieczorem w programie *Wremia* na Kanale 1 – którzy „próbują podpalić swój dom, żeby pójść w gości”.

Na kijowskim Majdanie bije nie milicja, lecz biją milicję. Ci, którzy tam przychodzą, by łać dzielnych obrońców porządku z Berkutu, to ciemniaki, które nie rozumieją, jak straszny los szykowała im Unia Europejska w przypadku podpisania przez Kijów umowy o stowarzyszeniu z Brukselą.

A Bruksela podsuwała przecież „układ fatalno-kolonialny”, co wyjaśnił telewidzom Dmitrij Kisielew prowadzący coniedzielny wieczorny program publicystyczny na państwowym kanale Rossija 1. Bo w Europie kryzys głęboki i tam rozpaczliwie potrzebują ukraińskiego rynku zbytu.

W następnym akapicie swej opowieści dyżurny komentator sam sobie zaprzeczył i zapewnił, że nie o otwarty rynek 45-milionowego kraju chodzi „komisarzom z Brukseli”, lecz o to, by zniszczyć kraj słowiański i dosolić Rosji.

To robota przede wszystkim trzech wrednych wrogów. – Niczego wam to nie przypomina? – pytał strwożony Kisielew miliony słuchaczy, nie każąc im jednak zbyt długo gubić się w domysłach: – Królestwo Szwecji, Rzeczpospolita i Wielkie Księstwo Litewskie to przecież ta sama koalicja, którą tak pięknie Piotr I bił pod Połtawą. I oto stara koalicja znów stanęła na nogi i nam grozi! Ich zabiegi wokół Ukrainy wyglądają jak próba wzięcia rewanżu za Połtawę!

Pewnie rumieni się teraz za niego jego nauczyciel historii, bo wychowanek nie wie, że na początku XVIII wieku Litwa była częścią Rzeczypospolitej i że przeciw Rosji w bitwie połtawskiej po stronie Szwecji występował akurat ukraiński Kozacy Iwana Mazepy.

Cóż, zagalopował się chłopisko. No bo cel miał słuszny – zdemaskować knowania i ogłosić, że spaliły one na panewce, a „niebieskim komisarzom nie udało się ukraść Ukrainy”.

Tu prowadzący *Wiesti* pozwolił sobie na zrozumiały dla widzów w jego kraju żart słowny. Bo określenie „niebiescy”, odnoszące się do koloru unijnej flagi, w Rosji powszechnie oznacza „homoseksualny”.

Państwowe telewizje pracowicie tłumaczą przecież narodowi, że Europa i w ogóle Zachód to moralna zgnilizna, homoseksualne małżeństwa, grzech, sodoma i upadek. To nic nowego, bo przecież w ZSRR cały czas propaganda wmawiała obywatelom, że „Zachód gnije”, a co sprytniejsi ludzie radzieccy wzdychali na to: „Ale jak ładnie przy tym pachnie”.

Nie czas jednak przypominać stare żarty, bo dziś w moskiewskim Ostankino, skąd Rosjanom mówi się, jak urządzone jest świat i w co trzeba wierzyć, mają twarde orzech do zgryzienia.

Przez ostatnie tygodnie wmawiali stąd widzom, że to Wiktor Janukowycz – wbrew woli swych poddanych – próbuje ich wciągnąć w katastrofę, nędzę i otchłań moralnych występków, chcąc podpisać układ z Europą.

A teraz przychodzi pokazywać, że mądry prezydent Ukrainy, który posłuchał Władimira Putina i chce być z Moskwą, a nie z Brukselą, musi wysyłać pałkarzy przeciw narodowi, który na swoją zgubę pcha się „w gości” do Brukseli właśnie.

To zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. I już nie wystarczy mówić, że to agresywni chłopcy z Majdanu napadli na miłujący pokój Berkut i dotkliwie pobili milicjantów. Trzeba jeszcze wyjaśnić, dlaczego tak się stało.

Ale w Ostankino są specjaliści i od takich manewrów. Mistrzostwem wykazał się zwłaszcza wysłannik kanału Rossija 24, który w Kijowie przeprowadził śmiałe śledztwo dziennikarskie. Otóż pokazał, jak starsze panie zebrały się w kółeczko w jednym z parków i przed kamerą rosyjskiej telewizji coś tam podpisywały, z rąk do rąk przekazując sobie przy tym pieniądze. – To oczywiście żołąd za udział w agresywnych działaniach opozycji – wyjaśnił wysłannik Rossiji 24.

On sam, wciąż filmowany przez operatora, przyłączył się do przekupnych kobiet, które nie wystraszyły się kamery i przyjęły go do biznesu, za co dostał całe 100 hrywien.

Udowodniwszy, że kijowska awantura to robota opłaconych osób, sam okazał się wiernym synem ziem słowiańskich i swoje srebrniki przeznaczył „na lepszy cel” – rzucił je żebrakowi.

Akurat specjalnie na tę okoliczność, żeby wszystko było już jasne, w wyciągniętej ręce żebraka była niebiesko-gwiazdzista tutka ze zwiniętej papierowej flagi Unii Europejskiej.

18.12.2013, środa

PUTIN KUPUJE UKRAINĘ

Prezydent Wiktor Janukowycz wrócił z Moskwy do Kijowa z górą pieniędzy, która ratuje ukraiński budżet. „To sprzedawanie Ukrainy” – oskarża go opozycja.

Janukowycz i Putin nie podpisali porozumienia o wstąpieniu Ukrainy do tworzonej przez Moskwę Unii Celnej i ponoć w czasie rozmów w Moskwie w ogóle tej kwestii nie poruszali. Rosja rzuciła jednak słabnącemu ukraińskiemu prezydentowi koło ratunkowe w postaci wsparcia finansowego i obniżki cen gazu.

Za gaz Ukraina nie będzie teraz płacić Gazpromowi 421 dolarów za tysiąc metrów sześciennych, czyli najwięcej ze wszystkich europejskich klientów monopolisty, lecz 269.

Wcześniej obserwatorzy twierdzili, że Janukowycz liczy na obniżkę o 50-60 dolarów, a program jego marzeń, jak mówił Wiktor Medwedczuk, były szef ukraińskiej administracji prezydenckiej, zagorzały rzecznik zbliżenia z Rosją, to 150 dolarów.

Moskwa obiecała też, że zainwestuje 15 miliardów dolarów w ukraińskie papiery wartościowe. Pieniądze te Kreml weźmie ze specjalnego Narodowego Funduszu Dobrobytu, tworzonego z odpisów z budżetu państwa, a przeznaczonego, jak władze obiecywały Rosjanom, na dofinansowanie ich emerytur i rent. Fatalny stan, w jakim znalazła się gospodarka Ukrainy, nie daje

dziś nadziei, że miliardy włożone w obligacje ukraińskie przyniosą jakikolwiek zysk i że w ogóle zostaną zwrócone.

Na razie jednak Rosja uratowała Janukowycza przed ostatecznym krachem. Jak wcześniej mówił premier Ukrainy Mykoła Azarow, kraj, by uniknąć bankructwa, musi uzyskać zagraniczne wsparcie finansowe w wysokości 18 miliardów euro. Obniżka ceny gazu (ukraińskie firmy w tym roku kupią 27 miliardów metrów sześciennych paliwa z Rosji) plus pieniądze za obligacje składają się w sumie na mniej więcej taką właśnie kwotę.

Ponadto Janukowycz umówił się z gospodarzem Kremla, że ograniczenia wprowadzone niedawno przez Rosję w handlu z Ukrainą szybko zostaną usunięte, a współpraca przemysłów zbrojeniowego, stoczniowego, lotniczego, metalurgicznego Rosji i Ukrainy zostanie ożywiona.

Kiedy Janukowycz wybierał się do Moskwy, przywódcy manifestującej na kijowskim euromajdanie opozycji przestrzegali go przed podpisywaniem z Putinem porozumienia o wstąpieniu do stworzonego przez Rosję związku celnego. Oznaczałoby to ostateczną rezygnację z nadziei na integrację Ukrainy z Europą i włączenie jej do strefy wpływów Moskwy.

– Jeśli podpisze, do Kijowa może już nie wracać i niech się na stałe przeprowadzi do Moskwy – groził prezydentowi Arsenij Jaceniuk kierujący Batkiwsczyną, partią uwięzionej byłej premier Julii Tymoszenko.

Zdaniem eksperta pracującego dla prezydenta Rosji opozycjoniści ukraińscy obawiali się jednak nie tego, czego powinni. – Gdybyśmy nakłonili Janukowycza do podpisania takiego dokumentu teraz, kiedy buntuje się Kijów, uczynilibyśmy z niego politycznego samobójcę. A teraz wraca do swojej stolicy

jako triumfator i może zapewnić Ukraińców, że zbliżenie z Rosją, a nie z UE, daje im konkretne doraźne korzyści i dzięki niemu nie będą marznąć zimą. Europa obiecywała co najwyżej wsparcie w wysokości miliarda euro, a Moskwa dała piętnaście razy więcej. To się bardzo spodoba szczególnie mieszkańcom wschodnich regionów Ukrainy – mówił rozmówca „Wyborczej”.

Andriej Nieczajew, były rosyjski minister gospodarki, w wywiadzie dla Radia Echo Moskwy powiedział, że Rosja „kupiła rezygnację Ukrainy z eurointegracji”. Hojność Putina daje szansę Janukowyczowi na to, że dotrwa do wyborów prezydenckich w 2015 roku i – przy dalszym wsparciu Kremla – może nawet je wygra.

Obserwatorzy w Moskwie zastanawiają się teraz, jakie Janukowycz mógł dać gwarancje Putinowi, że uda mu się opanować sytuację w buntującym się kraju i że kolejny raz nie wykona wołty i nie odwróci się od Rosji w kierunku Europy.

– Historia naszych kontaktów z Janukowyczem pokazuje, że polegać na nim nie możemy. A teraz w dodatku jest on słaby i nie wiadomo, jak długo utrzyma się u władzy – mówi Dmitrij Babicz, międzynarodowy komentator agencji RIA Nowosti.

Ekonomista prof. Jewgienij Gontmacher uważa, że Rosja nie pierwszy raz płaci sąsiednim krajom „tylko za to, by nie odchodziły”: – Na liście płac mamy Armenię, Tadżykistan, Białoruś i tak dalej. Teraz wraca na nią Ukraina. A kosztuje bardzo dużo, bo mogę się założyć, że Janukowycz wkrótce powie, że skończyły mu się pieniądze i potrzebuje kolejnego wsparcia. I znowu trzeba będzie mu je dać, żeby nas nie porzucił. Zrobiliśmy kiepski interes. I to w momencie, kiedy sama Rosja wpada w tarapaty finansowe, w naszym budżecie zaczyna brakować pieniędzy.

Natomiast z czysto finansowego punktu widzenia Kijów zrobił dobry interes. Rosyjski zastrzyk finansowy umożliwi mu dopięcie budżetu na 2014 rok. Ukraina boryka się z poważnymi problemami finansowymi, a oferta ze strony Rosji odsunie je na pewien czas.

Chociaż nie oznacza to, że uda się przyjąć budżet jeszcze w tym roku. Debata budżetowa w ukraińskiej Radzie Najwyższej miała rozpocząć się we wtorek, ale nic z tego nie wyszło – trybunę zablokowała opozycja. Lider partii UDAR Witalij Kliczko powiedział, że partie opozycyjne gotowe są odblokować parlament w czwartek.

– Niech budżet zostanie zatwierdzony i niech władza weźmie zań odpowiedzialność – mówił Kliczko dziennikarzom.

Wszystkie oczy w Kijowie od samego rana były zwrócone w stronę Moskwy. Na trasie Boryspilskiej, która prowadzi na lotnisko, na prezydenta czekało około dwustu aktywistów samoobrony Majdanu. Trzymali transparenty: „Janukowycz, zawracaj do Europy” i „Precz od Moskwy”.

Jednak prezydent ominął pikietę, bo dotarł na lotnisko helikopterem. Stamtąd poleciał do Moskwy samolotem należącym do najbogatszego Ukraińca, oligarchy Rinata Achmetowa.

Po południu na Majdanie było kilkadziesiąt tysięcy osób. Zgromadzenie nosiło nazwę wiecu ludowego – czwartego już w ostatnich dniach – i zostało poświęcone moskiewskiej wizycie prezydenta. Opozycja stwierdziła, że spotkanie Janukowycz – Putin to krok w stronę wejścia do Unii Celnej i „sprzedawanie Ukrainy”.

Liderzy partii opozycyjnych zgodnie skrytykowali ustalenia moskiewskiego szczytu. Kliczko powiedział, że 15 miliardów

dolarów pożyczki wiąże się z zastawieniem strategicznych przedsiębiorstw.

– Prezydent podpisuje haniebne umowy, których nikt nie pozwolił mu podpisać i które są sprzeczne z interesem narodowym Ukrainy – mówił lider nacjonalistycznej Swobody Ołeh Tiahnybok.

Demonstranci w Kijowie wciąż domagają się też ukarania winnych użycia milicyjnej przemocy na Majdanie 30 listopada. We wtorek w mieście odbyło się kilka pikiet.

Około tysiąca ludzi protestowało przed siedzibą ministerstwa spraw wewnętrznych; domagano się dymisji ministra Witalija Zacharczenki i wstrzymania wszystkich postępowań przeciwko uczestnikom pokojowych demonstracji.

Tysiącosobowa grupa zebrała się też przed Radą Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony. Demonstranci żądali dymisji szefa rady Andrija Klujewa, którego oskarżają o wydanie rozkazu rozpędzenia pokojowej demonstracji. Uczestnicy protestu przynieśli drewnianą klatkę przeznaczoną właśnie dla niego.

Kilka tysięcy osób przyszło pod siedzibę Ukraińskiego Biznes Banku, należącego do syna prezydenta Janukowycza Ołeksandra, który zaczął się gwałtownie bogacić od momentu, gdy jego ojciec doszedł do władzy. Protestujący domagali się sankcji wobec rodziny Janukowyczów.

20.12.2013, piątek

PUTIN ŁASKAWY

Michaił Chodorkowski wyjdzie na wolność – zakomunikował prezydent Władimir Putin zdumionym dziennikarzom już po zakończeniu dorocznej konferencji prasowej. Skąd ta nagła łaskawość Kremla?

Wieść o ułaskawieniu byłego szefa Jukosu, uważanego za osobistego wroga rosyjskiego prezydenta, gruchnęła niespodziewanie. Wczoraj odbyła się doroczna wielka konferencja prasowa gospodarza Kremla, rzecznik prezydenta Dmitrij Pieskow mówił przed nią dziennikarzom, że żadnej sensacji spodziewać się nie powinni.

I rzeczywiście, sensacji nie było. Konferencja się skończyła, Putin pożegnał 1,3 tysiąca przedstawicieli mediów i zaczął zbierać się do wyjścia. W przejściu ktoś jeszcze rzucił mu pytanie o byłego szefa Jukosu i wówczas prezydent odparł: – Jeśli chodzi o Chodorkowskiego, to jak już mówiłem, Michaił Borysowicz powinien zgodnie z prawem napisać odpowiednią prośbę. Nie robił tego, ale teraz całkiem niedawno napisał taki papier i zwrócił się do mnie z prośbą o łaskę. Jest pozbawiony wolności już od ponad dziesięciu lat, to poważna kara. Odwołuje się do okoliczności o humanitarnym charakterze, jego matka choruje. Uważam, że można podjąć taką decyzję i w najbliższym czasie dekret o jego ułaskawieniu będzie podpisany.

Zaskoczenie jest tym większe, że ostatnio w Moskwie mówiło się o zbliżającym się trzecim już procesie Chodorkowskiego. Aresztowany jesienią 2003 roku był skazany już dwukrotnie. Pierwszy raz w 2005 roku na osiem lat łagru za rzekome oszustwa podatkowe. Gdy zbliżał się koniec odsiadki, wytoczono mu absurdalny proces o to, że w latach 1998-2003 „ukradł” ponad 300 milionów ton ropy naftowej ze złóż Jukosu – niemal jedną piątą całości ówczesnego wydobycia ropy w Rosji. Razem z pierwszym wyrokiem dostał w sumie trzynaście lat, później karę obniżono do jedenastu lat. Na wolność powinien więc wyjść w sierpniu przyszłego roku.

Media rosyjskie twierdziły jednak, że nie wyjdzie, bo znów stanie przed sądem oskarżony o rzekome korumpowanie ekspertów przygotowujących dla poprzedniego prezydenta Dmitrija Miedwiediewa raport o konieczności złagodzenia kar za przestępstwa gospodarcze. Teraz okazuje się, że plotki o kolejnym procesie były zasłoną dymną, za którą na Kremlu szykowano ułaskawienie.

Zaskoczony jest nawet adwokat rosyjskiego „więźnia nr 1” Wadim Kluwgan. Wieść o możliwym ułaskawieniu jego klienta „poraziła go” – Nic mi nie wiadomo o tym, by Michaił Borysowicz pisał jakąkolwiek prośbę do prezydenta – powiedział „Wyborczej”. O piśmie do prezydenta nie wie też inny obrońca Chodorkowskiego Karinna Moskalenko ani jego matka. Marina Chodorkowska uważa jednak, że jeśli jej syn rzeczywiście napisał do Putina, to postąpił słusznie, bo „już dość się wycierpiał”.

– Absolutnie nie wierzę, że mógł prosić prezydenta o cokolwiek, a tym bardziej się kajać. Tyle razy próbowali go już do tego nakłonić, a on zawsze odmawiał. Po co miałyby więc robić to teraz, kiedy do końca wyroku zostało mu już tylko kilka

miesiący? – powiedział „Wyborczej” Aleksander Pumpiański, współautor wydanej niedawno w Polsce książki *Sprawa Chodorkowskiego*. Przypomniął, że inny wróg Kremla Borys Bieriezowski tuż przed tragiczną i tajemniczą śmiercią miał rzekomo przysłać Putinowi list z wyznaniem win i prośbą o wybaczenie. Tego dokumentu nikt jednak nie widział [Bieriezowski miał popełnić samobójstwo w swoim podlondyńskim domu w 2013 roku].

Według Pumpiańskiego klamka zapadła i Putin nie może się już wycofać [20 grudnia 2013 roku Putin podpisał dekret o ułaskawieniu Chodorkowskiego, który od razu opuścił łagier i odleciał do Niemiec].

Komentatorzy są zaskoczeni nagłą łaskawością Kremla. W środę Duma w pośpiechu przyjęła uchwałę o amnestii, na mocy której na wolność wyjdą sławni na cały świat więźniowie: Maria Alochina i Nadieżda Tołokonnikowa z grupy Pussy Riot (skazane za happening w jednej z cerkwi) oraz trzydziestu ekologów z należącego do Greenpeace’u statku „Arctic Sunrise”. Amnestia objęła też część opozycjonistów uwięzionych za udział w starciach z policją w czasie antyputinowskiej demonstracji na moskiewskim placu Błotnym 6 maja 2011 roku.

Obserwatorzy uważają, że Kreml, okazując łaskę więźniom, za którymi wstawała się międzynarodowa opinia publiczna, próbuje poprawić swój wizerunek przed rozpoczynającymi się za pięćdziesiąt dni igrzyskami w Soczi, które powinny pokazać światu świetność i odrodzoną potęgę Rosji.

17.01.2014, piątek

PUTINIZACJA UKRAINY

Wczoraj Ukraina rządzona przez ekipę prezydenta Wiktora Janukowycza uchwaliła kilka antydemokratycznych ustaw. Tym samym wykonała wielki krok w stronę Moskwy i oddaliła się od Europy.

Prezydencka większość w Radzie Najwyższej, gwałcąc procedury parlamentarne, przyjęła budżet Ukrainy na 2014 rok oparty na pomocy finansowej z Moskwy. Przepchnęła też ustawy żywcem skopiowane z rosyjskich wzorców. Opozycja alarmuje, że w Kijowie doszło do zamachu stanu, a „parlament ukraiński umarł”.

Rada pracowała wedle najlepszych metod rosyjskiej Dumy Państwowej, zatwierdzając bez dyskusji kolejne restrykcyjne ustawy podsuwane jej przez ekipę prezydencką.

Jedna z nich, przyjęta jako poprawka do kodeksu podatkowego, nakazuje organizacjom pozarządowym, które zajmują się w jakiegokolwiek formie działalnością polityczną, a otrzymują wsparcie materialne z zagranicy, żeby rejestrowały się jako „agenci zagranicy”. Organizacje te będą płacić specjalne podatki i składać władzom comiesięczne raporty o swoich finansach. Ich przedstawiciele, występując publicznie, zawsze będą mieli obowiązek przyznawania się, że są „agentami”.

To nowe prawo jest kalką rozwiązania przyjętego w ubiegłym roku przez Dumę. W Rosji służy ono skompromitowaniu

organizacji pozarządowych, bo w oczach obywateli określenie „agent zagranicy” to synonim słów „szpieg” czy „zdrajca”.

Rada w czwartek zastrzyła też kary za blokowanie siedzib organów władzy. Zabroniła manifestantom przyjeżdżać na demonstracje kolumnami złożonymi z więcej niż pięciu pojazdów. To też są ustawy „antymajdanowe”, bo uczestnicy kijowskich protestów blokowali niedawno gmachy administracji, a do stolicy zjeżdżają dużymi kolumnami autobusów.

Rada uprościła również procedurę pozbawiania posłów immunitetu. Teraz będzie o tym decydować w głosowaniu większość izby. A większość tworzą dziś ludzie Janukowycza.

Jednak najgłośniejszym echem odbił się w świecie skandal wokół uchwalania budżetu.

Gdy opozycja próbowała nie dopuścić do głosowania i jeszcze przed rozpoczęciem sesji zamknęła marszałka Wołodymyra Rybaka w jego własnym gabinecie, obrady poprowadził jego zastępca Ihor Kaletnik. Posłowie nie otrzymali do ręki projektu dokumentu, nad którym mieli głosować. Wicemarszałek zarządził też, że nie będzie dyskusji, a głosowanie odbędzie się nie – jak jest to przyjęte – przez system elektroniczny, lecz przez podniesienie rąk.

„Za” opowiedziało się 249 (wymagana większość to 226 posłów) przedstawiciele prezydenckiej Partii Regionów, komunistów i posłów pozafrakcyjnych głosujących tak, jak życzy sobie Janukowycz.

Budżet zakładający 3,6-procentowy deficyt został zbilansowany dzięki wsparciu finansowemu, które Władimir Putin 17 grudnia obiecał Wiktorowi Janukowyczowi po rezygnacji Ukrainy z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią Europejską. Gospodarz Kremla obniżył wtedy cenę gazu dla

Ukraińców z rekordowych 421 dolarów do 268,5 dolara za tysiąc metrów sześciennych. Obiecał też, że Rosja kupi obligacje ukraińskie za 15 miliardów dolarów.

Premier Mykoła Azarow zapewnia, że dzięki pomocy z Moskwy udało się skonstruować „budżet socjalny” zapewniający opiekę państwa nad najbiedniejszymi grupami ludności.

Arsenij Jaceniuk, przywódca opozycyjnej frakcji Batkiwszczyna, to, co się stało w Radzie, nazwał „przewrotem”. Ołeh Tiahnybok kierujący radykalną nacjonalistyczną partią Swoboda ocenia, że „parlament w Ukrainie umarł”, i mówi, że teraz „głos powinna zabrać ulica”.

24.02.2014, poniedziałek

BOHATEROWIE NIE UMIERAJĄ

Majdan długo nie wypowiadał słowa *peremoha* – „zwycięstwo”. Czekał, aż będzie ono pełne. W sobotę ukraińska Bastylia padła, ale Majdan się nie rozchodzi. Ma pilnować polityków.

Porozumienia, które w piątek pod okiem ministrów spraw zagranicznych Niemiec i Polski oraz emisariusza z Rosji zawarli z Wiktorem Janukowyczem przywódcy opozycji parlamentarnej, Majdan nie przyjął. Zapowiedź przyspieszenia wyborów prezydenckich o kilka miesięcy i zatrzymania przy władzy – do grudnia – odpowiedzialnego za masakrę demonstrantów Janukowicza tylko rozdrażniła ludzi, którzy od ponad trzech miesięcy bronią placu w centrum Kijowa.

W piątek, kiedy politycy i wysłannicy Europy oraz Moskwy rozmawiali z prezydentem, przez Majdan nieprzerwanie płynęły otwarte trumny zabitych w ostatnich dniach jego obrońców.

Tłum w napięciu wpatrywał się w twarze poległych pokazywane na wielkim ekranie. Sotnie strażników Majdanu – a za nimi wszyscy – skandowały: „Bohater! Bohater! Chwała! Chwała!”

Duchowni prawosławni, greckokatolicki i katolicki modlili się nad ciałami. Kiedy trumna odchodziła z placu, rozlegał się wiele razy powtarzany okrzyk: „Bohaterowie nie umierają!”. W niebo leciały fajerwerki, Kozacy bili w kotły.

A kiedy zabitych – przeważnie młodych, z bandażami na przestrelonych głowach, okrytych kwiatami – niesiono między rozstępującymi się ludźmi przez plac oświetlony tylko ekranami telefonów, żegnała ich wzruszająca pieśń. Serca rozdzierały jej słowa: *Pływe kacza po Tysini*, śpiewane w imieniu zrozpaczonej matki: „Tyś, synku, na moim sercu leżał...”

Ta trwająca od piątku do niedzieli uroczystość pod spalonym gmachem przy Majdanie, pod słupami dymów wznoszących się znad stosów opon była niczym mityczny obrzęd.

Nad otwartą trumną swego syna Maksyma przemówiła ze sceny zrozpaczona matka z Tarnopolszczyzny: – Przeklinam stąd wszystkich, którzy za pieniądze, za torbę kaszy głosowali na tę bandycką, zbrodniczą władzę, która zamordowała mojego syna.

Ludzie odpowiedzieli: – Nie wybaczymy! Nie wybaczymy!

Na słowo „Janukowycz” i na wspomnienie układu z nim tłum reagował powtarzanym okrzykiem: – *Zekowi – śmierć!* [Śmierć kryminaliście – bo Janukowycz w młodości kilka razy siedział za pospolite przestępstwa].

Jeszcze w piątek wieczorem komendant Majdanu Andrij Parubij i przywódca radykalnego Prawego Sektora Dmytro Jarosz postawili ultimatum Witalijowi Kliczce, który jako szef partii UDAR brał udział w negocjacjach z Janukowyczem: najpóźniej do godziny 10 rano w sobotę w Radzie Najwyższej ma stanąć wniosek o zdymisjonowanie prezydenta. Inaczej sotnie z placu będą szturmować rządowe gmachy.

– Co zrobili nasi politycy, wasi ministrowie? – krzyczał na mnie Ihor, czerstwy pięćdziesięciolatek z Zakarpacia. – Wypuścili zwierza do jego matecznika na wschodzie, a on tam będzie się teraz zwąchał z Moskalami i kombinował, jak rozwalić Ukrainę. A jemu tylko to [mężczyzna wyciągnął z kieszeni kurtki

nabój do snajperskiego karabinu]. On takimi zabijał naszych chłopców.

To, co w sobotę działo się w Kijowie, było spełnieniem życzenia Moskwy, która od tygodni powtarzała, że problemy Ukrainy powinni rozwiązywać wyłącznie sami Ukraińcy.

Pod naciskiem Majdanu zebrała się Rada Najwyższa i – już bez emisariuszy z Europy i potajemnie działających wysłanników Rosji – energicznie zabrała się do porządków. Udało się zgromadzić ponad 300 posłów, bo ludzie z prezydenckiej Partii Regionów, którzy nie zwiali za granicę, też się zjawili.

Wiadomo już było, że Janukowycz rzeczywiście uciekł na wschód kraju, do Charkowa. Miał się tam pojawić na spotkaniu separatystów szukających u Rosjan obrony przed „banderowcami z Kijowa” [zamiast tego z Charkowa przez Donieck dotarł do Jałty, a stamtąd wyjechał do Rosji, gdzie przebywa do dziś].

Rada szybko wybrała na nowego marszałka opozycjonistę Ołeksandra Turczynowa i przyjęła ustawę przewidującą odpowiedzialność karną za nawoływanie do naruszenia integralności terytorialnej kraju. Do jej tekstu dołączono listę nazwisk polityków i funkcjonariuszy ze wschodu, którzy ostatnio domagali się odłączenia swoich regionów od Ukrainy.

Izba opracowała też projekt ustawy o zdymisjonowaniu Janukowycza, a do wieczora ją przyjęła. Posłowie wyznaczyli datę nowych wyborów prezydenckich na 25 maja. Do tego czasu obowiązki głowy państwa sprawuje marszałek Rady Turczynow.

Posłowie słusznie się spieszyli. Chodziło im o to, by Janukowycz – wciąż oficjalnie prezydent – nie stał się przywódcą separatystów gotowych poprosić Moskwę

o udzielenie „bratniej pomocy” ciemnionej ponoć mniejszości rosyjskiej na wschodzie Ukrainy.

Kiedy Rada sprawnie – bez typowych dla niej bójek, awantur czy blokowania trybuny – załatwiała najważniejsze sprawy kraju, Samoobrona Majdanu poprzez przejścia w barykadach wpuściła mieszkańców Kijowa do dzielnicy rządowej, w której i wokół której przez ostatnie tygodnie toczyły się walki.

Lud został też wpuszczony do uważanej za bajecznie luksusową, a w rzeczywistości urządzonej bez gustu rezydencji Janukowycza w podstołecznej Meżyhirji. [Ta siedziba prezydencka została już znacjonalizowana].

Z Moskwy widzą w Kijowie terrorystów, ekstremistów, przewrót. W nocy z piątku na sobotę w telewizji Rossija dowodzą, że w czasie czwartkowej masakry, kiedy zginęło co najmniej osiemdziesiąt siedem osób, manifestantom strzelano w plecy z samego Majdanu. Obwiniano nawet jednego z posłów opozycyjnej Batkiwszczyzny.

Na Kremlu boją się najbardziej tego, że „pomarańczowa zaraza” rozprzestrzenić się może również na Rosję. W piątek, kiedy w Moskwie skazywano ludzi biorących udział w starciach z policją 6 maja 2012 roku na placu Błotnym (protestowali przeciwko powrotowi Putina na Kreml), pod sądem zjawilo się ponad tysiąc protestujących przeciw wyrokowi na opozycjonistów. A to, jak na Moskwę, niemało.

Żeby wyjść na scenę Majdanu ze słowem *peremoha*, Parubij czekał, aż Rada upora się ze swoją robotą.

Dopiero wtedy, kiedy przytłaczającą konstytucyjną większością (ponad 300 głosów) posłowie przyjęli ustawę antyseparatystyczną, zatwierdzili kontrolę parlamentu nad pracą resortów, uchwalili zwolnienie z więzienia Julii Tymoszenko

i dymisję Janukowycza, przed blisko 100-tysięczną rzeszą demonstrantów pojawił się komendant Majdanu, by oznajmić, że to już ostateczne zwycięstwo.

Opozycjoniści zgodzili się jednak z nim, że jeszcze się nie rozejdą. Zostaną na placu pewnie do majowych wyborów prezydenckich, żeby patrzeć na ręce politykom. I nie dać się wykiwać jak po 2004 roku, kiedy przywódcy szybko zapomnieli o tym, co obiecywali na pomarańczowym wtedy Majdanie.

To, że tym razem ma być inaczej, odczuła Julia Tymoszenko. Wiadomość o jej natychmiastowym uwolnieniu z więzienia Majdan przyjął z ogromną radością. Ale ludzie cieszyli się bardziej ze swojego kolejnego zwycięstwa...

Kiedy wieczorem zjawiła się na wózku inwalidzkim na scenie Majdanu, radość była już umiarkowana.

Potem mówiono mi, że była premier zawiodła ludzi. Spodziewali się, że podziękuje im za to, że dzięki ich ofierze i walce opuściła więzienie. I że „na kolanach” przeprosi za to, że po ich poprzednim zwycięstwie na tym samym Majdanie dziesięć lat temu, żrąc się z Juszczenką, zmarnowała dorobek pomarańczowej rewolucji.

Usłyszeli coś innego – że będzie ona „gwarantem ich praw” i obrońcą. Klaskali jej, skandowali jej imię, ale między sobą pytali, czemu uzurpuje już sobie prezydenckie przecież prawo do bycia „gwarantem” pokoju.

W niedzielę Tymoszenko – po rozmowach z europejskimi politykami, m.in. z kanclerz Angelą Merkel – oświadczyła, że nie zostanie premierem. Zamierza jednak walczyć w maju o prezydenturę.

27.02.2014, czwartek

STARCIE KOZAKÓW Z TATARAMI NA KRYMIE. ROSJA STRASZY

Na Krymie sytuacja jest wybuchowa. W Symferopolu demonstrowali Rosjanie, domagając się oddzielenia półwyspu od Ukrainy. Obok zebrali się Tatarzy przeciwni separatystom. Armia rosyjska w stanie gotowości.

Pod parlament Autonomicznej Republiki Krymu w Symferopolu pierwsi przyszli miejscowi Kozacy uważający się za patriotów rosyjskich. Skandując „Rosja” i „Hańba banderowcom w Kijowie!”, domagali się niezwłocznego zwołania nadzwyczajnej sesji parlamentu i uchwalenia ustawy o referendum w sprawie przynależności regionu.

– Kozaków zebrało się około 500. Jedni chcieli, by referendum dotyczyło przyłączenia półwyspu do Rosji, inni, spokojniejsi, uważali, że należy raczej myśleć o niezależnej republice – opowiadał „Wyborczej” z placu przed parlamentem Aleksandr Denysenko, politolog z Symferopola.

Po zwołaniu na żądanie Kozaków nadzwyczajnego posiedzenia na ulicę wyszli Tatarzy krymscy, zdecydowani zwolennicy pozostawienia półwyspu w granicach Ukrainy. Są oni na Krymie mniejszością. Mieszka ich tam około 250 tysięcy, czyli pięć razy mniej niż Rosjan stanowiących 60 procent ludności regionu. Ale

są znakomicie zorganizowani i znacznie aktywniejsi niż rosyjscy sąsiedzi.

Wczoraj zmobilizowali błyskawicznie pod parlamentem 10 tysięcy osób. – Uprzedziliśmy deputowanych, by nie przeprowadzali posiedzenia i nie zaostrozali sytuacji na Krymie. Rozumiemy, że prowadzą działania, których celem jest oderwanie półwyspu od Ukrainy – wyjaśniał przed Radą Refat Czubarow, przewodniczący Medżlisu, parlamentu Tatarów krymskich.

Na placu obok siebie stanęły dwie demonstracje. – Początkowo oddzielał ich milicyjny kordon. Potem ludzie się przemieszali. Było kilka bójek, parę osób poturbowano. Ale to się uspokoiło. Ludzie powtarzają sobie, że Tatarzy i Rosjanie potrafili żyć razem, więc i teraz powinien tu panować pokój – mówił Denysenko.

Niepokoilo go to, że do demonstrujących dołączali przywożeni autobusami i entuzjastycznie witani przez Kozaków ludzie z Sewastopola. To miasto jest bazą rosyjskiej Floty Czarnomorskiej, która ma pozostać na Krymie do 2047 roku zgodnie z układem Janukowycza z Putinem. Rosjanie powszechnie uważają Sewastopol za swój. Nazywają go „miastem rosyjskiej bojowej sławy” i nie chcą słyszeć o tym, że ich armia może kiedyś porzucić tamtejszą bazę.

Po południu okazało się, że parlament na Krymie nie będzie obradować, bo nie ma kworum. Demonstranci zaczęli się rozchodzić. Agencje podały, że na placu znaleziono ciało starszego mężczyzny, który zmarł najpewniej na zawał.

Tymczasem oliwy do krymskiego ognia, jak może, dolewa Moskwa. Władimir Putin ogłosił w środę alarm bojowy w wojskach Zachodniego Okręgu Wojskowego, w 2. Armii Centralnego Okręgu Wojskowego oraz w dowództwach Obrony Powietrzno-Kosmicznej, Wojsk Powietrznodesantowych,

Lotnictwa Dalekiego Zasięgu i Lotnictwa Transportowego. W ten sposób prezydent sprawdza, czy wojska są w stanie przystąpić do działań „przy rozwiązywaniu sytuacji kryzysowej” – wyjaśniał minister obrony Siergiej Szojgu.

Aleksiej Puszkow, szef komisji zagranicznej Dumy, napisał na swoim blogu, że skoro świat uznaje wybór, jakiego dokonali Ukraińcy w Kijowie, to powinien przyznać też mieszkańcom półwyspu prawo do stanowienia o swoim losie.

5.03.2014, środa

PUTIN: MAMY PRAWO WKROCZYĆ DO UKRAINY

Rosja „na razie” nie anektuje Krymu i nie wprowadzi sił zbrojnych do Ukrainy. Ale jeśli będzie trzeba, ma pełne prawo wysłać armię do sąsiedniego kraju – oświadczył wczoraj Władimir Putin.

Prezydent Rosji przez ostatnie dwa tygodnie, od kiedy w Kijowie doszło do dramatycznych wydarzeń, zachowywał milczenie na temat wypadków w Ukrainie. Wczoraj jednak, kiedy do ukraińskiej stolicy przyleciał na rozmowy z nowymi władzami sekretarz stanu USA John Kerry, gospodarz Kremla zaprosił dziennikarzy na konferencję prasową do swojej siedziby Nowo-Ogariowo pod Moskwą, by przedstawić im swą interpretację sytuacji w Kijowie.

Mówił, że obecnie „nie ma potrzeby użycia rosyjskich sił zbrojnych w Ukrainie”, na co Putin uzyskał zgodę od absolutnie podporządkowanej mu Rady Federacji. Ale Rosja rezerwuje sobie prawo do takiej akcji w obronie mieszkańców wschodu i południa kraju, jeśli zapanuje tam „chaos”.

A jeśli Moskwa podejmie w takiej sytuacji decyzję o użyciu wojsk, to będzie ona zgodna „z naszymi zobowiązaniami i zbieżna z naszymi interesami dotyczącymi obrony tych ludzi, których

uważamy za blisko związanych z nami historycznie, kulturowo i gospodarczo” – zapewnił prezydent.

Tłumaczył, że Rosja może posłać żołnierzy za granicę, bo poprosił o to na piśmie Wiktor Janukowycz, którego Kreml wciąż uważa za głowę państwa i z którym Putin spotkał się w niedzielę.

Ta prośba o pomoc militarną, którą zresztą dzień wcześniej odczytał w Radzie Bezpieczeństwa ONZ rosyjski ambasador, to niespodzianka. Janukowycz na piątkowym spotkaniu z dziennikarzami w Rostowie nad Donem stwierdził, że z niczym takim się do Moskwy nie zwracał. Potem gdzieś zniknął i dopiero wtedy wypłynął dokument, na który powołuje się Putin.

Rosja nie jest już zobowiązana do przestrzegania porozumień budapeszteńskich z 1994 roku – uważa gospodarz Kremla. Zgodnie z nimi USA, Wielka Brytania i Rosja gwarantowały nienaruszalność granic Ukrainy w zamian za jej rezygnację z broni atomowej.

Zdaniem Putina w Kijowie nastąpił przewrót, przejęcie władzy siłą, „jak to nazywają eksperci – rewolucja”. A w wyniku rewolucji powstają całkiem nowe państwa. Dziś Ukraina, twierdził prezydent, nie jest więc już tym samym państwem, któremu Rosja dwadzieścia lat temu dawała gwarancje.

Sytuację u sąsiada Putin ocenił tak: w niektórych miejscach w Ukrainie dochodzi do „rozpasania neonazistów, nacjonalistów, antysemitów”. Działają tam bojówkarze, których „przygotowano za granicą, na Litwie, w Polsce i w samej Ukrainie. Trenowali ich przez dłuższy czas instruktorzy, działają w sposób zorganizowany, mają dobrą łączność, pracują jak zegarki, jak specnaz” – zapewniał Putin.

Natomiast Krym wzięli pod kontrolę nie żołnierze z Rosji, lecz ludzie z „lokalnych sił samoobrony”. Są ubrani w mundury rosyjskie bez dystynkcji, bo – jak mówił Putin – takich uniformów „jest pełno na obszarze postsowieckim i można je kupić w każdym sklepie”. Prezydent uznaje władze Krymu – wybrane właśnie pod lufami automatów ludzi w takich mundurach – za legalne.

W Kijowie zaś legalna, choć jedynie „częściowo”, jest Rada Najwyższa. Putin nie uznaje prawomocności ani p.o. prezydenta, ani premiera Ukrainy. Mimo to Moskwa prowadzi nieoficjalny dialog z Ołeksandrem Turczynowem, tymczasowym przywódcą państwa, i Arsenijem Jaceniukiem, który kieruje rządem.

Natomiast porządek społeczno-polityczny zapanuje w kraju dopiero wtedy, kiedy zostaną tam przeprowadzone wybory parlamentarne i prezydenckie, a także ogólnokrajowe referendum, w którym zostanie zatwierdzona nowa konstytucja. Rosja nie uzna jednak wyników wyborów w Ukrainie, jeśli się odbędą w „obecnej atmosferze terroru”. Moskwa będzie pilnować, by każdy obywatel Ukrainy miał prawo „swobodnie decydować” o losie swoim i swojego kraju.

Odpowiadając na pytania dziennikarzy, Putin przyznał pewną rację Ukraińcom, którzy wyszli na Majdan. Oceniał, że skłoniła ich do tego ogromna korupcja panująca w kraju. Przyznał też, że sąsiadów gnębi ta sama plaga, co „i nas”, ale tam jego zdaniem jest ona znacznie bardziej dotkliwa.

6.03.2014, czwartek

DEMASKUJĄ ROSYJSKICH „PRZEBIERAŃCÓW”

Rosyjskie wojska, których ponoć „absolutnie nie ma na Krymie”, prowadzą tam ofensywę przeciw ukraińskim jednostkom. A Moskwa grozi konfiskatą majątku firm z krajów, które wprowadzą wobec niej sankcje.

W środę na półwyspie, którym rządzą samozwańcze władze popierane przez Kreml, miała rozpocząć pracę trzydziestopięciosobowa misja obserwatorów OBWE składająca się z wysłanników piętnastu państw (w tym dwóch polskich oficerów). Przeszkodziła im w tym grupa Kozaków Wojska Dońskiego lojalnego wobec Moskwy – bojówka zablokowała wyjście z hotelu Ukraina w Symferopolu, w którym zatrzymali się obserwatorzy.

W tym czasie z wielu miejsc na półwyspie dochodziły informacje o tym, że oddziały ludzi ubranych w rosyjskie mundury, uzbrojonych w broń rosyjskiego specnazu, poruszających się samochodami wojskowymi na numerach rejestracyjnych rosyjskiej armii siłą przejmują ukraińskie obiekty wojskowe. Na Krym są one przetrzucane promami kursującymi między rosyjskim Półwyspem Tamańskim a Kerczem.

W środę napastnicy otoczyli sztab floty ukraińskiej w Sewastopolu. Grozili szturmem, odcięciem wody i prądu.

Domagali się, by oficerowie przeszli na stronę nowych władz półwyspu i złożyli przysięgę na wierność „narodowi Krymu”.

Również sztab ukraińskich wojsk ochrony wybrzeża w Symferopolu, stolicy Krymu, jest obleżony od kilku dni. Tu jednak plany napastników niespodziewanie pokrzyżowali miejscowi Ukraińcy – grupa kobiet stanęła na ulicy, oddzielając żołnierzy ze sztabu od oblegających ich „przebierańców”.

Podobna sytuacja jest w Bakczysaraju, uznawanym za stolicę Tatarów krymskich. Tam przed zablokowaną ukraińską jednostką wojskową też manifestowały kobiety. Wznosiły okrzyki: „Chcemy pokoju!” i „Putinie, wycofaj wojsko!”

Niezidentyfikowani sprawcy w mundurach rosyjskich bez naszywek zajęli też bazę raketową ukraińskiej armii. Według portalu Ukraińska Prawda najpierw wtargnął tam specnaz.

Andriej Rybakow z pisma „Sztuka Wojny” zapewnia, że rozpoznał jednego z ludzi przejmujących ukraińskie obiekty wojskowe na Krymie. Jest to znany mu pułkownik Władimir Karpuszenko, zastępca dowódcy rosyjskiej 810. brygady.

Dziennikarze ukraińscy w Kerczu nagrali zaś rozmowę z człowiekiem podającym się za dowódcę grupy ludzi w mundurach rosyjskich bez znaków rozpoznawczych. Na pytanie: „Kim jesteście?”, odpowiedział: „My Rosjanie”. To słowo oznacza nie tyle etnicznego Rosjanina, ile obywatela Federacji Rosyjskiej.

Siergiej Szojgu, minister obrony Rosji, obejrzawszy to nagranie, nazwał je „prowokacją i bzdurą” oraz zapewnił, że żołnierzy rosyjskich – poza tymi, którzy stacjonują tam w ramach umowy o użyczeniu bazy w Sewastopolu Flocie Czarnomorskiej – na terytorium Krymu „absolutnie nie ma”. A pytany, skąd na półwyspie wzięły się tigry i rysie, wozy używane przez

rosyjski specnaz, i to na numerach przydzielonych jednostkom armii Rosji stacjonującym na Kaukazie Północnym, odparł: – Nie mam pojęcia.

Według ukraińskiego resortu obrony na półwyspie działają dziś – oprócz żołnierzy Floty Czarnomorskiej – także jednostki z baz w Czeczenii, Krasnodarze i Uljanowsku.

Zainstalowane pod lufami automatów „przebierańców” samozwańcze władze Krymu z premierem Siergiejem Aksionowem zamierzają 30 marca przeprowadzić na półwyspie referendum w sprawie statusu regionu i nadania mu bardzo szerokiej autonomii lub wręcz przekształcenia w niepodległe państwo. W środę szef rządu Ukrainy Arsenij Jaceniuk powtórzył, że Krym musi pozostać w składzie jego kraju, natomiast może otrzymać większą autonomię.

Separatyści i przybysze z Rosji działają też, choć już nie tak aktywnie jak w końcu ubiegłego tygodnia, na wschodzie i południu Ukrainy. W środę rano milicja, lojalna wobec władz w Kijowie, usunęła z siedziby administracji obwodowej w Doniecku kilkaset osób, które okupowały budynek od poniedziałku. Po południu zwolennicy Rosji wrócili i znów próbowali opanować gmach. Doszło do przepychanek – w rezultacie demonstranci znów zajęli budynek.

W Moskwie zastanawiają się, jak odpowiedzieć na ewentualne sankcje, którymi Zachód chciałby ukarać Rosję za jej agresję wobec Ukrainy. Rada Federacji ma rozpatrzyć projekt ustawy przewidującej konfiskowanie majątku i kont bankowych działających w Rosji firm należących do obywateli państw, które wprowadziłyby restrykcje wobec Moskwy.

7.03.2014, piątek

PUTIN IDZIE NA CAŁOŚĆ

Rosyjski prezydent nie ogląda się na ewentualne restrykcje, reakcje międzynarodowej opinii publicznej, ONZ, OBWE. Nie czekając na to, co miała wczoraj powiedzieć ostrożnie grożąca mu sankcjami Bruksela, gra na zaostrzenie sytuacji – jak to się mówi w Moskwie.

Parlament autonomicznego regionu Ukrainy „obradujący” pod lufami „umundurowanych w sklepach sił samoobrony” prosi o przyjęcie ukraińskiego półwyspu do Federacji Rosyjskiej i przyspiesza referendum w sprawie przynależności państwowej Krymu.

Można powiedzieć, że to samozwańcy pod ochroną przebierańców przesuwają granice w Europie, rozczłonkując jedno państwo i przyłączając jego część do drugiego. Jasne jest jednak, że to nie oni są prawdziwymi aktorami tego dramatu, a za sznurki krymskich marionetek pociąga Moskwa.

Przyspieszenie referendum z 30 na 16 marca oznacza jedno – nie ma czasu na dyskusje, negocjacje, jakieś komisje międzynarodowe. Nie będzie też na Krymie w dniu głosowania obserwatorów z Kijowa, krajów Unii Europejskiej czy OBWE. Pojawią się pewnie wysłannicy poradzieckiej Wspólnoty Niepodległych Państw z Kazachstanu czy Uzbekistanu, dla których wzorem demokracji jest raczej Korea Północna niż Zachód.

Przedstawiciele parlamentu Krymu już zapewniają dziennikarzy rosyjskich kanałów telewizyjnych, że wszystko będzie czyste, bo przebieg referendum i liczenie głosów ma kontrolować sam „naród regionu”. – Taka będzie u nas ludowa demokracja. Prawdziwa – stwierdził jeden z nich.

Jasne, że w takich warunkach okaże się, iż mieszkańcy Krymu powiedzą „tak” i Federacja Rosyjska do swoich osiemdziesięciu trzech regionów przyłączy kolejną republikę.

To przypomina rok 1938 w Austrii. Tam też była zmiana władzy pod okiem żołnierzy Hitlera i też referendum, w którym 99,08 procent Niemców i 99,75 procent Austriaków powiedziało „tak” połączeniu obu państw. Po Anschlussie było przyłączenie Sudetów, Kłajpedy...

Czemu Putin zdecydował akurat teraz, że czas, by klamka zapadła? Czemu tak przyspiesza? Bo najwyraźniej nie wychodzi mu już ani z pierwszym, ani z drugim planem dotyczącym Ukrainy.

Pierwszym było utrzymanie całego kraju w orbicie wpływów Moskwy. Nie wyszło. Drugim było wzniecenie prorosyjskiej rewolty na wschodzie i południu Ukrainy, oddanie tamtych regionów pod kontrolę sił prorosyjskich. Z tym też raczej kłapa.

Protesty antymajdanowe, choć podsycane przez „turystów” z Rosji, przycichają nawet w Doniecku, gdzie jeszcze w środę kilka tysięcy demonstrantów pod wodzą „ludowego gubernatora” Pawła Gubariewa opanowało siedzibę administracji obwodowej.

W środę gmach był już wolny, a lojalna wobec władz w Kijowie Służba Bezpieczeństwa Ukrainy aresztowała Gubariewa i wywiozła z regionu.

W tej sytuacji Moskwa zdecydowała się postąpić zgodnie z rosyjskim powiedzeniem: „Z parszywej owcy można i należy

wziąć choć kłak wełny”. Sięga więc po Krym, już nie bacząc na to, że brutalne rozczłonkowanie sąsiedniego kraju przeciwstawia Rosjanom przeważającą część bratniego słowiańskiego i prawosławnego narodu.

Jest mała nadzieja, że to jeszcze nie rozbiór kraju, ale wciąż tylko gra. I że Moskwa za kilka dni powie, iż nie spieszy się z aneksją Krymu, a tylko rzuca na stół kolejny atut, by wystraszyć polityków i społeczeństwa zachodnie, podwyższając i tak już maksymalnie wysoką stawkę w wielkim pokerze o Ukrainę.

To jednak nadzieja nikła.

17.03.2014, poniedziałek

PEŁZAJĄCY ROZBIÓR UKRAINY

Krwawe zamieszki, nędza, powołanie samozwańcych władz, tłumy proszące Moskwę o przysłanie wojsk i stopniowy demontaż kraju. Czy tak po referendum na Krymie mogą się potoczyć wydarzenia w Ukrainie?

Tak jak chciał Władimir Putin, Krym opowiedział się wczoraj za przystąpieniem do Rosji. Według oficjalnych danych ten wariant poparło 96,8 procent głosujących. Kolejki do lokali wyborczych ustawiały się jeszcze przed ich otwarciem.

Kai-Olaf Lang, analityk berlińskiej fundacji Nauka i Polityka, twierdzi, że w najgorszym scenariuszu Putin stworzy marionetkowe państewko wschodnioukraińskie, np. z obalonym prezydentem Janukowyczem. I dodaje: – To będzie koniec Ukrainy, jaką znamy.

Kiedy to może nastąpić? Od razu po przyłączeniu półwyspu do Rosji, czyli po pierwszym rozbiórce Ukrainy? – Raczej nie.

Z rozhuśtaniem Charkowa, Ługańska, Doniecka, Chersonia, Odessy trzeba będzie nieco poczekać. To nie Krym, gdzie armia rosyjska nie musiała wchodzić, bo stacjonuje tu „od zawsze”. Tamtych regionów nie da się odciąć od Ukrainy tak łatwo jak Krymu, gdzie wystarczyło zablokować siedmiokilometrowej szerokości Przesmyk Perekopski.

Zwolenników zbliżenia z Rosją czy przyłączenia swoich regionów do Federacji jest na wschodzie i południu Ukrainy

bardzo wielu. Ale oni, w przeciwieństwie do krewkich *zapadenców* (ludzi z zachodu kraju), są pasywni. Jedna z moskiewskich gazet pisała niedawno, że jeśli wyjdą na ulice, to tylko po wódkę. Wczoraj w milionowym Doniecku za przeprowadzeniem takiego referendum jak krymskie manifestowały tylko 3 tysiące ludzi.

Rozpalać emocje przy pomocy „turystów” sportowej postury też już nie jest łatwo. Ukraińscy pogranicznicy dostali rozkaz, żeby nie przepuszczać przez granicę samotnych mężczyzn w wieku poniżej pięćdziesięciu pięciu lat z rosyjskimi paszportami. Moskwa zaprotestowała przeciw praktyce godzącej w „zbliżenie narodów”, ale Kijów się nie przestraszył.

Rosja ma jednak bogaty arsenał innych środków przydatnych do radykalizowania nastrojów. Już w sierpniu dawała nauczkę sąsiadom, pokazując, co ich czeka, jeśli Kijów ośmieli się podpisać umowę o stowarzyszeniu z UE. Celnicy bez specjalnego powodu skrupulatnie sprawdzali ukraińskie towary wwożone do Rosji. Żmudne procedury wyładunku wszystkiego, co jechało na ciężarówkach, kontroli dokumentów i ponownego załadunku ciągnęły się w nieskończoność. Handel zamarł.

A wschód kraju żyje z tego, co sprzedaje do Rosji. Bez eksportu do sąsiada tamtejsze huty, kopalnie, wytwórnie rur czy taboru kolejowego muszą stanąć. Miliony mieszkańców zarabiają też za wschodnią granicą i wspierają rodziny w ojczyźnie miliardami dolarów.

Kijów nie jest w stanie wesprzeć ani przemysłu na wschodzie kraju, ani nawet jako tako regularnie płacić i tak nędznych emerytur. Rezerwy finansowe obrabowanego przez klan Janukowycza kraju to zaledwie 17 miliardów dolarów – akurat tyle, ile wynosi deficyt handlu zagranicznego, i tylko nieco

więcej, niż do końca przyszłego roku trzeba zapłacić zagranicznym wierzycielom. Ukraina praktycznie jest bankrutem.

Z niewielką nawet „pomocą” zza wschodniej granicy łatwo będzie więc sprawić, by na wschodzie i południu rosły na placach tłumy proszących Rosję i jej armię o ratunek. Do przyspieszenia tego procesu przydałoby się kilka zbrojnych napadów „banderowców” na „rosyjskojęzycznych”.

Taki scenariusz uda się zrealizować, jeśli Unia Europejska i USA będą deliberować, czy wprowadzać sankcje wobec Rosji i jakie one mają być, zamiast błyskawicznie brać się do wsparcia nowych władz w Kijowie w ich wysiłkach ustabilizowania kraju. Zrujnowanej Ukrainie potrzebny jest natychmiast nowy plan Marshalla. Bez niego państwo nie okrzepnie i się rozsypie.

Rachuby Putina opierają się na przekonaniu, że zachłanni zachodni politycy i biznesmeni, w przeciwieństwie do Rosji zdeterminowanej pod mocnym kierownictwem, nie są zdolni do ofiarności na rzecz Ukrainy. W Rosji dobrze pamiętają maksymę Lenina zapewniającego, że „kapitaliści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy”.

19.03.2014, środa

DLA PUTINA KRYM JEST JAK NRD

– Rozpoczęło się zbieranie rozdzielonych ziem ruskich – mówił Siergiej Mironow, szef partii Sprawiedliwa Rosja, po podpisaniu przez Władimira Putina dekretu o przyłączeniu Krymu.

Oprawa „historycznego”, jak to określają w Moskwie, wydarzenia była niezwykle uroczysta. Prezydent zaprosił z tej okazji do Sali Georgijewskiej, najwspanialszej na Kremlu, około tysiąca osób: parlamentarzystów, gubernatorów, członków rządu i innych VIP-ów, by przed nimi wygłosić transmitowane przez federalne kanały telewizyjne orędzie do narodu.

Takie orędzie, jak każe konstytucja, przywódca państwa wygłasza w tym miejscu raz w roku. Tym razem, jak zapewnił jego rzecznik, Putin postanowił wystąpić „z przesłaniem nadzwyczajnym i na własną prośbę”.

Gospodarz Kremla zapewniał, że Rosja nie dokonała na Krymie interwencji. – Nie przypominam sobie z historii interwencji bez jednego wystrzału i bez ofiar w ludziach – mówił.

Jego zdaniem również ogłoszenie niepodległości przez regionalne władze Krymu było zgodne z prawem międzynarodowym – na półwyspie skorzystano po prostu z precedensu stworzonego przez Zachód w Kosowie, które sześć lat temu odłączyło się od Serbii.

Jeśli więc Zachód uznał niepodległość tego kraju, to powinien, jak mówił Putin, uznać też wyniki krymskiego referendum.

Zapewniał przy tym, że zależy mu na jak najlepszych stosunkach z „bratnim narodem Ukrainy” i że Rosja nie zamierza rozbijać jedności tego kraju. Zapowiedział też, że na Krymie będą obowiązywały trzy języki: rosyjski, ukraiński i krymskotatarski.

To, że teraz władze i mieszkańcy niepodległego już półwyspu chcą się zjednoczyć z Rosją, powinno się zdaniem prezydenta spotkać ze zrozumieniem przede wszystkim w Niemczech. Przyłączenie Krymu do Federacji Putinowi przypomina bowiem zjednoczenie RFN i NRD w 1990 roku. Prezydent zauważył, że w przeciwieństwie do innych państw Rosja zaakceptowała wolę narodu niemieckiego. – Jestem pewien, że Niemcy tego nie zapomnieli. Liczę, że obywatele Niemiec wesprą dążenie rosyjskiego świata, historycznej Rosji do odtworzenia jedności – powiedział.

Po wygłoszeniu entuzjastycznie przyjętego przez słuchaczy orędzia Putin oraz Władimir Konstantinow, przewodniczący Rady Najwyższej Krymu, premier separatystycznych władz Siergiej Aksjonow i mer Sewastopola Aleksiej Czałyj podpisali traktat o przyłączeniu półwyspu do Rosji.

A śladem półwyspu chce pójść Naddniestrze. W Rosji karierę robi już żart prezydenta autonomicznej Czeczenii Ramzana Kadyrowa, który wychodząc z Kremla po orędziu Putina, zapowiedział: – Teraz Alaska.

Putin w bardzo emocjonalnym wystąpieniu nawiązywał do rosyjskich narodowych mitów, legend, fobii. Mówiąc o znaczeniu Krymu dla Rosjan, przypominał, że „w sercach, w świadomości ludzi zawsze był i pozostaje nierozzerwalną częścią Rosji”. – Na Krymie wszystko jest nasączone naszą historią i dumą. Tu znajduje się stary Chersones, gdzie został ochrzczony święty książę Władimir – prezydent przypominał, że to właśnie

w tym miejscu władca Kijowa i jego drużyna jako pierwsi na Rusi przyjęli w 988 roku chrześcijaństwo. Tu więc rodziła się „cywilizacja do dziś łącząca Rosję, Białoruś i Ukrainę”.

Na Krymie, jak mówił prezydent, „znajdują się mogiły wielu rosyjskich żołnierzy” – tych, którzy polegli w czasie prawie rocznego oblężenia Sewastopola podczas wojny krymskiej w latach 1854-1855, i poległych w czasie ciężkich walk o miasto toczonych z armią hitlerowską. Na półwyspie są dwa miasta bohaterowie, czyli Sewastopol i Kercz. Region więc w pełni zasłużył na miano miejsca i symbolu rosyjskiej wojennej sławy i bohaterstwa, za jaki powszechnie uważają go Rosjanie.

Mówiąc o ostatnich wydarzeniach w Ukrainie, które doprowadziły – zdaniem Putina – do referendum na Krymie, a w konsekwencji do przyłączenia półwyspu do Rosji, powtórzył wersję rozpowszechnianą przez podległe Kremlowi media moskiewskie. W Kijowie, według niego, rej dziś wodzą „ukraińscy spadkobiercy Bandery, pachołka Hitlera w czasie drugiej wojny światowej”.

– Jasne jest, że pełnoprawnej władzy wykonawczej w Ukrainie do tej pory nie ma, nie ma tam z kim rozmawiać. Liczne instytucje państwowe zostały przechwycone przez samozwańców, przy tym one niczego w kraju nie kontrolują, a same, chcę to podkreślić, znajdują się pod kontrolą radykałów. Nawet dostać się do niektórych ministrów można tylko po uzyskaniu zgody bojowników Majdanu – zapewniał Putin.

Większość rodaków z pewnością się z nim zgodziła, bo takimi właśnie opowieściami o Majdanie są stale karmieni przez federalne kanały telewizyjne. A jak powiedział „Wyborczej” znawca Kremla politolog Gleb Pawłowski, ludzie z otoczenia

Putina też głęboko wierzą w to, co opowiada kontrolowana przez nich telewizja.

Rosjanie godzą się więc z tym, że „wiecznie rosyjski” Krym musi wrócić do macierzy, bo tylko ona może obronić mieszkających tam rodaków przed krwiożerczymi banderowcami, których zresztą na półwyspie nikt nie widział.

Dzisiejszy dramat ukraiński to w ustach prezydenta Rosji wynik spisku Zachodu próbującego szkodzić jego krajowi. – W przypadku Ukrainy nasi partnerzy zachodni przekroczyli wszelkie granice, postępowali brutalnie, nieodpowiedzialnie i nieprofesjonalnie. Przecież oni znakomicie rozumieli, że na Krymie mieszkają miliony Rosjan. Trzeba było zupełnie stracić instynkt i polityczny rozsądek, żeby nie przewidzieć, jakie będą konsekwencje takiego postępowania – mówił Putin i dodał, że „Rosja znalazła się na grani, za którą nie mogła przejść”

– Jeśli do oporu naciskać sprężynę, trzeba pamiętać, że ona z taką samą siłą się rozprostuje – przestrzegali gospodarz Kremla, wzywając kraje Zachodu, by skończyły z „histerią” i zrozumiały „oczywistą rzecz, że Rosja jest samodzielnym, aktywnym uczestnikiem życia międzynarodowego” i że „jej interesy trzeba szanować”. Łajał też NATO za stawianie Rosji pod ścianą swoją polityką rozszerzania Sojuszu. Oskarżał Zachód o podwójne standardy w polityce międzynarodowej. (...)

Rosjanom podobają się takie ostre słowa Putina, który oskarża Zachód o szkodenie Rosji i przestrzega go, że Rosja nie pozwoli się poniżyć i ma dosyć siły, by godnie odpowiedzieć.

Anton Orech, komentator Radia Echo Moskwy, mówił, że Putin umiejętnie zagrał na „czułych strunach” dusz rodaków, na ich „kompleksie niższości połączonym z manią wielkości”

Wieczorem na placu Czerwonym w Moskwie tłumy Rosjan świętowały odzyskanie Krymu na specjalnie zorganizowanym koncercie. – Krym zawinął do macierzystego portu – mówił ze sceny Putin.

14.04.2014, poniedziałek

ODCINANIE DONBASU

Fala wystąpień rzekomych separatystów zalewa wschód Ukrainy. Uzbrojeni ludzie „spontanicznie” uaktywnili się na ważnych węzłach komunikacyjnych, próbując odciąć przygraniczny region od reszty kraju.

W sobotę i niedzielę grupy mężczyzn podających się to za członków rzekomej milicji ludowej, to za pospolite ruszenie Donbasu zajęły lub próbowały zająć komendy milicji, siedziby administracji rejonowych (powiatowych) w kolejnych miastach obwodu donieckiego.

Ich celami były: Kramatorsk, Gorłówka, Krasnyj Łyman, Drużkowska, Krasnoarmiejsk, Jenakijewe (rodzinne miasto zbiegłego z Ukrainy Wiktora Janukowycza), Artiomowsk i Słowiańsk.

To ostatnie 120-tysięczne miasto, do którego władze kijowskie próbują wprowadzić swoje wojska i oddziały specjalne, by wyprzeć stamtąd uzbrojonych separatystów, jest położone przy ważnym szlaku kolejowym i drodze łączących główne miasta przemysłowe Donbasu – Donieck i Ługańsk – z Kijowem i zachodem kraju.

W Siemionowce na obrzeżach Słowiańska znajduje się też stare lotnisko wojskowe, gdzie mogą lądować samoloty transportowe.

Separatystom po kilku nieudanych próbach udało się też zająć komendę milicji, siedzibę SBU i administracji lokalnej

w Kramatorsku, również węźle drogowo-kolejowym. I tam także jest lotnisko, na którym można wysadzić żołnierzy i pojazdy wojskowe.

Uzbrojeni ludzie być może znów pojawią się w Krasnoarmiejsku, gdzie nie udało im się w niedzielę zająć gmachu milicji. To miasto ma znaczenie strategiczne, bo tu krzyżują się szlaki kolejowe i szosa z Doniecka na zachód.

Gorłówka, Krasnyj Łyman, Drużkowska, Jenakijewe i Artiomowsk też są położone w miejscach strategicznych z punktu widzenia transportowego i wojskowego.

W niedzielę po południu uzbrojeni ludzie pojawili się także w nadmorskim Mariupolu, gdzie opanowali miejską komendę milicji.

Jeśli separatystom uda się opanować te miejscowości i utrzymać w nich wszystkich, to odetną drogowe, kolejowe i morskie szlaki łączące wschód Ukrainy, który ogłosił już Doniecką Republiką Ludową, z resztą kraju.

Będą też mieli w ręku wiele lotnisk oddalonych najwyżej pół godziny lotu od granicy, przy której Moskwa skoncentrowała około 40 tysięcy żołnierzy, a jej siły powietrzne, w tym lotnictwo transportowe, prowadzą ćwiczenia.

Członkowie „ludowej milicji” czy też „pospolitego ruszenia” w Słowiańsku i innych miastach Donbasu, których pokazują rosyjskie kanały telewizyjne, wyglądają bardzo profesjonalnie. Są ubrani w nowiutkie mundury rosyjskie. Mają najnowsze automaty, których raczej nie można „kupić w sklepie”.

Sprawiają wrażenie dobrze wyszkolonych i starannie dobranych. Korespondenci rosyjscy mówią, że to miejscowi weterani wojny w Afganistanie. Tamta wojna skończyła się w 1989 roku, jej weterani mają więc pod pięćdziesiątkę. A ci

w Słowiańsku wyglądają na ludzi o piętnaście-dwadzieścia lat młodszych. Mamy więc być może do czynienia z tymi samymi co na Krymie – jak się ich nazywa w Moskwie – „uprzejmymi zielonymi ludzikami”, czyli występującymi incognito żołnierzami rosyjskiego specnazu.

Państwowa telewizja Rossija 24 potknęła się, przekazując kilkakrotnie wczoraj przed południem relację z zajętego przez separatystów gmachu SBU w Ługańsku. Kiedy reporter prezentował swoich rozmówców jako cywilnych mieszkańców miasta, strażaków czy kierowców, ktoś zza kadru zwrócił się do jednego z nich mało cywilnie: „Towarzyszu kapitanie!”. Pod wieczór w tym materiale Rossii 24 tych demaskujących „cywilów” słów już nie było.

Arsen Awakow, minister spraw wewnętrznych Ukrainy, który dowodzi operacją przeciw separatystom w Słowiańsku, twierdzi, że „zielone ludziki” to podobnie jak na Krymie komandosi GRU, czyli wywiadu rosyjskiego sztabu generalnego. Według niego na ich przynależność wskazuje jednoznacznie to, że są ubrani w nowe mundury rosyjskie, a uzbrojeni w kałasznikowy z mechanizmem do wystrzeliwania granatów nasadkowych. Taką bronią według niego dysponują tylko siły zbrojne Rosji. To akurat nie jest prawda, bo rosyjskie automaty strzelające granatami ma choćby polska armia.

Jednak prawdą jest, że Rosja i ZSRR wiele razy używały pomocy anonimowych żołnierzy w mundurach bez znaków rozpoznawczych. Pierwszą próbę zajęcia Groznego w 1994 roku przeprowadziła kolumna czołgów prowadzonych przez umundurowanych ludzi „niczych”, do których Moskwa się potem nie przyznała.

24.05.2014, sobota

ROSJA OBIECUJE WSPÓŁPRACĘ

– Rosja zamierza współpracować z nowymi władzami Ukrainy, które wyłonią się w niedzielnych wyborach – zapowiedział Władimir Putin. Na wschodzie kraju siły wierne Kijowowi toczą walki z prorosyjskimi terrorystami.

W piątek prezydent oświadczył w Sankt Petersburgu: – Już dziś pracujemy z tymi ludźmi, którzy kontrolują władzę w Ukrainie, a po wyborach oczywiście będziemy pracować i z nowo wybranymi strukturami. Mam nadzieję, że kiedy głosowanie się skończy, zostaną też przerwane wszelkie działania zbrojne. Przecież rozumiemy i widzimy, że ludzie w Ukrainie chcą, by kraj wyszedł z tego przewlekłego kryzysu. My też chcemy, by w końcu nastąpiło uspokojenie sytuacji. Z szacunkiem odniesiemy się do wyboru ukraińskiego narodu.

Putin wyraził też nadzieję, że „bezpośrednie kontakty” między władzami w Kijowie a przedstawicielami wschodnich regionów przyniosą pozytywne rezultaty.

Gospodarz Kremla powtórzył jednak kolejny raz, że w oczach Moskwy przedterminowe wybory prezydenckie (główni rywale to Petro Poroszenko i Julia Tymoszenko) nie są zgodne z prawem, bo Wiktor Janukowycz, którego Rosja wciąż uważa za głowę państwa, nie został odsunięty od władzy zgodnie z obowiązującymi ustawami.

Rosyjski prezydent z właściwą sobie ironiczną manierą ocenił sankcje, które Zachód nakłada na jego kraj. Ich celem jest „zniszczenie ludzi z jego najbliższego otoczenia”. A do tego „wybrali dwóch Żydów i jednego Ukraińca”. Chodziło mu o kumpli z młodych lat, którzy za jego prezydentury stali się multimiliarderami, czyli braci Arkadija i Borisa Rotenbergów oraz Jurija Kowalczuka. Znamienne, że tego ostatniego nazwał *chachłom*, a tak Rosjanie – pogardliwie i szyderczo – określają Ukraińców. To mniej więcej tak, jak gdyby Polacy prezydenta Rosji nazwali „kacapem”.

Na deklarację Putina o chęci współpracy z nowym prezydentem pozytywnie zareagował szef ukraińskiego MSZ Andrij Deszczyca, mówiąc: – Jeśli to rzeczywiście nastąpi, z zadowoleniem przyjmiemy nie tylko oświadczenie Rosji, ale też jej konkretne działania oraz nawiązanie współpracy z prawomocnie wybranymi rządem i prezydentem.

Pozytywna okazała się też reakcja rosyjskiego rynku. Kurs rubla wzrósł w stosunku do dolara i euro.

Na wschodzie Ukrainy, w obwodach ługańskim i donieckim, które prorosyjscy separatyści ogłosili 12 maja niezależnymi „republikami ludowymi”, możliwość przeprowadzenia wyborów stoi pod znakiem zapytania. Grupy uzbrojonych ludzi zajęły tam już dwadzieścia z trzydziestu czterech okręgowych komisji wyborczych. Ich członków napastnicy przepędzili, a sprzęt rozkradli. Władze kijowskie są bezradne i nie reagują na te napady.

W Siewierodoniecku w obwodzie ługańskim umundurowani ludzie porwali Sierhija Samarskiego, członka tamtejszej rady miejskiej i szefa lokalnego sztabu wyborczego partii Batkiwszczyna.

Siły zbrojne lojalne wobec władz w Kijowie kolejny dzień toczyły krwawe walki z grupami uzbrojonych również w ciężki sprzęt terrorystów. W bitwie w pobliżu miasta Rubiżne w obwodzie ługańskim zginęło dwóch ukraińskich żołnierzy, a siedmiu zostało rannych. Jak informuje Władysław Selezniow, szef grupy informacyjnej sił antyterrorystycznych Ukrainy, w walkach zabito też dwudziestu terrorystów.

Gorsza jest sytuacja ochotniczego batalionu „Donbas”, który wpadł w zasadzkę zastawioną przez prorosyjskich separatystów w okolicy wsi Karłowka w obwodzie donieckim. Napastnicy ostrzelali go z wielkokalibrowego karabinu maszynowego na wozie pancernym. Połowa Ukraińców odniosła rany, jedna osoba zginęła, część batalionu wyrwała się z okrążenia.

Dowódcy nie umieli jednak pospieszyć na odsiecz reszcie, choć w odległym o 15 kilometrów Krasnoarmiejsku mają jednostkę wyposażoną w cztery wozy pancerne i – również całkiem niedaleko – lotniska, na których stacjonują frontowe bombowce.

26.06.2014, czwartek

PUTIN BEZ LICENCJI NA AGRESJĘ

Na prośbę Władimira Putina Rada Federacji cofnęła mu zgodę na wysłanie armii Rosji do Ukrainy. Ten symboliczny gest niewiele zmienia w sytuacji w Ukrainie, skąd rebelianci wciąż wzywają Moskwę do przystania wojsk.

Za odwołaniem formalnej zgody na zbrojną interwencję głosowało wczoraj 153 senatorów. Jeden był przeciw. Zaskoczona tym, że ktoś ośmielił się sprzeciwić życzeniu Putina, marszałek Walentina Matwijenko zapytała: – Czy to nie pomyłka?

Kiedy izba wyższa 1 marca dawała prezydentowi licencję na agresję „do momentu ustabilizowania sytuacji społeczno-politycznej w Ukrainie”, wszyscy parlamentarzyści byli za.

Wczoraj Wiktor Ozierow, szef senackiej komisji obrony, zapowiedział, że jeśli będzie trzeba, izba znów pozwoli prezydentowi wysłać armię za granicę, a jeden z senatorów, występując z trybuny, pogroził Ukraińcom: – Nasz pociąg pancerny stoi pod parą na bocznicę.

Rzeczywiście, jeśli Putin zechce, to podporządkowany mu senat da mu zgodę na wszystko.

Gospodarz Kremla może zresztą i dziś bez żadnego zezwolenia posłać armię do Ukrainy. Jeszcze w 2009 roku parlament dał mu prawo użycia wojsk za granicą bez proszenia kogokolwiek o zgodę, choćby „dla obrony obywateli Federacji Rosyjskiej”. I tego prawa do dziś nikt prezydentowi nie odebrał.

Żądanie cofnięcia i tak niepotrzebnej do niczego licencji na agresję Putin przedstawia jednak jako gest dobrej woli. Ma być reakcją na zawieszenie broni ogłoszone w piątek jednostronnie przez prezydenta Petra Poroszenkę, a trzy dni później także przez władze samozwańczych „republik ludowych” na wschodzie Ukrainy.

Tymczasem w rzeczywistości prorosyjscy separatyści walczący z armią ukraińską wcale ognia nie przerwali. Do oporu zachęcił ich sam prezydent Rosji, ostrzegając jeszcze we wtorek, że jeśli złożą broń, to „spłoną żywcem jak w Odessie”, gdzie w maju w pożarze Domu Związków Zawodowych zginęło około pięćdziesięciu prorosyjskich aktywistów.

We wtorek separatyści zestrzelili pod Słowiańskiem helikopter armii, zabijając dziewięciu żołnierzy. Jeszcze co najmniej dwóch Ukraińców zginęło w potyczkach w innych miejscach. Na wschodzie Ukrainy eksplodowało dziewięć ładunków podłożonych na liniach kolejowych, z wielu miejsc dochodziły sygnały o wymianie ognia.

Igor Girkin-Striełkow, oficer rosyjski, dowódca sił zbrojnych samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, pisze na Facebooku, że o „żadnym zawieszeniu broni mowy nie ma”, a jego ludzie wciąż „siedzą w okopach”. Pochwalił się też, że we wtorek „z Sankt Petersburga dotarła do nas duża dostawa niezbędnego nam wyposażenia”. Rebelianci, jak zapewnił, otrzymali z Rosji między innymi samolot bezzałogowy.

Takiego sprzętu w sklepach rosyjskich nie sprzedają, bez zgody pograniczników z kraju wywieźć go nie można.

Paweł Gubarow, samozwańczy „ludowy gubernator” Doniecka, wczoraj poprosił na Facebooku Putina, by jednak wprowadził rosyjską armię na wschód Ukrainy.

Nowy prezydent Petro Poroszenko (w przedterminowych wyborach 25 maja 2014 roku wygrał już w pierwszej turze z poparciem 54,7 procent, druga była Julia Tymoszenko z 12,8 procent), poruszony informacjami o ostrzale oddziałów ukraińskich przez ignorujących swe zobowiązanie do przerwania ognia separatystów, ostrzega, że zawieszenie broni może być w każdej chwili przzerwane i siły zbrojne przystąpią do zakrojonej na szeroką skalę ofensywy przeciw rebeliantom. Rozkazał też swoim oddziałom bez wahania odpowiadać ogniem na zbrojne prowokacje ze strony separatystów.

Przywódcy zachodni nie dali się nabrać na pusty gest Putina, który rzekomo wyrzekł się prawa do ataku na Ukrainę. Prezydent USA Barack Obama i premier Wielkiej Brytanii David Cameron w rozmowie przez telefon zgodzili się, że Rosja nie podejmuje „konkretnych kroków” prowadzących do zakończenia konfliktu, a przede wszystkim nie zamyka granicy przed dostawami broni i posiłków dla rebeliantów. Zapewnili, że są gotowi wprowadzić nowe sankcje przeciw Moskwie. Rozważeniem nowych sankcji zagroziła też wczoraj w Bundestagu Angela Merkel.

Kanclerz rozmawiała także telefonicznie z prezydentem Francji François Hollande'em i Putinem. Zachodni przywódcy naciskali, by Rosja zrobiła wszystko w celu zatrzymania rozlewu krwi.

Merkel zaproponowała, by mediatorem w konflikcie został znany ukraiński oligarcha Wiktor Medwedczuk. To człowiek bliski Putinowi, prezydent Rosji jest ojcem chrzestnym jego córki.

Poroszenko się na to zgodził. W skład grupy negocjacyjnej wchodzi jeszcze: były prezydent Ukrainy Leonid Kuczma, ambasador Rosji w Kijowie i przedstawicielka OBWE.

28.08.2014, czwartek

TAJNA WOJNA PUTINA JUŻ JAWNA

Starannie skrywana przez Kreml prawda o udziale jego armii w walkach we wschodniej Ukrainie coraz bardziej wychodzi na jaw. Rosjanie walczą za Donieck i giną. Wysyłając ich tam, władza łamie prawo.

Wczorajszy dziennik „Wiedomosti” pytał jeszcze: „Czy nasza armia wojuje we wschodniej Ukrainie, a jeśli tak, to na jakiej zasadzie?”. W artykule była mowa m.in. o zatrzymaniu 24 sierpnia przez Ukraińców dziesięciu wojskowych z 331. pułku 98. Świrskiej Gwardyjskiej Dywizji Powietrznodesantowej, którzy z bronią i ciężkim sprzętem znaleźli się na terytorium ukraińskim, w odległości około 20 kilometrów od granicy państwa.

Wczoraj tajemnica interwencji zbrojnej w sąsiednim kraju została złamana. Wydali ją przedstawiciele dowództwa 331. pułku, którzy spotkali się w Kostromie z krewnymi wziętych do niewoli podwładnych.

Według oficerów w niedzielę na terytorium Ukrainy doszło do „przypadkowego” – jak zapewniali – starcia rosyjskich komandosów z ukraińskim oddziałem. Dwóch Rosjan zginęło, dziesięciu zostało rannych, a dziesięciu Ukraińcy zatrzymali.

Wcześniej incydent próbowali zlekceważyć i przedstawiciele ministerstwa obrony, i sam Władimir Putin, który zapewniał, że żołnierze „zabłądzili” i na terytorium obcego państwa znaleźli się przypadkowo.

Swoich ludzi traci też w Ukrainie elitarna 76. Pskowska Dywizja Powietrznodesantowa. Reporterzy niezależnej „Nowej Gazety” odnaleźli na cmentarzu Wybuty świeże mogiły poległego 19 sierpnia trzydziestoletniego komandosa Leonida Kiczatkina i dwudziestojednoletniego żołnierza Aleksandra Osipowa, który zginął 20 sierpnia.

Na cmentarzu natknęli się na majora – jak się okazało, ojca Osipowa.

– Mieli szanse przeżyć? – zapytali oficera.

– Uczciwie? Żadnych. Z jednej strony ogień moździerzy, a z drugiej – grad...

– Długo tam byli?

– Tydzień.

– Wielu poległo?

– Jutro będziemy chować kolejnych.

Kiedy we wtorek na ten sam cmentarz przyjechał korespondent niezależnego kanału Dożd, by sfotografować groby, przegnała go grupa dobrze zbudowanych młodych ludzi. Napastnicy obrzucili reportera kamieniami i przebili opony w samochodzie.

Kiedy ten wrócił później na cmentarz, okazało się, że z mogił Kiczatkina i Osipowa zabrano wieńce i tabliczki z nazwiskami.

Rodziny kilkudziesięciu komandosów 76. dywizji od ponad tygodnia nie mogą się skontaktować z żołnierzami, którzy ponoć zostali wysłani na manewry w graniczącym z Ukrainą obwodzie donieckim. Wojskowi wcześniej porozumiewali się z bliskimi SMS-ami. Później niektórzy zdążyli jeszcze dać znać, że dowódcy odbierają im telefony komórkowe.

Dowódca rosyjskich wojsk powietrznodesantowych generał Władimir Szamanow, oskarżany przez obrońców praw człowieka o zbrodnie wojenne w Czeczenii, zapewnia, że w jego jednostkach

„wszyscy żywi, zdrowi”, a krewni nie mają powodów do niepokoju.

Walentyna Mielnikowa, szefowa zajmującego się obroną praw wojskowych Komitetu Matek Żołnierzy, w rozmowie z „Wyborczą” powiedziała, że do jej organizacji codziennie zgłaszają się krewni chłopców służących w różnych jednostkach w całym kraju z prośbą o pomoc.

– Mówią, że od tygodni nie mają żadnych wiadomości od swoich, których ponoć wysłano na manewry pod Rostów – opowiada Mielnikowa.

Jej zdaniem władze Rosji, wysyłając wojsko za granicę, łamią prawo. – Nie jesteśmy w stanie wojny z Ukrainą. Przerzuceni tam w tajemnicy nasi wojskowi zajmują się więc działaniami *de iure* dywersyjnymi, czyli wykonują zadania, które powierzyć można tylko wywiadowi wojskowemu, a nie regularnej armii – mówi szefowa Komitetu Matek Żołnierzy.

19.09.2014, piątek

PUTIN PRĘŻY MUSKUŁY

– Gdybym chciał, to rosyjskie oddziały byłyby w ciągu dwóch dni nie tylko w Kijowie, ale też w Rydze, Wilnie, Tallinnie, Warszawie lub Bukareszcie – miał powiedzieć Władimir Putin prezydentowi Petrowi Poroszenko.

Poroszenko opowiedział o telefonicznej rozmowie z Putinem szefowi Komisji Europejskiej José Manuelowi Barroso, który gościł w Kijowie w ostatni piątek. Z kolei relacja Barrosa dla bliskich współpracowników w Brukseli stała się wczoraj podstawą publikacji dziennika „Süddeutsche Zeitung”.

Barroso podczas szczytu UE 30 sierpnia opowiedział, że Putin w rozmowie przez telefon uparcie zaprzeczał zarzutom, że prowadzi zbrojną inwazję w Ukrainie.

Rosyjski prezydent miał dodać, że gdyby naprawdę miał takie intencje, to przecież zająłby Kijów w dwa tygodnie. Media zacytowały tę wypowiedź w wersji: „Putin grozi, że zajmie Kijów w pół miesiąca”. Kreml dementował i zagroził Barrosovi, że ujawni pełny zapis jego poufnej rozmowy telefonicznej z Putinem. Dopiero po deklaracji Brukseli, że opisywane słowa Putina są „wyrwane z kontekstu”, Moskwa odpuściła.

Ale do tematu „dwóch tygodni” miał wrócić, jak dowiaduje się „Wyborcza”, sam Poroszenko w niedawnym telefonie do Putina. Rosyjski przywódca znów powtórzył groźbę – i znów w nieco zawoalowany sposób.

Miał bowiem powiedzieć, że mógłby zająć Kijów „nie w dwa tygodnie, lecz w dwa dni”. I tyle samo czasu wystarczyłoby mu na zajęcie Warszawy, Bukaresztu, Wilna, Rygi i Tallinna. – Znowu sugeruje: mógłbym, ale nie chcę. Co miałoby dowodzić, że chce pokoju – mówi unijny dyplomata.

– Nie wiem, czy prezydent Władimir Putin coś takiego powiedział. Jeśli jednak powiedział, to takie groźby nie są objawem siły, lecz słabości. On zapewne zdaje sobie sprawę, że w dłuższej perspektywie przegrywa konflikt o Ukrainę – mówi Adam Daniel Rotfeld, były polski minister spraw zagranicznych.

Putin w rozmowach z innymi przywódcami bywa emocjonalny, a nawet zdarzają mu się wybuchy niekontrolowanej – wydawałoby się – złości. Ale trudno uwierzyć, by zdania o ataku na Kijów bądź Warszawę były niezamierzoną niezręcznością.

– W tym szaleństwie jest metoda. To przemyślna gra, by umocnić wizerunek przywódcy „oderwanego od rzeczywistości” [tak określiła go po jednej z rozmów kanclerz Angela Merkel]. Tworzenie przekazu, że jestem gotowy do działań nieracjonalnych, więc lepiej mi ustępujcie. Przede wszystkim w sprawie Ukrainy – tłumaczy Adam Eberhardt z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Na tę samą grę składają się, zdaniem Eberhardta, bardzo ostre wypowiedzi Kremla o krajach bałtyckich, uprowadzenie funkcjonariusza służby bezpieczeństwa Estonii z rosyjsko-estońskiej granicy czy nawet rozsiewanie pogłosek o wycinaniu lasów w obwodzie kaliningradzkim, by „zrobić drogę dla kolumn pancernych”.

– Uważam, że prezydent Rosji – jeśli relacja Poroszenki jest prawdą – zdaje sobie sprawę, że to tylko retoryka – mówi Paweł

Felgengauer, komentator „Nowej Gazety” – Armia rosyjska nie szykuje się do wielkiej operacji, bo nie dysponuje tym, co jest niezbędne do jej przeprowadzenia. Rosja, gdyby doszło do konfliktu w Europie, będzie bronić Kaliningradu. Może przeprowadzić lokalne operacje ofensywne. Może użyć w nich taktycznej broni jądrowej. Ale frontalna ofensywa jest wykluczona.

Inny rosyjski ekspert Wiktor Litowkin przekonuje, że „każda armia ma plany na każdą okoliczność” – Ale co innego papiery, w tym przypadku stare, bo jeszcze z czasów ZSRR, a co innego zamiary. Rosja nie ma zamiaru iść na Warszawę czy Tallinn, bo to byłoby koszmarnym bezsenssem – mówi Litowkin.

NATO w 2013 roku przeprowadziło manewry „Steadfast Jazz”, w których ćwiczyło m.in. odparcie ataku na Estonię ze strony kraju o fikcyjnej nazwie Bothnia. Ale zdecydowano o nich dopiero w reakcji na rosyjskie ćwiczenia z 2009 roku, które obejmowały nawet symulowany na papierze prewencyjny atak nuklearny na Warszawę.

Putin miał też uprzedzić Poroszenkę, że potrafi zablokować w UE niekorzystne dla siebie decyzje. Z relacji Barrosa wynika, że odroczone wdrożenie handlowej części umowy UE – Ukraina (do stycznia 2016 roku) to element porozumienia między Kijowem a Moskwą.

Putin zarzucił wczoraj Zachodowi, że sankcje przeciw Rosji łamią pryncypia Światowej Organizacji Handlu (WTO). Z kolej Federica Mogherini, która w listopadzie zastąpi Catherine Ashton na czele unijnej dyplomacji, ponaglała Moskwę, by natychmiast wycofała swych żołnierzy ze wschodniej Ukrainy.

27.10.2014, poniedziałek

IMPERIUM DOBRA

Władimir Putin wygłosił w Soczi najbardziej antyamerykańską mowę w swej karierze. I zapewnił, że jego kraj nie ma agresywnych planów wobec sąsiadów.

Prezydent uprzedził swych gości zaproszonych jak co roku na posiedzenie tzw. Klubu Wałdajskiego, że to, co usłyszą, zabrzmi pewnie „zbyt brutalnie”. Ale znani na świecie politycy, politolodzy, publicyści, jak potem przyznawali, i po tym uprzedzeniu nie spodziewali się, że usłyszą coś, przy czym zblednie nawet „przemowa monachijska” z 2007 roku.

W piątek na Klubie Wałdajskim Putin dowodził, że Ameryka, uważając się za „jedyne centrum siły” na świecie, zniszczyła globalny system bezpieczeństwa oparty na „szacunku” kluczowych partnerów. Według prezydenta Rosji Waszyngton odpowiada za rozpalanie konfliktów wojennych, plagi terroryzmu i narkomanii – słowem sianie chaosu na całej ziemi.

A spowodowane jest to tym, że Amerykanie są zadufani w sobie. Uważając się za naród jedyny w swoim rodzaju, nie są w stanie zrozumieć, jakie będą skutki ich poczynań. Stany Zjednoczone zdaniem prezydenta Rosji najpierw „umizgują się do terrorystów i radykałów”, a potem wplątują się w konflikty wojenne z nimi.

– Niekiedy powstaje wrażenie, że nasi koledzy i przyjaciele stale walczą z rezultatami własnej polityki. Rzucają swój

potencjał na likwidowanie ryzyka, które sami stwarzają, płacąc za to coraz wyższą cenę – przekonywał Putin. Dodał, że Waszyngton „szantażuje” przywódców państw sojuszników, choćby podsłuchując ich rozmowy, zmusza ich do lojalności i działania sprzecznego z interesami ich krajów.

Natomiast postępowanie swego państwa prezydent przedstawił gościom Klubu Wałdajskiego w zupełnie innym świetle. – Rosja nie próbuje odrodzić jakiegoś swojego imperium, nie czyha na suwerenność sąsiadów. Rosja nie żąda przyznania jej jakiejś wyjątkowej roli w świecie – chcę to podkreślić. Szanując interesy innych, chcemy po prostu, by szanowano i nasze interesy – zapewniał Putin.

Według niego priorytety Moskwy są jasne i zrozumiałe dla wszystkich – to „dalsze udoskonalanie instytucji demokratycznych i otwartej gospodarki”. – Nasz program integracji z sąsiadami jest pokojowy. On jest nastawiony na rozwijanie związków między państwami, a nie na skłócanie ich między sobą – stwierdził.

To bardzo dziwne, ale wydaje się, że prezydent Rosji jakby sam wierzył w to, co mówią propagandziści z kremlowskich telewizji. I dodatkowo wierzył w to, że punkt widzenia publicystów z kanału Rossija 1 gotowi są przyjąć także jego goście – wybitni zachodni eksperci i politycy.

Spora część z nich pewnie i byłaby skłonna zgodzić się z tym, że Waszyngton, jak to mówią Rosjanie, „nałamał drzew”, czyli narobił głupstw. Ale do przyjęcia za swój poglądu, że Rosja jest dziś imperium dobra, gotowi są nieliczni.

Goście dorocznego, jedenastego już, posiedzenia Klubu Wałdajskiego chcieliby też usłyszeć od Putina, co myśli o innych sprawach. Choćby o takich jak przykręcanie śruby rosyjskim

„instytucjom demokratycznym i o otwartej gospodarce”. Albo o ciągłej obecności żołnierzy rosyjskich na wschodzie Ukrainy. Na pytanie na ten właśnie temat, zadane przez publicystę „Financial Times”, prezydent Rosji po prostu nie odpowiedział.

5.12.2014, piątek

ROSYJSKI KOŁOS NA GLINIANYCH NOGACH

Słuchając dorocznego wystąpienia Władimira Putina, trudno było nie odnieść wrażenia, że pomimo mocarstwowej retoryki prezydent Rosji przede wszystkim pokazał słabości swego państwa.

Twardo bronił polityki zagranicznej i zapowiedział, że Rosja nie cofnie się ani o krok w sprawie Krymu czy Ukrainy. Ale to kosztuje. Z Rosji odpływa kapitał – szacuje się, że tylko w tym roku będzie to blisko 100 miliardów dolarów – a z powodu nałożonych przez Zachód sankcji wiele głównych banków i koncernów nie może skorzystać z zagranicznych pożyczek. Stąd zapowiedź nie tylko dokapitalizowania rosyjskich banków państwowymi pieniędzmi, ale również totalnej abolicji kapitałowej w postaci oferty „przywieź do ojczyzny pieniądze z zagranicy, a my nic ci nie zrobimy”.

Paradoksem jest bowiem to, że największym inwestorem w Rosji są firmy zarejestrowane na Cyprze, dokąd w latach dziewięćdziesiątych XX wieku – ale też później – kontenerami wywozili pieniądze ci, którzy obłowili się na bandyckiej prywatyzacji rosyjskiej gospodarki.

Paradoksem jest też to, że giganci tacy jak koncern naftowy Rosneft popadli w tarapaty i chcą dofinansowania z funduszu

dobrobytu narodowego, na którym zgromadzono część pieniędzy ze sprzedaży ropy i gazu. Rosneft chciałby aż 1,5-2 biliony rubli (czyli ponad 40 miliardów dolarów!), choć cały fundusz to dziś 3,2 biliona rubli. To pokłosie tego, że zamiast inwestować w rozwój państwa i państwowych gigantów w czasach hossy naftowo-gazowej, rządzący Rosją klan Putina rozkradł lub przejadł górę petro- i gazodolarów.

Teraz rosyjskim biznesmenom władze mają stworzyć warunki, dzięki którym zagwarantują oni krajowi samowystarczalność i w pełni uniezależnią go od importu. Pomóc mają im: zmniejszenie liczby kontroli, wakacje podatkowe i zapewnienie, że w najbliższych latach nie będą wprowadzane nowe podatki. Dzięki temu zgodnie z obietnicami Putina rozkwitnie przede wszystkim mały i średni biznes.

To, co zapowiada prezydent, jest ważne, ale nie najważniejsze. Bo przedsiębiorczość w Rosji dławi i spycha do podziemia przede wszystkim dyspozycyjność sądów oraz sobiepaństwo zachłannych funkcjonariuszy państwowych. Ich jednak prezydent okiełznać nie zamierza, bo to przecież jego ludzie i na nich opiera się jego władza.

Mimowolnie podczas wystąpienia Putin wskazywał inne słabości swego państwa. Mówił o zbyt małej liczbie szkół, przez co dzieci uczyć się muszą na dwie albo i trzy zmiany. A to przecież – jak podkreślał prezydent – przyszłość narodu.

Nie pominął tematu upadających monomiast – miast powstałych w czasach ZSRR przy budowanych w tajdze, tundrze czy na syberyjskich bagnach gigantach przemysłowych. Zależne są od jednej fabryki – jak ona padnie, miasto umiera. Wiele z nich jest strasznie zaniedbanych, a młodzi ludzie chcą się z nich jak najszybciej wyrwać. Do tego dochodzą problemy społeczne, takie

jak alkoholizm, czy średnia długość życia niższa o kilka lat niż w państwach zachodnich, wreszcie – gigantyczna korupcja. O niej akurat Putin nie pisał ani słowa.

Przyznał też, że spadająca na łeb na szyję rosyjska waluta – również skutek sankcji – to kolejny wielki problem. Rosja importuje bowiem oficjalnie ponad 30 procent, a nieoficjalnie pewnie połowę potrzebnej żywności, a jej ceny poszły gwałtownie w górę. Butów i odzieży natomiast sprowadza aż 80-90 procent tego, co trafia na rynek.

Dlatego Putin zażądał od Centralnego Banku Rosji – używając słowa „proszę” – interwencji w obronie rubla. I dodał, że spadek jego wartości to wina spekulantów, a przecież „wy dobrze wiecie, co to za spekulanci”.

Po mowie Putina sytuacja rubla się pogorszyła, a ropa staniała. Bo „spekulanci” to nie – jak sugerował prezydent – zły Zachód dręczący „matkę Rosję”.

29.12.2014, poniedziałek

KREML MA PRAWO

W piątek Władimir Putin podpisał dokument zawierający nową doktrynę wojenną Rosji. Komentatorzy i politycy w Moskwie uważają ją za „obronną”. I z tamtejszego punktu widzenia mają rację. Zachód wymowę dokumentu ocenia jako agresywną. I zgodnie z przyjętym przez siebie systemem wartości też ma rację.

Najwięcej zamieszania, choć zupełnie niesłusznie, wywołała w świecie rzekoma zmiana podejścia Rosjan do NATO. W nowej doktrynie Sojusz został umieszczony na pierwszym miejscu wśród „wojennych zagrożeń” czyhających dziś na Federację Rosyjską.

Wbrew pozorom zmiana w stosunku do poprzedniej, jak to nazywają w Moskwie, „konstytucji wojennej” z 2010 roku nie jest jednak aż tak wielka. Polega przede wszystkim na tym, że tym razem NATO zostało wymienione z nazwy. Cztery lata temu Rosjanie w bardziej zawołowany sposób mówili o obawach związanych z „rozszerzaniem granic innych sojuszy wojskowych i ich infrastruktury”.

W nowej doktrynie Rosji bardziej niepokojące jest wskazanie na rzekome zagrożenia ze strony najbliższych sąsiadów. Moskwa jest zdania, że ma powody do obaw w przypadku ustanowienia w państwach ościennych reżimów, „których polityka zagraża interesom Federacji Rosyjskiej”. Reżimy te mogą dojść do władzy

„m.in. w rezultacie obalenia prawowitych organów władzy państwowej”.

Ta teza będąca, co oczywiste, skutkiem wydarzeń w Ukrainie nie może nie budzić trwogi. Bo Moskwa wprost przyznaje sobie prawo do militarnego reagowania w sytuacji, gdy sąsiadujące z nią suwerenne państwa postępują wbrew jej woli.

Na tym jednak nie koniec. Do zagrożeń, na które zdaniem Moskwy można odpowiedzieć militarnie, należy też „pojawienie się” u sąsiadów „napięć religijnych”, „uzbrojonych radykalnych ugrupowań”, „prywatnych formacji wojskowych”.

Kreml przyznaje więc sobie bardzo szerokie uprawnienia do interwencji zbrojnej u sąsiadów, jeśli sytuacja u nich w sposób spontaniczny czy też w efekcie niezbyt trudnej do zmontowania prowokacji rozwinie się niezgodnie z jego interesami.

W nowej doktrynie wiele uwagi poświęcono też zagrożeniom militarnym „na froncie wewnętrznym”. Jeśli sądzić na podstawie kolejności ich uszeregowania, najważniejszy nie jest już terroryzm, lecz „działania zmierzające do zmiany ustroju”, „destabilizacji sytuacji społecznej”, „dezorganizacji pracy infrastruktury informacyjnej”.

Zagrożeniem jest też „działalność wywierająca wpływ informacyjny” – przede wszystkim na młodzież – „w celu podważenia historycznych, duchowych i patriotycznych tradycji w dziedzinie obrony Ojczyzny”.

Z tego wszystkiego wyziera strach przed perspektywą, która wywołuje na Kremlu drżenie – że społeczeństwo wyrwie się spod kontroli politycznej i wybuchnie kolorowa rewolucja. Właśnie przed tą groźbą państwo musi się bronić wszelkimi sposobami.

Władcy Moskwy są bowiem przekonani, że i u siebie, i w Ukrainie prowadzą działania obronne, walcząc o być albo nie

być tego, co nazywają „ruskim światem” czy „cywilizacją rosyjską”. A jest ona zagrożona nie dlatego, że Ukraińcy czy Rosjanie sami z siebie ją odrzucają, lecz wyłącznie dlatego, że podburzają ich do tego obcy.

Ludzie rządzący dziś Rosją nie uznają prawa Ukraińców, Białorusinów czy swoich obywateli do samodzielnego stanowienia o losie swych państw, odmawiają im zdolności decydowania. Czy to na kijowskim Majdanie, czy na moskiewskim placu Błotnym widzą to samo: tłum otumaniony i podżegany przez wroga.

Dlatego interwencja w Ukrainie, a może i u innych sąsiadów, jest dla Kremla obroną, a nie atakiem. I o tym właśnie przede wszystkim mówi nowa doktryna wojenna Federacji Rosyjskiej.

27.01.2015, wtorek

ARMIE NIEGDYŚ BRATNIE

Prawdopodobieństwo wybuchu otwartej wojny Rosji z Ukrainą rośnie. Jednak jeśli do niej dojdzie, to nie będzie to dziś dla Rosjan łatwy marsz na zachód, którym we wrześniu straszył nas Władimir Putin.

O tym, jaką drogę przeszły po rozpadzie ZSRR siły zbrojne Rosji i Ukrainy i jak doszły do dzisiejszego stanu, opowiada zbiorowa praca *Bracia w broni. Militarne aspekty kryzysu w Ukrainie* („Brothers Armed. Military Aspects of the Crisis in Ukraine”, East View Press, Minneapolis 2014), oparta na szczegółowych analizach, wydana tylko w USA, choć przygotowana przez ekspertów znanego moskiewskiego Ośrodka Analiz Strategii i Technologii.

Słowo „bracia”, chociaż dziś pewnie razi, nadużyciem nie jest. Gdy rozpadł się ZSRR, i Federacja Rosyjska, i Ukraina dostały w spadku po kawałku tej samej armii radzieckiej. Moskwie przypadł oczywiście ogromny, ale i Kijowowi niemały. To, co zostało na terytorium Ukrainy, było pod względem liczebności czwartą armią świata, a tamtejsze arsenały jądrowe ustępowały tylko rosyjskim i amerykańskim.

Przy czym były to jednostki wyposażone wcale nie gorzej, a nawet lepiej od przeciętnych rosyjskich. Radziecki sztab generalny lokował w Ukrainie wojska drugiego rzutu, które powinny były wejść do akcji wówczas, gdy dywizje

„pierwszorzutowe” stacjonujące na zachodnich obrzeżach Układu Warszawskiego startyby się z przeciwnikiem. Ci z drugiego szeregu musieli więc dysponować najnowszym, niezawodnym sprzętem.

Ładunki jądrowe Ukraińcy oddali Rosjanom za gwarancje integralności terytorialnej swego kraju udzielone Kijowowi przez Moskwę, Waszyngton, Londyn, Paryż i Chiny. Te obietnice, jak się okazało w ubiegłym roku, były bez pokrycia.

Poza tym jednak los obu armii, które odszczepiły się od tego samego radzieckiego pnia, był bardzo podobny. Kurczyły się, biedniały i nie były w stanie oderwać się od tej samej, zupełnie już anachronicznej tradycji.

Siły zbrojne ZSRR, które w koszarach stale utrzymywały około 5 milionów ludzi, zgromadziły w bazach i konserwowały ogromne ilości broni i sprzętu dla kolejnych milionów rezerwistów, którzy w czasie wojny mieliby być powołani. I ta zasada utrzymywania potencjalnie ogromnych armii osiągających pełną zdolność bojową po masowej mobilizacji przeżyła imperium radzieckie.

To był fantom, złudzenie. Obie wojny czeczeńskie dowiodły, że mobilizacji ze względów politycznych przeprowadzić się nie uda. Tymczasem dywizje rosyjskie – poza desantowymi i nielicznymi siłami specjalnego przeznaczenia – w rzeczywistości zmieniły się w przechowalnie czołgów czy wozów pancernych, których w przypadku wojny w rzeczywistości nie byłoby kim obsadzić. Kiedy dowództwo rosyjskie musiało wysłać wojsko na Kaukaz Północny, z jednej, a czasem i kilku takich dywizji udawało się zlepić co najwyżej niezbyt gotowy do akcji batalion.

Jednak konserwatywni wojskowi oraz politycy i w Rosji, i w Ukrainie nie chcieli odejść od przestarzałego modelu armii

mobilizacyjnej. I tylko markowali reformy.

Przy tym o konieczności zmian śmielej myśleli – jak piszą autorzy *Braci w broni* – Ukraińcy, którzy jeszcze przy prezydencie Leonidzie Kuczynie planowali wstąpienie do NATO. Rozumiejąc, że muszą się dopasować do standardów Paktu Północnoatlantyckiego, szykowali się do rezygnacji z poboru (ostatecznie zrezygnowali zeń, z konieczności, jedynie na krótko w ubiegłym roku) i stawiali na organizowanie kompletnych, stale gotowych jednostek, które nabierały doświadczenia, uczestnicząc w operacjach międzynarodowych w Iraku i, na mniejszą skalę, w Afganistanie.

Sytuacja odwróciła się po wojnie rosyjsko-gruzińskiej w 2008 roku, która, choć zwycięska dla Rosji, obnażyła słabość jej armii. Po niej Moskwa stanowczo wzięła się do reformowania sił zbrojnych, zmieniała ich strukturę, odchodząc od fikcyjnych dywizji-przechowalni sprzętu do znajdujących się w stałej gotowości do mniejszych akcji, samodzielnie działających brygad.

Obok reform, które szczegółowo opisują autorzy *Braci w broni*, państwo przygotowało i realizuje szeroko zakrojony, a przy tym kosztowny program przebrojenia armii. Zgodnie z nim Rosja w latach 2010-2020 ma wydać 23 biliony rubli (początkowo było to 760 miliardów, dziś, kiedy rubel traci na wartości – około 353 miliardów dolarów). Po wojnie z Gruzją wynagrodzenie służących w wojsku wzrosło 2,5-3 razy.

A w Ukrainie po wojnie w Gruzji nadzieje na szybkie wstąpienie do NATO stopniały, a za tym ulotnił się też zapal do reformowania sił zbrojnych. Katastrofalnie niedofinansowana również pod „pomarańczowymi” rządami armia nadal się rozkładała. W marcowej konfrontacji na Krymie nie miała czego

przeciwstawić doborowym rosyjskim jednostkom specjalnym, w których morale żołnierzy okazało się niezwykle wysokie.

Reformować, wyposażać siły zbrojne i szkolić żołnierzy przyszło więc Ukraińcom nie – jak Rosjanom – po wojnie, lecz pod ogniem, już w trakcie konfrontacji z siłami samozwańczych republik Donieckiej i Ługańskiej na wschodzie kraju i rosyjskim wojskiem. Rzecz trudna i – mogłoby się wydawać – beznadziejna.

Tymczasem nie. Jak pisze Wiaczesław Cełujko w rozdziale *Armia Ukrainy w nowej rzeczywistości*, siły zbrojne tego kraju stają się coraz groźniejsze dla przeciwnika, który próbowałby frontalnie wtargnąć na terytorium ukraińskie.

Dowódcy stawiają na fortyfikowanie wielkich miast, które Rosjanie musieliby zdobywać kosztem wielu ofiar w ciężkich bitwach ulicznych. Nieudana próba szturm Mariupola, gdzie rosyjskie czołgi nie były w stanie ugryźć bunkrów zbudowanych na przedpolach, dowodzi, że taka taktyka może być skuteczna.

Większa część obszarów między miastami leży w zasięgu ciężkiej artylerii i baterii pocisków raketowych dyslokowanych w „twierdzach”. Poruszające się po tym terytorium kolumny rosyjskie mogłyby w każdej chwili znaleźć się pod ogniem.

– Dowódcy rosyjscy zdają sobie sprawę z tego, że prawdziwa wojna z Ukrainą byłaby teraz trudna i bardzo krwawa. Zająć Kijów, a za jednym zamachem także Warszawę w dwa tygodnie, jak mówił Putin, się nie uda. I pewnie dlatego Moskwa nie decyduje się na frontalny atak na Ukrainę. A im silniejsze i lepiej wyposażone będą ukraińskie siły zbrojne, tym większa będzie nadzieja na to, że uda się uniknąć wojny – mówi w rozmowie z „Wyborczą” Cełujko.

17.02.2015, wtorek

NIE CHCĄ GINAĆ W UKRAINIE

Rosyjscy żołnierze z jednostki w Murmańsku nie dali się zwabić na wojnę w Ukrainie i nagrali potajemnie oficera, który przekonywał ich, że powinni walczyć w Donbasie. A Kreml uparcie twierdzi, że żadnych wojsk nie wysyła.

Do konfliktu doszło w 536. Specjalnej Rakietowo-Artyleryjskiej Brygadzie Obrony Przybrzeżnej. Jej dowódcy 28 stycznia kazali się pakować sześćdziesięciu ośmiu żołnierzom nadterminowym. Wojskowi mieli jechać najpierw na obóz treningowy, by – jak zapewniali oficerowie – zdobyć nowe specjalności, potem – „na ćwiczenia w obwodzie donieckim” przy granicy z Ukrainą.

Tymczasem w garnizonie po cichu mówiło się, że żadne tam ćwiczenia, żaden rosyjski obwód, tylko prawdziwa wojna po stronie separatystów w Donbasie. Żołnierze pytali, dlaczego mają jechać, jeśli Moskwa nie wypowiedziała wojny Kijowowi, zaś parlament rok temu dał prezydentowi prawo wysłania wojska za granicę, ale potem to prawo cofnął.

Oficerowie odpowiadali: „Trzeba kochać ojczyznę, tam giną Rosjanie, a wy powinniście ich bronić”

Część z tych, którzy mieli teraz jechać, latem była już w „delegacji”, jak w armii Rosji nazywa się rozkaz wyjazdu tam, gdzie strzelają na serio.

Jeden z nich opowiada: „Dali nam rozkaz wyjścia w otwarte pola. Wzięliśmy ze sobą po cztery magazynki, granaty. Jedziemy,

widzimy ślady wymiany ognia, rozbite kamazy. Wychodzimy, by kogoś poprosić o papierosy. Pytamy, gdzie jesteśmy. I słyszymy, że za zakrętem drogi jest już Ługańsk, strzelają grady, deszcz ołowiu. Byliśmy w szoku, nikt nas nie uprzedził, że mamy przekroczyć granicę”

Ośmiu żołnierzy z Murmańska odmówiło wypełnienia rozkazu. Inni się wahali. Zapowiedzieli, że nie pojedą „na ćwiczenia pod Rostowem”, dopóki nie dostaną gwarancji, że nie zostaną podstępem przetrzuceni na linię frontu za granicą Rosji. Ich zdaniem dopóki Moskwa nie wypowiedziała wojny sąsiedniemu krajowi, oni nie mają praw przyznawanych kombatantom, a rosyjskie siły zbrojne nie mają prawa znajdować się na terytorium Ukrainy.

Z wojskowymi wysyłanymi „w delegację” 31 stycznia spotkał się zastępca dowódcy do spraw politycznych podpułkownik Wiaczesław Okaniew. Żołnierze potajemnie nagrali rozmowę z nim, a potem nagranie przekazali Siergiejowi Kriwience, członkowi prezydenckiej Rady Praw Człowieka kierującemu organizacją Obywatel-Armia-Prawo, a ten je upublicznił.

Okaniew nie przyznawał wprost, że żołnierze są kierowani na terytorium obcego państwa w celu uczestnictwa w działaniach bojowych, w których Rosja, jak oficjalnie zapewnia choćby Władimir Putin, żadnego udziału nie bierze. Przekonywał jednak, że ich obowiązkiem jest walczyć w Donbasie.

„Nie wykluczam, że możliwy jest wariant przejścia na terytorium obwodów donieckiego i ługańskiego w celu okazania tam bezpośredniej pomocy” – przyznawał podpułkownik i tłumaczył żołnierzom: „Tak, nikt wojny nie wypowiadał. Ale pomagać musimy, bo to nasz ludzki, moralny, wojskowy obowiązek. Rozwój sytuacji może doprowadzić

do tego, że oni, wrogowie, przejdą do Stawropola, Rostowa, Briańska i tak dalej, jeśli wy tam nie pojedziecie. Jeśli nie obronicie naszych tam, to nie dacie rady obronić ich i tu”

Dowódcy rosyjskich sił zbrojnych uparcie twierdzą, że żołnierze z Rosji nie są wysyłani do Ukrainy. Nikołaj Pankow, sekretarz stanu w ministerstwie obrony, zapewnia: „Do Ukrainy nikogo nie wysyłaliśmy, nie wysyłamy i wysyłać nie będziemy”

Podpułkownik Okaniew jednak potwierdza, że zapis jego rozmowy z żołnierzami jest prawdziwy.

Żony żołnierzy z Murmańska, którzy nie chcą jechać do Ukrainy, twierdzą, że ich mężowie zostali „zamknięci w koszarach”, a oficerowie zmuszają ich, by albo wypełnili rozkaz, albo pisali prośby o zwolnienie z armii, przez co tracą prawo do wcześniejszej emerytury i przyspieszonego przydziału mieszkania.

Kriwienko w rozmowie z „Wyborczą” przypomina natomiast, że przeciw „delegacjom” do Ukrainy występują też wojskowi z innych regionów Rosji, choćby z Kaukazu Północnego czy obwodów nad Wołgą.

Obrońca praw człowieka zwraca uwagę także na to, że za śmierć żołnierzy rosyjskich w Ukrainie nikt nie odpowiada.

– W dokumentach przysyłanych rodzinie razem z ciałem każdego poległego – a w Donbasie zginęło już od 300 do 700 naszych czynnych wojskowych – zapisane jest, że zginął, „wypełniając obowiązki wojskowego”. Nikt jednak w sprawie ich śmierci nie prowadzi dochodzenia, nie szuka winnych. A jeśli żołnierz ginie w czasie pokoju, śledztwo trzeba prowadzić obowiązkowo i winni muszą być wskazani. Nie postępuje się tak tylko wtedy, kiedy kraj prowadzi wojnę. Widać więc, że Rosja ją

prowadzi. A wojna, jak u nas mówią, wszystko usprawiedliwia –
powiedział Kriwienko „Wyborczej”

28.02.2015, sobota

NIEMCOW ZASTRZELONY

W piątek tuż przed północą w centrum Moskwy w pobliżu Kremla został zastrzelony Borys Niemcow, jeden z najbardziej znanych krytyków Putina i przywódców demokratycznej opozycji rosyjskiej oraz człowiek, który konsekwentnie publikował raporty o tym, jak ludzie rządzący Rosją rozkradają kraj.

Kiedy polityk wracał piechotą do domu przez Wielki Most Moskwocki, z podjeżdżającego z tyłu samochodu padły strzały (później okazało się, że zabójca do ofiary podszedł pieszo, a uciekł z miejsca zbrodni samochodem). Według Władimira Markowa, rzecznika Komitetu Śledczego Rosji, w plecy Niemcowa trafiło siedem kul. Ilja Jaszyn, towarzysz byłego wicepremiera, który był na miejscu, mówi o czterech kulach.

Zbrodnie na moście prowadzącym na sławny plac Błotny, miejsce potężnych antyputinowskich demonstracji sprzed trzech lat, wstrząśnie Rosją. Takiego zabójstwa politycznego w tym kraju nie było od czasu upadku ZSRR.

Niemcow był jednym z organizatorów „Wiosny”, zapowiadanego na niedzielę antyputinowskiego marszu w Moskwie. Opozycjoniści mieli się zgromadzić, by protestować przeciw interwencji militarnej Rosji w Ukrainie i polityce Władimira Putina pogłębiającej nękający kraj kryzys.

W bliskich Kremlowi kręgach zwanych tu „patriotycznymi” akcję opozycji potępia się jako przygotowania do „Majdanu

na placu Czerwonym”, próbę siania zamętu w kraju, co ma doprowadzić do katastrofy Rosji.

Nie dalej jak w sobotę przez centrum stolicy przeszedł wielotysięczny marsz organizacji Antymajdan, który miał być dla opozycji ostrzeżeniem. Jeden z jego organizatorów Aleksandr Zołdostanow powtarza, że zapędy przeciwników Putina można ochłodzić, tylko grożąc im śmiercią.

Przeciw opozycjonistom, których Putin nazywa nacjonal-zdrajcami lub piątą kolumną, toczy się w Rosji wściekła kampania propagandowa. Szczujące na nich naród media kremłowskie oskarżają przeciwników władzy o zdradę i plany utopienia kraju w krwawej rewolucji.

Osobistej niechęci do Niemcowa nie ukrywa sam Putin. Wyprowadzony z równowagi wypowiedzią byłego wicepremiera powiedział kiedyś, że Niemcow powinien „przestać się pętać po scenie politycznej”. Kto chce się przysłużyć Kremlowi, dobrze pamięta te słowa.

Nienawiść Putina do Niemcowa ma swoje dawne korzenie. Pod koniec lat dziewięćdziesiątych to ówczesny wicepremier, faworyt Jelcyna, a nie dzisiejszy gospodarz Kremla był długo najpoważniejszym kandydatem na prezydenta Rosji.

W lipcu 2017 roku pięciu oskarżonych o bezpośredni udział w zabójstwie Borysa Niemcowa zostało skazanych na kary od jedenastu do dwudziestu lat łągu. Motywów ich działania – wszyscy są Czeczenami, jeden z nich służył w elitarniej jednostce MSW – nie wyjaśniono. Ich zlecniodawcy – tak samo jak w przypadku zamordowania Anny Politkowskiej – nie odnaleziono.

18.03.2015, środa

WEJŚCIE W STYLU STALINA

Władimir Putin wrócił, i to w jakim stylu! Po dziesięciu dniach nieobecności, która spowodowała, że świat już widział w Moskwie to przewrót, to zapowiedź pogrzebu państwowego pierwszej klasy, wejście miał rzeczywiście mocne. A to dopiero początek.

Żywego i chyba nawet zdrowego po niezwykle długiej, jak na tutejsze realia, absencji ujrzeliśmy go w poniedziałek na spotkaniu z prezydentem Kirgistanu Ałmazbekiem Atambajewem. Sam gospodarz Kremla plotki o stanie swego zdrowia skwitował ironicznie: „nudno by bez nich było”. A jego gość dodał to, czym w Rosji lubią odpowiadać na pytanie o samopoczucie: „Niedoczekanie wasze!”

Prezydenckie *entré* poprzedził bardzo mocny prolog. Kremlowska Rossija 1 w niedzielę wieczorem pokazała gospodarza Kremla w dwugodzinnym filmie dokumentalno-fabularnym (z przewagą fabuły) nakręconym na cześć rocznicy aneksji Krymu. Obraz okazał się hitem absolutnym. Mimo późnej pory emisji przykuł do telewizorów 41 procent moskwian – powracającego do życia publicznego przywódcę zechciało widzieć więcej rodaków, niż oglądało otwarcie zimowej olimpiady w Soczi!

Putin mówił w filmie bardziej otwarcie niż wcześniej. Półwysep Ukraincom odbierały nie żadne tam „uprzejme zielone

ludziki”, które, jak kłamał, przed rokiem wyposażyły się i umundurowały w sklepie z militariami. Tam działał doborowy, przysłany na teren obcego państwa rosyjski specnaz uzbrojony w najnowocześniejszy sprzęt do zabijania, zestrzeliwania, zatapiania, a całą operacją ręcznie i zręcznie kierował sam głównodowodzący.

Prezydent z ekranu pokazał narodowi, że już ma w nosie „naszych przyjaciół i partnerów” z Zachodu i może im na tym nosie zagrać. Mówi im więc prosto w oczy, jak ich przed rokiem wykiwał, oszukał.

Przed czymś takim warto było zrobić długą teatralną pauzę, a przy okazji podleczyć zdrowie, poprawić fizjonomię.

Bo teraz, i to przez dwa miesiące, będziemy mieć feeryczny show z nim w roli głównej. Spektakl już zresztą trwa.

W poniedziałek Flota Północna rozpoczęła w Arktyce wielkie pięciodniowe manewry. 40 tysięcy żołnierzy, 41 okrętów nawodnych i 15 podwodnych „atakuje” cele na Dalekiej Północy, „szturmuje” arktyczne wyspy.

Ćwiczą też jednostki dyslokowane na południu i zachodzie. Na Krym lecą bombowce strategiczne Tu-22M3. Do Kaliningradu płyną okrętami desantowymi baterie rakiet balistycznych Iskander.

Dziś Rosja ma zawrzeć z Osetią Południową, prowincją siłą oderwaną od Gruzji, traktat o przyjaźni i integracji. To wstęp do włączenia tego regionu i formalnie również wciąż gruzińskiej Abchazji (ona już wcześniej zawarła z Moskwą taki traktat) do Federacji Rosyjskiej.

Im bliżej będzie obchodów przypadającej na 9 maja siedemdziesiątej rocznicy zwycięstwa nad Niemcami, tym więcej będzie manewrów, triumfów, propagandowego szumu.

Bo Rosja mentalnie wciąż tkwi we wspaniałych dniach sprzed siedemdziesięciu lat i dlatego naród tu głęboko wierzy, że jego armia, której w Donbasie, tak jak i przed rokiem na Krymie „nie ma”, wciąż walczy tam z faszyzmem. Dlatego na Kremlu na najbliższe tygodnie napisali scenariusz *remake’u* wydarzeń sprzed siedmiu dekad.

Potrzebny jest więc zgrzyt gąsienic, zdobycze terytorialne, triumfy.

I oczywiście wódz, który – jak Stalin – osobiście i ręcznie dowodzi operacją, zręcznie wodzi za nos przeciwników i sojuszników.

Może w rocznicę będzie się musiał zgodzić na przyznanie mu Złotej Gwiazdy Bohatera Rosji i może wreszcie da się z pułkownika awansować na generała. Choć należałoby pewnie od razu na generalissimusa.

19.04.2016, wtorek

PRZED KIM DRŻY WŁADIMIR PUTIN

Rosyjski prezydent dekretem powołał 5 kwietnia nową formację zbrojną – Gwardię Narodową. Po co mu ona? Przeciw jakim wrogom?

Raczej nie do zwalczania opozycji demokratycznej. Wystawianie 350 tysięcy pretorian do pacyfikowania skłóconych i pacyfistycznie nastawionych demokratów to jak strzelanie z armat do mrówek.

Z nimi bez trudu poradziłyby sobie dotychczasowe policyjne siły specjalne, pięcioletni SOBR (Specjalne Oddziały Szybkiego Reagowania) i czterdziestotysięczny OMON (Mobilne Oddziały Specjalnego Przeznaczenia), osłaniane w czasie akcji, a czasami i wspierane przez 170 tysięcy żołnierzy wojsk wewnętrznych oraz, jeśli trzeba, przez policyjne służby ochrony liczące 150-200 tysięcy ludzi.

Nawet gdyby „pozasystemowym” na fali rosnącej w czasie kryzysu frustracji społecznej udało się jak cztery lata temu wyprowadzić na ulice Moskwy 100 tysięcy niezadowolonych, władza ma aż nadto sił, by sobie z nimi poradzić.

Bardziej niż buntu w stolicy władcy Kremla tradycyjnie obawiają się niepokojów w miastach prowincjonalnych. W czasie poprzedniego kryzysu w roku 2009 były ich w całym kraju setki, jeśli nie tysiące – choć świat ich w ogóle nie zauważył. Dziś liczba lokalnych strajków i sporów płacowych też rośnie, ale w szeroki

bunt, jak przekonują eksperci, one się nie przerodzą. A z miejscowymi ruchawkami lokalna policja sobie poradzi. Tam też nie trzeba będzie wysyłać pretorian Kremla.

Zresztą powołanie Gwardii nie zwiększa siły ognia Kremla, bo nowa formacja tylko skupia to, co już istnieje, odbierając wszystkie te OMON-y, SOBR-y i wojska wewnętrzne z MSW i podporządkowując je nowemu dowództwu. Eksperci mówią, że stworzenie Gwardii wręcz zmniejsza operacyjną siłę policji – do tej pory policjanci, prowadząc jakąś szeroko zakrojoną akcję, brali ze sobą OMON czy SOBR podległe temu samemu co oni szefowi MSW. Teraz nie będzie to już takie łatwe, bo policja będzie musiała prosić o wsparcie inną instytucję.

Stworzenie Gwardii Narodowej zmienia natomiast wewnętrzną równowagę i bilans sił między głównymi służbami mundurowymi w Rosji.

Najwięcej traci na tym formalnie najmocniejszy do tej pory „siłowik” Federacji, czyli minister spraw wewnętrznych, generał policji Władimir Kołokolcew. Jemu Kreml zabrał oddziały specjalne, wojska wewnętrzne, policyjnych ochroniarzy, zostawiając niespełna milion policjantów. To mniej więcej tyle samo zbrojnych ludzi, ile ma generał armii Siergiej Szojgu, minister obrony.

Tworząc swoją Gwardię, Putin jakby mimochodem rozbroił samowolnego Ramzana Kadyrowa. Przywódca Czeczenii stworzył złożoną wyłącznie z oddanych mu ziomków bitną trzydziestotysięczną armię. Podporządkowane mu oddziały formalnie są jednostkami wojsk wewnętrznych i powinny słuchać rozkazów rosyjskiego MSW.

Do tej pory podporządkowane były jednak Kadyrowowi, który przykazywał im na przykład strzelać do funkcjonariuszy służb

specjalnych z innych regionów, gdyby bez zgody miejscowych władz prowadzili operacje w Czeczenii. Teraz ludzie kaukaskiego watażki stają się gwardzistami i przechodzą pod rozkazy Moskwy.

Pod względem liczebności nowa kremlowska Gwardia razem z lojalną wobec prezydenta Federalną Służbą Bezpieczeństwa i podległymi jej wyposażonymi w ciężką broń oraz lotnictwo wojskami pogranicznymi niewiele ustępuje i armii, i policji.

Kreml, tworząc nową strukturę, postąpił więc zgodnie ze starą zasadą dziel i rządź. Nie pierwszy raz zresztą. Kiedy pod koniec pierwszej kadencji Putina szybko rosły wpływy FSB, prezydent stworzył niespodziewanie, jak teraz Gwardię, liczącą 40 tysięcy bagnetów Federalną Służbę Kontroli Handlu Narkotykami, powierzając ją swemu wypróbowanemu przyjacielowi z czasów KGB Wiktorowi Czerkiesowowi. Nowa struktura z walką z narkomanią sobie zupełnie nie radziła (właśnie została zlikwidowana), a okazała się konkurentem FSB i szybko doszło do ostrego konfliktu obu służb.

Odebrane teraz ministerstwu spraw wewnętrznych policyjne formacje specjalne poszły pod komendę generała armii Wiktora Zołotowa. To człowiek, jak go określają w Moskwie, „milczący”. On nigdy nie udzielił żadnego wywiadu, ale jego twarz zna od dawna cały świat. To właśnie on w rozpiętej marynarce w sierpniu 1991 roku stał za Borysem Jelcynem przemawiającym z czołgu do moskwian manifestujących przeciw betonowi partyjnemu próbującemu dokonać zamachu stanu.

Co robił wcześniej, nie wiadomo. Musiał jednak i wtedy ochraniać dygnitarzy, bo ma tak dużo odznaczeń, w tym bojowych, że na Kremlu nazywają go „generalissimusem”. Później ochraniał Anatolija Sobczaka, mera Sankt Petersburga i szefa

dzisiejszego prezydenta, który zna go od ćwierć wieku i w pełni mu ufa.

A przez ostatnie lata już jako szef Federalnej Służby Ochrony Zołotow stale tkwił za plecami Putina. To on odpowiadał za bezpieczeństwo prezydenta, między innymi za zespół kucharzy przygotowujących posiłki dla głowy państwa i za ludzi próbujących każdej potrawy, która ma być podana prezydentowi.

Tak więc potężną rosyjską Gwardią Narodową ma kierować zawodowy, wielce doświadczony i sprawdzony ochroniarz. Bo nie będzie to taka formacja jak w USA, gdzie gwardziści to przede wszystkim ochotnicy powoływani do akcji w przypadku klęsk żywiołowych, zamieszek czy obcej agresji (podobna formacja ma powstać też w Polsce). Putinowska Gwardia, złożona wyłącznie z zawodowców na kontraktach, jest tworzona raczej na wzór armii pretorian strzegących przywódców państw Ameryki Łacińskiej przed przewrotami, a więc przede wszystkim przed skłonnyymi do spiskowania tamtejszymi „siłowikami”.

Oprócz buntującego się aparatu i pozasystemowych demokratów dzisiejszy prezydent Rosji ma jeszcze innych przeciwników: skrajnych lewicowców oraz nacjonalistycznych mocarstwowców. Ci ostatni na początku roku stworzyli Komitet 25 Stycznia – Ruch Noworosja. Na jego czele stanął Igor Girkin (Striełkow), legendarny już dowódca armii rebeliantów w Donbasie, człowiek, który wsławił się jako oficer z naganem w rękę walczący o odtworzenie imperium nie tylko w Ukrainie, ale też w Jugosławii czy Naddniestrzu.

Girkin deklaruje lojalność wobec Putina, ale ostrzega, że jeśli prezydent okaże się za miękki, gotów będzie przystąpić do akcji i ze swoimi ludźmi sam zadba o dobro ojczyzny.

Nacjonalistom takim jak Striełkow łatwiej niż prozachodnim demokratom byłoby wyprowadzić tłumy Rosjan na ulice i uzyskać wsparcie polityków czy mundurowych.

Liczna Gwardia może się więc okazać bardzo przydatna.

11.08.2016, czwartek

ROSJA PROWOKUJE I OSKARŻA

FSB melduje, że ukraińskie grupy dywersyjne usiłowały się dostać na Krym, w starciach zginęło dwóch rosyjskich żołnierzy. Putin oskarża Ukrainę o „przejście do praktyki terroru”.

Od kilku dni rośnie napięcie na linii oddzielającej okupowany przez Rosjan Krym od Ukrainy. W nocy z soboty na niedzielę w pobliżu Armiańska doszło do starć z grupą, która próbowała przejść na półwysep od strony Ukrainy. Dwa dni później Rosjanie znów starli się z „dywersantami przygotowanymi przez wywiad ukraińskiej armii” – miał zginąć rosyjski żołnierz i dowódca kompanii FSB, dziesięciu wojskowych zostało rannych. Schwytano kilku „dywersantów”.

Napięcie daje się odczuć na całym półwyspie. Wszędzie pełno jest uzbrojonych mundurowych, którzy kontrolują samochody, legitymują ludzi. Ogłoszono *pierechwat*, czyli pościg za szczególnie niebezpiecznymi przestępcami. Według FSB jej agentom udało się zapobiec serii zamachów na obiekty ważne dla infrastruktury Krymu.

Putin zapowiedział, że Rosja nie pozostawi tych wydarzeń bez odpowiedzi. Jego zdaniem przywódcy Ukrainy „przeszli do praktyki terroru”. Moskwa uznała więc, że nie ma sensu zapowiadane spotkanie normandzkiej czwórki na początku września w Chinach. Kreml nie chce, by przywódcy Francji,

Niemiec, Rosji i Ukrainy przy okazji szczytu G20 porozmawiali o możliwościach zakończenia konfliktu.

Kijów zapewnia, że żadnych dywersantów nie wysyłał i że mamy do czynienia z rosyjską prowokacją. W tych dniach FSB przeprowadza na półwyspie ćwiczenia w „zwalczaniu terrorystów przerzuconych z Ukrainy”.

Bardzo niepokoi ostra reakcja Putina i jego zapowiedzi. W Moskwie mówi się, że Rosja przygotowuje się do wielkiej wojny z Ukrainą, koncentruje ogromne siły przy granicy (200 tysięcy ludzi), stale prowadzi ćwiczenia.

20.09.2016, wtorek

PUTIN MA CAŁĄ DUMĘ

Po niedzielnych wyborach Jedna Rosja ma w Dumie większość konstytucyjną. Zawdzięcza to głosom prowincji.

Partia władzy nigdy do tej pory nie miała tak silnej pozycji w 450-osobowej niższej izbie parlamentu Rosji. Teraz zdobyła 343 mandaty, czyli o 105 więcej niż w ubiegłej kadencji.

Największą dotąd liczbę posłów, bo 315, Jedna Rosja miała po wyborach w 2007 roku, w których uzyskała rekordowo wysokie poparcie ponad 64 procent głosujących. Teraz jednak wprowadziła do izby więcej swoich ludzi, choć jej listę poparło tylko 54 procent głosujących.

Udało się to dzięki zmianie ordynacji. Obecnie tylko połowę mandatów (225) rozdzielono zgodnie z wynikami głosowania na listy partyjne. Drugą połowę rozdysponowano w 225 okręgach jednomandatowych. W warunkach specyficznej rosyjskiej „demokracji sterowanej” w tych okręgach trudno jest wygrać z kandydatami obozu władzy – i właśnie na to liczył Kreml. Rachuby te okazały się słuszne. W 203 okręgach jednomandatowych zwyciężyli ludzie Jednej Rosji.

Gdyby niedzielne wybory odbywały się zgodnie z zasadami stosowanymi wcześniej, a więc były głosowaniem wyłącznie na listy partyjne, Jedna Rosja miałaby nie 343, lecz mniej więcej 270 mandatów.

Partia władzy zyskała miejsca kosztem tzw. opozycji systemowej, czyli trzech partii, którym Kreml już wcześniej pozwalał wprowadzać posłów do izby. Do tej pory Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej miała 92 mandaty. Teraz ma ich 42. Trzecia na finiszu wyborczym Liberalno-Demokratyczna Partia Rosji (nacionaliści Żyrinowskiego) ma 39 parlamentarzystów (straciła 17). Frakcja Sprawiedliwej Rosji, która zajęła czwarte miejsce, liczyć będzie 23 ludzi (zmniejszyła się o 41).

Po jednym miejscu w Dumie mają nacjonalistyczna Rodina i lojalna wobec Kremla Graždanskaja Płatforma (Platforma Obywatelska).

Wszedł do izby także jeden kandydat „niezależny”. Jest nim Władisław Reznik, członek władz Jednej Rosji, którego Hiszpania oskarża o pranie brudnych pieniędzy i kontakty z międzynarodowymi grupami przestępczymi. Startował jako bezpartyjny, aby nie szkodzić wizerunkowi partii władzy.

Progu 5 procent nie przekroczyło, jak w poprzednich wyborach, żadne z ugrupowań opozycji pozasystemowej, czyli antyputinowskiej. Początkowo informowano, że według sondażu exit poll demokratyczna partia Jabłoko miała zdobyć 3,5 procent, co wprawdzie nie dawało jej miejsca w Dumie, ale gwarantowało państwowe dotacje. Ale kiedy podliczono głosy, okazało się, że ugrupowanie występujące przeciw aneksji Krymu zyskało poparcie tylko 1,77 procent wyborców. Jeszcze gorzej wypadła demokratyczna Partia Narodowej Wolności (PARNAS), zdobywając 0,7 procent głosów.

Rewelacyjnie wysoki wynik Jednej Rosji zaskoczył nawet Ełłę Pamfiłową, nową szefową Centralnej Komisji Wyborczej. Przed głosowaniem wszystkie instytuty socjologiczne, w tym bliskie

Kremlowi, twierdziły, że liczba wyborców gotowych głosować na partię władzy nie przekracza 41 procent.

Opozycjoniści, jak Michaił Kasjanow, przywódca PARNAS-u, zapowiedzieli, że nie uznają wyników wyborów, które ich zdaniem są rezultatem fałszerstw i manipulacji.

Według Władimira Putina to, że wybory okazały się sukcesem partii władzy, dowodzi, iż realizuje ona postulaty Rosjan. – Sytuacja nie jest prosta i ludzie pragną, żeby w społeczeństwie i w systemie politycznym była stabilizacja – powiedział prezydent, zdaniem którego wynik wyborów jest też odpowiedzią narodu na sankcje nałożone na Rosję przez Zachód.

24.09.2016, sobota

NOWE KADRY KREMLA

W Moskwie zmiany kadrowe: namaszczonego nowego szefa wywiadu zagranicznego, będzie nowy marszałek Dumy i przewodniczący komitetu wykonawczego partii Jedna Rosja. Na tym nie koniec.

Z niższej izby parlamentu po niedawnych wyborach, w których triumfowała Jedna Rosja, odszedł kierujący Dumą przez pięć lat Siergiej Naryszkin. Ma kierować teraz Służbą Wywiadu Zagranicznego.

Kariera sześćdziesięciodwuletniego dziś polityka to wzorcowy przykład ścieżki ludzi, którzy za Władimirem Putinem weszli do elity władzy. Niemal rówieśnik prezydenta, pochodzący jak on z Leningradu, w czasach ZSRR pracował w zagranicznych placówkach dyplomatycznych, ukończywszy wcześniej szkołę agentów wywiadu. Wywodzi się, jak Putin, z KGB. Służba Wywiadu, którą będzie kierował, nie jest mu więc obca.

Ze stanowiska jej dyrektora odchodzi sześćdziesięciosześcioletni Michaił Fradkow, niegdyś też dyplomata pracujący dla wywiadu. Były premier (2004-2007) został skierowany na boczny tor – ma szefować Radzie Dyrektorów Rosyjskich Kolei Żelaznych.

Zgodnie z wolą Kremla nowym marszałkiem Dumy, czyli formalnie czwartą osobą w państwie (po prezydencie, premierze, marszałku Rady Federacji), zostanie zaś pięćdziesięciodwuletni Wiaczesław Wołodin. Nie należy on do „peterskich”, jak określa

się kolegów Putina z młodości, którzy robili razem z nim karierę w KGB, a potem zajmowali najwyższe stanowiska w Moskwie. Ten działacz komsomolski, a później biznesmen wspinał się po partyjnej drabinie. A zaczynał od falstartu – bo w 1999 roku, kiedy o Kreml walczyli wyznaczony przez Borysa Jelcyna „następca” Putin i Jewgienij Primakow, Wołodin działał w popierającej tego drugiego partii Ojczyzna. Zostało mu to jednak wybaczone, dzięki czemu szybko stał się prominentem Jednej Rosji, skąd przeszedł na Kreml, gdzie jako zastępca szefa administracji odpowiadał za politykę krajową.

Szykując się do przejścia do parlamentu, na stołku szefa komitetu wykonawczego Jednej Rosji Wołodin zainstalował trzydziestopięcioletniego Władimira Burmatowa. Ten partyjny karierowicz zdobył sławę, kiedy w 2010 roku opublikował w internecie film, na którym z narażeniem życia walczył z pożarem lasu. Nagranie okazało się fałszywką. Także jego praca doktorska była plagiatem.

Prezydent Putin ostatnio aktywnie przemeblowuje aparat władzy. Stołki stracili już m.in. szef kolei Władimir Jakunin i kierujący przez wiele lat administracją Kremla Siergiej Iwanow. Przywódca partii stawia na młodszych ludzi – partyjnych karierowiczów lub swoich byłych ochroniarzy.

17.11.2016, czwartek

PUTIN NIE CHCE SKOŃCZYĆ JAK MIŁOSZEVIĆ

Władimir Putin dekretem wyprowadził wczoraj Rosję spod jurysdykcji Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

Powodem stał się opublikowany wczoraj raport Fatou Bensoudy, prokurator Trybunału, która uznała działania Moskwy na Krymie sprzed dwóch lat za „konflikt zbrojny między Ukrainą i Federacją Rosyjską”. W dokumencie czytamy: „Konflikt ów rozpoczął się nie później niż 26 lutego 2014 roku, kiedy Federacja Rosyjska użyła żołnierzy swych sił zbrojnych do objęcia kontroli nad częściami terytorium Ukrainy bez zgody rządu ukraińskiego”. W ten sposób zdaniem prokurator doszło do zbrojnej interwencji Rosji przeciw sąsiedniemu państwu.

To oczywiście wywołało dyżurne oburzenie w Moskwie. Rzecznik Putina Dmitrij Pieskow twierdzi, że opinia wyrażona przez prokurator „absolutnie zaprzecza rzeczywistości, ona jest sprzeczna z naszą opinią, z tą opinią, którą wyrazili w czasie referendum obywatele Krymu, kiedy podejmowali decyzję o przyłączeniu półwyspu do FR”.

Argument jest jednak słaby. Zorganizowane w największym pośpiechu referendum krymskie odbyło się 16 marca 2014 roku, niemal trzy tygodnie po tym, jak wojska rosyjskie – zdaniem

prokurator Bensoudy – wtargnęły na półwysep i błyskawicznie go opanowały.

Zgodzić się należy natomiast z tłumaczeniem decyzji Putina przez MSZ Rosji. Dyplomaci w oświadczeniu napisali wprost, że MTK „niestety, nie spełnił wiązanych z nim nadziei”.

A nadzieje Rosja żywiła. Kiedy w 2002 roku USA zachowały się tak samo cynicznie jak teraz Moskwa i wycofały swój podpis pod statutem rzymskim powołującym MTK, dając swym wojskowym działającym za granicą gwarancje ochrony przed odpowiedzialnością karną, Rosjanie ostro krytykowali Amerykanów, dowodząc, że przestępstwa wojenne nie ulegają przedawnieniu.

Jeszcze niedawno media moskiewskie oskarżały Ukrainę o to, że nie chce ratyfikować statutu rzymskiego, bo prezydent Petro Poroszenko „panicznie się boi”, że przyjdzie mu „za zbrodnie wojenne popełniane w Donbasie” stanąć przed Trybunałem i tam „podzieli los Miloszevicia”.

Ukraina jednak przystąpiła w ubiegłym roku do statutu i to na jej wniosek teraz MTK bada sprawę inwazji na Krym.

Moskwa nie tylko w przypadku MTK stara się uciec spod międzynarodowej jurysdykcji. Jej sąd konstytucyjny kilka miesięcy temu postanowił, że jeśli werdykt któregoś z międzynarodowych trybunałów jest sprzeczny z jej konstytucją, nie może być w Rosji egzekwowany. A o tym, co jest zgodne lub sprzeczne z konstytucją FR, decyduje właśnie sąd konstytucyjny kierowany przez sędziego Walerego Zorkina, który dowodzi w swych publikacjach, że dla Rosji najlepszym ustrojem byłby ustrój pańszczyźniany.

Siedem lat później, 17 marca 2023 roku, Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wydał nakaz aresztowania Władimira

Putina i prezydenckiej komisarz ds. praw dziecka w Rosji Marii Lwowskiej-Biełowej. Trybunał oświadczył, że ma uzasadnione powody, by sądzić, że Putin ponosi indywidualną odpowiedzialność karną za zbrodnię wojenną polegającą na bezprawnej deportacji tysięcy ukraińskich dzieci oraz za bezprawne przesiedlenie ich z okupowanych obszarów Ukrainy do Rosji.

27.06.2017, wtorek

STALIN WYGRYWA W ROSJI

O bohatera wszech czasów zapytali Rosjan socjolodzy z Ośrodka Lewady – 38 procent respondentów wskazało na Józefa Stalina. Władimir Putin z 34 procentami znalazł się na drugim miejscu, które dzieli z „naszym wszystkim”, jak Rosjanie zwykli określać poetę Aleksandra Puszkina.

Prezydentowi i poecie o dwa punkty ustąpił Włodzimierz Lenin, o pięć – car Piotr I. W dziesiątce zmieścili się jeszcze kosmonauta Jurij Gagarin, pisarz Lew Tołstoj, marszałek Georgij Żukow, caryca Katarzyna II i poeta Michaił Lermontow.

To, że „wódz wszech czasów i narodów” prowadzi, nie dziwi. Serca dużej części Rosjan w ostatnich latach biją dla niego. Raz tylko w konkursach na największą postać nie został ogłoszony liderem. I to jedynie w wyniku pewnego szwindla.

Otóż osiem lat temu federalne kanały telewizyjne przeprowadziły plebiscyt „Imię Rosji”. Setki tysięcy ludzi głosowały, wybierając postać, którą utożsamiają z ojczyzną. Po pierwszym etapie okazało się, że prowadzi właśnie Stalin. Wódz jednak nie bez sporej racji mawiał, że najważniejsze jest „nie to, jak głosują, ale to, jak liczą głosy”. A liczący wiedzieli, jakie wyniki uznać za prawidłowe. W efekcie Stalin do mety dotarł jako trzeci, natomiast „Imieniem Rosji” został Aleksander Newski, XIII-wieczny książę nowogrodzki, pogromca niemieckich kawalerów mieczowych, uznany za świętego.

Współczesnym Rosjanom jest tak bliski jak Polakom Piast Kołodziej. Ale miał plecy, bo jego kandydaturę rekomendował sam metropolita smoleński i kaliningradzki Cyryl, szykowany w tym czasie na patriarchę Moskwy i Wszechrusi. Przywódca ZSRR musiał ustąpić sojuszowi ołtarza i tronu.

Eksperci od Lewady są chwaleni za profesjonalizm, liczą uczciwie. Niedawno Kreml, rozdrażniony wynikami ich sondaży, docenił całokształt ich wieloletniej dobrej roboty, ogłaszając wiodący ośrodek socjologiczny „agentem zagranicy”, czyli wrogiem Rosji.

Na to, że Stalin jest w oczach Rosjan superbohaterem, pracuje dziś cała maszyna propagandowa. „Gospodarz”, jak się go określa w Rosji, często pojawia się w ich domach na ekranach telewizorów. I zawsze jest to miły gość.

Popularny był choćby serial *Beria*, w którym krwawy szef stalinowskich służb specjalnych Ławrientij Beria był przedstawiony jako dobro wcielone. Nie udało mu się tylko jedno – nie obronił Iosifa Wissarionowicza przed trucicielem Nikitą Chruszczowem, który dzięki skrytobójstwu przejął władzę w kraju.

Kolejny kultowy serial telewizyjny *Własił, cień Stalina* opowiada o ochroniarzu wodza, któremu nie udało się obronić szefa przed podstępny truciocielem Berią. Ten, wykończywszy przywódcę, sam próbował zająć jego miejsce i gdyby nie dobry Chruszczow, dopiąłby swego.

Która z postaci pokazywanych na ekranach była złoczyńcą, a która wcieleniem dobra, nie jest ważne. Ważne, że wódz we wszystkich tych obrazach przedstawiany jest tak samo – to przenikliwie mądry, dobry, ironicznie przyglądający się karłom w swym otoczeniu geniusz, który łatwo rozwiązuje wszelkie

problemy. No, może ma przy tym przyciężką rękę, ale Rosjanie od zawsze lubią, jak lecą głowy bojarów.

Ci, którzy przypominają, że Stalin choćby w czasie wielkiej czystki osiemdziesiąt lat temu urwał głowy setkom tysięcy zwykłych obywateli, nie mają wstępu na ekrany. Historycy przypominający, że Armia Czerwona zaatakowana w 1941 roku straciła miliony żołnierzy z winy Stalina, który cztery lata wcześniej wykończył jej dowódców, ryzykują, że zostaną osądzeni za „fałszowanie historii na szkodę Rosji” i zgodnie z prawem ukarani.

27.12.2017, środa

PUTIN POZBYŁ SIĘ KONKURENTA

Zakończyła się wieloletnia wojna uparcie prowadzona przez całe państwo przeciw Aleksiejowi Nawalnemu, konkurentowi, którego panicznie boi się Władimir Putin.

Oficjalnym powodem odmowy rejestracji popularnego opozycjonisty jako kandydata w marcowych wyborach prezydenckich okazał się ciężący na nim wyrok za rzekome „ciężkie przestępstwo”.

Ważniejsze jest jednak to, co wcześniej, bo jeszcze 14 grudnia w czasie swej „wielkiej” dorocznej konferencji prasowej, mówił Putin. Zapytany o udział Nawalnego w wyborach odpowiedział, że „ta persona” (gospodarz Kremla nigdy nie wypowiada nazwiska swego oponenta) to „taki Saakaszwili”, który będzie „majdany urządzić”. W ten sposób prezydent pokazał, że sam decyduje, kto może, a komu nie wolno z nim konkurować.

W miniony weekend w dwudziestu rosyjskich miastach skrzyknęły się „grupy inicjatywne” (po minimum 500 osób każda), które niezależnie od siebie oficjalnie ogłosiły Nawalnego swym kandydatem na prezydenta.

W stolicy, gdzie pod naciskiem władz nikt nie ośmielił się wynająć pomieszczenia na spotkanie, zwolennicy opozycjonisty zebrali się nad brzegiem rzeki Moskwy. Podpisany przez nich wniosek o rejestrację pretendenta przekazano do Centralnej Komisji Wyborczej, a ona od ręki go odrzuciła.

Szefowa CKW Ełła Pamfiłowa orzekła, że opozycjonista „jako skazany prawomocnym wyrokiem” jest pozbawiony biernego prawa wyborczego, i to aż do 2028 roku. Oznacza to, że nie będzie mógł kandydować ani w przyszłorocznych, ani nawet w kolejnych wyborach, kiedy w 2024 roku skończy się ostatnia kadencja Putina.

Kryminalną zaporę zamykającą Nawalnemu drogę do wyborów Kreml publicznie i bez żenady szykował od lat. Pretekstem stała się tzw. sprawa lasu kirowskiego. Opozycjonistę oskarżono o to, że w czasie, kiedy był doradcą gubernatora obwodu kirowskiego, kupił partię drewna po cenie niższej od tej, po której ją potem sprzedał.

Oskarżenie było spreparowane tak tandetnie, że kilkakrotnie wszczynano i zamykano dochodzenie. (...) W lipcu 2013 roku sąd obwodowy skazał polityka na pięć lat łagru. Nawalny przesiedział jednak tylko jedną noc, bo po ogłoszeniu wyroku pod Dumą zebrał się wielotysięczny tłum protestujących młodych ludzi. W centrum Moskwy rzeczywiście zapachniało Majdanem. Ci sami prokuratorzy, którzy kilka godzin wcześniej żądali posłania oskarżonego do łagru, poprosili sędziego o zawieszenie kary. Następnego ranka Nawalnego wypuszczono na wolność.

Zgodnie z konstytucją wyrok nie pozbawia skazanego biernego prawa wyborczego. Kandydatem nie może zostać tylko osoba właśnie odsiadująca karę. Ale w Rosji obowiązuje też sprzeczny z ustawą zasadniczą przepis niedopuszczający do wyborów skazanego, choćby na karę w zawieszeniu, lub już wypuszczonego na wolność przez dziesięć lat od dnia ogłoszenia wyroku.

Europejski Trybunał Praw Człowieka dwa lata temu uznał, że skazanie Nawalnego za las kirowski było niesprawiedliwe,

i nakazał ponowne rozpatrzenie sprawy.

Sąd w Kirowie wznowił proces i w lutym 2017 roku wydał ten sam wyrok (w tekście znalazły się nawet te same błędy ortograficzne), co w lipcu 2013 roku. I to od lutego liczony jest teraz dziesięcioletni okres, przez który, jak ogłosiła Pamfiłowa, opozycjoniście nie wolno brać udziału w wyborach.

Odmowie rejestracji Nawalnego towarzyszyła operacja propagandowa. W tym samym czasie, kiedy CKW zajmowała się wnioskiem „grupy inicjatywnej”, ludzie Pamfiłowej rozpatrywali dokumenty dwóch innych kandydatów na kandydatów, również skazanych: byłego miliardera i aferzystę Siergieja Polońskiego oraz Olega Lurie, dziennikarza, który siedział za szantaż. Obaj nie zdradzali wcześniej ambicji politycznych. Jak piszą wtorkowe gazety moskiewskie, okazali się kandydatami tylko po to, by władza mogła zademonstrować, że nie prześladowuje jedynie Nawalnego, bo CKW nie zarejestrowała też Luriego i Polońskiego.

29.12.2017, piątek

ROSJA MNIEJ ZBROJNA

Militarny budżet nekanej kryzysem Rosji w 2018 roku znowu się skurczy. A nowy plan przebrojenia armii w najbliższej dekadzie też nie dorównuje poprzedniemu.

Według rocznego raportu Jane's Defence Budgets Moskwa jest zmuszona pójść pod prąd światowych tendencji. W przyszłym roku globalne wydatki militarne mają sięgnąć 1,67 biliona dolarów (3,3 procent więcej niż w 2017 roku), co będzie rekordowym poziomem od czasu zakończenia zimnej wojny. Tymczasem Rosja, jak ogłosił Władimir Putin, w 2018 roku wyda na swe siły zbrojne 2,8 biliona rubli, czyli według Jane's – 47,7 miliarda dolarów (w stałych cenach), o 4,6 miliarda mniej niż dwa lata temu i o 1,3 miliarda mniej niż w tym roku.

Być może państwo przekaże dodatkowo na cele obronne część pieniędzy zarobionych dzięki wyższym cenom ropy. Poważnymi konkurentami będą tu jednak policja i służby specjalne. Ich oficjalny budżet w roku wyborów prezydenckich – w przeciwieństwie do obronnego, wydatków na naukę czy służbę zdrowia – rośnie.

Siły zbrojne Rosji dostaną więc fundusze 14,5 razy mniejsze od tych, które przypadną armii USA. Nie znaczy to jednak, że ich możliwości spadną o taką samą wielokrotność. W milionowym wojsku służy dziś 300 tysięcy poborowych, co miesiąc każdy dostaje 2 tysiące rubli (około 120 dolarów) kieszonkowego;

szeregowy zawodowy US Army (poborowych tam nie ma) zarabia też 2 tysiące, ale dolarów – sześć razy więcej, niż wynosi żołd zawodowego szeregowca w Rosji. Jednak warto tu dodać, że znaczna część funduszy jest w rosyjskim wojsku marnowana i rozkradana.

Dwa tygodnie temu opublikowano Państwowy Program Uzbrojenia na lata 2018-2027. Wynika zeń, że Moskwa wyda w tym czasie na zakup nowego lub modernizację starego sprzętu 20 bilionów rubli (to w rublach mniej więcej tyle samo, ile zakładano w bardzo ambitnym planie na bieżącą dziesięciolatkę).

Jak zauważył w tekście dla „Wyborczej” Konstantin Makijenko z moskiewskiego Ośrodka Analiz Strategii i Technologii, obowiązujący Państwowy Program Uzbrojenia w momencie, gdy zaczynano jego realizację, był wart 470 miliardów euro. Dziś, gdy rosyjska waluta straciła na wartości, te same 20 miliardów rubli przewidziane na następną dekadę to już tylko 275 miliardów euro. Jeśli jednak liczyć w rublach, którymi państwo płaci wytwórciom broni, należy przyjąć, że nowy plan daje możliwości o „25-30 procent mniejsze od poprzedniego”

„Zmniejszenie funduszy na przebrojenie współgra z ogólną tendencją ograniczania wojskowych wydatków Rosji – od czasu, gdy osiągnęły maksimum w 2015 roku, są stopniowo redukowane. Wynika to z malejących finansowych możliwości kraju, całkowicie zależnych od cen ropy, oraz z tego, że sporo celów udało się już zrealizować. W 80 procentach zmodernizowano park lotnictwa frontowego, w 100 procentach – bojowe i transportowe śmigłowce, zbudowano wiele obiektów infrastrukturalnych” – dowodzi ekspert.

Makijenko zwraca uwagę na to, że Kreml rezygnuje z ambitnych planów budowy potężnej marynarki oceanicznej,

której w poprzednim programie obiecywano 4,8 biliona rubli, niemal dwa razy więcej niż wojskom lądowym. Zamierza natomiast wzmocnić wojska lądowe i siły jądrowe. Te pierwsze mają dostać nowe pojazdy pancerne gwarantujące większe bezpieczeństwo załogom, na przykład czołgi T-14 Armata. Najważniejsza zaś pozostaje „atomowa triada”, czyli broń jądrowa na okrętach podwodnych, wyrzutniach lądowych i bombowcach strategicznych. Jak ocenia Makijenko, priorytet budowy nowych rakiet i środków ich przenoszenia to dla Moskwy świętość.

19.03.2018, poniedziałek

PUTIN WŁADCĄ NA KOLEJNE SZEŚĆ LAT

Władimir Putin będzie rządzić Rosją kolejną kadencję. Wygrał, co jasne było od dawna, wybory w stylu radzieckich „świąt wyborczych”.

Wedle sondaży exit poll przeprowadzonych przez fundację Otwarte Poglądy na Władimira Putina zagłosowało 76,3 procent wyborców, natomiast z badań Wszechrosyjskiego Ośrodka Badania Opinii Publicznej wynika, że poparło go 73,9 procent głosujących [ostatecznie ogłoszone oficjalne wyniki dały Putinowi 76,69 procent poparcia].

Prezydent był kandydatem na prezydenta nie jedynym, lecz konkurentów nie miał. Przeciwno niemu stawali ludzie, których do roli sparingpartnerów wyznaczył Kreml, czyli sam faworyt.

Zgodnie z tradycją poprzednich kampanii prezydent pozwolił w szranki wstąpić dyżurnemu nacjonałiście Władimirowi Żyrinowskiemu. Walczył o drugie miejsce z wystawionym przez komunistów bezpartyjnym dyrektorem Sowchozu im. Władimira Lenina Pawłem Grudininem. W roli konkurentów wystąpili też dwaj staliniści – Siergiej Baburin i Maksim Surajkin, oraz trójka liberałów: Ksenia Sobczak, wyborczy weteran Grigorij Jawliński i Boris Titow.

Licencji na kandydowanie nie otrzymał jedyny dziś realny polityczny konkurent Putina, opozycjonista Aleksiej Nawalny. (...) Wezwał więc Rosjan, a przede wszystkim swych młodych zwolenników, do „strajku wyborczego” i pozostania 18 marca w domach. Teraz próbuje zorganizować w całym kraju protesty przeciwko bezalternatywnym, sterowanym przez władze wyborom.

Kreml tym razem robił wszystko, by głosować przyszło jak najwięcej Rosjan. Administracje regionalne dostały zadanie, by frekwencja wyniosła nie mniej niż 70 procent, i nie mniej niż 70 procent tych, co przyjdą do urn, poparło prezydenta.

Celem tych zabiegów było nie tylko rozgromienie konkurenta w zaocznej konfrontacji. Jak tłumaczył Walery Fiodorow kierujący przykremlowskim Wszechrosyjskim Ośrodkiem Badania Opinii Publicznej, najwyższa w historii wyborów prezydenckich w Federacji Rosyjskiej frekwencja ma być dla Putina ważnym argumentem w konfrontacji z politykami Zachodu coraz ostrzej potępiającymi jego postępowanie. Powinna im dowieść, że prezydent cieszy się w kraju ogromnym poparciem, nie mogą więc liczyć na to, że kurs Rosji zmieni się pod naciskiem sankcji i krytyki z zewnątrz.

Administracja prezydencka postawiła więc na model wyborów z czasów radzieckich, kiedy naród na głosowanie przychodził, jak to określano, niczym „na święto”.

W pobliżu lokali wyborczych polecono przeprowadzić „wyborcze jarmarki”. Elektoratowi oferowano jajka po 2 ruble (w sklepach kosztują najmniej 4 ruble), kaszę gryczaną po 20 rubli (pięć razy taniej niż w sklepie) i inne niezbędne produkty „po cenach producenta”.

W regionach wyborców wabiono na przeróżne sposoby. W sąsiedztwie lokali wyborczych, a w wielu miejscach wewnątrz grały orkiestry, występowały chóry i zespoły taneczne. We Władywostoku w pomieszczeniu obok jednego z lokali bezpłatnie przyjmował głoszące kobiety ginekolog.

W Ułan Ude (nadwołżańska republika Mari El) po to, by wyborcy mogli dotrzeć do lokali suchą nogą, wezwano wozy asenizacyjne, by te wyssały wodę z kałuż.

Rodziców na wybory ściągali też w całej Rosji dzieci. Najmłodszym kazały to zrobić przedszkolanki. Starszym – nauczycielki. W obwodzie moskiewskim w lokalach wyborczych stawili się także uczniowie. Brali udział w zorganizowanym „przy okazji” referendum i odpowiadali na pytanie, czy chcą się uczyć w soboty. Odpowiadali oczywiście, że nie, ale ścignęli ze sobą rodziców.

Przed wyborami widzowie z rosnącym niesmakiem przyglądali się debatom telewizyjnym, w czasie których sparingpartnerzy faworyta (sam Putin tradycyjnie udziału w nich nie brał) oblewali się wodą, obrzucali wulgarnymi wyzwiskami i rwali do mordobicia.

A już w dniu wyborów wszędzie były konkursy. Choćby na selfie zrobione w lokalu. Wygrać można było smartfon, laptop, w niektórych miejscach nawet samochód.

Polując na nagrody, wyborcy przychodzili „na święto” jak na maskaradę – przebrani za średniowiecznych rycerzy, kirasjerów carskich, w kąpielówkach wykonywali przed lokalami ćwiczenia gimnastyczne. Jeden z głoszących przyleciał na wybory na motolotni.

Nie obyło się bez wymyślnych cudów nad urną. W mieście Moskowskij położonym w granicach wielkiej Moskwy na listach

wyborców nie było nazwisk bardzo wielu mieszkańców. Jak informował korespondent kanału telewizyjnego Dożd, pominięci, którzy pojawiali się w lokalu, byli automatycznie dopisywani do listy. Osoby, które nie przyszły, dopisywane oczywiście nie były. W ten sposób liczbę uprawnionych do głosowania określono na podstawie liczby tych, którzy zjawili się na wyborach. Frekwencję poprawiały tam jeszcze grupy ludzi przywożonych z dość odległego obwodu tambowskiego. Podobne sygnały napływały z wielu miejsc Rosji.

Tym razem, co zupełnie nietypowe, bardzo wysoka okazała się frekwencja zaraz po otwarciu lokali. Stało się tak nie tylko dlatego, że ludzie śpieszyli po tanie produkty. Głosowanie rozpoczynało się bowiem w wielu przypadkach jeszcze przed oficjalnym udostępnieniem urn wyborczych. Na przykład kamera zainstalowana w lokalu we wsi Niewier w obwodzie amurskim w niedzielę o godzinie 7.40, czyli 20 minut przed tym, jak wyborcy mogli się tu zjawić, pokazała, że przezroczysta urna jest już częściowo wypełniona kartami do głosowania.

17.04.2018, wtorek

ZGINĄŁ, BO DEMASKOWAŁ KŁAMSTWA PUTINA?

Nazwisko Maksima Borodina pracującego w jekaterynburskiej agencji RIA Nowyj Dień stało się głośne całkiem niedawno dzięki jego reportażom o ukrywanej jak największa tajemnica państwowa masakrze rosyjskich najemników z Prywatnej Spółki Wojskowej „Wagner”. Zginęli 7 lutego w pobliżu syryjskiego Dajr az-Zaur ostrzelani i zbombardowani przez Amerykanów.

Reporter dotarł do bliskich trzech ofiar tragedii, którzy potwierdzili, że z Syrii przywieziono im „gruz 200”, jak w Rosji określa się przysłaną z wojny trumnę z ciałem poległego.

Rewelacje ogłoszone przez Borodina odbiły się głośnym echem w Rosji i poza nią. A to postawiło w bardzo trudnej sytuacji Władimira Putina prowadzącego w tym czasie kampanię wyborczą.

Kreml usilnie próbował zamieść sprawę śmierci Rosjan w Syrii pod dywan. To zapewniał, że obywatele Federacji nie brali udziału w żadnych walkach, to podkreślał, że ci, którzy znaleźli się pod bombami amerykańskimi, nie byli żołnierzami armii rosyjskiej, tylko ochotnikami. A w ogóle zginęło ich co najwyżej pięciu, a nie, jak donosiły agencje zachodnie, może i 200.

Z tego, co opublikował Borodin na podstawie rozmów z bliskimi zabitych wagnerowców, jednoznacznie wynikało – choć

Putin ogłosił zwycięskie zakończenie misji w Syrii – że niepopularna w Rosji wojna trwa, a Rosjanie wciąż tam giną.

Na jaw wyszła też rzecz jeszcze gorsza. Wagnerowcy w sile batalionu szli na położone w pobliżu Dajr az-Zaur pola naftowe i gazowe, by je zająć. Ta piracka wyprawa, gdyby się powiodła, przyniosłaby spore zyski bliskiemu Putinowi miliardderowi, patronowi Wagnera Jewgienijowi Prigożynowi.

Okazało się jeszcze, że do rzezi Rosjan mogłoby nie dojść, gdyby dowódcy wojsk rosyjskich, którzy w Syrii są w stałym kontakcie z Amerykanami, powiedzieli partnerom, że na Dajr az-Zaur idą Rosjanie, a swoich ostrzegli, że pchają się pod bomby. Ale ani nie powiadomili, ani nie ostrzegli, co pachnie zdradą.

Borodin pokazał, że Putin, chociaż opowiada o militarnej potędze Rosji i chełpi się tym, że świat drży przed jego żelazną wolą, przełknął w milczeniu tragedię swych rodaków.

Koledzy z redakcji uważają, że Borodin w czwartek nie wypadł z balkonu, jak podają służby, i przypominają, że w jego mieszkaniu w ubiegłym tygodniu przeprowadzono rewizję. Domagają się wszczęcia śledztwa w sprawie śmierci reportera. Jednak Komitet Śledczy odmawia, od razu zapewniwszy, że do tragedii doszło „bez udziału osób trzecich”, nie ma więc powodów, by cokolwiek wyjaśniać.

Rosja uchodzi za jeden z najbardziej niebezpiecznych dla dziennikarzy krajów świata. Za rządów Putina zabito ich tu 145. Większość z tych morderstw nie została wyjaśniona.

21.05.2018, poniedziałek

ZNÓW OBIETNICE

Rozpoczynając kolejną kadencję, Władimir Putin ogłosił kolejny plan, który ma zapewnić Rosji rozkwit. Jego realizację powierzył w piątek niemal temu samemu rządowi, za czasów którego kraj od lat tkwi jeśli nie w recesji, to w stagnacji.

Swój program na czwartą (a jeśli liczyć czas, kiedy rządził krajem jako premier – piątą) kadencję gospodarz Kremla zawarł w ogłoszonym w dniu inauguracji „dekrecie majowym”. Według niego Rosja do 2024 roku, kiedy zgodnie z dziś obowiązującą konstytucją Putin opuści Kreml, powinna się znaleźć w piątce największych potęg gospodarczych świata. Dziś kraj zajmuje w tej klasyfikacji dwunaste miejsce.

Przez najbliższe sześć lat, jak obiecuje Putin, średnia życia Rosjanina ma wzrosnąć do siedemdziesięciu ośmiu lat (dziś to niespełna siedemdziesiąt jeden lat). Co roku 5 milionów obywateli ma się przeprowadzać do nowych mieszkań. Zgodnie z obietnicami wzrosną też realne dochody obywateli (przez ostatnie cztery lata wciąż spadają i zmniejszyły się co najmniej o 11 procent). Mniej będzie biednych. Dziś w nędzy (dysponują dochodami poniżej minimum życiowego) pogrążonych jest 13,1 procent Rosjan, ich liczba rośnie. Połowa przedsiębiorstw ma wdrożyć technologie, które prezydent określa jako innowacyjne.

Będą też inwestycje w służbę zdrowia, oświatę. Putin zapowiada więc potężne, jak to się określa w Rosji, „inwestycje w kapitał ludzki”

Media rosyjskie oceniają, że na wyznaczone przez prezydenta cele trzeba przeznaczyć około 21 bilionów rubli (350 miliardów dolarów), czyli znacznie więcej, niż kraj wyda przez sześć lat na armię.

Tym razem Putin, ogłaszając swoje plany, w ogóle nie wspomniał o sferze militarnej. Tylko w jednym miejscu wskazał na przemysł zbrojeniowy, branża powinna się włączyć do programu zapewnienia Rosjanom dostępu do czystej wody pitnej.

Kiedy dzisiejszy prezydent sześć lat temu wracał na Kreml z fotela szefa rządu, sprawom wojska poświęcił jeden z ogłoszonych wówczas dziewięciu „dekretów majowych”. Zapowiadał wtedy znaczne podwyżki wynagrodzeń żołnierzy. Nie dotrzymał tej obietnicy. Wojskowi mogą ponoć liczyć na coś w tym roku, ale będzie to znacznie mniej niż to, o ile w ostatnich latach ich realne dochody zmniejszyła inflacja.

Renomowany Sztokholmski Instytut Badań nad Pokojem (SIPRI) niedawno ogłosił, że Rosja w ubiegłym roku zmniejszyła swe wydatki militarne o 20 procent. W tym budżet wojska ma się zmniejszyć o kolejne 3 procent.

Obwieszczany przed ogłoszeniem „dekretu majowego” rosyjski „wielki skok” zdawał się zapowiadać poważną rekonstrukcję rządu.

Znaczącą zmianą, jak się spodziewano w Moskwie, miało być powierzenie ważnej funkcji (wicepremiera lub zastępcy szefa administracji Kremla odpowiedzialnego za gospodarkę) Aleksiejowi Kudrinowi, niegdyś wicepremierowi i ministrowi finansów.

Pięćdziesięcioośmioletni dziś ekonomista został w 2010 roku uznany za najlepszego ministra finansów świata. Sprawił, że Rosja

bez nieuniknionych, jak się wydawało, wstrząsów wyszła z głębokiego kryzysu gospodarczego. Rok później został jednak zdymisjonowany, gdy zaprotestował przeciwko zwiększaniu wydatków na armię i powtarzał, że w Rosji nie będzie żadnego rozwoju, jeśli nie dojdzie do reform politycznych.

Ekonomiście rzeczywiście powierzono teraz ważną funkcję, ale poza administracją prezydenta i rządem, którym – jak do tej pory – kierować będzie Dmitrij Miedwiediew.

Kudrin został bowiem szefem Izby Obrachunkowej. Będzie kontrolować poczynania, a przede wszystkim finanse centralnych organów władzy, ale nie decydować o nich.

A zmiany, do których doszło w rządzie, są tylko kosmetyczne i raczej anegdotyczne.

Rosja ma nowego ministra do spraw nadzwyczajnych, czyli szefa zmilitaryzowanych służb ratowniczych liczących 290 tysięcy ludzi. Szefem tego resortu został Jewgienij Ziniczew, były osobisty ochroniarz Putina.

Do zmiany doszło na stanowisku ministra rolnictwa. Opuścił je Aleksandr Tkaczow, który jako szef resortu stał się jednym z największych latyfundystów Rosji i włada mniej więcej milionem hektarów dobrej ziemi. Zastąpił go czterdziestoletni Dmitrij Patruszew, znany jako syn Nikołaja, byłego szefa FSB, dziś sekretarza Rady Bezpieczeństwa Rosji i bliskiego przyjaciela Putina.

Za zabawny temat memów internetowych uznano przesunięcie Witalija Mutki z fotela wicepremiera odpowiadającego za sport na miejsce zastępcy szefa rządu czuwającego nad budownictwem. Nawet posłowie do Dumy przyjęli ogłoszenie tej decyzji salwą śmiechu. Mutko jest bowiem odpowiedzialny za fatalny stan dotkniętego skandalami dopingowymi sportu rosyjskiego. Ale to

właśnie, jak mówią przedstawiciele władz, zdecydowało, że został w rządzie. Bo skoro dygnitarza tak ostro atakują na Zachodzie, Rosja powinna pokazać, że swojego człowieka broni.

Bardzo silną pozycję w rządzie Miedwiediewa ma Anton Siluanow, teraz „pierwszy” wicepremier i tak jak do tej pory minister finansów, człowiek o poglądach bliskich Kudrinowi. Obaj są zwolennikami ograniczania wydatków publicznych na cele obronne czy socjalne. Według Aleksieja Wieniediktowa, redaktora naczelnego Radia Echo Moskwy, to, że taki duet ma decydować o finansach państwa i kontrolować wydatki, świadczy o tym, że Rosja „nie ma pieniędzy” na ogłaszane publicznie fantastyczne programy.

Z nowym „dekretem majowym” będzie to samo co z dekretami ogłoszonymi przez Putina w maju 2012 roku. Prezydent też gwarantował w nich wyższe płace, lepszą służbę zdrowia, oświatę, wyższą pozycję kraju w rywalizacji międzynarodowej. Ale tamte zapowiedzi okazały się obietnicami bez pokrycia.

8.06.2018, piątek

PUTIN ROZMÓWIŁ SIĘ Z NARODEM

Władimir Putin cztery i pół godziny rozmawiał wczoraj z Rosjanami, unikając trudnych tematów. Zapowiedział, że rosyjska armia być może nie zostanie w Syrii. Pogroził Ukrainie, rzekomo szykującej się do ataku na Donbas w czasie mundialu.

Prezydent już po raz szesnasty prowadził za pośrednictwem federalnych kanałów telewizyjnych i radiowych swój doroczny dialog z rodakami, zwany „linią bezpośrednią”.

Inaczej niż w poprzednich latach nie był sam. Na polecenie Kremla wszyscy gubernatorzy i członkowie rządu mieli w czasie teleaudycji być na swoich stanowiskach pracy przed kamerami, by – jeśli zajdzie potrzeba – wytłumaczyć się przed skarżącymi się na nich obywatelami i prezydentem.

Na rosyjskich prominentów padł blady strach. Jak pisały czwartkowe moskiewskie gazety, nowa formuła rozmowy prezydenta z narodem wymaga, by któryś z „bojarów”, a może i kilku, stał się sakralną ofiarą carskiego gniewu.

Fotel zakołysał się jednak tylko pod Swietłaną Orłową, gubernatorem obwodu władimirskiego. Miała pecha, bo ekipa telewizyjna ze stolicy połączyła się ze studiem sprzed zamkniętego i zrujnowanego szpitala w piętnastotysięcznej Struminie. Mieszkanki skarżyły się, że pozbawiono je i ich dzieci opieki medycznej.

Przerażona gubernator próbowała się bronić, jak to zwykli robić czynownicy, czyli kłamiąc w żywe oczy. Zapewniała, że szpital pracuje, pieniądze na modernizację zostały przydzielone i wszyscy powinni być szczęśliwi. Wyraźnie zły Putin kazał jej jechać na miejsce i dowiedzieć się, jak się sprawy mają w rzeczywistości. W rosyjskiej praktyce urzędniczej oznacza to koniec kariery.

Pozostałym dygnitarzom się upiekło, bo okazali się sprytniejsi i zawczasu wyszpiegowali, dokąd pojedą kamery z Moskwy i co mają pokazywać. Taki gubernator kraju stawropolskiego Władimir Władimirow, „zaskoczony” tym, że ekipa TV pojawiła się w zniszczonym przez powódź domu Jewgienii Ławrik w zabitej deskami wiosce Lewakumka, okazał się świetnie zorientowany w najdrobniejszych szczegółach problemu i od ręki przedstawił Putinowi skuteczny sposób jego rozwiązania.

Prezydent dużo i chętnie opowiadał o perspektywach rozkwitu gospodarczego Rosji, jej rosnącym potencjale militarnym, wzroście dochodów ludności.

Przy tym autorzy programu odsuwali od niego tematy trudne.

Dziś Rosjanie są poruszeni zapowiedziami radykalnego podniesienia wieku emerytalnego. Decyzja już ponoć zapadła i za dwa lata rosyjskie kobiety mają pracować nie – jak dziś – do pięćdziesiątego piątego, lecz do sześćdziesiątego lub nawet sześćdziesiątego trzeciego roku życia, a mężczyźni o pięć lat dłużej niż teraz, czyli do sześćdziesiątego piątego roku.

Ten krok jest zdaniem ekonomistów nieuchronny, choć bardzo niepopularny. Prezydent boi się ogłaszania takich posunięć, które mogą obniżyć jego notowania. I wczoraj też zrobił unik. Naopowiadał, że zależy mu na tym, by emeryci mieli wysokie dochody, i dodał: – Mam nadzieję, że rząd do tego doprowadzi

i wtedy będziemy to rozważać i mówić o krokach, jakie on proponuje.

Nurtującego Rosjan konkretnego pytania o to, czy jest za podwyższeniem wieku emerytalnego, prowadzący program oczywiście nie ośmielili się prezydentowi zadać.

Zgodnie ze swoim zwyczajem Putin, rozmawiając z poddanymi, unikał mówienia o polityce wewnętrznej. Tym razem udało mu się w ogóle nie poruszyć tych tematów.

Ale jednak były one obecne. Przed wczorajszą linią w kilku miastach Rosji pracowało przez jedenaście dni jedenaście centrów, poprzez które, dzwoniąc, mailując, komunikując się przez sieci społecznościowe, Rosjanie mogli zadać pytanie przywódcy. Zrobiło to ponad 2,3 miliona obywateli 146-milionowego kraju.

Wiele pytań przychodziło też w trakcie transmisji, a te wyświetlały się na wielkich ekranach w studiu. Autorzy programu starali się jak najszybciej usuwać co ostrzejsze z nich, ale nie bardzo sobie z tym radzili. I okazało się, że polityka wewnętrzna Rosjan bardzo interesuje.

Pytali Putina, czemu nie dopuścił Aleksieja Nawalnego do udziału w wyborach prezydenckich, dlaczego pod jego rządami w Rosji nie ma opozycji. Dlaczego przed wyborami płace rosły, a po wyborach ludziom odebrano premie i inne dodatki do pensji? Dlaczego naród musi pracować na „jachty oligarchów”? Pytania, na które prezydent nie odpowiadał, były więc bardzo ciekawe.

Prezydent powiedział natomiast kilka interesujących rzeczy dotyczących polityki międzynarodowej.

Zapowiedział choćby, że rosyjscy wojskowi niekoniecznie pozostaną w Syrii na zawsze. Będą tam „tak długo, jak to będzie korzystne dla Rosji”. Podkreślił, że celowo nie nazywa „punktów

bazowania” jednostek rosyjskich w Syrii (lotnisko Humejmim i port Tartus) „bazami”. Bo jeśli będzie trzeba, Rosjanie je opuszczą.

W Moskwie dużo się mówi o tym, że armia Ukrainy w czasie rozgrywanych w Rosji w 2018 roku piłkarskich mistrzostw świata spróbuje zająć opanowany przez prorosyjskich separatystów Donbas. Prezydent ostrzegł, że gdyby władze w Kijowie zdecydowały się na taki krok, jego skutki dla „państwowości ukraińskiej byłyby fatalne”.

27.11.2018, wtorek

PUTIN W TARAPATACH, WIĘC PACHNIE WOJNĄ

Konflikt w Cieśninie Kerczeńskiej, gdzie rosyjskie okręty w niedzielę ostrzelały i zajęły jednostki ukraińskie, nie wybuchł wczoraj. I zaskakiwać nie powinien. Rosja rozpala konfrontację, szukając w wojnie lekarstwa na porażki, które ostatnio ponosi Kreml.

Moskiewscy obserwatorzy od miesiący zastanawiają się, gdzie „trzaśnie”. Doświadczenie podpowiada bowiem, że kiedy rosyjska władza wpada w tarapaty, usiłuje poprawić sytuację, pakując kraj w konflikt zbrojny. Dziś jej położenie jest marne, a lista nowych problemów spadających na izolowaną, uznaną za „toksyyczną” Moskwę jest długa.

Po podniesieniu wieku emerytalnego notowania Władimira Putina mocno spadły. Jak pokazały wyniki sondażu opublikowane przed tygodniem przez Ośrodek Lewady, dziś 61 procent Rosjan uważa, że prezydent jest odpowiedzialny za kłopoty kraju. Wcześniej Putin w oczach rodaków odpowiadał tylko za sukcesy Rosji, a porażkom winni byli „źli bojarzy”, czyli urzędnicy.

Doszło do tego, że kandydaci jego „partii władzy” Jedna Rosja przegrywają wybory gubernatorskie, bo mieszkańcy regionów są

gotowi głosować na byle kogo, byle na złość Kremlowi. Tego jeszcze przez dziewiętnaście lat Rosji putinowskiej nie było.

Także seria komicznych kompromitacji wywiadu wojskowego stanowi bolesną porażkę kraju rządzonego przez zawodowych szpiegów. Słynne GRU po zdemaskowaniu już ponad tysiąca jego agentów (w tym tych, którzy w Wielkiej Brytanii próbowali otruć byłego szpiega Siergieja Skripala i jego córkę) jest sparaliżowane.

Wkrótce Ukraina będzie mieć swoją autokefaliczną, czyli niezależną od Moskwy, Cerkiew. To oznacza krach forsowanej przez Kreml idei „ruskiego mira”, czyli wspólnoty prawosławnych słowiańskich narodów.

Do tego gwałtownie spadają ceny ropy naftowej, a to dla Rosji, której gospodarka opiera się na eksporcie surowców, fatalne. (...) Przy tym, jak dowodzą różne centra socjologiczne, w tym bliskie Kremlowi, zgasł już patriotyczny entuzjazm Rosjan wywołany anszlusem Krymu. W Moskwie spodziewali się więc, że Putin będzie próbował na nowo rozpaścić ten zapal, skonsolidować naród wokół siebie kolejną awanturą. Na paliwo patriotycznego ognia na Kremlu wybrano zawłaszczanie Morza Azowskiego.

Zgodnie z rosyjsko-ukraińską umową „O współpracy w korzystaniu z Morza Azowskiego i Cieśniny Kerczeńskiej” zawartą w 2003 roku akwen „historycznie stanowi wody wewnętrzne Federacji Rosyjskiej i Ukrainy”. W dokumencie zapisano też taką gwarancję: „Statki handlowe i okręty wojenne pod banderą Federacji Rosyjskiej lub Ukrainy mają prawo swobodnego przechodzenia przez Cieśninę Kerczeńską”.

Kiedy podpisywano umowę, wschodni brzeg przesmyku był pod władzą Rosji, zachodni, czyli krymski – Ukrainy. Po aneksji

Krymu oba brzegi kontroluje Rosja, która przegrodziła cieśninę otwartym wiosną mostem.

I od tej pory „prawo swobodnego przejścia” przestało działać. Rosjanie już 30 kwietnia zaczęli grę w „bitwę morską”, zatrzymując i poddając kontroli jednostki idące do ukraińskich portów Mariupol i Berdiańsk na północnym brzegu Morza Azowskiego. Nic podejrzanego w wyniku tych rewizji nie znaleźli. Ale restrykcje wprowadzili nie po to, by coś odkryć, lecz po to, by pokazać, że akwen uważają już nie za wspólne, ale za rosyjskie wody terytorialne.

Okręty wojenne Ukrainy przez przesmyk jednak przepuszczali. 25 września pod mostem Krymskim za zgodą Rosji przeszły dwie jednostki: „Donbass” i „Koriec”.

W niedzielę rano, kiedy do cieśniny wchodziły płynące z Odessy do Mariupola dwa kutry artyleryjskie „Berdiańsk” i „Nikopol”, którym towarzyszył holownik „Janu Kapy”, okręt FSB (służbie podlegają pogranicznicy rosyjscy) staranował holownik. Potem przejście pod mostem Krymskim Rosjanie przegrodzili tankowcem, ogłaszając, że przesmyk jest zamknięty dla żeglugi z „przyczyn technicznych”.

Kiedy kutry ukraińskie zawróciły, okręty rosyjskie ruszyły za nimi i już na wodach międzynarodowych, kilkadziesiąt mil morskich od cieśniny, późnym wieczorem ostrzelały Ukraińców, raniąc kilku marynarzy i przejmując ich jednostki.

To było pierwsze otwarte zbrojne starcie wojskowych rosyjskich z ukraińskimi. Do marynarzy Ukrainy strzelały nie anonimowe „zielone ludziki” w mundurach bez naszywek, nie „urlopowani” z jednostek w Rosji żołnierze, którzy, jak zapewniali w Moskwie, czołgami pojechali „wypoczywać” na wschodzie Ukrainy. W niedzielę starły się dwie armie, wzięto jeńców.

Moskwa, decydując się na otwarcie ognia, i to w momencie, kiedy kutry ukraińskie nie stanowiły już dla niej żadnego zagrożenia, pokazuje, że zamierza okupować Morze Azowskie.

Jednak sam „Azownasz”, tak jak to pięć lat temu sprawił „Krymnasz”, do rozpalenia entuzjazmu patriotycznego Rosjan nie starczy. Do tego potrzebny byłby powrót do zapomnianej już idei „Noworosji”, czyli zawojowania co najmniej lądowego przejścia od Donbasu do Krymu. Putin, który ostatnio pokazuje, że wojny, choćby jądrowej, się nie lęka, a Rosjanom, jeśli w niej zginą, obiecuje miejsce w raju, może się na to zdecydować.

7.01.2019, poniedziałek

POLITYCZNA KATASTROFA PUTINA

Ukraina ma od wczoraj swoją pełnoprawną, niezależną od Moskwy Cerkiew. To historyczna klęska Rosji, a dla Władimira Putina – zasłużona polityczna katastrofa.

W niedzielę światowy patriarcha konstantynopolski Bartłomiej wręczył zwierzchnikowi powołanej niedawno do życia Prawosławnej Cerkwi Ukrainy, metropolicie kijowskiemu i całej Ukrainy Epifaniuszowi berło i „tomos” – edykt stanowiący autokefaliczny, czyli niezależny, narodowy Kościół prawosławny.

Co to zmienia? Do tej pory w życiu religijnym Ukrainy dominowała tzw. Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego, jedyna „kanoniczna”, bo uznana przez świat chrześcijański. Jej słabszymi konkurentami były samozwańcze Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Kijowskiego i Ukraińska Autokefaliczna Cerkiew Prawosławna – obie „niekanoniczne” i wyklęte przez współbraci w wierze.

A to przede wszystkim one stworzyły Prawosławną Cerkiew Ukrainy, Bartłomiej zaś, najwyższy autorytet światowego prawosławia, mimo wściekłych protestów Moskwy w pełni ją legitymizował. Dla wierzących to bardzo ważne, bo sakramenty udzielane im przez odrzucających wpływy moskiewskie ukraińskich duchownych od teraz mają w ich oczach pełną moc. Wierni będą stopniowo przechodzić do „swojej” Cerkwi,

porzucając tę kierowaną ze stolicy kraju, który okupuje Krym i prowadzi z Ukrainą wojnę w Donbasie.

Ogromne jest nie tyle nawet polityczne, ile wręcz historyczne znaczenie tego, co wczoraj wydarzyło się w Fanarze, dzielnicy Sztambułu, gdzie znajduje się siedziba światowego patriarchy. Ukraina przestała być tym, co w Moskwie zważ swoją „przestrzenią kanoniczną”, i Kreml traci to, co od rady perejasławskiej w 1654 roku uznawał za swoje. W sensie ideologicznym panowanie Rosji nad sąsiednim krajem i narodem zacementował kupiony jeszcze w 1686 roku przez cara Piotra Wielkiego edykt patriarchy konstantynopolskiego uznający zwierzchność Moskwy nad ukraińskim prawosławiem.

Komentatorzy powtarzają, że autokefalia dla Ukrainy to koniec starej koncepcji każącej widzieć w Moskwie „trzeci” (po Rzymie właściwym i Konstantynopolu) Rzym, a więc światowe centrum cywilizacji chrześcijańskiej. Oznacza ona też fiasko forsowanej przez Putina – jako współczesnej formy rosyjskiego imperializmu – idei „ruskiego mira” jednoczącego prawosławnych Słowian.

Ale to tylko symbole, o których niewiele kto pamięta.

Rzeczywistość jest bardziej brutalna. Gdyby dziś skończyły się rządy Putina, przeszedłby do historii jako nieudacznik, który sprawił, że ze strefy wpływów jego ojczyzny wyszła najpierw Gruzja (zdobycz Katarzyny Wielkiej w 1783 roku), niegdyś przyjazna, a od wojny w 2008 roku wroga Moskwie, a teraz i Ukraina.

Pozbawiona tych „prowincji” Rosja przestaje być imperium, a Putin, jakkolwiek byśmy go demonizowali, w historii swego kraju może zająć miejsce obok Michaiła Gorbaczowa oskarżanego przez rodaków o rozmontowanie ZSRR. I ponosi za to pełną odpowiedzialność. Bo sam doprowadził do klęski imperium

swoim aroganckim podejściem do sąsiadów i wojennymi awanturami.

30.03.2019, sobota

MOSKWIE MARZY SIĘ NOWA JAŁTA

Rosja zmierza do klęski w trzeciej w swej historii zimnej wojnie. I będzie to przegrana bardziej bolesna niż dwie poprzednie.

Wydana ostatnio książka Władisława Inoziemcewa – wybitnego politologa, ekonomisty, czynnego polityka – *Kraj niewspółczesny* wywołała w Rosji gorące dyskusje. Podobnie będzie pewnie i w innych krajach, bo praca Inoziemcewa jest tłumaczona na inne języki. A powinna być lekturą obowiązkową dla tych wszystkich, którzy zachwycają się „potęgą” Putina i „sukcesami” jego kraju. Dla tych, którzy się Rosji boją, i tych, którzy stale straszą „wszechmocą” gospodarza Kremla.

Z jakiego korzenia wyrasta agresywna polityka Kremla na arenie międzynarodowej, która sprawia, że Zachód jest gotów wietrzyć „rosyjski ślad” we wszystkich destrukcyjnych procesach i złych zdarzeniach? Dzisiejsza polityka zagraniczna Moskwy, jak ocenia Inoziemcew, jest „niebywale historyczna”. Jej napastliwość bierze się stąd, że rządzący krajem ludzie kierują się głębokim poczuciem urazy i krzywdy wyrządzanej im przez świat.

„Rosja po tym, gdy stała się niemal trzydzieści lat temu krajem »drugiego świata«, ale wciąż mamiąca się wizją samej siebie jako supermocarstwa, nie jest w stanie wypracować adekwatnego do sytuacji programu działania na arenie międzynarodowej przede wszystkim dlatego, że nie potrafi wyobrazić sobie siebie jako potencjalnej części wspólnoty, w której główną rolę grać

mogliby inni, silniejsi partnerzy. To właśnie określa główną cechę zagranicznej polityki kraju – polityki »pokrzywdzonego«, który stara się nie tyle osiągnąć maksymalne korzyści ze swego działania, ile zademonstrować swą »niezależność« i »samodzielność«” – pisze Inoziemcew i przypomina wezwanie Władimira Putina z jego przemowy na międzynarodowej konferencji w Monachium w 2007 roku, którą uznaje się za ogłoszenie nowej zimnej wojny Rosji z Zachodem: „Nas nikt nie chciał słuchać. Posłuchajcie teraz”

Te same dramatyczne słowa prezydent Rosji, już w bardzo wojennej scenografii, powtórzył 1 marca zeszłego roku. Wtedy, występując z dorocznym orędziem do parlamentu i narodu, prezentował nowe rodzaje cudownej rosyjskiej broni, które jego zdaniem czynią kraj największą i niepokonaną potęgą militarną świata. „Nie chcieliście nas słuchać, no to teraz posłuchacie” – groził pełen emocji w moskiewskim Maneżu, dawnej ujeżdżalni gwardii carskiej, na tle kreskówek z rakietami zrzucającymi rój głowic jądrowych na Florydę, gdzie dom ma jego główny światowy partner Donald Trump.

Dziś zachodni świat widzi w Rosji gracza, który nie bardzo wiadomo w jakim celu chciałby burzyć porządek, siać zamęt, gdzie się tylko da – od Tbilisi po Waszyngton.

Autor *Kraju niewspółczesnego* uważa ten „destruktywny program działań” za „tragedię dzisiejszej polityki zagranicznej” Moskwy, wskazując, że jej cel jest tylko jeden, a przy tym nieracjonalny: „Rosja za wszelką cenę stara się dowieść, że jest *indispensable nation*, niezastąpionym graczem na arenie międzynarodowej, choć nie ma po temu żadnych podstaw. Ona chce przywrócić sobie dawne znaczenie i pozycję, wrócić do przeszłości, mimo że już nie spełnia kryteriów pozwalających

jej być supermocarstwem. Prowokacyjne działania Moskwy są nakierowane tylko na to, by za wszelką cenę zmusić oponentów do dialogu z Rosją”

Przy tym przedmiot tej rozmowy jest wielce „archaiczny”. Kreml chciałby powtórzyć to, co się stało w 1648 roku w Osnabrücku (zakończenie wojny trzydziestoletniej), w 1815 roku w Wiedniu i w 1945 roku w Jałcie, kiedy potężne państwa nad głowami narodów dzieliły między siebie strefy wpływów. Na powtórnej „konferencji jałtańskiej” Rosja broniłaby narysowanych przez siebie nie tylko na mapie, ale i wyrytych głęboko w przekonaniach swoich przywódców „czerwonych linii”, poza które Zachód ośmiela się dziś rozprzestrzeniać swoje wpływy.

Moskwa bowiem – zdaniem Inoziemcewa – nie przyjmuje do wiadomości, że „we współczesnej polityce nie przyjęto, by jedne państwa (np. USA i Rosja) decydowały o statusie innych (np. Ukrainy)”. Kreml jednak uparcie próbuje realizować swoje cele, które Inoziemcew ocenia jako XIX-wieczne.

O histeryczności polityki zagranicznej Rosji putinowskiej świadczą jej gwałtowne zakręty, zmiany taktyki i frontów.

Dzisiejszy prezydent blisko dwadzieścia lat temu zaczynał jako prozachodni niemal liberał i demokrat. Kiedyś Putin nazwał się nawet „najbardziej demokratycznym” politykiem i narzekał, że po tym, gdy umarł Mahatma Gandhi, nie ma już dla niego na świecie równego partnera do rozmowy.

Korzystał ze statusu Rosji jako członka grupy G8 przyznanego jej zaliczkowo w czasach Borysa Jelcyna jako wsparcie dla reform i demokratyzacji, które obiecywał wprowadzić ówczesny prezydent. W rzeczywistości wstęp do ekskluzywnego klubu przywódców światowych pozwalał Moskwie, co sobie ona wysoko ceni, grać we wciąż niby-radzieckiej, więc wyższej

kategorii wagowej niż ta, do której po rozpadzie ZSRR powinna należeć.

Putin już na własne konto zapisał sobie przegładanie się w oczach prezydenta George'a W. Busha i dostrzeganie tam „duszy”, a w 2002 roku, podczas uroczystej sesji Sojuszu Atlantycznego w Rzymie, podpisał się pod powołaniem stałej Rady Rosja-NATO, co miało być wstępem do przystąpienia jego kraju do Sojuszu. Podnosząc swą „wagę”, Rosja potem ogłosiła się „imperium energetycznym”, przywracając sobie tą deklaracją status supermocarstwa za pomocą swych gazo- i ropociągów regulujących życie Europejczyków.

Potem było dramatyczne i wyrażone już wprost przez Putina w Monachium: „Posłuchajcie nas”. Był jeszcze „zwrot na Wschód”, pozostające tylko na papierze plany skonstruowania trójkąta Moskwa – Pekin – Delhi, dzięki któremu, jak powtarzała propaganda kremlowska, Rosja gwałtownie przybrała na „wadze” jako członek sojuszu „jednoczącego prawie połowę całej ludzkości”. Wyglądało to imponująco, tym bardziej że głosiła tę tezę stolica kraju, którego ludność stanowi ledwie 1,6 procent mieszkańców Ziemi.

Inoziemce dowodzi, że te meandry wciąż miały ten sam cel – „przymuszenie zachodnich partnerów do dialogu”.

I w tym samym celu Moskwa ingeruje w wybory w Stanach Zjednoczonych, krajach Unii Europejskiej, sieje zamęt na świecie. Dlatego wplątała się w wojnę w Syrii, z której wypłatać się, choć Putin już niejedną raz ogłosił jej zakończenie, będzie jej bardzo trudno.

Próby utrzymania „wagi” poprzez pozostawienie w swojej orbicie dawnych satelitów, a sąsiadów w swojej strefie wpływów, biją Rosjan mocno po kieszeni. Pod rządami Putina

Moskwa po prostu darowała swym dawnym klientom na całym świecie długi warte w sumie 140 miliardów dolarów. A wśród dłużników byli nie tylko kompletni bankruci, jak Kuba (31,7 miliarda dolarów), lecz choćby bogate dzięki koniunkturze naftowej Algieria i Libia, które w chwili, kiedy gospodarz Kremla okazywał im wielkoduszność, wydobywały w sumie 3,8 miliona baryłek rekordowo wtedy drogiej ropy dziennie.

Pomoc gospodarcza udzielona Białorusi za Putina oceniana jest w sumie na 100 miliardów dolarów, czyli 0,65 procent całego PKB Rosji w tym samym czasie, a więc więcej niż kraj donator wydaje na swoją kulturę. „Białoruskie” krocie mogą jeszcze zaprocentować, bo być może wkrótce Moskwie uda się inkorporować sąsiedni kraj.

Ale 3 miliardy dolarów, które pod koniec 2013 roku Putin dał prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Janukowyczowi za rezygnację jego kraju z podpisania umowy stowarzyszeniowej z Unią, przepadły. Na szczęście dla Moskwy Janukowycz upadł, zanim Rosjanie zdążyli mu przekazać pozostałe 12 miliardów dolarów kredytu obiecanego przez Putina tuż przed jego ucieczką z Kijowa.

W swej pracy Inoziemcew dużo uwagi poświęca zmianom realnej „wagi” Rosji na arenie międzynarodowej. W 1980 roku, kiedy ZSRR był prawdziwym supermocarstwem, jego PKB wynosił 1,2 biliona dolarów. Był o jedną trzecią większy niż PKB RFN i cztery razy niż PKB graniczących ze Związkiem od wschodu Chin. Ich PKB doszedł dziś do poziomu 12 bilionów dolarów, a od zachodu Rosja graniczy teraz z Unią, która nawet bez Zjednoczonego Królestwa daje produkt wart 14,5 biliona dolarów – dziewięć razy większy niż rosyjski.

Branże, które dawały ZSRR czołową pozycję w świecie, w Rosji więdną. W 1988 roku w kraju wyprodukowano 194 samoloty dla

lotnictwa cywilnego. Dwa lata temu – trzydzieści. Zmniejsza się udział Rosji w rynku węglowodorów. Kiedy ZSRR upadał, terytorium dzisiejszej Federacji dawało prawie 30 procent wydobywanego na świecie gazu ziemnego. Dziś ten wskaźnik zmalał niemal o połowę.

Ostrożnie należy też podchodzić do deklaracji o modernizacji armii rosyjskiej. W latach osiemdziesiątych Uralwagonzawod dawał siłom zbrojnym około 1500 nowoczesnych wtedy czołgów rocznie. Dziś ten wielki kombinat nie jest w stanie wprowadzić do produkcji rewelacyjnych podobno czołgów T-14 Armata, które powinny stać się podstawową *maszyną* bojową armii Rosji. Zajął się więc masową modernizacją starych czołgów T-90.

W epoce Putina w kraju zlikwidowano 7,5 tysiąca szpitali i przychodni. Dziś w 17,5 tysiąca miejscowości nie ma żadnej placówki służby zdrowia. Jeśli nawet w dużym mieście zdarzy się katastrofa, jak ostatnio w Magnitogorsku (wybuch najprawdopodobniej gazu w bloku mieszkalnym, w wyniku którego zginęło trzydzieści dziewięć osób), poważnie poszkodowanych wieść trzeba do Moskwy. W takim samym tempie jak placówki służby zdrowia prowincja traci szkoły.

Rzeczywistej „wagi” Rosja putinowska przez ostatnie pięć lat nie nabiera, lecz raczej ją traci. Jej PKB zwiększał się w tym czasie, jeśli wierzyć często upiększającym rzeczywistość statystykom oficjalnym, o 1 procent rocznie, czyli rósł trzy razy wolniej niż światowy.

Świadomość tego, że dystans do partnerów szybko rośnie, sprawia, że potęguje się agresywność urażonych ludzi Kremla.

„Rosja wpadła w wir demodernizacji” – pisze Inoziemcew, prognozując, że odwrócić nurtu spychającego kraj na pobocze panujący dziś w Rosji ustrój nie pozwoli. O modernizacji nie

może być mowy tam, gdzie gospodarka „siedzi na igle naftowej”, czyli jak narkoman od swojej „działki” uzależniona jest od ceny baryłki ropy, na którą Moskwa nie ma wpływu.

A z kolei na rencie węglowodorowej siedzi nie tylko budżet państwa, ale też cała elita rządząca krajem. Ona czuje się gospodarzem surowcowych aktywów. Kiedy ceny na rynkach światowych są wysokie, nawet myśleć nie chce o reformach i zmianach, bo i tak jest dobrze. A kiedy spadają, nie ma pieniędzy na finansowanie niezbędnych przemian.

Ludzie Putina bronią więc i bronić będą status quo, konserwować istniejący dziś porządek, sprawiając, że Rosja coraz bardziej będzie się stawać krajem „niewspółczesnym”.

Spory wkład w zachowanie wszystkiego, jak jest, wnosi tradycyjnie zblatowana z państwem Rosyjska Cerkiew Prawosławna, która cenzuruje nawet utwory Puszkina, a jej patriarcha Cyryl ostrzega rodaków przed Antychrystem, który zapanuje nad światem, jeśli obywatele pozwolą mu nabrać mocy, korzystając z internetu. Cerkiew, działając ręką w rękę z państwem, dopomina się o przywrócenie do życia społecznego norm zapisanych w *Domostroju*, zbiorze średniowiecznych zasad zakładających choćby pełne podporządkowanie żony mężowi.

Utrzymywać porządki konserwatywne pomaga bardzo niebezpieczny nie tylko dla Rosji kurs na militaryzację życia społecznego. „Dziś Kreml usiłuje sztucznie »obniżyć próg« obaw obywateli przed wojną, przyzwyczaić ich do myśli, że ona jest czymś dopuszczalnym” – ocenia Inoziemcew.

Wysocy oficerowie twierdzą, że ich wielkiego kraju nie da się zniszczyć nawet bronią jądrową. Przedstawiciele Cerkwi zapewniają, że „wojna oczyszcza” narody. Sam prezydent obiecuje poddanym, że jeśli zginą w nuklearnej apokalipsie, od razu trafią

do raju. I nic dziwnego, że Rosjanie powtarzają hasło: „Możemy powtórzyć” (marsz na Europę, jak w 1945 roku), i akceptują ogromne wydatki na armię.

Ustrój, który powstał w takich warunkach, autor *Kraju niewspółczesnego* ocenia jako „miękki faszyzm” podobny do zaprowadzonego we Włoszech przez Mussoliniego. Buduje go poczucie „krzywdy”, kult siły, imperium czy męskości. Rządzący obóz głosi, że dominująca w wielonarodowym społeczeństwie nacja rosyjska jest centrum szczególnego „ruskiego świata”.

Szerzy się mit o niezwykłym rosyjskim „kodzie genetycznym”, dzięki któremu Rosjanie są obdarzeni zdolnościami, jakich nie mają przedstawiciele innych narodów. Ten znakomity „kod” starają się podobno rozszyfrować wrogowie, w co wierzy sam Putin. Za jego rządów zakazano wywozić z Rosji „biomateriały”, bo za ich pomocą ciemne siły mogłyby opracować formułę broni szkodzącej tylko nosicielom „rosyjskiego kodu genetycznego”.

Według Inoziemcewa Moskwa toczy teraz trzecią już w swej historii zimną wojnę. Do pierwszej doszło w pierwszej połowie XIX wieku, kiedy Rosja Mikołaja I, grając rolę żandarma Europy, starała się zakonserwować reakcyjny porządek na kontynencie. Konfrontacja skończyła się klęską osamotnionego i zdradzonego przez sojuszników imperium w pierwszej wojnie krymskiej. Druga zimna wojna doprowadziła do rozpadu i upadku ZSRR.

A trzecia, „w którą wbrew elementarnej logice i własnym interesom wplątujemy się sami”, tym się różni od poprzednich, że Rosja „pod względem potencjału ekonomicznego tym razem jest znacznie słabsza nie tylko od swego głównego konkurenta (jeśli uważać, że są nim Stany Zjednoczone), ale i najbliższego sąsiada – Unii Europejskiej”.

„Nie ma więc podstaw do tego, by spodziewać się, że nowa zimna wojna skończy się inaczej niż poprzednie” – zapowiada Inoziemcew. Jej skutkiem będzie zapewne klęska Moskwy i głęboki kryzys w kraju.

29.04.2019, poniedziałek

OBRZYDZANIE UKRAINY

Władimir Putin do tej pory nie pogratulował zwycięstwa nowemu prezydentowi Ukrainy Wołodomyrowi Zełenskiemu. Działa wbrew swemu nawykowi.

Świat pamięta, jak się ośmieszył, kiedy w 2004 roku dwukrotnie przedwcześnie winał wygraną swemu podopiecznemu Wiktorowi Janukowyczowi. W przypadku Petra Poroszenki, czego się nie wspomina, pięć lat temu też nie zwlekał i zaraz po ogłoszeniu wyniku wyborów prezydenckich z gratulacjami pośpieszył.

Wtedy jednak z nowym przywódcą sąsiedniego kraju, choć Moskwa i Kijów były w stanie gorącej wojny, Kreml wiązał spore nadzieje. Bo on jako oligarcha, miliarder widziany był przez rządzących Rosją jako człowiek klasowo im bliski, zainteresowany przede wszystkim zarabianiem, gotowy za pieniądze, jak oni, wszystko kupić i sprzedać. Te nadzieje okazały się płonne. Poroszenko „zawiódł” i stał się wrogiem nr 1.

Zełenskiego Rosjanie jeszcze nie rozgryźli, ale jedno wiedzą. On „klasowo” jest daleki politycznym elitom moskiewskim. Sam młody, opiera się na młodych, wykształconych prozachodnich wyborcach, a ta publiczność w gospodarzach Kremla budzi lęk.

Nowego prezydenta Ukrainy kremlowscy, mówiąc ich ulubioną gwarą więzienną, „prasują”, czyli z kopyta zaczęli poddawać ciężkim próbom. „Usta Putina” (czyli jego rzecznik

Dmitrij Pieskow) już ogłosiły, że szef wprawdzie „szanuje wybór narodu ukraińskiego”, ale z depeszą gratulacyjną poczeka na to, by Zełenski coś tam „udowodnił” i poczynił „konkretne kroki”.

Naiwni w Kijowie oczekiwali, że być może Moskwa zdobędzie się na wielkoduszność i „zaliczkowo” zdecyduje się na jakiś szlachetny gest wobec nowego przywódcy „bratniego narodu”. Roiło im się choćby uwolnienie wziętych do niewoli w Cieśninie Kerczeńskiej żołnierzy ukraińskiej marynarki wojennej, których Rosjanie traktują jak przestępców kryminalnych.

To jednak nie w stylu mściwego gospodarza Kremla, bo on zdecydował się zainaugurować rządy ukraińskiego kolegi nie wyciągnięciem ręki, lecz wymachiwaniem pięścią.

Zaczął od przerwania dostaw paliw z Rosji do Ukrainy. Trzy dni po zwycięskiej dla Zełenskiego drugiej turze wyborów Putin ogłosił, że mieszkańcy kontrolowanych przez rosyjskich najemników rejonów Donbasu praktycznie automatycznie mogą otrzymać obywatelstwo Rosji i wszelkie związane z tym przywileje.

Nie muszą jak inni przez trzy lata legalnie przebywać w Federacji, potem przez jeszcze co najmniej dwa przechodzić przez trudne, poniżające procedury, zdawać egzaminów, by otrzymać upragniony paszport. Wystarczy, że zechcą, złożą przysięgę na wierność nowej ojczyźnie i nie ruszając się z rodzinnych okolic, staną się Rosjanami.

Taka masowa i łatwa „paszportyzacja” to, jak wskazuje doświadczenie ostatnich lat, zjawisko złowrogie. Moskwa przez lata rozdawała swoje paszporty mieszkańcom Abchazji i Osetii Południowej po to, by w 2008 roku siłą oderwać obie prowincje od Gruzji pod pretekstem obrony praw zasiedlających regiony jej obywateli.

Teraz prezydent Rosji znów zapewnia świat, że „paszportyzacja” Donbasu jest sposobem na zapewnienie praw „rosyjskojęzycznych” i nie jest związana z planami kolejnej agresji.

W piątek z Pekinu Putin mydlił też oczy swym poddanym. Pytano go tam na konferencji prasowej, czy Rosja, która z powodu kryzysu musiała podnieść wiek emerytalny, jest w stanie wziąć na utrzymanie choćby emerytów z Ukrainy. Odpowiedział, że obywatele Federacji na pewno się na to zgodzą, a koszty będą niewielkie. – Około 100 miliardów rubli przez kilka lat – oszacował.

Bardzo to zaniżył. W Donbasie jest około miliona emerytów. Minimalna emerytura rosyjska wynosi prawie 9 tysięcy rubli. Na wypłaty dla nowych Rosjan tylko przez rok owych 100 miliardów rubli nie wystarczy.

A to ogromna suma dla biedniejszego już szósty rok społeczeństwa. Niedawno rządowa służba statystyczna ku wściekłości Kremla ogłosiła, że co trzeci Rosjanin nie może sobie pozwolić na kupienie zimowej i letniej pary butów. 100 miliardów rubli, które pójdą na Donbas, wystarczyłoby na obucie tych ludzi przynajmniej na zimę.

Kreml ma jednak jeszcze ambitniejsze plany niż tylko rusyfikacja Donbasu. Putin w stolicy Chin ogłosił, że rozważa zaproponowanie mieszkańcom wszystkich regionów Ukrainy przyjęcia obywatelstwa Rosji. Dodawał, że to nic nadzwyczajnego, bo przecież „uproszczony schemat wydawania paszportów wprowadziły liczne kraje, w tym Węgry, Rumunia i Polska”.

Jako „paszportyzację” w naszym przypadku przedstawił absolutnie niesłusznie praktykę wydawania Karty Polaka. Jej

właściciel nie staje się przecież obywatelem RP, nie składa przysięgi na wierność Najjaśniejszej.

Zelenski jeszcze nie zaczął swej prezydentury, a już stawiany pod ścianą przez sąsiada musi szykować odpowiedzi na trudne wyzwania – kryzys paliwowy, próby bezceremonialnej rusyfikacji i co tam jeszcze na Kremlu wymyślą. A wymyślać i prowokować będą.

Jak zauważa Dmitrij Badowski kierujący fundacją ISEPI, samo wybranie Zełenskiego na „prezydenta z narodu” nie jest dla przywódców Rosji przykładem, za jakim mogliby pójść ich poddani. Mechanizmy polityczne u nich są bardzo dalekie od ukraińskich i żadnego „przypadkowego” kandydata do wyborów nie dopuszczają.

Groźny dla niej byłby, i to bardzo, sukces kraju kierowanego przez nowego prezydenta. „Gdyby się udało pokazać, że Ukraina nie jest państwem kalekim, lecz udanym modelem rozwoju, wtedy przestałaby być negatywnym przykładem tego »jak żyć nie należy«, i stałaby się kuszącym obrazem przyszłości” – napisał ekspert w dzienniku „Wiedomosti”

Natomiast Nikołaj Pietrow z fundacji Carnegie przypomina, że w sytuacji, kiedy władze Rosji nie są w stanie zapobiec pogarszaniu się sytuacji na własnym podwórku, muszą mieć tuż za miedzą kogoś, komu się wiedzie jeszcze gorzej.

– Każda stabilizacja, normalny rozwój Ukrainy wywołują silny wpływ na wewnętrzną politykę rosyjską. Trzeba ją kimś zastąpić, podsunąć obywatelom inny postrach, który będzie przekonywał, że u nas nie jest jeszcze najgorzej – ostrzega Pietrow.

27.01.2020, poniedziałek

PUTIN PISZE ROSJĘ NA NOWO

W kraju znika trójpodział władzy. Duma jednogłośnie przyjęła w pierwszym czytaniu podsunęte jej przez Władimira Putina dwadzieścia dwie fundamentalne poprawki do konstytucji. W Moskwie mówią, że to „zamach stanu”.

Najważniejsze zmiany zatwierdzone w pośpiechu, bez debat w sposób bezprecedensowy zwiększają uprawnienia prezydenta, podporządkowują mu sędziów, likwidują samodzielność samorządów. To wszystko kojarzy się Rosjanom z szóstym punktem wpisanym do konstytucji ZSRR w 1977 roku, a mówiącym o „kierowniczej roli Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego”. Tyle tylko, że teraz w tej roli ma występować Putin.

Manewr Kremla jest przeprowadzony w klasycznym putinowskim stylu – jako przygotowana od dawna w tajemnicy operacja specjalna z elementami politycznego cyrku.

Prezydent w swoim dorocznym orędziu 15 grudnia, mówiąc najpierw, że nie widzi potrzeby zmieniania konstytucji przyjętej w referendum w 1993 roku, zapowiedział, że zmiany jednak będą, a zaproponuje je specjalna komisja społeczna.

Kilka godzin później na oficjalnej stronie Kremla ukazał się jego dekret o powołaniu siedemdziesięciopięciosobowej „grupy roboczej do opracowania poprawek do konstytucji Federacji Rosyjskiej”. Tylko co piąty jej członek okazał się prawnikiem, a zaledwie jeden konstytucjonalistą. Większość stanowili

popularni celebryci, reżyserzy, aktorzy, sportowcy, z rekordzistką świata w skoku o tyczce Jeleną Isinbajewą. W grupie znaleźli się też Kozacy, rolnicy i inni przedstawiciele mas pracujących miast i wsi.

Pięć dni później złożona w większości z dyletantów grupa na drugim roboczym spotkaniu przygotowała „swoją” propozycję od razu dwudziestu dwóch poprawek, które – w rzeczywistości gotowe – podsunęli jej kremlowscy prawnicy. Chwilę potem prezydent przekazał „społeczny” projekt niższej izbie parlamentu. Od razu zaakceptowały go komisje Dumy. A już w piątek, dziewięć dni po zaskakujących zapowiedziach Putina o przenicowaniu najwyższego prawa, izba 432 głosami (nikt się nie wstrzymał, nikt nie był przeciw) w pierwszym czytaniu przyjęła wszystko.

Duma zapowiada, że wkrótce będą następne dwa podejścia – by ogólnonarodowe głosowanie w sprawie zmian ustroju państwa mogło się odbyć 19 kwietnia. Początkowo mówiono o 12 kwietnia, czyli Dniu Kosmonautyki (rocznica lotu Jurija Gagarina), ale w tym roku akurat wtedy wypada prawosławna Wielkanoc.

Jak się okazuje, Putin mówił w orędziu językiem jak z Orwella, który pisał, że „wojna to pokój”, a „wolność to niewola”. Bo najpierw dowodził, że konstytucji zmieniać nie należy, a zaraz potem, że potrzeba ją skorygować natychmiast, i to od razu w dwudziestu dwóch miejscach (do konstytucji USA w jej całej 233-letniej historii wprowadzono dwadzieścia siedem poprawek, debata nad ostatnią trwała 200 lat).

Gospodarz Kremla zapowiadał w orędziu zmniejszenie uprawnień prezydenta. Obserwatorzy na gorąco orzekli więc, że Rosja z republiki prezydenckiej przekształca się w prezydencko-

parlamentarną. Tymczasem z tego, co urzędnicy administracji Putina podsunęli „komisji roboczej”, a Duma już wstępnie klepnęła, wynika coś zupełnie przeciwnego.

Redaktor naczelny Radia Echo Moskwy Aleksiej Wieniediktow w sobotnim przeglądzie wydarzeń tygodnia ocenił, że Rosja w rzeczywistości staje się republiką „superprezydencką”.

15 stycznia Putin obiecywał zwiększenie uprawnień Dumy. Teraz się okazuje, że odbiera jej najważniejszy instrument ostatecznego decydowania o sprawach kraju – możliwość przełamania prezydenckiego weta.

Dziś, jeśli Duma i Rada Federacji większością „konstytucyjną” odrzuciłyby sprzeciw prezydencki (teoretycznie jest to możliwe, choć przy Putinie trudno to sobie wyobrazić), przywódca państwa musi podpisać zawetowaną przez siebie ustawę. Teraz jednak, zgodnie ze zmianami, będzie się mógł odwołać do sądu konstytucyjnego.

A ten jedenastoosobowy (zostanie zredukowany z dzisiejszych dziewiętnastu sędziów) najwyższy organ władzy sądowniczej w istocie rzeczy ma być mu podporządkowany. To prezydent wspólnie z Radą Federacji, w większości złożoną z reprezentantów administracji, będzie i powoływał, i odwoływał członków sądu konstytucyjnego.

Dziś są mianowani na dwanaście lat (mogą sprawować funkcję do osiągnięcia siedemdziesiątego roku życia). Odwołać któregoś z nich przed terminem – i to wyłącznie za postępek niezgodny ze statusem sędziego – ma prawo jedynie sąd konstytucyjny.

Większe miały być też uprawnienia rządu. I znowu, jak u Orwella, większe okazuje się mniejszym. Kandydata na premiera nadal wskazywać będzie prezydent. Szef rządu ma

samodzielnie (co jest novum) dobierać sobie kandydatów na ministrów, których zatwierdzać będzie Duma.

Ale nie wszystkich. Okazuje się, że szefowie resortów siłowych (w tym MSZ) praktycznie będą od premiera niezależni. Teraz samodzielnie ma ich wyznaczać – i to bez konsultacji – prezydent.

A gdyby szef rządu próbował się nie zgadzać z przywódcą państwa, ten może go w każdej chwili odwołać za stanowiska „w związku z utratą zaufania”, a więc bez żadnych wyjaśnień.

Do punktu 133. konstytucji dopisywana jest część trzecia, która brzmi: „Organy samorządu miejscowego i organy władzy państwowej wchodzi w skład jednej władzy publicznej”.

To oznacza definitywny koniec niezależności i tak już słabych, bo przy Putinie stale pozbawianych realnej władzy, samorządów.

Za zmianą konstytucji pójdą bowiem także zmiany w innych ustawach. Jak ostrzega Roman Pietuchow z Ośrodka Socjologicznego Rosyjskiej Akademii Nauk, władze będą dalej zmierzać w kierunku, który wyznaczyły cztery lata temu, postanawiając, że merowie miast nie będą wybierani przez mieszkańców, lecz wyznaczani przez administrację wyższego szczebla, albo wcześniej stopniowo zmniejszając wpływy z podatków do kas samorządowych.

Razem z de facto nową konstytucją prezydent obiecuje rodakom hojne podarki.

Będą spore zasiłki na dzieci w wieku do siedmiu lat z biednych rodzin (równowartość około 320 złotych miesięcznie). Już za urodzenie pierwszego (obecnie dopiero za drugie i następne) matka będzie otrzymywać „kapitał macierzyński”, czyli około 26,9 tysiąca złotych. Każdy weteran na 9 maja, czyli w siedemdziesiątą piątą rocznicę zwycięstwa nad Niemcami, ma otrzymać równowartość 4,7 tysiąca złotych. Tych, którzy walczyli

z hitlerowcami, zostało dziś w Rosji sześćdziesiąt sześć tysięcy, ale „zwycięska” premia należy się tym razem wszystkim, którzy brali udział we wszelkich wojnach, nie tylko światowej, w których ZSRR i Rosja uczestniczyły otwarcie lub w tajemnicy. A to 1,6 miliona osób.

Wśród poprawek do konstytucji jest zobowiązanie państwa do regularnego indeksowania emerytur. A to również skłoni wielu obywateli do głosowania za zmianami.

Staje się jasne, dlaczego Kreml od lat gromadził pieniądze w państwowych skarbonkach. Na kontach rezerwowych, takich jak Fundusz Narodowego Dobrobytu, władza uparcie umieszczała wszelkie nadwyżki, chociaż brak pieniędzy na rynku i w państwowej kasie pogłębiał kryzys ekonomiczny. Teraz dzięki tym długotrwałym zabiegom Putin ma za co kupić głosy za poprawkami do konstytucji.

Znana politolog Lilia Szewcowa zastanawia się, dlaczego „Putin nam urządził przewrót”. Czy znalazł już kogoś, komu ufa na tyle, że może go posadzić na fotelu superprezydenta, kiedy w 2024 roku skończy się jego ostatnia kadencja, by rządzić z tylnego fotela jako szef rady państwowej (jej rola jako organu określającego politykę wewnętrzną i zagraniczną państwa ma być też wpisana do konstytucji)? A może – wbrew temu, co obiecywał w orędziu – zostanie na tronie kremlowskim także po 2024 roku?

Odpowiedzi na to, dokąd prezydent chce zaprowadzić swój naród, ani Szewcowa, ani inni obserwatorzy dać nie potrafią. Rozwiązanie tajemnicy tkwi wyłącznie w głowie Władimira Putina.

2.07.2020, czwartek

DZIKIE REFERENDUM

Wynik plebiscytu, który miał zatwierdzić zmiany w konstytucji i zdecydować o przedłużeniu rządów Władimira Putina, był z góry określony. Głosy miało oddać co najmniej 55 procent uprawnionych, a nie mniej niż trzy piąte z nich zgodnie z planem miało być „za”.

Maszyna propagandowa starała się nie przypominać narodowi, jaki jest najważniejszy cel poprawiania ustawy zasadniczej. Rosjanie z oficjalnych mediów dowiadawali się wciąż, że dzięki poprawkom (w sumie 206 istotnych i kosmetycznych) państwo zobowiąże się do regularnej indeksacji emerytur i wypłat socjalnych, w konstytucji znajdą się wiara w Boga, przywiązanie do tradycji radzieckiej, obrona rosyjskiej wersji historii i duma ze zwycięstwa nad III Rzeszą. Poprawki miały też zagwarantować, że za małżeństwo uważać się będzie zawsze związek kobiety i mężczyzny. Słowem – wszystko to, co bliskie sercu najbardziej konserwatywnych a szerokich kręgów społecznych.

O tym, że głosowanie ma umożliwić tracącemu dziś popularność Putinowi rządzenie do 2036 roku (będzie miał wtedy osiemdziesiąt cztery lata), w materiałach propagandowych nie mówiło się z zasadzie nic.

To głosowanie pierwszy raz w historii Rosji trwało nie jeden dzień, lecz tydzień. Przez sześć dni od 25 czerwca trwało

głosowanie przedterminowe i przez internet. 1 lipca, który Putin ogłosił dniem wolnym, był finał – już przy urnach w zwyczajnych lokalach wyborczych.

Elektorat do udziału w głosowaniu zachęcano na wszelkie sposoby. Władze Moskwy przeznaczyły 10 miliardów rubli (około 550 milionów złotych) na milion nagród dla tych, którzy wezmą udział w plebiscycie. Prawdopodobieństwo wygrania bonu na zakupy w którymś z marketów, biletu do kina, teatru lub na koncert albo zaproszenia do restauracji było bardzo wysokie. W stolicy mieszka bowiem siedem milionów uprawnionych do głosowania.

Komisje wyborcze bardzo twórczo podeszły do zalecenia, by ze względu na epidemię koronawirusa organizować punkty głosowania na wolnym powietrzu.

We Władywostoku na osiedlu mieszkaniowym lokalem wyborczym okazał się bagażnik samochodowy. W Twerze urnę woził zwyczajny miejski autobus. W Omsku głos można było oddać na stadionie. Mieszkańcy wioski Komarowka w obwodzie uljanowskim karty do głosowania wrzucali do przenośnej urny stojącej na pniu ściętego drzewa.

Ełła Pamfiłowa, szefowa Centralnej Komisji Wyborczej, przekonuje, że głosowanie na pniu czy kamieniu jest zgodne z prawem obowiązującym w czasie epidemii. Chodzi bowiem o ochronę życia i zdrowia obywateli.

W takich prowizorycznych miejscach głosowania nie było jednak ani obserwatorów, ani mężów zaufania. Urnę przywoził i zabierał samotny wysłannik komisji wyborczej. Głosujących rejestrował na miejscu, nie żądając nawet okazania dokumentów. Dziennikarz Pawieł Łobkow, sprawdzając liczne pogłoski o tym,

że ci sami ludzie głosują po kilka razy, bez problemu wziął udział w plebiscycie dwukrotnie. Kiedy to ogłosił, odwiedziła go policja.

Dokąd wędrowały karty z przenośnych urn i kto je dalej liczył – nie wiadomo.

W środę z wielu miejsc w Rosji dochodziły sygnały, że za wyborców, którzy przyszli do lokali wyborczych, ktoś głosował już wcześniej. Władze nie przejmowały się jednak takimi informacjami i w południe czasu moskiewskiego okazało się, że postawiony przez Kreml cel dotyczący 55-procentowej frekwencji już został osiągnięty.

W środę ośmiu opozycjonistów zaprotestowało na placu Czerwonym przeciw „wiecznym rządóm” Putina. Ze swoich ciał ułożyli na bruku cyfry 2036. Policja błyskawicznie ich zatrzymała. W Rosji, gdzie organizuje się defilady wojskowe, z udziałem widzów przeprowadzane są mecze futbolowe, demonstracje uliczne z powodu zagrożenia epidemiologicznego są wciąż zabronione.

Znana politolog Jekatierina Szulman tak oceniła przebieg plebiscytu konstytucyjnego: – Można było zakładać, że głosowanie będzie dziwne, ale że będzie wyglądać aż tak dziko, przewidzieć było trudno.

21.08.2020, piątek

NAWALNY WALCZY O ŻYCIE

Lekarze próbują uratować życie Aleksieja Nawalnego. Najbardziej dziś rozpoznawalny opozycjonista w Rosji najpewniej został otruty.

– Powiedział, że czuje się źle, poprosił o chusteczkę, wytarł pot z twarzy. Poprosił, by do niego mówić, bo chce się skoncentrować na dźwięku głosu. Zapytałam, czy chce wody. Odmówił, powiedział, że musi do toalety. Wstał, odszedł i upadł – opowiedziała rzeczniczka Aleksieja Nawalnego Kira Jarmysz, towarzysząca mu w podróży z Tomsku do odległej o 3,3 tysiąca kilometrów Moskwy.

Pasażerowie samolotu z przerażeniem przyglądali się, jak znany wszystkim polityk wije się na podłodze z bólu i krzyczy.

Żałoga zdecydowała się lądować w Omsku. Tu pasażer został przewieziony na oddział reanimacyjny szpitala Pogotowia Ratunkowego nr 1.

Jak poinformowała obwodowa administracja medyczna, oddycha dzięki respiratorowi, jest w śpiączce. Jego stan określono jako ciężki, z czasem dodano – stabilny.

Lekarze, z którymi udało się porozmawiać dziennikarzom, informowali, że rzeczywiście walczą o życie pacjenta. O przyczynach jego nagłej choroby mówić jednak nie chcieli.

Administracja szpitala początkowo nie pozwoliła żonie polityka, Julii, i jego lekarzowi, którzy przylecieli z Moskwy,

zobaczyć się z pacjentem. Nie udostępniła też im dokumentacji medycznej Nawalnego. Dopiero wieczorem pod naciskiem mediów Aleksandr Murachowski, naczelnny lekarz szpitala, poinformował, że „zorganizuje wizytę” Julii w sali męża.

Pod szpitalem i na jego korytarzach dyżurują patrole policyjne, strzeże go też OMON.

Medycy nie określają jednoznacznie, co było przyczyną nagłego załamania się zdrowia czterdziestoczteroletniego krzepkiego mężczyzny. Lekarze przypuszczają, że pewnie było to zatrucie.

Policja wszczęła dochodzenie. Skrupulatnie bada bagaż polityka oraz miejsca, w których ostatnio przebywał.

Śledczy starannie przyjrzeni się Kawiarni Wiedeńskiej na lotnisku Tomska. Tu Nawalny przed wylotem wypił filiżankę herbaty. Jak zapewnia Jarmysz, w czwartek rano polityk nic innego nie pił. Nic też nie jadł.

Z tego, co wyciągnęła od lekarzy, zanim władze nakazały im milczenie, wynika, że jej szef został otruty czymś, co zostało mu podane w gorącym płynie i dzięki temu nadzwyczaj szybko rozprzestrzeniło się w organizmie.

Sam Nawalny niedawno miał epizod z tajemniczą trucizną. W lipcu ubiegłego roku, kiedy w Moskwie dochodziło do gwałtownych protestów przeciwko niedopuszczeniu kandydatów opozycyjnych do wyborów do stołecznej Dumy, Nawalnego jako najbardziej aktywnego przywódcę opozycji przewencyjnie zamknięto w areszcie. Tam nagle poważnie zachorował. W ciężkim stanie został przetransportowany do szpitala. Oficjalnie ogłoszona diagnoza mówiła o ataku alergii. Sam polityk, który nie cierpi na żadne uczulenie, jest przekonany, że w areszcie został otruty.

Opozycjonista jest niebezpieczny dla władzy, bo pokazał już, że nawet w warunkach pełnego podporządkowania Kremlowi życia publicznego da się działać.

Siedem lat temu Putin dopuścił go do udziału w wyborach mera Moskwy. Cel intrygi był jasny – Kreml spodziewał się, że opozycjonista, którym od dawna straszy naród, poniesie sromotną klęskę, uzyskując żałosny ułamek procentu głosów, i po takiej kompromitacji zniknie ze sceny politycznej.

Okazało się jednak, że zdobył dwa razy większe poparcie niż wszyscy razem wzięci kandydaci „opozycji systemowej” i tylko dzięki cudom nad urną faworyt Jednej Rosji Siergiej Sobianin uniknął drugiej tury, w której musiałby stanąć oko w oko z prawdziwym opozycjonistą.

Od tej pory Kreml nie dopuszcza Nawalnego do żadnych wyborów i tradycyjnie już, kiedy zaczyna się jakaś kampania, pakuje go prewencyjnie do aresztu.

Sam Władimir Putin i ludzie z jego otoczenia nie wymawiają nazwiska Nawalnego. – Jak dawni Żydzi, którzy z lęku przed Panem też nie wymawiali jego imienia – drwi opozycjonista.

I nawet teraz w sytuacji dramatycznej Kreml nie odszedł od tej tradycji. Dmitrij Pieskow, rzecznik Kremla, zapowiedział, że jeśli „obywatela Federacji Rosyjskiej” będzie trzeba i można przewieźć do którejś z klinik na Zachodzie, władze pomogą.

Nazwiska „Nawalny” przy tym jednak nie wymówił.

3.02.2021, środa

NAWALNY SKAZANY ZA TO, ŻE PRZEŻYŁ

Władimir Putin posłał swojego głównego konkurenta politycznego Aleksieja Nawalnego do łagru. Na mocy wtorkowego werdyktu sądu opozycjonista będzie siedzieć trzydzieści jeden miesięcy, ale Kreml szykuje mu kolejne wyroki.

Po całodzienniej rozprawie, która toczyła się w siedzibie Moskiewskiego Sądu Miejskiego, sędzia Natalia Repnikowa ogłosiła, że odwiesza wyrok z 31 grudnia 2014 roku, na mocy którego polityk został skazany na 3,5 roku w zawieszeniu za rzekome oszustwo. Jego wina ma polegać na tym, że łamał zasady narzucone mu jako warunki zawieszenia wykonania kary i nie stawiał się w porę w Federalnej Służbie Wykonania Kar na rozmowy kontrolne.

Proces odbywał się w atmosferze absurdu. Wyrok sprzed sześciu lat został już dawno zdyskwalifikowany przez Europejski Trybunał Praw Człowieka, który kazał Moskwie wypłacić Nawalnemu i sądzonemu z nim jego bratu Olegowi 76 tysięcy euro odszkodowania. Władze Rosji pieniądze wypłaciły, tym samym godząc się z decyzją europejskich sędziów.

Nawalny nie stawiał się na rozmowy kontrolne wiosną ubiegłego roku, kiedy zaczęła się pandemia, ale Kreml go za to

nie ścigał, lecz – jak dziś wiadomo – planował wówczas, że zabije opozycjonistę.

Sprawa została odkurzona, kiedy Nawalny przeżył otrucie nowiczokiem przez agentów FSB (zostali szybko zdemaskowani przez ekipę opozycjonisty), wrócił do zdrowia i zapowiedział, że wraca do kraju. Władze, próbując temu zapobiec, ogłosiły, że będą go sądzić, bo nie stawiał się w FSWK w czasie, kiedy oficjalnie leczył się w Niemczech i się tam ukrywał, co też jest absurdem, bo same korespondowały z rekonwalescentem.

Po powrocie do kraju polityk został natychmiast aresztowany.

Przed sądem Nawalny zachował się tak jak kiedyś bojownicy z caratem i najodważniejsi radzieccy dysydenci. Zamienił salę rozpraw w trybunę, wygłaszając śmiałą mowę, w której oskarżał Putina.

W swym ostatnim słowie mówił między innymi: „Przyczyną tego, że jestem sądzony, jest nienawiść i strach jednego człowieka żyjącego w bunkrze. Wynikają one z tego, że przeżyłem, choć na jego rozkaz próbowano mnie zamordować bronią chemiczną”.

Następnie dodał: „A potem obraziłem go jeszcze bardziej, bo nie ukryłem się w jakimś bunkrze mniejszym niż jego bunkier. A dalej doszło do czegoś jeszcze strasznego. Wziąłem udział w wyjaśnieniu swojego własnego otrucia. I dowiedliśmy, że to właśnie Putin, wykorzystując Federalną Służbę Bezpieczeństwa, dokonał tej próby zabójstwa. I nie tylko ja miałem być ofiarą. Dziś wielu wie już o tym i wielu się jeszcze dowie”.

„To właśnie sprawia, że maleńki złodziejasek w bunkrze traci rozum. Bo stało się jasne, że by poradzić sobie z oponentem politycznym – który nie ma ani telewizji, ani partii politycznej – trzeba po prostu zabić go bronią chemiczną. Wariuje, bo wszyscy widzą, że on jest urzędniczyzną, którego przypadkowo posadzili

na fotelu prezydenta, który nigdy nie brał udziału w debatach czy wyborach. A jedyny środek jego walki to próba zamordowania ludzi” – kontynuował Nawalny.

Opozycjonista ocenił, że w procesie nie jest najważniejszy wyrok dla niego, ale to, czy uda się zastraszyć Rosjan. „Posadzą jednego, żeby przerazić miliony. Ktoś wyjdzie na ulicę – posadzić jeszcze pięciu ludzi, żeby przerazić 15 milionów. Mam wielką nadzieję, że ten proces nie będzie przyjęty przez ludzi jako sygnał tego, że powinni się dalej bać” – apelował.

„Dziś, kiedy znalazłem się pod pełną kontrolą ludzi, którzy uwielbiają wszystko smarować bronią chemiczną, nikt za moje życie nie dałby trzech kopiejek. Ale nie bacząc na to, nawet z tego miejsca na ławie oskarżonych mówię, że będę z wami walczyć, i wzywam wszystkich, żeby się was nie bali i robili wszystko, by prawo, a nie przebierańcy w mundurach i togach, triumfowało” – zakończył Nawalny swoją mowę.

Oprawą wtorkowej rozprawy był terror wprowadzony w Moskwie przez władze. Moskiewski Sąd Miejski otoczyły silne policyjne oddziały specjalne. Funkcjonariusze Rosgwardii (340-tysięczna armia przeznaczona do tłumienia demonstracji) na dalekich przedpolach sądu chwytali ludzi, którzy „wyglądali” jak zwolennicy Nawalnego. Wynikiem tej łapanki było zatrzymanie 297 osób.

Nie wiadomo, co się teraz z nimi stanie. Po tym, jak w niedzielę policja w całym kraju zatrzymała ponad pięć tysięcy (w stolicy – dwa tysiące) demonstrujących w obronie Nawalnego, w przepelnionych moskiewskich aresztach nie ma już miejsc. Wczoraj dramatyczne sceny rozgrywały się w Sacharowie na peryferiach miasta. Tam pod ośrodkiem przeznaczonym dla nielegalnych imigrantów wiele godzin stała kolejka autobusów

wypełnionych ludźmi aresztowanymi jeszcze w czasie niedzielnych demonstracji. Przez dwie doby nie mieli nic do jedzenia i do picia. Z autobusów nie wypuszczano ich nawet do toalety.

Od wyroku Nawalny może się odwołać i zrobi to. Nie należy się jednak spodziewać, że to odmieni jego los, bo sądom wyższej instancji wyroki także dyktuje Kreml. Zostanie wysłany do łagru na trzydzieści jeden miesięcy, bo tyle po odliczeniu aresztu domowego przed wyrokiem sprzed sześciu lat zostało mu do odsiedzenia. A przez ten czas ludzie Putina przygotowują kolejne lipne oskarżenia i napiszą kolejne wyroki.

[Kolejny zapadł już w czasie wojny 22 marca 2022 roku – dziewięć lat ciężkiego łagru].

To jednak nie koniec, bo przeciw politykowi toczy się postępowanie, w którym jest oskarżony o utworzenie i kierowanie „organizacją ekstremistyczną”. Za to grozi mu kolejne dziesięć lat więzienia.

Wyrok Nawalny odsiada w kolejnych łagrach w obwodzie włodzimirskim, który jest penitencjarnym zagłębieniem dzisiejszej Rosji. Tam jest traktowany z całą srogością regulaminu i jedna po drugiej spadają na niego wszelkie regulaminowe kary – odmowa widzeń, paczek, wysyłanie do karceru itd. A są i „nieregulaminowe”, takie jak dosadzanie mu do małej celi innego więźnia, który od dawna się nie myje i cuchnie. Polityk za drutami mocno podupadł na zdrowiu.

6.04.2021, wtorek

DONBAS NA SKRAJU WOJNY

Moskwa i Kijów gromadzą wojska przy granicach. Raz za razem wybucha kanonada. Konflikt militarny na wielką skalę nikomu jednak nie jest na rękę.

Liczba przypadków złamania zasad zawieszenia broni w Donbasie w ostatnim tygodniu wzrosła dziesięciokrotnie – alarmuje w sobotnim raporcie działająca w regionie specjalna misja obserwacyjna OBWE. Do wymiany ognia dochodzi co chwila wzdłuż całej 400-kilometrowej linii oddzielającej rejony kontrolowane przez prorosyjskich separatystów od reszty Ukrainy. Ostrzał jest prowadzony także z zakazanych na mocy porozumień o zawieszeniu broni wielkokalibrowych moździerzy i haubic.

Oliwy do ognia tłącego się konfliktu dołąła Moskwa. Najpierw, jeszcze w połowie lutego, Władimir Putin w wywiadzie telewizyjnym obiecał: „Donbasu nie porzucimy”. Potem Kreml przeszedł do czynów, zarządzając serię szeroko zakrojonych manewrów na okupowanym Krymie i przy granicy z Ukrainą.

Od 11 marca Moskwa przetrzuciła w regiony sąsiadujące ze wschodem Ukrainy w sumie, jak informują media, pięćdziesiąt trzy wzmocnione bataliony. Na Krymie na poligony wyszły 2 tysiące komandosów wyposażonych w 500 pojazdów bojowych.

Sytuacja bardzo się zaogniła po 26 marca, kiedy pociski z ciężkich moździerzy separatystów zabiły czterech i ciężko raniły dwóch żołnierzy armii ukraińskiej w okolicy miejscowości Szumy.

Na konkretną pomoc ze strony sąsiada mogą liczyć także formacje zbrojne separatystów. Jak ogłosił Denis Pusziłin, przywódca samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej, wstąpić w ich szeregi pragną liczni „ochotnicy z Rosji, a wśród nich nawet deputowani do Dumy Państwowej”. Władze nowej grupy liczą też na stałe dostawy broni.

W odpowiedzi na posunięcia Moskwy Kijów wzmocnił swoje siły w rejonie prowadzącego na Krym Przesmyku Perekopskiego i wzdłuż linii zawieszenia ognia w Donbasie.

Ukraina przygotowuje się do ewentualnej wojny, nie tylko koncentrując oddziały na wschodzie i południu. Rada Najwyższa przyjęła we wtorek ustawę, która „w razie zagrożenia bezpieczeństwa państwa” pozwala błyskawicznie wcielać do armii rezerwistów – bez formalnego ogłaszania mobilizacji.

Kiedy Moskwa swoją grę opiera na niepokojącej świat demonstracji siły, Kijów stawia przede wszystkim na ofensywę dyplomatyczną. Siergiej Garmasz, polityk ukraiński, uczestnik rozmów o pokoju w Donbasie, w sobotnim wywiadzie dla kanału telewizyjnego Ukraina 24 ogłosił nawet, że Rosja „poniosła klęskę na froncie dyplomatycznym”. Dodał przy tym: „Nasi partnerzy zachodni, a przede wszystkim USA, demonstrują tak zdecydowaną postawę, jakiej nie było w 2014 roku”.

Wynikiem aktywności polityków ukraińskich jest choćby niedzielne wspólne oświadczenie szefów MSZ Francji i Niemiec, w którym zapisano: „Z wielką uwagą śledzimy sytuację, w szczególności ruchy sił rosyjskich. Potwierdzamy poparcie dla

suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy w jej granicach uznanych na arenie międzynarodowej”

Poparcie dla Ukrainy wyraziła także Wielka Brytania. Szef jej dyplomacji Dominic Raab w rozmowie z ukraińskim szefem MSZ Dmytro Kułebą mówił, że „wszelkie podejmowane przez Rosję próby eskalacji militarnej” spowodują „poważne dla niej konsekwencje”.

Za wielki sukces uznano w Kijowie pierwszą rozmowę telefoniczną prezydentów Joe Bidena i Wołodymyra Zełenskigo, do której doszło w piątek. W jej trakcie, jak czytamy w komunikacie Departamentu Stanu USA: „Prezydent Biden potwierdził niezachwiane poparcie USA dla suwerenności i integralności terytorialnej Ukrainy w obliczu trwającej agresji Rosji na Donbas i Krym”.

Moskwę niepokoją wspólne ukraińsko-amerykańsko-natowskie inicjatywy militarne, takie jak zarządzane w piątek postawienie wojsk USA w Europie w stan najwyższej gotowości czy loty patrolowe dronów USA wzdłuż brzegów Krymu.

Kreml na wzrost napięcia na granicy z Ukrainą reaguje swą tradycyjną retoryką. Dmitrij Pieskow, rzecznik Putina, kwituje oskarżenia o eskalację oświadczeniami, że Rosja „na swoim terytorium ma prawo przemieszczać swoje wojska tam, gdzie uważa to za stosowne”, a w konflikt w Donbasie „nie była i nie jest zaangażowana”, bo tam przecież doszło do „ukraińskiej wojny domowej”.

Mniej powściągliwi są bardziej oddaleni od Kremla politycy i komentatorzy. Wiczesław Wołodin, przewodniczący Dumy, oskarża przywódców Ukrainy o zbrodnie wojenne i grozi im, że „skończą przed trybunałem w Hadze”.

Wpływowy politolog Jewgienij Satanowski wzywa Kreml do zdecydowanych działań i „przymuszenia Ukraińców do pokoju metodami sprawdzonymi przez armię rosyjską w Syrii”.

Obserwatorzy moskiewscy, którzy nie stawiają sobie za główny cel zaspokajania propagandowych potrzeb władzy, przekonują jednak, że do wybuchu wojny na pełną skalę nie dojdzie, bo żadnemu z uczestników konfliktu w rzeczywistości nie jest ona potrzebna.

Dmitrij Drize, komentator dziennika „Kommiersant”, uważa, że politykom na rękę jest dziś eskalacja napięcia, ale bez przekraczania granic, za którymi jest rozlew krwi. Zełenski, Putin czy Biden wykorzystują stan zagrożenia do konsolidacji swoich społeczeństw. Prezydent Ukrainy odnosi sukcesy dyplomatyczne. Przywódca USA ma okazję ożywić NATO i zewrzeć szeregi Sojuszu w obliczu zagrożenia, a jeszcze pokazać, że jest twardy wobec Rosji.

Politolog Igor Ejdman przypomina, że dla Putina narzędziem podniesienia popularności, kiedy notowania prezydenta tak jak dziś spadają, jest tradycyjnie „mała zwycięska wojna”. I na „małą” to on by poszedł. Ale wojna z Ukrainą byłaby dziś „niemała”, a cena za nią tak wielka, że Rosji na nią nie stać. Dlatego Kreml poprzestanie tym razem na prowokacjach i demonstracji siły.

Podobnego zdania jest też Aleksiej Wieniediktow, redaktor naczelny Radia Echo Moskwy. On jednak ostrzega, że sytuacja może się wymknąć spod kontroli. Przypomina maksymę dramatopisarza Antoniego Czechowa, który uczył: „Jeśli w pierwszym akcie powiesiłeś strzelbę na ścianie, to w kolejnym musi wystrzelić. W przeciwnym razie nie umieszczaj jej tam”. A „strzelb” na donieckiej scenie jest bardzo wiele.

12.04.2021, poniedziałek

MOSKWA ROZPĘDZA MACHINĘ WOJENNĄ

Czy uda się ją zatrzymać? Zależy to od tego, czy Zachód potrafi przekonać Władimira Putina, że wojna mu się nie opłaca. A dla prezydenta Rosji jest ona jak „rodzona matka”

Holding Rostsielmasz uprzedził swoich kontrahentów, że nie jest w stanie dostarczyć im na czas zakontraktowanych i gotowych już do wysyłki kombajnów. To spory kłopot dla rolników z południa Rosji, gdzie żniwa zaczynają się na początku czerwca.

Ale rady na to nie ma, bo wszystkie platformy kolejowe zajęła armia do przetrzutu pod granice Ukrainy czołgów, pojazdów pancernych, wyrzutni raketowych. Pierwszeństwo przed kombajnami mają w tym sezonie kulomioty.

Są też problemy z transportem wodnym. Flotylla Kaspijska wysłała swoje jednostki w rejon wybrzeży ukraińskich. Szlak Wołgi, a dalej kanału Wołga-Don i potem Don do ujścia do Morza Azowskiego blokują okręty desantowe, w tym poduszkowce i kutry raketowe.

Trzy duże okręty desantowe Floty Bałtyckiej, każdy z batalionem piechoty morskiej na pokładzie – co wyszedł ekspert wojskowy Paweł Fielgengauer – przeszły przez La Manche i kierują się na Morze Czarne.

Kreml koncentruje swoją armię nie tylko na Krymie i nad granicą rządzonych przez prorosyjskich separatystów „ludowych republik”, Donieckiej i Ługańskiej, w obronie których Rosja rzekomo przeprowadza całą tę paradę. Eszelony wiozące czołgi docierają w pobliże Woroneża, gdzie w odległości 250 kilometrów od granicy wojsko założyło ogromny obóz – składnicę sprzętu.

Z tego punktu wojenne drogi prowadzą jednak nie na Donieck, lecz na Charków i Kijów...

Fielgengauer przypomina, że tak szeroko zakrojonej operacji militarnej nie było w kraju od czasu wojny Jom Kippur czterdzieści osiem lat temu.

Ekspert zwraca uwagę, że w stan pełnej gotowości Moskwa postawiła jednostki południowego i centralnego okręgu wojskowego, a w całym kraju – do pół miliona żołnierzy.

Nieplanowane wcześniej ćwiczenia prowadzą oddziały na Dalekiej Północy i na wybrzeżach Pacyfiku. W pole wyszły i ukryły się na tajnych pozycjach ruchome wyrzutnie rakiet z głowicami jądrowymi.

Wojenny zapał ogarnął kremlowskich propagandystów, którzy – zgodnie ze swoimi nawykami – wskoczyli w okopy II wojny światowej.

– Trzeba zrozumieć, z kim toczy się ta wojna. Z nazizmem. Ten ukraiński to spadkobierca hitlerowskiego, a czasem idzie jeszcze dalej. Dziś Ukraina jest złem absolutnym, któremu nie możemy pozwolić istnieć – grzmi gwiazda państwowej telewizji Władimir Sołowiow, który prezydenta Wołodymyra Zełenskigo stale nazywa „głupkiem” i „szumowiną”

W agresywnym i kpiącym tonie o przywódcach Ukrainy mówią też rosyjscy politycy. Dla zastępcy szefa administracji Kremla Dmitrija Kozaka, który pełni funkcję głównego

przedstawiciela Moskwy w kontaktach z Kijowem, ekipa Zełenskigo to „trupa Kwartału 95” (studio, w którym dzisiejszy prezydent produkował spektakle kabaretowe i komedie), „dzieci, które się bawią zapałkami”

Kozak, a za nim rzecznik Putina Dmitrij Pieskow tłumaczą, że niespotykana od lat aktywność militarna Rosji jest prowadzoną otwarcie demonstracją, która ma powstrzymać Ukraińców przed wtargnięciem na tereny na wschodzie tego kraju opanowane przez opierających się na Moskwie separatystów.

Jeśli jednak to nie wystarczy i w Donbasie dojdzie do „rzezi jak w Srebrenicy”, to – według obydwu przedstawicieli Kremla – Rosja beczynnie się jej przyglądać nie będzie.

Zaskakujące jest, że i Kozak, i Pieskow uznali, iż pora przypomnieć sobie akurat o Srebrenicy. Ludobójstwo popełnione dwadzieścia sześć lat temu przez Serbów na Bośniakach w Moskwie jakby nie istniało. Politycy woleli przemilczeć zbrodnię popełnioną przez „naszych prawosławnych braci”, której ofiarą padli „muzułmańscy niemal terroryści i potomkowie tych, którzy służyli faszystowskiemu ustaszm”.

Obserwatorzy w Rosji i na Zachodzie skłaniają się ku temu, że Moskwa poprzestanie na demonstracji siły, zmuszając w ten sposób Kijów do ustępstw, a jego wystraszonych perspektywą krwawego konfliktu zachodnich partnerów – do udziału we wdrożeniu zawartych sześć lat temu mińskich porozumień (mających zakończyć konflikt w Donbasie) na warunkach rosyjskich.

Prawdziwa wojna nie leży bowiem w niczyim interesie. Nie potrzebują jej coraz bardziej nękaną biedą zwykli Rosjanie ani bliscy Putinowi miliarderzy, którzy panicznie boją się nowych,

twardych sankcji „za Ukrainę”. Nie jest ona na rękę także ukraińskim politykom, bo doprowadziłaby kraj do katastrofy. Nie życzy jej sobie też Zachód.

Komentator internetowej agencji informacyjnej Meduza.io Andriej Piercew i socjolog Konstantin Gaaze dowodzą jednak, że jest człowiek, dla którego wojna to – jak mówi rosyjskie przysłowie – „niczym rodzona matka”. To Putin. Ale i on skorzystałby bardzo na konflikcie jedynie pod warunkiem, że ten nie stałby się prawdziwą wojną.

Teraz Putin może kalkulować, że jeśli Rosja „zareaguje” na „Srebrenicę w Donbasie”, na ratunek pokojowi pobiegną przywódcy Zachodu.

I powtórzy się to, co trzynaście lat temu wydarzyło się podczas wojny z Gruzją, a przed sześciu laty – w Mińsku. W lutym 2015 roku przywódcy Rosji, Francji i Niemiec, dążąc do przerwania krwawych walk pod donieckim Debalcewe, nakłonili Ukraińców do przyjęcia porozumień mińskich. Zgodnie z nimi Ukraina uznała „proces pokojowy” polegający na uznaniu daleko idącej autonomii separatystycznych republik, które stałyby się sterowanymi z Moskwy „politycznymi nowotworami” w jej organizmie.

Nic dziwnego, że Kijów nie chce realizować tamtych układów, co dla Rosji jest głównym powodem rozpalania napięcia na granicy z sąsiadem i siania strachu na świecie.

Gra Putina jest obliczona na paniczną reakcję Zachodu, który znów pobiegnie ratować pokój, skłaniać Zełenskiego do złych kompromisów w Donbasie, otwarcia kanału zaopatrującego w wodę ginący z powodu suszy Krym itd.

A kolejne osiągnięte „małą krwią” zwycięstwo na „froncie ukraińskim” pomogłoby mu też poradzić sobie z kłopotami

wewnątrz kraju. Przede wszystkim z rosnącą biedą, na którą gospodarz Kremla mimo rozpacziwych prób nie potrafi znaleźć lekarstwa.

Jak podpowiada Julia Łatynina, komentatorka Radia Echo Moskwy, jedynym sposobem na ostudzenie wojennego zapału Putina jest pokazanie mu, że tym razem nie skończy się na „małej krwi”, że w wyniku konfliktu z Ukrainą do Rosji popłynie strumień *pochoronek*, czyli zawiadomień o śmierci żołnierzy.

Wojny więc da się uniknąć, jeśli przywódcy światowi natychmiast udzielą technicznego wsparcia armii ukraińskiej (w piątek obiecał to odwiedzającemu go Zełenskiemu prezydent Turcji Recep Tayyip Erdoğan) oraz zapowiedzą automatyczne i natychmiastowe wprowadzenie twardych sankcji, jeżeli dojdzie do agresji. I nie będą próbować wygaszać konfliktu za wszelką cenę, do zapłacenia której znów nakłaniać by mieli Ukrainę.

W tej sytuacji wysłanie dwóch amerykańskich niszczycieli na Morze Czarne (okręty US Navy udają się tam regularnie) oraz mgliste obietnice zbliżenia z NATO to o wiele za mało.

24.04.2021, sobota

PUTIN ODWOŁUJE WOJSKO

Mnóstwo wojsk i sprzętu, które Rosja zgromadziła nad granicą z Ukrainą, wraca do koszar. Moskwa, potęgując napięcie w regionie, nie tyle dążyła do konfrontacji, ile szykowała sobie korzystne pozycje do dialogu. Na swoich warunkach.

Czwartkowy rozkaz Siergieja Szojgu, ministra obrony, który kazał 41. i 58. armii oraz trzem elitarnym dywizjom desantowym skoncentrowanym na południowym zachodzie kraju odejść od granicy z Ukrainą, z entuzjazmem przyjęły moskiewskie giełdy. Szybko rosnący ostatnio dolar natychmiast stanął o 1,2 rubla, euro – o 1,5 rubla. To pokazuje, że w Moskwie rzeczywiście obawiali się, iż eskalacja napięcia może się przerodzić w otwarty konflikt.

Kreml zakończył – czy też prawie zakończył (nie wiadomo, czy potężna eskadra marynarki wojennej Rosji dostanie rozkaz powrotu z Morza Czarnego do baz) – niepokojący świat spektakl militarny mocnym akordem: potężnym desantem na krymski poligon Opuk. W czwartek sześć okrętów desantowych Floty Czarnomorskiej i Północnej wysadziło tam na brzeg po batalionie piechoty morskiej. Opodal czterdzieści samolotów transportowych Il-76 zrzuciło ponad 2 tysiące komandosów i sześćdziesiąt pojazdów. W operacji brały udział lotnictwo, artyleria, wszelkiego typu wyrzutnie rakiet.

Teraz wojska wracają do odległych o tysiące kilometrów koszar, ale – co armia właśnie zademonstrowała – są w stanie bardzo szybko i sprawnie znów zebrać się nad granicą gotowe do ataku.

W tym samym czasie, kiedy Szojgu ordynował operację na Krymie, Władimir Putin szykował się do wystąpienia na światowym forum klimatycznym, do udziału w którym zaprosił go Joe Biden.

Gospodarz Kremla, choć prezydent USA niedawno nazwał go „zabójcą”, zaproszenie bez wahania przyjął. Pod okiem swego amerykańskiego adwersarza, którego kremlowska telewizja wciąż wyzywa najgorszym słowem, wygłosił poprawną mowę, starannie unikając wspomnienia o ekologicznych katastrofach w swoim kraju.

W piątek okazało się, że Putin gotów jest też spotkać się z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim i zaprasza go do Moskwy. Przy czym robi to w sposób nieco sadystyczny. Bo zastrzega, że nie będzie to rozmowa o Donbasie, gdyż o problemach regionu prezydent Ukrainy powinien dyskutować z szefami tamtejszych separatystycznych, stworzonych przez Rosję „republik ludowych”. Tym samym gospodarz Kremla radzi koledze z Kijowa, by uznał, że część jego kraju stanowi oddzielny twór państwowy, a więc kieruje Zełenskiego w polityczny ślepy zaułek.

Demonstracja siły przy granicy z Ukrainą, ostre oświadczenia Moskwy, wyganianie dyplomatów – to wszystko dziś nie prowadzi do otwartej konfrontacji, ale ma na celu przygotowanie korzystnej dla Rosji pozycji do negocjacji.

Dla Kremla to jednak za mało. Prezydent Rosji w środę w dorocznym orędziu zapowiedział, że jego kraj sam będzie wyznaczał „swoje czerwone linie”, a kto je przekroczy, ten

„pożąda jak nigdy wcześniej”. W piątek rzecznik Putina wyjaśnił, że „czerwone linie” przebiegają tam, gdzie zaczynają się „interesy Rosji”.

W tym brzmi nuta, do której Moskwa stale wraca – dążenie do ustalenia nowego „porządku światowego”, autorami którego, jak wielka trojka w Jałcie w 1945 roku, byłyby teraz Chiny, Rosja i USA. Każda z tych potęg dostałaby swoją strefę wpływu i w niej gwarantowałaby bezpieczeństwo oraz swobodnie realizowała swoje „interesy”.

A tego, że nie są to interesy Ukraińców, Białorusinów czy Polaków, Rosja zgodnie ze swoją imperialną tradycją pod uwagę nie bierze.

Choć więc wojska wracają do koszar, bezpieczniej wcale nie jest.

15.07.2021, czwartek

OSTATNIE KREMLOWSKIE OSTRZEŻENIE

Ukraina za sprawą swych zachodnich mocodawców staje się „anty-Rosją”. Moskwa na to nie pozwoli i grozi sąsiedniemu państwu rozbiorem. Taki jest przekaz artykułu Władimira Putina.

Zapowiedziany w czasie niedawnej „linii bezpośredniej”, czyli dorocznego telewizyjnego spotkania prezydenta z narodem, tekst *O historycznej jedności Rosjan i Ukraińców* został opublikowany na kremlowskiej witrynie internetowej od razu w dwóch językach – rosyjskim i ukraińskim.

Chociaż nie. Autor w tekście pisze przecież, że języka ukraińskiego w ogóle nie ma. Jest tylko *gowor*, czyli gwara, odmiana rosyjskiego, narzecze, którym posługuje się bratni naród. Chociaż też nie naród, bo przecież, jak przekonuje gospodarz Kremla, Rosjanie i Ukraińcy to mimo drobnych różnic jedna nacja.

Putin dowodzi tego w długim „historycznym” wywodzie, w którym przywołuje starannie pod tezę dobrane fakty z przeszłości od momentu założenia Rusi Kijowskiej do dziś.

1. W tym ponadtysiącletnim kalejdoskopie wydarzeń szczególny nacisk kładzie na starania wrogów Moskwy, którzy „tworzyli” Ukrainę, starając się wbić klin w kulturową, językową, religijną jedność „ruskiego” narodu. Autorką tego zamysłu była,

jak pisze Putin, Rzeczpospolita. Potem ideę przechwyciły Austro-Węgry. Dla Warszawy i dla Wiednia „sztuczny” twór nad Dnieprem miał być „anty-Moskwą”.

Wielki udział w rozbijaniu jedności „jednego narodu” mieli też bolszewicy. To oni stworzyli – wprawdzie „radziecką”, ale formalnie posiadającą prawo do opuszczenia ZSRR, a po II wojnie światowej i przedstawicielstwo w ONZ – republikę ukraińską. Oni uczyli w szkołach ukraińskiego, ukrainizowali rdzennie rosyjskie terytoria.

Włodzimierz Lenin i Józef Stalin włączali do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej obszary na wschodzie i południu, których nigdy wcześniej Ukrainie nie przypisywano. Apogeum tego „okradania” Rosji było podporządkowanie Kijowowi Krymu, czego w 1954 roku dokonał gensek Nikita Chruszczow, który zresztą, jak podkreśla Putin, swą karierę polityczną robił w Ukrainie (określeniem „w Ukrainie” autor posługuje się w ukraińskiej wersji traktatu, w rosyjskiej jest niemiłe dla uszu Ukraińców „na Ukrainie”). I z tymi wszystkimi szczodrymi podarkami Ukraina trzydzieści lat temu wyszła ze wspólnego radzieckiego domu.

Ganiąc bolszewików za ich hojność i proukraińskość, Putin starannie przemilcza to, czym budzili wrogość poddanych znad Dniepru. A zatem ani słowa o czystkach, o tym, że działacze ukraińskiego ruchu narodowego siedzieli w najcięższych łagrach niemal do chwili rozpadu ZSRR. A o ludobójstwie Wielkiego Głodu, który w żyznej Ukrainie pochłonął co najmniej pięć milionów ofiar, wspominał jedynie jako o „fałszywym” argumencie propagandowym, którym dziś posługują się Kijów i Zachód, by wbijać klin w jedność przedzielonego granicą, ale wciąż jednolitego narodu.

2. Sam gospodarz Kremla wytłumaczył w wywiadzie dla swojej telewizji, czemu chwycił za pióro. „Bo powstaje sytuacja jakościowo inna od tego, z czym mieliśmy do czynienia jeszcze niedawno. Zaczęła się aktywna robota nad projektem »anty-Rosja«, i to nie może nie budzić niepokoju” – ocenił Putin.

A jak napisał w swym elaboracie, Ukraina „znalazła się pod bezpośrednim zewnętrznym zarządem” i pełną parą idzie dziś „wojenne zagospodarowanie terytorium kraju, budowa w nim infrastruktury NATO”.

Ludność jest, jego zdaniem, nastawiana przeciw Moskwie, a tym, którzy myślą inaczej, władza zamyka usta. Tu Putin przywołuje przykład likwidowanego przez Kijów imperium medialnego swego kuma Wiktora Medwedczuka. Oburza się też na ustawy o języku znacznie ograniczające choćby nauczanie po rosyjsku w szkołach Ukrainy. Gniew prezydenta Rosji wzbudziła też niedawno przyjęta ustawa o rdzennych narodach Ukrainy. Do „rdzennych” nie zaliczono bowiem Rosjan, tylko te małe narody (Tatarzy krymscy, Karaimi i Krymczacy), które nie mają swoich państw. Na liście nie mogli się więc znaleźć także choćby Polacy czy Węgrzy.

W swym oburzeniu Putin wydaje się zapominać, że u siebie już dawno wydeptał przestrzeń medialną, sam ma ustawę o rdzennych narodach Rosji, do których nie zaliczył ukraińskiego, w Rosji, gdzie mieszka około czterech milionów Ukraińców, nie ma ani jednej szkoły z językiem ukraińskim (dzieci rosyjskie w Ukrainie wciąż, choć w mniejszym zakresie, mogą się uczyć w państwowych szkołach po rosyjsku). Swój historyczno-polityczny wywód Putin podsumowuje srogimi pogrózkami pod adresem Kijowa.

„Nigdy nie pozwolimy, by nasze historyczne terytoria i mieszkający tam bliskich nam ludzi wykorzystywano przeciw Rosji. A tym, którzy podejmą takie próby, chcę powiedzieć, że w ten sposób niszczą swój kraj. Prawdziwą suwerenność bowiem Ukraina może osiągnąć tylko w partnerstwie z Rosją” – ostrzega gospodarz Kremla.

3. Putin w swych wywodach przywołuje i podpisuje się pod słowami swego byłego szefa, mera Sankt Petersburga Anatolija Sobczaka, zgodnie z którymi Ukraina, wychodząc z ZSRR, powinna była wrócić do tych granic, w jakich wchodziła do Związku w 1922 roku. Musiałaby więc wyzbyć się nie tylko Krymu, ale też, jak sugeruje prezydent Rosji, Donbasu.

Na tych rozliczeniach Moskwa w rzeczywistości mogłaby stracić, bo musiałaby oddać rejony wokół Szacht i Taganrogu przejęte w 1925 roku przez radziecką republikę rosyjską.

Gospodarz Kremla w swym tekście otwarcie zgłasza pretensje terytorialne pod adresem sąsiadów. Píše wprost, że Donbas jest Ukrainie „po prostu niepotrzebny”.

Czy Putin napisał swój artykuł jedynie po to, by – jak uważa spora część obserwatorów – przed wrześniowymi wyborami zagrać na imperialnych sentymentach marzącego o rewanżu elektoratu?

Innego zdania jest bliski Kremlowi komentator dziennika „Moskowskij Komsomolec” Michaił Rostowski, według którego prezydent postawił Ukrainie „ostateczne ultimatum”.

„Jesteśmy na progu czegoś bardzo wielkiego. Wielkich wstrząsów. Jeśli Wołodymyr Zełenski i stojący za nim Zachód nie zrozumieją właściwie sygnałów wysłanych im przez Putina i nie zareagują prawidłowo, te wielkie wstrząsy nastąpią. Kreml świadomie stawia sprawę na ostrzu noża. Nie doszliśmy jeszcze

do punktu, z za którego nie da się już zawrócić. Ale on już majaczy na horyzoncie” – ostrzega publicysta.

21.09.2021, wtorek

PUTIN MA TAKĄ DUMĘ, JAKĄ SOBIE ZAMÓWIŁ

Kreml zrealizował swoje wyborcze plany, zapewniając partii władzy Jedna Rosja większość konstytucyjną w Dumie, a wszystkim swoim kandydatom – stanowiska gubernatorów.

Według wyników, które RIA Nowosti podaje jako ostateczne, putinowskie ugrupowanie otrzymało niemal połowę głosów (49,84 procent) oddanych w trzydniowym głosowaniu na listy partyjne, w którym rozdziela się połowę (225) mandatów w niższej izbie parlamentu.

Ludzie Jednej Rosji wygrywają też w 192-193 z 225 okręgów jednomandatowych.

W sumie ugrupowanie będzie mieć 325-330 deputowanych do Dumy, czyli znacznie więcej, niż wynosi 300-osobowa większość konstytucyjna. To jednak będzie nieco mniej niż w zakończonej właśnie kadencji, w której Jedna Rosja miała 343 szable. Partia tym razem otrzymała o blisko 5 punktów procentowych mniej głosów niż w wyborach z 2016 roku.

Jej wynik można jednak uznać za wręcz cudowny, jeśli pamiętamy, że putinowskie ugrupowanie zwane „partią żulików i złodziei” dramatycznie szybko traci zaufanie obywateli i dziś popiera je, jak wynika z sondaży, około 27 procent Rosjan.

W nowej Dumie zachowają swe frakcje działające z przyzwolenia Kremla i kontrolowane przez władze tradycyjne przystawki. Swój dorobek bardzo zwiększyła Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej, której lista zebrała 18,97 procent głosów (pięć lat temu było 13,34 procent). Stracili nacjonałiści Władimira Żyrinowskiego, uzyskując 7,5 procent (było 13,14). Nieco zyskała Sprawiedliwa Rosja – Za Prawdę (jest 7,43, było 7,02 procent). W Dumie znajdzie się też nowe, ale jak i reszta prokremlowskie ugrupowanie liberalne Nowi Ludzie, które zebrało 5,34 procent głosów.

Politykom niezależnym dostały się tylko okruchy z kremlowskiego stołu. Demokratyczna partia Jabłoko będzie mieć jednego deputowanego do Dumy (ostatecznie okazało się, że partia nie będzie mieć przedstawicielstwa w parlamencie, choć Jabłoko dowodzi, że co najmniej trzech jej kandydatów wygrało w okręgach jednomandatowych), w której znajdzie się też pewnie czterech ludzi, którzy nie byli popierani przez żadne ugrupowanie.

O tym, że Duma będzie taka, jak się właśnie okazało, mówiło się już rok temu. To wtedy, według doniesień mediów, Siergiej Kirijenko, odpowiadający na Kremlu za politykę krajową, dostał nakaz zapewnienia Jednej Rosji co najmniej 300 mandatów w izbie.

Sukces osiągnął także każdy z dwunastu faworytów Władimira Putina, którzy starali się o fotele gospodarzy regionów Federacji. Już w pierwszej turze gubernatorem kraju chabarowskiego został Michaił Diektiarow. To znaczy, że Kreml zwycięsko wyszedł z konfliktu w tej guberni, który wywołał, aresztując pod zarzutem ciężkich przestępstw poprzedniego szefa miejscowej administracji Siergieja Furgała. Mieszkańcy regionu przez kilka miesięcy regularnie wychodzili na demonstracje w obronie „ludowego

gubernatora” i jednocześnie protestowali przeciw przysłanemu im z Moskwy Diektiarowowi.

Fantastyczny jak zawsze wynik osiągnął w wyborach przywódca Czeczenii Ramzan Kadyrow, którego poprzec miało 99,61 procent wyborców w regionie.

Zwraca uwagę też sukces sprawnie rządzącego Tułą Aleksieja Diumina, który dzięki głosom 82,97 procent wyborców nadal pozostanie gubernatorem regionu. Bliski przyjaciel Putina (był ochroniarzem prezydenta) jest uważany za poważnego kandydata na jego ewentualnego następcę.

Zakończona kampania i procedura trzydniowego głosowania zapewniły Putinowi solidne zaplecze parlamentarne na wybory prezydenckie w 2024 roku (kadencja Dumy trwać ma do 2026 roku), kiedy to on sam przedłuży swoje rządy o kolejną kadencję albo zdecyduje się zostawić Kreml wskazanemu przez siebie „diedzicowi”. Przy tych porządkach, jakie panują w dzisiejszej Rosji, gdzie nie ma procedur przekazywania władzy, każda z tych operacji może się okazać trudna i niebezpieczna.

20.10.2021, środa

MOSKWA ZAMYKA KANAŁ DIALOGU Z NATO

Rosja zamyka swoje przedstawicielstwo przy NATO i jednocześnie Biuro Informacyjne Sojuszu w Moskwie. Kreml pokazuje Zachodowi, że woli rozmawiać językiem konfrontacji.

Gdy NATO na początku października wydzieliło z Brukseli dziesięciu pracowników misji rosyjskiej, w tym ośmiu oskarżanych o szpiegostwo, Moskwa na zmniejszenie personelu swojej placówki o połowę odpowiedziała jak zwykle – „asymetrycznie”, czyli bardziej ostro.

W poniedziałek szef rosyjskiej dyplomacji Siergiej Ławrow zapowiedział, że przedstawicielstwo Rosji przy Sojuszu w ogóle przestaje działać od 1 listopada, a do tego czasu ma się zamknąć także Biuro Informacyjne NATO w Moskwie.

Ten dyplomatyczny kanał łączności na linii Rosja – NATO, który i tak już działał bardziej hipotetycznie niż faktycznie (misja Rosji w Brukseli nie ma szefa od czterech lat), został więc zamknięty. I to pewnie na długo.

Wicepremier Andrej Biełousow zapowiedział już, że „dopóki Sojusz będzie się zajmował powstrzymaniem Rosji, dialog będzie trudny”.

Taka wzajemna redukcja personelu przedstawicielstw stała się już niemal rutynową praktyką w relacjach rosyjsko-zachodnich. Tylko w kwietniu, szczególnie urodzajnym w wydalania, Moskwa

wyprosiła czterdziestu sześciu dyplomatów z państw NATO, a sama straciła w tych krajach czterdziestu trzech swych reprezentantów (najbardziej asymetrycznie, bo w stosunku pięć do trzech, została wtedy potraktowana Polska). Tamta obfitość była związana z oskarżeniem dywersantów z Moskwy o wysadzenie w powietrze magazynów amunicji w Czechach.

Do tego typu konfliktów i „wymiany ciosów” dochodzi w ostatnich latach często i ich zapalnikiem są zazwyczaj akty terrorystyczne dokonywane przez agentów służb rosyjskich na Zachodzie, takie jak choćby próba otrucia gazem bojowym Siergieja Skripala i jego córki Julii w Wielkiej Brytanii w 2018 roku (wtedy Londyn wydzielił dwudziestu pięciu dyplomatów rosyjskich, na co Moskwa odpowiedziała asymetrycznie).

W oficjalnej retoryce rosyjskiej każdy taki krok – choć wywołany bezprawnymi poczynaniami władz Rosji (do czego Moskwa się zresztą uparcie nie przyznaje) – jest przejawem „niczym nieuzasadnionej rusofobii”, aktem agresji i nie może pozostać bez odwetu.

W rzeczywistości dzisiejsza Rosja, w której władze usilnie tworzą atmosferę oblężonej twierdzy, sama zamyka kanały łączności ze światem.

Kilka dni temu do Moskwy przyjechała Victoria Nuland, asystentka sekretarza stanu USA. Jej misją była próba zakończenia „wojny dyplomatycznej” Stanów Zjednoczonych i Rosji, w wyniku której amerykański personel dyplomatyczny w Federacji Rosyjskiej i rosyjski w Ameryce zostały zredukowane do mniej niż niezbędne minimum.

Efekt jej wizyty jest jednak żaden. Jak pisze dzisiejsza „Niezawisimaja Gazieta”, pokazała ona tylko to, że istnieje „duży potencjał zaostrzenia stosunków bilateralnych”, a Moskwa dąży

do tego, by jedynym kanałem jej dialogu z Waszyngtonem stały się bezpośrednio rozmowy przywódców obu państw.

Zamknięcie instytucji służącej kontaktom Rosji i NATO pokazuje też, jak daleko Putin w czasie swych rządów odszedł od klimatu szczytu Rosja – NATO w Rzymie w 2002 roku, kiedy to powołano do życia stałą Radę Rosja – NATO, a gospodarz spotkania, premier Silvio Berlusconi, entuzjastycznie odnoszący się do gościa z Rosji, wyrażał nadzieję, że kraj Putina „kiedyś stanie się członkiem Sojuszu”.

Dziś Moskwa w otaczającym ją świecie dostrzega przede wszystkim rzekome zagrożenie swej suwerenności i zamierza rozmawiać, jak to określił kilka dni temu politolog Władimir Pastuchow, „językiem siły”.

W takim właśnie brutalnym stylu wypowiedział się niedawno były prezydent i premier, dziś zastępca sekretarza Rady Bezpieczeństwa Dmitrij Miedwiediew, pisząc, że przywódcy Ukrainy są sprzedajni i zachowują się niczym hipotetyczni „przedstawiciele inteligencji żydowskiej wysługujący się SS”. Według tego kremlowskiego dygnitarza dialog Moskwy z Kijowem nie ma teraz najmniejszego sensu.

A „język siły” dziś słyhać także w dyskusji nad właśnie przyjmowanym budżetem Rosji na najbliższe trzy lata. Zapisano tam ograniczenie wydatków na cele socjalne, takie jak szkolnictwo i służba zdrowia, a przy tym – znaczne zwiększenie funduszy na potrzeby militarne.

6.12.2021, poniedziałek

CZERWONE LINIE PUTINA

Do wojny Rosji z Ukrainą, przynajmniej na razie, nie dojdzie.

Koncentrację jednostek rosyjskich w pobliżu granicy ukraińskiej, gdzie Kreml miał obecnie zebrać według różnych źródeł od 40 do 115 batalionowych grup taktycznych (każda z nich liczy około 900 żołnierzy), światowa opinia publiczna uznała za przygotowanie do agresji na sąsiadujący z Rosją kraj.

Jeszcze w sobotę niemiecki tabloid „Bild”, powołując się na „źródła w NATO i służbach bezpieczeństwa”, opublikował rzekome plany inwazji. Celem pierwszego uderzenia, czyli równoczesnego ataku z okupowanego Krymu i terytorium separatystycznych republik na wschodzie Ukrainy, miało być opanowanie przez Rosjan całego czarnomorskiego wybrzeża kraju aż do granicy z Rumunią.

Jednocześnie bombardowania i ostrzał rakietowy miały osłabić „potencjał bojowy” przeciwnika, pozbawić ludność prądu, wody, dostaw żywności. A wtedy żołnierze jednostek lądowych zajmujących kapitulujące miasta byliby przez ludność przyjmowani „jak wybawcy”. Rosyjskim „planem minimum” według „Bilda” miałoby być najpewniej wspólne z armią Aleksandra Łukaszenki opanowanie dwóch trzecich Ukrainy, w tym Kijowa.

Kiedy niemiecki tabloid publikował te rewelacje, było już jednak jasne, że plany Władimira Putina są inne, a sytuacja

do złudzenia przypomina to, z czym mieliśmy do czynienia wiosną tego roku.

Wtedy Rosja też demonstracyjnie przerzucała swe bataliony i dywizjony lotnictwa frontowego nad granicę, media kremlowskie opanowała wojenna histeria, gadające telewizyjne głowy też lżyły prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego, oskarżały jego ekipę o zbrodnie przeciw ludności tak zwanych ludowych republik Donieckiej i Ługańskiej, szykowanie agresji. I trwało to do momentu, kiedy podgrzewającej atmosferę Rosji udało się zdobyć zgodę prezydenta Joe Bidena na pierwsze spotkanie z Putinem.

Rozmowy obu przywódców, do których doszło 16 czerwca w Genewie, żadnego „resetu” nie przyniosły, ale napięcie, a wraz z nim i emocje wojenne opadły.

Ten scenariusz się powtarza. W Moskwie jeszcze w czwartek zaczęło się mówić, że w najbliższym czasie dojdzie do drugiej rozmowy Bidena z Putinem. Tym razem nie będzie to spotkanie oko w oko, lecz online. W ten sam sposób prezydent Stanów Zjednoczonych długo rozmawiał niedawno z przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinpingiem [grudniowa rozmowa Bidena z Putinem nie zmieniła sytuacji; prezydent Rosji żądał przyjęcia jego propozycji, a prezydent USA mówił, że wszystkie problemy może rozwiązać dyplomacja, ale jeśli dojdzie do wojny, to odpowiedzią Waszyngtonu będzie pomoc dla Ukrainy i wzmocnienie sił na wschodniej flance NATO].

Gospodarz Kremla nie kryje, jaki jest cel powtarzających się demonstracji siły przy granicach Ukrainy i w innych rejonach świata, operacji specjalnych przeprowadzanych przez jego służby choćby w Europie. Na niedawnym kolegium roboczym ministerstwa spraw zagranicznych chwalił swoich dyplomatów

za to, że utrzymują świat „w napięciu”, zachęcał, by postępowali tak nadal, zmuszając „partnerów” na Zachodzie, by słuchali tego, co ma im do powiedzenia Moskwa.

– Chodzi nie o to, by wprowadzać wojska [do Ukrainy] czy ich nie wprowadzać. Chodzi o to, by uregulować relacje dla stworzenia bardziej sprawiedliwego rozwoju – tak w ubiegły poniedziałek Putin tłumaczył postępowanie swego kraju uczestnikom forum gospodarczego „Rosja wzywa”.

Przestrzegł wtedy zachodnich „partnerów”, nie pierwszy raz, przed przekraczaniem wyznaczonych przez Moskwę „czerwonych linii”. Poza taką granicą jest jego zdaniem przyjęcie Ukrainy do NATO i instalowanie nowych systemów broni Sojuszu w pobliżu terytorium Rosji.

Dzień później, spotykając się z rozpoczynającymi służbę w Moskwie nowymi ambasadorami innych państw, Putin znów mówił o „czerwonych liniach, zagrożeniu zachodnich rubieży Rosji”, instalowaniu NATO-wskiej broni przy „naszych granicach”.

Zapowiadał przy tym: – W rozmowach ze Stanami Zjednoczonymi i ich sojusznikami będziemy się domagać wypracowania konkretnych porozumień wykluczających rozszerzenie Paktu na Wschód i umieszczanie zagrażającej nam broni w bezpośrednim sąsiedztwie terytorium Rosji.

Moskwa nie poprzestanie na uzyskaniu ustnych zapewnień, że jej postulaty zostaną spełnione, bo „zachodni koledzy nie spełniają takich obietnic”. – Potrzebne nam są formalne, prawne gwarancje – podkreślił gospodarz Kremla.

Aleksandr Baunow, ekspert moskiewskiego biura Carnegie, uważa, że Putin swoje żądania adresuje nie do NATO, lecz bezpośrednio i tylko do prezydenta USA. I dodaje: – Putin

pierwszy raz mówi: „Dajcie nam takie gwarancje, których godne jest supermocarstwo”

W sobotę Biały Dom potwierdził, że do rozmowy Bidena z Putinem dojdzie rzeczywiście we wtorek. Prezydent Stanów Zjednoczonych zaś ostrzegł swego rosyjskiego partnera, że USA „nie uznają niczyich czerwonych linii”. Dialog nie zapowiada się więc łatwy.

To, że Kreml domaga się pisemnych gwarancji respektowania „czerwonych linii”, które sam wyznaczył i próbuje je narzucić światu, a przede wszystkim najbliższym sąsiadom, wpisuje się w światopogląd Putina i strategię, której się trzyma od lat.

Prezydent Rosji pielęgnuje ideę wielkiego politycznego kontraktu, którym światowe potęgi dzielą między siebie strefy wpływów.

20.12.2021, poniedziałek

DOKTRYNA PUTINA

Moskwa, grożąc wojną, stawia ultimatum Stanom Zjednoczonym i NATO – chce ograniczenia suwerenności byłych republik ZSRR i całej Europy. To powrót do doktryny Breżniewa z 1968 roku.

Rosyjskie MSZ opublikowało teksty „porozumień” ze Stanami Zjednoczonymi i Paktem Północnoatlantyckim, które według Kremla mają zagwarantować spadek napięcia wokół Ukrainy i trwały pokój w Europie.

W rzeczywistości Rosjanie usiłują narzucić Zachodowi, a przede wszystkim USA, swoją własną, czerpaną z przeszłości wizję porządku światowego.

Teraz Moskwa domaga się od Stanów Zjednoczonych, by „wzięły na siebie zobowiązania wykluczające dalsze rozszerzenie Paktu Północnoatlantyckiego na kierunku wschodnim, zrezygnowania z przyjmowania państw wcześniej wchodzących w skład Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich”

Amerykanie mają też zagwarantować, że na terenie byłych republik ZSRR ani oni sami, ani NATO nie będą prowadzić żadnej działalności wojskowej, instalować baz, przeprowadzać ćwiczeń, zaopatrywać te suwerenne dziś państwa w broń.

Rosjanom nie chodzi więc tylko o Ukrainę, przy granicy której trzymają w pogotowiu ogromną armię, lecz o cały obszar byłego imperium sowieckiego – z wyjątkiem należących już do NATO

państw bałtyckich. A więc o to, co w języku rosyjskiej Cerkwi nazywa się „obszarem kanonicznym” Rosji.

Traktaty o wyrzeczeniu się przynależności do NATO i współpracy militarnej z nim Moskwa chce jednak zawrzeć nie z Ukrainą, Gruzją, Tadżykistanem czy choćby z Azerbejdżanem, którego władze korzystają z dużej pomocy militarnej należącej do NATO Turcji, lecz w „duchu Jałty” – z Waszyngtonem. Bo zgodnie ze światopoglądem Putina za wszystkim tym, co dziś zagrażać może Rosji, stoją Amerykanie, a pozostali gracze tylko posłusznie wykonują ich polecenia.

Gdy Amerykanie ogłosili, że na propozycje przedstawione im przez Moskwę nie mogą odpowiedzieć bez udziału partnerów z NATO, oburzył się wiceminister spraw zagranicznych Rosji Siergiej Riabkow. Według niego, jeśli ma dojść do jakichś konsultacji, ustalania wspólnego stanowiska, „wszystko utonie w sporach i paplaninie”.

Rosyjski prezydent wraca nie tylko do „Jałty”, ale również do doktryny Leonida Breżniewa z 1968 roku. Wtedy przywódca Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego, uzasadniając inwazję państw Układu Warszawskiego na szukającą swej drogi rozwoju Czechosłowację, ukuł zasadę, że państwa bloku socjalistycznego są wprawdzie „suwerenne”, ale ich suwerenność jest ograniczona. I jeśli „wewnętrzne lub zewnętrzne siły, wrogie wobec socjalizmu, usiłują zakłócić rozwój tego kraju”, to Moskwa i jej sojusznicy mają prawo do interwencji zbrojnej.

Teraz Kreml domaga się jednak ograniczenia suwerenności nie tylko byłych republik ZSRR. W tekście „porozumienia”, który chce narzucić Paktowi Północnoatlantyckiemu, znalazło się zobowiązanie, że państwa, które wchodziły w skład NATO 27 maja 1997 roku (wtedy odbył się szczyt Paktu z udziałem Rosji),

„nie będą rozmieszczać swych sił zbrojnych i broni na terytorium wszelkich innych państw Europy”, jeśli Moskwa – w wyjątkowych przypadkach – się na to nie zgodzi.

Rosja nalega więc, by oddziały NATO i instalacje wojskowe zostały wycofane choćby z państw bałtyckich, Polski czy Rumunii, a Ryga, Warszawa czy Bukareszt nie miałyby w tej kwestii nic do gadania.

Sporządzone przez Moskwę teksty obu „porozumień” są utrzymane w tonie ultimatum. Zgodnie z nimi zobowiązania są wyłącznie po stronie Zachodu. Rosja nie bierze na siebie żadnych zadań, nic nie obiecuje – ani zagwarantowania, że znów nie najedzie zbrojnie na Ukrainę czy Gruzję, ani tego, że nie będzie budować swoich baz wojskowych na Białorusi, ani tego, że wycofa swoje oddziały z gruzińskich prowincji Abchazji i Osetii Południowej, ukraińskiego Donbasu czy mołdawskiego Naddniestrza.

A przy tym, jak zapewnia wiceminister Riabkow, podsuwane Zachodowi „traktaty” to nie „menu restauracyjne”, z którego klient może sobie wybrać, co mu przypadnie do gustu, bo Waszyngton i NATO mają bez dyskusji godzić się na wszystko, co Kreml proponuje, albo wszystko odrzucić.

A jeśli odrzucą, to armia Rosji już w pełnej gotowości bojowej stoi nad granicą z Ukrainą. A jak właśnie przyznał sąd w Rostowie nad Donem, w tajemnicy stacjonuje w Donbasie, czyli na terytorium suwerennego państwa ukraińskiego.

24.12.2021, piątek

PUTIN: DAJCIE NAM GWARANCJE BEZPIECZEŃSTWA. NATYCHMIAST

Prezydent Rosji w czasie dorocznej rytualnej „wielkiej konferencji prasowej” powtórzył, że Moskwa domaga się od Zachodu „gwarancji swojego bezpieczeństwa”. I to „natychmiast”.

Władimir Putin stara się postawić Stany Zjednoczone i NATO pod ścianą, narzucając im w formie ultimatum swoje „czerwone linie”, czyli żądając pisemnych zobowiązań przez Waszyngton i Brukselę, które de facto uznawałyby Ukrainę, ale także inne państwa należące dawniej do ZSRR, za strefę „wpływów i odpowiedzialności” Rosji.

W przeciwnym razie, jak to określił na wtorkowym kolegium ministerstwa obrony, grozi „krokami wojskowo-technicznymi”, czyli w ocenie analityków – atakiem na Ukrainę.

Na czwartkowej konferencji, występując przed około 500 starannie dobranymi dziennikarzami (na spotkanie z prezydentem nie zaproszono choćby tegorocznego laureata Pokojowej Nagrody Nobla Dmitrija Muratowa, redaktora naczelnego niezależnej „Nowej Gazety”), gospodarz Kremla powtórzył, że domaga się od zachodnich partnerów odpowiedzi na przedstawione im w ubiegły piątek żądanie Rosji, by udzielono jej pisemnych „gwarancji bezpieczeństwa”.

– To wy musicie nam dać gwarancje. Natychmiast. Teraz. A nie przez dziesięciolecia tylko o nich gadać – podnosił głos Putin, dodając, że ma nadzieję, iż zaraz po Nowym Roku zaczną się w Genewie negocjacje z Amerykanami w tej sprawie.

O „krokach militarno-technicznych” Putin tym razem wprost nie mówił. Przekonywał dziennikarzy, że Moskwa obawia się, iż napadnie na nią Ukraina, i musi się szykować do odparcia agresji.

Jednocześnie gospodarz konferencji wykluczył możliwość przeprowadzenia bezpośrednich rozmów z prezydentem Ukrainy Wołodomyrem Zełenskim.

Pytany o to, czy sama Rosja byłaby gotowa ze swej strony dać gwarancje choćby tego, że nie napadnie na Ukrainę, Putin nie odpowiedział wprost, a opowiadał, że „dalsza ekspansja NATO w Europie byłaby niedopuszczalna, ponieważ zagrażałoby to bezpieczeństwu narodowemu Rosji”, co jest według niego zrozumiałe, bo na przykład „Stany Zjednoczone nigdy nie tolerowałyby rozmieszczania systemów rakietowych w pobliżu swojej granicy”.

– Co by się stało, gdyby stosunki między Meksykiem a Stanami Zjednoczonymi pogorszyły się z powodu jakiejś historycznej urazy, a Meksyk stałby się wrogi? – używając takiego porównania, tłumaczył swoje stanowisko gospodarz Kremla.

Całą winę za narastające dziś napięcie i zagrożenie wojną w Europie Putin rzucił na partnerów zachodnich, którzy, jak to określił, „wykiwali, po prostu oszukali” Rosję, nie dotrzymując danego jej słowa, że po zmianach sprzed trzydziestu lat w Europie nie będą rozszerzać Paktu Północnoatlantyckiego.

Zachód jednak, zdaniem rosyjskiego prezydenta, na powiększaniu Sojuszu o nowe państwa poprzestać nie

zamierza, bo tam „niektórzy najwyraźniej uważają, że Rosja jest zbyt duża, co wynika prawdopodobnie z tego, że nie ma już wielkich europejskich imperiów, europejskie narody są małe”.

Głównym celem Zachodu, według Putina, staje się więc rozdrobnienie Rosji na kilka małych państw, o czym jeszcze sto lat temu, jak przypominał przywódca rosyjski, mówić miał prezydent USA Woodrow Wilson.

O tym, że takie plany istnieją i dziś, rządzący Rosją wiedzą od ekspertów-jasnowidzów z Federalnej Służby Bezpieczeństwa, którzy już przed laty na odległość „przeskanowali” umysł Madeleine Albright, sekretarz stanu USA, i odnaleźli tam takie knowania. Do tego „odkrycia” politycy rosyjscy często i chętnie nawiązują, przedstawiając je jako oczywistą prawdę.

Doroczne „wielkie” spotkanie Putina z dziennikarzami krajowymi i zagranicznymi, jedno z najważniejszych wydarzeń roku kremlowskiego, nie może się odbyć bez pokazania światu, że przywódca nie boi się trudnych tematów.

Muratowa wprawdzie na sali nie było, ale przedstawicielowi Radia Echo Moskwy pozwolono odczytać pytanie przygotowane przez noblistę. A redaktor naczelny „Nowej Gazety” chciał się dowiedzieć, czy prezydent wie, kto zamówił morderstwa dziennikarki Anny Politkowskiej (w 2006 roku) i opozycyjnego polityka Borysa Niemcowa (w 2015 roku).

Putin odpowiedział, że zabójcy obojga zostali złapani i osądzeni, ale istnieje pogląd, że to nie oni byli zleceniodawcami. Prezydent obiecał, że będzie się starał doprowadzić wyjaśnianie sprawy głośnych zabójstw do końca.

Nie mogło się też obyć bez pytania o zatrutego, a potem skazanego na więzienie przywódcy opozycji Aleksieja Nawalnego. Prezydent zgodnie ze swym zwyczajem, nie

używając jego nazwiska, mówił o „oszuście”, który swoją „działalność kryminalną” próbuje ukryć za parawanem politycznej opozycyjności.

A Nawalny był według niego „rzekomo zatruty”. Putin, jak to ma w zwyczaju, przypomniał, że Niemcy, gdzie opozycjonistę ratowano po zamachu dokonanym przez komando trucicieli z FSB, nie przekazały Moskwie żadnych materiałów ani dowodów rzeczowych potwierdzających, że w organizmie pacjenta odkryto ślady nowiczoka.

Dlaczego Rosja, na terenie której Nawalny był początkowo leczony, gdzie pozostało jego ubranie i pobierano do analiz jego płyny ustrojowe, nie może wszcząć śledztwa bez „materiałów i dowodów rzeczowych” z Zachodu? Tego Putin nie tłumaczył.

Nie przypomniał też, że fakt otrucia nowiczokiem potwierdziły laboratoria akredytowane przez Organizację Zakazu Broni Chemicznej działającą poza Rosją. Kreml nie poprosił też żadnego z dwóch rosyjskich laboratoriów Organizacji o przeprowadzenie badania rzeczy Nawalnego czy próbek jego krwi.

29.12.2021, środa

PUTIN ZAMYKA MEMORIAŁ

Rosyjski sąd najwyższy nakazał likwidację stowarzyszenia Memoriał. To kara za walkę o prawdę o zbrodniach bolszewickich sprzeczną z putinowską wizją „świetlanej przeszłości”

Prokuratura generalna Rosji zarzuciła Memoriałowi wielokrotne łamanie ustawy o tak zwanych agentach zagranicy. Tę kategorię prawną, która w praktyce jest synonimem bolszewickiego określenia „wróg ludu”, wprowadzono w 2012 roku jako narzędzie gnębienia wszystkiego, co niezależne. Władza samowolnie zalicza do „agentów” organizacje i obywateli, którzy zajmują się polityką – choćby ekologiczną, zdrowotną czy historyczną – a przy tym otrzymują pomoc materialną z zagranicy.

Jako wroga ministerstwo sprawiedliwości napiętnowało Memoriał już sześć lat temu. Od tego czasu działająca od 1989 roku organizacja była regularnie karana za rzekome łamanie rygorów narzucanych „agentom”. Władzom chodziło przede wszystkim o to, że stowarzyszenie nie opatrywało w należyty sposób wszystkich swych publikacji komunikatem ostrzegającym odbiorcę, że ma do czynienia z wytworem „agenta”

W akcie oskarżenia, który prokuratura generalna jesienią skierowała do sądu najwyższego, stwierdzono, że oznaczenie wszystkich witryn internetowych Memoriału jako „agenturalnych” nie wystarczy. Prokuratorzy uznali – choć ustawy

tego nie nakazują – że formułą ostrzegającą, iż czytelnik czy słuchacz styka się z „wrogą” robotą, musi być opatrzona także każda, nawet najmniejsza wzmianka na tych witrynach.

Przestępstwem okazało się też to, że Memoriał na targach książki sprzedawał swoje publikacje sprzed 2012 roku, na których ostrzeżenia o „agenturalności” wydawcy naturalną kolejną rzeczą nie było. To, że sprzedawcy przystawiali w książkach odpowiednią pieczęć, zdaniem prokuratorów winy nie zmniejszało.

Podczas wtorkowej rozprawy stało się jasne, że te zarzuty to tylko pretekst, a powód likwidacji Memoriału, który nie znalazł się w akcie oskarżenia, jest zupełnie inny.

Prokurator Aleksiej Żafiarow zarzucił stowarzyszeniu, że „zamiast kultywować pamięć o naszej sławnej historii, każe się nam kajać za radziecką przeszłość”

– Organizacja stanowi zagrożenie społeczne, bo spekuluje na temat represji politycznych, fałszuje pamięć historyczną, w tym o Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, i tworzy kłamliwy obraz ZSRR jako państwa terrorystycznego – grzmiał prokurator, niepomny tego, że krwawy „czerwony terror” oficjalnie był jednym z fundamentów państwa bolszewików.

Wielką zasługą Memoriału, o czym na sali rozpraw mówili obrońcy, jest właśnie to, że jego ludzie skrupulatną pracą odsłaniają prawdę o przeszłości, o represjach stalinowskich, przywracają pamięć o pomordowanych. Zasłużyli się m.in. walką o sprawiedliwość dla ofiar zbrodni katyńskiej.

To jednak sprzeczne z ideologią putinowskiej Rosji, według której przeszłość kraju ma być czysta. – Prokurator tu głosi, że Memoriał fałszuje historię. Ale to nieprawda. Wymazanie Memoriału z historii kraju oznacza potwierdzenie niebezpiecznej

reguły, że państwo, czegokolwiek by się dopuściło, zawsze ma rację, a patriotyzm oznacza bezwarunkowe podporządkowanie się władzy – mówił przed sądem adwokat Genri Reznik.

Sędzia Ałła Nazarowa ogłosiła, że sąd nakazuje likwidację Memoriału. Kiedy ogłaszała werdykt, widzowie skandowali: „Hańba! Hańba!”

19.01.2022, środa

WZRASTA WOJENNE NAPIĘCIE

Kreml przygotowuje kolejne ćwiczenia z białoruskim wojskiem, a rosyjscy posłowie wprost wzywają do militarnej ofensywy. Ale jeśli Władimir Putin uzna, że wojna jest konieczna, to nie Rosja zacznie strzelać pierwsza, lecz Ukraina „zaatakuję”, na przykład separatystów w Donbasie.

Na poligony białoruskie znów ściągają jednostki rosyjskie. Mają się tu przygotować do zapowiadanych na luty wspólnych manewrów z wojskiem Białorusi „Związkowa Stanowczość 2022”. Oficjalnie ćwiczenia mają być reakcją na koncentrację sił NATO przy białoruskich granicach. Ale nie jest wykluczone, że oddziały armii Związkowego Państwa Białorusi i Rosji przygotowują się do otwarcia północnego frontu wojny z Ukrainą.

Z bazy Floty Bałtyckiej w Bałtyjsku wypłynęły i przeszły już przez Cieśniny Duńskie trzy rosyjskie okręty desantowe. Dokąd zmierzają – nie wiadomo. Być może do czarnomorskich wybrzeży Ukrainy, skąd – zdaniem ekspertów wojskowych – Rosjanie mogliby przeprowadzić najskuteczniejszy atak na sąsiednie państwo.

A z Kijowa i ze Lwowa, jak podaje „New York Times”, Moskwa wywiozła od początku roku już czterdziestu ośmiu członków rodzin swoich dyplomatów. Takie kroki podejmuje się zazwyczaj w przededniu nieuniknionej już wojny.

Najprawdopodobniej Putin na prawdziwą wojnę się jeszcze nie wybiera, tylko wciąż blefuje, strasząc Zachód agresywnymi gestami. W ten sposób naciska na partnerów z Waszyngtonu i Brukseli, by jak najszybciej udzielili mu pozytywnej odpowiedzi na piśmie na jego ultimatum w sprawie „gwarancji bezpieczeństwa” dla Rosji i „na zawsze” zrezygnowali z przyjęcia Ukrainy i Gruzji do NATO oraz wycofali jednostki i instalacje Paktu z Europy Wschodniej.

To ultimatum USA i NATO po spotkaniach z przedstawicielami Moskwy odrzuciły. Kreml wciąż jednak czeka na odpowiedź pisemną na swoje żądania, grożąc, że jeśli przeczyta „nie”, podejmie kroki „wojskowo-techniczne” lub „wojenno-techniczne” (po rosyjsku *wojennyj* to zarówno wojskowy, jak i wojenny).

A tymczasem, jak to ma w zwyczaju, podkreśla wojenne emocje.

O tym, jak napięta jest sytuacja, świadczy choćby poniedziałkowy wyskok ważnego posła do Dumy Jewgienija Fiodorowa, który domagał się publicznie przeprowadzenia „ostrzegającego uderzenia jądrowego” na Stany Zjednoczone „w celu wpłynięcia na stanowisko Waszyngtonu”. Atomowy grzyb na przykład nad poligonem w Nevadzie miałyby w wizji Fiodorowa pokazać Amerykanom, że Rosja nie żartuje.

A kolega Fiodorowa z parlamentu Aleksiej Żurawlew też w poniedziałek w kremlowskiej telewizji Rossija 1 mieszał z błotem, używając absolutnie nieparlamentarnych słów, szefową niemieckiej dyplomacji Annalenę Baerbock, która we wtorek miała przyjechać do Rosji na oficjalne rozmowy. Ku uciesze zgromadzonych w studiu i prowadzących program nazwał nową minister spraw zagranicznych Niemiec „idiotką” i „bydłociem wstrętnym”, bo po drodze do Moskwy odwiedziła Kijów i żołnierzy ukraińskich na linii zawieszenia ognia w Donbasie.

Trudno powiedzieć, czy Putin uważa, że – jak to sam lubi określać – „bitka jest już nieunikniona”. Wywiady USA i Niemiec ostrzegają, że Rosjanie raczej chcą, by rozpoczęli ją Ukraińcy, dając pretekst Moskwie do „samoobrony”.

3.02.2022, czwartek

MOSKWA BĘDZIE PODGRZEWAĆ EMOCJE

Zachód „zignorował zasadnicze” żądania Rosji dotyczące dania jej gwarancji bezpieczeństwa – ocenia Władimir Putin. Należy się spodziewać, że Moskwa podniesie teraz do maksimum militarne i polityczne napięcie wokół Ukrainy.

Gospodarz Kremla we wtorek na wspólnej konferencji prasowej z odwiedzającym go premierem Węgier Viktorem Orbánem pierwszy raz ocenił reakcję USA i NATO na ultimatum, które Rosja w grudniu postawiła Zachodowi, żądając od partnerów dania jej daleko idących „gwarancji bezpieczeństwa”

Putin zaatakował partnerów za to, że w swych pisemnych odpowiedziach na dezyderaty Rosji pominęli trzy, uważane w Moskwie za najważniejsze: zobowiązanie do zagwarantowania, że Ukraina i Gruzja nigdy nie zostaną przyjęte do NATO, rezygnację z rozmieszczania broni strategicznej w pobliżu granic Rosji, przywrócenie infrastruktury Sojuszu Północnoatlantyckiego do stanu sprzed 1997 roku (przed przyjęciem m.in. Polski).

Właściwą, rozwiniętą odpowiedź Zachodowi na odrzucenie „zasadniczych” postulatów ultimatum szykuje teraz w Rosji grupa międzyresortowa, w której, co podkreślają w Moskwie, ważną

lub wręcz kluczową rolę odgrywają ministerstwo obrony i sztab generalny.

W zasadzie Putin mógłby ogłosić, że odpowiedzi z Waszyngtonu i Brukseli to jego spory sukces. Z nadesłanych z obu stolic do Moskwy dokumentów, które opublikował hiszpański dziennik „El País”, ręką za ich autentyczność, wynika, że Rosja ugrała już wiele. Zachód proponuje jej rozmowy rozbrojeniowe, obustronną kontrolę instalacji strategicznych, ustalanie zasad przeprowadzania manewrów wojskowych itd. A tego Kreml od partnerów domagał się nie od wczoraj.

Putin jednak to wszystko uznaje dziś za kwestie „drugorzędne” i nie zrezygnuje z „zasadniczych”. Wybierze więc najpewniej drogę podnoszenia napięcia. A w tej sytuacji Zachodowi potrzebne będą mocne nerwy, trzeźwa ocena sytuacji i solidarność.

Prezydent Rosji ogłoszeniu swego stanowiska nada pewnie specjalną oprawę. Tak zrobił 1 marca 2018 roku, kiedy na tle kreskówek przedstawiających jądrowy atak na Florydę, szybujące nad ziemią rakiety o napędzie jądrowym i pędzące pod wodą w kierunku USA jądrowe torpedy niosące potężne głowice nuklearne straszyl świat nowymi rodzajami broni, których NATO „nie ma” i „obronić się przed nimi nie jest w stanie”.

W taki czy inny sposób Putin postara się zmusić partnerów do ustępstw w kwestiach „zasadniczych”, siejąc trwogę na całym Zachodzie i w każdym człowieku zachodniej społeczności oddzielnie.

MSZ Rosji rozesłał wszystkim państwom wchodzącym w skład NATO „wezwanie” do dania publicznej oceny zasady „niepodzielnego bezpieczeństwa”. Moskwie chodzi o to, by stolice zadeklarowały, że nie godzą się na to, by jedne kraje czy bloki budowały swe bezpieczeństwo kosztem bezpieczeństwa innych

państw i bloków. A z tego wynikałoby, że skoro Moskwa przyjęcie Ukrainy czy Gruzji do Paktu Północnoatlantyckiego uważa za zagrożenie dla swego bezpieczeństwa, robić tego nie wolno.

Kreml liczy na to, że wzywając „do tablicy” oddzielnie każdego z przywódców zachodnich, skruszy blokową solidarność siłą strachu przed swą potęgą militarną i kontraktami na tani gaz, na które skusił się właśnie Orbán.

Wzywani powinni pamiętać i twardo przypominać, że Rosja nie ma prawa uczyć innych zasad budowania bezpieczeństwa. Ona sama czternaście lat temu oderwała od Gruzji dwie prowincje i trzyma w nich swoje bazy wojskowe, a od 2014 roku okupuje Krym i podsyca wojnę w Donbasie.

Rosja jednak nie jest też taka straszna, jak sama się maluje. Jej potencjał naukowy, gospodarczy i militarny nie umywa się do tego, czym dysponuje dziś NATO. Góruje determinacją, zuchwałością i siłą woli przywódcy.

A jego zdecydowaniu, dyscyplinie armii Zachód jest w razie inwazji na Ukrainę gotów przeciwstawić „tylko” sankcje gospodarcze.

Jednak w sytuacji eskalacji napięcia ustawianie się w pozycji słabszego i ustępstwa byłyby błędem. Jak zwraca uwagę Władisław Inoziemcew, jeden z lepszych obecnie znawców porządków w Rosji, ludzie rządzący dziś krajem kierują się nie ideologią, lecz drapieżną pasją bogacenia się. Na tym, by sztandar Rosji powiewał nad Kijowem, zależy im mniej niż na tym, by nadal bez przeszkód „grabić swój naród”. Prawdziwe sankcje, które uderzyłyby w ich interesy w przypadku wojny, są dla nich nie do przyjęcia.

Ekspert radzi więc Zachodowi, by w momencie, kiedy Moskwa będzie windować napięcie do apogeum, straszyć wojną, koncentrować nowe armie na granicy, nie wpadał w histerię, zachował spokój i solidarność. A wtedy Rosja w końcu zgodzi się poprzestać na tym, co jej już zaproponowano.

4.02.2022, piątek

MOSKWA ZBITA Z PANTAŁYKU. ALE TEN STAN DŁUGO NIE POTRWA

Kiedy USA i NATO odrzuciły „zasadnicze” punkty ukraińskiego ultimatum Rosji, Kreml zarządził pauzę, szukając honorowego wyjścia z pułapki, w którą sam się zapędził, strasząc świat wojną.

Dobrym papierkiem lakmusowym tego, co knują na Kremlu, są wieczorne programy publicystyczne Rossiji 1, czyli putinowskiej telewizji „publicznej”.

Kiedy Kreml ścigał nad granicę z Ukrainą batalionowe grupy taktyczne, pierwszoplanowe role w telewizyjnych spektaklach grały jastrzębie wojny. – W wyniku działań wojennych okażemy się jedynym supermocarstwem w świecie. Spłonie pół Europy, pół Ameryki. Żadnej Ukrainy już nie będzie. My będziemy dyktować warunki. Na kolana padnie cały świat – wieszczył wicemarszałek Dumy Władimir Żyrinowski.

Mniej więcej półtora tygodnia temu, kiedy świat, wsłuchawszy się w te głosy, uznał Rosję za agresora, „publiczna” telewizja zmieniła front. Do telewizji zaczęły się zlatywać „jastrzębie pokoju”. I podniosły krzyk, że to Rosji Ukraina i jej NATO-wscy poplecznicy grożą wojną, a ona sama intencje ma czyste i cała jest za pokojem.

Kiedy Zachód odpowiedział Władimirowi Putinowi, że NATO nie wyniesie się z Polski, Rumunii i krajów bałtyckich, a kiedyś

może przyjmie i Ukrainę, publicyści „publicznej” poczuli się zbici z pantałyku. Kreml nie reaguje, instrukcji nie ma.

W środowym wieczornym programie *60 minut* mowa była więc o tym, że premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson przyleciał do Kijowa w zielonym krawacie – bo pasuje on do nazwiska prezydenta Wołodymyra Zełenskigo. A Putin ze swym gościem Viktorem Orbánem pili szampana za Ukrainę, „nie stukając się pucharami” – a tak się przecież w Rosji „pije za nieboszczyków”.

I jeszcze było sporo śmiechu z Ukrainek i nastoletnich Ukraińców, którzy w obliczu rosyjskiej agresji uczą się posługiwać bronią.

Skonfundowane, pozbawione wytycznych z Kremla *propagandony* (jak określają ich w Moskwie) zmieniły więc wojenny horror w marny kabaret.

Długo to jednak nie potrwa. Niedawno Putin przywołał słynną frazę Aleksandra Gorczakowa, ministra spraw zagranicznych z czasów Aleksandra III: „Rosja się nie złości, Rosja się koncentruje”.

Przyszedł więc czas na skupienie. Moskwa, stawiając Zachodowi ultimatum w sprawie zamknięcia przed Ukrainą drzwi do NATO i wyprowadzki aliansu z państw Europy Centralnej, żądała odpowiedzi natychmiastowej i pozytywnej, grożąc, że jeśli będzie odmowa, pójdzie na kroki wojskowo- czy też wojenno-techniczne (po rosyjsku to takie samo słowo).

Skoro Waszyngton i Bruksela rzekły „nie”, wychodzi na to, że wojna u bram. Ale Rosji tak naprawdę wojować się nie chce; jeśli jednak potulnie się wycofa, Putin straci twarz.

W Moskwie mówi się, że Kreml sam się zapędził w pułapkę. Michaił Rostowski, komentator gazety „Moskowskij Komsomolec”, publicysta dobrze zorientowany w polityce, przy

tym ostrożny i lojalny wobec władzy, napisał dziś, że Putin, który „robi wrażenie śmiałego szachisty, zrobił odważny pierwszy, potem drugi ruch, ale przy trzecim się zawiesił”. A teraz, zdaniem Rostowskiego, próbuje „wydostać się z pułapki”

7.02.2022, poniedziałek

MNIEJ WOJNY (NA RAZIE), WIĘCEJ DYPLOMACJI

Na froncie ukraińskim przycichły nieco surmy bojowe, trwa za to gorączkowa aktywność dyplomatyczna. Moskwa szuka sojuszników i werbuje zwolenników na Zachodzie.

Rosja w ostatnich dniach nie wraca do agresywnego tonu z grudniowego ultimatum. Moskwa już teraz nie pokrzykuje, że Zachód ma to wszystko wypełnić hurtem i „natychmiast”. Taktyka się zmieniła.

Militarne wrzenie podtrzymują dziś raczej media zachodnie. Niemiecki „Bild” opublikował kolejne „plany” napadu Rosji na Ukrainę. „Washington Post” alarmuje, że Rosjanie zgromadzili przy granicy 70 procent sił niezbędnych do przeprowadzenia agresji na pełną skalę. A znana z solidności agencja Bloomberg zaliczyła wpadkę, publikując w sobotę depeszę, że inwazja już się zaczęła.

Tymczasem Rosja odnosi sukcesy na innych kierunkach natarcia.

Okazuje się, że miły podarunek zrobił Kremlowi znany z gorącej sympatii do Władimira Putina prezydent Czech Miloš Zeman. Z jego kancelarii wyparowały i najpewniej zostały zniszczone dokumenty śledztwa dotyczącego potężnych wybuchów amunicji w arsenale w miejscowości Vrbětice.

Osiem lat temu w dwóch eksplozjach zginęły dwie osoby. Czesi uważają, że doszło do zaplanowanego w Moskwie sabotażu, a o jego przeprowadzenie oskarżają oficerów GRU: Aleksandra Miskina i Anatolija Czepigę, tych samych, którzy później próbowali w Wielkiej Brytanii otruć nowiczokiem Siergieja Skripala i jego córkę. Jak wykazało śledztwo, obaj, posługując się fałszywymi paszportami na inne nazwiska, odwiedzali Vrbětice niedługo przed eksplozjami.

Dużym sukcesem Putina okazała się wizyta w Moskwie premiera Viktora Orbána. Gość z Węgier znakomicie wpisał się w narrację gospodarza. Bez mrugnięcia okiem i sprzeciwu przyjął jego słowa o przynależności Krymu do Rosji. Opowiedział się za zniesieniem zachodnich sankcji nałożonych na Moskwę. I deklarował, że Rosja i Zachód porozumieją się w sprawie gwarancji bezpieczeństwa, czyli że NATO oraz USA mogłyby pójść na to, czego Kreml domagał się w grudniowym ultimatum.

Orbán, który wrócił do domu obdarowany kontraktami na niezwykle tani gaz, odpracowuje podarek. Budapeszt oskarża Kijów o niesprawiedliwe traktowanie mniejszości węgierskiej i nie pozwala na włączenie Ukrainy do systemu cyberbezpieczeństwa NATO.

Kreml nie przestaje też szukać kolejnych słabych ogniw w NATO i UE.

Zawiódł natomiast Putina jego turecki „przyjaciół” Recep Tayyip Erdoğan. Odwiedzając Ukrainę, prezydent Turcji podpisał szykowane od dawna porozumienie o utworzeniu między obu krajami strefy wolnego handlu. To pozwoli Ukraincom łatwiej konkurować z Rosjanami na przykład na tureckim rynku zboża czy metali.

Irytację w Moskwie wzbudziło to, że Erdoğan, witany przez ukraińską kompanię honorową, pozdrowił żołnierzy określanym przez Rosjan jako banderowskie hasłem „Sława Ukrainie!”. Podkreślał też, że Ankarą zdecydowanie opowiada się za „terytorialną integralnością” Ukrainy, czyli nie uznaje aneksji Krymu i zakusów Moskwy na Donbas.

Turcy nie tylko dostarczą armii Ukrainy kolejne drony Bayraktar, ale także pomogą Ukraińcom szybko, być może w niecały rok, uruchomić produkcję tej groźnej broni, która w czasie wojny o Górski Karabach wykazała skuteczność w walce z pojazdami wojskowymi, w które Rosja zaopatruje siły zbrojne Armenii.

Politolog Władimir Pastuchow ocenia, że gesty Erdoğan są dla Kijowa cenniejsze od tego, co dla niego robią europejscy przyjaciele, w duszy gotowi pogodzić się z tym, że agresor pożre „ukraińskiego zająca”.

Turek zaś, z czym liczą się w Moskwie, jest nieobliczalny i śmiały. Jego armia należąca do NATO siedem lat temu zestrzeliła bombowiec rosyjski, który naruszył przestrzeń powietrzną Turcji; w Syrii czy Libii też jej się zdarza strzelać do Rosjan.

Telewizja kremlowska zadziwiająco mało mówiła o wizycie Erdoğan w Kijowie. A pocieszenia szukał w tym, że prezydent i jego żona, która towarzyszyła mu w podróży, natychmiast po powrocie zachorowali na COVID-19.

Benefisem dyplomatycznego tygodnia było dla Putina spotkanie z przewodniczącym Chińskiej Republiki Ludowej Xi Jinpingiem.

W Moskwie lubią podkreślać, że Rosja wraz ze swym chińskim „sojuszniakiem” liczą sobie w sumie 1,5 miliarda mieszkańców

(czasem włączając jeszcze i Indie, a wtedy mowa jest już o 3 miliardach, czyli prawie połowie ludzkości). Armia rosyjska często w ostatnich latach ćwiczy wspólnie z Chińczykami.

Xi, ostro rywalizujący globalnie ze Stanami Zjednoczonymi, w sporze wokół Ukrainy stoi po stronie Moskwy. Tak postąpił na przykład w czasie poniedziałkowej dyskusji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ.

Putin i Xi w Pekinie nie zawarli żadnych nowych kontraktów i porozumień. Delegacja rosyjska była zresztą tym razem mała, bo tylko sześćosobowa.

Przywódcy podpisali wspólną, ogromną (w wersji rosyjskiej 36 tysięcy 996 znaków, czyli dwadzieścia pięć stron) deklarację o sytuacji międzynarodowej w „nowej epoce”

Od Xi, co zapisano w dokumencie, Putin uzyskał deklarację, że Chiny są przeciwne poszerzaniu NATO i chcą, by w wyniku rozwiązania konfliktu wokół Ukrainy Rosja otrzymała „gwarancje bezpieczeństwa”, których się domaga. Xi zaś zadowolilo to, że Moskwa jest za „zasadą jednych Chin”, czyli uznaje prawo Pekinu do Tajwanu.

To jednak nie znaczy, że w sytuacji, w której Zachód w przypadku inwazji na Ukrainę nałożyłby twarde sankcje na Rosję, Moskwa może liczyć na pełne wsparcie Pekinu. Banki chińskie zapowiadają, że gdyby Amerykanie zakazali rozliczania się dolarami z Rosjanami, to one będą musiały się temu podporządkować.

W najbliższym czasie aktywność dyplomatyczna wokół konfliktu ukraińskiego nie spadnie. W poniedziałek do Moskwy przyjeżdża na rozmowy prezydent Francji Emmanuel Macron, tydzień później – kanclerz Niemiec Olaf Scholz. Spodziewana jest też wizyta szefowej MSZ Wielkiej Brytanii Liz Truss.

Sondując stanowisko partnerów zachodnich, szukając wśród nich najbardziej wystraszonych i skłonnych do kompromisów, Moskwa szykuje odpowiedź na odrzucenie ultimatum postawionego USA i Europie. A, jak zapowiedziała, będzie ona „wojskowo-” czy „wojenno-techniczna”. Napięcie militarne więc wkrótce znów wzrośnie.

9.02.2022, środa

PUTIN WBIJA KLIN W NATO

Rozmowy Emmanuela Macrona z Władimirem Putinem pokazały, że Moskwa wykorzystuje dyplomatyczne wysiłki polityków europejskich na rzecz złagodzenia napięcia wokół Ukrainy do wbicia klina w solidarność świata zachodniego.

Pół nocy z poniedziałku na wtorek prezydenci Francji i Rosji spędzili na Kremlu, siedząc każdy na swoim szczycie długiego na co najmniej osiem metrów „car-stołu”, na którym z powodzeniem zmieściłaby się słynna „car-puszka”. Z tego dystansu przywódcy przedstawiali sobie swoje punkty widzenia na mogący się przerodzić w wielką wojnę konflikt ukraiński.

Gospodarz przekonywał gościa, że jego kraj, jak i cała Europa, stoi dziś w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, w które wbrew swym interesom jest „wciągany”.

– Chcecie, by Francja wojowała z Rosją? A tak przecież będzie. Rozumiecie czy nie rozumiecie, że jeśli Ukraina będzie w NATO i będzie drogą wojny przywracać sobie Krym, państwa europejskie zostaną automatycznie wciągnięte w wojenny konflikt z Rosją? Zwycięzców nie będzie. I wy będziecie wciągnięci w ten konflikt wbrew swej woli. Nawet okiem nie mrugniecie, kiedy zacniecie wypełniać piąty artykuł traktatu północnoatlantyckiego [chodzi o zobowiązanie wszystkich członków NATO do wystąpienia w obronie zaatakowanego

jednego z nich] – powiedział Putin po rozmowach podczas konferencji prasowej.

Prezydent Rosji dziś uparcie wywodzi, że Zachód, nie chcąc dać „pisemnych gwarancji”, iż Ukraina nigdy nie wejdzie do NATO, prowokuje wojnę. Bo Ukraińcy „w swych dokumentach” zapisali, że chcą przywrócić sobie Krym, więc gdy jako członkowie NATO poczują się mocni, zaatakują Rosjan, a wtedy i Francuzom, i Niemcom przyjdzie umierać za Sewastopol.

Ta mglista, daleka zarówno od dzisiejszych realiów, jak i dającej się przewidzieć przyszłości perspektywa jest dla Moskwy powodem do koncentracji potężnej armii przy granicy z Ukrainą i stawiania Zachodowi ultimatum.

W Moskwie kluczowym terminem w debatach o ewentualnej wojnie stało się ostatnio słowo „Anglosasi”. To właśnie oni, czyli Brytyjczycy, Amerykanie, Kanadyjczycy, Australijczycy i Nowozelandczycy, z za swoich mórz rzekomo prowokują krwawy konflikt w spokojnej Europie.

Nic to nowego. Dobrze ponad 200 lat temu generalissimus Aleksandr Suworow ukuł hasło „Angielka paskudzi”, oskarżając Londyn o wpychanie Europy w odmęty wojny kontynentalnej. Od tej pory knowaniami snutymi przez zamorskich intrygantów Rosja tłumaczy swe porażki.

Całkiem niedawno Dmitrij Pieskow, rzecznik Putina, głosił, że sankcjami, które Londyn zamierza nałożyć na Moskwę, Anglosasi (aktualne wcielenie złej „Angielki”) chcą wyrządzić szkodę „nam, wszystkim Europejczykom”.

To, co gospodarz Kremla miał na myśli, mówiąc o „wciąganiu” Francji w wojnę, wyjaśnił we wtorek rano Piotr Akopow z agencji RIA Nowosti.

– Wyraził się maksymalnie konkretnie: podtrzymując odmowę Anglosasów, by dać nam gwarancje nieprzyjęcia Ukrainy do NATO, sprawiacie, że możliwa staje się wojna z Rosją. A to jest wam potrzebne? Wam, Francuzom, Niemcom, Włochom i w ogóle Europejczykom? Na pewno nie. Tym bardziej że liczni Europejczycy zdają sobie sprawę z tego, że kartą ukraińską gra się nie tylko przeciw Rosji, ale też przeciw Europie. Nie trzeba być wielkim strategiem, by zrozumieć, kto i w jaki sposób zderza państwa europejskie z Rosją. I dlaczego to się robi – podążył tropem myśli swego prezydenta dyżurny komentator rosyjskiej państwowej agencji.

By zrozumieć, na jaki lep Putin i jego ludzie chcą cynicznie złapać Macrona i innych partnerów europejskich, wystarczy włączyć telewizję kremlowską, w której ważni politycy rosyjscy od miesiący krzyczą, że spalą pół Europy, zamienią kontynent „w popiół radioaktywny”. Że Ukraina i niektóre inne państwa europejskie zostaną „unicestwione”. A Polska, jak niedawno kpił znany publicysta Witalij Trietiałow, to w ogóle „paskudne, nikomu niepotrzebne terytorium”.

Macron, który dzięki dyplomatycznej aktywności pragnie zwiększyć swoje szanse na reelekcję, do Moskwy, a potem Kijowa przyjechał ze złą misją.

Zamierza reanimować i wcielić w życie zawarte siedem lat temu „porozumienia mińskie”, czyli „mapę drogową” stopniowego zakończenia konfliktu w Donbasie. Dokument przyjęty przez Ukraińców w momencie, kiedy ich armię gromiły pod Debalcewe czołgi rosyjskie, był tworem urodzonym już jako martwy.

Zakłada, że dwie dzisiejsze separatystyczne „republiki ludowe” – Doniecka i Ługańska – wrócą na łono Ukrainy, otrzymawszy

uprzednio autonomię, wybrawszy swoje władze pod nadzorem Rosjan i uzyskawszy od Kijowa gwarancje amnestii dla tych, którzy od lat grabią tamtejszą ludność i strzelają do żołnierzy ukraińskich.

Kijów nie może się na to zgodzić, bo w ten sposób stworzyłby w ciele Ukrainy ropiejący wrzód, dzięki któremu Moskwa siałaby chaos w całym państwie i stale mogła się wtrącać w jego sprawę. Już dziś co trzeci mieszkaniec „republik ludowych” ma obywatelstwo Rosji.

Putin, jak to stale powtarza, w czasie wspólnej z Macronem konferencji prasowej znów powiedział, że wszystko to, co zapisano w „porozumieniach mińskich”, musi być co do joty wprowadzone w życie bez żadnych modyfikacji, o jakich myśli Francuz.

A zdania Ukraińców na ten temat brać się pod uwagę nie będzie. Ukraina ma się pokornie podporządkować i jak to sformułował „Europejczyk z Kremla”, cytując ludowe porzekadło, *nrawitsa, nie nrawitsa, terpi, moja krasawica* („podooba ci się czy nie podooba, cierp, moja piękna”). Ciekawe, czy tłumacze wyjaśnili prezydentowi Francji, do czego nawiązał gospodarz.

Jeśli nie, to pewnie w Kijowie, dokąd Macron przyjechał z Moskwy, wyjaśnią mu, że wziął to z wulgarnego wierszyka o gwałceniu Śpiącej Królewny.

10.02.2022, czwartek

„WOJNA Z UKRAINĄ TO NIE BĘDZIE BLITZKRIEG”

W telewizorze i wypowiedziach polityków ewentualna wojna, której Moskwa – jak twierdzą na Kremlu – „oczywiście nie chce”, ale narzucają ją jej „Anglosasi”, wygląda znakomicie. Gadające głowy z pianą na ustach spierają się w telewizji, czy rosyjskie siły zbrojne rozgromią wroga w cztery czy trzy dni. A może, bo są i takie prognozy – wystarczy im osiem minut.

Walentyna Matwijenko, przewodnicząca Rady Federacji, wyższej izby parlamentu, głosi, że nastrój narodu jest bojowy i jeśli wojna wybuchnie, „Rosjanie nie będą się dekować, tylko masowo pobiegną się zaciągać do armii”

Tymczasem wyniki sondaży przeprowadzanych przez niezależny Ośrodek Lewady dowodzą, że obywatele zapału wojennego nie wykazują, a zdecydowana ich większość (niemal dwie trzecie) wojny się boi.

Pułkownik Michaił Chodarionok, były szef pierwszego wydziału Głównego Operacyjnego Zarządu Sztabu Generalnego (zajmuje się planowaniem operacji wojskowych), w prestiżowym tygodniku „Niezawisimoje Wojennoje Obozrenije” rozprawia się z tymi, którzy w telewizji i z parlamentarnych trybun głoszą, że Ukraińców da się w tri miga „zakryć czapkami”

Sztabowiec wyśmiewa „żądnych krwi” krzykaczy głoszących, że Ukrainy nikt nie będzie bronił, a miejscowa ludność powita czołgi rosyjskie z kwiatami. „Nie doceniamy stopnia nienawiści Ukraińców do Moskwy. A to przecież ona jest najlepszym paliwem wojny. Łatwego spacerku nie będzie” – ostrzega pułkownik.

Ekspert radzi, by podżegacze wojenni zapomnieli o stalinowskiej pieśni *Jeśli jutro wojna*, która w 1938 roku pochopnie zapowiadała: „Na obcej ziemi potężnym ciosem ceną małej krwi wroga rozgromimy”

Opierając się na swym doświadczeniu w planowaniu operacji wojskowych, zapowiada, że siły zbrojne Rosji, by rozgromić dobrze dziś wyszkoloną, wyposażoną i ostrzelaną armię Ukrainy, musiałyby przeprowadzić po kolei kilka „zmasowanych ogniowych uderzeń” z jednoczesnym użyciem lotnictwa, artylerii lufowej i raketowej.

Przy tym „zapasy nowoczesnej broni i amunicji nie są bezgraniczne”. Hipersonicznych cyrkonów (cudowna broń, którą szczyli się Władimir Putin) armia jeszcze nie ma. Samosterujących rakiet Kalibr, Kindżał, Iskander ma najwyżej setki. „Tego arsenału absolutnie nie wystarczy, by zetrzeć z powierzchni ziemi kraj wielkości Francji z 40 milionami mieszkańców. A taka właśnie jest Ukraina” – ostrzega Chodarionok.

A jeśli już Rosjanie, wykorzystując przewagę liczebną i panowanie w przestrzeni powietrznej, zajmą Ukrainę, będą musieli toczyć ciężką i krwawą wojnę z miejską partyzantką. „W sumie żadnego ukraińskiego blitzkriegu nie będzie” – pisze sztabowiec.

Do ciężkiej próby przygotowują się też zagrożone sankcjami w przypadku wybuchu konfliktu zbrojnego rosyjskie instytucje

finansowe.

Najważniejsze banki, które trafiły na amerykańską listę objętych ewentualnymi restrykcjami, przeprowadzają „wewnętrzne ćwiczenia”, badając, jak sobie poradzą, jeśli wpadną w kłopoty. Jak napisała agencja Meduza, oficjalne komunikaty na temat wyników tych prób są „pełne animuszu, ale w prywatnych rozmowach z bankowcami słyszymy, że będzie horror”.

Symulację sytuacji po wprowadzeniu sankcji przeprowadził największy w Rosji Sberbank. Okazało się, że bez zachodniego oprogramowania i wyposażenia długo sobie nie poradzi. Może dojść do sytuacji, w której operacje trzeba będzie przeprowadzać na papierze.

Sberbank planuje więc, jak twierdzą moskiewskie media – póki jeszcze może – kupić na zapas dodatkowy sprzęt. A jego wystraszeni perspektywą wojny klienci tylko w styczniu wycofali z kont walutowych 1,3 miliarda dolarów.

14.02.2022, poniedziałek

NAPIĘCIE WOKÓŁ UKRAINY OSIĄGA APOGEUM

Rosyjski prezydent Władimir Putin ma teraz dobry tydzień na podgrzewanie paniki przed wojną.

Jak twierdzi portal Politico, prezydent USA Joe Biden określił już termin agresji Rosji na Ukrainę: 16 lutego, „jeszcze przed zakończeniem zimowej olimpiady w Pekinie”.

Amerykanie, a za nimi i inne państwa, ewakuują lub istotnie ograniczają personel swoich ambasad i konsulatów w Ukrainie. Część dyplomatów wyjeżdża, część przenosi się na zachód kraju, do Lwowa czy Iwano-Frankiwska. Do tego exodusu przyłączyła się Rosja, ogłaszając „optymalizację” ambasady w Kijowie „w obawie przed możliwymi prowokacjami”.

Już ponad trzydzieści pięć państw wezwało swych obywateli, by nie jeździli do Ukrainy, a jeśli tam aktualnie są – by jak najprędzej opuścili ten kraj.

Stany Zjednoczone i Wielka Brytania ewakuowały też swych wojskowych, którzy szkolili żołnierzy ukraińskich, ucząc ich przede wszystkim posługiwania się dostarczaną im właśnie bronią przeciwpancerną i przeciwlotniczą.

Holenderskie linie lotnicze KLM zdecydowały, że ich maszyny nie będą latać nad Ukrainą, a brytyjskie firmy ubezpieczeniowe

odmawiają przewoźnikom asekurowania rejsów nad zagrożonym wojną krajem.

Lęk przed wojną – jak było i dwa tygodnie temu – odbija się też na rynkach. W piątek po południu cena dolara podskoczyła o ponad dwa ruble. RTS, rosyjski indeks giełdowy, stracił niemal 5 procent, i to mimo sporego (3,86 procent) wzrostu ceny kluczowej dla gospodarki ropy marki Brent. Eksperci cytowani przez rosyjskie media przewidują, że w poniedziałek sytuacja na spanikowanym rynku jeszcze się pogorszy.

Moskwa, choć wciąż powtarza, że wojny nie chce, stara się, jak może, by pokazać, że jest na nią gotowa i zdecydowana.

Koncentruje siły wokół Ukrainy. Do pełnej armii (według różnych ocen od 80 do 130 tysięcy żołnierzy) zebranej przy wschodniej ukraińskiej granicy dochodzą oddziały przerzucone na Białoruś, do udziału w manewrach z tamtejszymi siłami pod hasłem „Związkowa Stanowczość 2022”

Dowódcy, w tym minister obrony Rosji Siergiej Szojgu, zapewniają, że liczba uczestników ćwiczeń nie przekracza 9 tysięcy, ale rozmach tego, co się dzieje jednocześnie na pięciu białoruskich poligonach, dowodzi, że to nieprawda. W manewrach – jak twierdzi bardzo kompetentny w tych sprawach tygodnik „Niezawisimoje Wojennoje Obozrenije” (NWO) – biorą udział „niemal całe siły zbrojne Białorusi”

Wcześniej zaś Rosjanie przeprowadzili bezprecedensową operację. Drogą powietrzną i koleją przetrzucili z Dalekiego Wschodu w okolice Brześcia (w prostej linii 7,4 tysiąca kilometrów) około 100 maszyn bojowych, w tym wyrzutnie najnowszych rakiet przeciwlotniczych S-400 i pocisków samosterujących Iskander. Przy granicach Białorusi z Ukrainą i Polską, jak ocenia „NWO”, do 20 lutego trenować będą

wspomagane przez lotnictwo strategiczne i frontowe „dziesiątki tysięcy uprzejmych ludzi” (tak określano żołnierzy z Rosji, którzy osiem lat temu okupowali ukraiński Krym).

Napięcie rośnie też na froncie czarnomorskim. Tam Moskwa zebrała wielką armadę złożoną z jednostek wszystkich swoich flot (poza Kaspijską). Na Morze Czarne weszło sześć wielkich okrętów desantowych (z każdego na brzeg mogą się wysadzić dwie kompanie piechoty morskiej ze sprzętem) przypisanych do Floty Bałtyckiej i Floty Północnej. Do nich i do okrętów Floty Czarnomorskiej dołączyły przysłane z Dalekiego Wschodu jednostki Floty Oceanu Spokojnego.

Około 140 okrętów, 60 samolotów, 1 tysiąca maszyn bojowych, 10 tysięcy ludzi do soboty będzie uczestniczyć w manewrach w pobliżu wybrzeży Ukrainy, na morzach Czarnym i Azowskim.

Taka kosztująca ogromne pieniądze militarna aktywność armii Rosji jednocześnie na trzech frontach daje Waszyngtonowi podstawę do przypuszczeń, że wojna może – czy wręcz powinna – wybuchnąć akurat w rozpoczynającym się tygodniu, kiedy wojska i floty są w pełnej gotowości bojowej.

Jednak niech Amerykanie wezmą pod uwagę to, że w ostatnich latach armia Rosji ćwiczy permanentnie. W kraju Putina, po ponad dwóch dekadach jego rządów, co szósta szkoła nie jest podłączona do kanalizacji i ma dla uczniów toaletę na podwórku. Na poprawienie tej sytuacji Moskwy nie stać, ale na wojsko pieniędzy jest aż nadto.

Rosja uparcie zapewnia, że to nie ona zaraża świat strachem przed wojną. – Fakty są takie, że to Amerykanie sztucznie rozdmuchują histerię wokół tzw. planowanej agresji na Ukrainę i nawet wskazują, kiedy konkretnie do niej dojdzie. W ostatnich dniach i godzinach sytuacja stała się absolutnie absurdalna –

przekonuje Jurij Uszakov, odpowiedzialny za politykę zagraniczną pomocnik Putina.

Tymczasem Moskwa wykazuje nie mniejszą niż militarna aktywność dyplomatyczną. W ubiegłym tygodniu u Putina byli premier Węgier Viktor Orbán, prezydent Francji Emmanuel Macron i szefowa MSZ Wielkiej Brytanii Liz Truss.

W poniedziałek na Kremlu zjawi się kanclerz Niemiec Olaf Scholz. W tym tygodniu z szefem dyplomacji Rosji Siergiejem Ławrowem ma też rozmawiać w Moskwie Zbigniew Rau. Zapowiadając tę wizytę, rosyjskie media piszą, że minister spotka się z „przewodniczącym OBWE”, nie nazywając jednak rozmówcy ani funkcji, jaką pełni on w polskim rządzie.

Putin jest w kontakcie telefonicznym z Macronem, brytyjskim premierem Borisem Johnsonem, a przede wszystkim z Bidenem, z którym przez ponad godzinę rozmawiał w sobotę.

Gospodarz Kremla wciąż stara się przekonać głównych zachodnich partnerów, że zapobiec wojnie mogą jedynie, godząc się na postawione im 17 grudnia ubiegłego roku ultimatum, a więc gwarantując, że nie przyjmą Ukrainy do NATO i wycofają instalacje Sojuszu z państw, które wstąpiły doń po 1997 roku.

Moskwa aktywnie pracuje też z „mniejszymi” partnerami. Głosi, że stają się oni ofiarami „Anglosasów” (tych państw, w których mówi się po angielsku), wciągających Europejczyków do swojej wojny.

Teraz Kreml ma znakomity tydzień na werbowanie nowych stronników. Z jednej strony straszy ich armiami i armadami manewrującymi u granic Ukrainy. Z drugiej – póki u towarzyszy chińskich trwa olimpiada – ma alibi pozwalające wytłumaczyć Rosjanom, dlaczego wciąż nie wymierza ciosu uzbrojoną pięścią podniesioną nad sąsiednim krajem.

W najbliższą sobotę kończą się manewry floty, w niedzielę – igrzyska i ćwiczenia na Białorusi, po których Moskwa solennie obiecała wycofać swoje wojska do koszar.

To, co Putin ugra w najbliższych dniach, podnosząc poziom strachu przed wojną do zenitu i prowadząc krecią robotę, wzmocni jego pozycję w ukraińskich przetargach z USA i NATO.

15.02.2022, wtorek

ROSJA NIEGOTOWA DO WOJNY

Niezależna „Nowaja Gazieta” poprosiła, by eksperci wojskowi ocenili, na ile armia Rosji jest dziś przygotowana do frontalnej agresji na Ukrainę. Ich zdaniem do ataku – przynajmniej w najbliższych dniach – nie dojdzie.

Moskwie – dzięki trwającym od wiosny manewrom i koncentracji wojsk przy granicach Ukrainy – udało się zasiać na świecie wojenną panikę, która nie bez udziału zachodnich polityków i mediów właśnie dochodzi do zenitu.

Prezydent USA Joe Biden, jeśli wierzyć portalowi Politico, pozwolił sobie nawet na niemający precedensu w historii krok i precyzyjnie zapowiedział, kiedy obce państwo, w tym przypadku Rosja, zaatakuje – a mianowicie w środę 16 lutego.

Wsławiona swoją opozycyjną postawą wobec Kremla (zresztą okupioną krwią swoich dziennikarzy) „Nowaja Gazieta” przeprowadziła *fact checking*, jak sama to określiła w artykule *Obserwujcie cysterny*. Zapytani przez nią eksperci, w tym doświadczeni oficerowie sztabowi, sprawdzili fakty, którymi Kreml wystraszył świat.

Datę napadu zachodni specjaliści wyznaczają m.in. na podstawie sytuacji pogodowej.

Według nich czołgi mogą pójść na Kijów tylko po twardym gruncie (ale Rosjanie otwarcie szydzą z takich ekspertyz), czyli dopiero wtedy, kiedy zamrznie ziemia, a więc właśnie w lutym.

Tymczasem akurat ten sprzyjający przeprowadzeniu ataku stan pogody już za nami. Dziś w Charkowie temperatura dochodzi do plus dziesięciu, w Kijowie – do plus sześciu stopni.

Media są w ostatnich miesiącach pełne doniesień o koncentracji rosyjskiego wojska i sprzętu przy granicach z Ukrainą. Mówi się o zgromadzeniu tam od 80 do 120 tysięcy żołnierzy. Tymczasem eksperci w „Nowej Gazecie” przypominają, że jeszcze w latach 2016-2018 oceniano, że Rosja w tych rejonach zebrała właśnie od 80 do 100 tysięcy swoich żołnierzy. Zmieniło się więc niewiele.

Ostatnio w przygranicznych obwodach – biełgorodzkim, kurskim, rostowskim i woroneskim – rzeczywiście przybywa techniki wojskowej. Nawet z dalekiej Syberii ciągną eszelony z czołgami, wozami pancernymi, wyrzutniami rakiet. Ale co dziwne, o czym już wcześniej pisała „Nowaja” i inne gazety moskiewskie, sprzęt ten jedzie bez załóg. Na nagraniach publikowanych przez regionalne agencje informacyjne widać, że wagony pasażerskie podczipione do składów nie są pełne ludzi. W dodatku przecież batalionowe grupy taktyczne – podstawowe w armii Rosji jednostki frontowe – są autonomiczne, czyli mają swoją broń przeciwlotniczą, środki zwiadu elektronicznego itp. Teraz Rosja przerzuca pojazdy bojowe, bez ludzi i osłony, więc do natychmiastowej akcji nie są one gotowe.

Media zachodnie na wszelkie sposoby opisują „plan ataku” Rosji na Ukrainę, który miał być przechwycony przez wywiad ukraiński. Mowa w nim m.in., że Kijów będzie w ciągu czterdziestu ośmiu godzin wzięty przez oddziały rosyjskie prowadzące atak z terytorium Białorusi.

Rzeczywiście, 30 tysięcy żołnierzy rosyjskich jest w tym kraju, uczestnicząc w manewrach o nazwie „Związkowa Stanowczość”. Zdaniem ekspertów „Nowej” jest to jednak siła absolutnie za mała, by frontalnym i błyskawicznym atakiem wziąć ponadtrzymilionowe miasto.

Groźnie brzmiały też podawane przez media, które powołują się na źródła w wywiadzie i administracji USA, informacje o gromadzeniu przez armię Rosji „w ostatnich tygodniach” zapasów krwi i budowie lazaretów przy granicy z Ukrainą.

Ekspersi „Nowej Gazety” na zdjęciach satelitarnych znaleźli dwa szpitale polowe przy granicy z Ukrainą obliczone w sumie na pięćset łóżek. To także zdecydowanie za mało, jeśli wziąć pod uwagę, że według tych samych źródeł wywiadowczych na froncie rannych może zostać 30 tysięcy żołnierzy rosyjskich.

Z kolei co do gromadzenia krwi na zapas – to ich zdaniem nieprawda. Armia rosyjska bowiem, zgodnie z jej przepisami, krew do transfuzji w warunkach polowych przechowuje nie dłużej niż cztery tygodnie.

Na zdjęciach satelitarnych z regionów „przyfrontowych” według specjalistów brakuje jeszcze jednego. Nie ma tam cystern, a przecież o „gotowości bojowej wojska świadczą zgromadzone przed walką zapasy paliwa”. Zgodnie z normatywami przyjętymi w siłach zbrojnych Rosji pułk strzelców zmotoryzowanych na każdy dzień walki potrzebuje 120 ton benzyny, oleju napędowego, smarów.

W miejscach koncentracji czołgów, wozów pancernych, samobieżnej artylerii powinny być zatem liczne instalacje do tankowania, powinny tam ciągnąć kolumny cystern.

„Nowaja Gazeta” tak podsumowuje wzajemną grę strachów, którą toczą Rosja, Zachód i Ukraina: „Kreml prowadzi niekończącą

się i drogą kampanię manewrów. Zachód starannie dorysowuje Putinowi kły i rogi, w światowej prasie zapowiadają rychły i nieunikniony koniec świata. A rząd ukraiński stoi przed widmem paniki, wykupywania żywności, rozchwiania rynków – i w miarę możliwości usiłuje uspokoić społeczeństwo”.

W eskalowanie wojennego napięcia może nie jest wcale wpisany plan doprowadzenia do wielkiego frontalnego konfliktu. Może dochodzić, jak pisze „Nowaja”, do starcia „w strefie odpowiedzialności konkretnego batalionu czy pułku gdzieś w okolicy umownej Marinki”. Taką „wojenkę”, nie ryzykując podpadania pod nowe sankcje, można wywołać „jednym telefonem”, a przy tym kontrolować ją łatwiej. Jednak wrażenie na światowej opinii zrobi odpowiednie.

16.02.2022, środa

ROSJA STAWIA NA DYPLOMACJĘ

Rosja odchodzi od straszenia świata wojną ukraińską i stawia na działania dyplomatyczne. To sprawiło, że Zbigniew Rau – odwiedzający Moskwę jako przewodniczący OBWE i polski minister spraw zagranicznych – został tam dobrze przyjęty.

Goszczący Polaka Siergiej Ławrow, szef dyplomacji rosyjskiej, pochwalił jego inicjatywę powołania Odnowionego Dialogu OBWE i wyraził nadzieję, że zrzeszająca pięćdziesiąt siedem państw organizacja, którą Rau ma kierować do końca roku, okaże się dobrym „formatem” dla rozmów o zasadach bezpieczeństwa, na których Rosjanom bardzo zależy.

Jeszcze całkiem niedawno Aleksandr Łukaszewicz, ambasador Rosji przy OBWE, ostro krytykował pomysł polskiego ministra jako surowy i nieprzemyślany, a kierowaną przez niego instytucję ocenił jako niezdolną do rozwiązywania problemów.

Zbigniew Rau okazał się jednak politykiem fartownym. Dzień przed jego przyjazdem Kreml zmienił front z wojennego na dyplomatyczny. Władimir Putin wezwał do siebie w poniedziałek Ławrowa oraz ministra obrony Siergieja Szojgu i przed kamerami oddzielony od gości niebywale długim stołem odegrał z każdym z nich spektakl.

Szojgu zameldował „głównodowodzącemu”, że wojska prowadzące dziś manewry na wielką skalę po ich rychłym

zakończeniu wrócą do koszar, a więc, jak należy rozumieć, nie pójdą na Kijów.

Z kolei szef dyplomacji zdał prezydentowi raport z wysiłków mających doprowadzić do rozmów z Zachodem na temat „gwarancji bezpieczeństwa”, jakich Moskwa domaga się od Waszyngtonu i NATO. Na główne żądania (obietnica nieprzyjmowania Ukrainy do Paktu i wycofania instalacji NATO z państw przyjętych do niego po 1997 roku), ubolewał minister Ławrow, partnerzy nie zareagowali, ale – jak dodał – godzą się na rozmowy o innych sprawach, na których zależy Moskwie. Putin kazał Ławrowowi iść dalej drogą dyplomacji, a więc znów – nie ścieżką wojenną.

Kiedy Rau rozmawiał z Ławrowem, ministerstwo obrony ogłosiło, że część wojsk południowego oraz zachodniego okręgu wojskowego zakończyła manewry u granic z Ukrainą i wraca do koszar.

Te pokojowe reweranse były adresowane pewnie do Olafa Scholza, który także wczoraj przyjechał do Moskwy na ważne dla Kremla rozmowy z Putinem.

Poza tym można się było spodziewać, że Rosjanie, zrozumiawszy, iż wojenny blef im nie wyszedł, zaczną szukać bardziej pokojowego wyjścia z ukraińskiego ślepego zaułka, do którego sami się zagnali.

Skorzystał na tym i Rau, uzyskując od rosyjskiego kolegi zapewnienia, że Rosja i OBWE będą rzeczowo współpracować. Sam polski minister zrobił dobre wrażenie w Moskwie. Tam lubią i szanują takich solidnych, panujących nad emocjami niemłodych urzędników.

Putin i jego ludzie powinni zwrócić uwagę na to, jak rynki zareagowały na zapowiedź dezeskalacji. Wczoraj rubel zyskał

ponad 1,7 procent w stosunku do dolara, a rosyjski indeks giełdowy podskoczył natychmiast o ponad 5 procent.

Przeciwstawny – bo alarmujący – sygnał wyszedł wczoraj natomiast z Dumy. Niższa izba parlamentu Rosji uchwaliła przygotowany przez komunistów i nacjonalistów apel do prezydenta o uznanie niezależności dwóch samozwańczych „ludowych republik” na wschodzie Ukrainy – Donieckiej i Ługańskiej.

Dokument z punktu widzenia polityki głoszonej przez Kreml wydaje się nielogiczny i szkodliwy. Uznanie niepodległości liczących w sumie około 16 tysięcy kilometrów kwadratowych regionów automatycznie unieważniłoby porozumienia mińskie i zrujnowało rachuby Moskwy na odzyskanie całej Ukrainy (600 tysięcy kilometrów kwadratowych) poprzez dywersyjny wpływ „republik” na porządek ukraiński.

Putinowska „partia władzy” Jedna Rosja usiłowała zahamować przyjęcie apelu i zgłosiła własny jego projekt. Słowo w słowo powtórzyła to, co wymyślili komuniści i nacjonaści, ale w jej wersji dokument, zanim trafiłby do prezydenta, miałby przejść przez ekspertyzę MSZ i innych resortów, czyli utknąć w wolno mielących młynach biurokracji.

Deputowani uznali jednak, że działać trzeba szybko, by skutecznie bronić Rosjan z Doniecka i Ługańska przed „agresją ukraińską”, i poszli na skróty, zwracając się wprost do gospodarza Kremla.

Putin jednak śpieszyć się nie będzie. Dmitrij Pieskow, jego rzecznik, zapowiedział już, że „szybko to się tylko kotki rodzą”

17.02.2022, czwartek

ROSJI CIASNO W JEJ GRANICACH

Jeden z głównych architektów polityki Kremla Władisław Surkow mówi: „104 lata temu te granice narzucili bolszewicy, zawierając pokój brzeski. Czas odzyskać to, co należało do imperium carów”

Autor, w przeszłości m.in. doradca Władimira Putina, dziś nie pełni żadnej funkcji, ale wciąż jest bliski Kremlowi. Jego wojowniczy manifest *Mglista przyszłość bezwstydnego pokoju* szczegółowo omówiła we wtorek oficjalna agencja TASS.

Zdaniem Surkowa pokój brzeski z 1918 roku (bolszewicy wyrzekli się krajów nadbałtyckich, Polski, Białorusi, Ukrainy, aby móc dokończyć zwycięstwo rewolucji) poniżył Rosję, wepchnięto ją w ramy sprzed Piotra Wielkiego, a nawet dynastii Romanowów.

Później z powodu „śmiesznej pierestrojki” i „mętnej głośności” imperium znów rozpruło się w szwach – ubolewa.

„Ciasno i tęskno, i niewygodnie... Nie do pomyślenia jest pozostawanie Rosji w granicach bezwstydnego pokoju. Jesteśmy za pokojem. Ale nie za bezwstydnym. Za prawidłowym” – wywodzi Surkow.

Trzy lata temu zapowiedział, że dziś do Rosji żadna demokracja nie pasuje. Po pogromie opozycji w ostatnich dwóch latach widzimy, że jego wizję porządków zrealizowano.

Aneksję Krymu Putin przeprowadził na podobieństwo Anschlussu Austrii przez Hitlera. Teraz, grożąc wojną, zmusza Zachód, by oddał mu Ukrainę. Też tak jak Hitler, który w 1938 roku wymógł na Wielkiej Brytanii i Francji zgodę na przejęcie Czechosłowacji.

Hitlerowi też było „ciasno w granicach nakreślonych przez »hańbiący« traktat wersalski”, bez należnej narodowi niemieckiemu „przestrzeni życiowej”. I aby ją odzyskać, Niemcy przeszły do „geopolityki kontaktowej”, tak jak teraz Surkow proponuje Rosji.

21.02.2022, poniedziałek

KREML PRZEKONUJE, ŻE UKRAIŃCY DOKONUJĄ „LUDOBÓJSTWA”

Moskwa zmontowała i prowadzi w Donbasie potężną prowokację. Starając się rozdmuchać tam łże-wojnę, doprowadza do prawdziwej katastrofy humanitarnej. Tak daje sobie pretekst do wywołania konfliktu na wielką skalę.

W rosyjskiej propagandzie od czwartku role się odwróciły. Teraz to nie Rosja, jak zapowiadano w ostatnich tygodniach na Zachodzie, „nieuchronnie” rozpocznie inwazję na sąsiedni kraj, tylko Ukraina, jak powtarzają w Moskwie, też „nieuchronnie”, obróci całą moc swej armii na prorosyjskie republiki ludowe na własnych wschodnich rubieżach.

W internecie rosyjskim powtarza się słowo „Gleiwitz”, przypominające o prowokacji gliwickiej, za pomocą której Hitler usprawiedliwiał agresję na Polskę w 1939 roku (przebrani w polskie mundury ludzie „napadli” na znajdującą się na terenie III Rzeszy radiostację). Sama Rosja jednak ma też własne bogate doświadczenie w prowokowaniu wojen.

Tak było jesienią 1939 roku, kiedy jednostka NKWD przypuściła atak artyleryjski na posterunek Armii Czerwonej we wsi Majniła przy granicy z Finlandią. Moskwa winę za śmierć swoich żołnierzy złożyła na Helsinki i rozpoczęła wojnę zimową.

Również druga wojna czeczeńska, która w 1999 roku poniekąd wyniosła Władimira Putina do władzy, według wielu ekspertów została wywołana na zamówienie, a dający pretekst do jej wybuchu atak Czeczenów na Dagestan był opłacony przez kremlowskich oligarchów.

Jednak obecna prowokacja w Donbasie, który rzekomo jest atakowany masowym ogniem artyleryjskim i raketowym przez siły zbrojne Ukrainy, została przygotowana nieudolnie.

Władze samozwańczej Ludowej Republiki Ługańskiej, a za nimi media kremlowskie, oskarżyły w czwartek Ukraińców o „zbrodnicze”, „niehumanitarne”, „bestialskie” ostrzelanie przedszkola znajdującego się na terytorium kontrolowanym przez separatystów. Kiedy okazało się, że chodzi o przedszkole w Stanicy Ługańskiej, a więc na obszarze podległym Kijowowi, a strzelali do niego „ługańscy”, moskiewskie media zmieniły front i głoszą, że atak artyleryjski to fejk perfidnie wymyślony przez Ukraińców.

Media rosyjskie mają kłopot ze stworzeniem „obrazka” strasznej wojny.

Pokazują wciąż te same niewybuchy pocisków moździerzowych, którymi Ukraińcy mieli atakować „dzielnice mieszkaniowe” na terytorium samozwańczych republik. Pokazują wystygłe ruiny, domy z wybitymi nie wiadomo kiedy oknami.

Natomiast w relacjach telewizyjnych nie ma płonących budynków, ludzi, którzy usiłują w gruzach swoich właśnie zniszczonych domów odnaleźć resztki dobytku, setek rannych w szpitalach, zabitych – co musiałyby być skutkiem „masowych ostrzałów z użyciem ciężkiej artylerii”, o których mówią telewizyjni sprawozdawcy.

Grozę powiększać mają „ataki terrorystyczne”, których w republikach rzekomo dopuszczają się dywersanci ukraińscy. To oni mieli wysadzić w powietrze należący do Denisa Sinienkowa, naczelnika ludowej milicji Donieckiej Republiki Ludowej, uaz o numerach rejestracyjnych DK 0101.

Milicyjny komendant rzeczywiście jeździł i był fotografowany w aucie terenowym o takich numerach, ale nie w zwykłym starym łaziku, lecz nowym i znacznie droższym, którego widocznie nie zdecydował się złożyć na ołtarzu ojczyzny i dla oszczędności sam kazał podłożyć bombę pod złom. Łże-zamach przeprowadzono w miejscu ustronnym i bezludnym. Nikt nie zginął, nikt nie został ranny.

Prowadzony przez Ukraińców „masowy ostrzał” republik Ługańskiej i Donieckiej, gdzie ostatnio było stosunkowo spokojnie, rozpoczął się w czwartek, nazajutrz po tym, jak nie nastąpił zapowiadany przez Waszyngton na środę „nieuchronny” atak Rosji na Ukrainę.

W piątek Dienis Puszylin, przywódca Republiki Donieckiej, i Leonid Pasiecznik z Republiki Ługańskiej ogłosili, że sytuacja stała się tak groźna, iż niezbędna jest natychmiastowa ewakuacja dzieci, kobiet i osób starszych do Rosji. Rozkazali ludziom zbierać się w pośpiechu i wsiadać do specjalnie podstawionych autobusów lub ruszać własnymi samochodami w drogę na wschód, gdzie ponoć czekają na nich miejsca noclegowe, posiłki i opieka. Putin ze swojej strony obiecał, że z budżetu rosyjskiego wypłaci każdemu „uchodźcy” 10 tysięcy rubli (około 500 złotych) zapomogi.

Aric Toler ze słynnej dziennikarskiej grupy śledczej Bellingcat dokładnie przyjrzał się komunikatom przywódców obu republik

i na podstawie danych zawartych w nagraniach doszedł do wniosku, że zostały one nagrane jeszcze w środę.

Decyzja o ratującej ludność ewakuacji została więc podjęta, kiedy na linii zawieszenia ognia między separatystami a armią Ukrainy jeszcze panował względny spokój.

Ewakuacja swoją drogą, natomiast Puszylin i Pasiecznik zabronili mężczyznom w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu lat wyjeżdżać do Rosji i zarządzili powszechną mobilizację w republikach.

Do niedzieli rano z republik wyjechało około 40 tysięcy ludzi. W Rosji spodziewają się, że ich liczba może dojść do 700-900 tysięcy. Tylko część z nich znajdzie schronienie w obwodach przygranicznych. Miejsca dla „uchodźców” szykowane są też na przykład na leżącym za kołem podbiegunowym Jamale czy w dalekowschodniej Jakucji, gdzie znajduje się światowy biegun zimna.

Mieszkańcy Doniecka czy Ługańska nie kwapią się porzucić swoje domy. Boją się, że pod ich nieobecność zostaną one ograbione (do autobusów są wpuszczani tylko z bagażem podręcznym). Uważają też, że na miejscu nie grozi im szczególne niebezpieczeństwo. Rozmawiając z reporterami także telewizji rosyjskiej, oceniają, że intensywność ostrzałów wcale nie jest większa od tej, do której przywykli przez osiem lat wojny w regionie.

Obrazek sztucznie organizowanego kosztem setek tysięcy ludzi masowego exodusu ma dowodzić, że w Donbasie nękanym przez Ukraińców dochodzi do „ludobójstwa”. Tak właśnie na niedawnym spotkaniu z kanclerzem Olafem Scholzem ocenił sytuację w republikach Putin.

Ogromna prowokacja może dać Moskwie powód do uznania republik za „niezależne” twory państwowe i udzielenia im „bratniej” pomocy militarnej w imię ochrony Rosjan (co trzeci mieszkaniec regionu ma dziś obywatelstwo rosyjskie).

Rosja wszystko już do tego przygotowała. Jej jednostki zgromadzone przy granicy są gotowe do akcji. W minionym tygodniu Duma zaapelowała do Putina, by uznał Donieck i Ługańsk za niepodległe państwa. Na wtorek wyznaczono nadzwyczajne posiedzenia Dumy i Rady Federacji. Obie izby parlamentu mogłyby więc błyskawicznie potwierdzić ewentualną decyzję prezydenta o uznaniu „niezależności” obu prowincji, a więc oderwaniu ich od Ukrainy.

Potem już nic nie stałoby na przeszkodzie, by armia Rosji na prośbę Puszyłina i Pasiiecznika weszła do republik, by zapobiec „ludobójstwu”.

Gdyby Ukraińcy chcieli się temu przeciwstawić, musieliby się zetrzeć z armią Rosji. A sprowokować takie starcie także można bez trudu.

22.02.2022, wtorek

ROSJA JEST GOTOWA UZNAĆ „NIEZALEŻNOŚĆ” SEPARATYSTYCZNYCH „REPUBLIK”

Dienis Puszylin i Leonid Pasiiecznik, przywódcy prorosyjskich „republik ludowych” – Donieckiej i Ługańskiej – wystąpili z „prośbami” o opiekę.

„Szanowny Władimirze Władimirowiczu, w celu niedopuszczenia do masowej zguby ludności cywilnej Republiki Ługańskiej, 300 tysięcy mieszkańców, którzy są obywatelami Rosji, prosi pana o uznanie suwerenności i niezależności Ługańskiej Republiki Ludowej” – apelował do Putina Pasiiecznik (sam obywatel Federacji Rosyjskiej i członek putinowskiej partii władzy Jedna Rosja) w oświadczeniu przekazanym przez kremlowski kanał telewizyjny Rossija 24.

Dokładnie takimi samymi słowami zwrócił się do gospodarza Kremla jego doniecki kolega Puszylin. Obaj poprosili też o rozważenie zawarcia przez Rosję z ich „republikami” „układu o przyjaźni i współpracy przewidującego współpracę w dziedzinie obrony”.

Rosja jest pod każdym względem przygotowana do oderwania 16 tysięcy kilometrów kwadratowych zamieszkanego przez 2 miliony ludzi terytorium i wprowadzenia tam swoich wojsk dla „obrony ludności” przed rzekomą agresją ukraińską.

O rzekomych atakach na „republiki” od czwartku trąbią kremłowskie media, próbując dowieść, że ich ludność cywilna znalazła się pod ostrzałem ciężkiej artylerii, moździerzy, broni maszynowej.

W poniedziałek Moskwa poinformowała, że na jej granicy z Ukrainą doszło do starcia żołnierzy ukraińskich z rosyjskimi. Rosjanie mieli zlikwidować „grupę dywersantów”, która wdarła się na ich terytorium, i zniszczyć ich dwa wozy pancerne.

Kijów zapewnia, że nie atakuje Donbasu ani tym bardziej Rosji. Ale do wejścia do „republik” gotowe są już jednostki rosyjskie zgromadzone przy granicy z Ukrainą.

Kreml na apele separatystów zareagował błyskawicznie. Putin natychmiast zwołał posiedzenie Rady Bezpieczeństwa, która rozważyła kwestię oficjalnego uznania niezależności Doniecka i Ługańska.

„W rzeczy samej te terytoria nie są Ukrainie potrzebne” – wypowiedział się Dmitrij Miedwiediew, były prezydent, dziś zastępca przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa. Za odebraniem Ukraińcom przygranicznego terytorium opowiadali się też inni uczestnicy narady.

Do uznania niezależności „republik” Moskwa jest przygotowana propagandowo i militarnie, ale też organizacyjnie.

„Na wtorek zwołano nadzwyczajne posiedzenie Dumy i Rady Federacji. Obie izby parlamentu będą mogły natychmiast zatwierdzić decyzję prezydenta o uznaniu niezależności Doniecka i Ługańska, zawarte z nimi traktaty o »pomocy militarnej« i wydać zgodę na wprowadzenie wojsk rosyjskich na obce terytorium”.

Moskwa głosi, że nie boi się reakcji Zachodu na swój krok. „Sami przyjdą, sami zaproponują powrót do współpracy” –

zapewniał Miedwiediew, powołując się na własne doświadczenie z lat 2008-2009, kiedy to Zachód szybko zapomniał Moskwie wojnę z Gruzją i oderwanie od niej jej prowincji.

O przyjęciu „prósb” i uznaniu niezależności obydwu „republik” Putin poinformował już w poniedziałek wieczorem.

Przed podpisaniem stosownych dokumentów postanowił uzasadnić swoją decyzję w trakcie długiego orędzia wygłoszonego do narodu.

Stwierdził, że Ukraina dla Federacji Rosyjskiej nie jest tylko sąsiadem, ale też jest integralną częścią jej historii i kultury. – Ukraińcy to nasi krewni – dodał.

Ukraińską państwowość określił mianem wytworu działań bolszewików, a zwłaszcza Włodzimierza Lenina, ze szkodą dla Rosjan. – Ukrainę można dzisiaj nazwać „Ukrainą imienia Włodzimierza Ilicza Lenina” – stwierdził Putin, po czym zapowiedział, że Rosja jest gotowa pokazać Ukrainie, czym jest prawdziwa „dekomunizacja”.

Oskarżył też Ukrainę o niechęć do współpracy z Rosją. – W Kijowie próbowano wykorzystać dialog z Rosją do targów z Zachodem, od samego początku oni zaczęli budować swoją państwowość na sprzecznościach – stwierdził, po czym dodał, że Ukraina nigdy nie miała swojego własnego, prawdziwego modelu państwa, i oskarżył ją o klientelizm wobec „zewnątrznych sił”.

Wśród innych „uwag” pod adresem władz Ukrainy znalazły się też zarzuty o korupcję, wywołanie kryzysu ekonomicznego w kraju i drenowanie portfeli obywateli, represjonowanie przeciwników politycznych, wspieranie „radykałnych” organizacji na Krymie, dyskryminowanie Rosjan i rosyjskiego języka.

Putin mówił też o kwestiach bezpieczeństwa. Zarzucił Ukrainie dążenie do pozyskania broni atomowej. – To coś, czego nie możemy ignorować – stwierdził.

Oskarżył ponadto Zachód o dostarczanie uzbrojenia Kijowowi i szkolenie ukraińskich wojsk, a Ukrainę o bycie przyczółkiem NATO i USA, który miałby być wykorzystany w przyszłym uderzeniu na Rosję. – Obcy mają wpływ na wszystkie najważniejsze decyzje, które tam zapadają – powiedział prezydent Rosji.

W tym kontekście wytłumaczył też aneksję Krymu, gdzie – jak utrzymywał – miały się znaleźć bazy Sojuszu. – Wstąpienie Ukrainy do NATO jest bezpośrednim zagrożeniem dla bezpieczeństwa Rosji – oznajmił Putin.

Wobec tego – jak dodał – Rosja ma się prawo bronić przed „zagrożeniem”. Zwłaszcza że zdaniem rosyjskiego przywódcy USA i Sojusz nie wykazały chęci nawiązania prawdziwego dialogu i pójścia na ustępstwa.

CZEŚĆ 4. KŁĘSKA

KROK PO KROKU

- 24 lutego 2022 roku rosyjskie wojska zaatakowały Ukrainę nie tylko ze swego terytorium, ale też z obszaru Białorusi. Agresorzy odnoszą sukcesy w Donbasie, pod Charkowem i na południu Ukrainy, tworząc lądowy korytarz między Donbasem a Krymem. Oddziały rosyjskie podchodzą też na roгатki Kijowa.
- Ukraińska obrona szybko krzepnie, a Rosjanie przestają posuwać się do przodu i ponoszą ogromne straty.
- W marcu 2022 roku Rosjanie zajmują Chersoń, jedyne miasto obwodowe, które wpadło w ręce okupantów.
- Na początku kwietnia Rosjanie wycofują się z zajętych terenów na północ od Kijowa, w tym z Czarnobyla.
- W opuszczonych przez Rosjan Buczy, Irpieniu i Borodziance, położonych niedaleko ukraińskiej stolicy, odkryto ślady masowych zbrodni wojennych: tysiące zabitych cywilów, wiele ofiar przed śmiercią torturowano.
- 14 kwietnia tonie krążownik rakietowy „Moskwa”, trafiony dzień wcześniej ukraińskimi pociskami. To spektakularny sukces Ukraińców – „Moskwa” była legendarnym okrętem flagowym i dumą Floty Czarnomorskiej.
- Pod koniec września 2022 roku na okupowanych terenach obwodów donieckiego, ługańskiego, chersońskiego i zaporoskiego Kreml przeprowadza „referendum” za ich

przyłączeniem do Rosji. 30 września Putin ogłasza włączenie obwodów w skład Federacji Rosyjskiej.

- We wrześniu i październiku 2022 roku spektakularna ofensywa Ukraińców przepędza Rosjan spod Charkowa oraz części Donbasu; uciekający w panice agresor traci masę sprzętu.
- Na początku października 2022 roku dochodzi do eksplozji na moście Kerczeńskim, łączącym Krym z Rosją, i zawalenia się jednej z dwóch drogowych nitek przeprawy. Za atakiem stały zapewne ukraińskie służby.
- Rosjanie pod naporem Ukraińców wycofują się też na południu, za Dniepr. 11 listopada 2022 roku Kijów potwierdza wyzwolenie Chersonia.
- Od lutego 2022 roku na Rosję spadają coraz dotkliwsze sankcje ze strony USA, UE, Kanady, Wielkiej Brytanii, Japonii czy Australii.
- Z miesiąca na miesiąc rośnie też militarna pomoc Zachodu dla walczącej Ukrainy, która dostaje między innymi zestawy artylerii raketowej HIMARS, precyzyjnie rażące cele daleko za linią frontu. Na początku 2023 roku kraje NATO ogłaszają, że Kijów dostanie też nowoczesne czołgi, takie jak Leopard 2 czy Abrams, oraz z Polski i Słowacji myśliwce MiG-29. Trwają dyskusje na temat przekazania Ukraińcom myśliwców F-16, zaczynają się szkolenia ukraińskich pilotów.
- 20 maja Rosjanie, z decydującym udziałem najemników z Grupy Wagnera, zdobywają Bachmut. Niedługo potem zaczyna się ukraińska kontrofensywa.
- 23 czerwca 2023 roku lider Grupy Wagnera Jewgienij Prigożyn oskarża rosyjskie siły zbrojne o atak na swoich żołnierzy. 24 czerwca zajmuje ze swoimi oddziałami Rostów nad Donem i ogłasza rozpoczęcie „marszu sprawiedliwości” na Moskwę.

Putin opuszcza stolicę. Jednak wieczorem Prigożyn ogłasza zakończenie marszu i po negocjacjach z Aleksandrem Łukaszenką wyjeżdża na Białoruś.

11.04.2022, poniedziałek

NIEUDANY BLITZKRIEG

Generał pułkownik Siergiej Biesieda trafił do aresztu FSB za to, że ukradł pieniądze, które miały zapewnić Kremlowi łatwe zwycięstwo w Ukrainie. Ale niepowodzenia na froncie Putin zawdzięcza też swym innym skorumpowanym dowódcom.

Biesieda, szef Departamentu Informacji Operacyjnej V Służby Federalnej Służby Bezpieczeństwa (wywiad zagraniczny), odgrywał kluczową rolę w ukraińskiej grze Moskwy. I to nie od wczoraj. Zimą 2014 roku kierował siłowymi próbami rozprawy z kijowskim euromajdanem.

A teraz, jak wynika z informacji przekazanych niezależnym mediom przez źródło w samym FSB, nazwane Wind of Changes, Putin powierzył mu zorganizowanie w sąsiednim kraju „anty-Majdanów”. Ich uczestnicy, jak obiecywał Kremlowi generał Biesieda, mieli wystąpić przeciw „neonazistom” kijowskim i usiąć kwiatami drogę czołgom rosyjskim wdzierającym się do Ukrainy.

Jeszcze miesiąc temu, jak donosiła agencja Agentura.ru (zajmuje się rosyjskimi służbami specjalnymi), Biesieda i jego zastępca Anatolij Bołuch zostali osadzeni w aresztach domowych. Teraz okazuje się, że ważny generał został przeniesiony do ciężkiego aresztu FSB w moskiewskim Lefortowie, najsilniej strzeżonego więzienia w Rosji.

Władimir Osieczkin z witryny Gułagu.net, któremu Wind of Changes przekazuje informacje, w sobotnim wywiadzie

wyjaśniał, jakie zarzuty śledczy stawiają szefowi specwywiadu.

Dysponował on mianowicie ogromnymi pieniędzmi przeznaczonymi przez Kreml na wywołanie ogólnonarodowego buntu przeciw władzom w Kijowie.

Tylko w ostatnich miesiącach w grę wchodziło 10 miliardów rubli (ponad 500 milionów złotych) z sekretnej części budżetu państwa (Rosja utajnia nawet przed parlamentarzystami to, na co przeznaczają około 15 procent swoich wydatków).

W raportach przekazywanych Putinowi generał zapewniał, że w każdym dużym mieście Ukrainy zmobilizował i opłacił „do dwóch tysięcy wysportowanych mężczyzn” gotowych czynnie wystąpić przeciw instytucjom ukraińskim.

Za tymi oddziałami szturmowymi miał w każdym ośrodku pójść co najmniej kilkutysięczny tłum nastawionych prorosyjsko mieszkańców, którzy z entuzjazmem mieli witać moskiewskie czołgi.

Nic dziwnego, że nęcony perspektywą powtórzenia bezkrwawego podboju Krymu władca Kremla rozkazał swoim czołgistom zabrać ze sobą mundury paradne, w których już kilka dni po inwazji mieli się zaprezentować rozentuzjasmowanym tłumom, defilując na kijowskim Kreszczatiku.

Teraz Główny Wojskowy Zarząd Komitetu Śledczego Federacji Rosyjskiej próbuje ustalić, co się stało z pieniędzmi, które Biesieda rzekomo wydawał na, jak się okazuje, fikcyjną sieć agentów i sabotażystów.

Grozi mu dożywocie. A może nawet śmierć. Rosja niedawno wycofała się z Rady Europy, jest więc zwolniona ze zobowiązania do utrzymywania moratorium na skazywanie przestępców na karę śmierci obowiązującego od 1997 roku, kiedy Moskwa starała się spełnić warunki stawiane członkom Rady.

Osieczkin w wywiadzie udzielonym publicystce Radia Echo Moskwy i „Nowej Gazety” opisał skalę korupcji w wojsku rosyjskim i w służbach.

Na przykład izba obrachunkowa badała wydatki państwa na okrytą złą sławą Prywatną Spółkę Wojskową „Wagnera”. Z dziesiątków miliardów rubli przeznaczonych na najemników trafiła do nich najwyżej połowa.

FSB, jak wynika z informacji wypływających ze służb poprzez Wind of Changes, ocenia, że ośmiu bilionów rubli, przeznaczonych na cele obronne w ostatnich pięciu latach, w ogóle nie rozliczono. „Pieniądze przepłynęły w kryptowaluty, zmieniły się w wille generalskie we Francji, w Bułgarii, Hiszpanii” – ocenia Osieczkin.

Zdaniem ludzi z Łubianki, siedziby wywiadu, tradycyjnie niechętnych wojskowym i walczących z nimi o wpływy, mechanizm korupcji na ogromną skalę zmontowali dwaj zastępcy Siergieja Szojgu, ministra obrony – Timur Iwanow i Rusłan Calikow. Obu od kilku miesięcy ziemia pali się pod nogami, parli więc do wojny, wierząc w starą rosyjską zasadę, że „wojna kasuje wszystkie grzechy”.

Na korupcję w ministerstwie obrony, na rozrutny wielkopański styl życia Szojgu, Iwanowa, Calikowa uparcie zwracał uwagę Aleksiej Nawalny i ludzie z jego Fundacji Walki z Korupcją. Ale Putin, zamiast sprawę zbadać, zrobił, co mógł, by wyeliminować opozycjonistę z życia publicznego. I za to płaci życiem poddanych na nieudanej „wojnie błyskawicznej”.

W kwietniu 2022 roku widziano generała Biesiedę na pogrzebie weterana wywiadu. Jego rodzinie udało się utajnić majątek wart setki milionów rubli. Putin bardzo nie lubi karać „swoich”. Wcześniej odpowiedzialności też nie ponieśli choćby admirałowie

winni śmierci ocalałych po eksplozji na okręcie podwodnym „Kursk”

13.04.2022, środa

NIE TAKI PUTIN STRASZNY, JAK SIĘ MALOWAŁ

W powszechnym wśród Rosjan ludowym obrazie świata ich kraj jest nieokiełznanym chuliganem, który trątuje sąsiedzkie ogrody, wywijając siekierą i krzycząc: „Trzymajcie mnie, bo sam nie wiem, co wam zrobię!”

Oficjalna propaganda też eksploatuje ten obraz. Zapewnia przy tym, że „ostremu łobuzowi” nikt się nie ośmieli przeciwstawić. „Mięksiszony” Europejczycy ugną się choćby już przed widmem obniżenia temperatury w mieszkaniach czy wzrostu cen benzyny. Zaś naród rosyjski, co słyszę codziennie z telewizora, gotów jest choćby na głód i chłód – a na niegotowych poddanych Kreml ma też i knut w postaci 340 tysięcy pałkarzy Rosgwardii.

Bardzo więc nieprzyjemnie zaskoczył Josep Borrell, który w poniedziałek stał się „wrogiem Rosji nr 1” (to jest tytuł przechodni przyznawany raz Gruzji, raz Estonii, a najczęściej Ukrainie i USA). Szef dyplomacji Unii Europejskiej nie okazał się bowiem owieczką, jak go chcieli widzieć w Moskwie. Przy okazji swojej wizyty w Kijowie ośmielił się wypalić (i powtórzył to po powrocie), że konflikt w Ukrainie „rozstrzygnie się na polu bitwy”, a UE jest na to gotowa i będzie pomagać Ukraińcom.

Słowa europejskiego kolegi wprawiły w osłupienie Siergieja Ławrowa, szefa dyplomacji Rosji. Według niego „nie mieszczą się

one w głowie”. Przez zmienionego w jastrzębia i nawołującego do rozstrzygnięcia konfliktu „na polu walki” Borrelli przemawia „złość, a nawet wściekłość” – oburza się Ławrow, sam przecież jeden z głównych orędowników zbrojnego rozwiązania kwestii ukraińskiej.

Według ministra to, co Rosjanie usłyszeli z ust Borrelli, „diametralnie zmienia reguły gry”.

Te reguły to pewnie stara, wielokrotnie sprawdzona maksyma Lenina, który kazał wierzyć, że „kapitaliści sprzedadzą nam sznur, na którym ich powiesimy” (znany opozycjonista Siergiej Kowalow twórczo ją rozwijał, zauważając, że „kapitaliści dadzą nam kredyt na sznur, na którym ich powiesimy”).

Moskwa jest zaskoczona coraz bardziej śmiałą aktywnością polityków, którzy jeden za drugim spieszą do Kijowa, i to nie z pustymi rękami, tylko jak premier Słowacji Eduard Heger z bateriami rakiet przeciwlotniczych S-300 (wystarczy ich, by strącić do 150 samolotów), Boris Johnson, premier Wielkiej Brytanii – ze 120 wozami bojowymi i pociskami przeciwpancernymi, Petr Fiala, szef rządu Czech – z czołgami...

– W takim tempie Ukraińcy przez tydzień sformują całą nową armię pancerną do walki z nami – wypalił w poniedziałek w studiu kremlowskiej telewizji Rossija 1 Michaił Chodarionok, jeden z najlepszych rosyjskich ekspertów wojskowych, zaskakując prowadzących i innych gości poniedziałkowego wieczornego programu publicystycznego *60 minut*.

Jego akurat w Moskwie słuchają, bo były oficer przez lata planujący operacje wojskowe jeszcze w lutym słusznie ostrzegał i dowodził, że armia Rosji nie jest gotowa do wojny. A dziś zapowiada znów, że groźnym wrogiem zagonów pancernych,

które Moskwa gromadzi do wielkiej bitwy w Donbasie, okaże się też „ukraiński czarnoziem”.

W rejonie planowanego starcia rzeczywiście bowiem mocno pada, a rozmiękły żyzny grunt zmienia się w grząskie błoto, naturalną pułapkę dla ciężkich pojazdów.

Wtorkowa „Niezawisimaja Gazieta” zapowiada, że wsparcie udzielane Ukrainie przez Zachód będzie tylko rosnąć, bo „aktywność emisariuszy zachodnich dowodzi, że poziom strachu przed Rosją się obniżył”. Zdaniem dziennika realne staje się więc choć częściowe „zamknięcie nieba” nad Ukrainą i wprowadzenie choćby tylko do regionów przygranicznych kontyngentu wojskowego z Polski.

Bliższa rzeczywistości, choć marna dla Moskwy, jest perspektywa wskrzeszenia programu Lend-Lease, czyli szerokiej pomocy materialnej Stanów Zjednoczonych dla wojującej Ukrainy, powtórki ogromnego programu wsparcia przez USA walczącego z Hitlerem ZSRR. To dzięki niemu przecież Moskwa nie uległa agresorowi i okrzepła na tyle, że mogła dojść do Berlina.

„USA i NATO zmierzają do możliwie szybkiego stworzenia nowego systemu znacznie szerszych dostaw broni i innych zasobów dla Ukrainy” – pisała w ubiegłym tygodniu „Niezawisimaja”.

Obraz Rosji jako bezkarnego furiata depczącego sąsiedzkie ogrody się zużył. W Moskwie zapomnieli, że on paraliżuje strachem tylko do momentu, kiedy nie znajdzie się ktoś, niekoniecznie nawet potężny, kto ma dość śmiałości, by mu się postawić. A wtedy i inni przestają się bać – i to chuligan ma powody do strachu.

5.05.2022, czwartek

ROSJA WYCHOWUJE DO WOJNY

Po ponad dwóch miesiącach wojny w Ukrainie wciąż zdecydowana większość Rosjan (74 procent) popiera działania swojej armii i czeka na ich „zwycięski” finał.

Jednak, jak dowodzą wyniki sondażu przeprowadzonego przez uznany przez władze za „agenta zagranicy” Ośrodek Lewady, jedyną instytucję socjologiczną w Rosji, której można dowierzać – entuzjazm wojenny nieco przygasał.

Pod koniec marca 53 procent ankietowanych „zdecydowanie” popierało wojnę, 28 procent „raczej” ją popierało. Pod koniec kwietnia liczba „zdecydowanych” spadła o 8 punktów procentowych, a tych, którzy popierają „raczej”, jest o jeden punkt więcej.

„Zdecydowanie przeciw” militarnej interwencji w sąsiednim kraju jest 11 procent, „raczej przeciw” – 8 procent (w marcu było odpowiednio 6 i 8 procent).

Niepowodzenia rosyjskich sił zbrojnych na froncie, okrucieństwa popełniane przez Rosjan na terenach okupowanych, o których informacje przebijają się przez rwyetę propagandy kremlowskiej, zmieniają więc niewiele.

Znajomi z Rosji piszą mi, że rodzice przedszkolaków znów przed 9 maja kupują im dziecięce mundury wojskowe na „parady zwycięstwa”, ludzie, kiedy rozmowa schodzi na temat wojny, domagają się bezwzględnej rozprawy z Ukraińcami – winnymi,

jak powtarza non stop telewizja, „ludobójstwa” popełnianego na Rosjanach żyjących w Donbasie.

Tak wysoki stopień agresji i nienawiści nie zaskakuje. Rosjanie od pokoleń żyją w atmosferze niekończącej się okrutnej przemocy, a od ponad trzydziestu lat – w poczuciu krzywdy.

Prawie całe ubiegłe stulecie było dla nich „przeklęte”, jak czasy wojny domowej opisane przez Iwana Bunina.

Najpierw niepotrzebna i przegrana wojna z Japonią, potem wywołana nią rewolucja 1905 roku, w czasie której przez kraj przetaczały się fale terroru. Następnie przyjęta przez naród z entuzjazmem I wojna światowa zakończona katastrofą imperium.

Dalej pięć lat krwawej, niesamowicie okrutnej wojny domowej, w trakcie której ulubioną zabawą i białych, i czerwonych było powolne palenie wrogów żywcem w piecach parowozów.

Był jeszcze terror bolszewicki, represje stalinowskie, które przemielły setki tysięcy ofiar na „kurz łagrowy”, i wojna z III Rzeszą, której ofiarą padło może 27, a może nawet 40 milionów ludzi – nikt do dziś nie miał odwagi uczciwie tego policzyć...

Byli w Rosji ludzie torturowani, poniżani, traktowani nieludzko. Ale również torturujący, poniżający, nieludscy. I ci, którzy – rosnąc w takiej atmosferze – okrucieństwo i nienawiść przyjmowali za normę.

Filozof Nikołaj Bierdiajew pisał o „ciemnym winie naszej przeszłości”, które gromadzi się na dnie „beczki narodu” i pozostaje tam, jeśli beczki nikt nie wstrząsa. Ale wystarczy zabełtać i wypłynie na wierzch.

Podobne „ciemne wino” swego czasu wypłynęło też choćby w Niemczech, którymi wstrząsał Hitler. Przypominał Niemcom,

jaką krzywdę wyrządził im traktat wersalski zawarty po wojnie, której wcale nie przegrali. Odebrał ogromne ziemie, narzucił kontrybucje, poniżył. Choroba znana jako „syndrom weimarski” wzburzyła „ciemne wino”, wpędziła kraj kolejno w dyktaturę, wojnę, klęskę.

Rosjanie po upadku ZSRR, którego również nie rozgromili żadni wrogowie na polach bitew, też mieli i mają swój „syndrom weimarski”: poczucie krzywdy, poniżenia, niepowetowanych strat.

I Putin też gra na poczuciu krzywdy, żądzy odwetu, odzyskania utraconej dominacji, na nienawiści do świata zachodniego, który „poniżył Rosję” i rzekomo wciąż czyha na jej bogactwa. Udaje mu się przekonywać naród do tego, że jego armia na stepach ukraińskich wcale nie walczy z Ukrainą, lecz z „imperium zła i kłamstwa”, czyli Ameryką.

Skutecznie podnosi „ciemne wino” ku górze.

Znajomy dyrektor szkoły w Kaliningradzie cierpko zauważa: „U nas wychowuje się ludzi nie do życia w pokoju, ale do wojny”

23.05.2022, poniedziałek

TAM ROSJA, GDZIE JEJ ARMIA

„Operacja specjalna” w Ukrainie coraz wyraźniej staje się podbojem. Ważni politycy zapowiadają, że obszary, które zajmie i utrzyma armia, „na zawsze pozostaną Rosją”.

Odpowiedzialny za inwestycje i projekty infrastrukturalne wicepremier Rosji Marat Chusnulin był w ubiegłym tygodniu z „gospodarską wizytą” na zajętych przez Rosjan terytoriach obwodów chersońskiego i zaporoskiego. Potwierdził, że obszary „wyzwolone od neonazistów” mają dobrą perspektywę: pracować w zgodnej, rosyjskiej rodzinie.

Według dygnitarza Rosja już śle do ukraińskich obwodów setki maszyn budowlanych, szykuje plany odbudowy i ocenia koszty zakrojonej na wielką skalę operacji. „Wyzwoleni” mieszkańcy wkrótce zaczną otrzymywać pensje i emerytury w przywiezionych już z zagranicy rublach, które szybko zastąpią ukraińskie hrywny.

Z tym, komu i ile należy wypłacić, Moskwa będzie miała kłopot. Ukraińskiej administracji Chersonia przed przyjściem Rosjan udało się wywieźć bazę danych o mieszkańcach obwodu. Władze postąpiły roztropnie, bo Rosjanie mają w planach oczyszczenie terytoriów „wyzwolonych” z elementów „politycznie niepewnych”.

Tak jak robili to siedemdziesiąt dwa lata temu w opanowanych w porozumieniu z III Rzeszą krajach bałtyckich i na kresach

Rzeczypospolitej, tak teraz wywożą z podbitych obszarów na wschód Federacji Rosyjskiej całe rodziny. Dokąd trafiają – nie wiadomo.

O tym, że Rosja nie odda tego, co już zajęła i co jeszcze zajmie, otwarcie mówią liczni politycy.

Andrej Turczak, sekretarz rady generalnej putinowskiej partii Jedna Rosja, już dwa tygodnie temu, odwiedzając Chersoń, zapewnił: – Rosja zostanie tu na zawsze i powrotu do przeszłości nie będzie.

Prominentowi partyjniakowi wtórują marszałek Dumy Wiaczesław Wołodin, a także Leonid Słucki, kierujący parlamentarną komisją spraw zagranicznych po niedawnej śmierci Władimira Żyrinowskiego, a kreowany na nowego szefa licencjonowanej przez władze partii nacjonalistycznej.

Nie oni jednak i nawet nie wicepremier Chusnulin będą decydować, co się stanie z obszarami „wyzwolonymi”. Ich losy rozstrzygnie wyłącznie Władimir Putin.

Kreml zaś – zgodnie ze starą tradycją – używa Wołodinów czy Słuckich jako harcówników do sondowania i sprawdzania reakcji opinii publicznej w kraju i za granicą wobec różnych koncepcji rozwiązania kwestii przynależności podbitych ziem ukraińskich.

Siergiej Aksjonow, gubernator Krymu, który towarzyszył Chusnulinowi w jego „gospodarskiej podróży” po okupowanych obwodach, domaga się odtworzenia założonej jeszcze w początkach XIX wieku guberni taurydzkiej. Teraz miałyby to być nowy, federalny okręg administracyjny, obejmujący anektowany przez Rosjan Krym, obwody chersoński, zaporoski, a jeśli armii się powiedzie – to jeszcze mikołajowski i odeski. Sam Aksjonow miałyby ochotę stanąć na czele nowej jednostki administracyjnej.

Spory rozgłos zyskał ostatnio Kiriłł Striemousow przedstawiający się jako „zastępca szefa administracji wojskowo-cywilnej obwodu chersońskiego”. Jego zdaniem nie warto powracać do doświadczeń z 2014 roku, kiedy Moskwa pod osłoną swoich czołgów stworzyła na wschodzie Ukrainy separatystyczne republiki ludowe – Doniecką i Ługańską. Teraz rzecz należałoby rozstrzygnąć po prostu podpisanym przez Putina dekretem ogłaszającym przynależność zajętych przez wojsko obszarów do Rosji. Zdaniem Striemousowa nie należy się bawić w żadne procedury demokratyczne, choćby w organizowanie tam referendum. [Striemousow w listopadzie 2022 roku zginął w sfinansowanym przez siebie wypadku drogowym].

Podobnego zdania jest senator Siergiej Ciekow podpowiadający, że referendum na temat przynależności Chersonia czy Zaporozża nie ma sensu, bo świat i tak go nie uzna. Wystarczy, jeżeli przeprowadzi się „sondaż opinii publicznej”.

Przeciw takiej koncepcji wystąpili rzecznik Putina Dmitrij Pieskow i przewodnicząca Rady Federacji (Senatu) Walentyna Matwijenko. Oboje zapewnili, że o tym, czy podbite regiony staną się niezależnymi republikami ludowymi, czy też wejdą w skład Rosji, decydować się będzie nie bez udziału ich mieszkańców.

Teraz Rosja – tam, gdzie stoi jej armia – stara się powoływać miejscowe władze kolaboracyjne. Takich jednak jak Striemousow czy jego zwierzchnik Wołodymyr Sałdo, szef wojskowo-cywilnej administracji obwodu chersońskiego, nie ma wielu.

Miejscomi nie garną się też do służby w organizowanej przez Rosjan lokalnej milicji obywatelskiej. Niewiele daje ogłoszenie przez Moskwę, że gotowa jest przyjąć i dobrze płacić wszystkim, którzy tylko nie mają na sumieniu „zbrodni nazistowskich”.

Ludzie nie chcą kolaborować z Rosjanami i spodziewają się, że siłom zbrojnym Ukrainy uda się wyprzeć okupanta z zajętych terenów. Zapały prorosyjsko nastawionych mieszkańców ostudziła śmierć Walerija Kuleszowa i Pawła Słobodczikowa – kolaborantów, którzy zostali rozstrzelani w Chersoniu przez „nieznanych sprawców”.

Moskwa spróbuje więc zaspokoić swój głód kadrowy w tradycyjny, wypróbowany choćby przy tworzeniu obozu państw socjalistycznych sposób, czyli przywożąc „w teczce” posłuszne sobie władze.

Jak donosi „Niezawisimaja Gazieta”, partia Sprawiedliwa Rosja za Prawdę w uzgodnieniu z Kremlem szykuje ustawę zezwalającą obywatelom Federacji Rosyjskiej, by jako „ochotnicy” pracowali w strukturach administracyjnych i siłowych za granicą.

Ogłoszone przez wicepremiera Chusnulina plany odbudowy zniszczonych terytoriów Ukrainy zajętych przez armię Rosji, gorączkowe wprowadzanie kolaboracyjnych władz, usuwanie wszelkiej symboliki ukraińskiej i narzucanie rubla dowodzą, że Moskwa już uważa za swoje ziemie, na których stoi jej wojsko.

17.06.2022, piątek

UDERZENIE W ROSYJSKIE „MONOGORODY”

„Monogorody” to typowe dla rosyjskiej prowincji miasta zależne od jednej fabryki. Kiedy jedyny pracodawca staje, sytuacja mieszkańców robi się tragiczna – i rodzi się masowy protest.

Zły los zawitał do pięćdziesięciosześcioletniego Tichwina. A przecież ludziom z tego miasteczka w obwodzie leningradzkim wiodło się ostatnio całkiem dobrze. Dziesięć lat temu Wspólna Spółka Wagonowa razem z amerykańskim Wabtec Corporation, sprowadziwszy najnowsze maszyny i nakupiwszy najnowszych technologii, postawiły tu w szczerym polu Tichwińską Fabrykę Wagonów. To dało 11 tysięcy miejsc znakomicie opłacanej pracy.

A potem jeszcze do Tichwina przyszła Ikea, zatrudniająca w swojej fabryce tysiąc robotników i gwarantująca zajęcie kooperantom.

Słowem, jak mawiał Stalin, „życie stało się lepsze, życie stało się weselsze”, co sprawiło chociażby, że ceny mieszkań w Tichwinie wzleciały wysoko.

Ale przyszły sankcje. Telewizja kremlowska na okrągło trąbi, że Zachód – próbując ukarać Moskwę za jej „humanitarną” misję w Ukrainie – sam sobie strzela w kolano, lada moment doprowadzi do buntu swoje głodujące i zamarzające masy, które dziś mogą sobie pozwolić na prysznic raz na cztery dni i to tylko

przez cztery minuty. A Rosjanie są tak wielcy, odporni i mężni, że – zgodnie z ludowym powiedzeniem – „morze im sięga tylko do kolan”, więc restrykcje wyjdą im jedynie na zdrowie.

Akurat w Tichwinie wychodzą bokiem. Przez zachodnie embargo ich fabryka nie ma łożysk, a bez nich 18,5 tysiąca wagonów towarowych, które powstać tu powinny przez rok, nigdzie nie pojedzie.

Dziennik „Kommiersant” kilka dni temu zrobił remanent rosyjskiego rynku łożysk. Wyszło na to, że to, co daje przemysł rodzimy, nie wystarczy nawet na bieżące remontowanie tego, co już się toczy po długich torach wielkiej Rosji. Nadzieja w imporcie z Chin. Ale Chińczyk, choć dziś Rosjaninowi „brat na wieki”, nie kwapi się z odsieczą, bo sam się boi sankcji wtórnych.

Tychwińska Fabryka Wagonów stoi. Załoga dostaje dwie trzecie stawki podstawowej i na razie, póki lato, uprawia ogrody.

Na domiar złego Ikea też stoi. Na razie (do sierpnia) płaci swoim ludziom. Marny jest los kooperantów meblowego giganta, przede wszystkim tych, którzy dostarczali mu drewno. Nie sprzedali tego, co wycięli zimą dla szwedzkiej korporacji, a teraz w lasach błoto i wywieźć tego nie ma jak.

Profesor Natalia Zubarewicz, specjalista od geografii ekonomicznej Rosji, ostrzega, że w największych opałach znalazły się regiony, w których wcześniej rozkwitał przemysł samochodowy.

W obwodach kaliningradzkim, kałuskim czy samarskim regionalny PKB już zmniejszył się o jedną piątą.

W Kaliningradzie miejscowy Avtotor, gdzie składano między innymi BMW (miejscowe władze chwaliły się Putinowi, że „lepsze niż niemieckie”), po „czasowym” zamknięciu produkcji

jeszcze w początkach maja zaproponował pracownikom po dziesięć arów zaoranej ziemi i sadzeniaki. Monterzy, otrzymujący teraz tradycyjnie dwie trzecie stawki podstawowej, mają więc zajęcie przy zbieraniu stonki.

W Kałudze stanęły zakłady Volkswagena. Niemcy płacą robotnikom, ale tak będzie tylko do sierpnia.

AwtoWAZ-em w Togliatti (obwód samarski) szarpią konwulsje. Potężna fabryka (36 tysięcy pracowników) nie ma sprowadzanych z zagranicy komponentów i stoi praktycznie od lutego.

Kilka dni temu chwilowo uruchomiła taśmę produkcyjną, wytwarzając osobliwą wersję łady granta. Auto wyróżnia się tym, czego nie ma. A nie ma: ABS, poduszek powietrznych, mocowania fotelika dla dziecka, elektrycznych podnośników szyb, katalizatora itd., itp. Ostatnio rząd pozwolił, by auta produkowane w Rosji spełniały normy ekologiczne z roku 1988.

Ale nawet z wytwarzaniem pojazdu na poziomie technologicznym późnego trabanta AwtoWAZ sobie nie radzi, taśma po dwóch dniach stanęła.

Władze Rosji do perfekcji doprowadziły sztukę maskowania problemów z miejscami pracy, bo bardzo boją się ich skutków. Moskwa robi wszystko, by nie pozwolić regionalnym administracjom i pracodawcom na zwalnianie ludzi z zakładów, które mają „chwilowy przestój”. Gubernatorzy są srogo rozliczani ze wzrostu wskaźnika bezrobocia w ich regionach. Fabrykantom władze grożą ostrymi restrykcjami za zwalnianie ludzi.

Efekt jest taki, że oficjalne bezrobocie jest w Rosji rekordowo niskie – 4 procent. Jest za to „niepełne zatrudnienie”, czyli wypłacanie części pensji robotnikom, którzy nie mają nic do zrobienia, przymusowe wysyłanie na urlopy wypoczynkowe

(tak było w AwtoWAZ-ie, którego załoga była na urlopie przez cały maj), w końcu – urlopy bezpłatne.

Na utrzymanie fikcyjnego zatrudnienia państwo daje gubernatorom i fabrykantom sporo pieniędzy, wciąż licząc na to, że Zachód szybko się wycofa z sankcji i objęte nimi branże przemysłu staną na nogi.

Niektórzy przedstawiciele władz, tacy jak prezes rosyjskiego banku centralnego Elwira Nabiullina, ostrzegają, że sytuacja pogorszy się w trzecim kwartale, bo wtedy skończą się zapasy importowanych komponentów, nowych nie będzie skąd wziąć, co sparaliżuje kolejne gałęzie produkcyjne.

Według ekonomisty prof. Jewgienija Gontmachera (to on w 2009 roku trafnie przewidział niepokoje w monomiastach) jesienią mogą się znów zacząć wywołane brakiem pracy i biedą protesty w przemysłowych rejonach Rosji.

8.07.2022, piątek

TANIE MIĘSO ARMATNIE PUTINA

Rosyjska armia wciela w swoje szeregi coraz więcej obywateli samozwańczych republik ludowych w Donbasie. Marnie wyposażeni i nieprzeszkoleni na rozkaz generałów z Moskwy masowo giną w najtrudniejszych operacjach.

Kremlowska telewizja mówi, że przeciw „neonazistom” z Kijowa walczą „siły sojusznicze”. Koalicję wspierającą Rosjan tworzą – według propagandzistów – właśnie wojska tzw. republik Donieckiej i Ługańskiej, które Moskwa jeszcze osiem lat temu stworzyła na wschodzie Ukrainy po to, by pozostały niegojącą się raną w ciele sąsiedniego państwa.

Żołnierzy „Ługandy”, jak Rosjanie pogardliwie określają wyniszczony wojną Donbas, rozpoznać i odróżnić od rosyjskich łatwo. W wyświechtanych kurtkach mundurowych, przykrótkich lub za długich spodniach, bez kamizelek kuloodpornych, w hełmach z drugiej wojny światowej – oberwańcy zagubieni na froncie, gdzie trafili nie ze swojej woli.

A i cena ich jest niska. Generałowie rosyjscy nie uwzględniają ich w bilansach swoich strat, bo to przecież „obcy”. Rosja nie będzie płacić odszkodowań ich rodzinom, jeśli polegną w walce lub odniosą rany.

Była kiedyś taka anegdota: „Co to jest trio? To radziecka orkiestra symfoniczna po powrocie z tournée po USA”. Dziś aktualna staje się ponura wersja tego starego żartu: po wojennej

wyprawie do Mariupola oktetem stała się szesnastoosobowa orkiestra kameralna Donbas z Doniecka, stolicy jednej z „republik ludowych”

Jedenastu grających w niej mężczyzn wcielono do armii jeszcze na początku wojny. Mieli służyć w taborach, nawet nie przechodzili szkolenia, bo nie mając wcześniej nic wspólnego z wojskiem, na front się nie nadawali.

Ale trzydziestopięcioletni puzonista Michaił Machno zginął w kwietniu w Mariupolu, gdzie kazano mu odbijać hutę Azowstal bronią przez znakomicie uzbrojony, wyszkolony i zaprawiony w bojach pułk Azow.

W mieście nad Morzem Azowskim i na jego przedpolach polegli pianista jazzowy Nikołaj Zwiagincew i skrzypek Aleksandr Bobrowski. Gdzie zginęli koncertmistrz Siergiej Rudow, dziewiętnastoletni wiolonczelista Stanisław Słucki i inni muzycy, wciąż nie wiadomo.

Powszechny pobór do wojska ogłoszono w „Ługandzie” jeszcze przed rozpętnaniem wojny, którą Putin wszczął niby dla „obrony rosyjskiej ludności” Donbasu. Obowiązek zgłoszenia się do komisji uzupełnień władze nałożyły na wszystkich mężczyzn w wieku od osiemnastu do pięćdziesięciu pięciu lat. Starsi dostali „przywilej” mobilizowania się „dobrowolnie”.

Po to, by uniknąć masowej dezercji, mężczyznom zakazano wyjeżdżać z terytorium „republik”. Tymczasem kobietom i dzieciom władze nakazały ewakuować się do Rosji.

Mobilizacja szła i nadal idzie opornie. Internet jest pełen opowieści o młodych ludziach z Ługańska czy Doniecka, którzy od lutego nie wychodzą z domów w obawie, że wpadną w łapankę i zostaną wcieleni do armii.

Wojskowi urządzają polowania na rekrutów. Ogłaszają na przykład, że w konkretnym momencie w konkretnym miejscu pojawi się cysterna z wodą dla mieszkańców (bo wody notorycznie brakuje). A kiedy ustawia się tam kolejka ludzi z wiadrami, nadciągają patrole i zabierają tych w wieku poborowym.

W ten sposób Putin, niczym drapieżnik u wodopoju, poluje na swoje „mięso armatnie”.

Jak oceniają eksperci Wschodniej Grupy Obrony Praw Człowieka, w obu tzw. republikach w chwili wybuchu wojny liczących nie więcej niż 3 miliony mieszkańców (z dużą przewagą ludzi starszych) udało się zabrać w kamasze 145 tysięcy mężczyzn.

W połowie maja żony żołnierzy 206. pułku „milicji ludowej” zebrały się w Ługańsku na demonstrację. Opowiadały, że Rosjanie, rejterując spod Charkowa, porzucili w okopach ich mężów, a teraz tam jest „mnóstwo dwusetnych (poległych) i trzysetnych (rannych)”. Skarżyły się, że rekruci sami muszą organizować sobie mundury, bo to, co im przydzielają, do niczego się nie nadaje. Bielizny powołani na służbę w ogóle nie dostają, wszystko trzeba kupić. Na froncie brakuje żywności, o gorących posiłkach nie ma mowy.

Zaraz po tym rosyjska telewizja NTW, znana ze szczególnie podłych fałszywek, wypuściła „reportaż”, w którym zamaskowana kobieta „przyznawała się”, że to ona za pieniądze z Kijowa zorganizowała protest, a wszystko, co się tam mówiło, jest kłamstwem.

Tymczasem mieszkania żon żołnierzy 206. pułku nachodzą agenci bezpieczeństwa „republik”. Straszą, że aresztują, odbiorą dzieci. Protest się już nie powtórzył.

Kobiety próbowały jeszcze szukać pomocy w Moskwie. Rosyjskie ministerstwo obrony, odpowiadając na ich petycję, wytłumaczyło się, że nic nie może zrobić, bo armie „republik ludowych” podlegają władzom „niezależnych” od Rosji regionów. Moskiewscy generałowie nie mogą się więc wtrącać w sprawy „sojuszniczej” armii.

22.07.2022, piątek

ŁAWROW I NOWA GEOGRAFIA WOJNY

Szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow grozi, że Moskwa będzie podbijać kolejne regiony Ukrainy. Kreml „nie wyklucza” negocjacji, ale im dłużej Kijów i Zachód będą z tym zwlekać, „tym trudniej będzie się dogadać”.

Minister Ławrow w środowym wywiadzie, którego udzielił wsławionej szczególnie paskudnymi medialnymi fałszywkami szefowej Russia Today Margaricie Simonjan, ogłosił, że Moskwa zmieniła „geografię wojskowej operacji specjalnej”. Teraz jej celem nie jest już, jak rzekomo było na początku, podbicie wschodnioukraińskich obwodów donieckiego i ługańskiego, lecz także chersońskiego, zaporoskiego i „szeregu innych terytoriów”.

W lutym, kiedy zaczęła się agresja, nikt nie mówił, że jej celem jest wyłącznie opanowanie dwóch regionów – częściowo zajmowanych od 2014 roku przez separatystyczne „republiki ludowe”. Kreml nie zakreślał żadnych konkretnych granic, do których miałyby dojść jego armia, lecz zapowiadał, że siłą „zdenazyfikuje” i „zdemilitaryzuje”, czyli zajmie, cały sąsiedni kraj.

Teraz więc Ławrow z datą wsteczną ogłasza rzekomy cel wojny, by uznać, że jest on już nieaktualny.

Winę za zaborczy apetyt Rosji główny dyplomata kraju zwała na Zachód, bo walczącą z agresją Ukrainę wyposaża w nowoczesne, coraz bardziej dalekosiężne rodzaje broni, którym armia rosyjska nie ma co przeciwstawić.

A skoro Ukraińcy mogą strzelać coraz dalej i celniej, to Rosjanie muszą, zdaniem Ławrowa, odepchnąć ich jak najdalej od swoich granic – tak by nie byli w stanie atakować celów w Rosji.

Moskwa jednak nie mogłaby poprzestać na ochronie tylko swoich terytoriów, bo byłaby również zmuszona zadbać o bezpieczeństwo tych obszarów, które sobie podporządkuje w wyniku operacji militarnej. Tak więc po zajęciu na przykład obwodu mikołajowskiego będzie zmuszona stworzyć i dla niego „strefę bezpieczeństwa”, okupując choćby obwody odeski czy kirowohradzki. Ale potem i dla nich trzeba będzie zmontować otulinę, a więc iść choćby na Połtawę.

Popularny dziennik „Moskowskij Komsomolec” tłumaczy więc milionom czytelników, że w efekcie z Ukrainy „zostanie co najwyżej kłaczek”.

Jastrzębi ton ministra w czwartek rano łagodził Dmitrij Pieskow, rzecznik Putina, tłumacząc, że ani jego szef, ani minister nie wykluczają jednak negocjacji pokojowych.

Rzeczywiście Putin jeszcze dwa tygodnie temu zapewniał szefów frakcji w swoim parlamencie: „Nie uchylamy się od rozmów, ale ci, którzy ich unikają, muszą wiedzieć, że im dalej, tym trudniej będzie się z nami dogadać”. Sygnalizuje, że jest gotów do negocjacji na swoich warunkach i zależy mu na czasie.

Wybór między wojną a dyplomacją zależy od tego, jaką ocenę sytuacji na frontach przedstawia swoim przywódcom dowódcy i eksperci wojskowi.

Generałowie rosyjscy są pełni wojennego animuszu. Domagają się intensyfikacji działań bojowych. Minister obrony Siergiej Szojgu przeprowadza inspekcję jednostek, szykując je do ofensywy na całym, liczącym ponad 1200 kilometrów froncie. Im prędszej by do niej doszło, tym – zdaniem generałów – lepiej. Obawiają się, że kolejne dostawy zachodniej broni dla Ukraińców, kolejnych wyrzutni HIMARS czy nowych, bijących na 300 kilometrów systemów raketowych M270 mogą istotnie zmienić układ sił.

Tymczasem front stoi. Rosyjski sztab generalny nie informuje o nowych zdobyczach terytorialnych. Przyznaje, że przeciwnik skutecznie niszczy krytyczne dla zaopatrzenia armii magazyny na zapleczu frontu.

„Patriotycznie” nastawiona część rosyjskiej opinii publicznej – sądząc po tym, co wyraża w mediach społecznościowych – jest kategorycznie przeciwna wszelkim ustępstwom. Bardzo źle przyjęła ucieczkę Rosjan z Wyspy Wężowej, oddanie Ukrainie wziętych do niewoli kilkudziesięciu obrońców Azowstalu, każdą wymianę ciał poległych.

Dowódcy ukraińscy twierdzą, że wierzą, iż już wkrótce dzięki nowym dostawom broni armia nabierze mocy pozwalającej jej na przystąpienie do kontrofensywy, a wtedy to Kijów będzie mówić o „nowej geografii wojny”.

Przebieg wojny zależeć będzie od tego, jak dowódcy i ich polityczni przełożeni będą oceniać swoje siły. Jej wynik – od tego, jak rzetelna i uczciwa będzie to ocena.

26.07.2022, wtorek

PO LIPNYM REFERENDUM PRAWDZIWA ANEKSJA POŁUDNIA UKRAINY

Choć armia Ukrainy rozpoczyna kontrofensywę na południowym froncie, Moskwa w okupowanych obwodach chersońskim i zaporoskim przygotowuje „referenda”, które mają „zalegalizować” przyłączenie tych regionów do Rosji.

Szefowie stworzonych przez Rosjan kolaboracyjnych „wojskowo-cywilnych administracji” w zajętych przez wojska Putina regionach Jewgienij Balicki (Zaporoże) i Władimir Saldo (Cherson) wydali już specjalne „dekrety” w tej sprawie. Nie sprecyzowali, kiedy konkretnie ma dojść do „głosowania” ani na jakie pytanie czy pytania mieliby odpowiedzieć mieszkańcy, jak to określili, „wyzwolonych” obszarów.

Moskiewscy eksperci, m.in. Sergiej Obuchow, szef wydziału analitycznego Komunistycznej Partii Federacji Rosyjskiej, uważają, że „referenda” zostaną przeprowadzone już 11 września, czyli wtedy, kiedy w Rosji odbywa się doroczny „wspólny dzień głosowania” – wybory do władz lokalnych i regionalnych, a raz na pięć lat – parlamentarne.

Pytanie zadane obywatelom powinno być proste i zrozumiałe: czy głosujący jest za włączeniem jego ziemi do Federacji Rosyjskiej.

W wyniku procedury Moskwa dałaby sobie prawo do stworzenia na południu Ukrainy swojej nowej prowincji, którą już nazywa „Północną Tawrią”. To byłby ważny krok do aneksji tzw. Noworosji, czyli całego ukraińskiego czarnomorskiego wybrzeża, o czym już osiem lat temu mówił Putin.

A jednak półtora miesiąca to niewiele czasu, by przygotować referendum choćby z pozoru prawomocne. Tym razem Putin nie ma jak powtórzyć sztuczki z 2014 roku na Krymie. Teraz na okupowanych terytoriach wszelkie legalne struktury uprawnione do organizacji wyborów zostały zlikwidowane i trzeba je budować na nowo. Należałoby też stworzyć i zatwierdzić nową ordynację.

Kreml, mimo odważnych protestów mieszkańców, pośpiesznie „integruje” obwody chersoński i zaporoski. Przeprowadził tam czystki, aresztując i wywożąc aktywnych zwolenników Ukrainy. Wyłączył transmisję ukraińskich kanałów telewizyjnych, zastępując je swoimi. Ograniczył dostęp do internetu. Na miejsce hrywny wprowadza swoje ruble (po bandyckim kursie). Miejscowi nie korzystają już z ukraińskich sieci komórkowych, bo regionom narzucono rosyjskie. Rosja rozdaje ludności swoje paszporty i zapomogi. Do regionów skierowano około 250 nauczycieli rosyjskich, którzy mają edukować miejscowych pedagogów, jak i czego teraz, w nowej rzeczywistości, mają uczyć dzieci, by wyrosły na „porządnych” obywateli Federacji Rosyjskiej.

Nie wszystko jednak idzie gładko. Na okupowanych terytoriach coraz aktywniej działa ruch oporu i grupy sabotażystów. Partyzanci polują na kolaborantów.

Według wywiadów USA i Wielkiej Brytanii Ukraina może już nawet prowadzić kontrofensywę, w wyniku której miałyby odbić prawy brzeg Dniepru. Udało się jej ogniem wyrzutni HIMARS poważnie uszkodzić most Antonowski przez rzekę (o długości 1,4 kilometra) w Chersoniu, tym samym odcinając garnizon rosyjski w mieście od dostaw z lewego brzegu.

Wcale jeszcze nie jest więc pewne, że spełni się obietnica Andreja Turczaka, sekretarza rady generalnej putinowskiej partii Jedna Rosja, który odwiedzając na początku maja Chersoń, zapewnił: „Rosja zostanie tu na zawsze i powrotu do przeszłości nie będzie”

28.07.2022, czwartek

NA OCZACH MILIONÓW ROSJAN KPI Z ROSYJSKIEJ ARMII

W Rosji za samo użycie słowa „wojna” sadzają do łagru, ale Igor Striełkow, kiedyś dowódca donieckich separatystów, przed niemal milionem internautów bezkarnie kpi z Putina i jego generałów. Jemu wolno, bo wyraża opinie jastrzębi ze służb.

Wojska rosyjskie w zdobytym bez większego wysiłku i okupowanym od początku marca Chersoniu coraz bardziej grzęzną w potrzasku przygotowanym przez Ukraińców. Siedzą w mieście położonym na prawym brzegu szerokiego w tym miejscu Dniepru, a Ukraińcy, wykorzystując precyzyjnie działającą dalekosiężną artylerię lufową i raketową, atakują przeprawę i odcinają ten przyczółek od dostaw z lewego brzegu.

Po nocnej salwie wyrzutni raketowych HIMARS kolaboracyjne władze miasta przyznały, że musiały zamknąć dla ruchu długi na 1,4 kilometra, szeroki na 25 metrów most Antonowski, główną trasę zaopatrzenia jednostek rosyjskich. Znajdujący się w pobliżu most kolejowy, a także droga prowadząca po tamie w Nowej Kachowce też są pod ostrzałem.

Armia rosyjska wysyła w ten rejon mosty pontonowe, ale jak uważa na przykład Igor Striełkow, na tak szerokiej rzece ustawić je będzie trudno, a nawet jeśli się uda, to będą stanowić „łatwe cele” w zasięgu HIMARS-ów.

Tymczasem Ukraińcy, zamiast – czego spodziewali się Rosjanie – przystąpić do szturmu Chersonia, zapewne będą nękać pozbawionego amunicji przeciwnika swoim ogniem, zmuszając go do kapitulacji, a ta oznaczałaby wielką klęskę wojsk Putina.

Kreml nadal narzuca jednak poddanym prawdę kanoniczną o „specjalnej operacji wojskowej” w Ukrainie. Kanon formułują komunikaty sztabu generalnego wygłaszane drewnianym głosem generała lejtnanta (drugą generalską gwiazdkę otrzymał już po 24 lutego) Igora Konaszenkowa.

To ten sam oficer, który skompromitował się jeszcze w 2014 roku, kiedy tym samym tonem zapewniał, że – jak wykazały „obiektywne środki kontroli” – malezyjski boeing 777 (298 ofiar śmiertelnych) został zestrzelony nad Donbasem przez ukraiński Su-25, którego „wyraźnie widziały” rosyjskie radary. Potem, kiedy stało się jasne, że do tragedii doprowadził atak rosyjskiej rakiety Buk, ten sam generał meldował, że „obiektywne środki kontroli” nie zarejestrowały w pobliżu malezyjskiego samolotu pasażerskiego „żadnych obiektów latających”.

Teraz Konaszenkow dzień w dzień, nie mrugnawszy okiem, przed kamerami wylicza, ile armia Rosji zniszczyła ukraińskich czołgów, wyrzutni, haubic, ilu żołnierzy Kijowa dobrowolnie poszło do niewoli, jak wielką pomoc humanitarną wojska moskiewskie niosą znękanym „okupacją neonazistowską” mieszkańcom „wyzwolonych” terenów itd.

Z tego, co już nawyliczał, wynika, że armia Ukrainy od dawna nie istnieje, bo straciła więcej ludzi i sprzętu, niż ich miała.

Mediom Kreml przykazał jednak wiernie się trzymać kanonicznej prawdy głoszonej przez generała Konaszenkowa. Tym, które od nakazu odstąpią, nadaje się status „agenta zagranicy”, odłącza się internet, a ich redaktorzy idą siedzieć.

Na przykład Aleksiej Gorinow, radny krasnosielskiej dzielnicy Moskwy, dostał siedem lat łagru tylko za to, że publicznie przypomniał, że toczy się wojna, na której giną dzieci.

A tymczasem Igor Striełkow (prawdziwe nazwisko Girkin) – chociaż grozi mu za to nie mniej niż piętnaście lat łagru o zastrzonym reżimie – codziennie krytykuje Putina, ministra obrony Siergieja Szojgu, Konaszenkowa i innych generałów, zarzucając im kłamstwa, nieporadność, wskazując, że pod takimi wodzami Rosji grozi katastrofa wojenna.

Nikt tak skutecznie nie sypie teraz piasku w tryby maszyny propagandowej Kremla jak właśnie Striełkow, były pułkownik FSB, którego kanały w mediach społecznościowych i na YouTube obserwuje stale 800 tysięcy internautów. Bo dla wielu Rosjan to on jest kompetentnym ekspertem.

Dał się poznać już dawno, najpierw jako rekonstruktor wcielający się w różnych inscenizacjach historycznych w carskiego oficera. Jest też weteranem – żadna wojenna awantura ostatnich lat nie obyła się bez jego udziału. Walczył w Naddniestrzu, w Bośni, w Czeczenii. Brał udział w zbrojnej aneksji Krymu w 2014 roku, skąd z grupą takich jak on wichrycyli zaniósł wojnę do Donbasu. Jak sam przyznał, to on „nacisnął spust wojny” na wschodzie Ukrainy, bo bez niego „nic by tam nie było, skończyłoby się na kilku trupach”.

Potem przez jakiś czas Striełkow zyskiwał jeszcze większy rozgłos jako dowódca sił zbrojnych samozwańczej Donieckiej Republiki Ludowej.

Z taką przeszłością jest autorytetem dla wielu Rosjan. Według badań co trzeci z rodaków, którzy kojarzą jego nazwisko, podchodzi do niego, jak określają socjologowie, „z entuzjazmem” lub co najmniej z głęboką sympatią.

Do tego jeszcze – jako osoba wielce popularna wśród oficerów frontowych – ma dobre kontakty i informacje z pierwszej ręki.

I kiedy na przykład mówi czy pisze, że Konaszenkow łączy w żywe oczy, opowiadając o przewagach techniki rosyjskiej nad tym, co Ukraina dostaje od Zachodu, powołuje się na „kolegów, którzy tkwią pod ogniem” HIMARS-ów i nawet kolekcjonują odłamki NATO-wskich pocisków.

Kiedy mówi, że wojska są przetrzebione, dramatycznie brakuje im ludzi, rzuca wyzwanie władzom. I ostrzega, że jeśli próbowałyby pociągnąć go do odpowiedzialności za rzekome „fejki o wojnie”, to on ogłosi „numery batalionów i kompanii”, które po stratach na froncie nie mają już zdolności bojowej. Widzowie i czytelnicy mu wierzą, bo on wie to wszystko od rozgoryczonych dowódców tych przetrzebionych jednostek.

Striełkow nie ogranicza się do opowiadania, jak to na wojence Putina nieładnie, ale ostrzega, że będzie jeszcze gorzej. Według niego nie można liczyć na to, że zgodnie z prognozami „człowieka niekompetentnego, nieograniczonego i dbającego tylko o efekty propagandowe”, jak nazywa ministra Szojgu, front ze strony ukraińskiej lada moment się załamie. Bo załamać to się może armia rosyjska.

Jak tłumaczy rodakom Striełkow, Ukraińcy dzięki dostawom od sojuszników zyskali „przewagę technologiczną”, a wkrótce otrzymają też broń przeciwrakietową – i wtedy Rosjanie stracą swój ostatni atut, czyli możliwość ostrzeliwania przeciwnika z dystansu starymi raketami z arsenałów jeszcze radzieckich.

Wizja „prawidłowo prowadzonej” wojny podsuwana przez Striełkova jest w oczach szczególnie młodych ludzi jeszcze bardziej demobilizująca niż jego ocena sytuacji na froncie. Bo on chce „więcej wojny”. Według niego przed klęską Rosję może

uratować tylko bezwzględna mobilizacja, wcielenie do armii i posłanie na front nie mniej niż miliona ludzi – dopiero taka masa będzie w stanie zamykać w kotłach i likwidować duże jednostki przeciwnika.

Na dekowników pułkownik ma jeden sposób – piętnaście lat łagru za odmowę służenia w wojsku albo wcielenie do batalionów sapersko-szturmowych, „gdzie nie ma szansy na przeżycie”.

Sam Girkin ma jednak wątpliwości co do tego, czy bezradni i skorumpowani generałowie są w stanie przeprowadzić taką brankę. Nawet w czasie zakończonego 30 czerwca trzymiesięcznego poboru wiosennego nie udało im się wcielić do armii tylu rekrutów, ilu zaplanowali. Jak potwierdzają wyniki sondaży, zdecydowana większość Rosjan w wieku osiemnastu-dwudziestu czterech lat pragnie, by wojna skończyła się jak najszybciej, i nie wyraża chęci uczestniczenia w niej.

Dlaczego Striełkowowi wolno bezkarnie i bez owijania w bawełnę straszyć rodaków prawdą o wojnie? Wyjaśnić to trudno. Jest on byłym oficerem FSB. Ale „czekista”, jak podkreśla Putin, „nigdy nie jest były”. Może więc ludzie służb, którzy tradycyjnie nie kochają generałów sił zbrojnych, wykorzystują go do podgryzania dowódców armii. A może dzięki niemu przygotowują naród do powszechnego powołania pod broń.

Na razie z tego, co pisze i opowiada Striełkow, sprytnie korzystają Ukraińcy. Choć uważają go za zbrodniarza wojennego (za udział w zestrzeleniu malezyjskiego boeinga 777 sąd holenderski skazał go zaocznie na dożywocie), skrupulatnie i gdzie tylko mogą, kolportują każdą jego krytyczną wobec Kremla i armii Rosji wypowiedź.

14.09.2022, środa

ROSJA CHCE WIĘCEJ WOJNY: TWARDEJ I TOTALNEJ

Wojna w Ukrainie znalazła się w punkcie zwrotnym. Ale to nie musi być ten zwrot, na jaki liczymy. W Moskwie krzyczą, że na sukcesy armii Ukrainy trzeba odpowiedzieć po prostu totalną, bezlitosną rozprawą z Ukraińcami.

W ostatnich dniach – równoległe z doniesieniami o skutecznej ukraińskiej kontrofensywie – sporo się na świecie mówi o „buncie deputowanych”, czyli apelu radnych z Moskwy i Petersburga wzywających Putina, by abdykował.

Gest dwudziestu czterech deputowanych do dzielnicowych rad dwóch największych miast Rosji jest rzeczywiście szlachetny i bardzo śmiały. Ale znaczenie ma tylko symboliczne. Podpisani pod apelami nie są ani posłami do parlamentu, ani nie zasiadają w Dumie Moskwy czy petersburskim Zgromadzeniu Ustawodawczym. Takich jak oni Federacja Rosyjska ma 77,5 tysiąca, siłą rzeczy wśród nich są jeszcze ludzie o otwartych umysłach i poglądach opozycyjnych.

Głos deputowanych ma znaczenie symboliczne, lecz jest cichy i słaby. Teraz zresztą Putin może ich spokojnie posadzić na lata za „dyskredytację” armii.

Natomiast naprawdę liczyć się musi z innymi krytykami – liczniejszymi, głośniejszymi i dzięki poparciu społeczeństwa oraz

mocnych protektorów nietykalnymi.

Zalicza się do nich chociażby Aleksandr Dugin, który jeszcze w 2014 roku krzyczał, że Ukraińców trzeba „zabijać, zabijać i zabijać”. Tacy jak on nie od wczoraj krytykują Putina i jego generałów za brak zdecydowania, „miękkosć” wobec wroga.

Od soboty propaganda kremlowska nie ukrywa przed Rosjanami, że wróg idzie do przodu, a „co najmniej druga armia na świecie” dostaje na froncie srogie baty.

W poniedziałek wieczorem specjalista od planowania operacji frontowych pułkownik Michaił Chodarionok w programie *60 minut* w kremlowskiej telewizji Rossija 1 potwierdził, że rejterada w Donbasie wciąż trwa, a by zatrzymać ofensywę ukraińską, armia Rosji musi dopiero gdzieś na swych głębokich tyłach zbudować linię obrony i na nowo zgromadzić tam wszystko, co jest niezbędne do skutecznego prowadzenia walk.

Narracja propagandy raptem się zmieniła. Do tej pory telewizja i kremlowscy eksperci mówili, że Rosja atakuje w Ukrainie wyłącznie „cele wojskowe”, a jeśli pociski trafiły w szkołę, szpital czy blok mieszkalny, tłumaczyli, że tam stacjonowali „neonaziści”.

Teraz z oburzeniem pytają, dlaczego we wrogim kraju wciąż działają kolej, system energetyczny, wodociągi, istnieją mosty, wciąż nienaruszona stoi dzielnica rządowa w Kijowie. Wzywają, by dowódcy „zdjęli wreszcie jedwabne rękawiczki” i zapomnieli o „humanitarnych sposobach prowadzenia wojny”.

Olga Skabiejewa, prowadząca *60 minut*, gdy jej poniedziałkowi goście przez trzy godziny żądali wszczęcia wojny totalnej, bezlitosnego niszczenia „krytycznej infrastruktury” i „żywej siły” przeciwnika, podsumowała swój program krzykiem: „Rosja domaga się twardej, surowej wojny!”

Putin, bez względu na to, jak wielkie wrażenie zrobiłoby na nim załamanie się frontu ukraińskiego, nie pójdzie na kompromis, bo to oznaczałoby jego koniec. Zapewne pod naciskiem wcale nie jakichś liberałów czy niezadowolonych oligarchów, lecz właśnie jastrzębi zmieni starych ministra obrony Siergieja Szojgu i szefa sztabu generalnego Walerija Gierasimowa (obaj mają po sześćdziesiąt siedem lat) na młodszych generałów – na przykład tych, którzy koronkowo przeprowadzili aneksję Krymu. I z nadzieją będzie czekał na zimę.

A zimą, jak kalkulują w Moskwie, zniszczona nalotami, marznąca, zdezorganizowana Ukraina będzie już znacznie słabsza. Bomb burzących i bombowców Rosja ma bardzo wiele, jest wciąż w stanie zmienić Kijów czy Sumy w Drezno z lutego 1945 roku, a na takie okrucieństwo walczącego o wszystko Putina stać.

Kreml liczy też bardzo na bunt społeczeństw Zachodu, które pozbawione rosyjskiego gazu mają zmusić zimą swoje rządy do zaprzestania udzielania pomocy władzom w Kijowie. Wojna – wbrew panującemu w Polsce optymizmowi – się nie kończy. Ona się zaostrza.

22.09.2022, czwartek

PUTIN GNA ROSJĘ W KAMASZE

Celem ryzykownej dla samego Władimira Putina decyzji o mobilizacji jest wzmocnienie armii. Po to, by ratować ją przed klęską militarną w Ukrainie.

Kreml zaczął w poniedziałek od krwawej prowokacji, która stała się pretekstem do propagandowego przygotowania społeczeństwa do ogłoszenia dekretu o naborze do armii: na plac Bakijskich Komisarzy w Doniecku, stolicy separatystycznej Donieckiej Republiki Ludowej (DRL), spadły pociski artyleryjskie. Zginęło od trzynastu do szesnastu cywilów, w tym dwoje dzieci. Kremlowskie telewizje przez cały dzień pokazywały zmasakrowane ciała w „rzece krwi”

Wysoki od lat poziom języka nienawiści w kanałach federalnych podniósł się do zenitu. Winę za śmierć niewinnych ofiar przypisano „ukraińskim neonazistom” i ich „zachodnim partnerom”, którzy zaopatrują armię Ukrainy w morderczą broń. Na ekranach telewizorów (to jest stale stosowany chwyt propagandy) pojawiali się ludzie, którzy podnosząc z ziemi małe strzępy metalu, z minami znawców zapewniali: „155 milimetrów – kaliber natowski”

We wtorek Kreml, wciąż oburzony „aktem ludobójstwa” na placu Bakijskich Komisarzy, wyciągnął fortepian z krzaków – w ten sposób określa się tam sytuację, kiedy w czasie jakiegoś „spontanicznie” zorganizowanego wydarzenia okazuje się,

że w pobliskich zaroślach przypadkowo znajduje się instrument wraz z zasiadającym przy nim wirtuozem.

I już we wtorek w okupowanych Doniecku, Ługańsku, Chersoniu i Melitopolu (obwód zaporoski, którego stolica pozostaje pod kontrolą Kijowa) zebrały się grupy działaczy (w Ługańsku była to rzekomo „izba społeczna”, o której nigdy wcześniej nikt nie słyszał) i ogłosiły, że od 23 do 27 września w tych regionach mieszkańcy wezmą udział w „referendum”, by wyrazić zgodę na włączenie ich do Federacji Rosyjskiej.

Równolegle rosyjska Duma od razu przyjęła poprawki do kodeksu karnego przewidujące srogie kary więzienia za niesubordynację w czasie mobilizacji i stanu wojennego. Na ich mocy za niestawienie się na wezwanie do komisji uzupełnień lub dezercję można trafić na dziesięć lat do łagru. Taka kara grozi też żołnierzowi, który odda się do niewoli.

Również tego dnia Putin miał wieczorem wystąpić z telewizyjnym orędziem do narodu.

W świetle tego wszystkiego morderczy ukraiński ostrzał Doniecka „francuskimi” (tak twierdzi kanał Rossija 24) haubicami bardzo przypomina fiński atak artyleryjski na radziecki posterunek graniczny w okolicach wsi Mainila 26 listopada 1939 roku.

W odwecie za rzekomą napaść, która była w rzeczywistości prowokacją NKWD, trzystutysięczna armia Stalina, zawczasu zgromadzona przy granicy, „spontanicznie” ruszyła na sąsiedni kraj. Jej żołnierze śpiewali: „Witaj nas, krasawico Suomi”. W srogich mrozach i głębokich śniegach szli na rzeź, chwając pieśnią jesienne uroki Finlandii. Bo oprawę słowno-muzyczną owej zimowej wojny Moskwa przygotowała, zanim jeszcze „Finowie dokonali” zdradzieckiego ataku.

Tak samo i teraz nowe prawa i decyzje o mobilizacji były gotowe, zanim „francuskie” pociski niespodziewanie zmasakrowały cywilów na placu Bakijskich Komisarzy.

Ze swoim nagraniem we wtorek orędziem Putin czekał jednak do środy, do dziewiątej rano czasu moskiewskiego. Chcąc podkreślić ważność swych słów, wybrał moment, kiedy cały ogromny kraj od Kaliningradu (tam była godzina 8) do Czukotki (godzina 18) był już i jeszcze na nogach, więc mógł w tym samym czasie usłyszeć przywódcę.

Putinowi nie podobają się porównania wojny ukraińskiej z fińską, z uporem maniaka wmawia bowiem poddanym, że kraj znalazł się w niebezpieczeństwie – takim jak w 1941 roku, kiedy zaczęła się trudna, lecz w końcu zwycięska Wojna Ojczyźniana.

W orędziu znów więc powtarzał, że ojczyzna nie zмага się z sąsiadem, lecz z całym wrażym Zachodem, który rękami „otumanionych Ukraińców” i kosztem ich życia próbuje zniszczyć Rosję, rozbić ją na „małe, wrogie sobie kraje”, by podzielić jej bogactwa.

W bardzo emocjonalnym, pełnym nienawiści przemówieniu do poddanych pan Kremla straszył, że zagrożona Rosja jest gotowa użyć do obrony wszystkiego, co ma w swoich arsenałach, także jądrowych. A „róża wiatrów” jest taka, że skutki tego użycia mogą nadlecieć także nad Europę...

Najważniejsza w tym, co ogłosił, była oczekiwana od dawna – wymuszana przez ultrapatriotycznych zwolenników wojny, a jeszcze bardziej rozwojem wydarzeń na ukraińskim froncie – decyzja o przeprowadzeniu „częściowej mobilizacji rezerwistów”.

Liczącej 144 miliony mieszkańców Rosji dramatycznie brakuje bowiem żołnierzy. Na tysięckilometrowy front jest w stanie

wysłać około 200 tysięcy zmęczonych, zdemoralizowanych trudnościami wojny i porażkami ludzi.

Pułkownik Michaił Chodarionok, specjalista sztabu generalnego do spraw planowania operacji wojskowych, w studiu telewizji Rossija 1 wskazał we wtorek od razu pięć odcinków linii frontu, na których siły zbrojne Ukrainy są w stanie przeprowadzić niebezpieczne ataki. Jednym z nich, „atrakcyjnym”, jest kierunek na Mariupol i wybrzeże Morza Azowskiego. Putin musi więc w pośpiechu łątać front.

Także „referenda” w okupowanych regionach sąsiedniego kraju dają Kremlowi nadzieję na uzupełnienie braków mięsa armatniego. Ich korzystne dla Putina wyniki (moskiewscy socjolodzy zapowiadają, że od 80 do 92 procent tamtejszej ludności chce włączenia do Rosji) sprawiają, że obwody ukraińskie staną się dla oficjalnej Moskwy częścią Federacji. A wtedy można tam będzie wysłać poborowych, których kierować na służbę za granicę nie wolno.

W ten sposób armia czynna może być powiększona także o blisko 100 tysięcy chłopców wcielonych w wyniku poboru wiosennego i o drugie tyle tych, którzy pójdą w kamasze w czasie rozpoczynającego się 1 października poboru jesienno.

Jednak łątanie zewnętrznego frontu żyjącymi od lat cywilnym życiem rezerwistami i nieostrzelanymi osiemnastolatkami oznacza dla Putina otwarcie niosącego mu spore ryzyko frontu wewnętrznego.

Rosyjskie społeczeństwo jest nastawione agresywnie i wojowniczo do wrogów w Ukrainie i na Zachodzie. Gremialnie (70 procent) wspiera wojnę toczoną gdzieś tam, daleko. Przy czym jej kontynuacji życzy sobie mniej niż 40 procent obywateli

do trzydziestego piątego roku życia – a więc tych, których Putina teraz w kamazie.

Znany socjolog Lew Gudkow mówił niedawno „Wyborczej”, że ogłoszenie mobilizacji znacznie ostudzi entuzjazm wojenny, szczególnie wśród młodych mężczyzn, ich matek i żon. A równolegle więdnąć będzie od lat niezmiennie ogromna popularność gospodarza Kremla w narodzie.

Od wtorku najczęściej powtarzane pytania w rosyjskim internecie to: „Jak wyjechać z Rosji?”, a także: „Jak uniknąć służby wojskowej?”

Na ile znam rosyjskie matki, na tyle jestem przekonany, że gorączkowo szukają dziś znajomości w komisjach uzupełnień. Byłyby może nieco spokojniejsze, gdyby mobilizację ogłoszono wcześniej, a nie po klęskach armii w obwodzie charkowskim, gdy stało się jasne, że ich chłopcy wpadną na froncie pod HIMARS-y.

Weteran Igor Striełkow, wielki orędownik powszechnej mobilizacji i przekształcenia wojny w totalną, ostrzega, że decyzja Putina jest spóźniona. I że siły zbrojne z ich nieudolnym, skrajnie skorumpowanym aparatem komisji uzupełnień nie są w stanie sprawnie przeprowadzić nawet ograniczonej mobilizacji.

19.10.2022, środa

PUTIN TRACI AZJĘ ŚRODKOWĄ

Tragedia na poligonie pod Biełgorodem, gdzie trzech Tadźycy zastrzelili jedenastu żołnierzy rosyjskich, jeszcze pogorszy szybko psujące się relacje Moskwy z byłymi azjatyckimi republikami ZSRR.

Rosyjskie ministerstwo obrony przyznało w sobotę, że w strzelaniu podczas szkolenia „ochotników” przygotowywanych do wysłania na front ukraiński zginęło jednaście osób, a rannych zostało około trzydziestu dopiero co wcielonych do armii. Sprawcami mieli być – jak to pokrętnie określono w oficjalnym komunikacie – „obywatele jednego z państw WNP”.

Blogerzy z Briańska, a stamtąd właśnie pochodzili zabici, dowiedzieli się od rodzin ofiar, że strzelało trzech (ministerstwo twierdziło, że dwóch) Tadźyków. A incydent sprowokował dowódca oddziału.

Oficer wdał się w awanturę z podwładnymi z rosyjskiego Dagestanu, którzy domagali się zdemobilizowania, bo – jak dowodzili – do armii zostali wcieleni bezprawnie. Poirytowany nazwał ich tchórzami. Od tchórzy wyzwał wszystkich wyznających islam żołnierzy, jak i ich Allaha.

Wtedy do kłótni włączyli się Tadźycy, którzy kazali muzułmanom odejść na bok i otworzyli ogień do pozostałych. Sami też zginęli.

Jednym z nich okazał się dwudziestoczteroletni Ehzon Aminzoda. Mężczyzna wyemigrował do Moskwy, gdzie pracował w restauracji. Obywatelstwa rosyjskiego nie miał.

Jego kontakt z rodziną urwał się w ubiegły poniedziałek, kiedy Aminzoda był jeszcze w pracy i ani ojcu, ani bratu nic nie mówił o tym, że miałby w planach pójście na wojnę.

Jak Aminzoda znalazł się w czynnej armii obcego państwa, pozostaje tajemnicą. Mechanizm takiej kolonialnej branki, o czym alarmują obrońcy praw człowieka, jest jednak stosowany powszechnie w trakcie ogłoszonej przez Putina tak zwanej ograniczonej mobilizacji. Do armii wcielani są wszyscy, którzy wpadną w ręce komisji poborowej.

Siły zbrojne (już nie tylko „kucharz Putina” Jewgienij Prigożyn i jego prywatna spółka wojskowa Wagner) w zamian za ułaskawienie werbują m.in. ludzi z Azji Środkowej siedzących w więzieniach Rosji. Skuteczną metodą połowu jest szantażowanie przybyszy skazanych na kary w zawieszeniu. Oni dostają trudną do odrzucenia propozycję – albo idziesz na front, albo wyrok zostanie odwieszony.

Gastarbeiterzy tacy jak Aminzoda są też po prostu porywani i biciem, straszeniem zmuszani do podpisywania kontraktów na służbę w obcej armii. Moskwa brutalnie łamie prawa obywateli „bratniego” państwa, ale gra jest dla niej warta świeczki, bo jak ocenia MSW Rosji – na terytorium Federacji przebywa około dwóch milionów gastarbeiterów z Tadżykistanu, a większość z nich to młodzi, zdrowi mężczyźni.

Tragedia na poligonie, choć wyciszana przez Moskwę, odezwie się jeszcze złym dla niej echem i nie pomoże zapobiec pogarszaniu się stosunków z sąsiadami w Azji Środkowej.

Dzień przed ogłoszeniem informacji o ofiarach strzelaniny pod Biełgorodem doszło do zgrzytu na szczycie Rosja – Azja Środkowa w Astanie w Kazachstanie.

Putin pojechał tam, by pokazać, że jego państwo wciąż ma decydujący wpływ na bieg spraw w byłych republikach imperium. Doczekał się jednak wielce nieprzyjemnej reprimendy ze strony Emomalego Rahmona, prezydenta bardzo od Moskwy uzależnionego Tadżykistanu.

Rządzący w Duszanbe od trzydziestu lat przywódca wygarnął Putinowi, że podchodzi do sąsiadów z pozycji starszego brata interesującego się tylko tym, co może wypompować z partnera.

– Nie ma nas 100 czy 200 milionów. Ale chcemy, by nas szanowano. Czy coś naruszamy? Zawsze szanujemy interesy naszego głównego strategicznego partnera. I chcemy, by nas szanowano. Więc mam do pana, Władimirze Władimirowiczu, prośbę, żeby nie było takiego podejścia do państw Azji Środkowej, jakie było w Związku Radzieckim – apelował Rahmon do pana Kremla.

Pretensje o kolonialne traktowanie ma do Moskwy także Kazachstan. Na tym froncie popisała się niedawno Maria Zacharowa, która jako rzeczniczka MSZ Rosji regularnie zmienia działania dyplomacji swego kraju w kabaret.

Gdy Astana nie dość energicznie – zdaniem Moskwy – wyprosiła od siebie ambasadora Ukrainy, który podpadł Rosjanom, urzędniczka podniosła historyczny krzyk, oskarżając Kazachów o to, że „chodzą na smyczy neonazistowskiego reżimu w Kijowie”. I dodała, że zamiast chronić ukraińskiego dyplomatę, powinni go sądzić.

Takiego chamstwa w Astanie tolerować nie chcieli. Wezwali do MSZ ambasadora Rosji, by wytłumaczyć mu, że Moskwa nie

ma prawa wtrącać się do cudzych spraw.

Zgrzytów na linii Moskwa – byłe republiki radzieckie jest coraz więcej. Ale jak zwraca uwagę politolog Władimir Sołowiow w redakcyjnym artykule na witrynie Ważnyje Istorii, rzecz nie w starciach słownych czy w uszczypliwych polemikach, ale w tym, że porażona własną wojną w Ukrainie Rosja błyskawicznie traci wpływy na obszarze, który traktowała jako należną jej „strefę uprzywilejowanych wpływów”. A teraz, jak zapowiada autor, przychodzi czekać, „gdzie znowu trzaśnie”.

Bo „trzasnęło” już między Azerbejdżanem a Armenią, której Moskwa nie była w stanie obronić przed sąsiadem. „Trzasnęło” między Tadżykistanem a Kirgistanem, których Rosja nie jest w stanie skłonić do przerwania granicznych walk o terytorium i dostęp do wody.

„Trzasnęło” też w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, gdzie żadna z byłych kolonii nie poparła Moskwy w sprawie aneksji ziem ukraińskich.

Putin w każdym swoim wystąpieniu powtarza hasło o konieczności budowania „wielobiegunowego” porządku światowego. I traci z oczu to, że jego byli klienci szukają sobie nowego „bieguna”, widząc, że stary traci moc.

Orientują się – jak Kazachstan – na Chiny czy – jak Uzbekistan – na Turcję, skutecznie słowem i czynem zbrojnym wspierającą Azerbejdżan w jego walce z Armenią, której Moskwa nie jest w stanie pomóc. A w grze są jeszcze Unia Europejska czy USA, które pokazują swą efektywność, pomagając Ukrainie.

16.11.2022, środa

GWAŁTOWNY WZROST

Wojenna awantura Moskwy sprawiła, że dzięki masowej ucieczce jej obywateli przed służbą na froncie ukraińskim gospodarki Armenii, Gruzji, Kazachstanu, Kirgizji, Uzbekistanu gwałtownie się rozwijają.

Najszybciej, nieoczekiwanie, rwie do przodu Armenia. Jej gospodarka, jak początkowo planowano, miała w tym roku utyć o skromne 3,2 procent. Ale po tym, jak Putin rozpoczął swoją „niewojnę” i zaatakował Ukrainę, nastroje opadły i prognozy wzrostu PKB zmalały do 1,5 procent. Ostateczny wynik okazał się jednak niemal dziesięć razy lepszy. PKB kraju wzrósł w 2022 roku o 14,2 procent.

Konflikt zbrojny, jak się spodziewano, miał być „błyskawiczny”. W końcu Walentyna Matwijenko, marszałek rosyjskiej Rady Federacji (odpowiednik Senatu), zapewniała, że w trudnych czasach Rosjanie nie „pobiegną za granicę”, tylko do komisji uzupełnień, by zbrojnie służyć ojczyźnie.

Rosjanie pobiegli jednak za granicę. Z danych opublikowanych przez Federalną Służbę Bezpieczeństwa, której podlegają pogranicznicy, wynika, że od początku roku z kraju wyjechało na stałe około miliona obywateli.

Jak ocenia ekonomista Ruben Enikołopow, ponad 150 tysięcy z nich na razie osiadło w Armenii, zwiększając potencjał siły roboczej tego niespełna trzymilionowego kraju o mniej więcej

dziesiątą część. A to przede wszystkim ludzie młodzi (dwadzieścia-czterdzieści pięć lat), wykształceni. I z pieniędzmi.

Przybysze sprawili, że od razu bardzo podniósł się popyt w zasadzie na wszelkie towary, a w rezultacie obroty handlu. Spora część imigrantów przeniosła do nowego kraju swoje kapitały i biznesy.

Podobny proces zaszedł w Gruzji. Tu gospodarka ma w 2022 roku urosnąć nie o planowane w styczniu 5 procent, ale zgodnie z zapowiedziami październikowymi – o 10 procent.

To niby nie taki skok jak u sąsiadów, ale i gospodarka Gruzji jest o połowę większa od armeńskiej.

Prawdziwy szturm tych, co nie „biegli do komisji uzupełnień”, lecz w kierunku przeciwnym, Gruzja przeżyła po tym, jak 21 września Putin ogłosił „częściową mobilizację”. Cztery dni później na przejściu granicznym Wierchnyj Łars na wjazd do tego kraju czekało już 2,5 tysiąca samochodów uciekających przed wcieleniem do armii Rosjan.

Dziś, jak podaje gruzińskie MSW, w kraju przebywa prawie 113 tysięcy takich uciekinierów. Co najmniej 60 tysięcy z nich chce najwyraźniej zostać tu na dłużej, bo akurat tylu założyło konta w bankach Gruzji.

Za przybyszami idą pieniądze. Od stycznia do końca października do Gruzji z Rosji przepłynęło 2,2 miliarda dolarów, co stanowi 12,6 procent dochodów gospodarki kraju.

Rosjanie pracują bądź szukają zatrudnienia przede wszystkim w sferze IT, handlu, a także w budownictwie czy usługach.

Dobre skutki ucieczki Rosjan przed „niewojną” Putina odczuwają też gospodarki Kazachstanu, Uzbekistanu, Kirgistanu. Granice z tym pierwszym krajem w tym roku przekroczyło już rekordowe 1,25 miliona obywateli Federacji Rosyjskiej, a 70

tysięcy z nich zwróciło się o nadanie im indywidualnego numeru identyfikacyjnego (odpowiednik PESEL), co znaczy, że zamierzają zostać na dłużej.

Kraje przyjmujące uciekinierów chciałyby zatrzymać ich u siebie jak najdłużej, postrzegając ich jako cenny aktyw. W Gruzji na przykład Rosjanie bez biurokratycznych przeszkód od ręki mogą zakładać konta bankowe, rejestrować firmy, ściągać z Rosji zdeponowane w tamtejszych bankach pieniądze.

Jak w wywiadzie dla „Nowej Gazety Europa” ocenił Enikołopow, Rosja traci, a Armenia czy Gruzja zyskują najlepsze kadry – „drożdże”, czyli ludzi najbardziej twórczych, wykształconych i wydajnych.

8.12.2022, czwartek

„JASTRZĘBIE” ŻĄDAJĄ, BY PUTIN SIĘ UKRAINIE ODWINĄŁ

To „cios w splot słoneczny”, uderzenie w „atomową triadę” – tak przerażona Moskwa reaguje na ataki ukraińskich dronów na bazy jej lotnictwa strategicznego. Ten strach sprawi, że działania Rosji w Ukrainie staną się jeszcze bardziej brutalne.

Niezauważony przez system obrony powietrznej lot starego, bo wyprodukowanego jeszcze w ZSRR, ukraińskiego drona do bazy lotniczej Engels pod Saratowem kojarzy się Rosjanom automatycznie z wyczynem Mathiasa Rusta z 1987 roku.

Dziewiętnastoletni Niemiec przeleciał wówczas wypożyczoną cesseną z Finlandii do Moskwy i spokojnie wylądował na placu Czerwonym pod samym Kremlm. Tym samym dowiódł, że „absolutnie szczelna” – jak zapewniało kierownictwo Związku Radzieckiego – obrona powietrzna stolicy jest dziurawa i żadnego bezpieczeństwa nie gwarantuje.

Teraz, i to w warunkach wojny, maksymalnego napięcia międzynarodowego (trzydzieści pięć lat temu było i światowe odprężenie, i wewnętrzne rozprężenie) mamy jeszcze bardziej kompromitującą powtórkę.

Przestarzały, potężny (5 ton i 15 metrów długości) dron Striż przeleciał ponad 630 kilometrów dzielących terytorium kontrolowane przez armię Ukrainy od najważniejszej bazy

rosyjskiego lotnictwa strategicznego i uszkodził tam co najmniej dwa ze 138 bombowców strategicznych, którymi dysponują dziś siły zbrojne tego kraju.

Pułkownik Michaił Chodarionok, ekspert na tyle szanowany, że prowadzący najważniejsze programy w kremlowskiej telewizji Rossija 1 pozwalają mu mówić otwarcie, we wtorek wieczorem załamywał ręce.

Nad tym, że Engels-2 nie ma skutecznej obrony przeciwlotniczej. Że nie wiadomo, po co na jednym lotnisku ustawiono obok siebie ponad 20 „strategów”. Że szalenie drogie i cenne samoloty nie miały żadnej osłony, choćby prymitywnych kaponier. Że skoro stary, zapewne zmodernizowany złom może bezkarnie dolecieć do Engelsa, to w jego zasięgu tym bardziej jest i Moskwa (od północno-wschodnich krańców Ukrainy stolicę Rosji dzieli niespełna 400 kilometrów).

W Moskwie „ciosem w splot słoneczny” nazywają loty „jerzyków” (ten ptaszek to po rosyjsku właśnie *striż*), które poza Engelsem uderzyły w bazy lotnicze Diagilewo pod Riazaniem i w Kursku, bo wróg ugodził w świętość dla Rosji większą nawet niż Moskwa.

„Niezawisimaja Gazieta” napisała, że nagle nieodporna na ataki okazała się rosyjska „triada atomowa”, gwarancja bezpieczeństwa kraju, fundament jego potęgi. Triada, czyli jądrowe siły strategiczne, to trzy elementy: balistyczne rakiety na łodziach podwodnych, międzykontynentalne pociski ukryte w silosach na przestrzeniach ogromnego kraju i lotnictwo strategiczne przenoszące pociski z głowicami jądrowymi.

Tego niszczycielskiego inwentarza Rosja strzeże jak oka w głowie i – jak wmawiała publiczności – robi to skutecznie.

A teraz jakieś stare „jerzyki” rozwiały kolejny mit o potędze „drugiej armii świata”.

Sądząc z tego, co na swoich blogach piszą rosyjscy eksperci, Rosjanie przypomnieli sobie, że ich potęga raketowa powstawała właśnie w radzieckiej Ukrainie. Najgroźniejsze pociski balistyczne – jak Wojewoda (Satan) – zaprojektowano i produkowano w KB Južnoje w Dnieprze (w ZSRR – Dniepropietrowsk).

Państwo Władimira Putina nie tak daleko odeszło od tego, co powstawało w Ukrainie. Rakieta Sarmat (wchodzi do uzbrojenia Rosji), o której możliwościach prezydent opowiada wierutne bzdury, jest modyfikacją wojewody.

W każdym razie Ukraińcy (to oni zaprojektowali i budowali u siebie także „jerzyki”) mają specjalistów i technologie do rozwijania broni raketowej, również dalekiego zasięgu, nie gorsze niż Iran czy Rosja, a przy tym, w przeciwieństwie do obu tych państw, nie podlegają sankcjom, więc mogą sprowadzać, skąd zechcą, potrzebne komponenty. Nie poprzestaną więc na modernizacji „jerzyków”.

Jak zareaguje na to wszystko Moskwa? Doświadczenie uczy, że kolejnymi druzgocącymi atakami, eskalacją brutalnych działań wojennych. Tak było po udanym zamachu na most Kerczeński, kiedy to na Ukrainę zaczęły lecieć fala za falą armady rosyjskich rakiet niszczących elektrownie, stacje wodociągowe, koleje, domy.

Tym razem natychmiast po ataku na bazy lotnictwa strategicznego rakiety z Rosji uderzyły znowu. Ale te naloty nie przynoszą skutku, na jaki Kreml liczy. Rakiety biją „punktowo”, uszkodzają lub niszczą elementy sieci energetycznej czy kolejowej, ale Ukraińcy nauczyli się szybko usuwać szkody i nie pozwalają sparaliżować kraju.

We wtorek w studiu Rossii 1 rozważano, że wobec tego, co się stało z bazami lotniczymi, trzeba zmienić taktykę i „bić już nie punktowo, ale przestrzennie”, tak by niszczyć nie transformatory czy odcinki trakcji kolejowej, ale całe elektrownie, węzły kolejowe, wytwórnie broni, których odbudowa potrwa lata.

A robić to można niekoniecznie przy użyciu ładunków jądrowych, lecz – na początek – nalotów dywanowych przy użyciu lotnictwa strategicznego, jakich rosyjskie siły zbrojne dokonywały w Syrii. Kraj, jak zapewniali eksperci, ma praktycznie nieograniczone zapasy bomb lotniczych, niektóre jeszcze z czasów drugiej wojny.

Za taką okrutną eskalacją działań wojennych, która pochłonęłaby dziesiątki tysięcy ofiar, opowiadają się „ultrapatriotyczni” krytycy Putina, którzy gwałtownie atakują go za brak zdecydowania i „miękkie” podejście do Ukraińców. Niedawno Wiktor Ałksnis, były wojskowy, zagorzały imperialista, napadł na prezydenta, nazywając go wprost „szmatą bez charakteru, która prowadzi Rosję do niechybnej klęski”.

Putin, który dla demokratycznych opozycjonistów ma tylko więzienia i wygnanie, musi się liczyć z krytykującymi go coraz śmielej jastrzębiami, bo stoi za nimi część korpusu generalskiego, oficerowie służb specjalnych. To właśnie tacy jak Ałksnis naciskali na niego, żądając niszczenia infrastruktury Ukrainy atakami raketowymi. Teraz chcą iść dalej.

12.12.2022, poniedziałek

TEJ OPOZYCJI BOI SIĘ PUTIN

Władimir Putin nie boi się rosyjskich demokratów, których przetrzebił. Boi się zyskujących popularność ultranacjonalistów. Ich rzecznikiem znów jest Igor Striełkow (właściwie Girkin).

Kreml chyba popełnił poważny błąd. Były pułkownik FSB, który od początku „specjalnej operacji wojskowej” ostro najeżdżał na generałów nieudolnie wojujących w Ukrainie, w październiku ogłosił, że sam udaje się na front. A jako oficer armii czynnej nie ma prawa publicznie uczestniczyć w sporach politycznych, więc zawiesza działalność publicystyczną.

Rzeczywiście zamilkł, udostępniając tylko czasem swoje popularne internetowe trybuny podobnym do siebie radykałom. Niedawno jeden z nich, też były oficer i radykalnie nacjonalistyczny polityk Wiktor Ałksnis z kont Striełkowa w mediach społecznościowych zaatakował Putina za mięczakowatość wobec wroga.

A teraz i sam Striełkow przerwał milczenie, bo wrócił z frontu z nowymi pretensjami do dowódców i Kremla, bardzo nieprzyjemnymi dla władzy spostrzeżeniami z pierwszej linii.

Głęboka uraza stąd, że dla niego, sławnego, doświadczonego w wielu wojnach oficera, generałowie złośliwie nie znaleźli miejsca w cierpiącej na braki kadrowe armii.

Został skierowany do jednostki, wydano mu broń. Ale nie otrzymał żadnych dokumentów. Formalnie był więc uzbrojonym,

umundurowanym cywilem w strefie działań wojennych, kandydatem do natychmiastowego rozstrzelania przez pierwszy przypadkowy patrol policji wojskowej.

Wściekły wrócił do Moskwy, by ze swoich internetowych mównic podzielić się gorzkimi doświadczeniami z rejonu walk. W czwartek przez ponad półtorej godziny, jak sam to na koniec określił, „nagadał na pół kodeksu karnego”. Rzeczywiście w myśl obowiązującego dziś w Rosji prawa za mówienie źle o armii, za samo nazywanie wojny „wojną”, wysyłają na długie lata do łagru.

A Striełkow rzucał obelgi pod adresem dowódców i przywódców, wieszczyl nieuchronną klęskę armii.

Przy tym niezmiernie ważne jest to, do kogo mówił. Jego nie słuchają przeciwnicy wojny. Publiczność ma ultrapatriotyczną wiedzę o wojnie, czerpaną z optymistycznych bajek, które opowiada im od lat telewizja kremlowska.

Otworzył im oczy na to, że wojska Rosji straciły (poza rejonem Bachmutu) inicjatywę strategiczną. Generałowie przeszli do defensywy i budują umocnienia, za którymi mają nadzieję przeczekać do wiosny. Nadzieje płonne. Bo układane z żelbetowych piramidzek zasieki „zatrzymałyby może pantery czy nawet tygrysy” Wehrmachtu, ale nie dzisiejszą nowoczesną armię.

Morale wojska jest fatalne. Wśród szeregowych i podoficerów dominuje apatia i obojętność. Striełkow powoływał się na swoje liczne spotkania z oficerami „w stopniu od majora do pułkownika”. Każdego z nich, jak to ocenił, można by zmusić, aby znaleźli się bliżej niż 100 kilometrów od pierwszej linii tylko pod groźbą zdegradowania i wysłania do batalionu karnego.

Nowoczesnej broni, na którą państwo wydało w ostatnich latach setki miliardów dolarów, też nie ma, bo „pieniądze zostały rozkradzione”. A i teraz trwa wielka kradzież uprawiana przez tych, którzy budują nieprzydatne do niczego umocnienia.

Ministra obrony Siergieja Szojgu Striełkow nazwał „klasycznym połączeniem głupka, złodzieja i szubrawca, absolutnie tępego”. A Putin jego zdaniem, choć „głównowodzący”, robi wszystko, by zdjąć z siebie odpowiedzialność za wojnę, zrzucając ją na swoich niedołączonych podwładnych.

Rozprawiwszy się z naczelnikami, oficer zapewnił, że każde ze swoich słów chętnie powtórzy przed sądem, jeśli za „złamanie połowy paragrafów kodeksu karnego” ośmielą się go przed nim postawić. Nic innego mu nie zrobią. Nie ogłoszą go na przykład, jak jakiegoś liberała, „agentem zagranicy”.

On przecież jest już skazany przez sąd holenderski na dożywocie za udział w zestrzeleniu malezyjskiego boeinga 777 nad Donbasem w lipcu 2014 roku, a Ukraińcy ścigają go za ludobójstwo.

Striełkow domaga się postawienia przed trybunałem wojennym, a potem i pod ścianą generałów odpowiedzialnych za sytuację na frontach, prowadzenie wojny na poważnie – z powszechną mobilizacją miliona rezerwistów, podporządkowaniem potrzebom frontu całej gospodarki, zerwaniem potajemnych negocjacji pokojowych z Zachodem, planowaniem jego zdaniem ustępstw terytorialnych, takich jak opuszczenie zajętych jeszcze przez Rosjan części obwodu zaporoskiego. Inaczej Rosję czeka klęska i katastrofa.

Striełkowa z jego zuchwałą szarżą nie można uważać za samotnego harcownika. Dziennikarz śledczy Paweł Kanygin

zwraca uwagę na to, że za nim stoi całe środowisko jeszcze bardziej radykalnie nastrojonych liczących się w polityce figur, takich jak prawosławny magnat medialny Konstantin Małofiejew, pisarz Aleksandr Prochanow czy cały bardzo wpływowy Klub Izborski skupiający prawosławnych stalinistów.

To oni są dziś w Rosji „prawicową” opozycją zdobywającą popularność. I to z nimi, a nie z rozgromionymi liberałami, Putin musi się liczyć.

28.12.2022, środa

ARMIA PUTINA NA MODŁĘ RADZIECKĄ

Władimir Putin chce mieć w Rosji armię 1,5-milionową, czyli większą od amerykańskiej, a przy tym zorganizowaną na wzór radziecki.

Przed świętami Putin, spotykając się ze swymi generałami, zapowiedział kolejne w ostatnich miesiącach zwiększenie liczby żołnierzy. W sierpniu swoim dekretem zarządził, że siły zbrojne powiększyć się mają o 137 tysięcy ludzi i liczyć będą 1,15 miliona wojskowych. Teraz mowa jest o kolejnym skoku – do 1,5 miliona. A to już więcej, niż w swoich szeregach mają dziesięć razy bardziej ludne Indie czy 2,5-krotnie większe pod względem liczby ludności Stany Zjednoczone.

Minister obrony Siergiej Szojgu na spotkaniu z Putinem zapowiadał, że siły zbrojne ostatecznie wracają do czterostopniowego modelu organizacyjnego z czasów radzieckich: okręg wojskowy, armia, dywizja, pułk.

W ten sposób Rosja definitywnie kończy z przeprowadzanymi w latach 2008-2012 reformami poprzednika Szojgu, ministra Anatolija Sierdiukowa, który – oczywiście z inicjatywy i z błogosławieństwem Putina – miał znaleźć remedium na słabości sił zbrojnych, które uwidoczniła zwycięska wojna z Gruzją.

Sierdiukow dostał zadanie szykowania sił zbrojnych do konfliktów, które realnie zagrażają Rosji. Chodziło o lokalne wojny na Kaukazie czy w Azji Środkowej. Ustanowił uproszczony trzystopniowy model organizacyjny: okręg wojskowy, dowództwo operacyjne, zdolna do działań samodzielnych brygada. Wdrażając reformę, Sierdiukow otwarcie mówił, że wzoruje się na armiach zachodnich.

Przy Sierdiukowie siły zbrojne Rosji liczyły nominalnie około miliona żołnierzy, a w rzeczywistości nie więcej niż 900 tysięcy ludzi. A to, jak zapewniał „Wyborczą” Rusłan Puchow, ekspert wojskowy z Ośrodka Analiz Strategicznych i Technologii, liczba optymalna, odpowiadająca potencjałowi gospodarczemu, demograficznemu i technologicznemu Rosji.

Teraz armia ma być zgodnie z życzeniami jej generałów „jak u babuszki”, czyli jak w ZSRR, a więc liczna i zorganizowana z powrotem na wzór radziecki. Szykowana jest bowiem nie do wojen, które zagrażają Rosji, lecz do tych, które sama Rosja prowadzi przeciw Ukrainie i grozi innym sąsiadom.

Putin obiecuje swoim generałom, że dostaną wszystko, co jest potrzebne do budowy takiej potęgi. Eksperci wojskowi podchodzą jednak sceptycznie do tych obietnic, powtarzając, że pan Kremla wyznacza „cele radzieckie, nie dysponując radzieckim potencjałem”.

Rosja jest pogrążona w kryzysie demograficznym – w latach dziewięćdziesiątych i w pierwszej dekadzie XXI wieku rodziło się w niej rekordowo mało dzieci. Mimo to ma sobie zafundować armię niemal dwa razy większą od tej, którą dysponowała, rozpoczynając agresję na Ukrainę. Skąd weźmie rekrutów i chętnych do służby zawodowej?

Szojgu zapowiada „stopniową” zmianę wieku poborowych z dzisiejszych osiemnastu-dwudziestu siedmiu lat do dwudziestu jeden-trzydziestu lat. To jest dosyć sprytne. Bo przedłużyć wiek poboru o trzy lata można od ręki, a podwyższać dolną granicę będzie się „stopniowo”, czyli powolutku. W ten sposób „pogłowie” rekrutów znacznie się powiększy. Innym sposobem na zwiększenie szeregów byłoby przedłużenie służby zasadniczej, na przykład z obecnego roku do dwóch. Na razie jednak o tym się nie mówi.

Rosyjskie ministerstwo obrony przedstawiło już kilka szczegółów dotyczących rozmieszczenia nowych żołnierzy. Zapowiada stworzenie dwóch nowych dywizji powietrznodesantowych i pięciu dywizji piechoty morskiej. W graniczącej z Finlandią Karelii będzie ulokowany korpus armijny (dwie dywizje). To ma być odpowiedź na przystąpienie Finów i Szwedów do NATO.

Siły powietrzne powiększą się o trzy nowe dywizje, pięć pułków bombowych i pułk myśliwski. Każda z sześciu armii (jednostek w nowym podziale sił zbrojnych) ma dostać po brygadzie lotniczej. Powstanie też pięć nowych dywizji artyleryjskich. Brygady strzelców zmotoryzowanych zostaną przekształcone w dywizje.

Powiększone siły zbrojne trzeba wyposażyć w nowy, w miarę nowoczesny sprzęt. A to są wydatki sięgające setek miliardów dolarów.

W latach 2011-2020 Rosja miała ambitny plan przebrojenia armii i wyposażenia jej w co najmniej w 70 procentach w broń „współczesną”. Zaprotestował wówczas uznawany na świecie za wybitnego ekonomistę wicepremier i minister finansów Aleksiej Kudrin. Polityk ogłosił, że kraju na takie wydatki nie stać

i nie będzie realizować takich szkodliwych planów. Musiał więc odejść z rządu.

Pieniądze na unowocześnienie armii zostały wydane w taki sposób, że żołnierze rosyjscy wojują w Ukrainie na sprzęcie z czasów wczesnego Breżniewa, a liczni generałowie pobudowali sobie rezydencje w miejscach, gdzie żyć jest przyjemnie.

Potencjał technologiczny Rosji też jest znacznie skromniejszy od tego, którym dysponował Związek Radziecki. Widać to po sytuacji na froncie, gdzie armia przegrywa w konfrontacji z nowoczesnym sprzętem, którym Zachód wspomaga Ukraińców.

Widać to choćby po perypetiach z myśliwcem „piątej generacji” Su-57 czy czołgiem (też „piątej generacji”) T-14 Armata, które – choć od dekady przedstawiane są jako cuda techniki wojennej – wciąż nie są gotowe do służby na froncie.

A i przemysł zbrojeniowy nie jest w stanie realizować zamówień na sprzęt dla nowych dywizji. Jak ostrzega Denis Manturow, wicepremier i minister przemysłu i handlu, zbrojeniówka ma już na przyszły rok „rozpisany na dekady” kalendarz dostaw swej produkcji na bieżące potrzeby „specjalnej operacji wojskowej”, czyli frontu ukraińskiego. Wolnych mocy nie będzie ani w roku 2024, ani w 2025.

13.01.2023, piątek

NOWY MINISTER WOJNY

Szefowie rosyjskich sił zbrojnych osiągnęli sukces w wojnie biurokratycznej ze swymi krytykami, w tym z Jewgienijem Prigożynem. Generał Walerij Gierasimow, którego kondotier Putina mieszał z błotem, został dowódcą frontu ukraińskiego.

Na tle ciężkiej, niezwykle krwawej wojny to, co się dzieje na wojskowych szczytach władzy rosyjskiej, wygląda tragikomicznie. Kierownictwo sił zbrojnych za głównych swoich wrogów uważa frontowych watażków, takich jak Jewgienij Prigożyn – dysponujący złożoną przede wszystkim z wyciąganych z łagrów więźniów Grupą Wagnera – czy wielkorządcą Czeczenii Ramzan Kadyrow.

To oni właśnie skierowali z Moskwy przeciwko starym generałom gęsty ogień oskarżeń o nieudolność, marnowanie życia żołnierzy, tchórzostwo.

Jeszcze w październiku udało im się odstrzelić dowódcę Centralnego Okręgu Wojskowego, generała pułkownika Aleksandra Łapina. Był on ulubieńcem „Arbackiego Okręgu Wojskowego”, jak Rosjanie nazywają rządzące się swoimi biurokratycznymi prawami, oderwane od życia armii ministerstwo obrony ulokowane w pobliżu moskiewskiego Arbatu.

Prigożyn i Kadyrow, żegnając Łapina, domagali się degradacji i „wysłania z automatem” na pierwszą linię, by „własną krwią

zmył hańbę”. Ten jednak, niczym wańka-wstańka, po trzech miesiącach wrócił we wtorek do gry jako szef sztabu wojsk lądowych.

Kolejny szturm „arbaccy” przypuścili w środę. Dowódcą frontu ukraińskiego został generał armii Walerij Gierasimow. Ma on też pozostać szefem sztabu generalnego, stał się więc kimś w rodzaju ministra wojny, dysponującego większą władzą i kompetencjami niż szef resortu obrony Siergiej Szojgu.

Dostał też mocne wsparcie w osobach swoich zastępców. To generał armii Siergiej Surowikin (przez ostatnie trzy miesiące to on dowodził wojskami w Ukrainie), który pozostaje szefem wojsk powietrzno-kosmicznych, oraz generał armii Oleg Salukow (nadal ma być dowódcą wojsk lądowych) i generał pułkownik Aleksiej Kim, zastępca szefa sztabu generalnego.

Teraz więc nad Prigożynem i Kadyrowem twardo stoją Łapin, i Gierasimow. A jeszcze całkiem niedawno dyrygent „orkiestry”, jak się powszechnie nazywa Grupę Wagnera, publicznie poparł swoich oficerów, którzy Gierasimowa – również publicznie – „nie mogli nazwać inaczej jak pederastą”. W ich oczach jest on osobiście winien temu, że na front nie dociera zaopatrzenie, przez co niepotrzebnie masowo giną żołnierze.

Bliski Putinowi herszt najemników przegrywa wojnę z „arbackimi” generałami, bo nie ma oparcia w aparacie biurokratycznym, a bez niego w Rosji nikt dużo nie ugra.

Prigożyn stara się jednak jakoś odgryźć swoim przeciwnikom. Wciąż chęłpi się, że jego bandyci są najbardziej skuteczną i bitną formacją zbrojną Rosji. W środę ogłosił, że ciężkie walki o Sołedar toczą z armią Ukrainy wyłącznie jego ludzie, którym właśnie udało się zdobyć to miasteczko.

Temu ostatniemu, co nie dziwi, zaprzeczyli Ukraińcy. Ale informacji o zdobyciu kluczowej miejscowości nie potwierdziło, a właściwie zdementowało ją także rosyjskie ministerstwo obrony. „Arbaccy” ogłosili bowiem, że boje o Sołedar trwają, a z wrogiem ścierają się tam regularne wojska powietrznodesantowe.

Te przepychanki przypominałyby kłótnie w piaskownicy, gdyby nie chodziło o ludzkie życie.

Dobrze zorientowana w sprawach wojny „Niezawisimaja Gazieta” pisze, że ostatnie posunięcie kadrowe Kremla jest zapowiedzią wielkiej i miażdżącej ofensywy Rosjan. Zdaniem dziennika Putin oddaje kierowanie frontem ludziom noszącym na pagonach „wielkie gwiazdy” (generalskie), bo to im podporządkowane są całe siły zbrojne kraju. Należy je zmobilizować jak najszybciej, by przejść do totalnego ataku, zanim Ukraina wzmocniona zapowiadzanymi dostawami nowoczesnej broni z Zachodu stanie się zbyt silna. A czasu, według gazety, jest niewiele.

O tym, że Rosja nie jest w stanie zebrać sił gwarantujących jej przeprowadzenie szybkiej i udanej ofensywy, dużo i z przesadą mówi się ostatnio i na Zachodzie.

Lekceważenie potencjału mobilizacyjnego Rosji byłoby błędem. Kraj ma wielkie rezerwy ludzkie, potężny przemysł zbrojeniowy. Ale jego potencjał jest ograniczony m.in. nieporadnością i brakiem odpowiedzialności decydentów.

Świadczyć o tym może środowa awantura, w czasie której Putin publicznie nazwał swego ministra przemysłu Denisa Manturowa „durniem”. Poszło o to, że szef resortu próbował mydlić oczy przełożonemu, wmawiając mu, że zamówienia na broń dla armii są realizowane zgodnie z planem.

Pan Kremla miał powody do irytacji, bo wcześniej dowiedział się od dyrektorów fabryk, że jeszcze nie złożono im państwowych zamówień na broń, a spodziewają się ich nie wcześniej niż w kwietniu. To samo zapowiedział na naradzie z szefem Manturow. Nic dziwnego, że Putin, usłyszawszy o tym, dał się ponieść nerwom.

18.01.2023, środa

TEORIE SPISKOWE W GŁOWACH NA KREMLU

Ludzie z Kremla pogrążają świat w wojennej katastrofie, kierując się absurdalnymi urojeniami o spisku „Rothschildów, Rockefellerów i Sorosa” oraz o wszelkich knowaniach szatana.

Lokatorzy rosyjskiego Olimpu raz za razem przypominają światu, jaką sieczkę mają w głowach, opowiadając o watach bojowych komarów czy nietoperzy rzekomo hodowanych przez Amerykanów w laboratoriach w Ukrainie, by niosły na Moskwę śmiertelne wirusy.

Coś podobnego zrobił ostatnio, nie pierwszy raz zresztą popisujący się niewiedzą, jaką pozyskał na kursach KGB, generał armii Nikołaj Patruszew, przyjaciel Putina jeszcze z młodości, był (1999-2008) dyrektorem FSB, a aktualnie sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, a więc człowiekiem, który ma ogromny udział w konstruowaniu strategii politycznej i wojennej kraju.

W obszernym wywiadzie dla tygodnika „Argumenty i Fakty” Patruszew przeszedł samego siebie.

Zapewniał na przykład, że na terytorium Federacji Rosyjskiej, a już szczególnie na włączonym do niej Krymie, rozkwita folklor ukraiński, nikt nie zabrania ludziom tańczyć tańców i śpiewać pieśni ukraińskich.

Zapomniała mu się świeża przecież historia miss okupowanego półwyspu Olgi Walijewej, która po wygraniu konkursu piękności zaśpiewała *Czerwoną kalinę*. I musiała zapłacić za to wysoką grzywnę, a towarzysząca jej koleżanka przesiedziała dziesięć dni w areszcie. Obie bowiem swoim śpiewem miały „zdyskredytować armię rosyjską”.

Srogo karane, wbrew temu, co opowiada towarzysz Putina, jest także śpiewanie po ukraińsku w gronie prywatnym, choćby na weselu. Wystarczy, że ktoś doniesie – i wyrok murowany.

Ale już dawno wiadomo, że ludzie Kremla wymyślają różne kłamstwa – jak to, usilnie powtarzane i kolportowane przez swoje telewizje, o humanitarnej misji, jaką niosą narodowi ukraińskiemu – a potem przyjmują, czy starannie udają, że przyjmują za prawdę to, co mówi ich telewizja.

W naukach głoszonych przez Patruszewa ważniejsze jest co innego – obraz świata, jaki dygnitarz („Niezawisimaja Gazieta” lokuje go na szóstym miejscu listy najbardziej wpływowych postaci w Rosji) uważa za prawdziwy.

A według niego światem zza kulis wciąż rządzą Rothschildowie, Rockefellerowie, Soros i jeszcze mniej więcej 500 rekinów biznesu, którzy kierują korporacjami międzynarodowymi. W ich kieszeniach siedzi nawet rząd USA.

To te korporacje zamordowały wszystkich czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych, którzy zginęli w zamachach, w tym i Abrahama Lincolna zabitego w 1865 roku, kiedy korporacji jeszcze nie było.

Dziś wrogie ludzkości korporacje prowadzą okrutną, nieludzką politykę wyniszczenia wszystkich, którzy nie wchodzą w skład „złotego miliarda”, co to zachłannie zagarnia wszystkie bogactwa Ziemi.

„Stosowane przez nich metody są absolutnie cyniczne. Jedną z nich są eksperymenty z niebezpiecznymi patogenami i wirusami w laboratoriach wojskowych, którym patronuje Pentagon” – ostrzega kremlowski dostojnik.

Według niego rządzący światem zza kulis „bezceremonialnie zajmują się moralnym rozkładaniem” ludzkości, „zamieniają ludzi w zombi za pomocą propagandy”. Teraz ci wrogowie rodzaju ludzkiego puszczają w ruch „broń kognitywną” – i za jej pomocą krzewią „wartości neoliberalne, takie jak ideologia LGBT”. Przy tym „nie skrywają, że jest ona instrumentem stopniowej eliminacji zbędnych (czyli pozostających poza »złotym miliardem«) ludzi”.

Największym zagrożeniem ci „wrogowie rodzaju ludzkiego” są dla Rosji.

Zdaniem Patruszewa wrogowie rodzaju ludzkiego stawiają sobie za główny cel rozszarpanie Rosji, rozbicie jej od środka i podzielenie na małe, podporządkowane im państewka.

Szef putinowskiej Rady Bezpieczeństwa nie pierwszy raz publicznie głosi takie teorie spiskowe. Najwyraźniej przez ich pryzmat pojmuje świat. I nimi uzasadnia konieczność wojny z Ukrainą. Bo Rosjanie nie z Ukraińcami walczą, jak zapewnia Patruszew. Ukraińców Rosjanie miłują.

Natomiast armia rosyjska zмага się w ukraińskich stepach z rządzącymi światem, wrogimi Rosji korporacjami, bo to one ją perfidnie zaatakowały.

Jeszcze bardziej groźny obraz świata ma w swojej głowie Dmitrij Miedwiediew. Zastępca przewodniczącego Rady Bezpieczeństwa rozumie, że prawdziwym przeciwnikiem, z którym zмага się Rosja, jest sam diabeł.

Dygnitarz (piąte miejsce na liście najbardziej wpływowych polityków) pisze: „Naszym celem jest powstrzymanie władcy piekieł, jakimkolwiek imieniem by go nazywano – Szatanem, Lucyferem czy Iblisem. Jego celem jest zguba. Naszym celem – życie. Jego broń – pokrętne łgarstwo”.

A wtóruje mu sam Putin, który niedawno oskarżył Zachód o „pełne negowanie człowieka, poniżenie wiary, odrzucanie tradycyjnych wartości, które przybierają cechy religii postawionej do góry nogami – otwartego satanizmu”.

W głowach nie tylko Putina, Miedwiediewa czy Patruszewa (ludzi z samej wierchuszki, ale głoszących absolutnie serio takie brednie można by wyliczać długo) rządzi dziś groch z kapustą, mieszanka najdzikszych teorii spiskowych, mitów, pseudonaukowych przekonań, a przede wszystkim – paniczny strach przed światem.

I ta panika tłumaczy jakoś ich irracjonalne, zbrodnicze poczynania.

24.06.2023, sobota

NIE SZEDŁ PO PUTINA

23 czerwca Jewgienij Prigożyn oskarża rosyjskie siły zbrojne o atak na swoich żołnierzy, a dzień później Grupa Wagnera bez walki zajmuje Rostów nad Donem i ogłasza „marsz sprawiedliwości” w stronę Moskwy. Mnie ten zbrojny rajd „dyrygenta Lucyfera” (tak Prigożyna nazywa się w popularnej piosence) nie zaskoczył. Równy miesiąc wcześniej wszczął właściwie otwarty już bunt przeciwko dowództwu armii. Bunt się stał. I okazał się na tyle dziwny, że świat pyta teraz: co to w ogóle było?

Szef wagnerowców nie szedł z Rostowa nad Donem po Putina. Po kogo sięga, wyraźnie powiedział to jeszcze w maju po wzięciu Bachmutu.

Wtedy, stojąc w pozie zwycięzcy na tle ruin miasta, nagrał dwa manifesty – jeden przeznaczony dla szerokiej publiczności (przede wszystkim dla coraz ważniejszego w Rosji środowiska domagających się przestawienia kraju na tory wojenne „turbopatriotów”), a drugi dla telewizji.

Ten drugi ograniczył się do używanego dla cenzurowania wypowiedzi dźwięku „piii”, bo i słowo, którym się Prigożyn posługiwał, było bardzo grube, a i brutalnej krytyki dowództwa armii propaganda kremlowska strawić by nie mogła.

W przesłaniu, które rozkolportowały liczne prigożynowskie media internetowe, mówił o wzięciu miasta: „Tu była tylko

Prywatna Spółka Wojskowa »Wagner«. Nikt nam nie pomagał. A jego ludzie walczyli nie tylko z Ukraińcami, o których wyrażał się z szacunkiem. Drugim wrogiem stojącym przeciw jego „chłopcom” była „biurokracja, szczególnie ta z ministerstwa obrony, która wojny nie traktuje poważnie”. Z nazwiska wymienił szefa resortu Siergieja Szojgu i szefa sztabu generalnego Walerija Gierasimowa. Zapowiedział, że „mamy listy tych, którzy nam pomagali, i tych, którzy działali przeciwko nam”. Już wtedy zapowiedział, że ci drudzy – „zdrajcy”, przez których w czasie szturmie Bachmutu „zginęło pięć razy więcej chłopców, niż powinno było – zostaną rozliczeni”.

On groził biurokratom z „arbackiego okręgu wojskowego” (tak ironicznie w armii określa się ministerstwo obrony położone w okolicy moskiewskiego Arbatu) jeszcze w kwietniu, kiedy też zapowiadał rozprawę:

„Patrioci pragną sprawiedliwości. A to może boleśnie odczuć właśnie to głębokie państwo, które grzęźnie w luksusie i biurokracji”.

Zastrzegł jednak wtedy wielkodusznie, a potem konsekwentnie powtarzał, że „najwyższej władzy” nic nie grozi, jako że ona „jest symbolem jedności narodu i sprzeciwu wobec Zachodu”.

On szedł na Moskwę po Szojgu, Gierasimowa, innych generałów, rzekomych „liberałów” w rządzie, których, jak groził, miał na placu Czerwonym czy to podnieść na szubienicach, czy to zgodnie z bliską mu tradycją kryminalną „opuścić”, czyli gwałtem homoseksualnym uczynić pogardzanymi pariasami. Cóż, taki ma styl.

Rachunki krzywd i zawiści są w przypadku Prigożyna i jego wrogów z wielkimi gwiazdami generałów armii na pagonach długie i stare.

O tym, że oni skazali jego „orkiestrę” na „głód amunicyjny”, nie dając im tylu pocisków i sprzętu, ile on żądał, co rzekomo sprawiło, że wagnerowcy ponosili na froncie ogromne straty, wiadomo powszechnie. O zawiści, z jaką po zdobyciu „bachmuckiego Reichstagu” pałają do nowego samozwańczego „marszałka zwycięstwa Żukowa” – też.

Ale powody złości były głębsze, bo finansowe. „Kucharz Putina”, korzystając z jego protekcji, tuczył się na wielce dochodowych kontraktach z wojskiem. Jego firma karmiła ponadmilionową armię w koszarach i na froncie. Koszary budowała, sprzątała, opierała.

On brał za to pieniądze i wbrew wielowiekowej tradycji biurokratycznej Rosji się nie dzielił. Brał więc, jak to określał Gogol, „niezgodnie z rangą”.

A noszący złote pagony biurokraci też się rwali do tego koryta. Niedawno Prigożyn wyciągnął kwity dowodzące, że specjalnie podnieśliienne stawki żywnościowe dla żołnierzy na froncie, żeby miał się z czego z nimi dzielić.

I jeszcze Syria. Tam wagnerowcy robili duże pieniądze na ochronie pól naftowych, ale ich „dyrygent” dzielił się tylko z kumplami i tych właśnie współników ostatnio próbował zainstalować na wysokich stołkach w resorcie obrony.

Ludzi z „arbackiego okręgu wojskowego” tak od dawna świerzbiły ręce, że pięć lat temu z premedytacją podstawili w Syrii najemników Prigożyna pod ogień Amerykanów. Kiedy wagnerowcy szli na Dajr az-Zaur obsadzony przez oddziały wspierane przez armię Stanów Zjednoczonych, dowódcy amerykańscy pytali kolegów rosyjskich, co to za formacja, a ci cynicznie zapewnili, że nie mają z nią nic wspólnego. Wtedy

lotnictwo USA na otwartej pustyni zmasakrowało najemników z Rosji, zabijając co najmniej 200 ludzi.

Ostrzelanie wagnerowców odchodzących ze zdobytego Bachmutu przez oddziały regularnej armii Rosji, minowanie ich drogi nie było więc czymś nowym, tylko powtórką tego, do czego doszło nad Eufratem. Piątkowy atak raketowy wojsk rosyjskich (jeśli rzeczywiście był, bo ministerstwo obrony upiera się, że nie) na obozy wagnerowców pod Ługańskiem, który miał sprowokować Prigożyna do marszu na Moskwę, byłby kontynuacją tradycji strzelania do swoich towarzyszy broni – najemników.

„Dyrygent” jeszcze miesiąc temu podsuwał Putinowi sposób rozwiązania konfliktu. Wyszedł z bezczelną, ale chyba kuszącą propozycją czegoś w stylu sprywatyzowania armii. Według niego można by poprawić sytuację na froncie (po usunięciu nieudolnych i wręcz szkodliwych Szojgu i Gierasimowa), instalując na stołku ministra obrony gen. Michaiła Mizincewa (były wiceminister obrony, teraz jeden z komendantów Wagnera), a szefem sztabu generalnego czyniąc gen. Siergieja Surowikina.

Obaj poza doświadczeniem bojowym mają tę zaletę, że razem z „kucharzem Putina” robili ciemne interesy na wojnie w Syrii. Gierasimow kupił willę w Soczi wartą tyle, że musiałby na nią odkładać swój cały żołd, tocząc wojnę trzydziestoletnią.

Poza swoimi kandydatami na kluczowe pozycje Prigożyn podsuwał głównodowodzącemu jeszcze jeden bardzo atrakcyjny aktyw. Siły zbrojne Rosji po półtora roku wojny cierpią na ostry deficyt oficerów. Na froncie brakuje dowódców (dziś kompaniami dowodzą sierżanci), a na tyłach – fachowców do szkolenia zmobilizowanych.

Prigożyn kusił, że ma (i chyba naprawdę ma) 6 tysięcy doświadczonych ludzi, którym od razu można powierzyć czy to kompanię, czy to batalion. Starczyłoby ich na cały kontyngent biorący udział w walkach.

Kadry, jak mawiał Stalin, decydują o wszystkim. Gdyby propozycja „dyrygenta” została przyjęta, to czynna armia i ogromne pieniądze, jakie ona pochłania, przeszłyby pod jego kontrolę. Wtedy stałby się bardzo ważną figurą polityczną w Moskwie.

To, co zamyślał Prigożyn, ruszając na Moskwę, on sam pewnie nazywał, używając bliskiego mu błatnego żargonu, *razborką*. Mówił zresztą, że idzie do stolicy *razobratsia*, czyli zrobić porządek z tymi, którzy tworzą tam bałagan – nie z Putinem, ale ze swoimi oponentami.

Słowem *razborka* określa się zgromadzenie kryminalistów, którzy zbierają się, by – czasem pod lufami mafijnych cyngli – rozważyć wedle norm obowiązujących w świecie przestępczym sporne kwestie, wyjaśnić racje stron, ustalić, kto ma jakie miejsce w hierarchii, kto powinien odstąpić swoje aktywa, a kogo należy zabić.

Sam szef najemników, który w szalonej młodości przesiedział dziewięć lat w łagrach za paskudne pospolite przestępstwa, znakomicie zna ten świat i normy. I tym językiem również posługuje się znakomicie.

Stąd też wzięła się jego łatwość werbowania zeków do bardzo ryzykownej służby na froncie. Kiedy do łagrów, by szukać ochotników do armii, pojechali kadrowi oficerowie, więźniowie patrzyli na nich jak na cudaków gładzących o jakimś tam patriotyzmie, obowiązkach obywateli. A z Prigożynem wszystko było dla nich proste i jasne.

Ten świat, pojęcia i leksyka nie są też obce Putinowi. On mówi językiem bardzo podobnym do Prigożyna, tylko z racji tytułu i urzędu musi owijać w bawełnę.

Tam, gdzie „kucharz” powie, a mówi często, „pider” albo „Żyd” (to w Rosji słowo obraźliwe), pan Kremla z chytrym uśmieszkiem nawiąże do „nietradycyjnych zachowań seksualnych” albo pozwoli sobie na antysemicki żarcik.

Ale nawet ludzie z Kremla przyznają, że teraz problemy rozwiązuje się tam *po poniatjam*, czyli zgodnie ze „zdroworozsądkowymi” zasadami przyjętymi w świecie kryminalnym.

Putin przez niemal ćwierćwiecze swych rządów konsekwentnie rozdeptywał instytucje i zasady regulujące życie społeczne, zastępując je samowolą i porządkami przypominającymi te, które obowiązują w świecie przestępców. Już w pierwszych latach prezydentury nie bez powodu nazywano go często *pachanem na zonie*, czyli przywódcą społeczności więźniów łagru. Prigożyn mógł więc liczyć na to, że jego dziki rajd zostanie zrozumiany.

Teza o tym, że ktoś trwoży cały kraj i świat, prowadząc przez pół kraju na stolicę tysiące ludzi uzbrojonych w czołgi, wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych, by dochodzić swoich racji i rozstrzygnąć spór personalny, może się wydać absurdalna i daleka od logiki.

Ale jeszcze bardziej obłądna i daleka od zdrowego rozsądku jest rzeczywistość, w której w wielkim kraju, w którym rządzą niepodzielnie czekiści, czyli zawodowi stróże prawa, organizację paralelną, niezależną od struktur sił zbrojnych armii (sprzecznej z prawem, które każe ścigać najemnictwo jako ciężkie przestępstwo) powierza się zawodowemu przestępcy. I ten człowiek przeprowadza dla swego kraju delikatne, brudne misje w Afryce, na Bliskim Wschodzie, w Ameryce Łacińskiej. I ten

człowiek z błogosławieństwa Putina ma pod sobą pięćdziesiąt tysięcy, niezależną, ciężkozbrojną armię, dostaje prawo masowego ułaskawiania odbywających wieloletnie wyroki sprawców najcięższych przestępstw.

Ten człowiek bezkarnie rozkazuje ciężkim młotem zmiażdżyć głowę nieszczęśnikowi, którego uznał za zdrajcę. A potem ten młot staje się symbolem patriotyzmu i Siergiej Mironow, przywódca jednej z reprezentowanych w Dumie partii, z nabożeństwem całuje narzędzie zbrodni i obnosi się z nim jak z relikwią... To wszystko jest chore.

Trudno się dziwić, że Prigożyn, próbując dochodzić swoich racji, zdecydował się na zamach stanu. Przecież w dzisiejszej, paranoicznej rzeczywistości Rosji jest to dla niego naturalne. Organizowanie i przeprowadzanie zamachów stanu ma wpisane w zakres obowiązków, jakie nakłada na niego ojczyzna.

Moskwa powierzyła Prywatnej Spółce Wojskowej „Wagner” nie tylko wspieranie armii Rosji (nasz bohater głosi, że jest odwrotnie, bo to armia nieudolnie wspiera wagnerowców) w walce z Ukraińcami. Jest jeszcze Syria, gdzie trzeba chronić pola naftowe, zyski, z których czerpią firmy rosyjskie.

I jest Afryka, gdzie Kreml ma swoje interesy. Zbrojni najemnicy na tajne zlecenia Kremla osłaniają więc miłych Moskwie, a niemiłosiernie eksploatujących poddanych, okrutników przed konkurentami. A czasem przychodzi im siłą zamieniać pierwszych na drugich. Prowadzą te misje w Sudanie, Libii, Republice Środkowoafrykańskiej, Mozambiku, Mali, Kongu, Zimbabwie, Gwinei itd.

A skoro im się udało na zlecenie z Moskwy dokonać zamachu stanu choćby w Burkina Faso i czegoś się przy tym nauczyli, to czemu nie skorzystać z tego doświadczenia w samej Moskwie.

Bo czym się różni Rosja od Burkina Faso (kraj wcześniej nazywał się Górna Wolta, a i Rosję z jej porządkami też kiedyś określano jako „Górną Woltę z rakietami”). Szacunek dla prawa i zasad współżycia międzynarodowego – ten sam. Poszanowanie dla praw obywateli, instytucji – też. Bałagan króluje i tu, i tam.

Do *razborki*, którą planował główny wagnerowiec, doszło. Nie w tych jednak okolicznościach, o jakich myślał. Kiedy jego ludzie szli jeszcze do Moskwy, wybrany przez Putina na pośrednika Łukaszenka wytłumaczył mu, że mimo zasług bojowych i popularności (dziś Prigożyn jest jedynym znanym powszechnie rosyjskim bohaterem wojny, cieszy się większym zaufaniem rodaków niż przywódca wszystkich reprezentowanych w Dumie partii) jest wciąż za mały na to, żeby stawiać personalne pasjansy w Moskwie.

Rozlokowane wzdłuż trasy przemarszu jego ludzi jednostki wojskowe zachowały neutralność, ale – na co liczył – nie przyłączały się do nich. Wielu Rosjan z sympatią odzywało się do „bohaterów Bachmutu”, ale zajmując pozycję życzliwych kibiców. Tak samo zresztą jak nikt nie wychodził na ulice Moskwy, by bronić Putina i jego towarzyszy przed nadciągającymi buntownikami.

Zawiedli też potencjalni sojusznicy. Ramzan Kadyrow, widząc, że ambicje Prigożyna rosną w niebezpiecznym kierunku, zawczasu stał się jego krytykiem. Aleksiej Diumin, gubernator Tuły, uważany za kandydata na ministra obrony, i Wiktor Zołotow, dowódca Rosgwardii – milczeli. Ten ostatni, jakby chciał odsunąć od siebie podejrzenia, teraz trąbi, że za akcją wagnerowców stał wrogi Zachód.

Miejsce Prigożyna w hierarchii państwowej okazało się na tyle niskie, że musiał przyjąć przedstawioną mu przez Łukaszenkę

„propozycję nie do odrzucenia” i pójść na układ. Zgodził się oddać pod komendę Szojgu trzon swojej armii i wycofać z dochodowych interesów w zamian za gwarancje bezpieczeństwa osobistego. Ale to słabe gwarancje. Putin wie, że naród nie szanuje cara, który nie ma dość śmiałości, by kaźnić zdrajcę. A nie na darmo utrzymuje laboratoria trucizn, watahy skrytobójców. Buntownik razem z tymi najemnikami, którzy zostaną przy nim, ulokuje się na Białorusi. A do Mińska z Moskwy łatwiej i taniej posłać człowieka z czekanem do lodu niż do domu Fridy Kahlo w Ciudad de México, jak to musiał zrobić Stalin, by ostatecznie rozprawić się z wychodzącym cało z kolejnych zamachów Lwem Trockim.

Oszałamiający wzlot i upadek „kucharza Putina” nie są wypadkiem przy pracy. One harmonijnie wpisują się w historię wzlotu i upadku dzisiejszego gospodarza Kremla, który zatroskany tylko o trwałość swojej władzy brutalnie rozmontował wszystkie mechanizmy kontrolujące jego postępowanie, zastępując je przemocą i samowolą. Losy Prigożyna współgrają z rozdeptaniem wszelkich instytucji demokratycznych i zastąpieniem ich „porządkami” zapożyczonymi z bandyckiego podziemia. A to owocuje represjami, morderstwami politycznymi, zmiotaną pod dywan gigantyczną korupcją.

Kryminalista z wielkim młotem do rozłupywania czaszek, potężną armią bandytów i jeszcze większymi ambicjami idealnie pasuje do tego pejzażu.

04.07.2023, wtorek

PO BUNCIE PRIGOŻYNA

Rosja i Putin nieprędko otrząsną się po buncie Prigożyna. Strach pana Kremla przed konsekwencjami wydarzeń sprzed tygodnia okazuje się większy nawet od jego groteskowego lęku przed COVID-em.

Emocje są wciąż tak wielkie, że Putin wypaplał największą wojenną tajemnicę. Przyznał, że Grupa Wagnera jest finansowana przez państwo (wcześniej kategorycznie temu zaprzeczał), a wszystkie firmy Prigożyna przez rok otrzymały z budżetu 276 miliardów rubli (zgodnie z kursem – około 4 miliardów dolarów).

Z tego 110 miliardów poszło na wypłaty odszkodowań. Akurat te fundusze przeznaczone dla rodzin poległych i rannych są ściśle strzeżonym sekretem państwowym, bo ich wielkość wskazuje na realne straty sił zbrojnych Rosji na froncie. A z tego, co powiedział Putin, wynika, że tylko Grupa Wagnera straciła na wojnie około 25 tysięcy ludzi. Ostatnia, ogłoszona jeszcze we wrześniu przez ministerstwo obrony i do dziś obowiązująca liczba to 5937 poległych. Niezależnym dziennikarzom śledzącym prowincjonalne media udało się na podstawie publikowanych tam nekrologów żołnierzy sporządzić imienną listę 25 tysięcy 511 poległych.

Teraz na podstawie tego, co nieopatrznie palnął Putin, można wysnuć wniosek, że tylko tyle straciła sama formacja najemników, licząca nie więcej niż 60 tysięcy ludzi. Można więc

oceniać, że realna liczba wojskowych, którzy stracili życie na rozpętanej przez niego wojnie, przekracza już 100 tysięcy.

Usiłując jakoś zapobiec szkodom, jakie jego wizerunek poniósł w wyniku buntu, Putin gwałtownie zmienił swe zachowanie. Raptem stał się bardzo aktywny, dzień w dzień występuje publicznie. Na Kremlu wciąż obowiązują drakońskie środki bezpieczeństwa sanitarnego. Każdy, kto zostaje dopuszczony przed najwyższe oblicze, musi przejść testy COVID-owe i dwutygodniową kwarantannę. Ale przywódca raptem wyskoczył ze sterylnej izolacji i poleciał do Derbentu w Dagestanie, gdzie bratał się i obściskował z ludem, pokazując, że naród wciąż w niego wierzy.

Obawa przed mikroblem okazała się mniejsza niż strach przed powtórzeniem buntu, który kazał mu, jak to określają w Moskwie, „dziadowi w bunkrze”, wyskoczyć do ludzi.

Bunt zbrojnych najemników jednak już obalił kilka mitów. Zdjął z samego Putina nimb świętości od ćwierć wieku instalowany mu nad głową przez propagandę. Okazało się, że można zagrozić sakralnej postaci, napędzić jej takiego strachu, by uciekła z Kremla czy to do srogo strzeżonej rezydencji na Wałdaju, czy to do Petersburga na superszybki pełnomorski jacht wiernego przyjaciela Jurija Kowalczuka.

Równie groźne jest i to, że pękł mit o głoszonej poddanym i światu, a gwarantowanej rzekomo przez przywódcę stabilizacji Rosji, betonowej konsolidacji elit wokół tronu.

Tydzień temu, a w rzeczywistości już znacznie wcześniej, do gardeł rzucili się sobie przeciw dwaj zdecydowanie proputinowscy ludzie, do których pan Kremla ma najwyższe zaufanie – szef Grupy Wagnera i minister obrony Siergiej Szojgu.

Prigożyn jest Putinowi bliski jak własny dziadek. Spiridon Putin był nie tylko kucharzem Stalina, ale także jego *probawalszczikiem*, bo miał obowiązek próbować tego, co podawano dyktatorowi. Prigożyn nigdy nie gotował pryncypałowi (ponoć nie potrafi), ale też przynosił mu jedzenie do stołu i wódkę nalewał. A to przy paranoicznym lęku głowy państwa przed zamachem wskazuje, że był ze wszystkich stron sprawdzony i uznany za godnego najwyższego zaufania.

Z nie mniej pełnym zaufaniem Putin oddaje się w ręce szefa swojego resortu obrony, choćby wtedy, kiedy z nim tylko wyrusza na samotne wyprawy w tajgę.

I oto ci dwaj najwierniejsi wzięli się za łby tak, że wstrząsnęli całym krajem i połową świata. A winę za to, że ich konflikt doszedł do takiej dramatycznej fazy, ponosi Putin i jego obawa przed zamachem.

Znany politolog Kiriłł Rogow na podstawie analizy buntów zbrojnych, do których doszło na świecie po 1945 roku, doszedł do wniosku, że wybuchają one tam, gdzie przywódca żyje w lęku przed nimi. Taki polityk, obawiając się, że jego ewentualni przeciwnicy dogadają się między sobą i wspólnie obalą władzę, specjalnie podsyca konflikty w elitach.

Putin tak postępował już nieraz, by w końcu włączyć się do sporu i wystąpić w nim jako arbiter. Ufał bowiem, że wciąż ma pełną kontrolę nad sytuacją.

Coraz ostrzejszy konflikt między Szojgu a Prigożynem trwał od tygodni, Kreml się do niego nie mieszał do momentu, kiedy pozwolił ministrowi obrony odebrać rywalowi Grupę Wagnera. I wtedy okazało się, że Putin wcale nie kontroluje sytuacji, Prigożyn na czele swych bandytów ruszył na Moskwę „po sprawiedliwość”.

Skutkiem tego będą kolejne konflikty w elitach, choćby o to, kto jest winien temu, że doszło do buntu. Czy to kontrwywiad FSB, który przegapił to, że wagnerowcy przez tygodnie szykują się do akcji? Czy generałowie, którzy tak jak zastępca dowodzącego frontem ukraińskim, dowódca sił powietrzno-kosmicznych Siergiej Surowikin, wiedzieli ponoć, co się święci, a jako też wrogowie Szojgu – nie donieśli? Winnych Kreml szuka i znajdzie albo wykreuje.

Surowikin od tygodnia nie pokazuje się w swoim miejscu pracy, czyli sztabie frontu. Jego córka Weronika zapewniła, że ojciec nie jest aresztowany i wszystko z nim „w porządku”. Ale Putin na tajnym spotkaniu z redaktorami naczelnymi lojalnych mediów zapytany o los generała nie odpowiedział nic konkretnego.

Ten los słodki nie jest. Generała intensywnie obrabiają oficerowie wyznaczeni przez jego wroga, Szojgu, do specjalnej komisji śledczej (dochodzenie w sprawie buntu prowadzi nie kontrwywiad, ale strona konfliktu, czyli ministerstwo obrony). I pytają nie tylko o wydarzenia sprzed tygodnia, ale też o interesy, które w Syrii i Afryce łączyły go z Prigożynem.

Aleksiej Wieniediktow, przez lata redaktor naczelny Radia Echo Moskwy, mówi, że nie zdziwiłoby oskarżenie dowódcy sił powietrznych o to, że swymi samolotami zwoził do kraju krwawe diamenty i niewolnice. To miałyby ostudzić emocje bardzo licznych oficerów i generałów, którzy tak jak Surowikin i Prigożyn burzą się przeciw kierownictwu ministerstwa obrony i jego sposobowi prowadzenia wojny.

Stanowisko stracił już zastępca Surowikina, generał Andriej Judin. Igor Striełkow, kiedyś dowódca sił zbrojnych separatystów

donieckich, wiąże to z tym, że piloci wojskowi mieli odmówić bombardowania idącej na stolicę kolumny wagnerowców.

Gdzieś przepadł też i nie pojawia się szef sztabu generalnego, dowódca frontu ukraińskiego Walerij Gierasimow. Z przestrzeni publicznej zniknął również zwykle nadaktywny w internecie były prezydent Dmitrij Miedwiediew.

Wygląda na to, że w Rosji szykuje się czystka w strukturach siłowych, co może jeszcze bardziej zaostrzyć sytuację, której Putin nie kontroluje.

Rogow zwraca uwagę na to, że bardzo często tam, gdzie doszło do nieudanego buntu zbrojnego, wkrótce następuje zamach stanu. Stłumienie buntu bowiem potęguje napięcie, a jego zorganizowanie pokazuje, że rękę na władzę, jakkolwiek mocna by się ona wcześniej wydawała, podnieść można.

EPILOG.

SPADEK W CZARNĄ OTCHŁAŃ

Wojna Putina zniszczyła dorobek kilku pokoleń Rosjan. Straty, które ponieśli, są niepowetowane.

Profesor Natalia Zubarewicz, wytrawny znawca geografii ekonomicznej, dowodzi, że mamy współcześnie do czynienia nie z jedną, ale z czterema bardzo się różniącymi od siebie Rosjami.

Za pierwszą uważamy tę, która jest oknem wystawowym kraju, czyli rzeczywistość Moskwy i Sankt Petersburga oraz – w pewnym stopniu – dziesięciu innych miast liczących ponad milion mieszkańców.

Potem idą średnie miasta przemysłowe, dalej jest „głębinka”, czyli głęboka prowincja kilkunastotysięcznych „osiedli typu miejskiego” i wsi.

Jest jeszcze Kaukaz, o którym trudno powiedzieć, że to „jeszcze Rosja”. Tamtejsze republiki mają inną religię, kulturę, układ społeczny, a nawet prawa – jak choćby w Czeczenii, gdzie egzekwowane są zasady islamskiego szariatu. Rosjanie dosyć sprawiedliwie nazywają tę „czwartą Rosję” „naszą wewnętrzną zagranicą”.

Poziom życia obywateli Rosji „pierwszej” jest znacznie wyższy niż pozostałych. Inne są tu aspiracje, poglądy na świat, zainteresowania, sposób ubierania się, nawet dieta. Ogromny wpływ na mentalność społeczeństwa ma wielkomięskie otwarcie na świat, związana z dobrobytem możliwość podróżowania poza ojczyznę. To w największych aglomeracjach najliczniejsza część

mieszkańców ma paszporty, a publiczność kremlowskich kanałów telewizyjnych, skazana na działanie brutalnej oficjalnej propagandy, jest stosunkowo najmniej liczna.

Przez ponad już trzydzieści lat, czyli dwa pokolenia, Moskwa czy Petersburg przyjmowały europejski styl życia. Za symbol tych zmian można uznać choćby stołeczny Park Kultury i Wypoczynku im. Maksyma Gorkiego, który z tandetnego lunaparku zmienił się w modne miejsce spotkań, gdzie panuje swobodna atmosfera bardzo przypominająca choćby Vondelpark w Amsterdamie.

Wojna parceluje jednak tę mocno europejską Rosję od samego początku, od aneksji Krymu i pierwszych starć w Donbasie w 2014 roku.

Zaczęło się niby groteskowo. Władimir Putin, odpowiadając na sankcje nałożone na Rosję przez Zachód, zabronił sprowadzania żywności z Europy, a to, co wbrew zakazowi dostało się do kraju, kazał miażdżyć buldożerami. Na to lud reagował memami o tym, jak ciężko jest żyć bez foie gras czy jamonu, czyli smakołyków, o jakich w drugiej, trzeciej, nie mówiąc już o czwartej, Rosji w ogóle nie słyszeli.

Ale prędko się okazało, że nie ma się z czego śmiać. Zakazy się mnożyły. Błyskawicznie przybywało też „agentów zagranicy”, czyli organizacji i ludzi, których Kreml za niezależną postawę piętnował jako de facto zdrajców ojczyzny.

Prawdziwie miażdżący cios spadł na „pierwszą” Rosję 24 lutego 2022 roku. Co bardziej świadomi jej mieszkańcy w popłochu od razu uciekli za granicę. Nawet wszechwładna „caryca estrady” Ałła Pugaczowa i jej mąż Maksim Gałkin – szalenie popularny parodysta, rozpieszczany bajońskimi honorariami za występy na kremlowskich kanałach telewizyjnych. Z kraju, jak to się teraz nazywa, „relokowały” się setki tysięcy obywateli – w ogromnej

większości tych z „pierwszej” Rosji, bo oni są lepiej wykształceni, znają języki, mają pieniądze i więcej szans także w zachodnim, nie takim dla nich obcym świecie.

Putin, nie zwlekając, zrobił czystkę ostateczną. W ósmym dniu wojny zamilkło Radio Echo Moskwy, które, choć podporządkowane Gazpromowi, przez trzydzieści dwa lata było głosem wiernej mu proeuropejskiej części społeczeństwa. Zlikwidowana została „Nowaja Gazieta”, której redaktor naczelny Dmitrij Muratow za niezależność i odwagę całego kolektywu redakcyjnego otrzymał w 2021 roku Pokojową Nagrodę Nobla.

Siepacze przyszli również po stowarzyszenie Memoriał, też wyróżnione pokojowym Noblem (2022 rok). Organizacja oficjalnie została zlikwidowana tuż przed agresją na Ukrainę „za tworzenie fałszywego obrazu ZSRR jako państwa terrorystycznego”, czyli demaskowanie zbrodni sowieckich.

Wojna zdemolowała choćby sławny Skołtech (Skołkowski Instytut Nauki i Technologii), okrzyczany jako odpowiednik Massachusetts Institute of Technology. Potężny, nowoczesny i tworzony nakładem setek milionów dolarów ośrodek naukowy współpracował zresztą z MIT, ściągał stamtąd wykładowców.

Po agresji na Ukrainę zagraniczni uczeni wyjechali, rosyjscy, unikając wcielenia do armii, stali się „relokantami”.

Putinowi raczej nie żał Skołtechu. On kiedyś szczerze powiedział, że nie ma co inwestować w rodzimą naukę (chodziło w tym przypadku o nowoczesne metody wydobycia gazu, a więc gałąź gospodarki, na której siedzi Rosja), bo przecież można poczekać, kiedy za granicą opracują i dopracują nowe technologie, a wtedy „my capcarap albo kupimy je za kopiejki”.

Jemu bliższa jest maksyma Lenina głoszącego, że inteligencja „nie jest mózgiem narodu, a jego gównem”. Wódz bolszewików

dał tego przykład w 1922 roku, kiedy na dwóch statkach – nazwanych potem „parostatkami filozofów” – przymusowo wysłał z kraju do niemieckiego wtedy Szczecina najwybitniejszych myślicieli Rosji.

Dziś Moskwa, w której spędziłem wiele lat i za którą tęsknić warto, jest jak Atlantyda. Zapadła się. Bliscy ludzie albo „się relokowali”, albo siedzą, albo nie żyją. W znajomych miejscach pusto albo są obcy.

Aż trudno uwierzyć, że nie tak dawno, bo zimą 2011-2012, był tu „biały” karnawał buntu przeciw sfałszowaniu wyborów do Dumy. Że dziesiątki tysięcy ludzi publicznie szydziło z Putina, a Putin się ich bał.

A i jeszcze po aneksji Krymu były tu wielotysięczne manifestacje solidarności z Ukrainą. Spotykałem na nich choćby Borysa Niemcowa czy Aleksieja Nawalnego. Niemcow nie żyje, Nawalny siedzi i raczej żywy z łagru nie wyjdzie.

Za to w metrze można się nadziać na „patriotę”, który przez ramię podgląda ekran smartfona sąsiada i obowiązkowo zakapuje, jeśli zobaczy tam coś niezgodnego z wojenną linią Kremla.

Tamta „pierwsza” Rosja daje jeszcze oznaki życia. Stara się jeszcze coś tłumaczyć społeczeństwu poprzez serwisy, takie jak YouTube czy Telegram. Jej wyklętych przez Kreml i ściganych przez prokuratorów za myślozbrodnie mówców – takich jak Stanisław Biełkowski, Aleksandr Niewzorow, Julia Łatynina – słuchają setki tysięcy internautów. W większości jednak, sądząc po reakcjach, są to „relokanci”.

Rosja w XX wieku dwa razy, próbując się zreformować, sama zniszczyła swoje państwo. Padło imperium carów, padło imperium genseków.

I nowe stulecie też zaczyna się od fiaska. Próba wpisania kraju w europejski porządek demokratyczny, w której na początku swych rządów brał bardzo czynny udział też Putin i jego pierwsza ekipa rządowa, wraz z wybuchem wojny ostatecznie skończyła się klapą.

Wielkim nieszczęściem Rosji, a może w konsekwencji i reszty świata, okazuje się wszechobecny duch nienawiści i zemsty, który zapanował nad emocjami zdecydowanej większości narodu zamieszkującego „drugą” i „trzecią” Rosję.

Myśliciel Nikołaj Bierdiajew, pasażer jednego z „parostatków filozofów”, jeszcze w 1915 roku pisał o „ciemnym winie mącącym rozum narodu rosyjskiego głupim, kołtuńskim zawrotem głowy”.

„Ten ciemny rosyjski żywioł jest głęboko reakcyjny. Jest w nim wieczna mistyczna reakcja przeciw wszelkiej kulturze, przeciw prawom i godności jednostki, przeciw wszelkim wartościom” – ostrzegał Bierdiajew.

Słowa te znakomicie pasują do obojętności wobec zbrodni popełnianych przez rosyjskich żołnierzy w Ukrainie i tym bardziej radości, z którą wielu Rosjan przyjęło choćby to, co ich armia zrobiła cywilom w Buczy czy Irpieniu.

Socjolog Aleksiej Lewinson uważa, że potencjał tej „ciemnej siły” w społeczeństwie jest stały. Zmienia się za to jej wektor. Sam byłem świadkiem tego, jak kierowała się przeciw przybyszom z Azji Centralnej, mieszkańcom rosyjskiego przecież Kaukazu Północnego, Łotyszom, Estończykom, Gruzinom. Władza jej nie tworzy, ale umiejętnie ją kanalizuje i poprzez propagandę nakierowuje tam, gdzie to odpowiada jej celom.

A jednym z ważniejszych i stałych celów jest uniknięcie tego, by nie skierowała się ona przeciw krajowym elitom, biurokracji, skorumpowanym funkcjonariuszom państwowym,

a w warunkach trwającej wojny także dowódcom nieudolnie walczącej z Ukraińcami armii. Z jej głównodowodzącym, czyli Putinem, na czele.

To dziś ważne szczególnie, bo w tej wojnie Rosja straciła to, co nazywała „drugą armią świata”, czyli legendę o niby potężnych i supernowocześnie wyposażonych swoich siłach zbrojnych.

Po wojnie z Gruzją, która obnażyła liczne słabości armii, Moskwa wydała około 30 bilionów rubli (dwa razy więcej niż cały roczny budżet państwa w 2015 roku) na przebrojenie swych wojsk. Celem było doprowadzenie do stanu, w którym 70 procent broni oddanej na wyposażenie armii można byłoby uznać za „współczesne”. Brzmiało to z punktu widzenia wojskowego solidnie, choć nikt nie próbował zdefiniować, co konkretnie w tym przypadku znaczy „współczesne”.

Oszałamiającymi osiągnięciami na tym polu Putin osobiście szczytował się 1 marca 2018 roku, kiedy w czasie swego dorocznego orędzia straszył świat przerażająco skutecznym arsenałem, jakim dysponować miała już wtedy jego armia. Tłumaczył, że Zachód uparcie nie chce słuchać Moskwy i jej propozycji urządzenia na nowo porządku światowego, więc zagroził: „Nie chcieliście słuchać, to teraz posłuchajcie”.

A rzecz szła o superczołg T-14 Armata, supermyśliwiec „piątego pokolenia” Su-57, ale przede wszystkim o miażdżącą przewagę, jaką Rosja zdobyła, budując i „wprowadzając na wyposażenie” rakiety hipersoniczne.

Miały to być chociażby „kompleksy Awangard”, manewrujące w atmosferze z prędkością 15 czy nawet 20 razy większą niż prędkość dźwięku. Pociski Onyx, ponoć już przekazane armii, o prędkości 8 machów. Kindżał miał być dziesięć razy szybszy

od dźwięku i też „nieuchwytny dla wszelkich systemów obrony przeciwrakietowej”

Straszył wtedy Putin jeszcze choćby Sarmatem, rakietą balistyczną o rzekomo praktycznie nieograniczonym zasięgu (okazało się to lipą). Napędzanym silnikiem jądrowym pociskiem Buriewiestnik, który mógłby tygodniami krążyć nad ziemią, zanim uderzy w cel (próby tej broni okazały się nieudane), i wieloma innymi wynalazkami tego typu niemającymi, jak lubią mówić w Rosji, „odpowiedników na świecie”

I to od militarne show, z którym 1 marca 2018 roku wystąpił Putin, zaczęto mówić o drugiej (a niektórzy o co najmniej drugiej) armii świata.

Na froncie T-14 nie walczy, Su-57 nad nim nie lata. Kindżał w swym w pełni hipersonicznym wcieleniu okazał się jak najbardziej uchwytny dla zachodnich systemów obrony przeciwrakietowej.

Za to przydatna okazała się 1295. Centralna Baza Rezerwy Czołgów w Arseniewsku na Dalekim Wschodzie, gdzie od lat sześćdziesiątych XX wieku gromadzono wycofywane ze służby pojazdy pancerne. Na zdjęciach satelitarnych z jesieni 2022 roku widać, że magazyn tej muzealnej już techniki wojennej opustoszał. Zabrano z niego na front ukraiński także czołgi T-54, które zaczęto konstruować jeszcze w czasie II wojny światowej.

Wcale „nie druga” armia toczy wojnę nie tylko sprzętem, bo i metodami, jak to mawiają jej oficerowie, niczym „u babuszki” (Armii Czerwonej), czyli nie licząc się z ofiarami uparcie powtarzanych szturmów na znakomicie umocnione linie Ukraińców, osiągając marne efekty, traci dziesiątki tysięcy ludzi.

Przez to wszystko hasło „druga armia świata” jeszcze przed rocznicą wielkiej agresji Rosji na Ukrainę tak jakoś, po angielsku,

znikło ze słownika propagandy kremlowskiej.

Świat znacznie wcześniej zrozumiał, że było ono propagandowym mitem. Do większości Rosjan, która uzależniona jest od tego, co mówi do niej telewizor, ta prawda dociera jednak powoli.

Wyniki sondaży opinii publicznej pokazują, że naród trudno kojarzy, iż „co najmniej druga armia świata” – budowana kosztem zaniedbanej służby zdrowia, edukacji, infrastruktury – nie została przepędzona w popłochu z przedpola Kijowa, Charkowa i wygnana z Chersonia.

Swoją wojnę Putin nieopatrznie wypuścił z butelki dzina, którego chciał w niej na zawsze zamknąć i którego bardzo się obawiał. On domagał się przecież, choćby w ultimatum postawionym przez Moskwę Zachodowi w grudniu 2021 roku, by Pakt Północnoatlantycki odsunął się od granic Rosji, dał jej gwarancje, że nie będzie sprzętem czy instruktorami wspomagać Ukrainy.

Napadając na sąsiedni kraj, obudził NATO, które realnie wcale nie zagrażało jego państwu, ze słodkiego pokojowego letargu. I teraz Putin ma rosnące kontyngenty wojskowe Paktu tuż przy granicach, tradycyjnie do tej pory neutralnych Skandynawów w szeregach Sojuszu Atlantyckiego, zwiększenie budżetów obronnych w Europie, rosnące lawinowo inwestycje w zachodni przemysł obronny. Ma wszystko, czego nie chciał.

Wojna okazała się godnym Nagrody Darwina samobójstwem „imperium energetycznego”, jak Rosja ochrzciła samą siebie w 2012 roku.

Tę potęgę budowali jeszcze gensekowie. Zaczął o niej myśleć Nikita Chruszczow, ciałem stała się ona przy Leonidzie Breżniewie, kiedy 1 lutego 1970 roku ZSRR i zachodnie Niemcy

podpisały „kontrakt wieku”, pierwsze porozumienie o dostawie gazu radzieckiego.

W Moskwie rządili wtedy ludzie jednak znacznie mądrzejsi niż dziś. Szło im nie tylko o stałe znakomite źródło dochodów. Gazociągi miały być też dla Związku Sowieckiego gwarancją zabezpieczającą kraj przed ewentualną wojną na dwa fronty – z Chinami (jedenaście miesięcy wcześniej doszło do bitwy o wyspę Damanskij na granicznej rzece Ussuri) i jednocześnie w Europie.

Doświadczony szef dyplomacji Andrej Gromyko, choć za upartą twardość wobec Zachodu zdobył przydomek „mister niet”, rozumiał, że z taką polisą ubezpieczeniową Kreml jako niezastąpiony dostawca surowców energetycznych może się mniej obawiać ciosu w plecy w przypadku konfliktu zbrojnego z Pekinem.

Giennadij Burbulis, w początkach nowej Rosji człowiek nr 2 (po Borysie Jelcynie), mówił mi, że nawet w chaosie i niepewności, w jakich pogrążył się kraj po upadku ZSRR, rytmiczność dostaw gazu do Europy była świętością. Moskwa broniła swej marki partnera niezawodnego jak niepodległości.

Dzięki temu przyszły potem nowe kontrakty, nowe gazociągi, najnowsze zachodnie technologie wydobywania, setki miliardów dolarów.

A przy Putinie okazało się, że Rosja popełnia kardynalny błąd, bo wojuje tym, co ją żywi (Chruszczow powiedziałby, że „gorzej niż świnia paskudzi do tego, z czego je”), stosując szantaż gazowy a to wobec Ukrainy, a to Białorusi.

Na tym oparła się też idea „imperium energetycznego”. Zgodnie z nią Rosja jako właściciel złóż, rurociągów, magazynów i, co planowała, europejskich sieci dystrybucyjnych ma nie tylko

zagwarantowane dochody na najlepszym na świecie rynku, ale również wielką moc polityczną.

„Imperium” po to jest bowiem imperium, by wpływać na decyzje partnerów, nagradzać zniżkami cen posłusznych, karać wysokimi taryfami krnąbrnych, korumpować i meblować całe rządy innych państw.

„Imperium” użyło broni energetycznej na pełną skalę w przedwojennym 2021 roku, z premedytacją wprowadzając wielki chaos na rynkach surowców. Tak Moskwa usiłowała zdobyć zgodę na uruchomienie ułożonego na dnie Bałtyku gazociągu Nord Stream 2, zmiękczyć partnerów zachodnich przed przedstawieniem im pod koniec roku ultimatum w sprawie udzielenia Rosji „gwarancji bezpieczeństwa” (m.in. zlikwidowania instalacji NATO na wschodniej flance Europy).

Putin przelicytował. Rozpoczynając wojnę, sam dobitnie, lepiej niż ktokolwiek inny, pokazał, jak niebezpieczne dla Zachodu jest zdanie się na Rosję.

Niespodziewanie dla niego Europa już w pierwszym roku wojny, zamiast iść na kompromisy, odwiązała się od gazu z rosyjskich rur. Potok pieniędzy z „kontraktu wieku” wysechł. Moskwa straciła tę polityczną siłę, jaką dawała jej pozycja monopolisty na rynku dostaw surowców energetycznych.

Thane Gustafson, norweski ekspert od rynku energetycznego, ocenił: „Putin w istocie rzeczy wpakował kulę w samo serce rosyjskiego przemysłu gazowego”.

Odbudować tego, co zrujnował pan Kremla, się nie da. Skierowanie dostaw rosyjskich na Chiny wymaga lat bardzo kosztownych inwestycji. Rosja jako dostawca nigdy nie zmonopolizuje rynku chińskiego na tyle, by móc mówić Pekinowi, jak ma postępować. To raczej Chiny w przeciwieństwie

do UE, gdzie centrów decyzyjnych jest dwadzieścia siedem, będą wobec niej grać rolę monopolistycznego odbiorcy dyktującego ceny i warunki.

Wojna odebrała Rosjanom także to, co – nie będąc z nimi blisko i nie znając ich duszy – trudno właściwie ocenić.

Oni przypisują sobie prawo do szczególnego miejsca wśród narodów i specjalnego traktowania jako pogromcy Hitlera, którzy gigantycznym kosztem, może i czterdziestu milionów ofiar, wygrali dla świata najstraszliwszą wojnę w historii ludzkości.

Nie jest to sprawiedliwe, bo na skutek zabiegów propagandowych w Rosji monopolizują Zwycięstwo (piszą je dużą literą), nie tylko konsekwentnie ignorując to, że było ono też udziałem aliantów, ale i przemilczając, że swój wielki wkład wniosły do niego inne narody ZSRR – choćby Ukraińcy.

Zwycięstwo stało się państwową religią Rosji, z czym godzi się także Rosyjska Cerkiew Prawosławna. Ono „uświęca” państwo Putina, w sensie moralnym miało je wynosić nad inne narody świata.

Ale świat, patrząc na Buczę, Irpień, groby w Iziemie czy ostrzeliwane bloki mieszkalne w Charkowie i Zaporozżu, widzi nie Armię Czerwoną dobijającą hitlerowców w maju 1945 roku, lecz Guernicę bombardowaną przez hitlerowski legion Condor podczas hiszpańskiej wojny domowej w latach trzydziestych XX wieku, wioski palone przez nazistów w Polsce, na Białorusi i w tej samej Ukrainie. W dzieciach uprowadzanych z Donbasu dla rusyfikacji widzi praktyki porwania małych Polaków dla germanizacji w czasie okupacji hitlerowskiej.

Jakkolwiek na Kremlu staraliby się fałszować rzeczywistość, przypisując neonazizm Ukraińcom i wspierającemu ich

Zachodowi, to ich wódz i siły zbrojne są dla świata tam, gdzie osiemdziesiąt lat wcześniej byli hitlerowcy.

Bo Rosja 24 lutego 2022 roku zmarnotrawiła też prawo moralne do dziedzictwa przejętego po zwycięzcach.

OD WYDAWCY

Większość zebranych w książce tekstów opublikowana została wcześniej w „Gazecie Wyborczej”. Współautorem artykułu „Rosja straszy bronią atomową” jest Bartosz Węglarczyk, część tekstów powstała też przy współpracy: Olega Panfiłowa („Tron przysłonięty”), Agnieszki Skieterskiej („Putin chce powiększyć Rosję”), Iwana Horodysky’ego i Oleksija Sakiwa („Hetman zdradzony. Księżniczka wybiera Moskwę”), Tomasza Bieleckiego („Rosja nadal boi się NATO”, „Putin pręży muskuły i straszy sąsiadów wizją najazdu”), Pawła Pieniążka („Putin kupuje Ukrainę”) i Tomasza Jakubowskiego („Putin: Dajcie nam gwarancje bezpieczeństwa. Natychmiast”).

PRZYPISY

[1] Jurij Szczekoczichin był deputowanym do Dumy demokratycznej partii Jabłoko oraz dziennikarzem śledczym „Nowej Gaziety”. Zajmował się sprawą korupcji wśród biurokratów, prokuratorów i funkcjonariuszy bezpieczeństwa. W 2003 roku odkrył gigantyczne malwersacje w firmach, którym patronowali ważni ludzie z Federalnej Służby Bezpieczeństwa, transferując pieniądze m.in. do amerykańskich banków. W lipcu 2003 roku Szczekoczichin nagle zmarł – oficjalnie wskutek udaru mózgu, który miał być wywołany ostrą reakcją alergiczną. Nigdy nie wykryto, jaka substancja miała to spowodować. Koledzy z „Nowej Gaziety” są przekonani, że został otruty tuż przed tym, jak miał polecieć do USA i przekazać FBI swoje ustalenia. – Przed planowanym wylotem Jurij pojechał do Tweru – opowiadał Roman Szlejnow, szef działu śledczego „Nowej Gaziety”. Wrócił chory. Zaczął dosłownie rozkładać się za życia. Trzy dni później już nie żył. Dmitrij Muratow, redaktor naczelny „Nowej Gaziety”, podejrzewa, że jego zastępca został otruty polonem – tym samym, którym agenci FSB trzy lata później zabili w Londynie swego byłego kolegę pułkownika Aleksandra Litwinienkę.

[2] „Nowaja Gazieta” zawiesiła działalność 28 marca 2022 roku po wprowadzeniu w Rosji cenzury przewidującej nie tylko dotkliwe kary finansowe, ale także 15 lat więzienia „za dyskredytowanie sił zbrojnych”, czyli mówienie prawdy o wojnie. 6 września 2022 roku sąd na wniosek władz oficjalnie odebrał „Nowej Gaziecie” licencję. Inne niezależne media – Radio

Echo Moskwy i telewizja Dożd – w 2022 roku też zniknęły z Rosji. Taką decyzję podjęły władze. Odtąd można informować o wojnie tylko w sposób zgodny z oficjalnym przekazem.